



ŚWIĘTY
LEIBOWITZ
I DZIKOKONNA

Walter M. Miller, Jr.

Waltera M. Miller Jr.

Święty Leibowitz i dzikokonna

Saint Leibowitz And The Wild Horse Woman

Tłumaczenie: Adam Szymanowski

Tom 2 Duologii o Świętym Leiboitzu

*Davidowi oraz tym wszystkim,
którzy wyruszyli w rejs pod wiatr Apokalipsy*

Zarząd majątku Waltera M. Millera, Jr. chciałby podziękować
Terry'emu Bissonowi za współpracę wydawniczą przy
Świętym Leibowitzu i Dzikokonnej.

Nota

Fikcyjna reguła świętego Leibowitza jest adaptacją reguły benedyktyńskiej do życia na Pustyni Południowo-Zachodniej po upadku Wielkiej Cywilizacji, aczkolwiek fikcyjni mnisi z opactwa Leibowitza nie zawsze wypełniają ją tak doskonale, jak czynili to mnisi benedyktyńscy.

Wydawnictwo Liturgical Press w Collegeville w stanie Minnesota było uprzejmie zezwolić na wykorzystanie cytatów z St. Benedicfs Rule for Monasteries, przeł. Leonard J. Doyle, Zakon Świętego Benedykta 1948.1

1 W polskiej wersji korzystałem z: Święty Benedykt z Nursji, Reguła. Żywot. Komentarz. Przygotowali benedyktyni tynieccy, Tyniec 1979.

Rozdział 1

„Słuchaj, synu, nauk mistrza i nakłoń ku nim ucho swego serca”.

Pierwsze zdanie Reguły

„Jeśli więc spieszysz do ojczyzny niebieskiej, przestrzegaj najpierw tej maleńkiej Reguły, którą z łaski Chrystusa napisaliśmy dla początkujących. A wówczas, otoczony opieką Bożą, owe wzniosłe szczyty cnoty i wiedzy, o których właśnie wspominaliśmy, i ty także kiedyś osiągniesz”.

Ostatnie zdania Reguły

Między tymi dwoma ustępami, napisanymi mniej więcej w 529 A.D., mieści się ów skromny przepis świętego Benedykta na życie zakonne, który przetrwał nawet w okrytych cieniem czasach Magna Civitas.

Brat Czarnoząb od Świętego Jerzego AOL, drżąc na całym ciele, siedział w posępnym korytarzu pod drzwiami sali posiedzeń, czekał na orzeczenie kary i wspominał, jak jego mistrz i wuj zabrał go, żeby zobaczyć Dzikokonną podczas plemiennej uroczystości nomadów z Równin, i jak diakon (Półplemienny) Kucisawy, który przybył na Równiny w misji dyplomatycznej, próbował wypędzić świeconą wodą diabła z jej kapłanów i odciągnąć jej ducha od wigwamu narad. Doszło do buntu, napaści na osobę młodego diakona, który nie dostąpił jeszcze wówczas godności kardynalskiej, i napastnicy spod znaku szamana (guślarz) zostali bez większych ceregieli straceni przez nowo ochrzczonego szarfa nomadów. Czarnoząb miał wtedy siedem lat i nie zobaczył Konnej, ale wuj upierał się, że była tam, w dymie ogniska, zanim zaczęło się całe zamieszanie. Wujowi-mistrzowi wierzył bardziej niż ojcu. Później, jeszcze zanim uciekł z domu, widział ją dwakroć, raz za dnia, pędzącą na oklep po grzbiecie wzgórze, i raz w niepewnym świetle ogniska, kiedy przemykała niby

Nocna Wiedźma przez ciemność rozpościerającą się poza ogrodzenie osady. Dobrze ją zapamiętał. Teraz związał się z chrześcijaństwem, a to wymagało, by wspominał tamte chwile jako dziecięce zwidy. Jeden z najmniej prawdopodobnych zarzutów, jakie przeciwko niemu wysunięto, sprowadzał się do oskarżenia o to, że w jego umyśle Dzikokonna stopiła się w jedno z Matką Bożą.

Trybunał nie spieszył się. W holu nie było zegara, ale minęła co najmniej godzina od złożenia przez Czarnozęba zeznań w swojej obronie. Poproszono go, by wyszedł z sali posiedzeń, właściwie klasztornej refektarza. Starał się nie myśleć o tym, co było przyczyną zwłoki, ani o znaczeniu faktu, że diakon, teraz już kardynał („Czerwony Diakon”) Kucisawy objął podczas rozprawy – przez czysty przypadek – rolę amicus curiae. Kardynał przybył ze Stolicy Świętej do klasztoru ledwie tydzień temu i wiadano powszechnie, że chodziło o przedyskutowanie z opalem, kardynałem Jaradem, sprawy wyboru nowego papieża (trzeciego w ciągu czterech lat), którego trzeba będzie powołać jak najszybciej, kiedy tylko obecny dokona żywota.

Czarnoząb nie potrafił powiedzieć, czy udział znakomitego Półplemiennego w procesie jest dla niego rzeczą korzystną, czy też przeciwnie. Kiedy wspomniał noc egzorcyzmów, uświadomił sobie również, że w owych czasach Kucisawy miał przyjazne stosunki z Wędrowcami Równin – zarówno dzikimi, jak i osiadłymi. Kardynał był wychowany przez siostry na terytorium opanowanym przez Teksark. Powiedziano mu, że jego matka, nomadka, została zgwałcona przez kawalerzystę Teksarkańczyka i po urodzeniu dziecka podrzuciła je siostrze. Ale w ostatnich latach kardynał nauczył się języka nomadów i nie szczędził czasu ani wysiłków, by doprowadzić do przymierza dzikiego ludu z Równin i papieża na wygnaniu w twierdzy Yalana w Górach Skalistych.

Sam Czarnoząb był czystej krwi nomadem, chociaż jego zmarli rodzice zostali osadzeni na roli. Jego matka nie miała ani jednej klaczy, więc Czarnoząb żył w dzikich plemionach poza wszelkim statusem społecznym. Pochodzenie nie przeszkadzało mu w życiu zakonnym, gdyż bracia byli tolerancyjni, jeśli chodzi o tego rodzaju sprawy; natomiast wielką wagę przykładali do wszystkiego, co miało związek z wiarą. Ale w tak zwanym cywilizowanym świecie

zewnątrznym, wszędzie poza Równinami, żywot nomady był bardzo niepewny.

Doszły go podniesione głosy z refektarza, ale nie potrafił wyłowić poszczególnych słów. Tak czy inaczej, wszystko było dla niego skończone; przed nim już tylko ostateczne zamknięcie pewnego etapu w życiu, co będzie niezwykle trudne.

Kilka kroków od ławy, na której miał czekać, znajdowała się w ścianie korytarza płytka nisza z posągami świętego Leibowitza. Brat Czarnoząb wstał ze swojej ławki i podszedł tam, by się pomodlić – wbrew poleceniu, jakie mu dano: masz siedzieć tu i czekać. Łamanie ślubu posłuszeństwa zaczęło wchodzić mu najwyraźniej w nawyk. Nawet pies warowałoby, jak mu kazano, grzecznie – przypomniawszy jego osobisty diabeł.

Sancte Isaac Eduarde, ora pro me!

Barierka, przy której się klękało, była zbyt blisko wizerunku, żeby Czarnoząb mógł spojrzeć w twarz świętemu, modlił się więc do jego bosych stóp, stojących na wiązce chrustu. Znał już zresztą na pamięć pomarszczone, starcze oblicze.

Przypomniał sobie, że kiedy po raz pierwszy zjawił się w klasztorze, ówczesny opat, dom Gido Graneden, wydał już polecenie, by zabrać posąg z jego pracowni, uświęconego tradycją miejsca, które przeznaczono świętemu, i przenieść na korytarz, gdzie stoi do dzisiaj. Poprzednik Granedena dopuścił się świętokradztwa, gdyż kazał pomalować piękną, starą, drewnianą rzeźbę „na żywszy kolor”, Graneden zaś, który lubił posąg w poprzedniej postaci, nie mógł ani znieść widoku namalowanego uśmiechu i spojrzenia nieprawdopodobnie wzniesionych do nieba źrenic, ani pogodzić się z woniami i hałasami, jakie pociągnęłyby za sobą zabiegi restauracyjne in situ. Czarnoząb nigdy nie widział świętego całkowicie odmalowanego, bo kiedy tu przybył, głowa i ramiona drewnianej postaci wyrastały już z czegoś, co okazało się piersią gipsowego świętego. Niewielką powierzchnię posągu smarowano fosforanową miksturą sporządzoną przez brata farmaceutę i brata furtiana. Kiedy tylko warstwa farby zaczynała pokrywać się pęcherzami, mozolnie zeskrobywali ją, bacząc, by nie zadrapać drewna. Szło to powoli i minął rok pobytu Czarnozęba w klasztorze, zanim przywrócono świętemu pierwotny wygląd. W tym czasie jego miejsce w gabinecie

opata zajęło archiwum, tak więc Leibowitz pozostał już na korytarzu.

Nawet teraz nie można było uznać, że dokonano całkowitej renowacji, tak przynajmniej uważali ci, którzy widzieli rzeźbę w stanie pierwotnym. Bywało, że brat cieśla przystawał, spoglądał na świętego i marszczył z dezaprobatą brwi, a potem brał do ręki dentystyczne dłuto i poprawiał zmarszczki wokół jego oczu albo pieśczośliwie przecierał papierem o drobnym ziarnie miejsca między palcami. Martwił się, że środek do usuwania farby mógł zaszkodzić drewnu, często więc smarował je olejem i z wielką miłością polerował. Dzieło zostało wykonane prawie sześć stuleci wcześniej przez rzeźbiarza o imieniu Fingo, któremu beatus Leibowitz – jeszcze nie kanonizowany – ukazał się we śnie. Znaczne podobieństwo między posągiem i pośmiertną maską, której Fingo nigdy nie widział, było wykorzystywane jako argument przemawiający za kanonizacją, albowiem potwierdzało prawdziwość wizji, jaką miał artysta.

Święty Leibowitz był ukochanym świętym Czarnozęba, zaraz po Najświętszej Paniencie, ale teraz nadeszła chwila rozstania. Przeżegnał się, wstał i wrócił jak posłuszny piesek na ławkę, by „siedzieć i czekać”.

Doskonale pamiętał, co się stało, kiedy po raz pierwszy poprosił, żeby zwolniono go z najwyższych ślubów, jakie składał mnich w Zakonie Świętego Leibowitza. Wiele wydarzyło się tamtego roku. Był to rok, w którym dotarła do niego wieść o śmierci matki. Był to także rok, kiedy opat Jarad przyjął w Valanie czerwony kapelusz z rąk Ojca Świętego, a Filpeo Harq został koronowany na siódmego Hannegana Teksarku przez swego stryja Uriona, arcybiskupa cesarskiego miasta. Istotniejsze było jednak to, że był to trzeci rok pracy Czarnozęba (wyznaczonej przez samego Dom Jarada), który trudził się nad przekładem wszystkich siedmiu tomów Liber Ońginum wielebnego Boedullusa, wielce uczonej, ale i czysto spekulatywnej próby zrekonstruowania na podstawie późniejszych faktów prawdopodobnej historii najmroczniejszego z wieków – dwudziestego pierwszego. Czarnoząb tłumaczył dzieło z osobliwej, starej neołaciny, jaką posługiwano się w klasztorach, na najniezwyklejszy z języków, na swą rodzimą mowę, czyli na

pasikonikowy dialekt równinnego nomadzkiego, dla którego przed podbojami dokonanymi przez Hannegana II (31743175 A.D.) na obszarach niegdysiejszego Teksasu nie było nawet stosownego alfabetu fonetycznego.

Czarnoząb, nim jeszcze poprosił o to, czego się naprawdę lękał: o zwolnienie ze ślubów, chciał, i to nie raz, odstąpić od tej pracy, ale dom Jarad stwierdził, że braciszek jest w tej sprawie osobiwie uparty, tępy i niewdzięczny. Opat uznał, że trzeba stworzyć niewielką nomadzką biblioteczkę, jako przyszły dar chrześcijańskiej cywilizacji i najwyższego lotu kultury zawartej w klasztornych memorabiliach złożony na ręce nieoświeconych plemion, nadal krążących po północnych partiach Równin, wędrownych pastuchów, którzy prędzej czy później przekonają się do słowa pisanego. Miało się to stać dzięki trudowi zjadanych w przeszłości misjonarzy, już teraz prowadzących wśród nich swoje dzieło i nie uważanych już za jadalnych – na mocy Traktatu Świętej Klaczy podpisanego między koczownikami a sąsiednimi państwami rolniczymi. Ponieważ w wolnych szczepach Pasikonika i Dzikiego Psa, które przemierzały ze swoim długowłosym bydłem tereny na północ od rzeki Nady Ann, umiejętność czytania posiadał mniej niż jeden procent osób, trudno było, nawet dostojnemu opatowi, przewidzieć pożytek płynący z istnienia takiej biblioteki – póki brat Czarnoząb, pragnąc na początku życia zakonnego przypodobać się zwierzchnikowi, nie wyjaśnił dom Jaradowi, że trzy główne dialekty nomadzkie mniej różnią się między sobą dla czytającego niż słuchającego. Jeśli użyje się mieszanej ortografii, pominie zaś idiomy charakterystyczne dla poszczególnych plemion, to tłumaczenie będzie zrozumiałe nawet dla byłego nomady, a teraz poddanego Hannegana VI z obszarów południowych, jeżeli tylko posiadał umiejętność czytania. Na Południu, w chatach, na polach i w oborach nadal mówi się dialektem Królików, chociaż na dworach, w salach sądowych i koszarach policyjnych używany jest język Ol'zark. Odsetek ludzi piśmiennych w niedożywionych nowych pokoleniach podbitej krainy wzrósł do dwudziestu pięciu procent i kiedy dom Jarad wyobraził sobie, że tyle dziatwy mogłoby czerpać światło wiedzy z dzieł autorów w rodzaju wielkiego Boedullusa i innych zakonnych

znakomitości, nie było już mowy o tym, by nakłonić go do zaniechania tego pomysłu.

Brat Czarnoząb nie śmiał oświadczyć, że plan jest czczy i jałowy, i przez trzy lata zapewniał, że nie starcza mu talentu do takiego zadania, i biadolił nad intelektualnym ubóstwem swoich dokonań. Założył, że opat nie sprawdzi jego twierdzeń, gdyż poza samym tłumaczem jedynie bracia Strzyżyk od Świętej Maryi i Śpiewająca Krowa od Świętej Marty, kompani z dawnych czasów, znali wystarczająco dobrze nomadzki, żeby ocenić jego przekład. Wiedział jednak, że dom Jarad nie poprosi ich o to. Ale opat polecił mu sporządzić dodatkową kopię jednego z rozdziałów i posłał ją członkowi Świętego Kolegium i swemu przyjacielowi z Valany, który mówił płynnie dialektem Dzikich Królików. Przyjaciel był zachwycony i wyraził pragnienie przeczytania po zakończeniu dzieła translatorskiego wszystkich siedmiu tomów. Tym przyjacielem był nie kto inny jak Czerwony Diakon, kardynał Kucisawy. Opat wezwał tłumacza do gabinetu i przeczytał mu fragmenty tego pochwalnego listu.

– Kardynał diakon Kucisawy ma osobisty udział w nawróceniu na chrześcijaństwo niejednego znamienitego rodu nomadów. Sam więc widzisz... – W tym miejscu przerwał, gdyż ujrzał łzy płynące z oczu tłumacza. – Czarnozębie, synu mój, nie pojmuje! Jesteś człowiekiem wykształconym, a nawet uczonym. Jest to oczywiście rzecz incydentalna w porównaniu z twoim powołaniem zakonnym, nie wiedziałem jednak, że tak niewiele dbasz o to, czegoś nauczył się w tych murach.

Czarnoząb otarł łzę rękawem i zamierzał zapewnić opata o swej głębokiej wdzięczności, lecz ten nie pozwolił mu dojść do słowa.

– Wspomnij, synu, kim byłeś, przystając do nas. Wszyscy trzej kończyliście piętnasty rok

życia, a nie potrafiliście wypowiedzieć jednego cywilizowanego słowa. Nie umiałeś napisać własnego imienia. Nie słyszałeś nigdy o Bogu, choć posiadałeś już obszerną wiedzę o chochlikach i wiedźmach dosiadających nocami mioteł. Sądziłeś, że koniec świata jest tuż tuż, na południe od tego miejsca, nieprawdaż?

– O tak, domne.

- Pomyślże więc o setkach, o tysiącach żyjących w stanie dzikości młodzieńców, takich samych jak ty niegdyś. O swoich krewnych, znajomych. Chcę wiedzieć: jakież może być z twej strony większe zadośćuczynienie i jakaż większa satysfakcja może cię spotkać, niżli przekazanie swemu ludowi odrobiny wiary, cywilizacji, kultury, tego wszystkiego, co sam otrzymałeś tutaj, w murach Opactwa Świętego Leibowitza?

- Być może nie pamiętasz, ojcie opacie – odparł mnich, kościsty trzydziestolatek o smutnej twarzy. Jego łagodne obejście i nieśmiałość trudno byłoby skojarzyć ze srogością, jaka cechowała jego przodków. – Nie urodziłem się ani wolny, ani dziki. I moi rodzice nie urodzili się ani wolni, ani dzicy. Moja rodzina nie miała koni od czasów mojej prababki. Mówiliśmy po nomadzku, ale byliśmy eks-nomadami, pracowaliśmy na roli. Prawdziwi nomadzi nazwaliby nas trawożercami i splunęli na nasz widok.

- Nie to opowiedziałeś, kiedyś tu przybył! – powiedział oskarżycielskim tonem Jarad. – Opat Graneden myślał, że jesteście dzikimi nomadami.

Czarnoząb spuścił wzrok. Dom Graneden odesłałby ich do domu, gdyby dowiedział się prawdy.

- A zatem nomadowie splunęliby na ciebie, czy tak? – spytał w zamyśleniu dom Jarad. – O to chodzi? Nie chcesz rzucać naszych pereł przed wieprze?

Brat Czarnoząb otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Zaczerwienił się, zeszywniał, skrzyżował ramiona i nogi, powrócił do poprzedniej pozycji, zamknął oczy, zaczął marszczyć brwi, zaczerpnął głęboko powietrza w płuca i wydał z siebie przez zaciśnięte zęby powarkiwanie:

- Żadne perły...

Opat Jarad, uprzedzając wybuch, przerwał mu pospiesznie:

- Masz nazbyt pesymistyczne podejście do osiedlonych na nowo plemion. Myślisz, że nie mają przed sobą przyszłości. Ponieważ jednak ja powziąłem już w tej kwestii decyzję, ta praca musi być wykonana, tobie ona przypada, tylko ty bowiem możesz się z nią uporać. Czyżbyś zapomniał o ślubie posłuszeństwa? Jeśli nie możesz przekonać się do celowości swej pracy, uznaj, że celem jest praca sama w sobie. Znasz powiedzenie: „Praca jest modlitwą”. Myśl o

świętym Leibowitzu, myśl o świętym Benedykcie. I myśl o swym powołaniu!

Czarnoząb odzyskał panowanie nad sobą.

– A jakże, me powołanie – rzekł z goryczą. – Mniemałem ongiś, że zostałem powołany do życia kontemplacyjnego. A właściwie tak mi powiedziano, ojciec opacie.

– A któż ci powiedział, że mnisi z zakonów kontemplacyjnych nie pracują?

– Nikt. Nie miałem na myśli tego, że...

– Sądzisz zatem, iż praca naukowa to nieodpowiedni rodzaj pracy dla kogoś pragnącego kontemplacji, czy tak? Myślisz, że szorowanie kamiennej posadzki albo wybieranie odchodów z latryny bardziej zbliży cię do Boga niż praca nad przekładem czcigodnego Boedullusa? Posłuchaj, synu, jeśli pracy uczonego nie da się pogodzić z kontemplacją, czymże był żywot świętego Leibowitza? I co my czynimy na Pustyni Południowo-Zachodniej od dwunastu i pół wieku? I co powiemy o mnichach, którzy wzniesli się do świętości w tym samym skryptorium, w którym ty teraz pracujesz?

– To nie to samo.

Czarnoząb poddał się. Znalazł się w pułapce zastawionej przez opata i musiałby doprowadzić do tego, by Jarad przyjął do wiadomości rozróżnienie, którego ten – wiedział o tym – z rozmysłem unikał. Był taki rodzaj pracy naukowej, który stał się formą kontemplacyjnej praktyki religijnej właściwej Zakonowi, ale z pewnością nie chodziło tu o mozolne tłumaczenie czcigodnego historyka. Jarad – Czarnoząb zdawał sobie z tego sprawę – miał na myśli autentyczny, i nadal traktowany jak rytuał, trud przy konserwowaniu memorabiliów po Leibowitzu, fragmentarycznych i zwykle niezrozumiałych zapisków z czasów Magna Civitas, Wielkiej Cywilizacji, tekstów uratowanych ze stosów rozpalanych w czasach Sprostaczenia przez najdawniejszych uczniów Isaaka Edwarda Leibowitza, ukochanego świętego Czarnozęba, zaraz po Najświętszej Paniencie. Późniejsi uczniowie Leibowitza, dzieci czasów ciemności, podjęli z samozaparciem stosunkowo bezmyślną pracę kopiowania wciąż na nowo owych tajemniczych pism, ucząc się ich na pamięć, a nawet odśpiewując je chórem. Ta nudna praca wymagała całkowi-

tego i bezmyślnego skupienia, ażeby wyobraźnia nie dodała czegoś, co miałyby znaczenie dla kopisty w pozbawionej przecież znaczeń dżungli dwudziestowiecznego diagramu zaginionej myśli. Wymagała zatopienia własnego „ja” w pracy, która była modlitwą. Kiedy człowiek się w niej zanurzył, byle dźwięk, byle słowo, byle dzwonek klasztorny sprawiały, że podnosił wzrok znad stołu i dostrzegał ze zdumieniem, iż świat wokół niego odmienił się w jakiś tajemniczy sposób i jaśniej Bożą obecnością. Być może tysiące kopistów dostało się już do raju przez tę iluminowaną pergaminową bramę, lecz był to trud nie mający nic wspólnego z nużącym umysł zajęciem, jakim jest przybliżanie Boedullusa nomadom. Czarnoząb doszedł jednak do wniosku, że lepiej się nie sprzeczać.

– Chcę wrócić do świata, domne – oznajmił stanowczym głosem.

Jedyną odpowiedzią była martwa cisza. Oczy opata zmieniły się w szparki, z których wystrzelały groźne błyskawice. Czarnoząb zamrugał i odwrócił wzrok. Przez otwarte okno wleciał z bzykiem jakiś owad, który okrążył dwa razy pokój, a potem usiadł na karku Jarada; przez chwilę pełzał po skórze opata, zaraz jednak wzbił się znowu i zniknął za oknem, przez które tu przyleciał.

Przytłumiony głos nowicjusza lub postulanta recytującego wyznaczone mu memorabilium, dochodzący przez zamknięte drzwi sąsiedniego pomieszczenia, przeszywał ciszę, ale wcale jej nie zakłócał:

„...A rotacja wektora natężenia pola magnetycznego równa się przyrostowi w czasie wektora gęstości strumienia elektrycznego razy cztery pi wektora gęstości prądu. Ale trzecie prawo mówi, że rozbieżność wektora gęstości strumienia elektrycznego jest.

Był to głos miękki, prawie kobiecy, słowa padały szybko, jakby mnich, skupiwszy umysł na rozważaniu którejś z Tajemnic, odmawiał różaniec. Czarnozębowi ten głos wydał się znajomy, ale jakoś nie potrafił powiązać go z osobą.

W końcu dom Jarad westchnął i powiedział:

– Nie, bracie Czarnozębie, nie zostaniesz zwolniony ze ślubów. Masz trzydzieści lat, lecz kimże jesteś poza tymi murami? Czternastoletnim uciekinierem, który nie ma dokąd pójść. Też coś! Poczciwi prostaczkowie ze świata oskubali cię jak kurczątko. Twoi

rodzice pomarli, nie myślę się? A ziemia, którą uprawiali, nie należała do nich, nie myślę się?

– Jak mogę uzyskać zwolnienie, ojczyźnie opacie?

– Uparciuch, cóż za uparciuch! Co masz przeciwko Boedullusowi?

– Przede wszystkim żywi pogardę dla nomadów...

Czarnoząb przerwał, gdyż pojął, że znowu znalazł się w pułapce. Nie miał nic a nic przeciwko Boedullusowi. Lubił go. Jak na świętego z wieków ciemnoty Boedullus był racjonalny, przenikliwy, pomysłowy – i nietolerancyjny. Chodziło o tę nietolerancję, z którą człowiek cywilizowany odnosi się do barbarzyńcy, właściciel plantacji do wędrownego poganiacza stad, Kain do Abla. O nietolerancję, jaką okazywał Jarad. Ale umiarkowana pogarda Boedullusa dla nomadów nie miała tu nic do rzeczy. Czarnoząb nie cierpiał projektu w całości. Po drugiej stronie stołu zasiadł jednak jego twórca i patrzył na niego z troską. Dom Jarad był od początku klasztornym zwierzchnikiem Czarnozęba, lecz w tym momencie młodemu mnichowi ciążyło to bardziej niż kiedykolwiek. Poza opackim pierścieniem Jarad nosił czerwoną piuskę. Jako najjaśniejszy kardynał Kendemin, księżę Kościoła, mógłby nosić tytuł Pogromcy Wszelkiej Racji.

– Czy jest jakiś sposób, żebym się stąd wydostał, panie? – spytał raz jeszcze.

Jarad skrzywił się.

– Nie! Jeśli chcesz, weź trzy tygodnie wolnego, żeby ułożyć sobie wszystko w głowie. Ale nie wracajmy do tej sprawy. I nie próbuj szantażować mnie takimi napomknieniami!

– Niczego nie napomykam, nie próbuję szantażu!

– Doprawdy? Jeśli nie wyznaczę ci innej pracy, opuścisz te mury, nieprawdaż?

– Tego nie rzekłem.

– I bardzo dobrze! Posłuchaj mnie zatem, synu. Składając ślub posłuszeństwa, wyzbyłeś się wolnej woli. Przysiągnęłeś być posłuszny, i to nie tylko wtedy, kiedy tak ci się podoba. Twoja praca jest dla ciebie krzyżem? Podziękuj więc Bogu i dźwigaj ten krzyż! Niechże będzie ofiarą Jemu złożoną!

Czarnoząb posmutniał, spojrział na podłogę i pokiwał powoli głową.

Dom Jarad wyczuł, że zwyciężył, i podjął:

– Nie chcę słyszeć już ani słowa na temat Boedullusa, póki nie uporasz się z wszystkimi siedmioma tomami.

Wstał. Dźwignął się także Czarnoząb. Opat wypchnął mnicha ze swojego gabinetu, śmiejąc się przy tym, jakby chodziło o żart.

Na korytarzu brat Czarnoząb natknął się na brata Śpiewną Krowę, który szedł właśnie na nieszpory. Reguła milczenia uniemożliwiła im jakąkolwiek wymianę zdań. Śpiewna Krowa uśmiechnął się. Czarnoząb obrzucił go spojrzeniem spode łba. Obaj jego towarzysze, z którymi uciekł z plantacji pszenicy, znali jego sytuację, lecz żaden nie okazał współczucia. Uważali, że przydzie lono mu bardzo wygodne zajęcie. Śpiewna Krowa pracował w nowej drukarni, Strzyżyk – w kuchni jako drugi kuchmistrz.

Tego wieczora spotkał Strzyżyka w refektarzu. Drugi kuchmistrz wielką, drewnianą warząchwią nakładał kukurydzianą papkę na talerze. Każdy z mnichów, mijając go, szeptał: Deo Gratias, a Strzyżyk odpowiadał skinieniem głowy, jakby mówił: „Bardzo proszę”.

Kiedy podszedł Czarnoząb, Strzyżyk miał już w warząchwii ogromną porcję papki. Czarnoząb przycisnął talerz do piersi i dał palcami znak „za dużo”, lecz Strzyżyk odwrócił się właśnie, żeby przekazać „niezbędne” instrukcje chłopcu pchającemu wózek. Kiedy Czarnoząb wystawił talerz, Strzyżyk wysypał nań zawartość warząchwii.

– Połowa z powrotem! – szepnął Czarnoząb, łamiąc nakaz milczenia. – Ból głowy!

Strzyżyk podniósł palec do warg, potrząsnął głową i wskazał tabliczkę „Zasady Higieny” za linią obsługi, a potem znak przy wyjściu, gdzie nadzorca odpadków przyjmował resztki.

Czarnoząb postawił talerz na kotle. Prawą dłonią nabrał garść papki, a lewą chwycił Strzyżyka za suknię. Wcisnął papkę w twarz kuchmistrza, póki ten nie ugryzł go w kciuk.

Przeor przyszedł z zawiadomieniem prosto do celi Czarnozęba: dom Jarad zwolnił go na trzy tygodnie z pracy w skryptorium, aby mógł skupić się na modlitewnym szorowaniu kamiennej posadzki w

kuchni i jadalni. Tak więc przez dwadzieścia jeden dni Czarnoząb, klęcząc w mydlinach, znosił wybaczący uśmiech

Strzyżyka. Minął ponad rok, zanim ważył się znowu bąknąć o swojej pracy, powołaniu i ślubach.

W ciągu tego roku Czarnoząb miał wrażenie, że reszta wspólnoty przygląda się mu bacznie, czuł, że coś się zmieniło. Bez względu na to, czy naprawdę zaszła zmiana w postawie innych wobec niego, czy też była to zmiana w nim samym, skutkiem była samotność. Czuł się czasem wyobcowany. Podczas odmawiania chórem modlitw zaczynał się przy słowach „Jeden chleb i jedno ciało, choć jest nas wielu”. Jego jedność z kongregacją przestała być oczywistością. Słowa „Chcę odejść” wypowiedział być może, nim powziął naprawdę taki zamiar. Sedno sprawy tkwiło w tym, że nie tylko oznajmił to opatowi, lecz pozwolił, by przyjaciele dowiedzieli się o incydencie. Wśród tych, którzy złożyli uroczyste śluby i oddali się w ten sposób nieodwołalnie Bogu i regułom zakonnym, mnich pełen żalu był czymś nienormalnym, źródłem niepokoju, wybrykiem natury, kimś godnym politowania. Niektórzy unikali go, inni obrzucali dziwnymi spojrzeniami. Jeszcze inni zaczęli okazywać mu nadmierną uprzejmość.

Nowych przyjaciół znalazł sobie wśród młodszych członków wspólnoty, nowicjuszy i postulantów, którzy jeszcze nie we wszystkim podążali Drogą. Jednym z nich był młodzieniec o zniewalającym uroku, Torrildo, którego roczny pobyt w opactwie zaznaczył się kilkakrotnie ogólnym poruszeniem. Kiedy Czarnoząb przybył do kuchni w celu odbycia swojej trzytygodniowej kary, zastał już Torrilda szorującego posadzkę w ramach pokuty za jakiś nie ujawniony ogółowi występki i rychło dowiedział się, że to właśnie stłumiony głos Torrilda recytującego memorabilium dochodził go z pokoju przyległego do gabinetu opata podczas niefortunnej rozmowy z dom Jaradem. Dwaj zakonnicy różnili się znacznie, jeśli chodzi o zainteresowania, pochodzenie, charakter i wiek, ale wspólnie odbywana kara sprzyjała wytworzeniu się między nimi więzi.

Torrildo był zachwycony, że poznał starszego mnicha, który jest daleki od doskonałości. Czarnoząb, nie przyznając się do końca przed samym sobą, że zazdrościł postulantowi względnej swobody,

pozwalającej opuścić klasztor, zaczął wyobrażać sobie, że znalazł się w położeniu Torrilda, ma jego kłopoty, urok i talenty (które uchodziły uwadze wielu). Spostrzegł, że zaczyna udzielać młodzieńcowi rad, i poczuł się zaszczycony, kiedy Śpiewna Krowa wyjawiał mu z kwaśną miną, iż Torrildo naśladuje jego zachowanie i zaczyna nawet mówić zupełnie jak on. Był to jakby krótkotrwały związek ojciec-syn, lecz ta sytuacja oddaliła Czarnozęba jeszcze bardziej od innych mnichów, którzy marszczyli brwi, patrząc na tę przyjaźń.

A Czarnozębowi coraz trudniej było odróżnić wyrzut w spojrzeniu wspólnoty od wyrzutów własnego sumienia. Pewnej nocy przyśniło się mu, że klęczy w kaplicy, czekając na komunię. „Niechaj Ciało Jezusa Chrystusa doprowadzi cię do życia wiecznego” – powtarzał kapłan każdemu przyjmującemu komunię, ale kiedy podszedł bliżej, Czarnoząb zobaczył, że to Torrildo, który kładąc opłatek na języku mnicha, nachylił się i szepnął: „Ten, który spożywa ze Mną chleb, ten Mnie zdradzi”.

Czarnoząb obudził się. Dławił go szloch. Próbował zapomnieć o tym sennym koszmarze.

Rozdział 2

„Najprzedniejszym stopniem pokory jest bezzwłoczne posłuszeństwo. Osiągnęli go ci, dla których nie ma nic droższego od Chrystusa. Czy to ze względu na Świętą Służbę, jaką ślubowali, czy to z lęku przed piekłem, czy wreszcie dla chwały życia wiecznego, gdy tylko przełożony wyda jakieś polecenie, nie zwlekają oni ani chwili z jego wykonaniem, jak gdyby sam Bóg rozkazywał”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział V

Kiedy brat Czarnoząb tłumaczył jedenasty rozdział z siódmego i ostatniego woluminu Boedullusa i gorączkowo pracując zbliżał się do końca, z Valany do Wolnego Państwa Denver przybył specjalny posłaniec z tragicznymi nowinami. Papież Linus VI, najprze nikliwszy, a może i najświętszy z ostatnich papieży, człowiek najbardziej zasłużony w dziele zablizniania schizmy, do jakiej doszło po podbojach, zmarł na niewydolność serca, gdy stał w sięgającym mu łydek lodowatym potoku i potrząsał groźnie wędką na pstrągi w stronę pozostającej na brzegu delegacji Kurii. Zapewniał ich, że nasz Pan, powierzając Piotrowi dzieło łowienia ludzi, nie zakazał mu zgoła łowienia ryb. „Wszak papież Piotr zabrał pięciu apostołów do łodzi zaraz po Zmartwychwstaniu”, uświadomił im Linus. I nagle zamilkł, zbladł, rzucił wędzisko i przycisnął dłonie do piersi. Wykrztusił jeszcze, jakby się buntując: „Idę łowić ryby”, i runął w zimną wodę. Zauważono później, że jego ostatnie słowa były cytatem z Ewangelii (Jan 21, 3).

Natychmiast po otrzymaniu wiadomości najjaśniejszy pan kardynał opat przystąpił do pakowania swoich pięknych insygniów. Zawiadomił Papieską Placówkę Drogową w Sanly Bowitts, że potrzebuje zbrojnej eskorty, i polecił bratu masztelarzowi przygotować parę najszybszych koni i najlżejszy powóz, chciał bowiem jak najmniej czasu spędzić w drodze. Kiedy sposobił się do podróży, raz dostawał napadu żalu, raz ogarniała go ekscytacja i łzy mieszały się z potem, którym spływał wskutek zdenerwowania. To właśnie zmarły papież wyniósł go do godności kardynalskiej. Po raz pierwszy weźmie udział w konklawe. Wspólnota zakonna rozumiała, jak mieszane uczucia nim targają, i starała się schodzić mu z drogi.

W wieczór poprzedzający wyjazd, po wygłoszeniu mowy pochwalnej ku czci Linusa i odprawieniu za niego mszy, a potem spożyciu posiłku, przemówił do zgromadzonych w refektarzu mnichów.

– Podczas mojej nieobecności obowiązki opata będzie pełnił przeor Olshuen. Czy przysięgacie dochować mu posłuszeństwa w Chrystusie, jakie okazywaliście mnie?

Wśród zgromadzonych rozległ się potwierdzający pomruk.

– Czy ktokolwiek chce wypowiedzieć to posłuszeństwo?

Milczeli, ale Czarnoząb czuł, że wszyscy patrzą na niego.

– Umiłowani synowie, nie naszą rzeczą, mnichów z tego klasztoru, jest rozprawianie o sprawach Świętego Kolegium albo polityce Kościoła czy państwa. – Przerwał, żeby spojrzeć na oświetlone kagankiem twarze. – Powinniście jednak wiedzieć, dlaczego moja nieobecność może się przedłużyć. Jak wszyscy wiecie, jednym z rezultatów schizmy było mianowanie przez dwóch rywali do papieskiego tronu bezprecedensowej liczby kardynałów. I wiecie też, że jeden z warunków układu kończącego schizmę był taki, iż nowy papież, teraz już świętej pamięci, zatwierdzi tych wszystkich kardynałów, bez względu na to, która ze stron ich mianowała. Tak też się stało i mamy teraz na kontynencie sześciuset osiemnastu kardynałów, z których wielu nie ma nawet godności biskupiej, a kilku nie otrzymało święceń kapłańskich. Ponieważ siły są podzielone niemal równo między Wschód i Zachód, być może trudno będzie osiągnąć większość dwóchtrzecich plus jeden, niezbędną do wyboru papieża. Konklawe może potrwać jakiś czas. Mam nadzieję, że nie dłużej niż kilka miesięcy, ale nie potrafię tego w żaden sposób przewidzieć.

Lękam się, że do waszych uszu będą trafiały plotki przynoszone przez podróżnych. Póki trwa wygnanie papieża z Nowego Rzymu obleganego przez siły zbrojne Teksarku,

nieprzyjaciele walańskiego papiestwa mają nadzieję na odnowie nie schizmy i dlatego będą rozsiewać najrozmaitsze pogłoski. Błagam was, umiłowani bracia, nie słuchajcie ich.

Siła państwa uległa nadwątleniu. Siódmy z Hanneganów nie jest takim tyranem, jakim był drugi, który, wiecie o tym z historii, uciekał się do podstępu, i wprowadzając chore zwierzęta hodowlane między włochate bydło nomadów, wywoływał zarazę, aby zdobyć dla siebie imperium. Posłał swoją piechotę daleko nad Bajdos, a jego kawaleria ścigała maruderów nawet za naszymi bramami. Zabił papieskiego wysłannika, a kiedy papież Benedykt obłożył Teksaranę interdyktem, Hannegan wtargnął do wszystkich kościołów, pałaców i szkół. Zajął ziemie wokół Nowego Rzymu, zmuszając Jego Świątobliwość do schronienia się w upadającym Cesarstwie Denver. Zebrał wystarczającą liczbę kardynałów ze Wschodu, żeby wybrać

antypapieża albo raczej papieża-konkurenta, który osiadł w Nowym Rzymie. Nastąpił okres sześćdziesięcioletniej schizmy.

I oto siódmym Hanneganem został Filipeo Harq. Jest spadko biercą zdobywcy, ale istnieje pomiędzy nimi pewna różnica. Jego poprzednik był niepiśmiennym półbarbarzyńcą. Obecny władca otrzymał odpowiednie wykształcenie i wychowanie, a niektórzy jego nauczyciele byli naszymi uczniami. Nie traćcie więc, umiłowani synowie, nadziei i nie ustawajcie w modlitwie.

Jeśli prawy Hannegan zasiądzie z prawym papieżem, z pewnością dojdą, z Bożą pomocą, do porozumienia i zakończy się wygnanie. Módlcie się, by papież, którego wybierzemy, mógł wrócić do Nowego Rzymu wolnego od teksarkańskiej hegemonii. Wszędzie są ludzie wrogo nastawieni do okupacji, nic dobrego nie wyniknie jednak z tego, że zaczniemy spierać się na Świętym Kolegium o to, czy wojska teksarkańskie powinny wycofać się przed powrotem papieża. Rozstrzygnie to nowo wybrany papież.

Módlcie się o wybór, lecz nie za kandydatów. Módlcie się, by czuwał nad nami Duch Święty. Kościół potrzebuje mądrego i świątobliwego papieża, nie papieża wschodniego czy zachodniego, lecz takiego, który godny byłby odwiecznego tytułu „sługi sług Bożych”.

– Dom Jarad zniżył głos. – Módlcie się, bracia, także za mnie. Kimże bowiem jestem, jeśli nie starym wiejskim mnichem, któremu papież Linus wręczył, być może w chwili słabości, czerwony kapelusz? Jeśli ktokolwiek w Świętym Kolegium ma niższą rangę, to tylko kobieta... hmm... Jej Eminencja ksieni N’Orku, albo mój młody przyjaciel diakon Kucisawy, który pozostał człowiekiem świeckim. Niechaj wasze modlitwy uchronią mnie przed szaleństwem. Co nie oznacza zgoła, że trafię między wilki, prawda?

Rozległy się ledwie dosłyszalne parsknięcia i chichoty. Jarad zmarszczył lekko brwi.

– Pragnę pokazać, że nie jestem wrogiem Cesarstwa, i dlatego przeprowadzę się na drugi brzeg Bajdos i ruszę drogą przez Prowincję. Muszę jednak przesunąć jutrzejszą mszę. I tak będzie to dzień świąteczny, więc przed moim wyjazdem odśpiewamy mszę za unicestwienie schizmy.

Rozłożył ramiona, jakby chciał objąć nimi ciżbę, nakreślił w powietrzu wielki znak krzyża, zszedł z podwyższenia z pulpitem i opuścił salę.

Czarnoząb poczuł, że ogarnia go szaleńcza trwoga. Starął się o rozmowę z dom Jaradem przed wyjazdem opata, ale spotkał się z odmową. Przed świtem, bliski paniki, znalazł przeora Olshuena, idącego kruzgankami na jutrznię, i przywarł do rękawa swego przełożonego.

– Kto tam znowu? – spytał Olshuen głosem pełnym irytacji.

– Jesteśmy spóźnieni. – Wszedł między cienie, jakie rzucały oświetlone jednym łuczywem kolumny. – Och, brat Czarnoząb! Mówże, o co chodzi?

– Dom Jarad obiecał, że wysłucha mnie, kiedy skończę Boedullusa. Jestem bliski końca, lecz oto opat wyjeżdża.

– Obiecał, że cię wysłucha? Jeśli nie znijysz głosu, usłyszysz cię teraz. Cóż masz mu do powiedzenia?

– Chodzi o zmianę pracy. Albo wystąpienie z zakonu. A teraz nie będzie go przez wiele miesięcy.

– Tego nie możesz wiedzieć. Tak czy inaczej, cóż mogę dla ciebie uczynić? I co to ma niby znaczyć, że chcesz wystąpić z zakonu?

– Czy zechcesz przypomnieć mu o mnie przed wyjazdem?

– W związku z czym?

– Nie mogę już tak daleko żyć.

– Nawet mu nie wspomnę. Jak niby żyć? Jesteśmy spóźnieni. – Ruszył w stronę kościoła, ciągnąc za sobą Czarnozęba. – Czy dom Jarad będzie wiedział, o co chodzi, jeżeli znajdzie rano wolną chwilę i jeżeli napomkne mu o twoim jawnym wzburzeniu?

– Och, to pewne, że będzie wiedział. Pewne!

– Co to za mówienie o wystąpieniu z zakonu? Nieważne, czeka nas jutrznia. Jeśli chcesz, zajrzyj do mnie za dzień lub dwa. Albo lepiej poślę po ciebie. A teraz uspokój się. Jego nieobecność nie potrwa długo.

Po odprawieniu mszy w intencji unicestwienia schizmy opat Jarad ogłosił z ambony, iż pragnie, aby w dniu rozpoczęcia konklawe odśpiewali mszę wotywną za pomyślny wybór papieża, a kolejne takie msze nazajutrz po dotarciu do opactwa wszelkich nowin z

Vaiany, chyba że będzie to nowina o wyborze papieża. Następnie odjechał w stronę rzeki Bajdos.

Dwa tuziny albo i więcej mnichów, w tym Czarnoząb i Torrildo, stanęły wzdłuż parapetu wschodniego muru i patrzyły na pióropusz kurzu, póki nie zniknął za horyzontem.

– Wybrał drogę przez Prowincję, by dowieść, że nie jest wrogiem Cesarstwa – Czarnoząb powtórzył słowa opala posepnym tonem. – Ale zabrał zbrojny orszak. Po co mu zbrojni?

– Czujesz się tym rozgoryczony? – spytał Torrildo, który zwykle skupiał się na uczuciach Czarnozęba, nie zaś na jego myślach.

– Gdyby był wrogiem Cesarstwa, sprawy mogłyby ułożyć się dla mnie inaczej, Torrildo.

– Jakże to?

– Sprawy ułożyłyby się inaczej dla wszystkich, jeśliby nikt tutaj nie szedł na kompromisy. I ten człowiek śmiał mi mówić o rzucaniu pereł przed wieprze.

– Nie pojmuje cię, bracie.

– I nie oczekuję tego od ciebie. Skoro moi kuzyni. Strzyżyk i Śpiewna Krowa, nie potrafią mnie pojąć, jakże mógłbyś ty? – Położył uspokajająco rękę na spoczywającej na parapecie dłoni Torrilda. – Wystarczy, że budzi to twoją troskę.

– O tak, budzi!

Postulant spojrział na niego szarozielonymi oczami, które Czarnozębowi przypomniały łagodne i badawcze spojrzenie matki. Było w nich coś kobiecego. Czarnoząb poczuł się zakłopotany intensywnością tej chwili i cofnął dłoń.

– Oczywiście. Nie myślmy o tym. A co z tym twoim trudnym memorabilium?

– To się nazywa równania Maxwella. Czytam w jedną i drugą stronę, ale nie wiem, czym są ani co oznaczają.

– Jak i ja, ale nie oczekuje się od ciebie, że będziesz wiedział. Powiem ci jedno: ich znaczenie przeniknęło w ubiegłym wieku. Podobno owe równania znalazły się wśród notatek, które jakieś siedemdziesiąt lat temu Thon Taddeo Pfordentrott zabrał ze sobą do Teksarku. Słyszałem, że należą do największych memorabiliów.

– Pfordentrott? Wynalazca telegrafu? I dynamitu?

– Zdaje się, że tak.

- Dlaczego więc muszę uczyć się tego na pamięć, skoro przeniknęło znaczenie tych tekstów?

- Chyba chodzi o tradycję. Nie, o coś więcej. Niech te słowa przepływają przez twój umysł jak modlitwa. Jeżeli wytrwasz dostatecznie długo, Bóg cię oświeci. Tak zapewniają ci, którzy pamiętają dawne czasy.

- Skoro ktoś przeniknął już ich znaczenie, być może i ja do niego dotrę.

- Mogłoby się okazać, bracie, żeś zrujnował jeno swój świat. Jeśli jednak tego pragniesz, spróbuj. Możesz przeczytać to, co napisał na ten temat brat Komhoer po wyjeździe Pfordentrotta, lecz sądzę, że nie uda ci się tego zrozumieć.

- Jaki brat?

- Komhoer. Wynalazł tę starą maszynę elektryczną, która stoi jeszcze dziś w podziemiach.

- I nie działa.

- Ależ działała, kiedy ją zbudował, ale była w tym miejscu bardzo niepraktyczna, a poza tym z takich czy innych względów jego opat nie pozwolił mu nauczyć innych obchodzenia się z tym urządzeniem. Czy widziałeś kiedyś światło elektryczne?

- Nie.

- Ja też nie, ale pełno go w pałacu Hannegana w Teksarku. Mają je też na tamtejszym uniwersytecie. Brat Komhoer i Pfordentrott przyjaźnili się, o ile pamiętam, ale opat Hieronim tego nie pochwalał. Dlaczego właściwie nie przeczytałeś wywieszki, która znajduje się nad maszyną Komhoera?

- Widziałem ją, lecz nie przeczytałem. Czyszczenie maszyny jest bardzo nieprzyjemne. Mnóstwo szpar i zagłębień, w których gromadzi się kurz. - Torrildo był dozorcą podziemi i magazynierem.

- Nigdy nie mówiłeś mi o swoim memorabilium, bracie Czarnozębie.

- Jest całkowicie religijne. Nie sądzę, by miało jakieś utajone znaczenie naukowe.

Nazywają je „Towary kolonialne według świętego Leibowitza”.

Starał się ukryć dumę z tego, że powierzono mu memorabilium samego Założyciela, ale Torrildo niczego nie zauważył.

- Czy dzieje się coś szczególnego, kiedy je odmawiasz?

– Nie mogę powiedzieć ani tak, ani nie. Może nie przykładałem się należycie. Jak zwykł mawiać sam święty Leibowitz: „Co widzisz, to twoje”.

– Gdzie zapisano to powiedzenie? Co ono znaczy?

Czarnoząb, który lubił tajemnicze „powiedzenia świętego Leibowitza”, uniknął wyjaśnień, gdyż zadzwoniono na sekstę, co oznaczało powrót do reguły milczenia, zawieszanej tego przedpołu dnia z powodu wyjazdu opata. Mnisi stojący przy parapecie muru zaczęli się rozchodzić.

– Przyjdź do przyziemia, jeśli uda ci się wyrwać – szepnął Torrildo, gwałcąc regułę.

Nomadzcy przodkowie Czarnozęba zawsze bardzo cenili ekstatyczne przeżycia magiczne lub religijne i choć było to dziedzictwo *pogańskie*, nie można powiedzieć, by nie pasowało do tradycyjnych mistycznych poszukiwań, które były dla niego czymś tak naturalnym i pociągającym w życiu klasztornym. Kiedy jednak poczucie jedności z braćmi zakonnymi zaczęło stopniowo zanikać, spostrzegł, że formalne obrzędy wspólnoty nie mają już dla niego tej zniewalającej siły, co dawniej. Procesje i śpiewanie psalmów nie porwały już jego duszy na wyżyny uniesienia. Nawet przyjmowanie komunii podczas mszy nie poruszało jego serca. Mimo że wątpił teraz w swe zakonne powołanie, odczuwał to dotkliwie jako stratę czegoś cennego. To, co stało się dla niego niedostępne podczas wspólnych nabożeństw, starał się osiągnąć w samotnej modlitwie.

Mnich spędzał w swej celi tylko siedem nocnych godzin, z czego co najmniej półtorej godziny przeznaczał na medytacyjną, albo kontemplacyjną modlitwę. Część czasu na nią przewidzianego poświęcał na czytanie tych partii oficjum, których nie mógł odśpiewać w toku obrządków nakazanych regułą, gdyż wykonywał jakąś pracę narzecz klasztoru. Czarnoząb jednak prawie nigdy nie potrzebował nawet dwudziestu minut na dokończenie brewiarza, przez pozostały czas mógł więc oddać się Jezusowi i Maryi. Jego sny bywały jednak zabarwione legendami z dzieciństwa i opowieściami o Dzikokonnej, którą ujrzał niegdyś na własne oczy.

Jego spowiednik i duchowy kierownik stanowczo i wielokrotnie ostrzegął go przed poważnym traktowaniem tego rodzaju nadprzy

rodzonych objawień, jakie spływały na niego w postaci głosów lub wizji, gdy pogrążał się w kontemplacji, są to bowiem albo dzieła szatana, albo zwodnicze, uboczne skutki intesywnego skupienia, jakiego wymaga modlitwa medytacyjna czy kontempla cyjna. Kiedy więc miał pewnej nocy wizję, przypisał je gorączce, ponieważ poprzedniego dnia zachorował i został zwolniony z pracy w skryptorium.

Ukląkł koło łóżka na cieniutko wyścielonym klocek drewna i wpatrywał się bez mrugnięcia powieką w wiszący na ścianie obrazek Niepokalanego Serca. Kiedy zaczynał błądzić myślami gdzieś daleko albo pojawiała się jakaś konkretna myśl, czym prędzej z powrotem skupiał na nim całą uwagę. Obrazek niczym się nie wyróżniał, namalowano go, nie dbając o szczegóły i, na dobrą sprawę, w sposób czysto symboliczny. Modlitwa to wyzbycie się wszelkiej myśli i skupienie umysłu na sercu Najświętszej Panny. Wskutek gorączki kręciło mu się nieco w głowie i kiedy uklęknął, ogarnęło go jakieś odrętwienie. Czasem miał przed oczyma tylko ciemność. Serce zaczęło pulsować, a potem się powiększać. Nie mógł już zatrzymać na nim spojrzenia. Miał uczucie, że jego umysł zagłębia się w mroczny korytarz, który prowadzi do pustki.

I nagle stało się: ujrzał żywe serce, które zawisło w powietrzu przed jego oczyma i biło rytmicznie. Nie brakowało żadnego szczegółu. Z przebitej lewej komory wypływał strumyczek krwi. Przez chwilę nie czuł ani strachu, ani zaskoczenia. Patrzył tylko, całkowicie pochłonięty widokiem. Wiedział, nie ujmując tego w słowa, że nie patrzy na serce Maryi, ale zdziwiło go to i zaniepokoiło dopiero później, po zastanowieniu. Patrząc na serce, akceptował po prostu to, co miał przed oczami.

Z tego transu wyrwało go gwałtowne stukanie do drzwi. Nagły powrót świadomości otaczającego świata spowodował, że poczuł, jak cierpnie mu skóra.

– Benedicamus domino – odpowiedział po chwili.

– Deo Gratias – doszedł do jego uszu stłumiony głos z korytarza.

Był to brat Jonan, który budził zakonników na jutrznię. Po chwili kroki oddaliły się.

Czarnoząb dźwignął się na nogi i jął przygotowywać do codziennych zajęć, ale czar wizji nie opuścił go do końca tego dnia i

przez cały następny. Było to bardzo intrygujące – nawet kiedy minęła mu gorączka.

Ponieważ przeor nie wzywał go przez pierwsze trzy dni nieobecności dom Jarada, Czarnoząb sam do niego poszedł. Łączyła go z Olshuenem stara przyjaźń; zanim został przeorem, był jego nauczycielem i spowiednikiem, ale w tym momencie widok dawnego ucznia stojącego w drzwiach gabinetu nie wywołał życzliwego uśmiechu.

– No tak, rzeczywiście powiedziałem, żebyś przyszedł – powiedział. – Siadajże.

Opadł z powrotem na swoje krzesło, oparł łokcie na stole, złączył opuszki palców i wreszcie obdarzył Czarnozęba wątłym uśmiechem. Czekał.

Młody mnich usiadł na brzeжку krzesła i uniósł brwi. Też czekał. Przeor jął pukać palcami o palce, opuszkami, po dwa palce naraz, a potem złożył je z powrotem. Ten widok zawsze fascynował Czarnozęba, który podziwiał doskonałą koordynację ruchów.

– Chciałem zapytać...

– Dom Jarad powiedział, żebyś cię wyrzucił za drzwi, jeżeli poprosisz o coś więcej niż błogosławieństwo, chyba że masz już za sobą pracę nad Boedullusem. Wiem jednak, że tak nie jest. Nie wyrzucam cię, ponieważ zostałeś tu zaproszony. – Każde zdanie podkreślał puknięciem palców. Robił to tylko wtedy, gdy był zdenerwowany. – Czego więc pragniesz, mój synu?

– Błogosławieństwa.

Dobrodusznego z natury Olshuena nietrudno było rozbroić i teraz położył dłonie na stole, pochylił się do przodu i uśmiechnął z wyraźną ulgą. – Dla mojej prośby o zwolnienie ze ślubów.

Uśmiech zniknął. Przeor odchylił się do tyłu, złączył z powrotem opuszki palców i oznajmił łagodnym tonem:

– Czarnozębie, mój synu. Ależ z ciebie plugawy i zepsuty nomadzki pomiot!

– Oczywiście rozmawiałeś o mnie z dom Jaradem, ojcie przeorze. – Czarnoząb zdobył się na posępny uśmiech.

– Nie powiedział niczego, co chciałbyś usłyszeć, a za to parę rzeczy, których słyszeć nie powinienes. Dla własnego dobra.

Ostatnie pół minuty tutaj spędził, mówiąc bardzo wiele i w pośpiechu o tobie. Potem polecił, bym cię wyrzucił, i wyjechał.

Czarnoząb wstał.

– Czy mógłbyś, ojcze, wyjawić, nim mnie wyrzucisz, gdzie znajdę materiały dotyczące procedury?

– Jakiej znowu procedury? Zwolnienia ze ślubów? – Olshuen poczekał, aż Czarnoząb skinie potwierdzająco głową, a potem ciągnął: – Kiedy stąd wyjdiesz, skręć w prawo. Kiedy dojdiesz do schodów, zejź do krużganków. Dotrzesz nimi do furty i wyjdiesz na dziedziniec. Po drugiej stronie dziedzińca jest główna brama, za nią zaś ciągnie się droga. Od tego miejsca będziesz już polegał tylko na samym sobie. Szlak do nowej przyszłości będzie przed tobą otwarty.

Uznał, iż nie musi dodawać, że Czarnozęba czeka ekskomunika, że w wielu miejscach nikt nie zechce go zatrudnić, że będzie pozbawiony wszelkiego prawa do składania petycji w sądach kościelnych, a także do przyjmowania sakramentów, że duchowni i pobożni świeccy będą unikać go jak ognia i że rychło padnie ofiarą pierwszego lepszego opryszka, kiedy tylko ten zorientuje się, iż były mnich nie może ścigać nikogo na drodze sądowej.

– Oczywiście chcę uzyskać prawowite zwolnienie.

– W bibliotece znajdziesz książki komentujące prawo kanoniczne.

– Dziękuję, ojcze przeorze. – Czarnoząb wstał i gotował się do wyjścia.

– Czekażże! – polecił udobruchany nagle Olshuen. – Powiedz mi, synu, czy po skończeniu Boedullusa... a mówię to wyłącznie hipotetycznie... jeśli więc po skończeniu Boedullusa mógłbyś sam wybrać sobie następne zajęcie, jakie wówczas byłoby twoje stanowisko w tamtej sprawie?

Mnich zawahał się.

– Zapewne przemyślałbym to od nowa.

– Jak daleko masz jeszcze do końca?

– Dwa rozdziały.

Olshuen westchnął i powiedział:

– Usiądź z powrotem.

Przerzucał papiery na biurku, aż natrafił na zapieczętowaną kopertę. Czarnoząb zobaczył na niej swoje imię wypisane ręką dom Jarada. Przeor rozciął kopertę, rozłożył kartkę, przeczytał ją powoli i spojrzał na Czarnozęba. Znowu zetknął opuszki palców i zaczął pukać nimi o siebie.

– Wybór zajęcia?

– Tak. Opat dał ci wolną rękę. Kiedy uporasz się z Księgą początków, możesz wziąć się do Siadów stóp po dawnych cywili zacjach tego samego autora. Chyba, że masz po dziurki w nosie czcigodnego Boedullusa.

– Mam go po dziurki w nosie.

– W takim razie zajmiesz się tłumaczeniem Trwałości pojęć w lokalnych sektach Yogena Durena.

– Na nomadzki?

– Oczywiście.

– Dziękuję, ojcie przeorze.

Czarnoząb poszedł korytarzem do schodów, zszedł do krużganków, minął furte, przemierzył dziedziniec i wyszedł główną bramą na drogę. Przystanął na chwilę, wpatrując się niepewnie w pustynny krajobraz. Szlak prowadził do osady Sanly Bowitts, a kilka mil dalej docierało się do wzgórza o płaskim wierzchołku, zwanego Mesą Ostatniego Ratunku. W oddali wznosiły się góry; a przed nimi pagórki. Ziemię porastały tu i ówdzie kaktusy i krzewinki juki, a w zagłębieniach – skąpa trawa i drzewka jadłoszynu. W oddali zobaczył antylopę i brata pasterza, który wiódł swoją trzodę przez przełęcz. Pies został z tyłu i warcząc poganiał maruderów.

Przy Czarnozębie zatrzymał się wóz ciągnięty przez muła o wklęsłym grzbiecie i mnich znalazł się w obłoku drobnego pyłu.

– Braciszek do miasta? – spytał z wysokości stosu worków z żywnością siwowłósy woźnica.

Czarnoząb miał wielką ochotę wyminąć miasto i wspiąć się na Ostatni Ratunek. Powiadano, że jest to nawiedzone miejsce i mnisi wędrują tam czasem samotnie (ale z pozwoleniem przełożonych), żeby przeżyć na tym pustkowiu coś w rodzaju duchowego oczyszczenia.

– Wielkie dzięki, cny prostaczku.

Przeszedł z powrotem główną bramą i ruszył w stronę podziemi. Tradycja mówiła, że kiedy święty Leibowitz zakładał zakon, nie było tu nic poza starym wojskowym bunkrem albo przejściowym składem amunicji, który on i jego pomocnicy zdołali zamaskować tak, że człowiek mógł przejść o rzut kamieniem od tego miejsca i niczego nie zauważyć. Tam właśnie przechowywano najstarsze memorabilia. Według Boedullusa przed połową dwudziestego pierwszego wieku nie wzniesiono tu żadnych budynków mieszkalnych. Mnisi mieszkali w rozproszonych celach i przychodzili do tego miejsca tylko po to, by składać księgi i zapiski – póki nie minęła zawierucha Sprostaczenia i cennym dokumentom nic już nie groziło. Tutaj, pod ziemią, starożytne memorabilia i późniejsze komentarze czekały na swe przeznaczenie, którego czas być może już się wypełnił.

Rozdział 3

„Niech śpią odziani, przepasani pasem albo sznurem. Niech jednak nie mają przy boku swoim noży, aby nikt się przypadkiem przez sen nie skaleczył [...] Łóżka młodszych braci nie powinny stać obok siebie, lecz rozdzielone posłaniami starszych”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział XXII

W każdej niszy z książkami płonął oliwny kaganek, który dawał jednak zbyt słabe światło, by dało się przy nim czytać. Trzeba było chodzić z lampką w ręku, by odnaleźć na półkach pożądaną tytuł. Zwykle zabierało się książkę do czytelnicy z rzędem wysokich okien, ale Czarnoząb wyciąg z *De Perennibus sententiis sectarum rurum Durena*, przmiot swojej następnej pracy, przeglądał przy świetle świecy, którą trzymał w dłoni. Wkrótce odstawił książkę na półkę i

podszedł do brata Torrilda, który pochylał się nad starym, zbudowanym przez Kornhoera generatorem esencji elektrycznej, rdzewiejącą bryłą ustawioną w nieoświetlonej niszy.

– Usiądźmy gdzieś, gdzie nikt nas nie przyłapie – szepnął Torrildo i schował się w głębokim cieniu za maszyną. – Brat Obohl wyszedł, ale nie wiem dokąd.

Czarnoząb zawahał się.

– Nie muszę się ukrywać. Mam powód, żeby tu przebywać. Nawet bez pozwolenia.

– Sza! Nie musisz szeptać, ale zniż głos. Wolno mi tu przychodzić tylko w celu oczyszczenia maszyny. Aczkolwiek nie ma to już większego znaczenia.

– Co to za drzwi? – Czarnoząb wskazał głową na ścianę w głębi niszy.

– To skład pełen rupieci. Chyba części maszyny. Chodź, bracie.

Mnich znowu się zawahał. Widok maszyny przyprawiał go, nie wiedzieć czemu, o gęsią skórkę. Przypominał mu osobliwe krzesło stojące w kaplicy, świętą relikwię.

Kiedy zaczęto podróżować szybciej, a podboje Hannegana II umożliwiły komunikację, wynalazek zaczął szerzyć się na całym świecie, który zaczynał wracać do normalności dwanaście wieków po tym, jak Magna Civitas zginęła w Potopie Płomieni. Większość wynalazków była oczywiście ponownym odkryciem – możliwym dzięki nielicznym zachowanym dokumentom tamtej wielkiej cywilizacji – rzeczy znanych już dawniej, niemniej nowe urządzenia były pomysłowe i przydatne. W Mieście Hannegana najbardziej potrzebowano sprawnego i humanitarnego sposobu wykonywania wyroków śmierci. Nic więc dziwnego, że w kilka lat po zbudowaniu w 3175 A.D. w Opactwie Świętego Leibowitza generatora pojawiło się w Mieście Hannegana w Cesarstwie Teksarku krzesło na esencję elektryczną. Pierwszym przestępcą straconym nową metodą był leibowitzański mnich, którego zbrodnia polegała na tym, że przekazał wystosowaną przez kardynała opata propozycję azylu synowi wroga teksarkańskiego państwa, zmarłego thona Taddeo Pfandentrotta, choć praca tego ostatniego w Opactwie Leibowitzańskim umożliwiła dokonanie wielu wynalazków, pożytecznych także dla Cesarstwa, w tym krzesła na esencję elektryczną.

Krzesła użyto wówczas po raz pierwszy i ostatni. Hannegan III ustawił je na podwyższeniu pośrodku miejskiego placu i dwa zaprzęgi mułów jęły obracać wirnik generatora, a burmistrz osobiście przeciął wstęgę, wskutek czego sprężyna zamknęła obwód. Ku zadowoleniu tłumu napięcie było zbyt niskie i mnich umierał powoli i hałaśliwie. Zrezygnowano więc z tej metody do chwili zbudowania sprawniejszego generatora. Wynaleziono maszynę parową, ale krzesła nie wyciągnięto już z magazynu, gdyż późniejsi Hanneganowie znaleźli najlepszego kata na kontynencie, w osobie niejakiego Wooshina, który posługiwał się toporem z taką maestrią i swobodą, że po całym popołudniu spędzonym na odcinaniu głów nie był ani trochę zmęczony, zachowywał pogodę ducha i mógł spędzić dwie godziny na medycji, zanim zasiadł do wieczerzy.

W końcu krzesło na esencję elektryczną zostało rozebrane i przemycone przez południową część Równin nad rzekę Bajdos. Po jakimś czasie znalazło się w Opactwie Leibowitzańskim, gdzie ustawiono je w kościele nad kryptą, w której spoczywały szczątki straconego na nim mnicha, i w każdą rocznicę egzekucji okadzano je, spryskiwano święconą wodą i oddawano mu cześć na pamiątkę zabitego na nim nieszczęśnika. W ten sposób Opactwo Leibowitzańskie stało się jedynym na całym kontynencie klasztorem posiadającym własne krzesło elektryczne. Jakieś trzydzieści lat później Opactwo odziedziczyło też podstarzałego już kata Wooshina, który wyłonił się pewnego dnia z burzy piaskowej i poprosił o wodę i azyl. To wydarzenie miało miejsce ledwie trzy lata temu.

– Zamierzasz sterczeć tu, aż mnie złapią? – spytał zniecierpliwiony Torrildo.

Czarnoząb westchnął i wcisnął się za nim w mroczną szczelinę. W tym ciemnym miejscu za maszyną ktoś zrobił stos z wytartych mat, podartych i cuchnących pleśnią. Usiedli wygodnie.

– Nie miałem pojęcia o tym miejscu–oznajmił rozbawiony Czarnoząb.

– Bracie Czarnozębie, czy naprawdę zamierzałeś uciec?

Starszy mnich przez chwilę zastanawiał się w milczeniu. Przedtem chciał po prostu dotrzeć do Ostatniego Ratunku, tam

podjąć decyzję i być może wrócić. Torrildo dotknął jego uda, jakby szukając po omacku odpowiedzi na swoje pytanie. Czarnoząb zsunął dłoń młodzieńca i westchnął.

– Przeczytałem właśnie wyciąg z książki Durana. Jest to historia lokalnych kultów i herezji, które pojawiają się albo odzywają w różnych miejscach. Bóg jeden wie, dlaczego dom Jarad chce, by coś takiego zostało przełożone na nomadzki. Na nic zda się zgadywanie, póki nie przeczytam książki od deski do deski.

– Nie uciekasz?

– Jakże mógłbym? Złożyłem uroczyste śluby.

W ciemności rozległ się urywany szloch Torrilda.

– Ja jednak ucieknę.

– To niemądre. Jeśli chcesz stąd wyjść bez żadnej szkody dla siebie, wystarczy ci pozwolenie dom Jarada, a w przypadku postulanta jest to czysta formalność. – Dom Jarad wyjechał. A ja muszę odejść natychmiast!

Szloch nabrał intensywności. Czarnoząb otoczył pocieszycielsko ręką ramiona mniszka. Torrildo wtulił głowę w jego szyję i płakał teraz cichutko.

– No, no, co się z tobą dzieje? – spytał starszy mnich.

Płaczący braciszek uniósł głowę i przybliżył twarz do twarzy

Czarnozęba. Ten widział tylko owalny cień, z którego patrzyły piękne oczy Torrilda.

– Czy naprawdę mnie lubisz, Czarnozębie?

– Ależ oczywiście, Torri. Cóż to za pytanie!

– Tylko z twojego powodu pozostawałem tu przez ostatnie miesiące.

– Nie pojmuję.

– Och, tylko tak mówisz! Jestem pewien, że pojmujesz. A teraz nie mogę zostać ani chwili dłużej. Tak czy inaczej czekałyby mnie same kłopoty. Jestem nieczysty. Nie dochowałem ci wierności.

– Co też powiadasz? O jaką wierność ci chodzi? – Czarnoząb poruszył się niespokojnie na zatechnym materacu.

– Och! Jesteś taki bystry, ajednocześnie taki naiwny! – Ujął twarz Czarnozęba w delikatne, szczupłe dłonie. – Odchodzę. Nie pocałujesz mnie na pożegnanie? – Wyczuł, że Czarnoząb zmarszczył brwi, opuścił więc dłonie. – A więc nie uczynisz tego.

– Ależ pocałuję cię, Torri.

Ostrożnie złożył pocałunek pokoju – najpierw na jednym policzku mniszka, a potem...

– Uhhh!... – westchnął młodzieniaszek i przyciągnął go gwałtownie do siebie.

Czarnoząb poczuł jego wargi na swoich i język wdzierający się za przegrodę jego zębów. Szarpnął głową w bok i odchylił się do tyłu, zaciskając usta. Torri runął na niego, sięgnął pod kraj sukni i jął przesuwać dłońią po jego nogach. Czarnoząb najpierw przestraszył się, potem wpadł w popłoch, gdy spostrzegł, że ma wzwód, co rozpalony Torrildo odkrył z zachwytem.

– Torri, nie!

– Wiesz, że to ja mam być dziewczynką...

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Oświetliła ich lampa zawieszona na końcu czyjś kościsty ramię. W nagłej jasności Czarnoząb ujrzał na chwilę cztery gołe nogi i dwa wzwiedzione penisy.

– Sodomici! – wrzasnął przełożony biblioteki, brat Obohl. – Przyłapałem cię! Wreszcie mam cię, ścierwo! Marsz do przeora!

Chciał kopnąć Torrilda w obnażony zadek, ale chybił. Był krótkowidzem. Niegdyś posiadał jedyną parę okularów w opactwie, wyszlifowanych specjalnie dla niego w Teksarku, ale wyrzekł się ich ze względów religijnych. Teraz chwycił Torrilda za ramię i zaczął wrzeszczeć do Czarnozęba, który gramolił się na maszynę.

– Elwen! Bracie Elwen! Wracaj, ty plugawy pedale.

Kiedy Czarnoząb pędził co sił w nogach po schodach, słyszał za swoimi plecami odgłosy szarpaniny. Przystanął na podeście, żeby opanować wzburzenie, a potem przeszedł spokojnie przez czytelnię i znalazł się na dziedzińcu. Stał w oślepiającym blasku słońca; kręciło mu się w głowie, nie wiedział, co ma ze sobą począć. Krótkowzroczny starzec pomylił go z El wenern, nowicjuszem, który pracował pod okiem brata ogrodnika. Czarnoząb wiele razy widział Torrilda i Elwena razem, ale z niczym tego faktu nie kojarzył. Wyglądało więc na to, że wpadł w sidła, które bibliotekarz zastawił na kogoś innego. Pomyłka rychło się wyjaśni. Po drugiej stronie dziedzińca widać było doskonale Elwena, który klęcząc, kładł nawóz pod krzewy różane. Żadnego honorowego wyjścia. Ruszył już w

stronę skryptorium, ale doszłoby tam do wielce kłopotliwej sytuacji, jeśliby przeor kogoś po niego przysłał. Zawrócił więc w stronę swojej celi, atoli usłyszał, że ktośbiegnie, więc obejrzał się. To Torrildo pędził w stronę głównej bramy. Czarnoząb stał, spodzie wając się, że zaraz zrobi się straszne zamieszanie, ale nic takiego nie zaszło.

Odczekał całą minutę. Po krótkiej modlitwie do świętego Leibowitza postanowił wrócić do podziemi. U stóp schodów panowała cisza. Światło było przyćmione jak przedtem. Znalazł świecę, z której przed chwilą korzystał, i zajrzał za maszynę. Stary bibliotekarz leżał na plecach. Trzymał się za głowę i przetaczał ją z boku na bok. Na czole widać było krew. Czarnoząb pochylił się nad nim.

- Kim jesteś? - wychrypiał nieszczęsny.
- Czarnoząb od Świętego Jerzego.
- Bogu niech będzie chwała, bracie. Potrzebuję pomocy.

Czarnoząb uniósł starca, przepchał się obok maszyny i z trudem ruszył w stronę schodów.

- Zostaw mnie. Jestem dla ciebie za ciężki. Za chwilę zrobi mi się lepiej.

Odpoczywali, oparci o ścianę. Potem Czarnoząb zarzucił sobie ramię bibliotekarza na barki i pomógł mu wgramolić się na schody. Obohl chrypiał i ciężko dyszał.

- To Elwen i Torrildo. Co za pedały! Dobrze wiedziałem, co w trawie piszczy. Nie mogłem ich przyłapać. Do dzisiaj. Semeni Mnóstwo nasienia rozsianego za maszyną! Zaraz! Dokąd umknęli?

Nadal ciężko dysząc, mrugając powiekami, rozejrzał się wokół.

Czarnoząb posadził go ostrożnie na końcu stołu w czytelni, a potem delikatnie ułożył. Mnisi siedzący przy pulpitych zerwali się i stłoczyli dokoła starca. Jeden z nich przyniósł dzban z wodą i otarł twarz bibliotekarza. Inny obejrzał ranę na głowie. Jeszcze inny spytał: „Co ci się stało, bracie?”

- Przyłapałem ich. Wreszcie przyłapałem! Brata Torrilda i brata Elwena, jak robili to za elektrycznym bałwanem. I Torrildo uderzył mnie... Nie wiem czym....

- Torrildo cię uderzył, to prawda - powiedział Czarnoząb - ale Elwena tam nie było. To byłem ja, Czarnoząb od Świętego Jerzego.

Obrócił się na pięcie i wyszedł bez pośpiechu. Udał się do swojej celi. Leżał na plecach i dopóki po niego nie przyszli, wpatrywał się w obrazek Niepokalanego Serca Najświętszej Panny.

Gdyby nie fakt, że przerzucanie kompostu było karą publiczną, Czarnoząb być może przedkładałby to rzemiosło nad tłumaczenie mnisiego dzieła historycznego dla nomadów, którzy byli zbyt dumni, żeby czytać. Wybieranie łąjna z latryn i przewożenie go taczkami do pierwszej kadzi kompostowej było najsmrodliwszą częścią pracy. Potem mieszał je z trzykroć większą objętością ogrodowych chwastów, wyłuskanych korb kukurydzianych, posiekanych kaktusów i resztek z talerzy. Codziennie przerzucał cuchnącą mieszankę z jednej kadzi do następnej, aby powietrze mogło wszędzie dotrzeć i przyspieszyć proces rozkładu. Kiedy mieszanka znalazła się w ostatniej kadzi, była doskonale rozkruszona. Straciła już prawie całkowicie pierwotną woń. Zabierał ją stamtąd czystymi taczkami i zsypywał na wielki stos koło ogrodu, gdzie czekała, aż ogrodnicy zechcą jej użyć.

Trzeciego dnia brat Elwen, po rozmowie z przeorem, wymaszerował za mury klasztoru. Czarnoząb spodziewał się, że poczuje ulgę. Nic z tego. Przez całe trzy tygodnie odmawiał swoją kompostową modlitwę, ofiarowując każdą szuflę cuchnącej materii za duszę tego biedaczyny Torrilda. „Aby smażył się w piekle, nie pragnę, o Panie!” – zmuszał się do modlitwy.

Nikt go nie znieważał, nikt nie unikał (po kąpieli), lecz hańba publicznej kary kazała mu odsunąć się od innych. Nocami z coraz większym żarem starał się w samotności swej celi dojść do tego niewyrażalnego wyzbycia się samego siebie, które dawało swoistą jedność z sercem Maryi, z owym sercem nie przepelnionym smutkiem, lecz opustoszałym przez smutek, otwartym przez smutek, bezinteresownym przez smutek, z sercem będącym otchłanią mroku przesyconego miłością, gdzie dostrzegał czasem przelotnie inne serce, zranione, a jednak nadal bijące.

– Powiadają, że także diabeł ma takich, którzy go kontemplują – ocenił szorstko tę wizję i osobiste praktyki dewocyjne Czarnozęba spowiednik. – Ogniskiem skupienia musi być nasz Pan. Nabożeństwo do Naszej Pani jest rzeczą wspaniałą, ale zbyt wielu mnichów zwraca się ku niej tylko wtedy, kiedy śluby zbyt ich

uwierają, kiedy zbyt trudno jest żyć w posłuszeństwie. Nazywają ją Ucieczką Grzesznych, i jest nią zaiste. Można jednak patrzeć na to dwojako: wedle Pana i wedle grzesznika. Bądź uważny w chórze, mój synu, i przestań uganiać się po nocach za wizjami.

Tak więc Czarnoząb nauczył się, że lepiej nie wspominać o swojej wizji. Spostrzegł, że spowiednik wpada w gniew, kiedy mu o niej mówi, jakże bowiem mnich, który złożył śluby, a teraz tego żałuje, może oczekiwać jakiegokolwiek łaski – poza łaską skruchy i pokuty? Podobną postawę zauważył u przeora Olshuena, który po trzytygodniowej pokucie odesłał go do zwykłej pracy, ale jednocześnie, ku wielkiemu zmartwieniu Czarnozęba, polecił mu spędzać w tygodniu godzinę z bratem rekonyliatorem, który będzie udzielał mu osobistej porady duchowej.

Brat rekonyliator, mnich o imieniu Levion, był w wolnych chwilach asystentem brata chirurga, a także powiernikiem meraora biliów dotyczących starożytnej sztuki uzdrawiania. Zajmował się przypadkami zgrzybiałości, rozstroju nerwowego, depresji, omamów oraz krnąbrności. Został też wyświęcony na egzorcystę. Olshuen nie wątpił, że Czarnoząb podał prawdziwą wersję wydarzeń w podziemiach, ale dostrzegł w tym także przejaw buntowniczego niezadowolenia, a niezadowolenie równało się w jego oczach grzechowi albo szaleństwu.

Cześć Czarnozęba dla Najświętszej Panny nie tylko się jednak nie zmniejszyła, a przeciwnie, ta dezaprobata jeszcze bardziej ją umacniała. Dawny jego bohater, święty Leibowitz, znalazł się, przynajmniej chwilowo, na uboczu, musiał ustąpić miejsca Najświętszej Pannie. Wybrał jako następne zadanie translatorskie Trwałości pojęć w lokalnych sektach Y ogena Durena. Przedkładał pracę tego autora nad dalsze dzieła Boedullusa w znacznej mierze z tej przyczyny, że omawiane przez niego wiejskie kulty skupione były na osobie Maryi albo na rozmaitych lokalnych boginiach, które zapożyczyły osobowość Maryi i trzymały w ramionach Jej Dzieciątka. Dureń wspominał nawet o nomadzkiej Dziewicy Dnia. Czarnoząb miał wkrótce pożalować swojego wyboru, ponieważ przekładanie koncepcji teologicznych na język nomadów było zajęciem najeżonym straszliwymi trudnościami, ale na razie zafascynował go jeden z paragrafów (Apud Oregonenses), w którym

omówiono pozostałości tego, co kilka wieków wcześniej nazywało się „Herezją północno-zachodnią”. Wydawało mu się, że opis wierzeń tej sekty rzuca światło na jego własną mistyczną wizję.

„Oregończycy – napisał Dureń – uznawali Matkę Bożą za pierwotną maciczną Ciszę, w którą w momencie stworzenia przeniknęło Słowo. Była ciemną Pustką zapłodnioną światłem i materią, kiedy Bóg huknął: Fiat! Słowo i Cisza istniały równocześnie – powiadali – i każde z nich zawierało w sobie drugie”.

Przypomniało to Czarnozębowi widok mroczniejącego serca, które stało się otchłanią czerni skrywającej w sobie inne żywe serce. Był tym głęboko poruszony.

„W tej sytuacji wyznawcy sekty – ciągnął Dureń – nie mogli uniknąć oskarżenia, jakie rzucił przeciwko nim inkwizytor, a mianowicie, że uczynili z Najświętszej Panny czwartą Osobę Boską, wcielenie kobiecej mądrości Boga”.

Ponieważ poza Strzyżykiem i Śpiewną Krową nikt w opactwie nie czytał po nomadzku, Czarnoząb mógł pozwolić sobie na pewną swobodę w wyrażaniu myśli tekstu tak opornie poddającego się wtłaczaniu w ten prymitywny język. Tłumacząc słowo eculeum (źrebię), mógł wybrać dowolny z dziewięciu nomadzkich wyrazów oznaczających młodego konia, tak bogaty był ten język, jeśli chodzi o sferę codziennego życia. Lecz wszelkie jednowyrazowe tłumaczenie łacińskich słów „wieczność” albo „transsubstancjalny” wprowadziłyby czytelnika w zakłopotanie. W końcu terminy teologiczne pozostawił w brzmieniu łacińskim i próbował wyjaśnić je w rozwlekłych przypisach. Ale kiedy tylko wyobraził sobie, że wykład tego rodzaju kwestie swemu zmarłemu ojcu albo wujowi, owe przypisy nabierały groteskowego posmaku, którego – zdawał sobie sprawę – będzie musiał pozbyć się w ostatecznej wersji. Ten brak powagi urozmaicał pracę, ale i umacniał tłumacza w przekonaniu, że jego trud jest całkowicie daremny.

Po dwóch miesiącach nieobecności opat Jarad napisał z Valany do przeora i zażądał, wśród wielu innych rzeczy, by raz w tygodniu odprawiano mszę w intencji wyboru papieża, gdyż nie widział możliwości rychłego zakończenia konklawe. Kościół bez rządcy ogarniały niepokoje i zamęt. Miasto Valana było zbyt małe, by mogło

ugościć należycie setki kardynałów wraz z ich sekretarzami, służbą i zmiennikami. Niektórzy musieli mieszkać w stodołach.

O samym konklawe napisał niewiele poza tym, że z oczywistym niesmakiem odnotował, iż niejednen z kardynałów wrócił już do siebie, zostawiając na miejscu pełnomocnika, który miał oddać za niego głos. Tego rodzaju praktyki umożliwiał kanon ustanowiony dla wygody zagranicznych kardynałów, ale także miejscowi korzystali z niego w długich okresach interregnum. Pełnocnikiem kardynała na konklawe powinien być, jeśli to tylko możliwe, któryś ksiądz z tytularnego kościoła noworzymskiego (lub valanańskiego) i jego obowiązkiem było oddawać głos w zgodzie z własnym przekonaniem powziętym z natchnienia Ducha Świętego, lecz swego zastępcę kardynał wyznaczał spośród najwierniejszych i rzadko zdarzało się, by głosował on niezgodnie z jego życzeniami – chyba że rozstrzygnięcie było już oczywiste i rzeczą właściwą stało się poparcie zwycięzcy. Ta praktyka utrudniała osiągnięcie kompromisu, jako że sługa okazywał zawsze mniej giętkości niżli pan. Jarad nie potrafił przewidzieć daty swojego powrotu. Natomiast posłaniec, który dostarczył list, upił się lekko w Sanly Bowitts i ośmielił się wygłosić swój osobisty pogląd: albo wszyscy kardynałowie wyznaczą pełnomocników i wrócą na zimę do siebie, pozostawiając sprawę wyboru w impasie, albo wybiorą schorowanego starca, który umrze, nim zdąży zająć się którymkolwiek z poważnych problemów.

Inne nowiny i plotki przesączały się z Valany do opactwa dzięki podróżnym, strażnikom dróg papieskich i wysłannikom, którzy spędzali w klasztorze noc przed wyruszeniem do celu swojej misji. Ponoć w trzydziestym ósmym głosowaniu opat Jarad kardynał Kendemin otrzymał dwa głosy i ta wielce wątpliwa pogłoska spowodowała wybuch podniecenia i radości w opactwie, a popłoch w sercu Czarnozęba, którego zgodnie z obowiązującym prawem tylko papież mógł zwolnić ze ślubów.

– Mówisz od rzeczy – zapewnił podczas jednego z cotygodniowych posiedzeń brat reconcyliator po wysłuchaniu pięciominutowej nerwowej tyrady. – Myślisz, że dom Jarad nałożył jarzmo na twój kark. Myślisz, że nigdy nie zmieni zdania. Jeśli wróci tu jako opat, będziesz mógł zwrócić się do papieża. Jeśli zaś zostanie

papieżem, mniemasz, że nie będzie miał nic lepszego do roboty, jak zwracać uwagę wyłącznie na ciebie? Spędzisz resztę życia na tłumaczeniu memorabiliów na nomadzki. Czemu sądzisz, że dom Jarad żywi do ciebie tyle niechęci?

– Tego nie rzekłem. To ty wkładasz te słowa w moje usta.

– Wybacz, proszę. Nałożył więc jarzmo na twój kark. Także twój ojciec to robił, jak sam powiedziałaś. Och, zapomniałem. Ojciec cię nienawidził, czy tak?

– Nie! Tego też nie powiedziałem. Nie w ten sposób!

Levion zaczął szperać w swoich notatkach. Siedzieli w jego celi, która służyła za pracownię. Funkcję osobistego doradcy pełnił dorywczo.

– Trzy tygodnie temu wypowiedziałaś te oto słowa: „Ojciec mnie nienawidził”. Zapisałem je sobie.

Czarnoząb siedział przygnębiony na łóżku Leviona, opierając się plecami o ścianę. Nagle pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i jął wykręcać sobie palce. Mówił, wbijając wzrok w podłogę.

– Jeśli tak powiedziałem, miałem na myśli to, że nienawidził mnie, kiedy się upił. Nienawidził odpowiedzialności. Moim wychowaniem miał zajmować się mój mistrz i wuj. Był też wściekły, bo matka uczyła mnie trochę czytania.

Czarnoząb chwycił się za usta, gdyż zdał sobie sprawę, że niechcący się wygadał.

– Dwóch rzeczy nie pojmuję, bracie od Świętego Jerzego. Po pierwsze, przybyłeś tu jako człek niepiśmienny, czyż nie tak? A po drugie, czemuż to wuj miałby ponosić za ciebie odpowiedzialność, nie zaś ojciec?

– Takie obyczaje panują na Równinach. Bracia matki biorą na siebie odpowiedzialność za jej dzieci.

Czarnoząb był coraz bardziej niespokojny i co chwilę zerkał w stronę drzwi.

– Ach prawda, u nomadów panuje matriarchat. Czy tak?

– Nie, nieprawda! Spuścizna przechodzi po kądzieli. To nie to samo.

– No dobrze. Twojego ojca drażniło to, że matka nie miała braci?

– Nie, to nie tak. Miała czterech braci. Najstarszym z nich był mój mistrz i wuj. Uczył mnie tańców i pieśni, zabierał na plemienne narady. To wszystko. Nie mogłem zostać wojownikiem. Matka nie miała ogierów ani klaczy rozplodowych. Żyliśmy poza nawiasem wspólnoty.

– Klacze rozplodowe? Co klacze mają mają tu... – Nie dokończył pytania, machnął ręką, jakby próbując rozproszyć echo swojego głosu. – Nieważne. Nomadzki obyczaj. Nigdy tego nie rozwikłałam. Wróćmy do istoty sprawy. Czułeś, że ojciec nałożył ci jarzmo na kark. Matka uczyła cię czytać? Powiedziałeś, że przybyłeś tu jako niepiśmienny. Skłamałeś?

Czarnoząb oparł podbródek na dłoniach i patrzył na swoje stopy. Poruszał paluchami i milczał.

– Cokolwiek powiesz, bracie, nie wydobędzie się to poza tą celę. Rozmówca brata rekoncyliatora milczał przez chwilę.

– Czytałem słabo, słabo też posługiwałem się skalistogórskim. Strzyżyk i Śpiewna Krowa nie umieli czytać. Milczałem, bo wszyscy myśleli, że jesteśmy prawdziwymi nomadami. Gdyby opat Geneden dowiedział się, że przybyliśmy z osad, odesłałby nas do domu.

– Rozumiem. Oto powód, żeś robił postępy w czytaniu szybciej niż Strzyżyk i Śpiewna Krowa. Matka cię uczyła. Ale skąd ona to umiała?

– Uczył ją misjonarz.

Levion milczał przez chwilę, wpatrując się bacznie w swojego przygodnego ucznia.

– Kto wpadł na pomysł, żeby uciec i dołączyć do dzikich nomadów?

– Śpiewna Krowa.

– A komu przyszło do głowy, żeby zjawić się tutaj, kiedy nomadowie was przepędzili?

– Mnie.

– Powiedz mi raz jeszcze. Kiedy umarła twoja matka?

– Dwa lata temu.

– A kiedy wyznałeś po raz pierwszy dom Jaradowi, że chcesz opuścić zakon?

Czarnoząb milczał.

– Tuż po śmierci matki, prawda?

– Jedno nie ma nic wspólnego z drugim – burknął Czarnoząb.

– Doprawdy? Co czułeś jako zbieg, kiedy dowiedziałeś się o śmierci matki?

Rozległ się dzwon. Na twarzy Czarnozęba pojawił się nagle uśmiech; mnich wstał z nieskrywaną ulgą.

– No więc?

– Oczywiście, zrobiło mi się smutno. Muszę wracać do pracy, bracie.

– Oczywiście. Za tydzień wrócimy do tej sprawy.

Czarnozębowi coraz mniej podobały się te spotkania. Nie chciał pojednania dokonanego przez brata rekonyliatora, który jego pragnienie odejścia traktował zapewne jako objaw choroby, może nawet szaleństwa. Po drodze do skryptorium postanowił, że nie powie już Levionowi ani słowa o krewnych i dzieciństwie.

Ten mnich nie miał najmniejszego pojęcia o życiu nomadów, do tego stopnia, że rozmowy z nim, miast pojednać Czarnozęba z jego powołaniem, umacniały tylko tęsknotę za życiem, które nigdy nie stało się jego udziałem. Przypomnił sobie, jak matka została chrześcijanką i jak ojciec, który próbował czasem sprawować nad nim władzę przypadającą wujowi, nalegał, by zaczął przygotowywać się do rytów przejścia w wiek męski, choć Czarnoząb wiedział już wtedy, że nigdy się im nie podda. Kościół zabraniał uczestniczenia w obrządkach, które zmieniały wyrostka w pełnoprawnego członka wspólnoty wyznającej kult wojny. Ale przeszedł odpowiednie przeszkolenie i rozumiał częściowo nomadzkiego wojownika i jego bojową gorączkę. Trudno byłoby znaleźć choćby trochę zbliżoną do prawdy odpowiedź na pytanie: „Jaką wiarę wyznają nomadzi?” Wszystko, co robił dziki nomada, było uzasadnione względami religijnymi albo magicznymi. Nie sposób byłoby powiedzieć, co dla niego nie jest religią. Można by sporządzić wykaz składników religii: ceremonie, obyczaje, prawa, magię, medycynę, przepowiednie, tańce, zdarzające się od czasu do czasu rytualne zabójstwa, Puste Niebo, Dzikokonna, zbyt wiele zabrakłoby tu jednak z codzienności. Nawet wypróżniano się według ściśle określonego rytuału.

Pochylił się nad pulpitem i przeczytał raz jeszcze swój ulubiony ustęp z Trwałych wyobrażeń Durena, a potem przerwał lekturę i

zaczął rozmyślać o swojej wizji. Po jakimś czasie do dokonanego przez siebie przekładu ustępu dorzucił przypis:

„Ta koncepcja Dziewicy jako macicznej Ciszy, w którą zapada Słowo i w której jest ono słyszane, jest, jak się zdaje, zbieżna z mistycznymi doznaniem osób pogrążonych w kontemplacji i postrzegających żywe serce Jezusa w mrocznym i pustym sercu Maryi”.

Zawahał się, nie dodał „przypis tłumacza” i pomyślał, że najlepiej będzie podrzeć tę stronicę. Ale w pobliżu stał brat mistrz kopistów, który ilekroć Czarnoząb darł kartkę, napomykał o cenie papieru. „Wróć do tego później” – pomyślał, gdyż w skryptorium zaczęło się robić ciemno, a wolno było mu korzystać tylko z jednej świecy. Tłumiąc poczucie, że dopuścił się moralnego występku, uprzętnął pulpit i odłożył sprawę do jutra.

Rozdział 4

„Poniesie przewidzianą w regule karę [...] ten, kto by się odważył wyjść poza obręb klasztoru lub pójść dokądkolwiek, lub zrobić cokolwiek, choćby całkiem drobnego, bez pozwolenia opata”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział LXVII

Blisko rok po tym, jak w zimnym strumieniu z pstrągami zawiodło serce papieża Linusa VI, podczas burzliwego konklawe wybrano na tron Piotrowy Olavlana kardynała Fortosa, osiemdziesięcioletnia z obszarów na południe od Rzeki Śmiałej, obserwatora gwiazd, uczonego eksperta w dziedzinie wykrywania czarów, człowieka, który uważano za neutralnego w odwiecznej walce o wpływy między Wschodem i Zachodem. Wybrał sobie imię Alabastra II i żył wystarczająco długo, by ogłosić bullę (Ku wieczne-

mu upamiętnieniu materii). Nakazał w niej przenieść zerowy południk, od którego liczy się wszystkie długości geograficzne, z dawnego (i do niedawna niedostępnego) miejsca i poprowadzić go przez sam środek głównego ołtarza Bazyliki Świętego Piotra w Nowym Rzymie, aby został już tam na wieki, wolny od wpływu tej, którą Albaster nazwał Zieloną Jędzą. Wielu pochodzących z obu wybrzeży kontynentu i akredytowanych przy Kurii posłów było temu przeciwnych, albowiem w tym stuleciu szybkiego postępu wielkie, wykonane z drewna okręty znowu zaczęły pływać po morzach i bulla Albastra nie tylko mogła spowodować zamęt w nawigacji, lecz i przyspieszyć nadejście czasu (poprzednio przewidywanego na czterdziesty wiek), kiedy trzeba będzie wykreślić jeden dzień z kalendarza, by dopasować go do obrotów ciał niebieskich. Zarówno Wschód, jak i Zachód dopatrywały się w postanowieniach bulli motywów politycznych, kojarząc ją z zajęciem terytoriów wokół Nowego Rzymu przez armie Hannegana, i Albaster zmarł otruty kilka miesięcy po intronizacji.

Interregnum po jego śmierci trwało 211 dni. W tym czasie setki kardynałów wadziły się między sobą, a lud Valany rzucał kamieniami w powozy kardynalskich sług. W końcu Opatrzność Hoża skłoniła konklawe do wybrania Rupeza kardynała de Lanzora, pochodzącego także z terenów na południe od Rzeki Śmiałej, najstarszego i najbardziej schorowanego z członków Świętego Kolegium. Przybrał imię swojego świętej pamięci poprzednika i został Alabastrem ID, lecz bezzwłocznie odwołał jego bullę (także ad perpetuam rei memoriam), przywracając poprzednie położenie zerowego południka, albowiem uczeni z Zakonu Świętego Leibowitza zapewnili go, że Zielona Jędza nie była miejscem zamieszkałym przez czarownice, lecz po prostu nazwą miasteczka na odległej wyspie, która opustoszała po Potopie Płomieni. I znowu podejrzewano, że kryją się za tym jakieś motywy polityczne. Mieszkańcy Zachodu byli przeciwni tej kolejnej zmianie i starzec zmarł we śnie po zjedzeniu zająca przyrządzonego w winie z oblem i przyprawionego podsmażoną cebulką i liśćmi laurowymi.

Znużeni takim biegiem spraw kardynałowie znowu zjawili się w Valanie. Tym razem bardzo wcześnie padło imię opata Jarada kardynała Kendemina, który, sam o tym nie wiedząc, zebrał

poparcie prawie piętnastu procent elektorów, ale potem rozeszła się pogłoska, że dom Jarad zamierza powiedzieć po wyborze: Non accepto! Te słowa po raz ostatni padły prawie dwa tysiące lat temu, kiedy wypowiedział je ze swej pieczary pustelnika Święty Petrus Murro, późniejszy Celestyn V – daremnie, gdyż zdesperowane Kolegium zawlekło go na tron Piotrowy.

Tym razem konklawe szukało, bez powodzenia, w swym gronie człowieka, którego nie można by podejrzewać o nielojalność zarówno wobec Cesarstwa, jak i wobec valariskiej biurokracji i jej zachodnich sojuszników. Wysłunięto kandydaturę Elii

Kucisawego, gdyż Czerwony Diakon był z zawodu prawnikiem i dyplomata, biegłym negocjatorem, lecz fakt, że był stosunkowo młody, miał reputację człowieka łatwo ulegającego wpływowi, a poza tym nie mógłby przyjąć wyniesienia, póki nie zostałby wyświęcony na księdza i namaszczony na biskupa, przemawiał przeciwko niemu. Tylko dom Jarad, który nigdy nie potrafił ocenić właściwie ludzi, zaproponował przyjacielowi poparcie, które jednak Kucisawy odrzucił.

Jedyna linia telegraficzna na kontynencie biegła z Miasta Hannegana w Teksarku do najdalej wysuniętego na południowy wschód zakątka Republiki Denverskiej. Poprzedni Hannegan, chcąc zdobyć metal na jej budowę, skonfiskował wszystkie miedziaki w Cesarstwie, wszystkie miedziane rondle i wiele dzwonów kościelnych. Linia pomogła zabezpieczyć południowe zdobycze terytorialne przed wypadami wolnych nomadów z północy, teraz zaś była wykorzystywana przez Filipeo Harqę, który chciał mieć najświeższe informacje o przebiegu konklawe i przysyłać instrukcje ze swej stolicy arcybiskupowi Benefezowi i jego sprzymierzeńcom w Świętym Kolegium. Posłaniec Benefeza prawie codziennie jechał konno do terminalu, żeby odebrać pocztę. Jednocześnie inny posłaniec wiózł przesyłki w przeciwnym kierunku. Żaden inny kardynał nie miał tak dobrej łączności ze swoją diecezją.

Ludność Valany znowu zaczęła tracić cierpliwość. Kościół był jedynym źródłem jej utrzymania i mieszczenie żyli z papieskiego wygnania. Uczestnicy konklawe modlili się żarliwie o koniec schizmy, ale w lokalnych Kościołach idea pojednania wcale nie cieszyła się popularnością. Robotnicy codziennie zeskrobywali z

Pałacu Katedralnego rysunki namalowane poprzedniej nocy przez ich współobywateli.

Zacząły się demonstracje. Ludność miasta i sąsiednich osad gromadziła się, by wykrzykiwać niedostępnym i nieustępliwym kardynałom imiona swoich kandydatów. Często słyszało się na ulicach imię miejscowego świętego człowieka, niejakiemu Amena Specklebirda, który cieszył się reputacją uzdrowiciela i sprowadzającego deszcz. Był to dawny kapłan z zakonu Matki Boskiej z Pustyni, człek znany biskupowi Denver, który zmusił go do wyboru między przejściem w stan spoczynku a procesem o herezję.

Na szczęście kardynałowie – pod przewodnictwem Ducha Świętego, a także kierując się świętą trwogą przed tłuszczą i przed mroźną zimą – wybrali w końcu biskupa Denver, przewielebnego Mariona Scullite, który sam nie był członkiem Kolegium, ale dawał przynajmniej gwarancję, że nie doprowadzi do pogorszenia stanu rzeczy. Przybrał imię Linusa VII, sugerujące powrót do polityki papieża, któremu udało się przewyciężyć otwarty rozłam w Kościele – nim wybrał się na ryby do zimnego potoku.

Teraz jednak Linus VII umierał powoli na wyniszczającą chorobę, której nie można było przypisać truciznie (chyba że do spisku przyłączyli się jego siostry i bratankowie zatrudnieni przy kosztowaniu jadła podawanego papieżowi). Po naradzie z papieskim lekarzem Elia kardynał Kucisawy wynajął prywatny powóz bez kościelnych insygniów, opłacił nomadzkiego woźnicę nie znającego skalnogórskiego („Muszę podciągnąć się w dialekcie dzikopsim” – wyjaśnił swojemu asystentowi) i spokojnie ruszył w stronę Południowo-Zachodniej Pustyni, żeby odbyć konferencję z opatem Jaradem kardynałem Kendeminem. Okazało się, że nomadzki woźnica włada biegle kilkoma językami i że mają sobie niejedno do powiedzenia.

Brat Czarnoząb znowu uciekł z klasztoru. Wiedział, że będzie musiał wrócić, ale czasem górę brała w nim dzikość nomadzkiej natury, a wtedy wyrzekał się na kilka dni swych ślubów zakonnych i równowagi umysłowej i pędził gdzie nogi poniosą. Nie uciekał od marnego jadła, twardego łoża i długich, nasyconych nudą godzin, ale od wszechwiedzącej, wszystko widzącej, unicestwiającej poczucie godności władzy swoich przełożonych. Tym razem ukradł garść

monet z biurka przeora, żeby kupić w miasteczku trochę chleba i bukłak na wino. Bukłak napełnił wodą i ruszył na północ. Pierwszego dnia szedł przez otwarty teren, unikając dróg i podróżnych, ze względu jednak na wilki wrócił o zachodzie słońca na uczęszczaną drogę i spędził noc w mnisiej zagrodzie. Było to pozbawione dachu ogrodzenie z kamienia, mierzące trzy kroki w każdą stronę i na tyle wysokie, że żaden wilk nie mógł go przeskoczyć. Wśród graffiti zobaczył łaciński napis, którym witano gości i proszono ich, by wypróżniali się extra muros. Mnisi z jego zakonu budowali takie ostoje wzdłuż dróg, ale potem nikt nie dbał o ich czystość. Przez środek przepływał strumyczek ze źródła na górskim zboczu. Czarnoząb rozpałił ogień, zagotował w garnuszku trochę wody i dorzucił dla smaku kilka palonych fasolek jadalnych. Nim pojawiły się na niebie gwiazdy, zjadł część sucharów i kęs suszonej baraniny. Za kilka dni zacznie głodować. Spał wtulony w kącie, drżąc z zimna, ale przed świtem podsycił ogień.

Był pewien, że – kierując się położeniem słońca – maszeruje równoległe do drogi, od której uciekł o świcie, gdyż ujrzał grupę konnych z długimi strzelbami, dotarł do kanionu i daremnie rozglądał się, szukając miejsca, gdzie mógłby się ukryć. Było późne popołudnie, a ciągle jeszcze nie miał gdzie przytulić na noc głowy. Przy drodze znajdowały się zagrody mnisie, które zabezpieczały przed drapieżnikami – w każdym razie czworonożnymi. Teraz będą go szukać. Wkrótce potem, jak o świcie zalał wodą resztki ogniska, usłyszał konnych nadjeżdżających zza wzgórza, wgramolił się więc nieco wyżej i dalej od krętej ścieżyny i ukrył między głazami, zanim znaleźli się w polu widzenia. Byli to żołnierze. Papiescy gwardziści czy Teksarkowie? Z tej odległości nie potrafił tego ocenić. Nagle poczuł przypływ trwogi i pochylił się niżej. Brat Czarnoząb został jako mały chłopiec zgwałcony przez żołnierzy i pamięć o tym nie przestała go nękać.

Pieszny ruch na drodze był niewielki i na własnych nogach poruszali się po niej zwykle albo mnisi, albo konie kradzi, którym nie dopisało szczęście. Dzisiaj jednak byli to rabusie. Zobaczył ich z daleka. Do zachodu słońca zostało jeszcze dobre półtorej godziny, ale co z tego, skoro nie widział żadnej możliwości pokonania rozciągającej się u jego stóp przepaści. Była w tym momencie

mroczną otchłanią. Musi się jednak oddalić. Na tym obszarze nie obowiązywało żadne prawo – poza prawem Kościoła. Czarnoząb obrócił się tyłem do kanionu i postanowił wdrapać się na Mesę Ostatniego Ratunku.

I właśnie z Mesy Czarnoząb, od czterech dni nieobecny w klasztorze, patrzył na przyjazd Czerwonego Diakona, nie zdając sobie sprawy z tego, że pasażer prywatnego powozu, który wyłonił się po północnej stronie z chmury kurzu i pędził przez Sanly Bowitts ku Opactwu Świętego Leibowitza, ukształtował jego nieszczęsną przeszłość, wyrażając podziw dla przekładu Boedullusa, a jeszcze silniej wpłynie na jego przyszłość.

Kiedy skończyła mu się woda, jął rozglądać się po Ostatnim Ratunku za mitycznym źródelkiem i chatką zamieszkałą niegdyś przez Starego Żyda, pustelnika, który opuścił tę okolicę przed leksarkańskim podbojem. Znalazł zrujnowaną chatkę, ale źródelka czy strumyka – ni śladu. Trudno zresztą byłoby spodziewać się wody tak wysoko nad otaczającą pustynią. Jeden z mitów mówił, że Stary Żyd umiał sprowadzać deszcz, nie potrzebował więc żadnego źródelka. „To prawda – pomyślał Czarnoząb – Mesa jest zieleńsza niż obszar rozciągający się poniżej”. Tkwiła w tym jakaś tajemnica, której nie zdołał rozwikłać. Póki miał jeszcze kroplę wody w bukłaku, modlił się przez większość czasu do Najświętszej Panny albo po prostu siedział owiany suchym wiatrem i gotował się w promieniach słońca i w sosie własnej niegodziwości. Była wczesna wiosna i nad ranem omal nie zamarznął. Pojął wreszcie, że ponieważ strasznie się przeziębził i nie ma wody, musi wrócić i usprawiedliwić się chwilowym szaleństwem.

I teraz oto, trzy dni po tym, jak patrzył na mknący przez miasteczko powóz, drżąc na całym ciele i z kapiącym nosem siedział w mrocznym holu i czekał na wyrok. Od czasu do czasu jakiś mnich albo nowicjusz przechodził spokojnie obok niego, zdążając do biblioteki lub warsztatu, ale Czarnoząb nie poruszył się nawet. Łokcie oparł na kolanach, twarz ukrył w dłoniach; wiedział, że nikt nie raczy choćby skinieniem głowy poświadczyć, że przyjmuje do wiadomości jego istnienie. Z jednym wyjątkiem. Ktoś przeszedł szybko obok niego i przystanął pod drzwiami sali, w której odbywała się narada. Czując na sobie czyjś wzrok, Czarnoząb

podniósł głowę i zobaczył swego dawnego terapeutę, brata rekonyliatora. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Czarnoząb skurczył się wewnętrznie, ale w oczach Leviona nie było ni pogardy, ni litości. Mnich potrząsnął lekko głową i wszedł do środka. Najwyraźniej wezwano go na świadka. To, o czym rozmawiali w celi Leviona, miało być objęte tajemnicą taką samą jak spowiedź, ale Czarnoząb nikomu już nie ufał.

Kardynał Kucisawy prawie natychmiast dowiedział się, że Czarnoząb oddalił się bez pozwolenia, zaraz bowiem po przybyciu poprosił, by przedstawiono mu dokonania młodego mnicha, który tłumaczył Boedullusa na nomadzki, i Jarad musiał wyjawic mu, iż kopista jest coraz bardziej krnąbrny. Niestety Kucisawy, człowiek tak szczerze podziwiający nomadzką wersję Boedullusa, przeczytał na głos swemu woźnicy, którego nomadzkie imię oznaczało Święty (Niedźwiadek) Szał, i swemu sekretarzowi, siwobrodemu księdzu o imieniu e'Laiden, który biegle posługiwał się dzikopsim nomadzkim, fragmenty przekładu Durena i wszyscy trzej odnieśli się do tego dzieła Czarnozęba z pogardą. „Te koncepcje teologiczne są całkowicie obce nomadzkemu umysłowi” – wyjaśnił Kucisawy Jaradowi, nieświadomie wspierając w ten sposób, wbrew przekonaniu Jarada, opinię samego kopisty. Co gorsza, kiedy wczytywali się w dzieło tłumacza, uwagę dom Jarada zwróciły przypisy do Trwałych Wyobrażeń. Czarnoząb ani ich nie usunął, ani nie podpisał swoim imieniem. „Ta koncepcja Dziewicy jako macicznej Ciszy, w którą zapada Słowo i w której jest ono słyszane, jest, jak się zdaje, zbieżna z mistycznymi doznaniem osób pogrążonych w kontemplacji...”

Kucisawy przetłumaczył mu to z powrotem na łacinę. Ci, którzy widzieli tę scenę, uznali, że opat Jarad nigdy jeszcze nie wpadł w taką wściekłość.

A pod drzwiami refektarza strach Czarnozęba zmienił się w irracjonalne przerażenie, kiedy przyszedł stary postulant Wooshin i spokojnie usiadł obok niego na ławie. Burknął pod nosem coś, co mogło uchodzić za pozdrowienie w języku kościelnym, ule z ciężkim tescarkąńskim akcentem (aczkolwiek nigdy nie chciał używać tescarkąńskiego dialektu Ol'zark), i przystąpił do skręcania papierosa. Palenie tytoniu wymagało specjalnego zezwolenia opata

albo przeora. Wooshin był jednak człowiekiem jakich mało. Nie wmawiał nikomu, że ma jakiegokolwiek religijne powołanie, ale status politycznego uchodźcy z Teksarku i biegłość w rzemiośle kowalskim sprawiły, że pomimo swej przeszłości był mile widziany w klasztorze. Uczestniczył w mszach i dostosowywał się do dziennego rytmu nabożeństw, lecz nigdy nie przystępował do Stołu Pańskiego i nikt nie miał nawet pewności, czy ten człek jest chrześcijaninem. Pochodził z zachodniego wybrzeża, miał żółtą, teraz już pomarszczoną skórę i jakiś inny niż wszyscy, dziwny kształt oczu. Ci, którzy bali się go i byli doń niechętnie nastawieni, nazywali go za plecami bratem Toporem. Przez sześć lat pracował jako kat dla obecnego Hannegana, ale potem popadł w niełaskę i musiał, ratując skórę, uciekać na Zachód.

Przez trzy lata pobytu w opactwie wychudł i szybko się zestarzał, ale jego obecność na ławce pod salą posiedzeń sądu wzbudziła irracjonalny popłoch u winowajcy, który skulił się, jakby chciał, stać się niewidoczny. Do tej chwili Czarnoząb najbardziej bał się ekskomuniki, która wiązała się z upośledzeniem w życiu świeckim i utratą praw. Teraz jego myśli skupiły się na wspaniale wyostrzonych nożach kuchennych oraz toporach i kosach, które Wooshin wykonywał dla ogrodników. „Czemuż to, po co, wezwali tego mistrza sztuki zabijania na mój proces?” Dla Czarnozęba stało się rzeczą oczywistą, że Wooshin został tu wezwany zgoła nie w charakterze świadka. Przecież ledwie go zna! Zawsze zastanawiał się, czy głowa spadająca do kosza zachowuje przez tę przelotną chwilę świadomość.

Wooshin dotknął jego ramienia. Czarnoząb podskoczył i jęknął, ale tamten proponował mu tylko garść czystych, drobnych jak bawełna wiórów ze swojej stolarni.

– Wytrzymaj nos.

Minęła chwila, zanim Czarnoząb uzmysłowił sobie, że chodzi po prostu o wytarcie rzadkiego gila, który spływał mu aż na podbródek.

– Okropnie zimna noc na Mesie – powiedział brat Topór, ujawniając, że dobrze wie, gdzie podziewał się uciekinier. Wiedzieli więc wszyscy.

Czarnoząb wziął z wahaniem kłęb i użył go, a potem w podziękowaniu skinął sztywno głową ofiarodawcy, jakby przestrze

gał zakonnej reguły milczenia, co nawet jemu wydało się w tych okolicznościach obłądą.

Wooshin uśmiechnął się. Czarnoząb nabrał śmiałości i zapytał:

– Jesteś tu z mojej przyczyny?

– Nie mam pewności, ale chyba nie. Myślę, że chodzi o wyjazd z kardynałem.

Czarnozębowi nieco ulżyło. Przybrał poprzednią pozycję na ławce. Wydało mu się dziwne, że Topór, który doskonale posługiwał się językiem Ol'zark, nie chciał nim mówić, choć akcent zdradzał go natychmiast, kiedy zaczynał używać mowy kościelnej. Ten ostatni język był dość regularnie używany w opactwie, lecz brat Topór zwykle odchodził, gdy tylko go usłyszał. Jaką korzyść może mieć Elia kardynał Kucisawy albo Kuria z byłego kata, który nienawidził swojego dawnego pracodawcy? Czyżby Kościół wyrzekł się odwiecznej zasady zabraniającej przelewania krwi nieprzyjaciela?

Godzinę później rozległ się dzwon na posiłek wieczorny. Sala posiedzeń znowu zmieniła się w refektarz i trybunał zawiesił na ten czas sesję. Kiedy rząd mnichów przepływał w milczeniu korytarzem, Wooshin wstał i dołączył do nich.

– Nie jesz? – spytał oskarżonego.

Czarnoząb nie poruszył się, potrząsnął tylko w milczeniu głową.

Zanim posiłek dobiegł końca, do drzwi podszedł Levion.

– Brat medyk powiedział, że powinienes coś zjeść.

– Nie. Źle się czuję.

– Co za głupiec – mruknął Levion. – Głupiec i szczęściarz – dodał, przemawiając bardziej do siebie samego niż do siedzącego na ławce mnicha.

Odwrócił się na pięcie i wrócił do refektarza. „Szczęściarz?” Słowo tłuło się po głowie Czarnozęba, nie potrafił jednak znaleźć dla niego żadnego uzasadnienia.

Przez drzwi rozległ się stłumiony głos lektora, a wkrótce potem posiłek dobiegł końca. Mnisi wyszli w milczeniu z refektarza i zostali w nim znowu tylko członkowie trybunału. Tym razem Czarnoząb ośmielił się podnieść wzrok na idących, ale żaden z nich, nawet Strzyżyk i

Śpiwna Krowa, nie raczył na niego spojrzeć. Ostatni zamknął drzwi. Wznowiono postępowanie.

Wkrótce jednak drzwi otworzyły się. Ktoś wyszedł i stanął przed Czarnozębem, który podniósł wzrok i zobaczył piegowate oblicze, siwiejące rude włosy i plamę purpury. Patrzyły na niego niebiesko-zielone oczy. Czarnoząb stęknął, wstał i spróbował przyklęknąć, zginając zdrętwiałą nogę. Zachwiał się i Elia kardynał Kucisawy chwycił go za ramię.

– Eminencjo! – wychrypiał, raz jeszcze próbując złożyć stosowny ukłon.

– Siadaj. Nie wróciłeś jeszcze do zdrowia. Chcę chwilę z tobą porozmawiać.

– Tak jest, panie mój.

Czarnoząb stał nadal, więc kardynał usiadł i pociągnął mnicha za rękaw, powodując, że ten klapnął ciężko na ławkę obok niego.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, masz kłopoty z posłuszeństwem.

– Tak było, panie.

– Czy zawsze?

– Ja... ja nie wiem, panie mój. Tak, chyba tak.

– Zaczęło się to od ucieczki z domu?

– Też myślałem o tym, panie mój. Ale kiedy tu przybyłem, próbowałem być posłuszny. Z początku.

– I nużyła cię wyznaczona ci praca?

– Tak. Nie mam żadnego usprawiedliwienia. Tak jest.

Kardynał zaczął mówić dialektem pasikonikowym z lekkim akcentem dzikokróliczym.

– Powiedziano mi, że władasz biegle w piśmie i mowie kilkoma językami.

– Chyba sobie radzę, Eminencjo, ale słaby jestem w staroangielskim – odparł w tym samym języku Czarnoząb.

– Jak wiesz, co najmniej połowa zasobu słownego większości dzisiejszych dialektów wywodzi się ze staroangielskiego. – Kardynał przeszedł tym razem na skalnogórski. – Sedno sprawy w tym, że zmieniła się wymowa, doszło do stopienia z hiszpańskim, a niektórzy uważają, iż także z mongolskim, zwłaszcza w przypadku nomadzkiego. Ja osobiście mam jednak wątpliwości co do legendy Hordy z Bayring.

Zapadło milczenie. Kardynał zadumał się.

– Jak myślisz, czy potrafiłbyś służyć wiernie jako tłumacz? Nie miałoby to nic wspólnego ze ślęczeniem godzinami przy pulpicie, ale musiałbyś przelewać na papier i tłumaczyć na bieżąco żywe słowo.

Czarnoząb znowu otarł twarz kłębem odpadków, który dostał od Wooshina, i zaczął płakać. Kardynał poczekał, aż mnich wyszłocha się i zapanuje nad uczuciami. To więc miał na myśli Levion, wypowiadając słowo „szczęściarz”.

– Czy sądzisz, że potrafiłbyś okazać posłuszeństwo mnie? Na przykład.

Czarnoząb poczuł dławienie w gardle.

– Czymże jest moja obietnica? Złamałem wszystkie śluby. Poza jednym.

– Czy możesz wyjawić mi, jakiego nie złamałeś?

– Nigdy nie miałem kobiety. Ani mężczyzny. Jako chłopiec zostałem jednak zmuszony do współżycia.

Kiedy wypowiadał te słowa, stanęła mu przed oczyma pełna wyrzutu twarz Torrilda, ale nie wyznał swego grzechu.

Czerwony Diakon roześmiał się.

– A nieczyste czyny w samotności? – Widząc, że twarz Czarnozęba zmieniła się, dodał czym prędzej: – Wybacz, proszę, żart. Pytam, czy chcesz opuścić na zawsze to miejsce?

– Na zawsze?

– No, w każdym razie na długo. I nie możesz spodziewać się, że Zakon zechce przyjąć cię z powrotem, nawet jeśli zapragniesz wrócić.

– Nie mam dokąd iść, panie. Dlatego wróciłem tu z Mesy.

– Twój opat zwolni cię, byś mógł pojechać ze mną do Valany, musisz jednak obiecać posłuszeństwo. Obiecać z pełnym przekonaniem. Nie możesz na razie zrzucić zakonnej sukni. Będziesz moim sługą.

I znowu w oczach kopisty pojawiły się łzy.

– No więc? – nalegał kardynał. – Teraz albo nigdy.

– Przysięgam – wykrztusił mnich – że uczynię co w mej mocy, żeby okazywać ci posłuszeństwo.

Kucisawy wstał.

– Przykro mi. Jak mam niby rozumieć owo „uczynię co w mej mocy”? Nie może być mowy o pozostawieniu ci w tej sprawie swobody. Ta obietnica jest ułomna. Nie, nic z tego.

Ruszył w stronę drzwi refektarza. Czarnoząb padł na posadzkę i poczołgał się za nim. Chwycił kardynała za kraj sukni.

– Przysięgam przed Bogiem – sapał. – Niechaj Matka Najświętsza opuści mnie, niechaj spadnie na mą głowę przekleństwo świętych, jeśli cię zawiodę. Przyrzekam posłuszeństwo, panie mój, przyrzekam z całego serca!

Kardynał przyglądał się mu przez chwilę z pogardą.

– No dobrze, wstań i chodź za mną, bracie Lizusie. Tędy, podaj mi ramię. Drzwiami! Spójrz im w oczy, Czarnoząb. Teraz.

Trawiony gorączką i oszołomiony mnich wszedł do refektarza, zrobił kilka kroków w stronę stołu, za którym siedział opat, i zemdlał.

Odzyskując zmysły, usłyszał czyjś głos:

– Daj mu to, ojczy, kiedy przyjdzie do siebie.

Był to głos brata chirurga.

– Dobrze, idź zająć się drugim pacjentem – rozkazał przeor Olshuen.

– Jestem przytomny – oznajmił Czarnoząb i usiadł.

Był jedynym pacjentem w trzyłożkowej infirmerii. Brat chirurg podszedł z powrotem do jego łóżka, dotknął czoła chorego i podał mu szklanekę mleczno-zielonkawego płynu.

– Co to?

– Kora wierzby, tynktura z liści konopnych, sok z maku, spirytus. Twoja choroba nie jest zbyt ciężka. Jutro, jeśli zechcesz, będziesz mógł wrócić do celi.

– Nie – powiedział przeor. – Musisz postawić go na nogi, żeby mógł za trzy dni wyjechać. W przeciwnym razie będziemy go mieli na głowie aż do następnego etapu do Valany. – Obrócił się do Czarnozęba i ciągnął lodowatym tonem: – Będziesz tu zamknięty. Posiłki będą ci przynosić. Masz nie odzywać się do nikogo nie pytany. Jeśli któryś z braci zachoruje i trzeba go będzie tu położyć, wrócisz do swej celi. Opuszczając nas, zabierzesz ze sobą brewiarz, różaniec, przybory toaletowe, sandały i pled, ale przywdziejiesz habit nowicjusza. Pozostaniesz przez nieograniczony czas pod

pieczę swojego dobroczyńcy, kardynała Kucisawego, któremu zawdzięczasz to, żeś nie został obłożony interdyktem i wypędzony. Czy to jasne?

Czarnoząb spojrział na człowieka, który był mu nauczycielem i protektorem w czasach młodości, i skinął potwierdzająco głową.

– Czy masz coś jeszcze do powiedzenia?

– Chciałbym się wyspowiadać. Przeor zmarszczył brwi i przez chwilę wydawało się, że potrząśnie przecząco głową, ale potem powiedział:

– Poczekaj, aż przestanie działać lekarstwo. Zapytam dom Jarada.

– Czy możesz udzielić mi błogosławieństwa? – wyszeptał omdlewającym głosem Czarnoząb.

Olshuen stał przez moment zły i pełen wahania, ale potem wymamrotał:

– Benedicat te, omnipotens Deus, Pater et Filius et Spiritus Sanctus.

Nakreślił w powietrzu mały znak krzyża i wyszedł.

Rozdział 5

Jeśli jednak i to go nie uleczy, wówczas już opat sięgnie po miecz i odetnie tak, jak mówi to Apostoł: «Jeśli niewierny chce odejść, niech odejdzie* (1 Kor 7,15), aby jedna chora owca nie zaraziła całej trzody”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział XXVII

Czarnoząb opuścił w końcu celę, żegnany wzgardliwymi spojrzeniami swoich byłych już konfratrów. Niosąc mały węzełek, zszedł na zalany słońcem dziedziniec, gdzie przygotowywano do podróży powóz Czerwonego Diakona. Kiedy pomagał woźnicy przywiązać swój mały dobytek na dachu powozu, usłyszał głos

niewidocznego Śpiewnej Krowy, który rozmawiał z pracującym w bibliotece nowo przybyłym postulantem.

– Ręczę, że najpierw próbował perswazji – wyjaśniał niegdysiejszy przyjaciel Czarnozęba. – Kiedy zaś ta zawiodła, uciekł się do przemocy. Kiedy zaś przemoc zawiodła, popadł w sodomie. Wiem o tym od naocznego świadka. Ale nie pomogła mu ni sodomia, ni kradzież, ni

ucieczka. Dodał więc głoszę do kopii czcigodnego Boedullusa.

– Bez podania swego imienia? – szepnął z przejęciem pomocnik biblioteczny.

– Nikczemność, prawda? – rzucił Śpiewna Krowa.

– To nie był Boedullus! – ryknął Czarnoząb. – To tylko Dureń!

Czarnoząb siedział obok woźnicy, kiedy jechali wyboistą północną drogą w stronę przełęczy. Ani razu nie obejrzał się na

opactwo. Był z nimi Topór, który albo zasiadał na koźle, kiedy Święty Szał jechał na kardynalskim koniu, albo jechał w środku, kiedy kardynał zapragnął konnej przejażdżki. Obaj, i Woosihin, i nomada, traktowali mnicha-zakałę uprzejmie, ale on sam starał się jak najmniej rozmawiać z Kucisawym i jego duchownym towarzyszem.

Pewnego ranka, po trzech dniach podróży Wooshin powiedział:

– Ukrywasz się przed kardynałem. Czemu odeń stronisz? Wiesz, że ocalił ci głowę. Opat ukreśliłby ją jak kurczęciu, gdyby nie kardynał. Czemu się go lękasz?

Czarnoząb jął zaprzeczać, ale spojrzał w głąb swej duszy i przyznał Wooshinowi rację. Kucisawy reprezentował w jego oczach autorytet Kościoła, tak jak przedtem dom Jarad, a Czarnoząb miał już po dziurki w nosie posłuszeństwa. Przyrzekł raz jeszcze, żeby uratować swą skórę. Musi jednak oddzielić człowieka od urzędu, jaki ten sprawuje. Po wysłuchaniu tej uwagi Wooshina przestał kryć się przed swoim wybawcą i wymieniał z nim rankiem uprzejme pozdrowienia. Kardynał wiedział jednak, że mnich czuje się nieswojo, i przez większość podróży udawał, że nie zwraca na niego uwagi.

Czasem Wooshin i nomada staczali dla rozrywki zapaśnicze walki albo pojedynkowali się na kije. Nomada nazywał go Toporem, na co nie ważył się nikt w opactwie, a Wooshin akceptował to

przezwisko, jeśli tylko nie było poprzedzone słówkiem „brat”. Mimo podeszłego już wieku i wątlej z wyglądu postaci, Topór zawsze wychodził zwycięsko z tych zapasów przy świetle ogniska i nomada robił przy nim wrażenie tak niezdarne, że Czarnoząb zgodził się któregoś razu na szermierkę na kije z woźnicą. Ale ten nie był wcale takim niezdarą i zdzielił go sześć razy, a w końcu spowodował, że Czarnoząb klapnął na rozżarzone węgle ku uciechu Wooshina i kardynała.

– Powinieneś zacząć pobierać nauki u Wooshina – oznajmił Kucisawy. – Może się zdarzyć, że w Yalanie będziesz musiał się bronić. Żyłeś w zamknięciu i stałeś się miękki. W zamian pomożesz mu pozbyć się obcego akcentu, kiedy kaleczy jego skalnogórski.

Czarnoząb zaprotestował grzecznie, ale kardynał nalegał. Zaczęły się więc lekcje szermierki i języka.

– Jesteś gotów na śmierć? – pytał radosnym głosem Topór na początku każdej lekcji. To samo pytanie zadawał zawsze swoim „klientom”.

Potem prowadzili długie rozmowy w języku skalistogórskim.

Czarnoząb najlepiej czuł się jednak w towarzystwie Świętego (Niedźwiadka) Szału, którego zaliczył do sług bez określonej rangi i statusu. Połączyło ich coś w rodzaju przyjaźni.

Woźnica nosił nomadzkie imię Chiir (Osie) Hpngan. Zwracając się do Czarnozęba, używał słowa Nimmy, co po nomadzku oznacza z grubsza tyle co „dzieciak”, a więc kogoś, kto nie przeszedł jeszcze rytuałów inicjacji i nie jest w pełni mężczyzną. Mnich był niewiele młodszy od Świętego Szału, ale nie obrażał się. „Ma rację – myślał. – Jestem trzydziestopięcioletnim wyrostkiem”. Uświadomił mu to opat. Jeśli chodzi o znajomość świata, był jak ktoś, kto od dzieciństwa przebywał w więzieniu. Teraz bał się jednak nieznannej przyszłości i tęsknił już za więzieniem.

Życie w klasztorze w gruncie rzeczy nie składało się jedynie z modlitwy, pracy i płaszczenia się przed przełożonymi, jak sobie wmawiał. Robił tam rzeczy, które lubił. Lubiał oficjalną modlitwę Kościoła. Dobrze śpiewał i chociaż starał się dołączyć swój głos do chóru, jego czysty tenor wybijał się ponad inne, zanikając, kiedy śpiewający dzielili się na dwie grupy, które intonowały starodawne psalmy, prowadząc dialog versus – responsum. Odczuwano brak

Czarnozęba w chórze. Zdarzyło się trzykroć, że kiedy w opactwie zjawili się znaczni goście, Czarnoząb śpiewał na rozkaz opata solo – raz w kościele, dwa razy podczas wieczerzy. W refektarzu śpiewał nomadzkie pieśni z własnymi upiększeniami zaczerpniętymi z dziecięcych wspomnień. Tłumił poczucie dumy, ale szatan w jego duszy podbechtywał go. Wykonał strunowy instrument podobny do tego, który podarował mu kiedyś ojciec. Ukrył jego nomadzkie pochodzenie, nazywając go chitarą, tego bowiem instrumentu używał król Dawid, ale wymawiał to słowa „g'tara”. G'tara znalazła się w szczupłym dobytku, który zabrał ze sobą z opactwa, i kiedy Kucisawy dosiadał konia, mniszek brzdąkał czasem w struny. Jak ognia wystrzegał się wszystkiego, co mogłoby ośmieszyć go w oczach opiekuna, i sam zastanawiał się, skąd wziął się w nim ten strach.

Granice tej części terytorium, do której roszczono sobie prawo jako do wojennej zdobyczy wcielonej do Prowincji Teksarkańskiej, nie były jasno wytyczone i cały ten obszar między źródłami rzek Bajdos i Nady Ann oraz górami na zachodzie był ziemią niczyją. Żywe było tu wspomnienie ospale prowadzonej wojny pomiędzy ubogim szczepami uciekinierów z Pasikonika, które nie chciały pracować na roli, nomadzkimi wykrotnikami, też przeważnie ucieknierami z Pasikonika, i teksarkańską kawalerią wspieraną czasem przez wojenne gromady Dzikich Psów ścigające grasantów. Świta kardynała trzymała się przezornie skraju tego terytorium, gdyż Kucisawy twierdził, nie wdając się jednak w wyjaśnienia, że góry, a już zwłaszcza mokre i żyzne pasmo Ssamiećto, są doskonale bronione przez wygnańców ze Wschodu, którzy nie mają nic wspólnego z nomadami. Wiadomo też, że nomadowie czuli zabobonny lęk przed górami i trzymali się z daleka od ich szczytów. Szlak wiódł pogórzem i noce były chłodne. Widziało się tu jednak znacznie więcej życia niż na pustyni. Najpierw napotykali z rzadka końskie jabłonie i karłowate dęby, im dalej się jednak posuwali, tym obfitsza i bardziej wybujała stawała się flora. Pozbawione o tej porze roku liści topole, wierzby i katalpy rosły bujnie nad łożyskami potoków, a wysoko na okrytych śniegiem zboczach można było wypatrzeć pnie potężnych drzew iglastych obciążonych śnieżnymi czapami. Musieli pokonywać liczne strumienie, z których jedne

płynęły na wschód, tocząc ścięte po brzegach lodem wody, inne zaś były wypłukanymi łóżyskami i napełniały się jedynie podczas gwałtownego przyboru wód. Na suchych obszarach ciągnących się ku wschodowi pozostaną tylko największe rzeczki i nawet małe dzieci brodzą w tym, co zostaje z całorocznych opadów, nie mocząc sobie kolan.

Kiedy jadąc tak na północ, znaleźli się nieco wyżej, zaczął padać leciutki śnieg. Nomada wskoczył na ogiera i pojechał zbadać boczne szlaki. Wrócił przed wieczorem i oznajmił, że widział jakieś opuszczone zabudowania w odległości niecałej godziny jazdy od głównej drogi. Zjechali więc z papieskiej drogi i po przejechaniu paru mil wyboistym bocznym traktem dotarli do osady byle jak skleconych chałup. Kilkoro piegowatych dzieci uciekło do domów, a z nimi pies o dwóch ogonach. Kucisawy spojrział pytająco na Chiira Hpngana.

– Kiedy tu przyjechałem, nie było nikogo – zapewnił Święty Szał.

– Zobaczyli nomadę i uciekli – powiedział z uśmiechem Czerwony Diakon.

Z którejś z chat wyszła kobieta. Jedno jej oko było wielkie i niebieskie, drugie – małe i czerwone. Zbliżała się, wysuwając w ich kierunku dzidę i obnażając zęby. Tuż za nią kuśtykał garbus z muszkietem w ręku. Czarnoząb wiedział, że kardynał ma dobrze ukryty w obiciu ławeczki pistolet, ale nie sięgnął po niego. Przyglądał się tym ludziom, którzy nie robili wrażenia groźnych przeciwników.

– Genoki! – stęknął ksiądz e'Laiden, który właśnie obudził się z miłej drzemki w powozie.

W jego głosie nie było pogardy, ale nie powinien wypowiadać w tym momencie tego słowa.

Była to najwyraźniej mała kolonia upośledzonych genetycznie, genoków, uciekinierów z przeludnionej Doliny Wybryków Natury, zwanej teraz Państwem Watchitah, odkąd zostały ustalone traktatowo granice. Na całym kontynencie spotykało się enklawy takich uchodźców, którzy zwykle prowadzili obronną wojnę z obcymi. Garbus uniósł muszkiet i wycelował go najpierw w Chiira Hpngana, który siedział na koźle, potem w Czarnozęba.

- Obaj złązić! Ci w środku też! - zaskowyczał głos kobiety dolinną, jak się należało spodziewać, wersją dialektu Ol'zark.

Czarnoząb wyczuł, że ta kobieta jest niebezpieczna jak smagnięty biczem kundel. Miał w nozdrzach zapach strachu.

Wszyscy wykonali rozkaz, poza Toporem, który gdzieś przepadł. Jeszcze przed chwilą jechał na koniu Kucisawego. Kobieta krzyknęła i pojawiła się jasnowłosa dziewczyna, która zrewidowała podróżnych, szukając broni. Była miła z wyglądu, złotowłosa, nie miała żadnych widocznych ułomności i Czarnoząb zaczerwienił się, kiedy poczuł na ciele dotyk jej delikatnych dłoni. Zauważyła jego rumieniec, zaśmiała mu się prosto w twarz, przysunęła się bliżej, chwyciła i ścisnęła mu członek, a potem odskoczyła z różańcem w rękę. Kobieta zawołała do niej gniewnym głosem, ale dziewczyna zdołała ukryć paciorki. Czarnoząb był prawie pewien, że dziewczyna jest mamidłem, to znaczy urodzonym w Dolinie genokiem, który uchodzi za normalną istotę.

Przypomniał sobie opowieści o wilkołakach, zboczeńcach, maniakałnych mordercach

wśród genoków. Niektóre z tych opowieści były plugawymi dowcipami, ale większość była wytworem wyobraźni bigotów. Kiedy słuchał tych historii, czuł zawstydzienie, ale teraz, mając przed sobą te groźne postacie, zdał sobie sprawę, że być może niektóre są prawdziwe. Niczego nie można wykluczyć.

W końcu Kucisawy poruszył się, wysiadł z powozu i majestatycznym ruchem nałożył na głowę czerwoną kardynalską piuskę.

- Jesteśmy duchownymi z Valany, moje dzieci. Nie mamy broni. Szukamy schronienia przed kapryсами pogody i gotowi jesteśmy zapłacić wam dobrze za dach nad głową i palenisko.

Zdawało się, że stara kobieta nie usłyszała ani słowa z tej przemowy.

- Wyrzuć na ziemię wszystkie bagaże ze środka i z dachu! - rozkazała ostrym tonem dziewczynie.

Kardynał obrócił się do jasnowłosej młódki.

- Wiesz, kim jestem, i ja wiem, kim jesteś ty. Jestem Elia Kucisawy z Sekretariatu.

Potrząsnęła głową.

– Nie poznaliśmy się, ale słyszałaś o mnie.

– Nie wierzę ci – powiedziała.

– Nuże! – wrzasnęła stara.

Dziewczyna weszła do środka i zaczęła wyrzucać ubrania i inne przedmioty, między innymi gitarę Czarnozęba. W pewnym momencie wystawiła głowę na zewnątrz.

– Książki? – zapytała.

– Też.

Czarnoząb pomyślał, że teraz przyjdzie kolej na pistolet Kucisawego, i zaczął zastanawiać się, dlaczego kardynał z takim naciskiem powtarzał, że dziewczyna musiała o nim słyszeć. Nie miał zwyczaju zadzierać nosa, nie był egocentrykiem, który spodziewa się, że każdy go rozpozna. Kardynał wzruszył ramionami i przestał protestować. Dziewczyna najwyraźniej nie znalazła pistoletu.

Nagle od strony największej chaty dobiegł stłumiony okrzyk. Zniekształcona kobieta obejrzała się. W drzwiach ukazał się jakiś siwowłosy starzec o pokrytej cętkami skórze. Za nim stał Wooshin, wciskając przedramię w gardło mężczyzny. Topór potrafił stać się prawie niewidzialny. Obszedł dokoła wioskę i wśliznął się do niej od tyłu, a teraz podniósł wysoko swój krótki miecz. Najwyraźniej pochwycił wodza wioski, gdyż kobieta i garbus natychmiast rzucili broń na ziemię.

– Nie zabieraj im niczego, Linuro – skarcił ją starzec. – Co innego zabrać im broń, ale...

Przerwał, gdyż Wooshin potrząsnął nim i podniósł wyżej miecz.

Kobieta padła na kolana. Dziewczyna dokądś pobiegła i po chwili wróciła z widłami. Skoczyła za Kucisawego i przystawiła mu widły do pleców.

– Mój ojciec za waszego kapłana – krzyknęła w stronę kata.

– Odłóż miecz, Wooshinie – rozkazał Kucisawy i obrócił się do dziewczyny.

Wcisnęła mu lekko widły w brzuch i ostrzegawczo obnażyła zaciśnięte zęby.

– Czy nie jesteście dziećmi papieża? – spytał kardynał. Użył dawnego eufemizmu na określenie mutantów. Obrócił się dokoła z szeroko rozłożonymi ramionami, zaglądając im kolejno w twarze. – Skrzywdzilibyście sługi Chrystusa i waszego papieża?

– Co za wstyd, Linuro, co za wstyd Edreo! – huknął starzec. – Doprowadzicie w końcu do tego, że pozabijają nas albo przepędzą z powrotem do Watchitah! – Obrócił się do dziewczyny. – Edreo, odłóż to. Zajmij się ich końmi, a potem przynieś nam piwo. Rusz się!

Starucha spuściła głowę.

– Chciałam tylko poszukać broni w ich bagażach.

– Shin, odłóż miecz – powtórzył kardynał.

– Oddaj mi różaniec i g'tarę – powiedział Czarnoząb do dziewczyny, ta jednak nie zwróciła na niego uwagi.

Starzec podszedł, żeby pocałować pierścień Czerwonego Diakona, a ponieważ kardynał nie miał go na palcu, pocałował jego dłoń.

– Nazywają mnie Shard. To także nasze nazwisko rodowe. Z radością będę cię gościł pod moim dachem, póki nie przestanie padać śnieg. Nie mamy w tej chwili, po zimie, zbyt wiele do jedzenia, ale być może Edrea zabije sarnę.

Obrócił się do starej i uniósł rękę, jakby chciał dać jej szturchańca. Starucha oddała muszkiet dziewczynie i szybko odeszła.

– Mamy kukurydzę, fasolę i mnisi ser – oznajmił Kucisawy. – Podzielimy się z wami. Jutro jest środa popielcowa, nie potrzebujemy więc mięsa. Dwaj z nas mogą spać w powozie. Brezent zasłoni ich przed zimnym wiatrem. Dziękujemy ci i zapewniamy, że będziemy się modlić, by pogoda pozwoliła nam jak najszybciej odjechać.

– Wybacz, proszę, nieprzyjazne powitanie – powiedział cętkowany. – Często pojawiają się tu małe bandy nomadów, pijaków albo wykrotników. Większość z nich jest przesądna i boi się flagi. – Wskazał żółto-zielony proporzec powiewający na szczycie dachu. Były na nim klucze Piotrowe i pierścień siedmiu dłoni. Ta flaga, świadectwo papieskiej ochrony, stała się znakiem Państwa Watchitah. – Ci, którzy się nie boją, szybko dostrzegają, że nie mamy nic wartościowego poza dziewczyną, i zostawiają nas w spokoju, ale moja siostra nikomu nie ufa. Nie dalej jak trzy dni temu przybyli tu agenci Teksarku podający się za kapłanów. Wiedzieliśmy, że przysłano ich, by nas szpiegowali, byliśmy więc bardzo ostrożni.

– I co się stało?

- Chcieli dowiedzieć się, ilu nas żyje wśród tych wzgórz. Zapewniłem, że tylko jedna rodzina, która osiedliła się nieco wyżej, kwadrans drogi stąd. Radziłem, żeby tam nie szli, mówiłem, że chłopiec-niedźwiedź jest bardzo niebezpieczny, ale się uparli. Godzinę później wróciło już tylko dwóch. Chcieli jak najszybciej opuścić to miejsce.

- Naprawdę myślisz, że Hannegan ścigałby uciekinierów z Doliny tak daleko od granic Cesarstwa?

- Wiemy to. Niejednego zabito nieco tylko bliżej granic Prowincji. Filipeo Harq wykorzystuje nienawiść ludzi do genoków i nazywa nas zbrodniarzami, gdyż chcemy wydostać się z Doliny. Paru jego strażników straciło życie.

Kiedy wyprzęgano konie, Czarnoząb zauważył w zagrodzie koło stodoły dwie krowy o długiej sierści. Nie były to zwykłe zwierzęta hodowlane, robiły raczej wrażenie bydła nomadów. Ale krowy nomadów dawno już połamałyby racicami deski ogrodzenia, doszedł więc do wniosku, że muszą to być krzyżówki. Albo zwierzęce genoki – jak ich właściciele. Nawiasem mówiąc, bydło nomadów pochodziło zapewne od kilku udanych wybryków natury. Czasem, choć bardzo rzadko, okazywało się, że jakiś z pozoru potwór, człowiek albo zwierzę, przejawia szczególne cechy ułatwiające walkę o byt.

Początek nie był zachęcający, ale potem gospodarze okazali więcej gościnności. Garbus najwyraźniej nie należał do rodu Sharda, gdyż przepadł bez śladu. Wkrótce Edrea wróciła z zabitym jelonkiem. Przyniosła do domu kubek jego krwi i podsunęła Chirowi Hpnganowi, który patrzył nań w milczeniu z lodowatym wyrazem twarzy.

Kardynał wybuchnął tak gwałtownym śmiechem, że aż poczerwieniał na twarzy. Nomada spojrzał na niego i Kucisawy zasłonił usta dłonią. Hpngan parsknął, zwracając się w jego stronę, i wziął kubek od dziewczyny. Burknął coś do niej, zmarszczył brwi i wypił krew jednym haustem. Przejęta grozą dziewczyna zrobiła krok do tyłu. Czerwony Diakon znowu wybuchnął śmiechem i po chwili wszyscy, poza Edreą, której twarz oblał rumieniec, śmiali się do rozpuku.

- Przecież nomadzi piją krew – powiedziała.

Wyszła, żeby oprawić jelonka.

– Niektórzy – rzucił Święty Szał. – Podczas uroczystości.

Po zjedzeniu wieczorem delikatnej jak cielęcina dziczyzny z czarnym chlebem i groszkiem oraz popiciu tego jądła paroma czarkami mętneho domowego piwa, zasiedli ciasno wokół paleniska w domu Sharda i zaczęli pogawędkę. Zabrakło wśród nich tylko nomady. Oznajmił, że słabo radzi sobie z dialektem Ol'zark, wziął tobołek ze swoimi pledami i poszedł położyć się w powozie, gdyż przegrał, kiedy ciągnęli losy o legowisko w domu. Drugim przegranym był Czarnoząb, który ucieszył się, że będzie spał z dala od kata, kardynała, szalonego księdza i kilkorga cudaków, a przede wszystkim tej ładniutkiej i zjadliwej jaszczurki.

Wszyscy znali Ol'zark, kiedy jednak Shard zadał jakieś pytanie Wooshinowi, ten odpowiedział łamanym kościelnym.

Ponieważ powtórzyło się to trzy razy, Kucisawy obrócił się w końcu do kata i powiedział:

– Wooshinie, używaj języka naszych gospodarzy. A tym językiem jest dolinna mowa Ol'zark, którą posługuje się naród Watchitah.

Topór najeżył się i wbił wzrok w Kucisawego, który patrzył na niego bez mrugnięcia powieką.

– Mowa dolinna jest językiem naszych gospodarzy – powtórzył kardynał.

Wooshin spuścił wzrok. W izbie zapanowała grobowa cisza.

Po chwili były kat podniósł wzrok i powiedział nieskazitelnym teksarkańskim: – Cny prostaczku, oto odpowiedź na twoje pytanie: moim rzemiosłem było żeglowanie i wojaczka. Ale w późniejszych latach ścinałem głowy w służbie naczelnika Teksarku.

– A jak się stało, że tak nisko upadłeś, mości panie – rozległ się wątyły głosik Pdrei.

Wooshin spojrział na nią bez śladu gniewu.

– Nie upadłem i nie wstałem–odparł z okropnym akcentem w języku kościelnym, ale zaraz przeszedł na jej język. – Śmierć jest rzemiosłem wojownika, dziewczyno. Nic w tym honorowego czy haniebnego. Takie jest rzemiosło wojownika.

– Ale robić coś takiego dla Hannegana?

Wooshin miał zwykle wyraz twarzy odprężony, ale czujny; był zawsze gotów do uśmiechu, miał zmarszczki w kącikach oczu, które patrzyły wesoło, lecz badawczo. Teraz jednak jego twarz ściała lodowaty, martwy chłód. Nie spuszczać wzroku z Edrei, dźwignął się powoli na nogi i złożył jej ukłon. Czarnoząb poczuł mrowienie na karku.

Topór spojrział na Czerwonego Diakona, jakby chciał powiedzieć: „Spójrz, coś ze mnie uczynił!”, i poszedł, znikając w ciemnościach. Wtedy to po raz ostatni zdarzyło się, że stary zabójca nie chciał mówić językiem Ol’zark, ale Czarnoząb zauważył, że kiedy posługiwał się tą mową, zawsze naśladował akcent Sharda i nazywał to mową dolinną. Podczas całego pobytu w tym miejscu traktował Edreę niezwykle uprzejmie. Bez wątpienia była w tym gorycz skmchy – czego jednak żałował, Czarnoząb nie był wcale pewien.

Po dwóch dniach przerywanych opadów lekkiego śniegu zostali jeszcze w Łukowej Kotlinie, jak nazywał to miejsce Shard, przez sześć kolejnych. Chiir Hpngan większość tego czasu spędził na koniu, badając warunki panujące na szlaku. Także Wooshin gdzieś zniknął, ale nie zdawał nikomu sprawy ze swoich wędrówek – zapewne poza kardynałem, ale w sekrecie. Wydawało się, że najlepiej będzie, jeśli poczekają, aż na niedalekie szlaki wróci normalny ruch.

Drugiego wieczoru siedzieli wokół ognia płonącego pośrodku domu Sharda. Kucisawy próbował, nie zadając zbyt wielu pytań, dowiedzieć się czegoś o dziejach rodziny. Dzięki jego umiejętności prowadzenia rozmowy Shard wkrótce opowiedział o przygodach rodu od czasu głodu i opuszczenia Doliny. Dziesięć lat temu doszło do próby masowej ucieczki. Teksarkańskie wojsko dopadło i zabiło co najmniej dwie setki uciekających przez las i w górę łożysk strumieni na drugą stronę grzbietu. Dwa razy więcej zdołało wymknąć się żołnierzom, którzy mieli chronić Państwo Watchitah przed napastnikami i zapobiec ucieczkom genoków. Dolina była czymś więcej niż tylko doliną; była domem małego narodu, który zachował nazwę miejsca swego pochodzenia sprzed podboju. Nikt nie robił spisów, ale Shard napomknął o ćwierci miliona ludzi, co sprawiło, że Kucisawy uniósł wysoko brwi. Zwykle mówiło się raczej o pięćdziesięciu tysiącach.

- Wszystkie drogi dochodzące do Watchitah są doskonale strzeżone przez Hannegana, ale patrole nie mogą poradzić sobie z jednoczesną ucieczką takiej masy - powiedział Shard. - Prawdopodobnie połowa poległych została zabita przez wojsko, a reszta padła ofiarą farmerskich linczów. Oczywiście Aidrea mogła uciec, udając, że jest normalna, i zostać mamidłem. Ale moja córka jest bardzo dzielna i nie opuściła nas. Mamidła są najbardziej znienawidzone i budzą największy lęk. Mogą poślubić jakiegoś niczego nie podejrzewającego normalnego i przekazać swe upośledzenie, wydając na świat potwora.

- Czy tubylcy was nie nękają? - zaciekał się Kucisawy.

- Mam wrażenie, że w tych stronach nie ma żadnego prawa.

- Nie było i w dalszym ciągu prawie go nie ma. Najbliższe miasto jest dwa dni drogi stąd. Poza zimą co miesiąc odwiedza nas kapłan. Miastem rządzi dwóch ludzi, ksiądz i baron. Nie było żadnych konfliktów. Tylko Edrea wyprawia się do miasta. Oczywiście przepasuje wtedy głowę zieloną wstęgą. Znajdujemy się na południe od Republiki Denver, ale Kościół cieszy się tu większym szacunkiem niż w Cesarstwie. Papieska droga szybkiego ruchu jest oczywiście patrolowana. Mimo to pojawiają się czasem wykrotnicy, ale ci szukają wędrownych kupców. My nie mamy niczego, co zachęcałoby do rabunku.

- Czy mieszka was w pobliżu więcej?

- Widziałeś garbusa, Cortusa. Jego rodzina osiadła najbliżej nas. Ale jedyną mieszkającą wyżej niż my jest ta z chłopcem-niedźwiedziem.

- Shardzie, kieruję Sekretariatem do Nadzwyczajnych Spraw Kościoła.

Starzec spojrzał na niego podejrzliwie.

- Jeśli tak jest naprawdę, nie musisz zadawać tego rodzaju pytań.

Mnich wyczuł w izbie napięcie graniczące z wrogością, ale przeczekał je w milczeniu. Stało się jasne, że Shard kłamie w sprawie obecności w tej okolicy innych genoków.

Po umyciu w śniegu naczyń Linura weszła do środka i usiadła obok brata, ale troszeczkę z tyłu. Zaraz potem zjawiała się Edrea, która opadła ze skrzyżowanymi nogami na ziemię obok Czarnozęba.

Zaczął poruszać się niespokojnie, z pewnym trudem chwycił tok rozmowy. Chciał, żeby oddała mu różaniec.

Zapach dziewczyny drażnił mu nozdrza. Jej kolana błyszcząły w blasku ognia. Zauważyła jego spojrzenie i naciągnęła sobie na nogi pled, ale uśmiechnęła się przelotnie, patrząc mu w oczy, by zaraz skupić się na rozmowie. Przypomniał sobie, że to pełne skromności stworzenie chwyciło go podczas pierwszego spotkania za penisa, i trącił ją łokciem.

– Różaniec! – syknął ze złością.

Zachichotała i oddała mu kuksańca.

– Często zastanawiałem się nad życiem w Dolinie – mówił w tym momencie Czerwony Diakon.

– Więcej tam śmierci niż życia, dostojny kardynale – odparł Shard. – Niewielu podejmuje ryzyko płodzenia. Normalny poród jest rzadkością. Większość umiera. Inni są zbyt słabi, by pragnąć żyć. Gdyby nie napływ z zewnątrz, Watchitah szybko by opustoszało.

– Napływ? Skąd?

– Sam wiesz, panie.

Kucisawy skinął głową. Wielu ludzi z zarejestrowanym rodowodem płodzi przekłete potomstwo. Nie chcąc utracić tej rejestracji w urzędzie prowadzącym tego rodzaju dokumentację, ludzie, którzy nie lękają się Kościoła, zabijają swoje zniekształcone dzieci. Często się jednak zdarzało, że ułomność dało się przez jakiś czas ukrywać, i pobożni posyłali podrośniętych już potomków do Doliny. Zwykle przynosili je mnisi albo zakonnice. Ludzie mieszkający w sąsiedztwie Watchitah nienawidzili mieszkańców Doliny i bali się ich, a już szczególnie tych, którzy wyglądem przypominali normalnych. Czarnoząb zauważył, że wszyscy wbili wzrok w Edreę.

– Wybacz mi, córko – szepnął Kucisawy, kiedy spotkały się ich spojrzenia.

– Nie lubię o tym mówić – powiedział Shard – ale patrole strzegące przełęczy są zarówno naszymi obrońcami, jak i strażnikami więzienia. i nie kiwną nawet palcem, kiedy nadchodzi klęska głodu.

– A Kościół? – spytał Czerwony Diakon. – Zbyt jest zaprzątnięty schizmą, by komukolwiek służyć pomocą.

– No cóż, byliśmy oczywiście odcięci od papieskiego wsparcia, ale arcybiskup Teksarku przysłał nam trochę żywności. Uważam, że nie jest człowiekiem złym, tylko pewnie bezsilnym.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, do jakiego stopnia kardynał arcybiskup Benefez jest bezsilny – westchnął ksiądz e'Laiden.

Czarnoząb obrzucił go przelotnym spojrzeniem, pewny, że ksiądz wypowiedział te słowa z ironią i miał na myśli coś wręcz przeciwnego. Benefez ma za sobą całą potęgę Hanneganów. A e'Laiden posługuje się teksarkariskim jak rodowitym językiem, aczkolwiek swoboda, z jaką władza dzikopsim nomadzkim, świadczy, że długo mieszkał na Wysokich Równinach.

– Różaniec! – szepnął znowu gniewnie Czarnoząb.

Mrugnęła do niego i uśmiechnęła się.

– Ukryłam go w stodole. Jutro możesz go odzyskać.

Jej spojrzenie wywołało u mnicha erekcję i poczuł, że twarz oblał mu rumieniec. Bał się jej. Wiele typów zniekształceń uwarunkowanych genetycznie miało charakter powtarzalny. Rozmaici pisarze opracowywali ich wykazy. Jedną z mutacji polegała na tym, że niezwyklej urodzie towarzyszył defekt mózgu i, jako jego główny symptom, zbrodniczy szal kilka lat po wieku dojrzewania. Zerknął ukradkiem w jej stronę, ale ona zauważyła natychmiast to spojrzenie. Pokazała mu język i wykrzywiła twarz w uśmiechu. Może nie jest szalona, lecz że jest diabolicą, to pewne. Chciał pójść do powozu i położyć się spać, w tym momencie wstydził się jednak wstać. W końcu dzięki modlitwie erekcja ustąpiła i mógł wymamrotać „dobranoc”. Edrea wyszła za nim, ale Czarnoząb pobiegł do latryny, a potem wygramolił się przez okno na tyłach. Natychmiast został schwytyany przez garbusa i jakąś drugą istotę i powleczony w stronę oświetlonych drzwi innego domu. Prawie zemdlał ze strachu, ale garbus szepnął chrapliwie, że ktoś potrzebuje rozgrzeszenia.

– Nie jestem księdzem! – protestował.

Daremnie. Zaciągnęli go do domu sąsiada Sharda.

Wepchnęli swoją ofiarę do środka i puścili, sami zaś zajęli stanowisko przy drzwiach. Mnich nie miał innego wyjścia, jak usiąść na wskazanym taborecie i czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Izba była oświetlona blaskiem bijącym od paleniska i lampy. Zobaczył

starca o pomarszczonej twarzy i skąpej bródce. Przedstawił się jako Tempus. Wyciągnął rękę w stronę pozostałych, swej żony Ireny, której twarz była naznaczona otwartą raną, a także Ululaty i Pustrii, obu o złowrogim wyrazie twarzy. Garbus zwał się Cortus, a jego towarzysz Bario. Wszyscy obecni byli rodzeństwem albo kuzynami, albo rodzeństwem przyrodnim. Bario cierpiał na straszliwe pobudzenie, zwłaszcza okolic genitalnych. Tempus krzychał, żeby przestał się wreszcie masturbować, ale te słowa nie odniosły żadnego skutku.

Bóg w swej mądrości dał Ululacie zdeformowaną stopę, choć pod każdym innym względem obdarzył ją proporcjami na swój obraz i podobieństwo. Atoli na tej stopie nikt z pewnością nie chciałby stąpać.

– Bóg w tym jest – powiedział jej ojciec.

Podał jej szczudła. Jemu samemu Bóg dał siedem palców, trzecie, bezużyteczne, oko, a także cztery jądra i dwa okazałe penisy. Wszystko to zademonstrował mnichowi. Pustria była przyrodnią siostrą Ululaty – w każdym razie taki obraz ich poczęcia, pod ciężarem tego samego mężczyzny zachowała w wiernej pamięci matka. Jediną ułomnością Pustrii była ślepotą i Irena, miała do Pustrii słabość, gdyż ta nie widziała jej twarzy, którą pokrywał jeden wielki strup i z której Irena nie była zgoła dumna.

– Bóg w tym jest – powtórzył ojciec.

Tempus wyjaśnił, że Bario potrzebuje rozgrzeszenia, aby dzięki temu móc przestać się masturbować. Czarnoząb odparł, że nie może nikogo rozgrzeszyć, a zresztą nie przyniosłoby to skutku, jakiego oczekuje Tempus. Lecz ten nie ustępował. Czarnoząb nie opuści tej izby, póki nie uczyni tego, czego się od niego wymaga.

– Czy wóczas pozwolicie mi natychmiast odejść? – spytał.

Tempus skinął z powagą głową i zrobił znak krzyża na sercu, a Nimmy zamknął na moment oczy i starał się przypomnieć sobie choć odrobinę łaciny.

– *Labores semper tecum* – zaczął najłagodniejszym głosem, jaki zdołał z siebie wydobyć. – *Igni etiam aqua interdictus tu. Semper super capitem tuum feces descendant avium.*

– Amen – Tempus zawtórował jak echo temu przekleństwu.

Nimmy wstał i wyszedł. W tym momencie nie był zbyt zawstydzony tym, że życzył wiecznych cierpień temu człowiekowi, że ogłosił okrutny wyrok wygnania i sprowadził na głowę Baria nieustający deszcz ptasiego łajna. Genok szedł za nim w pewnej odległości, nie zaprzestając ani na chwilę pocierania krocza.

Chiir Hongan już spał. Czarnoząb ciągnął z Wooshinem losy i przegrał trzecie miejsce w izbie. Kiedy zapadło takie rozstrzygnięcie, poczuł ulgę, zwłaszcza po wyrwaniu się ze szponów rodziny garbusa. A skoro śpi już w nieogrzanym powozie, dobrze, iż jego towarzyszem jest nomada. Chociaż za dnia nie czuł już lęku przed zabójcą setek ludzi, brat Topór nie przestał nękać go w snach. Czasem śniło mu się, że sam jest wykonawcą wyroków i potężnym mieczem odcina głowy na rozkaz Hannegana, lecz tej nocy był Poncjuszem Piłatem, a kat Wooshin stał obok niego jako setnik Markus, świadczący przeciwko pretendentowi do królestwa Bożego pośród nomadów.

W tych czasach było istne zatrzęsienie królów nomadzkich. Podczas zajmowania lukratywnego stanowiska w Teksasie-Judei ukrzyżował niejednego z nich, lecz czterech. Pierwszy przypadek był dla niego najtrudniejszy i najsmutniejszy. Czarnoząb-Piłat był jak chłopak zabijający pierwszego jelenia. Pretendent był człowiekiem nieszkodliwym. Chciał go wypuścić. Zabijanie następnych było już łatwiejsze, a z pewnością niezbędne, żeby pokazać wszystkim, że królów powołuje Teksark, nie zaś lokalni bogowie. Zawsze zadawał im to samo pytanie. Pierwszy nie potrafił albo nie chciał odpowiedzieć; stał tylko i patrzył na Czarnozęba. Drugi kandydat na krzyż był bardziej rozmowny.

– Cóż to jest prawda? – spytał Czarnoząb.

– Prawda to istota wszystkich twierdzeń prawdziwych – odparł drugi król nomadów. – Fałsz jest istotą wszystkich fałszywych. Jeśli się nic nie mówi, nie ma ani prawdy, ani fałszu. Ofiaruję ci, dostojny panie, moje milczenie.

– Ukrzyżować go niesprawiedliwie – rozkazał Piłat. – I tym razem zróbcie to jak należy. Oplećcie mu ramiona i nogi wokół krzyża. Tak napisano w podręczniku dla prokuratorów teksarkarskich. Oczywiście w dzisiejszych czasach to nie wystarczy takim jak wy rekrutom. Musicie wiedzieć dlaczego, więc wam powiem.

Przybicie dłoni do krzyża od tyłu jest zdrową zasadą inżynierską, zgodną z polityką rządową, jeśli bowiem przybije się dłonie od przodu, ciało całym ciężarem zwisa na gwoździach, które rozdierają mięśnie. Chyba, że przybije się także nadgarstek.

Jeżeli jednak przerwuci się ramiona przez poprzeczną belkę i przybije dłonie od tyłu, obciążona jest przede wszystkim owa belka, a gwoździe uniemożliwiają tylko zmianę pozycji ciała. Dzięki temu możecie skuteczniej skruszyć mu kości przed zakończeniem dnia pracy. Zróbcie to wedle sposobu teksarkańskiego, albowiem sposób teksarkański jest wieczny. I tym razem weźcie się żwawiej do roboty!

– Niech żyje Hannegan! – wykrzyknął Markus-Topór.

– Niech żyje Teksark! Następna sprawa.

Tym razem Poncjusz czuł się lepiej. Był teraz wpółrozbudzony wiedział, że śni, ale pozwalał, by wydarzenia ze snu toczyły się swoim biegiem. Niemądra odpowiedź tego człowieka na pytanie o prawdę nie miała zapewne nic wspólnego z milczeniem pierwszego króla nomadów. Powołał się on natomiast, i to głośno, na milczenie jako sposób realizacji celów politycznych, a to odbierało nieco ostrości wspomnieniu półuśmiechu pierwszego ze skazanych i tego spojrzenia, które nie wyrażało wówczas niczego, co miałoby filozoficzną głębię, lecz ukazało jedynie intymny i nieskończony regresywny ciąg: „Ja, który patrzę na ciebie, który patrzysz na mnie, który patrzę na ciebie...” To samo spojrzenie przeraziło żonę Czarnozęba, Edreę. Być może rozbudzało pożądanie, a tym samym było obraźliwe dla kogoś, na kim spoczywał obowiązek postrzegania tego rodzaju mętów jako ludzi odrażających.

– Cóż to jest prawda? – spytał Piłat trzeciego króla nomadów.

– Chcesz pereł, to ryj w ziemi, teksarkańska Świnio!

Czarnoząb-Piłat w tym przypadku nie miał najmniejszych skrupułów.

Obudził się z obrazem Edrei przed oczyma duszy – i ich randki w sianie. Obłąd! Przypomniawszy sobie sennie, jak brat Gimpus przekonywał, że oderwanie od namiętności płciowej jest istotą czystości i że takie oderwanie jest możliwe bez abstynencji. Brat Gimpus został przyłapany nagi obok pewnej brzydkiej wdowy, która

twierdziła, że płaci mu co środę za ósmy sakrament. „Spoczywaj w pokoju” – szepnął Czarnoząb, wtulając twarz w poduszkę.

Rozdział 6

„Mając jednak wzgląd na słabość chorych, sądzimy, że jedna hemina wina na dzień wystarczy dla każdego”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział XL

Chiir Hongan spał jeszcze, kiedy Czarnoząb zerwał się, gdyż usłyszał tętent, który gwałtownie zamarł tuż przy powozie. Słyszał głosy ludzi rozmawiających w języku pasikońskim. Chodziło o krowy przebywające w zagrodzie koło stodoły. W pewnym momencie zrobiło się jakieś zamieszanie, rozległ się znowu tętent, a potem dały się słyszeć okrzyki Edrei. Mnich uniósł skraj brezentu i wyrzwał na zewnątrz. W słabym świetle porannym zobaczył leniwie opadające płatki śniegu i trzech jeźdźców, najwyraźniej nomadów. Dwaj podnosili za ręce dziewczynę, która wymachiwała rozpaczliwie nogami. Z daleka słychać było okrzyki Sharda i nagle z sąsiedniego domu wybiegł garbus z muszkietem. Czarnoząb obrócił się, żeby obudzić Hpngana, ale ten już zarzucał na siebie wilczą skórę i wciskał na głowę skórzany hełm z małymi rogami i metalowymi ozdobami. Zwykle miał go na głowie tylko podczas jazdy konnej. Czarnoząb wcisnął głęboko rękę w obicie i wymacał rewolwer Czerwonego Diakona. Dziewczyna nie znalazła go przy przeszukiwaniu powozu.

Chiir Hpngan wygramolił się przez drzwiczki po drugiej stronie i wyłonił się nagle zza powozu, wykrzykując do renegatów w dzikopsim z Wysokich Równin.

– W imię szarfa Dzikiego Psa i jego matki, puście ją! Rozkazuję wam, bezmaci! Z koni!

Czarnoząb ścisnął w drżącej ręce broń kardynała. Trzeci nomada uniósł muszkiet, spojrzawszy uważnie na Święty Szał i cisnął broń na ziemię. Dwaj pozostali postawili na ziemi dziewczynę, która natychmiast rzuciła się do ucieczki. Jeźdźcy zsiadli powoli z koni i ich przywódca padł na kolana przed zbliżającym się do niego Hpnganem.

Mówił teraz tym samym dialektem co Hpngan.

– O, kuzynie Małego Niedźwiedzia, ojciec Dziewicy Dnia, nie chcieliśmy zrobić jej krzywdy. Zobaczyliśmy te krowy i pomyśleliśmy, że są nasze. Chcieliśmy się tylko z nią podroczyć.

– Podroczyć, czyli zgwałcić? Przepraszam i precz mi z oczu. Dobrze wiecie, że te hodowlane krowy nie należą do was. Nie macie matek. Jeździecie na koniach bez piętna. Słyszałem, jak rozmawialiście w pasikońskim, jesteście więc z daleka. Nie ważcie się nękać tych ludzi! Są dziećmi papieża, z którymi wolni koczownicy podpisali układy.

Nieproszeni goście natychmiast wykonali polecenie i zniknęli. Cały incydent nie trwał nawet pięciu minut, ale Czarnoząb nie posiadał się ze zdumienia. Chiir Osie Hpngan oparł się o powóz i patrzył z roztargnieniem za napastnikami, którzy odjeżdżali przez prószący śnieg ku głównemu szlakowi.

– To pasikońscy wykrotnicy, ale dobrze cię znali! Kim jesteś? – spytał przejęty grozą Czarnoząb.

Nomada spojrzawszy na niego z uśmiechem.

– Znasz moje imię.

– Jak cię nazwali?

– Ojciec Dziewicy Dnia. Nigdy nie słyszałeś tego imienia?

– Ależ słyszałem. Tak należy tytułować szarfa.

– Albo nawet, w pewnych okolicznościach, swego wuja.

– Ale rozpoznali cię? Zeszłej nocy śnił mi się król nomadów.

Hongan roześmiał się.

– Nie jestem królem, Nimmy. Jeszcze nie. Nie mnie rozpoznali, lecz to. – Dotknął metalowej ozdoby na przodzie hełmu. – To herb rodu mojej matki. – Uśmiechnął się do Czarnozęba.

– Nimmy, noszę imię Święty Szał po linii matczynej, która nosi rodowe imię Mały Niedźwiedź. Jak to będzie po dzikokróliczemu?

- Cheer Honnyugan. Ale w tym języku oznacza to Czarownika Szaleńca.

- Drugie imię! Jak ono brzmi?

- Honnyugan? Hannegan?

- Otóż to. Jesteśmy kuzynami - potwierdził z przekornym uśmiechem nomada. - Nie mów o tym nikomu i nie wypowiadaj mego imienia w języku dzikokróliczym.

Od strony domu Sharda zbliżał się ku nim kardynał Kucisawy i Chiir Hongan ruszył w jego stronę, żeby złożyć meldunek o wydarzeniu. Czarnoząb zastanawiał się, czy wszystko, co powiedział nomada, jest żartem. Słyszał już, że dynastia wywodzi się z nomadów, ponieważ jednak Boedullus nic o tym nie wspomniał, musiało chodzić o czasy sprzed kilku zaledwie wieków. W każdym razie wiedział teraz, że Hongan pochodzi od strony matki z potężnego rodu. Jego, Czarnozęba, rodzina, osadzona na farmie, nie miała swych insygniów, on sam zaś nigdy nie zajmował się heraldyką rodów z Równin. Jego ciekawość rozbudziła jeszcze jedna rzecz, a mianowicie przyjacielskie stosunki nomady z księdzem e'Laidenem, który, zwracając się do Hongana, używał imienia Niedźwiedziątka. Ksiądz często zasiadał obok nomady na koźle i prowadzili rozmowy wyraźnie osobiste i nie przeznaczone dla uszu innych. Znali się doskonale z Równin. Na podstawie zasłyszanych strzępów zdań Czarnoząb doszedł do wniosku, że e'Laiden jest byłym nauczycielem Hpngana, ale teraz nie śmie już go pouczać, a to ze strachu, iż wyrosnięty i nieco złośliwy były uczeń może roześmiać mu się prosto w twarz.

Czarnoząb poszedł w stronę zagłębionej do połowy w zboczu stodoły, żeby odzyskać swój różaniec i g'tarę. Nie widział Edrei, ale słyszał stłumione brzdąkanie w struny. Czysto zamiecioną podłogę wewnątrz ułożono z kamieni i wąły strumyczek źródlanej wody płynął kanałem spod zamkniętych tylnych wrót do przyległej zagrody dla bydła. Nad wejściem zbudowano stryszek na siano. Otworzył drzwi i znalazł się w wydrążonej w zboczu piwnicy. Zobaczył kilka koszy, których dno ledwie pokrywały resztki ubiegłorocznych zbiorów: zwiędłe rzepy, dynie i wyrastające już ziemniaki. Na półkach stały dzbany z konserwowanymi owocami. Gdzież one tu wyrosły? Oprócz tego były trzy beczki, trochę

narzędzi rolniczych i kupa słomy, którą okładano warzywa. Nie było natomiast żadnej żywej istoty. Obrócił się, żeby wyjść, ale w tym momencie Tidrea zsunęła się z siana i stanęła przed nim. Nimmy spojrzał na nią i zrobił krok do tyłu. Mimo chłodu nie miała na sobie nic poza krótką skórzaną sukienką i jego różańcem, który służył jej za naszyjnik.

– Ggg... gdzie g'tara? – wyjąkał.

– Na stryszku. Tam jest wygodniej. Można się zagrzebać w sianie. Chodź.

– Powietrze tutaj jest cieplejsze niż na dworze.

– No dobrze. – Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Zapanowały ciemności.

– Nie masz lampy albo świecy?

Roześmiała się, wyciągnęła rękę i dotknęła go.

– Nie widzisz w ciemności? Ja widzę.

– Nie. Proszę. Jak możesz?

Cofnęła rękę.

– Co jak mogę?

– Widzieć w ciemności.

– No wiesz, jestem genokiem. Niektórzy z nas mają takie oczy.

Ale naprawdę nic nie widzę. Po prostu wiem, gdzie jestem. Dostrzegam jednak wokół ciebie poświatę. Jesteś jednym z nas.

– Z jakich nas?

– Jesteś genokiem z poświatą.

– Nie!

Odsunął się. Usłyszał w ciemności szelest jej sukienki, a potem zgrzyt krzemienia pocieranego o stal. Wykrzesła jedną iskrę, potem jeszcze kilka, i wreszcie udało się jej podpalić hubkę.

Rozbłysło wątle światło wypełnionego łojem kaganka. Nimmy nieco się odprężył. Zdjęła z półki dwie gliniane czarki i przekręciła kurek jednej z beczek.

– Napijmy się odrobinę jagodowego wina.

– Dziękuję, nie jestem spragniony.

– Nie chodzi o pragnienie, głuptasie, ale o to, żeby się upić.

– Nie wolno mi.

Podawała mu czarkę i usiadła na słomie.

– Moją g'tara.

– Dobrze. Poczekaj, zaraz ją przyniosę.

Kiedy się oddaliła, napił się wina, żeby ukoić nerwy. Napój był mocny, słodki, smakował żywicą i dawał natychmiastowe odprężenie. Wróciła z instrumentem, ale cofnęła rękę, kiedy po niego sięgnął.

– Musisz mi coś zagrać.

Westchnął.

– No dobrze. Ale tylko raz. Co?

– Napełnij, braciszku, czarę, nim posuniemy się dalej.

Nimmy nalał wina i podał jej garnuszek.

– Ale z ciebie głuptas. Tak się nazywa piosenka.

– Nie znam jej.

– To zagraj, co chcesz.

Położyła się na słomie i jej sukienka podjechała wyżej. Widział w świetle lampki, co się pod nią kryje. Nie nosiła nic pod spodem, ale w tym, co ujrzał, było coś niezwykłego. Nie widział nagiej dziewczyny od czasów dzieciństwa, pamiętał jednak, że są zbudowane całkiem inaczej. Spojrzał na twarz Edrei, na g'tarę, na czarę wina w swym ręku i wreszcie na świecę. Wypił wino i dolał sobie jeszcze trochę.

– Zagraj jakąś piosenkę miłosną.

Wychylił kolejną czarę, odstawił ją i zaczął brzdąkać w struny. Nie znał żadnej piosenki miłosnej, zaczął więc śpiewać pierwsze linijki z czwartej sielanki Wergiliusza do muzyki, którą sam ułożył. Kiedy doszedł do słów jam redit et Virgo, Aidrea wydeła wargi i dmuchnęła, gasząc znajdującą się w odległości szes'ciu stóp świecę. Przestraszony Czarnoząb przestał grać.

– Nalej jeszcze wina i chodź tutaj.

Nimmy usłyszał, jak wino płynie do czarek, i uświadomił sobie, że to on je napełnia.

– Wypij!–rozkazała.

– Jak się stąd wydostać?

– Musisz znaleźć dziurkę od klucza. Nie jest zbyt duża.

Zaczął macać w okolicy drzwi.

– Tutaj.

Poczuł, że pociągnęła go za rękaw, wypił wino, by go nie rozlać, i padł na słomę obok dziewczyny.

– Gdzie klucz?

– Mam go. – Chwyciła go za to samo, co przy pierwszym spotkaniu. Nie stawiał oporu.

Spletli się ramionami, ale po dłuższej chwili gorączkowych zabiegów, Czarnoząb powiedział:

– Nie pasuje!

– Wiem. Chirurg tak to zrobił, że nie może pasować, ale i tak jest przyjemnie, prawda?

– Nie bardzo.

Zaczęła szlochać.

– Nie lubisz mnie!

– Lubię, ale nie pasuje.

– No dobrze – pociągnęła nosem i osunęła się niżej na słomie. – Chodź tu.

Nie był zbyt zaskoczony, bo miał za sobą doświadczenie z awansami Torrilda w podziemiu. Był pijany i bał się, że lada chwila ze schowka na miotły wyskoczy kardynał Kucisawy i wrzaśnie: „Wreszcie mam cię!” Nic się jednak nie stało.

Kiedy wyszedł ze stodoły niepewnym krokiem i z uszczkniętą cnotą, uśmiechnięta Edrea (semper virgo) siedziała, obracając w palcach różaniec i patrzyła ze stryszku na siano, jak Czarnoząb gramoli się do powozu i zakrywa wnętrze brezentem. Do jego upojonej winem świadomości wtargnęło określenie „wbrew naturze”. Nigdy dotąd nie był tak pijany.

„Cholerna wiedźma!” – szepnął po przebudzeniu, ale natychmiast cofnął te słowa. „Sam jestem dla siebie wiedźmą! – pomyślał czym prędzej. – Pomóż mi święty Izaaku Edwardzie Leibowitzu! Patronie mój, wypatrywałem sposobności, żeby wejść do tej stodoły. Módl się za mnie! Byłem zadowolony, że zabrała moje rzeczy, bo miałem wymówkę, żeby ścigać ją, udając zagniewanie. Powinienem dać jej to, co zabrała. Teraz wiem. Dlaczego nie wiedziałem przedtem? Zastanawiam się, czy wiedziałem też, co robiłem z Torrildem. Ja albo diabeł, który we mnie mieszka. O święty Leibowitzu, wstaw się za mną”.

Czarnoząb czuł złość i miłość. Własna płciowość zawsze była dla niego tajemnicą. Zastanawiał się nad poprzednim głębokim przywiązaniem do Torrilda, a także do innych, którzy w tym czy

innym momencie byli jego przyjaciółmi w opactwie. W jego erotycznych snach częściej pojawiały się ogromne pośladki niż ogromne piersi, ale teraz owładnęła nim nagle dziewczyna i nie miał w swym sercu najmniejszej wątpliwości, że chodzi o najmocniejszą miłość, jaką kiedykolwiek czuł – poza, być może, miłością do serca Najświętszej Panny. Porównanie bluźniercze, ale prawdziwe. A może to też tylko lubieżność?

W następnych dniach Edrea, jakby zapominając o miłosnej schadzce w piwnicy, odpowiadała na jego zakochane spojrzenie pełnym satysfakcji uśmiechem i potrząśnięciem ładnej główki. Wiedział, co to znaczy. Ponieważ ciąży na niej przekleństwo, nie wolno jej spółkować z nikim spoza Doliny. Karą jest okaleczenie albo śmierć. Uwodząc go, ściągnęła na siebie straszliwe niebezpieczeństwo. To, co robili w stodole, było jednak tylko namiętną zabawą, która nie stanowiła naruszenia podstaw ludowego prawa, choć, owszem, była złamaniem jego ślubów. Wiedziała o tym. W końcu zaczęła drażnić się z nim, przypominając, jak łatwo doprowadziła go do grzechu. A Czarnoząb zdawał sobie sprawę, że śluby nadal go obowiązują, że jeśli raz zszedł z drogi cnoty, nie znaczy to zgoła, iż może uczynić to znowu. Bez następnych zabiegów chirurgicznych Edrea nie będzie mogła współżyć normalnie z mężczyzną. Ojciec polecił przeprowadzić operację, kiedy była dzieckiem, obawiając się pewnie, że zgwałci ją ktoś w rodzaju Cortusa albo Baria. O Matko Przenajświętsza, zmiłuj się nad nami!

Nikt nie widział ich w stodole, ale kardynał wyczuł narastanie klimatu nasyconego lubieżnością, kiedy tylko ci dwoje znaleźli się blisko siebie. Czerwony Diakon podszedł do Czarnozęba, kiedy ten znalazł się sam za powozem, zajęty przywiązywaniem bagażu przed wyjazdem.

– Najwyższy czas, byśmy porozmawiali, Nimmy. O, przepraszam, Czarnoząb. Słyszałem, jak Hpngan nazywa cię Nimmy. Pasuje do ciebie. Jak mam cię nazywać?

Czarnoząb wzruszy! ramionami.

– Pozostawiłem za sobą dawne życie. Mogę zostawić także imię. Nie ma to dla mnie znaczenia.

– No dobrze, bracie Nimmy. Bylebyś nie zostawił za sobą ślubu posłuszeństwa. Przypominam ci, że Aidrea jest genokiem. Pilnuj się,

póki jesteśmy tutaj. Wiedz, że bliscy Sharda nie są pierwszymi uciekinierami z Doliny. Pojawiają się tu od wielu lat. To miejsce jest czymś więcej, niż się wydaje, i Aidrea jest kimś więcej, niż się wydaje.

- Zacząłem to podejrzewać, panie.

- Nie zabiegaj o to, żeby znów ją zobaczyć. A jeśli kiedykolwiek ujrzysz ją w Valanie, uciekaj jak najdalej. - Obrzucił Czarnozęba władczym spojrzeniem. - Nie ma to nic wspólnego z twoim ślubem czystości, ale oby ułatwiło ci jego przestrzeganie. Trochę wyżej, na wzgórzach, ukrywa się duża kolonia genoków. Boją się wystarcza jąco, żeby stanowić dla nas zagrożenie.

-Tak.

- I jeszcze coś, Nimmy. Chtir Osie Hpngan jest ważnym człowiekiem wśród swoich i domyśliłeś się tego z zachowania tamtych wykrotników, ale nie powinieneś tego wiedzieć i nie wie o tym nikt w Valanie. Muszę cię prosić o dochowanie tajemnicy. To konieczne. Jest u mnie jako wysłannik z Równin, ale nie waż się nikomu o tym wspomnieć. Jest po prostu wynajętym przeze mnie woźnicą.

- Rozumiem, panie.

- Ksiądz e'Laiden to kolejna sprawa. Nie muszę czytać w cudzych myślach, żeby wiedzieć twoje zaciekawienie. Żebyś nie pisał też ani słówka na jego temat. Wyruszając w tę podróż, zapuścił brodę, by go nie rozpoznano. Wsiadł do mojego powozu czterdzieści mil na południe od Valany i wysiadł w tym samym miejscu, a to może obudzić jeszcze większe twoje zaciekawienie. Lecz nawet mój przyjaciel, dom Jarad, nie wie, kim jest ten człowiek. Mówiłem wszystkim, że to przypadkowy podróżny, którego zabrałem po drodze. Jak wiesz, przedstawiłem go dom Jaradowi jako mojego tymczasowego sekretarza. Tyle. Nikomu o nim nie wspomnisz. Jeśli zdarzy się, że zobaczysz go później w Valanie, już bez brody, nie waż się okazać, że go rozpoznałeś. Tak czy owak, nie nazywa się e'Laiden. Masz milczeć i o jednym, i o drugim z tych ludzi.

- Mam wielką wprawę w milczeniu, panie.

– No tak. Cóż, podjąłem wielkie ryzyko, zabierając cię ze sobą, Czarnozębie. Nimmy. Na razie twoim zadaniem będzie trzymać głowę na kłódkę. W Valanie znajdę dla ciebie odpowiednie zajęcie.

– Sprawisz mi wielką radość, panie mój. Przez całe lata czułem się bezużyteczny.

Kucisawy przyjrzał się mu bacznie.

– Wcale mnie to nie zaskakuje. Twój opat powiedział, że jesteś raczej gorliwy w wierze i powołany, jak się zdaje, do życia kontemplacyjnego. Myślisz, że to bezużyteczne?

– O nie. Zdumiałem się jednak, że opat uważa mnie za powołanego do takiego życia. Był na mnie bardzo zły.

– Przynajmniej częściowo był zły na siebie. Żałował, Nimmy, że kazał ci pracować nad tym niemądrym przekładem Durena. Myślał, że może się to okazać pożyteczne.

– Powiedziałem mu, że ta praca jest bezcelowa.

– Wiem. Pomyślał, że chcesz uniknąć trudnego zadania. Teraz sam siebie obwinia za twój bunt. To dobry człowiek i naprawdę żałuje, że jesteś stracony dla zakonu. Wiem, że zakończenie całej sprawy było dla ciebie upokarzające, ale przebacz mu, jeśli potrafisz.

– Ja potrafię, ale on mi nie przebaczył. Nie pozwolił mi nawet na spowiedź.

– Kto ci nie pozwolił? Dom Jarad?

– Przeor powiedział, że zapyta opata. Musiał to zrobić.

– Nie udzielono ci zatem rozgrzeszenia? Jeśli nie możesz poczekać do Valany, wypowiada cię ksiądz e'Laiden. Domyślam się, że w tej chwili bardzo tego potrzebujesz.

Czarnoząb zaczerwienił się na myśl, że ta uwaga może odnosić się do /Pdrei. I z pewnością tak było!

Jeszcze tego samego dnia podszedł do białobrodego duchownego, ale ten potrząsnął tylko głową.

– Jego Eminencja o czymś zapomniał. Nie powinienem nawet odprawiać mszy. Robię to, jak sam widziałeś, ale nie podaję komunii i nie spowiadam. Odprawianie mszy to mój osobisty grzech, który nie spada na głowy innych.

Na twarzy starca pojawił się wyraz świadczący o wzburzeniu i zasmuceniu, jakby ten człowiek prowadził wojnę z samym sobą.

Czarnoząb widział już taką twarz przedtem. Zadrżał. Ksiądz e'Laiden jest po prostu trochę obłąkany.

„Cóż za dziwni towarzysze podróży” – pomyślał. Ksiądz, na którym ciąży interdikt, żeglarz, kat i wojownik w jednej osobie, dziki, ale należący do arystokracji nomada, zhańbiony mnich i kardynał, który jest ledwie diakonem. Kucisawy, Czarnoząb i Hongan byli nomadzkiego pochodzenia, a e'Laiden najwyraźniej żył dłuższy czas wśród nomadów. Święty Szał, którego rodzina po kądzieli nosiła imię Mały Niedźwiedź, i e'Laiden byli przyjaciółmi i rozmawiali o znanych sobie nomadzkich rodach. Tylko kat nie miał nic wspólnego z mieszkańcami Równin. Czarnoząb czuł się bardziej niż kiedykolwiek zagubiony, kiedy zaczynał rozmyślać o zamysłach Czerwonego Diakona. Dowiedział się już, że kardynał stoi na czele Sekretariatu do Nadzwyczajnych Spraw Kościelnych, zapomnianej i nieważnej placówki, którą ktoś nazwał „urzędem błahych intryg”.

Po dwóch dniach niezbyt intensywnych opadów śniegu niebo pojaśniało. Od strony południowej pokazało się słońce i powiał lekki wietrzyk. Trzy dni później nadeszła odwilż. Chtir Hpngan wyprawił się na pół dnia i po powrocie oświadczył, że droga szybkiego ruchu jest przejezdna, aczkolwiek tu i ówdzie będą musieli odgarniać rozmiękły śnieg. Kucisawy wypłacił Shardowi uczciwą sumę w monetach z papieskiej mennicy i podróżni wyruszyli w drogę. Tylko dzieci, Shard i Tempus patrzyli na ich wyjazd. Mnich daremnie szukał wzrokiem /Hdrei. Był przekonany, że jest zła, gdyż żywi do niej mieszane uczucia i schodzi jej z drogi. Chciał jej powiedzieć, że cała winna spada na niego, ale nie miał okazji. Zniknęła na zawsze.

Nadal znajdowali się bliżej Opactwa Świętego Leibowitza niż Valany, ale drogi były teraz w lepszym stanie i poruszali się szybciej. Kilka dni później zaczęli coraz ciężiej oddychać, gdyż zbliżyli się do położonych wysoko przełęczy. Coś musiało stać się z ziemską atmosferą w okresie upadku Magna Civitas. Człowiek mógł tylko patrzeć na ruiny starożytnych budowli wznoszących się na zboczach wysoko ponad strefą drzew, nikt jednak nie był w stanie tam się wspiąć. Kiedyś lżej było oddychać. I oczywiście cała Ziemia zmieniła się, strawiły ją wojny, które doprowadziły dawno temu do końca świata. Wzrastał nowy świat, lecz nie mógł rozwijać się tak szybko jak stary. Skarbiec zasobów surowcowych został splądrowany i

roztrwoniony. Żelazo wydobywano teraz ze starożytnych miast. Nadal brakowało ropy naftowej. Hannegan musiał ograbić swój lud, żeby zdobyć miedź. Żywe istoty zostały wytępione albo zmieniły się. Pustynne i równinne wilki należały do odmiennego gatunku i zdawali sobie z tego sprawę także ci nomadzi, którzy okrywali się wilczymi skórąmi i nazywali swój naród Hordą Dzikich Psów. Na ziemi było teraz mniej lasów, a więcej traw, lecz nawet w zapiskach przechowywanych w Opactwie Świętego Leibowitza niewiele można było znaleźć wiadomości z zakresu biologii sprzed Potopu Płomieni i późniejszego Wielkiego Chłodu. Przekleństwo, jakie wypowiedział Bóg w Księdze Rodzaju, spełniło się: Ziemia i Człowiek po dwakroć upadli.

Dwudziestego wieczoru od opuszczenia genoków Święty Szał wypatrzył Nunshan, Nocną Wiedźmę. Rozbili w pobliżu obóz i Hpngan pojechał późnym popołudniem, żeby zorientować się, jak wygląda sytuacja na przełęczach. Wrócił po zachodzie słońca. Twarz miał szarą jak popiół.

– Podniosłem wzrok i zobaczyłem ją. Stała na skalnej iglicy, doskonale widoczna na tle pierwszych gwiazd – zaczął wyrzucać z siebie słowa. – Co za paskuda! Nigdy nie widziałem kobiety tak wielkiej i brzydkiej. Otoczona byłajakby mrocznym światłem, ale widziałem przez nie gwiazdy. Słońce schowało się już za wierzchołek góry, ale niebo było nadal jasne. I nagle krzyknęła w moją stronę... było to potężne zawołanie, jakby łkanie, dzikie jak głos kuguara.

– Może to był właśnie kuguar – powiedział Kucisawy. – Rozrzedzone powietrze mogło cię oszołomić.

– Kuguar? O nie! Koń. Była tam, a potem zmieniła się w czarnego konia i pogalopowała w dal, wydawało mi się, że prosto w niebo!

Kucisawy milczał, pochłonięty, można by pomyśleć, jedzeniem fasoli. Czarnożąb przyjrzał

się twarzy Chiira Hongana i doszedł do wniosku, że nomada jest bardzo przejęty, ale mówi prawdę. Wiedział, że ten człowiek został chrześcijaninem, w każdym razie z nazwy, ale chrzest nie unicestwił w nim wiary w nomadzkie legendy.

Wreszcie zabrał głos ksiądz e'Laiden:

– Widziałeś Nocną Wiedźmę, kto więc umiera?

– Papież – odparł Czerwony Diakon.

– Czyżby Nunshan ukazała się z powodu papieża, panie? – spytał prawie rozbawiony Czarnoząb.

– Być może umiera mój ojciec – oznajmił spokojnym głosem nomada.

– Boże broń! – wykrzyknął kardynał. – Wielki wuj Złamana Noga musi zostać wybrany na pana Trzech Hord i objąć schedę po Szarfie Wojny Hpnganie Ós. – Zerknął w stronę Czarnozęba. – To jeszcze jedna sprawa, o której musisz całkowicie zapomnieć, Nimmy.

– Będę ci posłuszny, panie mój.

Czarnozębowi wszystko zaczęło się teraz układać w jedną całość. Od siedmiu dziesiątków lat, czyli od czasu, kiedy Szarf Wojny Hpngan Ós poprowadził swój lud do klęski w wojnie przeciwko Hanneganowi Zdobywcy i został złożony w ofierze przez własnych szamanów, Trzy Hordy nie miały włodarza. Horda Dzikich Królików została całkowicie ujarzmiona, podobnie jak kilka szczepów, w tym ród Czarnozęba z Hordy Pasikoników. Potomkowie pokonanych albo żyli w granicach Cesarstwa jako drobni farmerzy, albo w posiadłościach ziemskich na terenie Wolnego Państwa Denver. Bez udziału elektorów z Hordy Dzikich Królików nie można było wypełniać wojskowych i kapłańskich obrządków związanych z godnością królewską. Hanneganowie dbali więc, żeby do czegoś takiego nie doszło. Czarnozębowi przypomniały się zwariowane sny, w których jako Piłat skazywał na ukrzyżowanie kandydatów na królów nomadów. Wierzył, że sny mówią prawdę; było to jego nomadzkie dziedzictwo.

Ostatnio doszło do zamieszek wśród podbitych ludów, dla których wolni nomadzi mieli w czasach dzieciństwa Czarnozęba jedynie pogardę. Chiir Osie Hpngan był zatem spokrewniony z Hpnganem Ós, a jego matka przekazała mu prawa do godności królewskiej. Kucisawy zaangażował się (wtykał nos?) w nomadzką politykę, która była taka sama jak nomadzka religia, gdyż tylko warstwa szamanów mogła pełnić obowiązki elektorów. Przyszło mu więc do głowy, że kardynał, stary kapłan i nomada z koneksjami z królewskim rodem w Hordzie Dzikich Psów być może przed odwiedzinami w Opactwie Leibowitza zatrzymali się, by odbyć

naradę z szamanami Dzikich Królików. Niektóre zasłyszane podczas podróży rozmowy zdawały się tę myśl potwierdzać.

Nakazano mu milczeć i zamierzał być posłuszny. Jednak spoglądanie na to wszystko obojętnym okiem oznaczałoby odwrócenie się plecami do własnej rodziny i jej dziedzictwa. Był wdzięczny Chirowi Hpnganowi, że okazał mu taką uprzejmość. Może nadejdzie dzień, kiedy zyska prawo do dumy ze swojej spuścizny, aczkolwiek duma to jeden z tych śmiertelnych grzechów, przed którymi ostrzegała go wiara. Jeśli dwie północne hordy, Dzikie Psy i nie podbite plemiona Pasikoników, przestaną okazywać pogardę plemionom podbitym,

Dzikim Królikom i Pasikonikom, będzie mógł chodzić z podniesioną głową po świecie. Wiedział jednak, że Horda Dzikich Królików i jego wygnany lud muszą najpierw odzyskać szacunek dla samych siebie. I wiedział, że będzie szczęśliwy, jeżeli uda mu się do tego przyczynić.

Ujrzał ją następnego ranka. Była dziewczyną podobną do £idrei, ale piękniejszą. Stała nago o rzut kamieniem od niego, pod występem skalnym, i myła się, tańcząc w kaskadzie wody z topniejącego lodu. Spojrzała raz na Czarnozęba, który zrobił krok w jej stronę i stanął jak wryty. Czuł mrowienie skóry na głowie. Jej spojrzenie przemknęło po nim i skupiło się na Świętym Szale, który jechał na ogierze kardynała i nie widział kąpiącej się dziewczyny. Nie spuszczała z niego wzroku, póki wielka bryła nie zsunęła się z okapu, tak że dziewczyna musiała uskoczyć w miejsce, gdzie była niewidoczna. Kilka sekund później spod występu wyłoniła się gibka, biała klacz, ale zaraz zniknęła w gąszczu świerków, z których gałęzi zsuwały się co i raz czapy mokrego śniegu. Czarnoząb potrząsnął głową. Na tej wysokości człowiekowi roją się najrozmaitsze rzeczy.

Później, kiedy nomada zatrzymał się i czekał, żeby reszta do niego dobiła, Czarnoząb podszedł doń i powiedział:

- Widziałem ją dzisiaj rano. Jako Fujce Go, Dziewicę Dnia.
- Czy była młoda? - spytał Chiir Hpngan.
- Bardzo młoda i piękna.
- Kimkolwiek był wczoraj, dzisiaj będzie martwy - oznajmił wojownik. - Pragnie nowego małżonka.
- Patrzyła na ciebie. Albo na konia kardynała.

Hpnagan zmarszczył brwi, potrząsnął głową i roześmiał się.

– Na konia! Powiadają, że spółkuje z ogierami, kiedy hordy nie mają włodarza. Wszystko przez to rozrzedzone powietrze, Nimmy. Podziałało na nas obu.

Czarnoząb szedł dalej, a w tym czasie powóz dojechał do czekającego nomady. Usłyszał za plecami naradzające się głosy, a potem znów zobaczył ogiera, ale z innym jeźdźcem na grzbiecie.

– Czemu nie siądziesz za Toporem? – spytał kardynał, po raz pierwszy nazywając Wooshina tym imieniem.

– Bo zrobił mi się czyrak, Wasza Eminencjo, a poza tym przyda mi się mały spacer.

Czarnoząb wypalił jakieś lecznicze liście, które nomada zabrał ze sobą z Nebraski, i był teraz bardziej wymowny i mniej świadomy swych słów, niż by chciał. Przestał się też bać Kucisawego i zaczął go nawet darzyć sympatią.

– Czegóż to dowiaduję się o Dzikokonnej, Nimmy? Czy często zdarza ci się zmieniać wiarę?

– Mam nadzieję, panie mój, że moja dzisiejsza wiara jest zawsze odrobinę lepsza niż wczorajsza i wizja dziewicy w kaskadzie lodowatej wody czyni cuda z moją dzisiejszą wiarą, choć jutro zakwestionuję, być może, realność tej wizji. Czy powiedziałem jednak, że była to

Hongin Fuj a' Vuml

Kucisawy roześmiał się.

– Czujesz zatem, że na tej wysokości rzeczywistość i wiara mogą, albo i nie, mieć coś ze sobą wspólnego?

– Na tej wysokości i tak, i nie, panie.

– Zawiadom mnie, jeśli pojawi się znowu – powiedział Kucisawy i potruchtał do przodu.

Był to czas wizji. Czarnoząb słyszał o cudach zdarzających się w górach, o czarach na równinach i wozach na niebie. Najświętsza Panna ukazywała się małym grupkom wybrańców jednocześnie w trzech odległych miejscach kontynentu. To, co powiedziała na Zachodzie, poddała później surowej krytyce na Wschodzie. Było to prawie tak, jakby spierała się sama z sobą. Stanowiło to być może najlepszy dowód jej boskości, gdyż przeciwstawne Istoty Boskie zawsze są pojednane, jak choćby Nunshan i FujccGo, Nocna

Wiedźma i Dziewica Dnia, dwa aspekty Hfingin Fufce Vurn. Jest jeszcze trzeci aspekt; w stosownym czasie zmieniała się w Sępa Wojny, który czuwał na polu bitewnym, miejscem obfitości pokarmu.

„To tylko to rozrzedzone powietrze” – powiedział sobie Czarnoząb. Czemu jednak nie Dzikokonna? Jako dziecko widział ją na końskim grzbiecie. Widział ją tego ranka pod wodną kaskadą i była to ta sama młoda niewiasta. Kobiety z hordy mają swoje klacze rozplodowe, które przekazują córkom. Są wspaniałymi hodowczyniami koni. Podczas bitwy żaden wojownik nie dosiada klaczy, ten zaś, który mają pod sobą, daje do zrozumienia, że nie jest zdolny do podjęcia walki. Tak więc ogier kardynała Kucisawego jest zarówno po prostu wierzchowcem, jak i sygnałem. Dzikie konie są zakazane dla wszystkich poza tym jednym, który jest z nią zaręczony. Konie należą do niej. Jest ona naturalną projekcją nomadzkiej kultury na nomadzki świat nieświadomy, ale to stwierdzenie nie oznacza, że jest całkowicie nierealna. Podobnych projekcji dokonują chrześcijanie. Ileż objawień Najświętszej Panny! Dzikokonna jest na Równinach dawczynią mocy. Wybierając sobie małżonka, wybiera tym samym króla. Rozśmieszyła go myśl, że mogłaby wybrać papieża.

Opuszczając opactwo, Czarnoząb nie zyskał wcale swobody samodzielnego myślenia, gdyż miał ją zawsze. Teraz jednak nie musi mieć z tego powodu poczucia winy. Jego życie religijne ucierpiało oczywiście w podróży, a także z powodu grzechów, lecz starał się, jadąc na koniu albo podczas bezsennych chwil w nocy, jak najczęściej spędzać godzinę na odmawianiu w myślach Wykazu Sprawunków Świętego Leibowitza: „Kraut w puszcze, sześć bajgiełek – przynieść do domu dla Emmy. Amen”. Ta krótką, pełną słodczy modlitwa ułatwiała okiełznanie myśli wyrywających się ku Edrei. Przedkładał ją nad memorabilum Praw Maxwella, które taki zamęt wywołało w głowie Torrilda i być może przyczyniło się nawet do jego występu.

Mimo to gniew na samego siebie z powodu Edrei i uczucia do niej szukał jakiegoś ujścia. Kiedy rozbili tego wieczoru obóz, Topór spytał jak zwykle: „Jesteś gotów na śmierć?”, a Czarnoząb, nie zaprzeczając, natychmiast kopnął go w krocze. Kat odskoczył i

kopniak ześliznął się po jego biodrze. Topór roześmiał się z zadowoleniem. „Coś marnyś dzisiaj” – skomentował atak i pozwolił, by Czarnoząb rzucił się na niego jeszcze raz, nim powalił go twarzą w topniejący śnieg. Po raz pierwszy zdarzyło się jednak, że uczniowi udało się dotknąć mistrza, i Wooshin ucisnął go, kiedy pomógł już mu dźwignąć się na nogi.

– Tym razem gotów jesteś na śmierć, prawda?

Stało się to następnej nocy. Posuwali się coraz szybciej na północ, tracąc stopniowo wysokość. Czwartej nocy posłaniec z latarnią i biegnący za nim człowiek przydzielony mu do ochrony dostarczyli Elii kardynałowi Kucisawemu wiadomość: papież nie żyje. Odpoczęli trochę, a potem powędrowali dalej na południe, niosąc wezwanie dla opata Jarada i innych kardynałów rezydujących po drugiej stronie Rzeki Śmiałej. Wielu posłańców wyruszyło wszystkimi drogami wychodzącymi z Valany, by doręczyć takie same wezwania kardynałom biskupom, kardynałom kapłanom, kardynałom diakonom, kardynałom opatom, kardynałom ksieniom (a raczej jednej ksieni) oraz kardynałom bratankom i przyjaciołom rozsianym po całym kontynencie. W tym czasie Valana przygotowywała się do kolejnego konklawe.

Tego wieczoru kardynał zasiadł, żeby naradzić się z nomadą i kapelanem, a Czarnoząb i Topór musieli ćwiczyć walkę w pewnym oddaleniu od ogniska. Rankiem skorzystali z publicznych łaźni w Pobli, pierwszym prawdziwym mieście, jakie napotkali na swojej drodze. Ksiądz e'Laiden zgolił brodę i nie pokazywał się już w ich towarzystwie, mignął jednak z oddali Czarnozębowi, który zdążył dostrzec jego towarzysza, mężczyznę w nomadzkim stroju i z nomadzką bronią, ale zachowującego się zupełnie inaczej niż mieszkańcy Równin. Kiedy opuścili Poblę, Święty Szał pojechał konno na wschód, w stronę Równin. Potem, ledwie pół godziny później, ruszył za nim kapelan e'Laiden w towarzystwie jasnowłosego i wytwornego młodego wojownika.

Kucisawy wynajął miejscowego woźnicę i podążał dalej w stronę Valany z nową służbą, mężczyzną, który był całą gębą katem, i drugim, który nie był całą gębą mnichem.

Czarnoząb długo dusił w sobie pewne pytanie. Po przygodzie z Edreą miał poczucie winy, które sprawiło, że wahał się. W końcu jednak zdobył się na odwagę.

– Panie, czemu tam, w Łukowej Kotlinie, gdzie omal nas nie obrabowali, oczekiwałaś, że dziewczyna cię rozpozna?

Kucisawy zmarszczył na moment brwi, a potem odpowiedział niedbale:

– Och, mój urząd miał do czynienia z grupami zbrojnych genoków z tych mniej więcej terenów. Założyłem, że należą do którejś z nich. Najwyraźniej jednak byłem w błędzie.

Nie zaspokoilo to ciekawości Czarnozęba. Wooshin i Hpngan dość dokładnie badali tamte tereny, ale swoimi spostrzeżeniami dzielili się tylko z kardynałem. Postanowił zapytać brata Topora.

Wczesnym popołudniem jechali błotnistymi drogami przez osady ze zbudowanymi z cegły i kamienia domami o drewnianych dachach i wypływającym dym kominach. Napotykali mnóstwo psów i dzieci. W pewnym momencie usłyszeli pieśń kowalskiego młota i głosy kobiet targujących się z przekupniami o cenę ziemniaków i koźliny. Takie osady przylegały ze wszystkich stron do Valany i rozrosły się w czasach schizmy i wygnania. Ludzi przyciągały otwierające się nowe możliwości w dziedzinie handlu i przedsiębiorczości, a i sami przynosili nowości do podnóża gór, których szczyty Czarnoząb widywał z oddali w czasach swej młodości. Teraz znaleźli się jednak zbyt blisko, żeby widzieć same szczyty, i mieli przed oczyma tylko ciężki masyw po stronie zachodniej. Wszystko było nowe, brudne i zdumiewające dla mnicha, który spędził wprawdzie piętnaście pierwszych lat życia w odległości ledwie kilku dni jazdy konnej od tego miejsca, ale nigdy nie dotarł w obręb miasta. Powóz kardynała zagłębiał się w coraz gęściej zaludnione obszary, gdzie widziało się, jak w opactwie, budynki jedno, a nawet dwupiętrowe. Wokół nich wyrastało z ziemi miasto. Nad wszystkim dominowało centralne, ufortyfikowane wzgórze, którego mury otaczały Stolicę Świętą i z którego wystrzelały w górę wieżyce Katedry Świętego Jana na Wygnaniu, gdzie wikariusz Chrystusa na tej ziemi modlił się podczas mszy do Ojca. Czarnoząb był oszołomiony i ledwie zdał sobie sprawę, że kardynał coś do niego mówi.

– Słucham, panie mój?

– Czy wiesz, że plac przed Świętym Janem jest wybrukowany kamieniami przywiezionymi tutaj z Nowego Rzymu? Przez całą Równinę!

– Mówiono mi, panie, że obszar wokół Katedry jest terytorium noworzymskim.

– Święty Jan na Wygnaniu został wzniesiony na noworzymskiej ziemi. Sprowadzonej. Dlatego tutejsi utrzymują, że nie ma potrzeby, żeby wracać do Nowego Rzymu. Przypominają nawet każdemu, kto chce słuchać, że i on został zbudowany na ziemi sprowadzonej.

– Zza morza?

– Tak mówi historia.

– Czcigodny Boedullus jest innego zdania.

– To prawda. Teoria schizmy w czasach katastrofy. Kto wie? Jak doszło do tego, że najpierw zarzucono łacinę, później jednak do niej wrócono?

– Według Boedullusa stało się to w czasach Sprostaczenia, panie mój. Pałacy księgi nie niszczyli dzieł o treści religijnej. Jednym ze sposobów ratowania cennych tekstów przed prostaczkami było tłumaczenie ich na łacinę i zdobienie na wzór Biblii, nawet, gdy chodziło o podręcznik. Łacina była też pożyteczna jako sekretny język...

– Patrz, ten budynek przed nami to Sekretariat – przerwał mu kardynał. – Tam właśnie ty i być może Wooshin będziecie od czasu do czasu pracować. Najpierw jednak musimy znaleźć dla was kwaterę.

Pochylił się i powiedział coś woźnicy. Niedługo potem skręcili z wybrukowanej kamieniami arterii w boczną błotnistą ulicę, nad którą zwieszały się obsypane już pierwszymi pączkami gałęzie. Zbliżał się Wielki Tydzień i czas wyboru nowego papieża.

Rozdział 7

„Zachowamy tę świętą siódemkę, jeśli wypełnimy przyjęty na siebie obowiązek służby przez Jutrznę, Prymę, Tercję, Sekstę, Nonę, Nieszpory i Kompletę, gdyż o tych właśnie dziennych godzinach Oficjum Prorok powiedział: «Siedemkroć na dzień głoszę Twoją chwałę». O nocnych Wigiliach bowiem Prorok mówi: «Wstaję o północy, aby Cię wielbić» (Ps 119 [118], 62). W tych więc godzinach oddajemy chwałę naszemu Stwórcy «z powodu sprawiedliwych Jego wyroków* (Ps 119 [118], 62, 164) [...] a i w nocy wstawajmy, aby Go wielbić”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział XVI

Ciepły i suchy chinook od gór owiewał śnieg, który szybko topniał. Chiir Hpngan, zdążając na północny wschód, objeżdżał ubogie rolnicze wspólnoty nad łożyskiem rzeki Kensau. W Pobli uzbroił się w ciężki, krótki łuk i kołczan ze strzałami. Kardynał wręczył mu dwulufowy rewolwer i kupił od nomadzkiego handlarza niepodkutego ogiera, Hpngan wolał jednak uniknąć konfliktów z ludem Czarnożęba, uprawiającym o tej porze roku nawodnione poletka ziemniaków, kukurydzy, pszniczy i słoneczników, amieszkającym w umocnionych domach z kamienia i darni. Ludzie ci pracowali dla posiadaczy ziemskich, między innym dla biskupa Denver. Mogli wziąć go za nomadzkiego wykrotnika, jednego z takich, jacy zjawili się w Łukowej Kotlinie. Ziemia była tu marna, ale dzięki starannej uprawie udało się ją użyźnić. Zbliżała się już pora sadzenia i na polach widać było sporo mężczyzn i mułów, trzymał się więc z daleka od wyboistych dróg i jechał jak najwyżej położonymi szlakami, pozostawiając ślady, którymi ksiądz Ombroz e'Laiden i teksarkański odszczepieniec mogli bez trudu podążać.

Na południe od Pobli, w pobliżu telegraficznego terminalu, można było natknąć się na zdążających w jedną lub drugą stronę teksarkańskich agentów, dlatego Hpngan jechał samotnie, póki nie znalazł się w głębi porośniętej niską trawą krainy, gdzie wypasały swe bydło Dzikie Psy. Tam zatrzymał się, by poczekać na jadących za nim. Wypatrywał ich, ukrywając się wraz z koniem w pewnej odległości od szlaku, z którego zjechał. Po jakimś czasie usłyszał, że mijają go, posuwając się na północ. Kiedy ich głosy zanikły, zostawił konia, a sam wygramolił się z kryjówki i zaczął wsłuchiwać się w

szum wiatru z południowego zachodu. Przyłożył na chwilę ucho do ziemi, a potem przeczołgał się między dwa głazy, tak że był widoczny tylko z tego odcinka drogi, który miał pod sobą. Dobięły go odległe głosy.

- Przejechały tędy trzy konie. To pewne.
- Ale niekoniecznie razem. Tylko jeden jest podkutny.
- Pewnie koń kapitana Loyte'a.
- Nie nazywaj tego zdrajcy kapitanem! Sprzedał stopień wojskowy i honor za nomadzką cipę.

Rozmowa toczyła się w języku Ol'zark. Hpngan założył strzałę na cięciwę i naciągnął łuk. Pokazał się pierwszy jeździec. Spadł z konia, gdy strzała przeszła mu gardło. Hpngan skoczył do przodu i zastrzelił drugiego jeźdźca, kiedy ten podnosił muszkiet do oka. Z drugiej lufy oddał strzał jednocześnie z trzecim mężczyzną, ale obaj chybili. Jeździec odwrócił się i uciekł.

Wojna między nomadami i Cesarstwem trwała już ponad siedemdziesiąt lat, ale do takich starć jak to dochodziło rzadko, tylko wtedy, gdy żołnierze cesarscy wtargnęli na ziemie Klaczy.

Święty Szał załadował pistolet, dobił rannego, a potem poszedł po swojego konia i schwytał rumaki poległych. Przeszukał torby przy siodle, znalazł dowody, że jeźdźcy byli agentami, puścił więc konie wolno i wrócił, żeby przeszukać ciała. Ze złością wpatrywał się w ślady pozostawione przez wierzchowca, na którym jechał odszczepieniec. Ponieważ wiedział, dokąd udawali się tamci dwaj, nie zwrócił przedtem uwagi na odciski kopyt.

Dosiadł konia, i czując na plecach ciepły powiew wiatru, ruszył w pościg za księdzem i jego towarzyszem. Jego osobista wojna z Teksarkiem zaczęła się dawno temu i nigdy się nie skończy. Przysiągł to na imię swojego przodka. Szalonego Niedźwiedzia, wzywając na świadków Puste Niebo i Najświętszą Pannę. Jechał po śladach całe popołudnie i nie zatrzymał się nawet, kiedy zaczął zapadać zmierzch, zdając sobie sprawę, że tej nocy księżyc nie oświetli mu drogi. Potem zjadł trochę suszonego mięsa, i nie rozpalając ogniska, zaczął przygotowywać się do spędzenia nocy na nasłuchiwanie wycia i szczekania dzikich psów, które prosta czkowie nazywali wilkami i których bardzo się bali. Przywiązał konia do kołka, rozwinął pledy, a potem, idąc powoli, zatoczył

ochronny krąg w odległości pięciu lub sześciu kroków od miejsca, gdzie zamierzał się ułożyć, co parę kroków zaznaczając własnym moczem swoje nocne terytorium. Dzięki temu zwierzęta zazwyczaj dają spokój śpiącemu, chyba że wyczują, iż krwawi albo jest chory. Przez całą noc tylko raz usłyszał zbliżające się drapieżniki. Zerwał się wtedy na równe nogi, odrzucając pledy, i wydał z siebie gniewny ryk. Odpowiedział mu chór skowytów i kilka niewyraźnych w świetle gwiazd kształtów umknęło od odwietrznej granicy jego terytorium. Od tego ryku przeszła mu całkowicie ochota na sen i leżał przez resztę nocy, snując smętne rozważania o ludziach, których poprzedniego dnia zabił.

Chiir Hpngan po raz pierwszy zabił człowieka, kiedy miał dwanaście lat. Był to żołnierz patrolujący teksarkańską granicę. Ombroz rozgrzeszył chłopca z tego czynu, jak rozgrzeszyłby żołnierza na wojnie, gdyż tamten znalazł się nie po swojej stronie rzeki, miał na sobie mundur, nie miał natomiast chorągiewki podróźnego, której wymagał Traktat Świętej Klaczy. Jeśli chodzi o Dzikie Psy – a ksiądz szanował poczucie wspólnoty z hordą – po Świętej Klaczy nie podpisano już żadnego traktatu z doczesnym mocarstwem, także z Teksarkiem. Pokój nigdy nie nastąpił, słabł tylko, a czasem zamierał rytm wojenny. Nie dochodziło prawie do starć, gdyż jedyną granicą oddzielającą na południu Dzikie Psy od Cesarstwa była rzeka Nady Ann, za którą rozciągał się objęty okupacją kraj Dzikich Królików. Może nadejdzie czas na podjęcie walki, ale dopiero wtedy, gdy do boju zerwą się Dzikie Króliki. Na wschodzie, w krainie wysokich traw, Pasikonik walczy z wrogiem, kiedy mu wygodnie, ale nie prosi o pomoc Dzikich Psów – póki nie pojawi się władca Trzech Hord.

Ombroz nie czynił trudności z udzieleniem rozgrzeszenia za to zabójstwo, ale postarał się też, żeby chłopak, zgodnie ze starożytnym obyczajem, przeżył piekło. Wyrostek musiał odciąć i zjeść płatek ucha kawalerzysty, by uhonorować w ten sposób zabitego wroga, to bowiem

uznał za stosowne wuj z Niedźwiedziego Ducha. Kapłan zażądał czegoś więcej. Kazał chłopcu medytować godzinę dziennie nad wielkością Eucharystii i przerobił z nim raz jeszcze kilka ustępów katechizmu. Dopiero potem udzielił mu komunii. Hpngan

przypomniał sobie to wszystko i uśmiechnął się. Nie wyjawiał księdzu, że jedząc płatek ucha, opłakiwał swoją ofiarę. Jeśli chodzi o ludzi, których zabił poprzedniego dnia, nie potrafił dostrzec tego, czego starał się nauczyć Wooshin. Chodziło o Nicość. Topór daremnie próbował powiązać ją z nomadzkim Pustym Niebem. Chodziło o nicość bycia mężczyzną. A może chodziło o jakieś skojarzenie z chrześcijaństwem? Zbyt wiele jest sposobów patrzenia na rzeczy. Sto lat temu, dla jego praprawujów, był tylko jeden sposób. Hpngan pomyślał, że dawny sposób patrzenia na świat jest być może podobny nieco do sposobu Wooshina – tyle że bardziej uczuciowy i wizjonerski. Właściwego sposobu, swojego sposobu widzenia rzeczy, Hongart nie odnalazł. Jeszcze nie.

Przed świtem strząsnął szron z pledów i ruszył na wschód przy mdłym świetle księżyca w nowiu. Widział, któredy pojechał ksiądz, nie musiał więc wypatrywać śladów. Po dwóch godzinach dogonił ich. Ombroz rozpalił ognisko z nawozu i teraz pili w promieniach wschodzącego słońca gorącą herbatę i żuli suszone mięso. Kapelan pozdrowił go, a odszczepieniec, którego Hpngan jeszcze nie znał, wstał, spodziewając się, że zostaną sobie przedstawieni, ale nomada poszedł prosto do spętanych koni. Pogładził jednego z nich, powiedział łagodnym głosem parę słów, a potem przeciął pęto i uniósł przednie kopyto, żeby uważnie się mu przyjrzeć. Po chwili wyprostował się i spojrzał na dwóch mężczyzn.

– Ojcie, wprowadziłeś między nas szpiega!

– O czym ty mówisz, synu? To kapitan Esitt Loyte, którego polecił nam kardynał Kucisawy. Poślubił wnuczkę Wetoka Enara, twoją krewniaczkę.

– Niechby poślubił wnuczkę samego diabła! Ma podkutego konia, żeby wiedzieli, gdzie jest.

Ksiądz zmarszczył czoło i spojrzał na byłego oficera. Potem wstał i spojrzał w kierunku zachodnim.

– Nie martw się, ojcie. Zabiłem dwóch, jeden uciekł. Oto ich papiery. – Spojrzał na Loyte'a i sięgnął po pistolet.

Cudzoziemiec splunął w ogień i powiedział:

– Obejrzyj mojego konia z obu stron. Dziękuję jednak, żeś zabił nastanych na mnie zabójców.

Hpngan wycelował w jego brzuch.

– Twój zabójca stoi przed tobą.

– Poczekaj, Niedźwiedziątko – warknął ksiądz. – Zrób, co powiedział. Obejrzyj piętno.

Nomada opuścił niechętnie pistolet i raz jeszcze obejrzał wierzchowca należącego do cudzoziemca.

– To koń pramatki Wetok – wykrzyknął ze zdumieniem. – I kazałeś go w Pobli podkuć? Ty cholerny głupcze!

– Skoro jechali, żeby mnie zabić, czemu miałbym zostawiać ślady?

Esitt Loyte chciał się wytłumaczyć, ale Hpngan nie zwrócił na niego uwagi. Wyjął narzędzia ze swojej torby i przystąpił do podważania podkowy z przedniego kopyta zwierzęcia.

– Pomóż mi – poprosił Ombroza.

Szybko wyciągnął ćwieki. Schował podkowy w torbie przytroczonej do swego siodła.

– Musimy pokazać je twojej teściowej – rzekł, zwracając się do cudzoziemca.

– Niechciałem...

– Niedźwiedziątko, ten człowiek jest ekspertem w zakresie taktyki teksarkańskiej kawalerii, zna ich plany wojenne. Ścigali go, żeby zabić!

– Teraz jednak stał się dla nas bezużyteczny, ponieważ wiedzą, że tu jest.

– Na podstawie śladów pozostawionych przez podkowy? Przecież mógł zostawić je każdy! Jakiś duchowny. Podróżny.

– Lub zdrajca. Zanim usłyszałem z ich ust jego imię.

– Ale teraz jest po wszystkim, a trop urywa się w tym miejscu. Loyte ma rację. Zamierzali go zabić. Oni, w przeciwieństwie do ciebie, uważali, że może być dla nas użyteczny. – Obrócił się do młodego oficera. – Dlaczego kazałeś podkuć wierzchowca?

– Przed wyruszeniem w góry rozmawiałem w Pobli z człowiekiem wynajmującym konie, który mi to doradził. Zresztą zawsze jeździłem na podkutych koniach. W kawalerii....

– Trop urywa się w tym miejscu – powtórzył ksiądz. – Niedźwiedziątko, zapewniam cię, że nie ma się czym trapić.

– Ruszamy – powiedział nomada, wskazując na horyzont. – Spójrzcie na tę chmurę pyłu. Tuż na wschód od tego miejsca biegnie

szlak wędrówek bydła pędzonego na północ. Poczekamy na pograniczu, a potem będziemy jechać przez kilka godzin przed stadami, które zadepczą nasze ślady.

– W ten sposób nie dotrzemy przed zmrokiem do domu – zaprotestował Loyte.

– Do domu? – warknął Hpngan.

– Do hoganów jego żony i jej pramatki – powiedział stanowczym głosem Ombroz. – Zgadzam się jednak, że powinniśmy zrobić tak, jak mówisz.

Dopiero wczesnym popołudniem Święty Szał uznał, że wełniste bydło nomadów, które widzieli za sobą jako odległy obłok kurzu, zatarło ich ślady. Porzucili bydłęcy szlak i znowu ruszyli na północny wschód.

Ombroz nadal robił, co mógł, żeby doprowadzić do pojednania.

– Jeśli powiedzie się plan kardynała, Hannegan będzie musiał zrezygnować na wiele lat z wypadów na ziemie Dzikich Psów i Pasikoników. W tym czasie hordy umocnią się pod panowaniem jednego króla.

Hóngan przez chwilę milczał. Obaj wiedzieli, że ziemie Pasikoników, porośnięte wysoką trawą prairie na wschodzie, wytrzymają każde uderzenie. Ci z ludu Czarnozęba, którzy wypasali tutaj bydło, z konieczności stali się najzacieklejszymi wojownikami spośród wszystkich hord. Stawiali czoło wojskom Hannegana i naporowi farmerów na żyzniejsze tereny wschodnie. Najbliższe Kościołowi w Valanie i jego potencjalnym sprzymierzeńcom po drugiej stronie gór były jednak Dzikie Psy. Między hordami dochodziło do tarć, a sytuację pogarszali nomadzcy wykrotnicy, którzy wyrzekli się systemu dziedziczenia po kądzieli i przyciągali do siebie młodych uciekinierów z podbitych terenów Pasikoników na południe od Nady Ann.

– Czeka nas wkrótce kłopot z zapłatą za prowiant – powiedział w końcu Hpngan, zwracając się do księdza.

– Tym możesz się nie martwić – wtrącił się były oficer. – Jego Eminencja kontroluje znaczne bogactwa.

– O tak, Półplemienny ma wiele bydła – rzucił kwaśnym tonem Hóngan.

– Są inne rodzaje bogactwa niż bydło – odparł kapitan Loyte. – I jak śmiesz nazywać go Półplemiennym? Czyż nie jesteś w końcu chrześcijaninem?

Ksiądz wybuchnął śmiechem.

– Spokojnie, Loyte, mój synu. Niedźwiedziatko ćwiczy się po prostu, jeśli można tak rzec, w plemiennym sposobie mówienia. Jakże zabrzmiałoby „najznakomitszy pan Ełia kardynał Kucisawy, diakon od Świętej Małgi” w ustach syna prawują Złamanej Stopy, włodarza Trzech Hord?

– Mój ojciec nie jest na razie panem niczego – burknął Chiir Hpngan, który nie wyzbył się wcale kwaśnego humoru.

– Widzisz, jak w miarę zbliżania się do domu staje się coraz bardziej nieokrzesany? – zauważył Ombroz.

– Nie tylko nie jest panem niczego – ciągnął Święty Szał – ale ja jestem tylko jego synem, nie zaś siostrzeńcem.

– Wiesz, że niczego to nie zmienia – odparował ksiądz. – Tego odwiecznego urzędu nie można nijak dziedziczyć, ani po linii matki, ani inaczej. Spoczął na tobie wzrok starych kobiet, Święty Szale. A kiedy stare kobiety szukają Qcesach dri Vordcir, oznacza to, że szukają magicznego przywódcy, nie zaś czyjegoś siostrzeńca czy syna.

– Nie lubię takich rozmów, nauczycielu – powiedział Hóngan.

– Kocham i szanuję mojego ojca. Rozmowa o dziedziczeniu jest rozmową o śmierci. I od czasów Szalonego Niedźwiedzia nie było żadnego Qoesach Vordar. Kto wie, co po siedemdziesięciu latach przerwy lęgnie się w głowach nowoczesnych kobiet.

Słyszając słowo „nowoczesne”, Ombroz zachichotał.

– Prawuj Złamana Stopa będzie żył długo – oznajmił były oficer teksarkański. – Widziałem go ledwie trzy miesiące temu, kiedy odwiedził mojego szwagra.

– Widzę, że odszczepieniec jest też znawcą medycyny – rzucił nomada.

Oficer spojrział na niego z urazą w oczach.

– Czy to nie ten Szalony Czarownik twierdził, że widział Nocną Wiedźmę, ojczy?

– Do diabła, klecho! Musiałeś mu to mówić?

Ksiądz Ombroz obrzucił obu szybkim spojrzeniem.

– Nie ważcie się zepsuć wszystkiego waszymi kłótniami! Albo oddawajcie broń, zsiadajcie z koni i walczcie. Tu i teraz!

– Sąd Boży? – parsknął Hpngan. – Prawda, Czarnoząb mówił mi, że Kościół niegdyś to praktykował. Czemu nie uczyłeś mnie o tym, ojczu? Zaniedbałeś tę część katechizmu, która odnosi się do Pana Zastępów, lecz teraz chcesz, byśmy poddali się sądowi Boga, walcząc na pięści? Ja nie szukałem zwady. Chciałem tylko dowiedzieć się od naszego teksarkańskiego doradcy, jakie jeszcze bogactwo ma Półplemienny poza bydłem. Sam odszczepieniec powiedział, że coś takiego istnieje!

– Zamknij wreszcie tę swoją cholerną gębę! – krzyknął oficer i przeniósł cały ciężar ciała na lewe strzemię, żeby zatrzymać konia.

Chiir Hpngan przyglądał się mu przez chwilę, a potem wzruszył ramionami i zeskoczył z wierzchowca.

– Muszę cię ostrzec, kapitanie, że Święty Szał ćwiczył się w sztuce walki u prawdziwego mistrza, byłego kata Hannegana – powiedział szybko Ombroz. – Może o nim słyszałeś?

– Masz na myśli tego żółtoskórego genoka? Posłuchajcie! Jeśli boicie się zdrajców, miejcie go na oku. Nie zdziwiłbym się, gdyby Filipeo Harq posłał go, żeby zabił kardynała. Ma swój zastęp najemnych morderców. To specjaliści od przenikania we wrogie szeregi.

– Topór nie jest genokiem, mieszczaninie – powiedział nomada. W jego ustach słowo „mieszczanin” było obelgą. – Tam, skąd przyszedłeś, to ty byłeś brany za genoka. On zaś nienawidzi Filipeo Harq prawie tak jak ja, chłoptasiu z miasta.

– Po co to mówisz? Kapitan Loyte jest po naszej stronie. Zna swój fach. Postaraj się nie być takim idiotą, synu.

– No dobrze, powiedz tylko temu bękartowi, żeby nie patrzył na mnie z góry.

Hpngan odwrócił się, żeby dosiąść z powrotem konia. Ale Loyte nie zdołał zapanować nad wściekłością i smagnął go przez plecy biczem.

Hpngan odwrócił się, chwycił oficera za nadgarstek, kiedy ten już miał smagnąć go po raz drugi, i kopnął go swoim spiczastym butem w brzuch.

Kapitan był przez kilka minut półprzytomny i wydawało się, że kopniak może okazać się dla niego zgubny. W końcu księdzu udało się doprowadzić go do jako takiego stanu, ale musieli zatrzymać się w tym miejscu na noc, żeby Loyte doszedł do siebie. Ombroz modlił się długo i z gniewem w sercu, prosząc Boga o zmiłowanie, aby dał im to, na co sobie nie zasłużyli: czas na skruchę. Hpngan sennie pomrukiwał coś pod jego adresem. Loyte skamlał i kłął pod nosem.

Rankiem Chur Hpngan chwycił oficera za klapy, wyciągnął go spod pledów i zmusił do powstania.

– A teraz posłuchaj, świniojebco! Jeśli jesteś kapitanem w naszej armii, ja jestem twoim pułkownikiem. Masz mówić do mnie „panie pułkowniku” i mi oddawać honory.

Pchnął byłego oficera tak, że ten opadł bezwładnie na zadek. Wstrząs spowodował, że Loyte stęknął z bólu i chwycił się za brzuch.

– O nie, to ty mnie posłuchaj! – Ombroz chwycił swoje Niedźwiedziątko za ramię i odciągnął je trochę, żeby Loyte ich nie słyszał. – Nigdy nie widziałem, byś zachowywał się tak brutalnie! Dlaczego? Rozumiem, że upomniałeś się o swoje starszeństwo, ale mogłeś przecież uszkodzić mu trzewia! Zyskałeś sobie wroga do końca życia, i to tylko dlatego, że nie zapanowałeś nad nerwami.

– Nie. Przez cały czas był dla wszystkich wrogiem. Łotr z jego plemienia nie może być niczym przyjacielem. Jest, kim jest, i musi znać swoje miejsce!

– Nie mówisz poważnie! Przed Bogiem jest takim samym człowiekiem jak ty.

– Przed Bogiem, tak. Ale moją sprawą jest wskazać mu miejsce w szeregach walczących pod wodzą szarfa wojny i musi wiedzieć, że to miejsce jest bardzo niskie. Nie można mu ufać.

– Wiesz to, bo jesteś przenikliwym znawcą ludzkiej duszy – powiedział z ironią Ombroz. – Większym niż kardynał, który jako pierwszy nam go polecił. Wierzę, że agenci, których za nim posłano, mieli go nie śledzić, ale zabić. A poza tym miał żyć z rodem Wetok bez względu na to, czy przyjechał z nami, czy bez nas. Przyjęli go między swoich. Spędził z nimi zimę.

– Czy widziałeś, żebym się z kimś ostatnio kłócił?

- Nie, Święty Szale. I mam nadzieję, że mylisz się co do tego człowieka. Zbyt wiele o nas wie, byśmy mogli pozwolić mu odejść.

- To nam nie grozi. Nie ma dokąd pójść. Zostawimy go wśród ludzi jego żony bez względu na to, co powiedział znamienity kardynał. Nadal zastanawiam się, skąd wie, że Kucisawy może mieć swoją część zapłaty za broń, którą obiecał. I skąd ta broń pochodzi.

- Elia pracował wytrwale dla papieża Linusa, Niedźwiedziątko, i papież sownie go wynagrodził. Wiem, że Elia ma dobra na wschodnim wybrzeżu i w kraju Oregon, ale być może nie chce używać tego bogactwa. Zaufaj mu. Jeśli płacisz handlarzom sześćset sztukami bydła, kardynał postara się, żeby ktoś zapłacił innemu dwie trzecie ceny. Teksark, jako najpotężniejsze państwo na kontynencie, ma mnóstwo wrogów i niewielu przyjaciół. Wielu z tych wrogów z przyjemnością pomoże uzbroić hordy. Okazałeś niewdzięczność.

- Wcale nie. Cenię Kucisawego. Wiem, że bardziej liczą się jego wpływy niż bogactwo. I wierzę, że mająk najlepsze intencje. Nie znaczy to jednak, że z tych intencji wyniknie coś dobrego. Jeśli jest bogaty, świetnie. Skąd jednak Loyte o tym wie?

- Sądzę, że nie wie. Potraktował cię z góry, to prawda, Każdy, nomada czy mieszczanin, czuje się lepszy od innych. Nomas et civis to historia stara jak stworzenie świata. Jeśli jednak mówimy o pieniądzach, na wschód od działu wód nie brak państw, które chętnie by widziały imperium Hanneganów zamknięte w dzisiejszych granicach, a nawet zepchnięte na wschód. W Teksarku zbyt wiele się gada o jedności kontynentu, a posłowie wracają do siebie z raportami o tej gadaninie. Znajdzie się nawet jedno, czy drugie państwo, które da ci broń za darmo.

- Sześćset sztuk bydła to nie jest za darmo.- Ale prawie nic. Kardynał Kucisawy wyjawiał mi rzeczywistą wartość towaru. Bliżej sześciu tysięcy sztuk!

- Jeśli w ogóle dostaniemy broń. Bo może handlarze dostarczą sam złom.

- Skąd ten podły nastrój, Święty Szale? Myślałem już, że nazwiesz Loyte'a trawożercą.

Hpngan roześmiał się.

– W domu mojej matki nadal używa się tego określenia. U siebie mogę zwracać się do niego, jak mi się spodoba.

– Wiesz, Święty Szale, jest w tobie jakaś polityczna plugawość, której ja ci nie wpoiłem.

– Ależ wpoiłeś, wpoiłeś!

– Nie, to nieprawda!

– Czyżbyś ty też zapragnął smagnąć mnie biczem, o nauczycielu?

– Robiłem to!

– Och, ja miałem wtedy dziesięć lat, a i ty byłeś młodszy. Nauczyłeś mnie, że nie można uderzyć duchownego, lecz nie...

Nomada zamilkł. Zobaczył, że twarz Ombroza zmieniła się, potrząsnął więc tylko przepaszająco głową i wrócił do swojego konia.

Kiedy rozbijali obóz, żeby spędzić drugą już noc pod gołym niebem, zobaczyli posłańca z królewskiego rodu Hordy Dzikich Psów. Jechał na południe ze złymi wiadomościami. Prawuj Złamana Stopa miał wylew, stracił władzę w lewej nodze i zaczął już układać swą pieśń umierania. Uznano więc za rzecz mądrą, by pramatki i szamani zaczęli zastanawiać nad innymi kandydatami na starodawny urząd Qa?sach dri Vordar.

Następnego dnia dotarli do hoganów pramatki rodu Wetok Enar. Staruszka była słaba, niedomagająca, tak więc żona Loyte'a, Potear Wetok powitała ich sama. Jej mąż. zsiadł z konia, by ją objąć, ale go odepchnęła. Jego „nauka o naszych koniach” – nomadzki eufemizm używany przy wprowadzaniu nowego pana młodego przez matki jego nowej rodziny – jeszcze się nie zakończyła. Złożyła pokłon księdzu Ombrozowi i Chiir Manganowi i zaprosiła ich go hoganu swojej pramatki. Uprzejmość nakazała im pójść za nią, chociaż obaj chcieli wrócić jak najszybciej do rodziny Hpngana.

– Chiir, czy słyszałeś złą nowinę? – spytała śliczna wnuczka. – Mam nadzieję, że nie ja będę musiała ci ją przekazać.

– Spotkaliśmy posłańca i wiem, co z moim ojcem. – Podał jej skórzaną sakwę z podkowami. – Twój mąż wszystko ci wytłumaczy. Później.

Spojrzała z zaciekawieniem na torbę, ale nie podniosła klapki. Zaprowadziła ich do hoganu.

Stara kobieta siedziała na skórzanym krześle zawieszonym między dwoma słupkami osadzonymi w podłodze z ubitej gliny. Spróbowała wstać, ale Hpngan skinął ręką, żeby siedziała. Mimo to okazała szacunek Hpnganowi i Ombrozowi, robiąc kokaj, to znaczy uderzając się w czoło knykciami, pochylając się w stronę każdego z nich i kładąc jednocześnie obróconą wewnątrz do góry dłoń na głowie. Nie złożyła takiego ukłonu Esittowi Loyte. Zignorowała swego zięcia – trudno orzec, czy chodziło tu o zwykłe dokuczanie panu młodemu („naukę o naszych koniach”), czy rzeczywistą pogardę.

– Hpnganie Osie Chiir, wielce zmartwiłam się tym, co Nocna Wiedźma tak głupio uczyniła twojemu ojcu.

Jej słowa zabrzmiały złowieszczo. Ombroz zauważył, że Hpngana trawi w tej chwili jakaś trwoga. Przypisanie choroby Złamanej Stopy Nocnej Wiedźmie i nazwanie tego głupim wyczynem oznaczało, że został wybrany przez kobietę Weejus na Qcesach dri Vordar, a przestawienie imion Chiira i umieszczenie imienia rodowego matki na końcu znaczyło, że syn Złamanej Stopy zajął z jakiegoś powodu wyższą pozycję w jej oczach. Ale Hongan Osie było zdrobnieniem imienia historycznego Hpngan Ós, który przegrał wojnę z Hanneganem II i wytracił połowę swego ludu.

– Czy wieczorem wypijesz z nami krew? – spytała stara kobieta.
– Chcemy uczcić narodziny dwóch bliźniaczych źrebiąt z najlepszej klaczy Potear. Są zdrowe. To rzadkie i szczęśliwe wydarzenie.

– Wzniesź w naszym imieniu kielich za Dziewicę, Babko – odparł ksiądz Ombroz. – Wybacz nam ten pośpiech, ale prawuj Złamana Stopa czeka na nas.

– To prawda, będzie chciał zobaczyć swojego syna, ty zaś udzielisz mu ostatniego namaszczenia. Jedźcie więc z Chrystusem i naszą Panią.

Wyjechali, zostawiając nieco z tyłu Esitta Loyte z oblubienicą i powinowatymi.

– Kapitan musi jeszcze niejednego nauczyć się o koniach rodu Wetok – powiedział z krzywym uśmiechem Ombroz, kiedy znaleźli się poza zasięgiem uszu Loyte’a.

Hongan roześmiał się.

– Nauczy się niemało i to raz dwa, kiedy Potear pokaże podkowy tej starej Weejus.

Góry na zachodzie niemal zniknęły w obłoku pyłu, kiedy Święty Szał oświadczył nagle, że Złamana Stopa zrobił się w swej chorobie drażliwy i jego stara żona doszła do wniosku, iż musi wyznaczyć kogoś na tymczasową głowę rodu.

– Skąd to wiesz? – powiedział ironicznym tonem ksiądz. – Miałeś wizję?

– Oto wizja!

Hpngan wskazał w kierunku wschodnim. Ostrożnie zaczął się unosić z siodła i w końcu stanął na końskim zadzie.

– Moje stare oczy widzą tylko pustkę. Co to takiego?

– Tam ktoś jest. Chyba mój wuj. Wiele mil stąd. Wymachuje rękami i przekazuje nowinę tańcem. Zobaczyli wzbijane przez nasze konie kurz.

– Acha. nomadzki język sygnałów. Powinienem był nauczyć się go, kiedy byłem młodszy. Zawsze mnie zadziwia.

– Zapewnia nam przewagę nad ich wojownikami. – Wskazał kciukiem w stronę taksarkańskiego oficera. – Odkąd istnieje telegraf, nie – warknął Loyte. – W tym samym celu używamy zwierciadeł słonecznych.

– Ale tylko w pogodne dni, a poza tym rozszyfrowaliśmy już wasz system sygnałów.

Kiedy zza horyzontu wyłoniły się hogany rodu Małego Niedźwiedzia, zobaczyli też mały obłok kurzu i wkrótce podjechał do nich jeździec. Był to dziewierz Złamanej Stopy, tytułarny przywódca rodu, Czerwony Sęp. który z własnej woli odstąpił tę godność mężowi siostry. Ponieważ Złamana Stopa był chory, jego dziewierz objął należne mu stanowisko. Był to szczupły, pełen powagi, prawie sześćdziesięcioletni mężczyzna o ciele pokrytym sinymi łatami, które mogły wskazywać, że jest genokiem – nie wśród nomadów jednak, ci bowiem odnosili się z czcią do tego rodzaju defektów jako do piętna Pustego Nieba. Z pewnym namaszczeniem zdał Świętemu Szałowi sprawę ze stanu Złamanej Stopy, który został wprowadzicie kaleką, ale śmierć mu nie groziła.

– Niektórzy z naszych poganiaczy wrócili już z południa – powiedział Czerwony Sęp, zwracając się do Ombroza – między

innymi nasi z Ducha Niedźwiedzia. Są teraz u niego. Ale oczywiście pragnie was zobaczyć.

Ombroz zaczął mówić o papieżu, ale nowina dotarła już do Czerwonego Sępa. Nawet podczas nieobecności kardynała Kucisawego w Valanie jego sekretariat stale wysyłał i przyjmował posłańców od ludów z Równin. Kiedy dotarli do osady Niedźwiedziątka, dzieci i co młodsze niewiasty wybiegły, by ich powitać i paść w ramiona Hpngana i księdza.

– Czy zostaniesz z nami, kiedy już odwiedzisz ojca? – spytała matka. – Czy też musisz jechać dalej, do krainy Pasikoników?

Święty Szał zawahał się. Nie wyjawiał jej tego przedtem.

– Zdaje się, że Kuhaly rozwiodła się ze mną. – Spojrzał na księdza, który połączył ich węzłem małżeńskim, ale Ombroz odwrócił wzrok. – Powiedziała, że przyśle po mnie, kiedy będę jej potrzebny. Ale nawet jeśli zechce mnie przyjąć, być może nie wrócę.

Na twarzy matki pojawił się wyraz rozczulenia.

– Wyrzucają ci, żeś nie spłodził córki?

– Może i tak. Także to, że zbyt często mnie nie ma. Jej bracia skarżą się. Zbyt mało zrobiłem dla rodziny. Mówią, że jestem za bardzo przywiązany do ciebie. Wiesz, jak się coś takiego określa.

– Kiedy brałeś sobie dziewczynę z Pasikoników, tego właśnie się obawiałam. Nasi poganiacze mówią, że tej zimy znowu musieli walczyć z nimi o pastwiska.

– Ktoś poległ?

– Wśród naszych są tylko ranni. Nie wiem, jak u nich. Wystrzelono mnóstwo kul i strzał. A teraz chodź do ojca.

Szamani rodu Małego Niedźwiedzia opuścili hogan, kiedy Ombroz udzielał ostatniego namaszczenia najstarszemu ze swoich konwertytów. Ksiądz wiedział, w jakie zakłopotanie wprawia ich to, że tej czy tamtej z ich praktyk nie dawało się pogodzić z wiarą, której nauczał. Sami przyjęli przecież chrzest tylko dlatego, że takie było życzenie Złamanej Stopy. Jeśli starzec umrze, ich zakłopotanie (i zawiść?) może zmienić się we wrogość. Cała rodzina wiedziała jednak, że kiedy Ombroz musiał dokonać wyboru między nimi a swoim zakonem – nowy przełożony generalny zakonu, mianowany przez arcybiskupa Benefeza, a więc przez Filipeo Harqą, odwołał go do Nowego Rzymu – Ombroz odmówił wyjazdu. Został wygnany i

obłożony interdyktem. Udał, że ignoruje te kary, ale przejął się nimi bardziej, niż gotów byłby przyznać. Zdawał sobie sprawę, że kobiety Weejus stanęłyby po jego stronie w każdym sporze z szamanami Ducha Niedźwiedzia, ale wolał unikać waśni, podobnie jak i oni – w każdym razie jak dotąd. Dzięki jego naukom większość tej nomadzkiej rodziny przeszła na chrześcijaństwo, on zaś po latach stał się nomadą jak oni.

Ombroz nie był pierwszym nauczycielem z Zakonu Świętego Ignacego patrzącym, jak jego ulubiony wychowanek, którego uczył samodzielności, zaczyna myśleć inaczej niż przewidział nauczyciel. Tego wieczoru westchnął ciężko, obserwując Chiir Hongana, który w przyćmionym od dymu świetle ogniska z bydlęcego nawozu płonącym przed hoganem Złamanej Stopy wykonywał razem z szamanami taniec umierającego.

Bębny, zdać by się mogło, skandowały: „Straszna, idź sobie, straszna, idź sobie, straszna Mamo, sobie idź...”

Taniec miał uśmierzyć gniew Czarnego Wichru, przerażającego odpowiednika Pustego Nieba, i obronić przed Nocną Wiedźmą. Przez jakiś czas krążył po osadzie, podchodził do kolejnych ognisk, rozmawiał ze swoimi dawnymi „parafianami”. Tylko nielicznych można było uznać za prawdziwych chrześcijan, większość zaś akceptowała go jako członka warstwy szamańskiej. Wśród nieochrzczonych głos jego mądrości wart był wysłuchania, kiedy podczas narady rozlegała się jego pieśń.

Przed podbojem nie było tego rodzaju osad. Teraz jednak Równiny były coraz gęściej usiane hoganami z kamienia i zaprawy murarskiej, przypominającymi domy farmerów. Budowano je przeważnie nad okresowymi strumieniami albo oczkami wodnymi w wyschniętych korytach rzek. Dzieci i starcy spędzali w nich zimy, a w tym czasie poganiacze przepędzali swoje wełniste bydło, szukając najlepszych pastwisk i ochrony przed najgorszą z wyjątych zamieci, która w środku zimy omiatała Równiny. Przybywała z Arktyki i pędziła przez ziemie Wielkiej Klaczy w stronę podbitej prowincji, która należała do Hordy Dzikich Królików. Niegdyś Dzikie Króliki władały tymi położonym na południowym wschodzie ziemiami, które z rzadka porastały drzewa zrzucające na zimę liście, ale teraz prawo do tych obszarów rościło sobie Cesarstwo

Teksarkańskie. W zimowych miesiącach Dzikie Króliki wynajmowały Pasikonikom i Dzikim Psom częściowo chronione przed lodowatymi podmuchami pastwiska w zamian za sowite wynagrodzenie w bydłe i koniach. Wskutek tego lud Dzikich Królików był jeszcze przed wojną najmniej wędrowną z hord, a po podboju niewielka tylko część uciekła z południa, tworząc dzikokróliczą diasporę na marnych ziemiach uprawnych w sąsiedztwie nielicznych, zbiedniałych, niegdyś pasikońskich rodzin, które, jak na przykład krewni Czarnozęba, po przebyciu porośniętego niską trawą kraju Dzikich Psów szukały schronienia na pogórze.

Wszędzie ścigał go warkot bębnow. Teraz zdawały się mówić: „Wolności, przyjdź, wolności, przyjdź, dziewico wolności, przyjdź...”

Po odwiedzeniu prawie wszystkich domów ksiądz Ombroz wrócił do hoganu Złamanej Stopy. Przez jakiś czas stał przy ognisku i przyglądał się tańcom. Potem zastygł na chwilę, żeby złapać rytm, i dołączył do tańczących. Niedźwiadek powitał go okrzykiem rozbawienia.

Rozdział 8

„Piąty stopień pokory: jeśli w pokornym wyznaniu wyjawiamy swojemu opatowi wszystkie złe myśli przychodzące do serca lub złe czyny w sercu popełnione”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział VII

Sekretariat do Nadzwyczajnych Spraw Kościelnych mieścił się w jednym z nielicznych budynków pozostałych z czasów sprzed przybycia papieża na Zachód. Dwukondygnacyjny, kamienny dom z przyziemiem pełnił niegdyś rolę koszar dla paru dziesiątków wartowników. Wznosił się samotnie wśród świerków na półheta-

rowej powierzchni w odległości kwadransa marszu od Świętego Jana na Wygnaniu.

Mnich i stary wojownik pierwszą noc spędzili, drząc z zimna pod pledami na łózkach rozstawionych w przyziemiu Sekretariatu, ale już następnego dnia zostali zakwaterowani u trzech studentów, którzy nosili imiona Aberlott, Jtesis i Crumbily, w małym domku znalezionym przez Kucisawego na zachodnim krańcu miasta. Uzyskał niechętną z początku zgodę studentów, płacąc połowę czynszu i obiecując, że dwaj jego ludzie będą wykonywali przypadającą im część prac domowych, wyrzekną się zaś wszelkich przywilejów płynących ze starszeństwa w stosunku do znacznie młodszych studentów, z których jeden – Jaesis – był akurat chory. Aberlott był pucułowatym, dobrodusznym błaznem z północnego zachodu i Czarnoząb natychmiast poczuł do niego sympatię. Crumily miał wydłużoną twarz, pochodził ze Wschodu i na pierwszy rzut oka robił wrażenie człowieka posępnego, ale rychło okazało się, że jest obdarzony cierpkim dowcipem i potrafi wydrwić błazenady Aberlotta. Z powodu choroby Jaesisa trudno było zgłębić jego charakter, lecz Aberlott określał go jako fanatyka przygotowującego się do przyjęcia święceń kapłańskich, nie odnosił się jednak niechętnie do tego chłopaka, choć ten przybył tu z Miasta Hannegana.

Dom przylegał do browaru. Przez browar płynął strumyczek, który wyłaniał się znowu na tyłach domu. W lecie zapewniał krystaliczną wodę z gór, ale teraz nabrzmiał wodą z topniejącego śniegu. Ubikacje tego i sąsiednich budynków znajdowały się sporo nad poziomem strumyka, który pewnie przepływał przez nie podczas większych opadów. Czarnoząb widywał dzieci pijące wodę ze strumienia poniżej ubikacji i zaczął się nawet zastanawiać nad powodami choroby Jaesisa, który albo leżał w łóżku, albo siedział w ubikacji, skąd dochodziły jego jęki. Czarnoząb i Wooshin mieli dzielić pokój na tyłach i wychodzić przez tylne wejście, aczkolwiek korzystali ze wspólnej kuchni i wspólnego miejsca do pracy. Tak zostało uzgodnione. Nowo przybyli mieli teraz kilka dni na poznanie miasta, zanim przystąpią do wykonywania swych zadań w Sekretariacie.

Valana wydała się im dość brudna poza enklawami, które zajmowali możni i majętni, przed którymi zamiatano bezustannie ulicę, do których woda docierała akweduktem. Miasto rozbudowywało się szybko wokół starej twierdzy na wzgórzu, która w ubiegłych stuleciach była obronnym bastionem ludu górskiego przed dzikszymi ówczynie nomadami. Jeśli nie liczyć samej twierdzy, w której obrębie znalazł schronienie ośrodek Nowego Watykanu, ocieniony w popołudniowym słońcu wieżami i dzwonnicy Katedry Świętego Jana na Wygnaniu, Valana nie miała murów obronnych. Zanim przeniosło się tu wygnane papieżstwo, miasto stało się czymś w rodzaju królestwa środka pośród ościennych wspólnot. Na tym ludnym obszarze skupowano srebro od górników, skóry i mięso od nomadów, pszenicę i kukurydzę od farmerów. Kiedy przybył tu z Nowego Rzymu papież, miasto miało dwóch kowali, jednego złotnika, dwóch rzemieślników wykuwających groty do strzał, jednego wytwarzającego strzały, młynarza, trzech kupców, doktora medycyny, rusznikarza. Potem liczba przedsiębiorców wzrosła w czwórnasób, pojawili się następni medycy, a także prawnicy i bankierzy. Pół tuzina należących do miasta okręgów rywalizowało z samą Valaną i między sobą o nowe przedsiębiorstwa. Gospodarka rozwijała się już przedtem, ale po osiedleniu się tu głowy Kościoła rozwój ten stał się burzliwy. Ledwie jeden budynek na pięć pamiętał dawne czasy. Do starych budowli należał położony wśród świerków i prawie niewidoczny z drogi Sekretariat.

Czarnoząb prawie natychmiast rozpoczął pracę, zastępując na stanowisku tłumacza świeckiego wolontariusza, który mówił po nomadzku lepiej niż po skalistogórsku, należał do Hordy Dzikich Psów, był chrześcijaninem i kuzynem Chiir Hpngana; ucieszył się, że jest wolny i może wrócić na Równiny, do swoich. Pracowało tu siedemnastu urzędników, wliczając odźwiernego, pomijając natomiast posłańców, którzy utrzymywali łączność między Kucisawym i jego rozsianymi po całym kontynencie korespondentami – tajnymi i oficjalnymi. Wraz z Czarnozębem było pięciu tłumaczy-sekretarzy, trzech kopistów, trzech strażników-odźwiernych i pięciu ludzi pracujących w zapieczętowanej części budynku, dostępnej od zewnątrz tylko przez zawsze zamkniętą kratę, a od

wewnątrz – korytarzem wiodącym do gabinetu samego kardynała. Czarnoząb szybko zrozumiał, że tylko kardynał zna wszystkie obszary działania Sekretariatu, gdyż dbano tu o to, by pracownicy jak najmniej się ze sobą kontaktowali.

Czarnoząb odziedziczył po swym nomadzkim poprzedniku biuro przylegające do gabinetu Kucisawego, ponieważ tamtego tłumacza trzeba było baczniej nadzorować niż innych. Chociaż kardynał tak strzegł swoich tajemnic przed pracownikami, musiał zawierzyć mniszce, niejkiej siostrze Julianie z Sekretariatu Stanu. Jej zadaniem było „mieć oko” na owe nadzwyczajne sprawy, które mogły przecież wpływać na oficjalne stosunki dyplomatyczne walańskiego papiestwa. Miała, jak się zdaje, pewne prawo do wyrażania sprzeciwu, i traktowała Czarnozęba i innych pracowników podejrzliwie i z góry, jednocześnie jej stosunki z szefem były jak najlepsze. Nie wiedziała jednak, co się dzieje w zamkniętej części budynku, i nie miała tam wstępu.

Ze wszystkich stron napływali na zbliżające się konklawe kardynałowie. Gdy tylko znaleźli kwaterę, zmieniali purpurę na fiolet – znak żałoby po zmarłym papieżu. Tak czy inaczej, fiolet był kolorem skruchy, a więc jak najwłaściwszym na zbliżający się Wielki Post. Kiedy okres żałoby dobiegnie końca, nastąpi zmiana koloru na szafranowy. Kardynalską purpurą okryją się dopiero po wyborze nowego papieża.

Jako jeden z pierwszych przybył kardynał z najodleglejszej diecezji całego świata chrześcijańskiego. Prawdę mówiąc, wyruszył w rejs z zamiarem wzięcia udziału w poprzednim konklawe, które wybrało zmarłego właśnie biskupa Denver. Był to arcybiskup Hongu, kardynał Ri, który pokonał Pacyfik w towarzystwie żony i dwóch ślicznych, młodych kobiet uważanych przez wielu za jego konkubiny. Miejscowe Stowarzyszenie Czystości patrzyło na to ze zgrozą, ale kardynał pierwszy szambelan i były sekretarz stanu, Hilan Bleze, nakazał policji, by strzegła dziwnego zagranicznego księcia Kościoła przed tego rodzaju ludźmi. Przez całe stulecia nie wiedziano nic o tej odległej diecezji i dopiero jakieś trzydzieści lat temu wyprawa odkrywcza natrafiła na wspólnoty chrześcijańskie na leżących daleko na zachodzie wyspach. Papieża Linusa tak uradował sarn fakt przetrwania wschodniego chrześcijaństwa, że wyniósł

biskupa Ri do godności kardynalskiej, zanim zapoznano się dokładnie z tradycjami zarządzanego przezeń Kościoła. Także Topór – choć z innych względów – był zachwycony pojawieniem się kardynała Ri i pospieszył natychmiast, żeby porozmawiać z jego ludźmi. Po powrocie powiedział, że wprawdzie z trudem, ale może porozumieć się z nimi w swym ojczystym języku, tak podobne są dwa dialekty starożytnej mowy. Wielkie wrażenie wywarła na nim broń, w jaką wyposażona była przyboczna straż kardynała Ri. Zrelacjonował to Kucisawemu, który postanowił złożyć natychmiast wizytę nowo przybyłemu dostojnikowi. Widać Ri kazał jednak straży ukryć broń, odtąd bowiem jego żołnierze mieli przy sobie tylko zwyczajne kawaleryjskie pistolety.

Wooshin skwapliwie wyjaśnił Czarnozębowi, iż rzekome konkubiny są symbolicznymi, pozasakramentalnymi żonami, a Ri trzyma je, gdyż tego właśnie oczekuje się na wyspie Hong od człowieka mającego w społeczeństwie tak wysoką pozycję, jak arcybiskup. Zdaniem personelu czasem całe to towarzystwo kładło się jednak razem do łóżka. Wprawdzie kardynałowie z Towarzystwa patrzyli na to ze zgrozą, ale przecież wśród uczestników konklawe trudno byłoby znaleźć choć jednego, który w nikim nie budziłby zgorszenia. Kardynał Ri był człowiekiem bardzo majątnym, ale oczywiście przywiózł ze sobą tylko tyle bogactw, ile szczęściu żołnierzy mogło upilnować – chroniąc jednocześnie życie powierzonych ich pieczy osób – podczas podróży, potrzebował więc kredytu, żeby zapewnić wygodny byt swojej rodzinie i świcie. Ponieważ Kucisawy poręczył za niego ustnie (odmówiwszy jednak pokrycia rachunków), większość walańskich kupców udzielała mu kredytu.

Sorley kardynał Nauwhat z Oregonu, jeden z kandydatów na papieża, powitał jak najserdeczniej prałata ze wschodniej krainy, a Emmery kardynał Buldryk, ksieni N'Orku, natychmiast zaprzyjaźniła się z niesakramentalnymi żonami Ri i zaproponowała im gościnę w apartamencie, który wynajęła dla siebie. Ri, choć niechętnie, zezwolił na to, kiedy dowiedział się, jak miasto patrzy na jego dodatkowe kobiety. Zresztą nie czuł się najlepiej – osobisty medyk przebąkiwał coś o płynącym od gór „oddechu smoka” – i zapewne

nie odczuwał zbyt dotkliwie braku owych dam. Oczywiście było tu wielu żonatych kardynałów, ale małżonki pozostawili w domu.

O dziwo, najpotężniejszy prałat na kontynencie, Urion kardynał Benefez, arcybiskup Teksarku, ociągał się z przybyciem na konklawe. Przysłał wiadomość, że chce odprawić mszę wielkanocną w swojej katedrze – dla swojego ludu i swojego Hannegana.

Kucisawy i jego nowi słudzy spędzili już w Valanie tydzień, kiedy Czarnoząb zdecydował się przystąpić do spowiedzi. Kardynał, zawsze pełen miłości bliźniego i w tym dziwnym mieście chętnie pomagający mniszkowi w tego rodzaju osobistych sprawach, umówił go z księdzem, którego Nimmy powinien jego zdaniem poznać.

Wielebny Amen Specklebird, ODD (Ordo Dominae Desertarum) mieszkał w dawnej pieczarze w zboczu wzgórza. Ktoś wziął jednak do ręki narzędzia do obróbki skał, wyciosał tunel o równych ścianach, pogłębił go, wypełnił otwór na tyłach części mieszkalnej gruzem i zaprawą i dobudował krótkie, wystające ze zbocza kamienne mury. Ojciec Specklebird częściowo przebił z powrotem otwór w miejscu, gdzie jaskinia się zwężała. („Dzięki temu duchy gór mogą swobodnie przechodzić przez kuchnię” – wyjaśnił.) Wystające mury zwieńczono także kamiennym dachem, tak że widoczna z zewnątrz część mieszkania przypominała Czarnozębowi do połowy wchłonięty przez górę nomadzki hogan. Mnich dowiedział się, że dziesięć, może trochę więcej lat temu jaskinia należała do pewnego bogatego właściciela sklepu z szatami dla duchownych i służyła mu jako piwnica. Potem kardynał Kucisawy odkupił ją dla ojca Specklebirda, kiedy biskup Denver zmusił starego kapłana do przejścia na emeryturę. Kiedy zaś świętej pamięci biskup Scullite został Linusem VII, wielokrotnie wzywał, o dziwo, ojca Specklebirda do swoich prywatnych apartamentów. Jeśli wierzyć pogłoskom, Czarnoząb miał przystąpić do sakramentu pokuty u spowiednika zmarłego papieża. Inna plotka, której trop prowadził do papieskiej pokojówki, mówiła, że Linus VII tuż przed śmiercią mianował starca, w oczekiwaniu na najbliższe posiedzenie konsystorza, kardynałem in pectore, ale nikt nie potrafił tego potwierdzić.

Mnich stał w cieniu pod drzewami, próbując dodać sobie otuchy, żeby przejść na drugą stronę ścieżki i zastukać do ciężkich

sosnowych drzwi. Z komina wzbijała się smuga dymu. Wnętrze, oświetlone płomieniem, który dawał ów dym, musiało być dość ciemne, gdyż w grubym murze były tylko dwa umieszczone wysoko okienka. Kiedy Nimmy opuszczał domek, był w odpowiednim stanie umysłu i serca, żeby dokonać porządnej spowiedzi. Teraz jednak, gdy znalazł się na miejscu, obezwładnił go lęk.

Opactwo Leibowitza opuścił bez rozgrzeszenia i cuchnący grzechem, a co gorsza, podczas podróży z pustyni do Valany dopuścił się czynów trudnych do wyznania, nic więc dziwnego, że trzął się ze strachu na myśl, iż będzie musiał wyznać obcemu człowiekowi przewiny, jakich dawniej nigdy nie popełniał. Sakramentu pokuty udzielał mu zawsze kapłan z zakonu, zwykle raz w tygodniu, niewiele bowiem występków mógł popełnić mnich w klasztorze, nawet mnich tak krnąbrny jak Czarnoząb od Świętego Jerzego. Zazwyczaj chodziło o wyznanie szeptem paru grzeszków swojemu spowiednikowi i odmówienie w ramach pokuty paru dziesiątek różańca albo, w najgorszym razie, publiczne przeproszenie kogoś z braci, albo niezbyt bolesne smagnięcie się trzy, pięć razy sznurem za popełniany w samotności grzech nieczystości, za myśli pełne urazy, za niedostatek miłości bliźniego czy wytrwałości w cnocie. Po takiej pokucie czuł się zawsze oczyszczony i gotów do przyjęcia komunii.

Tym razem jednak grzeszył bez pohamowania i przez wiele tygodni, często zaniedbywał odmawianie modlitwy, naruszał śluby zakonne, bywał potajemnie nieposłuszny swemu dobroczyńcy, kardynałowi. Prawdę mówiąc, właśnie kardynałowi wyznał, że boi się spowiadać obcemu, kiedy zaś ten zaproponował mu e'Laidena, który odmówił, raz jeszcze Kucisawy osobiście zadbał o to, by jego tłumacz mógł wypowiadać się w Valanie człowiekowi uważanemu za świętego, samemu Amenowi Specklebirdowi, którego imię raz, może dwa razy padło przy zgłaszaniu kandydatów do papieskiego urzędu! Czarnoząb żałował teraz, że wspomniał Kucisawemu o swoim kłopotcie. Wolałby wypowiadać się anonimowo w seminaryjnej kaplicy jakiemuś księdzu, którego twarz zasłaniałaby kratka konfesjonału, niż mówić o swoich grzechach temu świętemu człowiekowi. Pomyślał nawet, że mógłby umknąć chyłkiem, zanim nadejdzie pora umówionego spotkania. Po chwili przyszło mu

jednak do głowy, że ksiądz z seminarium mógłby poczuć zgrozę, słuchając o takich grzechach, i gotów byłby nie udzielić mu rozgrzeszenia, a wtedy to także musiałby wyznać Specklebirdowi. Nawet poza murami opactwa niełatwo być katolikiem byłemu nomadzie, prostemu zakonnikowi, który tak niewiele wie o świecie zewnętrznym.

Nagle sosnowe drzwi otwały się szeroko i prosto w stronę Czarnozęba ruszył czarnoskóry starzec z chmurą białych włosów na głowie i równie białych krzaczastych brwiach. Broda też była siwa, ale krótko przycięta, jakby Specklebird golił się raz na miesiąc albo przystrzygał ją co jakiś czas nożyczkami. Miał na sobie czysty, ale wytarty bury habit i sandały ze słomy. Był chudy jak szkielet, miał zapadnięte policzki i tak samo wklęsły brzuch świadczący o srogich postach. Kroczył rześko, ale kuśtykając i wspierając się na lasce dostatecznie ciężkiej, by mogła posłużyć jako maczuga. Kiedy tylko stanął na progu, spojrział prosto na ukrytego w cieniu Czarnozęba i zaraz mszył w jego stronę, uśmiechając się lekko i mierząc spojrzeniem świetlistych, szaroniebieskich oczu drobną i nieśmiałą postać, którą miał przed sobą.

– Diakon Kucisawy wspomniał mi o tobie, synu. Czy mogę mówić ci Nimmy? Porzuciłeś na zawsze klasztor, czy tak? Dlaczego?

– Poczuję się, jakbym był zakuty w dyby i łańcuchy, ojciec. Ale potem to oni mnie wyrzucili.

Amen Spicklebird ujął go za ramię i poprowadził na drugą stronę ścieżki, ku pustelni.

– A czy teraz pozbyłeś się owych dyb i łańcuchów?

Weszli do pomieszczenia, którego kamienne ściany przypominały mnichowi Opactwo Leibowitza. W jednym rogu palił się ogień, w drugim znajdował się ołtarzyk.

Czarnoząb zastanowił się nad pytaniem, które zadał mu kapłan.

– Nie, ojciec. Chyba nawet stały się jeszcze dotkliwsze.

– Któż je zacisnął? I kto zakuł cię po raz pierwszy? Opat? Bracia zakonni? Święty Kościół?

– Ależ nie, ojciec! Wiem, że sam to uczyniłem.

– Ummm – powiedział spokojnym tonem ksiądz. – I chciałbyś dowiedzieć się, jak się ich pozbyć.

- Powinienem poznać prawdę i... - Wzruszył ramionami. -
Trzeba poznać prawdę, by zyskać wolność.

- Słusznie. A jaką prawdę już poznałeś?

- Prawda stała się ciałem i zamieszkała między nami. Musimy
do Niego przyłgnąć.

- Przyłgnąć do Niego? Nimmy, Jezus przeszedł na świat, by
odkupić nasze grzechy. Składamy z Niego ofiarę na ołtarzu. A ty
chcesz do Niego przyłgnąć? - Roześmiał się i wyłożył na wierzch
stulę. - Czy jesteś gotów odbyć spowiedź?

Czarnoząb próbował odwlec trudną chwilę.

- Czy możemy najpierw porozmawiać?

- Oczywiście. Ale o czym?

Rozpaczliwie szukał jakiegoś tematu. Wszystko jest dobre, byle
opóźnić ten moment.

- No, nie rozumiem tego, co powiedziałaś, ojczy, o ofierze.

- Złożyć Jezusa w ofierze to tyle, co wyrzec się Go.

Mniszek drgnął.

- Przecież ja wyrzekłem się wszystkiego właśnie dla Jezusa!

- Ależ tak! Wszystkiego poza samym Jezusem, cny prostaczku,
czyż nie tak?

- Jeśli wyrzeknę się Jezusa, nie pozostanie mi nic!

- Cóż, oznaczałoby to doskonałe ubóstwo, pod jednym jednak
warunkiem. Trzeba się pozbyć także owego „nic”, Nimmy.

Czarnoząb był całkowicie zbity z tropu.

- Jakże to możliwe, by takie słowa padły z ust Chrystusowego
kapłana?

Speckłebird wskazał na swoje usta i w milczeniu jął poruszać
drwiąco szczęką. Potem, nie okazując gniewu, wymierzył mniskowi
policzek.

- Obudź się! - rozkazał.

Czarnoząb opadł ciężko na twardą ławę. Zaczął recytować
formułki, starając się powiedzieć starcowi to, co należało, ale ten
śmiał się.

- Jesteś bogatym człowiekiem. Bogactwa stały się twoimi
dybami i łańcuchami.

- Nie mam nic poza tą suknią na grzbiecie, a g'tarę, którą sam
wykonałem, skradziono mi - zaprotestował z pewnym rozdrażnie-

niem mnich. – Nie mam już różańca. Też został skradziony. Spożywam jadło należące do innych i śpię w miejscu należącym do innych. Nie korzystam nawet z własnego nocnika. Przysięgłem, że będę ubogi dla Chrystusa, i nie złamałem tego ślubu. Lecz naruszyłem inne.

– I jesteś dumny, że dochowałeś wierności temu ślubowaniu?

– Tak! To znaczy nie! Och, widzę teraz, że moim bogactwem jest pycha. Czy tak?

Amen Speckłebird usiadł po drugiej stronie izby. W przyćmionym świetle patrzyli jeden na drugiego. Spojrzenie starca było jak spojrzenie dziecka: zaciekawione, szczere, wesołe i wyczekujące. Nagle zaskakująco głośno strzelił palcami. Czarnoząb nie wzdrygnął się na ten dźwięk, ale w jego oczach pojawił się wyraz czujności. Spojrzał w lewo. Speckłebird przyglądał mu się w milczeniu.

Nadal odwołując moment spowiedzi, Czarnoząb zaczął mówić pospiesznie o życiu w Opactwie Leibowitza, nie o grzechach samych w sobie, lecz o swoich rozczarowaniach, miłościach i przyjaźniach, o swym oddaniu założycielowi zakonu i Matce Bożej, o swoim powołaniu i jego utracie, a wreszcie o swej tęsknocie za miejscem, z którego chciał uciec. Przerывał w nadziei, że pustelnik, wysłuchawszy opowieści, zechce udzielić mu rady, ale stary kapłan Matki Boskiej z Pustyni kiwał tylko co jakiś czas ze zrozumieniem głową. Czarnoząb zawstydził się tego uzalania nad samym sobą i zamilkł. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

Potem Speckłebird zaczął mówić łagodnym głosem:

– Nimmy, kiedy podąża się za Chrystusem, jedno tylko jest trudne. Trzeba odrzucić wszystkie wartości, nawet te, którą wiążesz właśnie z podążaniem za Nim. A odrzucenie ich nie oznacza sprzeniewierzenia się. Trzeba być naprawdę ubogim duchem, pozbyć się swych miłości i nienawiści, dobrego i złego smaku, upodobań. Swego pragnienia, żeby być albo nie być mnichem Chrystusa. Pozbądź się tego. Jeśli zależy ci na celu wędrówki, nie widzisz przed sobą ścieżki. Uwolnij się od wartości, a ujrzysz ją z całą jasnością. Jeżeli jednak pozostanie ci choćby jedno maleńkie pragnienie, pragnienie, by żyć bez grzechu albo by zmienić brudne ubranie, ścieżka zniknie ci z oczu. Czy przyszło ci kiedyś do głowy,

że ciężące ci dyby i łańcuchy to wartości, które tak sobie cenisz? Twoje powołanie lub jego brak? Dobro i zło? Brzydota i piękno? Cierpienie i rozkosz? To wszystko są wartości, które stały się twym brzemieniem. Przez nie to musisz przystawać i zastanawiać się, a wtedy właśnie tracisz z oczu drogę wskazaną przez Pana.

Czarnoząb słuchał cierpliwie, z początku zafascynowany, ale później z coraz większym roztargnieniem. Czuł, że starzec chce podważyć wszystko, co on, Czarnoząb, wie o swojej wierze. Czy tego rodzaju poglądy skłoniły biskupa do tego, by nakazać Specklebirdowi przejście na emeryturę?

– Diabeł – powiedział cichutko.

Jeśli Specklebird odebrał to jak oskarżenie, zignorował je.

– Diabeł? Odrzuć go, ciśnij do rowu pełnego ekskrementów i przykryj niegaszonym wapnem.

– Jezus!

– Także z Nim do rowu, jeśli obdarza cię bogactwem!

Czarnozęba zatkało.

– Z Jezusem? Za którym mam podążać? Po coż więc podążać? To, co rzekłeś, jest bluźnierstwem!

– Widzisz, dobrze jest wziąć na ramię krzyż Chrystusa i ponieść go, Nimmy, jeśli jednak oczekujesz z tego powodu czegoś szczególnego, sprzedajesz krzyż i stajesz się bogaczem.

Szlak nie ma uzasadnienia. Trzeba nim po prostu podążać.

– Nie pragnąc tego?

– Sine cupidine.

– A zatem po co?

– Twoje pragnienie zadawania pytań to dyby i łańcuchy.

– Nic a nic nie pojmuję.

– To dobrze. Zapamiętaj to, Nimmy, ale nie próbuj zrozumieć. Pragnienie zrozumienia przynosi zepsucie.

Czarnozębowi kręciło się w głowie. Czy ten starzec jest przy zdrowych zmysłach?

Amen Specklebird roześmiał się cicho.

– A teraz spowiedź. Jeśli nadal chcesz, bym jej wysłuchał.

Po spowiedzi, o której chciałby jak najszybciej zapomnieć, Czarnoząb poszedł najpierw do domu, a tam w powietrzu unosiła się woń wymiocin. Ktoś zmył podłogę koła łóżka, na którym

spoczywał jęczący Jaesis. Student straszliwie wychudł. Otworzył oczy i spojrzął z niechęcią na mnicha, który zapytał, czy ma sprowadzić lekarza.

– Był rano – wychrypiał Jaesis. – To na nic.

Czarnoząb przyłożył mu do głowy zwilżony zimną wodą ręcznik i wrócił do Sekretariatu, gdzie spędził popołudnie i część wieczoru na tłumaczeniu korespondencji kardynała z Równinami. Bardzo szybko przyswajał sobie wiadomości o polityce nomadów i o tym, kto odgrywa znaczniejszą rolę w hordach. Dowiedział się, że Chiir Hpngan wrócił do hoganów i stad swojej babki z rodu Małego Niedźwiedzia, że prawuj Złamana Stopa został powalony przez nagłą chorobę, że antychrześcijański odłam wśród lękających się kandydatury Hpngana mężczyzn Ducha Niedźwiedzia i kobiet Weejus w Hordzie Pasikoników stanął pod sztandarami niejakiego Hułtora Brama, niewątpliwie dzielnego zabójcy, uznając go za najodpowiedniejszego wojennego szarfa, który doprowadzi do zjednoczenia Trzech Hord. Bram interesował Czarnozęba właśnie (i wyłącznie) dlatego, że był Pasikonikiem, a może nawet jego dalekim krewniakiem. Zwolennicy tłumaczyli jego imię jako Dobrotliwy Ogień, ale w pasikońskim „hultor bram” oznacza groźne oparzenie promieniami słonecznymi. Dowiedział się też, że jego pan nie jest całkowicie niezadowolony z takiego rozwoju wydarzeń, gdyż Bram był opętany okrucieństwem i przy nim Hpngan wydawał się łagodny jak baranek. Kardynał, zaniepokojony wprowadzie chorobą ojca Hpngana, był przekonany, że większość pramatek nigdy nie proponuje na najwyższe stanowisko i jako narzeczonego Fuj a; Go zapaleńca w rodzaju Szalonego Niedźwiedzia, którego nierozważne rządy doprowadziły do utraty terytoriów południowych na rzecz Hannegana Ił i za które Pasikoniki zapłaciły słońco w ludziach i bydło. Zajmujące Wysokie Równiny Dzikie Psy ucierpiały najmniej w wyniku tych dawnych podbojów.

Kucisawy zawsze zostawiał notatki, dzięki którym mnich mógł uniknąć w tłumaczeniu politycznych niezręczności, niewłaściwego słowa mogącego obrazić jakąś grupę ludzi albo zniweczyć cały plan działania, jeśliby korespondencja wpadła w niepowołane ręce. Kardynał otrzymywał więcej listów, niż sam wysyłał, były one także dłuższe i Czarnoząb dziwował się, że tak wielu piśmiennych

sprzymierzeńców ma jego zwierzchnik na Równinach. Wiedział, a może ktoś mu to wyjawiał, że ledwie pięć procent nomadów umie czytać i pisać. Piszący należeli, uświadomił sobie to teraz, przeważnie do chrześcijańskich mniejszości w poszczególnych hordach i większość pochodziła z możnych rodów. Kucisawy wyraźnie zabiegał o to, by te trzy mniejszości utrzymywały ze sobą ścisły kontakt. Korzystając ze wsparcia paru niewiast Weejus, wziął na siebie nawet obowiązki swata, byleby doprowadzić do ścisłych aliansów między rodami Dzikich Psów, Pasikoników i Dzikich Królików.

Czarnoząb zaczął podejrzewać, że niefortunne małżeństwo Chiir Hongana z dziewczyną Pasikoników było właśnie rezultatem tego rodzaju zabiegów. Kucisawy nie ustawał w swym dziele od czasów papieża Linusa VI. oczywiście pracując z błogosławieństwem kolejnych papieży. Przeglądając kartotekę, niespodziewanie natrafił na korespondencję niewiast Weejus, odnoszącą się osobiście do kardynała. Przez wiele lat jego sojuszniczki prowadziły poszukiwania śladów rodu matki Kucisawego albo chociaż kogoś, kto by ją pamiętał. Informacja została przekazana przez e'Laidena Ombroza. „Dzięki pomocy rodziny Małego Niedźwiedzia dotarłem do celu. Musiałem dojść do wniosku, Wasza Eminencjo, że nie ma i nigdy nie było niewieściego rodu Dzikich Psów używającego imienia Kuc Cisawy. Jeśli rodzina twojej matki żyje między nami, z pewnością używa innego imienia. Siostry, które opowiedziały ci historię, musiały być źle poinformowane. Może to imię jakiejś rodziny z Pasikoników lub Dzikich Królików, a może imię przybrane. Żałuję, że nie na wiele się moja pomoc przydała”.

Zawstydzony mnich odłożył teczkę na miejsce, nie czytając już innych dokumentów, i nigdy nie wspomniał o tej sprawie Kucisawemu.

Czarnoząb żywił pełną pokory wdzięczność za to, że zwierzchnik zaufał mu na tyle, iż umożliwił zapoznanie się z tego rodzaju sprawami – choćby i przypadkiem – ale wiedział też, że w korespondencji z Równinami zdarzają się nieliczne listy szyfrowane. Takimi przesyłkami Kucisawy zajmował się osobiście. Działo się coś zagrażającego samemu Kucisawemu albo być może reputacji Sekretariatu, ale w otwartej korespondencji nie znalazł żadnej

wskazówki, która pozwoliłaby domyślić się, jaka jest natura tego zagrożenia. Nie miał dostępu do korespondencji kardynała z Oregonem i Zachodnim Wybrzeżem, ta bowiem nie była, oczywiście, prowadzona po nomadzku. Od prawie stulecia na Dalekim Zachodzie rozwijała się techniczna cywilizacja rywalizująca z Teksarkiem, aczkolwiek odległość i góry sprawiały, że tamtejsze sprawy toczyły się w pewnej izolacji od reszty kontynentu.

Mnich przyglądał się właśnie, jak jego zwierzchnik ślęczy nad korespondencją, i zastanawiał się, dlaczego kardynał jest rzadko wymieniany jako kandydat na Tron Piotrowy, kiedy nagle Kucisawy obrócił się na krześle i spojrzał Czarnozębowi prosto w oczy.

– Nimmy, mam już po dziurki w nosie tego przypatrywania mi się kątem oka i tych nie ujętych w słowa pytań. Czego chcesz się o mnie dowiedzieć?

– Niczego, panie mój! Byłoby nie na miejscu...

– Nie na miejscu jest okłamywanie zwierzchników! Masz zadać swoje, naturalnie bezczelne, pytanie!

Po chwili milczenia Czarnoząb wyszeptał:

– Jak to się stało, że nie jesteś, panie, księdzem?

– No tak, takie musiało być pierwsze pytanie. Elio Kucisawy, wytłumacz się temu od czasu do czasu mnichowi! Powiedz mu, że byłeś kiedyś żonaty i że papież Linus zamierzał wyświęcić cię na księdza, nim mianował cię kardynałem, lecz odmówiłeś, twierdząc, iż Seruna być może nadal żyje, choć wiedziałeś, że tak nie jest. Została porwana przez nomadzkich wyrzutków w rodzaju tych z Łukowej Kotliny. Ci ludzie nie zachowują porwanych kobiet długo przy życiu. No cóż, Czarnozębie, oto masz faie. Czy chcesz także oceanu?

– Wstydzę się, że śmiałem pytać.

– Przestań się płaszczyć. Moim powołaniem było prawo, nie zaś kapłaństwo. W tym rzecz. Jest wielu księży, którzy powinni być prawnikami, a nawet zdarzają się prawnicy, którzy powinni być księżmi. Jak powiedziałem, moim powołaniem jest prawo i rozstrzyganie sporów. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, skąd bierze się powołanie. Wprowadzanie w życie prawa i znajdowanie kompromisu, oto co robię najlepiej. Dochodzi do tego polityka i polemika. Nie byłbym dobrym księdzem, ani zakonnym, ani

świeckim. Nie ma we mnie zbyt wiele miłości bliźniego ani pobożności. Najlepiej służę Kościołowi jako pies pasterski, który walczy o trzodę albo ujadaniem zapędza owce do stada. Nie ma najmniejszej szansy, by Seruna pozostała przy życiu. Kochałem ją na swój sposób, ale nie była ze mną szczęśliwa. A jeśli żyła, nie wróciłaby do mnie. Nie posiadam jednak dowodu jej śmierci.

– Nie masz dzieci?

– Mam syna, który studiuje w Seminarium Świętej Małgi w Nowym Rzymie.

– A sam jesteś kardynałem diakonem... – Czarnoząb urwał i zasłonił usta dłonią.

Kucisawy roześmiał się.

– Diakonem kościoła pod wezwaniem Świętej Małgi w Nowym Rzymie? Owszem. Nepotyzm? Ten kościół wyznaczył mi papież Linus. Nie pytając mnie o zdanie? Ależ zapytał. Czego chcesz się jeszcze o mnie dowiedzieć?

– Żałuję, że wścibiałem nos w nie swoje sprawy.

– Nie wścibiałeś. Wpatrywanie się z ciekawością w moje plecy to jeszcze nie jest wścibianie nosa. Jesteś dobrym chłopcem, Nimmy. Znasz swoje miejsce i umiesz ciężko pracować. Podniosę ci o połowę uposażenie.

– Pięćdziesiąt procent! – Czarnozębowski załamał się z wrażenia głos.

– Pięćdziesiąt procent nicości jest nicością. No dobrze, o tyle możesz podnieść swoje wydatki na utrzymanie. Powiem Jaronowi, by je pokrywał. A teraz weźmy się do tych listów ze Wschodu. Tak jestem zajęty pilnowaniem, kto zjawił się na konklawe, i odgadywaniem, jak będzie głosował, że nie mam czasu na własne sprawy.

Kiedy mniszek nie miał nic do roboty, wpadał w nastrój bliski rozpacz. Nie chodziło o to, że grzech, którego dopuścił się z Edreą, był tak straszny, ale że Czarnoząb nie potrafił nad sobą zapanować. Swoje życie poświęcał codziennie Bogu, gdyby jednak miał Boga w sercu, nigdy nie wspiąłby się z nią na stryszek z sianem. Nie miało znaczenia to, że z tego, co zrobili, nie narodzi się dziecko. Może nawet nie byłoby grzechu, gdyby nie ślubował Bogu, bo przecież miłość do tej dziewczyny oznaczała uszczuplenie miłości do Niego.

Gardził nie samym czynem, ale skazą swojego charakteru, która go do grzechu przywiodła.

Czy po to przybyłem do klasztoru, by osiągnąć moralną doskonałość?

Nie, bynajmniej.

Po cóż więc?

Ostatecznym celem mnicha jest jedność z Panem Bogiem. Lecz zdążanie do tego celu oznacza całkowite jego chybienie. Jego zadaniem jest wyzbycie się ego, ażeby świadomość, gdy tylko jej zwykle skłócona duchowa treść zostanie wyrzucona poza nią samą dzięki rytualnej modlitwie i medytacji, mogła doświadczać nie-siebie jako żywą bezkształtność i pustkę, w którą może wejść Bóg – jeśli zechce. Oto jak Eckhart mówił o tym dwa tysiące lat temu: „Bóg powoduje narodziny swego Syna w duszy”. Tylko dzięki wyzbyciu się przez mnicha samego siebie Chrystus może się w nim pewnego dnia obudzić jako „Ja” dla „Ja”. Lecz w tej chwili ktoś inny obudził się dla Czarnozęba, gdyż mniszek czuł się bardzo, bardzo samotny i pełen tęsknoty do Edrei.

Rozdział 9

„Trzeci stopień pokory: jeśli z miłości do Boga poddajemy się z całkowitym posłuszeństwem przełożonemu, naśladując Pana, o którym mówi Apostoł: «Stał się posłuszny aż do śmierci» (Flp 2, 8)”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział VII

Czarnoząb, zadowolony ze wzrostu dochodów, postanowił zmienić kwaterę, gdy tylko tłumy opuszczą miasto po wyborze nowego papieża, na razie jednak musiał nadal mieszkać ze studentami. Wooshin miał za kilka dni wyjechać na polecenie kardynała.

Kiedy w Wielką Środę wrócił po południu z pracy i stanął na progu, jeden ze studentów, Aberlott, krzyknął: „Łap!” i rzucił mu jakiś przedmiot. Czarnoząb wyciągnął ręce, ale nie udało mu się go

złapać i przedmiot odbił się od ściany. Spojrzał na to coś i zamarł w półprzysiadzie.

– Co się stało? – spytał student. – Nie twoje? Powiedziała, że to należy do ciebie.

Czarnoząb podniósł przedmiot, obrócił się i spojrział na Aberlotta.

– Powiedziała? – spytał, z trudem łapiąc powietrze w płuca.

– Zakonnica. O Boże, o co ci chodzi? Jesteś blady jak chusta.

– Zakonnica?

– Jasne. Jakiś klasztor o surowej regule. Brunatny habit, biały komet. Bosa. To nie twój różaniec? Powiedziała, że zostawiłeś go w powozie kardynała.

– Jest genokiem?

– Genokiem? Niczego takiego nie zauważyłem. Nie miała na głowie opaski. Oczywiście zakonnice nie muszą jej nosić, bo przestrzegają czystości. Niczego u nich nie zobaczysz poza twarzą, dłońmi i stopami. Jak na zakonnice, była jednak ładna. Nie odniosłem wrażenia, że jest genokiem. Spodziewałeś się jej wizyty?

Czarnoząb usiadł na swoim łóżku i wpatrywał się w paciorki i krzyżyk różańca. Srebro zostało starannie oczyszczone z nalotu i pięknie wypolerowane paciorki wydały mu się jaśniejsze, niż zapamiętał.

– Czy powiedziała coś jeszcze?

– Nie, nie przypominam sobie. Rozmawialiśmy chwilę o konklawe. Chyba próbowałem z nią flirtować. Była miła, ale zachowywała dystans. Acha, zapytała jakby mimochodem, gdzie jesteś. To wszystko.

– Co jej powiedziałaś?

– Że o tej porze jesteś zwykle w Sekretariacie. Nie wydaje mi się jednak, by cię szukała. Poszła w przeciwnym kierunku. Chyba po prostu chciała oddać różaniec. Zastanawiałem się, co robiła w powozie kardynała.

– Płądrowała go – szepnął.

– Co takiego?

Czarnoząb opadł na plecy i zamknął oczy.

Po dłuższej chwili milczenia powiedział:

– Dziękuję ci, Aberlott.

– Nie ma o czym mówić – odparł student i ponownie zagłębił się w książce.

Może to była naprawdę zakonnica. Edrea oddała jej różaniec, ot i wszystko. Kobieta-genok mogła zostać mniszką i nie nosić zielonej opaski na głowie, ale wcielenie się w zakonnice, żeby ukryć swoje pochodzenie, było według prawa obowiązującego w Denver – i w każdym innym państwie – przestępstwem. Prawie wszędzie trwały prześladowania osób upośledzonych genetycznie. Chroniło ich tylko prawo Kościoła, jednak nie do tego stopnia, by wolno im było udawać zakonników! A chociaż Kościół protestował przeciwko dyskryminacyjnej legislacji wprowadzanej przez władze świeckie, nigdy nie zajął zdecydowanego stanowiska w kwestii eugenicznych praw, które miały zapobiec małżeństwom między ludźmi zdrowymi i dziećmi papieża. Nie sprzeciwiał się też prawom definiującym zdolność do zawierania związków małżeńskich na podstawie stopnia pokrewieństwa z osobami uznanymi za wybryk natury. Kościelne rejestry osób ochrzczonych były wykorzystywane przez świeckie sądy jako dowód i kapłani mieli obowiązek wpisywania do świadectwa chrztu rodowodu rodziców. Zanim młodzi ludzie uzyskali od państwa pozwolenie na małżeństwo, oboje musieli rozebrać się do naga i poddać badaniom przeprowadzanym przez medycznych inspektorów magistratu. Nomadowie mieli oczywiście swoje zasady, nie tolerowali jednak deformacji cielesnych, ani dziedzicznych, ani żadnych innych. Zdeformowane dzieci zabijali natychmiast po urodzeniu.

Przesuwał w palcach paciorki. Doszedł do wniosku, że Aidrea powierzyła różaniec jakiejś mniszce wędrującej w większej grupie papieską drogą szybkiego ruchu. Zawstydził się, gdyż biorąc różaniec do ręki, poczuł, jak ogarnia go fala strachu przemieszanego z nadzieją. Z pewnością była to prawdziwa zakonnica. To, co zrobiłaby policja z genokiem udającym obywatela, było niczym w porównaniu z tym, co zrobiłby motłoch. I z pewnością Asdrea nie wypolerowałaby tak paciorków i nie oczyściła krzyżyka. Gdyby odesłała różaniec wcześniej, uniknęłoby okropnego przeżycia, jakim było wyznanie na spowiedzi, jak dobijał seksualnego targu. Tak ujął to Specklebird. Dlaczego jednak trudziła się, żeby oddać jego własność, i to przez pośrednika?

– Jakiego koloru miała włosy? – krzyknął w stronę pogrążonego w studiowaniu podręcznika studenta.

– Kto taki?

– Zakonnica.

– Jaka... Acha, komet zasłaniał. – Przerwał. – Pewnie blond. Miała bardzo jasną cerę.

Czarnoząb poruszył się niespokojnie. W Valanie nie ma zbyt wielu blondynek, ale z pewnością parę dziesiątków by się znalazło. Przemieszanie ludności kontynentu doprowadziło do tego, że spotykało się ludzi o najrozmaitszych brunatnych odcieniach skóry, lecz białych i czarnych widywało się stosunkowo rzadko, podobnie jak jasnowłosych.

Wstał i wyszedł z domu. Na ulicy nie było nikogo poza jakimś starcem i dwójką dzieci. Tego popołudnia od strumienia za domem niósł się szczególnie mocny smród zgnilizny. Kilkoro sąsiadów zachorowało – najpewniej z powodu tego strumienia i jego wyziewów. Postanowił przejść się pod górę, w stronę przeciwną do Sekretariatu.

Szedł godzinę. Domy było coraz rzadziej rozsiane. W końcu dotarł do postemku straży przy ogrodzonej granicy miasta. Dalej był tylko las i kilka ermitaży, między innymi dom Amena Specklebirda. Przystanął, żeby porozmawiać z wartownikiem.

– Długo jesteś już na służbie, kapralu?

Młody funkcjonariusz spojrział na słońce, które wisiało już nisko nad horyzontem.

– Ze cztery godziny. Czemu pytasz?

– Czy przechodziła tędy młoda zakonnica? Brunatny habit, biały kornet...

Wartownik natychmiast obrócił wzrok w stronę lasu, potem przez chwilę przyglądał się Czarnozębowi, a wreszcie mrugnął porozumiewawczo.

– Ho, ho! Zastanawiałem się, dlaczego wychodzi sarna.

Rozgniewany złościwością kaprała mnich odwrócił się i ruszył w dół, do domu. Wkrótce miejsce gniewu zajął ponownie strach. Wiedział, że to strach o Edrę, choć pewnie jest w tej chwili bezpieczna u siebie, w Łukowej Kotlinie. Zakonnica była prawdziwa.

Jeśli jednak mniszki mają gdzieś wyżej na zboczu mały klasztor, dlaczego wartownik dziwił się, że kobieta poszła w tamtą stronę?

Tej nocy śniło się mu, że ma na głowie zieloną opaskę i ucieka przed tłumem, który chciał go wykastrować za to, co robił z Torrildern. Torrildo miał piersi jak Edrea, a może była to Edrea z wielkim penisem Torrilda? Dopadli go w stodole Sharda, w której stał teraz stary generator brata Kornhoera i krzesło elektryczne przeniesione tu z kaplicy. Ktoś krzyczał przenikliwym głosem. Czyjeś grubiańskie ręce przypinały go do krzesła. Ktoś trząsał nim, aż Czarnoząb się obudził. Grubiańskie ręce należały do Wooshina.

– Przestań się wydzierać! – powiedział Topór. – Pobudzisz sąsiadów.

– Już ich pobudził – mruknął zaspanym głosem Aberlott, który spał w pokoju obok.

Crumily kłął pod nosem i uklepywał poduszkę. Jaesis jak zwykle chrapał i jęczał przez sen.

Kiedy wszyscy znowu usnęli, Czarnoząb namacał pod poduszką różaniec. Ujął w pałce krucyfiks i zaczął odmawiać szeptem „Wyznanie wiary”. Po chwili przerwał, gdyż oczyszczony i wypolerowany różaniec wydał mu się zbezczeszczony. Podczas spowiedzi próbował zrzucić całą winę na Edreę, bo przecież okradła go, ale ojciec Specklebird zmusił go do przyznania, że po miłych, choć grzesznych, przeżyciach na stryszku z sianem nie upominał się już o swoją własność.

– Trzeba to powiedzieć bez ogródek. Zapłaciłeś różańcem za chwilę rozkoszy – oznajmił posepnym głosem starzec – i złamałeś ślub czystości. Co jeszcze zrobiłeś?

Czarnoząb nadal odprawiał wyznaczoną przez ojca Specklebirda pokutę. („Musisz, synu, sporządzić wykaz, inwentarz swoich bogactw”.) Z początku myślał, że taka pokuta to nic trudnego i że spis będzie króciutki. Im dłużej jednak nad nim pracował, tym jaśniej widział, że jego bogactwa są współmierne z grzechami, nie zaś od nich oddzielone. Żeby osiągnąć duchowe ubóstwo, trzeba czegoś więcej (albo mniej), niż tylko niczego nie posiadać.

Od czasu napływu gości w Valanie nie działało się najlepiej. Przybywający od strony gór cuchnący chinook albo zimne miazmaty owiewały miasto, sprowadzając choroby na wielu ludzi młodych,

starych czy chorowitych. Brakowało żywności. Szczególnie dawały się we znaki kłopoty z zaopatrzeniem w pszenicę, a niskiej jakości żyto sprowadzano po wygórowanych cenach. Gospody pękały w szwach, a w miejscach niżej położonych za mało przepustowe ścieki wylewały się na ulice. Nie było jeszcze quorum kardynałów, a z tych, którzy już przybyli, niejeden padł ofiarą chorób. Przy pisywano je przede wszystkim wodzie. Goście mówili, że tak jest zawsze. Tylko miejscowi mogli ją bezpiecznie pić. Tym razem było jednak gorzej niż zwykle. Zaczęli chorować także tutejsi. Choroba objawiała się rozmaicie. Wymiotami i gorączką, jak w przypadku studenta Jaesisa. Inni cierpieli na zawroty i bóle głowy, depresję, manię prześladowczą, obłąd, albo wpadali w panikę. Jeden z lekarzy utrzymywał, że chodzi o dwie rozprzestrzeniające się coraz bardziej choroby. Wyglądało na to, że tylko bogaci walanianie są odporni, lecz nie bogactwo samo w sobie to sprawiło. Przybyłych ze wszystkich stron kardynałów nie sposób było uznać za biedaków, a jednak u wielu z nich wystąpiły objawy choroby. Rozpoczęcie konklawe stało się więc sprawą pilną, podobnie jak szybkie jego zakończenie. Mieszkańcy miasta winą za stan sanitarny obarczali przybyszów, którzy tak tłumnie doń napłynęli. Inni przebąkiwali o gniewie Bożym, który można uśmierzyć tylko przez szybki wybór nowego papieża.

Z powodu szerzenia się chorób i zniecierpliwienia przedłużającym się oczekiwaniem na konklawe tego miesiąca odbyły się w Valanie demonstracje i doszło do zamieszek. W Niedzielę Palmową czysto religijna, jak mogłoby się wydawać, procesja wyruszyła z Kolegium Świętego Stona w stronę ufortyfikowanego szczytu wzgórza. Kiedy znalazła się w pobliżu Świętego Jana na Wygnaniu, jej charakter gwałtownie się zmienił. Rozwinięto inne chorągwie i procesja przeobraziła się w pochód polityczny, którego traktowanym z przymrużeniem oka celem było zademonstrowanie przez studentów Seminarium Świętego Stona poparcia dla kandydatury Amena Spicklebirda na Tron Piotrowy i do potrójnej korony papieskiej. Kiedy ojciec Spicklebird dowiedział się o tym, nie czekał, aż wezwie go obecny biskup Denver, lecz pokuśtykał pospiesznie do miasta, żeby potępić całe przedsięwzięcie i zbesztać studentów.

Przywódcy ruchu zostali zatrzymani przez świecką policję i Specklebird uznał, że musi zganić także działanie władz.

Następnego dnia studenci uczelni świeckiej odegrali parodię tego incydentu, demonstrując na rzecz kandydatury trygamisty z Hongu, kardynała Ri, co sprawiło niesłychaną przyjemność Toporowi, który zaprzyjaźnił się z sześcioma żołnierzami Ri i starał się dowiedzieć od nich jak najwięcej o życiu po drugiej stronie zachodniego oceanu. Przywódcy znowu zostali osadzeni w areszcie przepełnionym już pijanymi farmerami, nomadami i kieszonkowcami, którzy przybyli tu, by obłowić się w gęstniejącym i towarzyszącym niezmiennie każdemu konklawe tłumie petentów i ludzi należących do najrozmaitszych grup nacisku. Przywódców studentów lekko wychłostano, innym wymierzono kary w zawieszeniu. Nie zabrakło też sankcji kościelnych za próbę wpłynięcia na wynik konklawe.

W Wielki Wtorek dziekan Świętego Kolegium ukazał się na balkonie Świętego Jana na Wygnaniu i obiecał wzburzonemu i szydzącemu tłumowi, że obrady rozpoczną się, gdy tylko na miejscu znajdzie się 398 kardynałów. „Prawdopodobnie w ciągu dziesięciu dni” – dodał. Po śmierci Linusa VI zmarło już dwudziestu dwóch kardynałów, a trzech kolejni papieże przestrzegali moratorium na rozdawanie czerwonych kapeluszy, nadal jednak prawo kościelne wymagało obecności dwóch trzecich plus jeden spośród wyborców i zarazem kandydatów – z wyłączeniem tych, którzy mogli przedstawić zaświadczenie o chorobie. A jeśli zjawi się nie więcej niż minimalna liczba 398 członków Świętego Kolegium, wybór będzie musiał być jednomyślny, tak więc obietnica dziekana była czcza i tłum dobrze o tym wiedział. Poważne głosowanie nie będzie się mogło odbyć, póki nie przybędą do Valany wszyscy poza zgrzybiałymi starcami, chorymi i ułomnymi.

Już teraz przeliczano głosy i miejscowi bukmacherzy przyjmowali zakłady, choć było to bluźnierstwo i groziło ekskomuniką. Nie było zdecydowanego faworyta, ale każdy mógł postawić dwa alabastry na Golopeza kardynała Onyo ze Starego Meksyku w nadziei, że wygra trzy, a zwolennicy Uriona Benefeza mogli obstawiać trzy do jednego. Podobne szanse dawano wypowiadającemu się w tym samym duchu co Urion Ottonowi kardynałowi e'Notto z Delty

Wielkiej Rzeki i Chuntarowi Hadali, wielce poważanemu misjonarzowi z Doliny Wybryków Natury, teraz Państwa Watchitah. Sorely Nauwhat z Oregonu miał szanse jeden do dziesięciu, a to z tej przyczyny, że na terenie jego diecezji uporczywie dawały o sobie znać problemy doktrynalne. Opata Jarada Kendemina oceniono na piętnaście do jednego. Ubogi odźwierny albo gospodyn domowa stawiając na takich kandydatów jak Elia kardynał Kucisawy albo Amen Specklebird, mogli liczyć na szybkie wzbogacenie.

Mimo braku papieża Wielki Tydzień obchodzono niezwykle uroczyście. Odprawiano msze koncelebrowane przez wszystkich zdrowych kardynałów, odbywało się wiele religijnych procesji. Ale widowiska nie zmieniły nastrojów ludności, która myślała tylko o jednym: pragnęła papieża, papieża z Zachodu – i to jak najszybciej. Oburzano się na zwlekającego z przybyciem kardynała arcybiskupa Teksarku, lecz awangarda jego prawników, sług i konklawistów była już zajęta przygotowywaniem wielkiego bez wątpienia wkroczenia kardynała we właściwym momencie na scenę.

Wstępne spotkanie elektorów, ich asystentów i pełnomocników, a także prawników, pomniejszych prałatów, zwierzchników zakonów, wybitnych uczonych, a wśród nich teologów, historyków, politologów, zostały wyznaczone na Wielki Czwartek po południu. Zapowiedziano dyskusję na temat zmiany relacji między Kościołem a władzami świeckimi w pierwszej połowie trzydziestego drugiego wieku. Nieformalny i niesakralny charakter tej konferencji został jeszcze bardziej podkreślony tym, że miała się odbyć w Wielkim Audytorium u Świętego Stona i że dopuszczono pewne kategorie osób jako obserwatorów.

– Wybierasz się na walkę na pięści, Czarnozębie? – spytał Aberlott, ubrany już w studencki mundur.

– Kto stanie do walki? – spytał mnich.

– Oczywiście Benefez przeciwko każdemu, kto rzuci mu wyzwanie. Kto wie, może nawet twój zwierzchnik podejmie rękawicę w imieniu Zachodu.

Jaesis przewrócił się na drugi bok i jęknął.

– Kardynał Kucisawy nie daje się wciągać w walki, a poza tym arcybiskup Teksarku jeszcze nie przyjechał.

– Och, ale jest tu cały jego sztab. No i trzynastu kardynałów z Cesarstwa. Z pewnością wykona jakiś ruch.

Jsesis zaskomlał przez sen i zaklął pod nosem.

– Wystarczy, że padnie imię Benefeza, a Jaesis wpada w szal. – Aberlott wskazał na trawionego gorączką śpiącego. – A może tak bardzo nienawidzi Hannegana?

– Przypuszczasz, że dojdzie do kłótni?

– Ja to wiem. Zwróć uwagę, że będzie tam także ojciec Corvany, generał Zakonu Świętego Ignacego.

Jaesis obudził się i zaczął rzucać bardziej logiczne przekleństwa.

Czarnoząb sięgnął po swój habit.

– Znam pewnego księdza z tego zakonu. Ten człowiek stawiał czoło Corvany'emu.

– I pozostał księdzem?

– „Tyś kapłanem na wieki na wzór Melchizedeka”, jak powiadają. Jest jednak obłożony interdyktem. Nie mógł wysłuchać mojej spowiedzi.

– Jak się nazywa?

Czarnoząb zawahał się, ale po chwili potrząsnął głową. Żałował teraz, że wspomniał o ignacjanie. Przy okazji pracy nad tłumaczeniami w Sekretariacie dowiedział się, że ojciec e'Laiden, z którym podróżował aż do Pobli, i ojciec Ombroz, guwerner i kapelan rodu Małego Niedźwiedzia, to jedna i ta sama osoba.

– Musiałem pomylić imiona – odparł. – Nie pamiętam.

– No jak, idziesz?

– Tylko się ubiorę.

Audytorium u Świętego Stona miało dwa tysiące miejsc siedzących. Kwartal krzesel z przodu, przeznaczonych dla kardynałów, został ogrodzony sznurem, ale połowa z nich była nadal pusta, choć zegar wybił już trzecią. Następną część krzesel, też jedną czwartą, zarezerwowano dla pierwszych sług każdego kardynała. Te były zajęte do ostatniego miejsca przez księży i pisarzy, którzy mieli za zadanie notować przebieg obrad, nudząc się przy tym śmiertelnie. Drugą połowę krzesel przeznaczono dla pomniejszych prałatów, ciała profesorskiego, księży, mnichów i studentów – w tej właśnie kolejności. Miejsc było więcej niż chętnych. Czarnoząb i Aberlott przyszli wcześniej i usiedli tuż za

sługami kardynałów. Nikt ich nie poprosił, żeby przesiedli się do dalszych rzędów. Parę osób wyszło na podwyższenie. Czarnoząb rozpoznał przełożonego seminarium, a potem mężczyznę w białej sukni i szkaplerzu z czarną mozzettą, wybitnego dominikanina, zapewne przełożonego zakonu na Zachodnim Wybrzeżu. Nagle Czarnoząb zsunął się najniżej jak mógł na swoim krześle. Zza kulis wyłonił się dostojny opat Jarad kardynał Kendemin, który usiadł nieopodal dominikanina. Pochylili się do siebie, wymienili pocałunek pokoju i zaczęli prowadzić szeptem miłą pogawędkę ponad oddzielającym ich pustym krzesłem.

– Co się stało? – spytał Aberlott, zerkając na Czarnozęba. – Może położysz się na podłodze?

Kiedy z góry dobiegło bicie zegara, obwieszczającego, że minął kwadrans, Aberlott wstał z uroczystym wyrazem twarzy i oznajmił:

– Wysoki Sąd idzie.

Kilka osób w sąsiedztwie dźwignęło się ze swoich krzesel.

– Siadaj, błaznie! – syknął Czarnoząb, szarpiąc go za rękaw.

Mężczyzna, który wszedł na podwyższenie, był kanclerzem seminarium. Powiedział kilka słów na powitanie, a potem poprosił, by kardynałowie, którzy chcą mieć swych ludzi pod ręką, wezwali ich do siebie, a resztę obecnych, by przesunęli się do przodu i zajęli wolne miejsca. Aberlott przeniósł swe korpulentne ciało o jedno miejsce w lewo, oznajmił jakiemuś natrętowi, że krzesło między nimi jest zajęte, i kiedy na sali zapanowała z powrotem cisza, obrócił się i skinął na stojącego z tyłu Wooshina, by ten do nich dołączył, ale Topór potrząsnął przecząco głową. Jego obecność oznaczała, że kardynał Kucisawy jest gdzieś w pobliżu. Wojownik objął rolę przybocznego strażnika Czerwonego Diakona i spodziewał się, że wkrótce zostanie przeniesony do izb dla służby w kardynalskim domu.

Pierwszym mówcą był dominikanin, którego przedstawiano jako dom Fredaina e'Goniana, opata Gomaru, generalnego przełożonego zakonu kaznodziejskiego na Oregon. Tu es Petrus – oznajmił, jak się można było spodziewać, na początek, potem zaś wygłosił kazanie, które zaczął od wzruszających wezwań do jedności. Wkrótce jednak przeszedł do chłostania biczem potępienia tych zwolenników wygnania albo powrotu, który kierują się motywami

ekonomicznymi. Tego samego dnia, po zakończeniu konferencji, widziano go w habicie obryzganym pomyjami wylanymi przez okno na pierwszym piętrze domu w kupieckiej dzielnicy miasta.

Następnie kanclerz seminarium przedstawił ojca generała Corvany'ego z Zakonu Świętego Ignacego w Nowym Rzymie, mężczyznę wyraźnie po siedemdziesiątce, ale nadal przystojnego i starannie ubranego. Jego pełna wdzięku postawa i miła osobowość przypomniały Czarnożębowi – który sam poczuł się tym zaskoczony – jego pracodawcę. Na twarzy Corvany'ego, podobnie jak na twarzy Kucisawego, zawsze gościł uśmiech; kiedy się pojawiał, efekt był piorunujący. Zwrócił się z paroma słowami powitania do Jego Eminencji i naraz jego twarz spochmumiała.

– Nie wątpię, że zaszła tu jakaś pomyłka–oznajmił.–Proszę o chwilę cierpliwości. – Oddalił się od podium, zszedł po schodkach i śmiało ujął za rękę Jej Eminencję, kardynalessę Buldryk, ksienię N'Orku. – Bardzo proszę. Twoje miejsce jest na podium.

Buldryk otworzyła szeroko usta, ale pozwoliła zaprowadzić się na podwyższenie. Wśród kardynałów poniósł się szmer zdumienia i rozległo się nawet kilka stłumionych okrzyków zgorszenia, jako że Corvany nie był nawet członkiem Świętego Kolegium. Na twarzy kanclerza seminarium pojawił się wyraz świadczący o kompletnym zaskoczeniu.

– Widzisz? A nie mówiłem? – szepnął Aberlott. – Stawiam miedziaka, że to miejsce było przeznaczone dla kardynała Ri.

Ksieni zasiadła między Jaradem i dominikaninem, co żadnemu z nich nie sprawiło najmniejszej przyjemności. Za to Corvany pokazał, że jest najbardziej liberalnym i rycerskim ze wszystkich prałatów. Na jego twarz powrócił promienny uśmiech. Przedstawił teraz słuchaczom swego wielce uczonego konfratra z Zakonu Świętego Ignacego. Zakonnik ten miał przemówić zamiast Corvany'ego. Był to niejaki Urik thon Yordin, SJ, osoba duchowna, ale także profesor historii na świeckim uniwersytecie w Teksarku. Był to szczupły, siwowłosy, ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna w okularach, najwyraźniej jeszcze jeden członek awangardowego oddziału arcybiskupa Benefeza. Jego sposób zwracania się do słuchaczy bardziej pasował do sali wykładowej niż kościelnego pulpitu.

– W częstych okresach schizmy w Kościele nie rozumiano zbyt dobrze, że stanowi ona odbicie naturalnego podziału kontynentu. Jeśli można się tak wyrazić, znakomici panowie, zawsze istniały dwa Kościoły, jeden na Wschodzie, drugi na Zachodzie. Kiedy papież miał rezydencję w Nowym Rzymie, nieopodal Rzeki Wielkiej, przebywał równie daleko od tych stron i od Dalekiego Zachodu, jak gdyby Nowy Rzym znajdował się na Atlantyku. Odkąd papieżstwo przeniosło się tutaj, do podnóża gór, nastąpiło wielkie uzdrowienie Kościoła na Zachodzie, lepiej rozumiano bowiem jego problemy. Z całą wyrazistością ujawniły to wydarzenia w Oregonie.

Czarnoząb zobaczył, że biskupi z Zachodu nachylili się do siebie i wymieniali szeptem jakieś uwagi. Było rzeczą bardzo dziwną, że człowiek Uriona Benefeza zaczął od przyznania racji tym, którzy optowali za pozostawieniem papieża w Valanie. Wydawało się, że mówca jest nastawiony pojednawczo.

– Jeśli zaś chcemy zrozumieć przyczynę problemu Zachodu – ciągnął thon Yordin – wystarczy zastanowić się nad drogą, jaką musieli przebywać posłańcy przed zaprowadzeniem pokoju w Prowincji. Na początku tego tysiąclecia człowiek na tyle szalony, by wyruszyć samotnie z Nowego Rzymu na Daleki Zachód, mógł podróżować na przykład taką drogą: na południe szlakami leśnymi, dalej obrzeżem Doliny Wybryków Natury do Zatoki i równoległe do linii brzegowej w stronę Rzeki Śmiałej. Po jej pokonaniu trafiał na królewską drogę, która prowadziła przez pustynię i była chroniona przez żołnierzy króla. Kiedy już znalazł się na Dalekim Zachodzie, skręcał znowu na północ. Samotny podróżny wędrujący na Wschód musiałby podobnie nadłożyć drogi. Dlaczego?

Podniósł wysoko jakieś papiery.

– Oto datowany z dokładnością do miesiąca i liczący sobie sto czterdzieści osiem lat egzemplarz wojskowego regulaminu Gwardii Papieskiej, określający sposób eskortowania papieskich legatów i innych posłów podróżujących po najprostszych drogach wiodących ówczesnie przez Wysokie Równiny. Nie bójcie się, nie mam zamiaru czytać tego dokumentu. Każdy może się natomiast z nim zapoznać. Zgodnie z podanymi tu zasadami taka eskorta składała się z czterdziestu ciężkozbrojnych jeźdźców pod dowództwem kapitana i dwudziestu lekkozbrojnych łuczników z mieczami i halabardami na

mułach. Są tu także wymienione dozwolone szlaki, przy czym zabronione są te łożyska rzek i przeprawy, których wykaz został dołączony do regulaminu. Kiedy wszystko było już gotowe do wyruszenia, czekano, póki jeden człowiek, dowódca eskorty, nie zdecydował, że można jechać. Domyślcie się dlaczego?

Bywało w tamtych czasach, że jakiś śmiałek wyprawiał się samotnie albo z małym oddziałem zbrojnych. Było to jednak jak wyprawa łodzią wiosłową na pełne morze. Nawet gdyby nikt nie zamieszkiwał tego oceanu trawy, najpierw wysokiej, potem, w miarę posuwania się na zachód, coraz krótszej, a wreszcie, na południu, u podnóża gór, pustynnej, nawet więc, gdyby nikt tam nie mieszkał, taka podróż byłaby bardzo niebezpieczna. Ten kontynent żyje w przyrodzonym stanie schizmy, znakomici panowie. Podzieliła go sama natura. Także dzisiaj na otwartych przestrzeniach hulają straszliwe wiatry, panują porażające upały albo przejmujące chłody. Nie ma niczego poza ziemią, niebem, trawą i wiatrem. Nie ma się gdzie schronić. W którąkolwiek stronę zwróci człowiek spojrzenie, widzi tylko odległy horyzont i falującą na wietrze trawę. Wielki ocean trawy!

W dawnych czasach te bezmierne obszary zamieszkiwali okrutni, skorzy do rozboju pasterze ze swoim dzikim, długowłnistym bydłem. Ich rozrywką było torturowanie ludzi—obdzierali schwytanych posłańców żywcem ze skóry i zjadali albo zmieniali ich w niewolników. Ci z was, którzy przybyli tu przez Równiny, względnie bezpiecznie, ośmielę

się dodać, aczkolwiek ubolewam nad niewygodami, na jakie byli narażeni, ci zatem widzieli na własne oczy potomków tych kanibali. Lecz nikt was nie niepokoił, jeśli nie natrafiliście na jakąś bandę wykrotników. Natomiast przodkowie tamtejszych ludów byli powodem opracowania tego zadziwiającego regulaminu, który trzymam w ręku.

Ci pasterze pozostali dzicy i okrutni, ale nie nękali już was podczas podróży. Wszyscy przyznamy, że choć Kościół na Zachodzie składał hołd jednemu prawdziwemu namiestnikowi Chrystusa, tradycyjnie rezydującemu na wschód od Równin, zawsze kroczył własną drogą w sprawach wiary, moralności i doktryny. Wiemy o

tym z dziejów Oregończyków. Jeśli macie co do tego jakieś wątpliwości, powołam się w tym miejscu na prace Durena.

Czarnoząb podniósł natychmiast wzrok na opata Jarada. Zaraz tego pożałował, gdyż były przełożony przyglądał mu się z tryumfalnym uśmiechem. Kilku siedzących koło opata kardynałów wymieniało szeptem jakieś uwagi.

Aberlott zauważył wzburzenie Czarnozęba i obrócił się w jego stronę.

– Nimmy – szepnął – czy wiedziałeś, że Oregończycy używali podczas mszy wielkanocnej zakwaszonego chleba?

– Nie, nie wiedziałem – odszepnął Czarnoząb. – Także Duran nic o tym nie wspomina. A teraz sza!

– Ależ tak. Zamiast „Oto Baranek Boży” kapłan mówił, unosząc hostię: „Oto Pan powstał i wyrósł”.

Czarnoząb kopnął go w kostkę. Aberlott wyduł wargi w niemym stęknieniu.

– Sedno sprawy w tym, że komunikacja między Wschodem i Zachodem była w owych dniach zbyt utrudniona, żeby papież mógł utrzymywać stałą łączność ze swoimi owieczkami i biskupami – ciągnął profesor. – Teraz jednak na Wysokich Równinach i Preriach panuje względny spokój, jeśli nie liczyć band przestępców. Na Południu zaś przez większość waszego czcigodnego żywota każdy mógł podróżować samotnie albo w małych, nieuzbrojonych grupach. Dzięki temu ci z was, którzy przybyli z Południowego Wschodu, pokonali drogę wiodącą z obszarów położonych na wschód od Wielkiej Rzeki aż tutaj, do podnóża gór, równie bezpiecznie, jak podczas przejażdżki po drogach własnych diecezji. Dlaczego? Ponieważ południowa horda została spacyfikowana i Prowincja jest sprawnie zarządzana, a mieszkańcy pozostałej, północnej części Prowincji wiedzą, że grabienie, gwałcenie i mordowanie nas, „trawożerców”, ściągnie na nich natychmiastową karę. Nie ulega więc wątpliwości, że skoro przywrócono możliwość podróżowania i łączność, rzekome korzyści płynące z przebywania papieża na Zachodzie, na wygnaniu, straciły już swe znaczenie.

Opat Jarad wstał, ale mówca nie zauważył tego, a przynajmniej tak się mogło wydawać, gdyż ciągnął swoje przemówienie:

– Nie jestem wojskowym, ale... – W tym momencie przerwał, gdyż spojrzenia słuchaczy powędrowały na prawo od niego. Obrócił się i zobaczył stojącego Jarada. – Och! Eminencjo?

– Być może korzyści płynące z wygnania są, jak rzekłeś, urojone. Modłę się o powrót papieża do Nowego Rzymu, wygnanie jest bowiem zgorszeniem i ohydą. Muszą jednak powstać sprzyjające warunki. Chciałbym przypomnieć uczonemu mówcy, że Traktat Świętej Klaczy poprzedza podboje, że wojskowe regulaminy, na które uczony mówca się powołuje, poprzedzają traktat, że sam traktat został wynegocjowany pokojowo dzięki pośrednictwu Kościoła i że wysłannicy Kościoła przez co najmniej sto latpokonywali drogę przez Wysokie Równiny bez wojskowej ochrony teksarkańskiej, choć nigdy nie było to bezpieczne.

Zarumieniony po tej przemowie Jarad usiadł i rozejrzał się, czekając na pomruk aprobaty. Daremnie.

– Dziękuję. Jak już powiedziałem, nie jestem wojskowym, ale wyjaśniono mi, że misja sił teksarkańskich w pobliżu Nowego Rzymu nie ma nic wspólnego z samym Nowym Rzymem czy Stolicą Apostolską. Nie zostały tam posłane po to, żeby sprowokować albo zastraszyć papieża. Ówczesny Hannegan był tak samo jak reszta kraju zdumiony ucieczką papieża do Valany. Zadaniem wojska nie było otoczenie Świętego Miasta, ale chronienie drwali osiadłych na terenach między Wielką Rzeką i bezdrzewną prerią. Farmom zagrażała z zachodu i północy wschodnia horda tak zwanych Pasikoników. Działają tam siły pokojowe, co przyznaje teraz większość mieszkańców Nowego Rzymu. Przedtem członkowie hordy przenikali na obszary rolnicze, kradnąc bydło i porywając chłopców.

Jak wiecie, nomadzi płodzą więcej dzieci płci żeńskiej niż męskiej. Podobno jest to obciążenie dziedziczne. Tak czy inaczej wracający do Nowego Rzymu papież będzie chroniony, nie zaś zagrożony, ale siły...

– Chwileczkę – w sali rozległ się głośny i wyraźny głos kardynała Kucisawego. Czarnoząb rozejrzał się, podobnie jak wielu innych, ale nie dostrzegł, by ktoś wstał ze swojego miejsca. – Chwileczkę, jeśli można.

Wszystkie spojrzenia powędrowały do tyłu i w górę. Kucisawy stał na chórze z Toporem po jednej stronie i Amenem Specklebirdem, ODD – po drugiej. Czarnozęba i Aberlotta nie wpuszczono na galerię, ale straż najwyraźniej otworzyła ją dla spóźnionych, żeby po rozpoczęciu obrad nikt nie kręcił się w przejściu między rzędami krzesel.

– Jestem potomkiem owych kanibali, jak zechciałeś ich nazwać. Moja matka, jak opowiadały siostry, które mnie wychowały, nosiła imię rodowe Kuc Cisawy. Nie znałem jej, ale siostry powiedziały, że rodzina należy do Dzikich Psów i że matka owdowiała wcześniej, gdyż jej mąż, z Pasikoników, uciekł wprawdzie z teksarkańskiego więzienia, ale dosięgła go teksarkańska kula. Została zgwałcona przez żołnierza z taksarkańskich sił rzekomo pokojowych, kiedy udawała się na południe, żeby odwiedzić rodzinę nieżyjącego męża. Jestem owocem tego gwałtu. Siostry, które wychowały mnie w waszej prowincji, przekazały imię, jakie podała im matka.

Czarnoząb spojrział szeroko otwartymi oczami na Wooshina i jego zaskoczenie znalazło odbicie w zaskoczeniu, jakie odmalowało się na twarzy wojownika. Żaden z nich nie wspomiał nikomu o pochodzeniu Kucisawego, uważali bowiem, że jest to temat tabu. I oto teraz sam Czerwony Diakon wyjawia swe tajemnicze, bękarcie pochodzenie całemu światu, który dotychczas jedynie o tym plotkował. A przecież z dokumentów, które mnich oglądał w Sekretariacie, wynikało, że kardynał wie o tym tyle, co nic.

– A oto mój sekretarz – oznajmił Kucisawy, patrząc na Czarnozęba. – Jego przodkowie byli pasikońskimi uciekinierami przed taksarkańską pacyfikacją. Stracili swoje bydło przez zarżone zwierzęta Hannegana. Rodzice mojego sekretarza umarli bez koni, uprawiając ziemię, która należała do kogoś innego. Wiem od niego to i owo o ludzie Pasikoników i jego historii. Przez całe wieki wypasali bydło na terenach, o których mówisz, położonych między innymi ich ziemiami. Zdaje mi się, że na starych mapach określone zostały nazwą „Iowa”, ale są to ziemie bezleśne i na tyle żyzne, iż wzbudziły pożądanie farmerów. Drewno na żerdzie, paliki, łuki i strzały Pasikoników pochodziły niezmiennie z porośniętych gęstymi lasami obszarów na północ i południe od tych terenów. Jeśli teraz są tam farmerzy, to dlatego, że osiedli na tej ziemi po rzeziach

dokonanych przez Hannegana. Przedstawiasz wojska Teksarku jako siły chroniące ludzi. Chcesz, by papież wrócił do Nowego Rzymu w otoczeniu takich obrońców. Ja też chcę, żeby papież wrócił tam, i to wbrew swoim obrońcom, żeby znalazł się wśród wrogów, do których sam siebie przed chwilą zaliczyłeś. Zostałeś tu przysłany przez swego pana. Teraz kardynał arcybiskup Teksarku, którego posłańcem, jak wszyscy wiemy, jesteś, musi albo podpisać się pod twoimi poglądami, albo potępić oszczerstwa, jakimi obrzuciłeś ludy Równin.

Zapadła nabrzmiąta zdumieniem cisza, a potem rozległy się na chwilę oklaski i wiwaty dwóch przedstawicieli Zachodu. Ojciec generał Corvany stał znów z twarzy ujmujący uśmiech, co nie wróżyło niczego dobrego, i wstał. Owacja zaraz ucichła. Kucisawy usiadł z zadowoleniem malującym się na obliczu. Kardynałowie patrzyli na niego, oglądając się przez ramię. Twarz siedzącego na podwyższeniu Jarada wydłużyła się. Kucisawy był znany jako zawsze pełen kurtuazji dyplomata, jako rozjemca, który rzadko opowiada się po jednej ze stron. Mówił przed chwilą spokojnym tonem, ale wypowiedział wojnę, i uczynił to z rozmysłem.

Zanim Corvany zdążył zabrać głos, wstał mówiący niewyraźnym głosem arcybiskup z delty Rzeki Wielkiej, teraz części imperium teksarkańskiego, żeby bronić twierdzenia o pokojowych działaniach poprzednich Hanneganów na Środkowym Zachodzie i wyrazić ubolewanie z powodu przerywania mówcy. Wycelował palec w stronę balkonu i zaczął coś bełkotać o Kucisawym, ale w tym momencie zerwał się dziekan Świętego Kolegium. „Pokój Boży! – wykrzyknął. – Pokój Boży!”

Konferencja zmieniła się powoli w wojnę na słowa i niewielu z obecnych zwróciło uwagę na studenta, który lekko się zataczając, szedł w tym momencie środkowym przejściem. Aberlott chwycił za ramię Czarnozęba i wskazał na idącego. Był to Jaesis, nie uczesany i nie ogolony, z ziemistą twarzą pokrytą czerwonymi cętkami. Przystanął pośrodku sekcji wydzielonej dla kardynałów i wydobył coś spod nie do końca zapiętej sutanny. Wychrypiał imię Yordina i jakieś przekleństwo. Rozległ się strzał, buchnął dym. Thon Yordin złapał się za pierś, opuścił wzrok, ale nie zobaczył krwi. Natomiast w tylnej części podwyższenia ktoś runął z krzesła. Na podłodze leżał

we krwi ojciec generał Zakonu Świętego Ignacego. Napastnik w przejściu zaczął wymachiwać pistoletem teksarkańskiej kawalerii, wrzasnął coś znowu w stronę thona Yordina, wystrzelił z drugiej lufy prosto w sufit i osunął się na ziemię. Obecni z głuchym pomrukiem zerwali się na równe nogi. – Morderca! Teksarkański morderca! Agenci Hannegana! Czarnoząb rozejrzał się, próbując zlokalizować źródło tego irracjonalnego okrzyku, ale zobaczył tylko uniesioną pieść wymachującą pośród rozkołysanego tłumu.

Ludzie cisnęli się wokół leżącego studenta, a z podwyższenia rozległy się głosy wzywające lekarza. Czarnoząb i Aberlott zostali schwytani przez policję, kiedy opuszczali pospiesznie budynek.

Czekało ich ośmiogodzinne przesłuchanie w koszarach valańskiej policji, ale na ratunek zjawił się wkrótce kardynał Kucisawy. Obyło się bez brutalności. Policja dowiedziała się na uczelni, że Jaesis pochodził z Teksarku, że uczęszczał na wykłady thona Yordina na tamtejszym uniwersytecie, ale nie zdał egzaminów i przeniósł się do Świętego Stona. Lekarz stwierdził, że nawet w tej chwili cierpi na obłęd wywołany gorączką. Tuż po północy zwolniono Aberlotta i Czarnozęba. Szli do domu w świetle wielkanocnego księżyca. Tej nocy Jaesis zmarł w areszcie.

Kiedy całe miasto spało, wielebny Urik thon Yordin pchnął jeźdźca do terminalu telegraficznego przy drodze do Prowincji. Nota, którą wiózł posłaniec, była przeznaczona dla Uriona kardynała Benefeza i miała, wraz z kopią przeznaczoną dla cesarza, dotrzeć do miasta Hannegana o wschodzie słońca w Wielki Piątek.

„Ojciec Corvany został dzisiaj zabity przez studenta, współlokatora sekretarza Kucisawego. Sekretarz, pochodzenia nomadzkiego, został przesłuchany, ale zwolniony po interwencji Kucisawego. Zabójca zmarł w areszcie. Szczegóły później. Czekam na dalsze instrukcje.

Twój posłuszny sługa w Chrystusie, Yordin”.

Rozdział 10

„Człowiek powinien być przekonany, że Bóg z nieba patrzy nań zawsze i o każdej porze, a także, iż czyny jego w każdym miejscu

rozgrywają się przed oczami Bożymi, Aniołowie zaś w każdej chwili donoszą o nich Bogu”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział VII

W niedzielę, 17 dnia kwietnia 3244 roku w Valanie Czarnoząb wstał przed świtem i spojrzał na księżyc po pełni, kryjący się już za górami. Umył popiołem i przegotowaną wodą zęby, opróżnił przed domem pęcherz, ubrał się i spędził na modlitwie krótki czas, jaki pozostał do wschodu słońca. Wyszedł z domu, nic nie jedząc, miał bowiem przyjąć komunię. Idąc w porannym chłódzie na mszę, czuł, że ktoś za nim podąża. Odwrócił się, ale zobaczył tylko w odległości rzutu kamieniem mężczyznę mówiącego coś do otwartego okna i drugiego podążającego w przeciwnym kierunku. Tego pierwszego Czarnoząb widział już, żebrzącego na ulicy dzień przed zastrzeleniem Corvany’ego przez Jtesisa. To pewnie mieszkaniec któregoś z sąsiednich domów. Uczucie, że ktoś go śledzi, było złudzeniem, którego źródło stanowi wstyd – uznał mnich. Szedł dalej w stronę Katedry Świętego Jana na Wygnaniu. Był wielkanocny poranek.

Msza rezurekcyjna koncelebrowana przez setki kardynałów w papieskiej katedrze była imponującym widowiskiem nawet bez udziału papieża. Czarnoząb przyszedł na tyle wcześnie, że wskazano mu stojące miejsce, gdzie mógł od biedy przyklęknąć, ale ci, którzy przyszli później, musieli cisnąć się w tłumie poza nawą albo nawet poza katedrą. Po mszy okazało się, że trudniej z kościoła wyjść niż do niego wejść, ponieważ wielu z tych, którzy już się wydostali, przystawało, by porozmawiać ze znajomymi, i blokowało wyjście. Była to wymarzona sytuacja dla mordercy. Czarnoząb poczuł, że sztylet zagłębia mu się w bok, i zobaczył trzymającą broń rękę, która wystrzeliła spomiędzy dwóch innych wiernych. Ci rzucili się z przerażeniem do tyłu. Czarnoząb chwycił się za bok i spojrzał w twarz napastnika. Było to ten sam człowiek, którego widział przed otwartym oknem, żebrak. Czując, że ludzie się rozstępują, potoczył wzrokiem dokoła. Napastników było trzech, wszyscy brudni i nędznie ubrani, dwaj z nożami, jeden z łańcuchem. Walczyli na wielkich katedralnych schodach. Nie było tu żadnych podestów i

dwaj z nich runęli w dół, z niespodziewaną zręcznością rzućni do stóp schodów przez swoją ofiarę. Ktoś wzywał głośno konstabla, ktoś inny Gwardię Papieską. Pierwszy z napastników, ów żebrak, przesunął ostrzem po twarzy mnicha i być może by go zabił, gdyby nie rozległ się dźwięk rogu konstabla. Wszyscy trzej rzucili się do ucieczki.

Rany przemyto mu i opatrzone na komisariacie. Potem przesłuchał go jakiś popędliwy porucznik, który z uporem powtarzał, że on, Czarnoząb, a także Jassis, Aberlott i Crumily spiskowali w ramach szerszej konspiracji. Powiązania Czamożęba z kardynałem dawały mu poczucie bezpieczeństwa, kiedy próbowano go zastraszyć – pod warunkiem, że nie uciekano się do przemocy. Powiedział porucznikowi to, co tamten powinien wiedzieć, i starał się zignorować wszystko, co usiłował z niego wyciągnąć, wychodząc z niewłaściwych założeń.

– Żaden pospolity łubuz nie będzie próbował ograbić biednego mnicha.

– Nie zamierzali mnie obrabować, ale zabić.

– Otóż to! Dlaczego? Musieli mieć jakiś powód, żeby cię nienawidzić.

– Wyglądali na zwykłe męty, nie mieli powodów, by na mnie nastawać, musiał więc ktoś ich najać.

– Jak sądzisz, kto?

– Jakiś głupiec, który mniema, że Jaesis zaplanował zamordowanie ojca Corvany'ego i że ja byłem jakoś w to zamieszany.

Porucznik, który najwyraźniej był tego samego zdania, obrzucił go groźnym spojrzeniem i opuścił na kilka minut pokój. Czarnoząb zaczął modlić się do świętego Leibowitza. Po krótkiej nieobecności zachowanie porucznika uległo radykalnej zmianie.

– Będziemy musieli chronić cię przed następnym zamachem. Przebywaj z ludźmi, których znasz. Nie wychodź nocami z domu. Trzymaj się jak najdalej od tłumów takich jak dzisiaj.

Wyjdź teraz z mojego gabinetu i usiądź na ławce. Wkrótce przybędzie tu twój zwierzchnik.

– Jego Eminencja? Z mojego powodu?

– Ze swojego. Doszło też do zamachu na jego życie. Jest tu jego człowiek. Powie ci o wszystkim.

Z któregoś pokoju przesłuchań wyłonił się Wooshin. Usiadł obok Czamożęba i opowiedział pokrótce, jak na Kucisawego rzuciło się dwóch mężczyzn z pistoletami. Kardynałowi nic się nie stało, a napastnicy nie żyją. Policja odkryła na miejscu zajścia pozbawione głowy ciało i odciętą dłoń zaciśniętą na pistolecie. Morderca, do którego to ramię należało, został znaleziony w alejce. Wykrwawił się na śmierć. Jeśli przedtem wyjawiał cokolwiek konstablowi, który go znalazł, policja zachowała tę informację dla siebie. Tak czy inaczej, nie było potrzeby wypytywania, jak zginęli. Wkrótce jeden z funkcjonariuszy przyniósł Wooshinowi jego miecze. Zostały wytarte, ale widać było jeszcze ślady zaschniętej krwi. Topór zmarszczył brwi, schował je jednak do pochwy bez jednego słowa skargi. Po chwili przybył sam Kucisawy. Dowiedział się, jakie rany odniósł Czamożęba, i natychmiast udali się na piechotę do Sekretariatu – w towarzystwie dwóch zbrojnych mężczyzn, którzy z szacunkiem szli w pewnej odległości za nimi.

– Czy zastanawiałeś się, Nintmy, co to oznacza?

– Po pierwsze, że ktoś się pomylił, kojarząc mnie z Jaesisem. Ale ten zamach na ciebie, panie?

– To też pomyłka. Dla Hannegana jest rzeczą ważną z politycznego punktu widzenia, żeby genoki, nomadzi i obywatele żyli we wzajemnej nienawiści i strachu, gdyż w takim rozbiciu łatwiej nimi rządzić. Czy wiedziałeś, Nimmy, czy wiedziałeś, że... że Jaesis był mamidłem?

– Utajonym genokiem? Skądże, panie? Trudno uwierzyć. Widziałem go nago.

– Przeprowadzono sekcję zwłok i odkryto ślady. Nie ujawniono tego faktu. Od paru dziesięcioleci nie było pogromów i nie chcemy, żeby znowu do nich doszło. Zabierz natychmiast swoje rzeczy. Póki cały ten tłum nie opuści miasta, będziesz mieszkał w przyziemiu Sekretariatu. Na wszelki wypadek. Nie wiemy, kto wynajął tych zabójców, pewne jednak, że byli amatorami.

– Zwerbowanymi na miejscu – dodał mnich. – Jednego z nich widziałem już przedtem.

– No tak, ale telegraf sprawił, że staliśmy się przedmieściem Teksarku, i informacje biegną teraz szybciej niż słońce przesuwają się nad ziemią. Na szczęście konklawe zacznie się w połowie tygodnia.

Kiedy zjawi się Benefez albo choćby następca Corvany'ego, weźmie sprawy w swoje ręce. Nie sędzę, by kardynał Benefez wynajmował morderców.

- Ale jego bratanek owszem - burknął mnich.

- Tylko zawodowców, Nimmy. Amatorów nigdy! - wtrącił się Wooshin,

Kiedy dotarli do Sekretariatu, obszernego, lecz niskiego budynku, ukrytego wśród drzew, Czamoząb poszedł do trzech pokojów w przyziemiu, przygotowanych na przyjęcie posłańców albo politycznych uciekinierów. Jeden był już zajęty przez Topora. Czamoząb wybrał sobie pokój najbliższy ustępów, ale Topór natychmiast go ostrzegł: „W nocy używaj nocnika. Nigdy

nie wychodź za te drzwi, chyba że ja będę z tobą”.

Do czasu zebrania się wymaganej liczby kardynałów, czyli do pierwszej środy po Wielkanocy, nikt już jednak na nich nie napadł. Kiedy konklawe zebrało się po raz pierwszy, ludzie dotknięci tą samą co Jaesis chorobą biegali w amoku po ulicach, rozbierali się do naga w publicznych miejscach albo leżeli po prostu w łóżkach i wyli. Najpierw wszyscy kardynałowie koncelebrowali uroczystą mszę w wielkiej katedrze, a potem przeszli procesją przez plac i zniknęli w pałacu, w którym miały się odbyć wybory. W końcu ogromnej sali tronowej urządzono ołtarz i pałac został tymczasowo konsekrowany.

Kardynał Kucisawy wyznaczył na swoich pełnomocników brata Czarnozęba od Świętego Jerzego i siostrę Julianę od Wniebowzięcia. Reguła mówiąca, że jego pełnomocnicy muszą być od Świętej Małgi, odnosiła się tylko do tych okresów, kiedy był nieobecny, a kardynał nie zamierzał nigdzie się oddalać. Nimmy uznał wybór siostry za wyborne posunięcie dyplomatyczne, natomiast fakt własnego awansu przyjął z zaskoczeniem, ale potem spostrzegł, że Kucisawy często naradza się z Jaradem i że opat jako jednego ze swych pełnomocników przywiózł brata Śpiewną Krowę. Poczł jakiś nieokreślony niepokój. Być może Duch Święty przy wyborze papieża brał pod uwagę kierunki nomadzkiej polityki. Właściwie czemu nie? Bał się jednak spotkania twarzą w twarz ze Śpiewną Krową albo Opatem.

Zaraz po rozpoczęciu konklawe kardynał z Utah zapadł jednak na śmiertelną chorobę i trzeba było usprawiedliwić jego nieobecność, a to oznaczało odroczenie posiedzenia ze względu na brak quorum. Czamoząb wrócił do swego nowego mieszkania w przyziemiu. Policja nadzorowała budynek, ale nie doszło już do żadnej napaści.

Przez trzy dni kardynał przewodniczący obradom przedłużał odroczenie, a w tym czasie zjawilo się siedmiu następnych elektorów z prowincji północno-wschodniej. Przyszła depesza, w której zawiadomiono, że arcybiskup Teksarku przybędzie w ciągu najbliższych dziesięciu dni. Gdy tylko wznowiono konklawe, kardynał Kucisawy, którego w celu uniknięcia posądzenia o stronniczość poparł jeden z pełnomocników Benefeza, zaproponował podjęcie uchwały upoważniającej prefekta do zatrzymywania każdego kardynała-elektora próbującego opuścić miasto albo choćby budynek bez pozwolenia konklawe. Gorąco protestowali kardynałowie obawiający się epidemii, ale Kucisawy był nieugięty i napomknął o rozgniewanych ludziach na ulicach i o tym, co może przydarzyć się kardynałowi-elektorowi, który doprowadzi do tego, że nie będzie quorum. Uchwałę podjęto znaczną większością głosów i przekazano zarządowi miasta »Valana wraz z prośbą o pomoc w jej egzekwowaniu. Prośba została przyjęta i od tego czasu opuszczenie przez kardynała Valany traktowano jak przestępstwo. W tych warunkach proces szukania kandydata miłego Duchowi Świętemu i rozmaitym doczesnym potęgom rozpoczął się, zanim najznamie nitsza z tych doczesnych potęg, dostojny kardynał arcybiskup Urion Benefez przybył do Valany.

Miasto pozostawało we władaniu choroby.

Starodawny zwyczaj palenia głosów z dodatkiem mokrej albo suchej słomy, aby z komina ulatywał dym czarny albo biały, zachowano, ale prawa rządzące wyborami papieża zmieniły się zgodnie z wymaganiami epoki. Teoretycznie biskupa Rzymu wybierał rzymski kler zebrany w zamkniętej sali (con clave) i obradujący, póki któryś z kandydatów nie uzyskał dwóch trzecich głosów. Od tysięcy lat każdemu nowemu kardynałowi, bez względu na to, skąd pochodził, wyznaczano rzymski kościół, za którego utrzymanie stawał się on odpowiedzialny i którego nazwa stawała

się częścią jego imienia. Na przykład kardynał Kucisawy, diakon od Świętej Małgi w Nowym Rzymie. Teraz jednak kardynałów było więcej niż kościołów w Nowym Rzymie i Valanie razem wziętych.

Od czasu do czasu jacyś protestujący maszerowali przez miasto i zatrzymywali się na placu Świętego Jana, by wykrzykiwać swoje hasła pod oknami pałacu. Piątego dnia konklawe ludzie zaczęli rzucać kamieniami w drzwi i Gwardia Papieska, ubrana nadal w żałobne mundury, musiała przywracać porządek. Ponieważ gwardziści chcieli uniknąć rozlewu krwi, tłuszcza raz dwa ich rozbroiła. Policja miejska nie była w stanie zapanować nad tłumem, bo nie pozwolono by jej użyć broni palnej. Ciżba zbierała się i rozpraszała, kiedy chciała. Przerażeni kardynałowie głosowali bez przerwy przez trzy dni. Podczas głosowania tłum odchodził, aczkolwiek zawsze pozostawał ktoś wypatrujący białego dymu.

Czasem chwymano jakiegoś kardynała, zazwyczaj chorego, który próbował opuścić miasto, i wleczono z powrotem do pałacu, gdzie salę przylegającą do wielkiej sali konklawe zmieniono w infirmerię. Elektor spoczywający w łóżu może głosować, a jego głos zanoszą do ołtarza pomocnik, który trzyma go w podniesionej ręce, by wszyscy widzieli, że nie dokonano żadnej zamiany przed wrzuceniem kartki do kielicha. Podczas pierwszych, nierozstrzygających głosowań obywatele zbudowali drewniane rusztowanie, którym zablokowali od zewnątrz wielkie, podwójne drzwi ze spiżu. Pewien kowal przytwierdził rusztowanie, wbijając długie ćwieki w ołowiane zakotwiczenia umieszczone w otworach wywierconych w granitowej skale. Inni zabili deskami okna.

Szóstego dnia zamknięcia jakiś mężczyzna wspiął się na dach z młotem kowalskim i łomem. Rozbił dachówki z wypalanej gliny, a potem wybił dziurę w poszyciu dachu. Na górę wciągnięto wiadra z pomyjami i obywatele wlewali z radosnymi okrzykami ich zawartość przez dziurę. Damy z Valańskiego Stowarzyszenia Ołtarzowego zostały zatrzymane, kiedy próbowały donieść do pałacu żywność, ponieważ buntownicy opanowali kuchnię. Odcięto też dopływ wody.

Kardynał obdarzony najdonioślejszym głosem podszedł do wybitego okna i zaczął wykrzykiwać w stronę tłumu klątwy, obkładając ekskomuniką każdego, kto pozostanie na placu po

upływie pięciu minut. Tłum wiwatował i klaskał, jakby usłyszał najlepsze wiadomości. W ogólnej wrzawie nikt nie usłyszał ani słowa z tego, co powiedział kardynał.

Pod wieczór kardynał cierpiący na biegunkę zaczął lamentować, że w ubikacjach przelewa się, gdyż pracującym na zewnątrz sanjoaninom nie pozwolono ich opróżnić. Odrzucono wszelkie prośby o lampki i oliwę. Pałac zaczął cuchnąć jak miejscowe więzienie – z domieszką zapachu kadzidła. Konklawe naprawdę przebiegało teraz „pod kluczem”, dodatkowo zaryglowane za pomocą gwoździ i desek. Wystarczyło łóżek dla kardynałów, ale ich pomocnicy musieli spać na podłodze.

Czarnoząb usiadł na ziemi, oparł się plecami o ścianę i czekał, gotowy na każde skinienie swego pana. Patrzył, słuchał, wachał i starał się nie poddawać lękowi. Pracując u Kucisawego, zyskał sporo pewności siebie. Także to, że rozprawił się z napastnikami, dawało mu błogą świadomość, iż umie poradzić sobie w trudnych sytuacjach. Wiedział, że się nie zmienił, ale odkrył nowy wymiar swojej osobowości. Miał jednak poczucie, że stał się kimś, bardziej niż dawniej świeckim.

Kucjsawy skinął na niego, by wziął się do pracy.

– Porozmawiaj z iloma tylko się da pełnomocnikami kardynałów. Wysonduj, co myślą o kardynale Nauwhacie i opacie Jaradzie. Szczególnie zależy mi na tym pierwszym.

– Tak jest, panie.

Rozejrzał się, bo usłyszał bardzo głośny brzęk wybijanej szyby.

– Uczestniczyłem w czterech konklawe, ale nigdy niczego podobnego nie widziałem – dodał Kucisawy, wysyłając go z tą misją wywiadowczą. – Szerząca się choroba doprowadza ludzi do obłędu.

Czarnoząb zaczął krążyć między kardynałami, nie podchodząc jednak do samych elektorów, ale wszczynając rozmowy z ich asystentami. W końcu znalazł się przed obliczem opata Jarada. Pewność siebie, która tak mu pomogła, kiedy miał do czynienia z policją, teraz znikła bez śladu. Był tu także brat Śpiewna Krowa, pełnomocnik opata, ale Czarnoząb, nie zważając na to, padł na kolana i pocałował opacki pierścień. Jarad dźwignął go na nogi i uśmiechnął się, ale nie wziął mnicha w ramiona. Zwracając się doń, opuszczał też słowo „brat” przed imieniem.

- Chciałeś ze mną rozmawiać, synu?
- Panie mój, chlebowca zażądał, bym zasięgnął opinii co do możliwości mianowania Sorely kardynała Nauwhata.
- Mojej czy wszystkich?
- Wszystkich, panie mój.
- Powiedz mu zatem, że jeśli Duch Święty nie będzie temu przeciwny, ja będę „za”.

Uśmiechnął się do Czamożęba i odwrócił się do niego plecami.

- A co do Jarada kardynała Kendemina?
- Duch Święty i ja jesteśmy przeciwni. To wszystko?
- Niezupełnie, panie.
- Tego się obawiałem.
- Chciałem prosić, by opat zechciał pobłogosławić moje odejście z zakonu.

Jarad spojrział na niego, jakby widział go po raz pierwszy.

- Czy pamiętasz, że ja byłem tym kapłanem, który udzielił ci święceń?

- Oczywiście.

Jarad złożył dłonie, obrócił spojrzenie ku ciemności nad głową i rzekł do Boga:

- Czy odebrałeś kiedy komuś święcenia?
- Nigdy – odparł kardynał Kucisawy, który w tym momencie do nich dołączył. – Co się stało? Jakież kłopoty?
- Żadnych! –wykrzyknął Jarad i otoczył jego barki ramieniem.
- Nie ma żadnego kłopotu z tobą, Nimmy?
- O tak, jest. Kiedy i jak zostanę zwolniony ze święceń?
- Zależy to, przynajmniej po części, od wielebnego opata.
- A jeśli on się nie zgodzi, od papieża

Czarnożab przeniósł spojrzenie na Jarada, spostrzegł jego gniew i próbę zapanowania nad sobą. Zobaczył też, iż wargi Jarada poruszają się w niemej modlitwie; jednocześnie opat oddychał głęboko i słuchał tego, co mówił Kucisawy.

- No cóż, tak czy inaczej w ostatniej instacji jest to sprawa papieża, który jednak prawie automatycznie wyraża zgodę, jeśli tylko opat dał swoją.

Kucisawy spojrział pytająco na Jarada i ten zdjął przyjazne ramię z jego barków.

- I prawie automatycznie odmawia, jeżeli odmówił opat? - Czarnoząb też spojrział na Jarada.

- Nie - odparł Czerwony Diakon - papież zechce zapewne porozmawiać z tobą osobiście. Jestem pewien, że tak właśnie będzie w twoim przypadku.

Jarad spojrział Czarnozębowi prosto w oczy.

- Wygląda na to, że winienem cię wysłuchać. Chcesz ze mną porozmawiać? Przyjdź do mnie, kiedy będzie po wszystkim.

- Dziękuję, panie mój.

Odwrócił się i zauważył po chwili, że Kucisawy idzie z nim ramię w ramię.

- Chcesz zostać człkiem świeckim czy może doprowadzić do zwady z opatem? Pozwoli ci odejść, jeżeli nie rozłóścisz go bardziej niż przed chwilą. Daj temu pokój, Nimmy. Opat ma względem ciebie poczucie winy. Nie pogarszaj sprawy.

Mnich oddalił się. Poczłł, że traci pewność siebie. Tęsknił za opactwem. Zasłużył sobie na błogosławieństwo Jarada, a przynajmniej na jakiś znak świadczący o przebaczeniu. Nadal starał się pozyskać zwolenników, choć wiedział, że Kucisawemu w gruncie rzeczy zależy tylko na szerzeniu opinii, że rozważa poważnie kandydaturę Sorely Nauwhata. Złudzenie - uznał Nimmy. A może nie. Północny Zachód nie miałby zapewne nic przeciwko temu, by papież znalazł się po drugiej stronie Równin. Z Nowego Rzymu trudniej byłoby wtrącać się w sprawy Kościoła Północno-Zachodniego aniżeli z Valany. Nauwhat skłaniał się do idei natychmiastowego powrotu, nie zważając na to, że kardynał Benefez niechętnie odnosił się do niezależności Północnego Zachodu w sprawach liturgii i katolickiego nauczania. Jeśli Czarnoząb dobrze zrozumiał napomknienia zwierzchnika, Kucisawy starał się odciągnąć uwagę od istoty sporu, sprowadzić kardynałów ze szlaku polityki na manowce teologii. Z drugiej jednak strony, być może Sorely Nauwhat jest człowiekiem nadającym się na najwyższy urząd w Kościele.

Z zewnątrz doszedł powtarzający się ryk tłumu: „Chcemy papieża! Chcemy papieża!”. Od

czasu do czasu rozlegał się okrzyk: „Chcemy Amena! Chcemy Amena!” Do pałacu przeniknęły pogłoski, że Amen Specklebird

opuścił swoją pieczarę i powędrował wyżej w góry, a obywatelski komitet stara się go wytropić. Czarnożab modlił się do świętego Leibowitza i nie wypuszczał brewiarza z ręki, ale w tym całym zamęcie nie potrafił skupić się na modlitwie. Wiedział natomiast, że opat Jarad to potrafi.

Odczuwał coraz dotkliwszy głód.

Kardynał wielki szambelan Hilan Bleze spróbował odśpiewać z przerażonymi prałatami Veni Creator Spiritus, ale hymn zagłuszała wrzawa dochodząca z dachu, odgłosy młotów bijących w drzwi i okna, plusk nieczystości wylewanych na posadzki i przestraszona paplanina setek elektorów i ich asystentów.

Dwie godziny później, być może w odpowiedzi na inwokacje do Ducha Świętego, ktoś wpuścił przez dziurę w dachu żywego ptaka i zaraz zakrył otwór, odcinając mu drogę ucieczki. Nad głowami przerażonych prałatów latał teraz nie gołąb, ale sęp, który w końcu usiadł na szczycie ogromnego krzyża zawieszzonego na łańcuchach na belce stropowej między nawą i ołtarzem. Kilku kardynałów wykrzykiwało, że to omen, ostrzeżenie, jakiego udziela im sam Bóg.

Kucisawy wspiął się na prowizoryczny ołtarz i ryknął:

– Cisza! W imię Boga zamilknijcie!

Tylko zbeczeszczenie ołtarza mogło przykuć ich uwagę, po jakimś czasie zapanowała więc cisza.

– To, co widzicie i słyszycie, jest naprawdę sądem samego Boga nad nami! Nasze zgromadzenie musi zaprosić ojca Amena, by do nas przemówił. Powinien być jednym z nas. Musimy go wysłuchać, i to zaraz! Co mówisz?

– Złaź stamtąd, Elia! – wrzasnął opat Jarad.

– Po głosowaniu!

Przez tłum kardynałów przebiegły pomruki zgody i protestu. Rozległo się też kilka okrzyków oburzenia, ale po kilku stłumionych wrzaskach z zewnątrz zapanował tam nagle cisza. Tłuszcza wyznaczyła sprawozdawców, którzy nasłuchiwali przez stłuczone okna.

– Spokój! Najpierw głosy „na nie” – zawołał Kucisawy. – Łatwiej je będzie policzyć. Niechaj podniosą ręce ci, którzy nie chcą wysłuchać ojca Amena.

Kucisawy wodził palcem po tłumie, licząc głośno głosy, a potem oznajmił:

– Siedemnaście! Amen Specklebird przemówi do nas.

Skinął głową i zszedł z ołtarza.

Czyjaś twarz zagłądała przez wybite okno nad balkonem chóru. Był to walański policjant. Kucisawy i kardynał najwyższy szambelan zniknęli w drzwiach, by po chwili pokazać się na chórze, gdzie zaczęli rozmawiać z policjantem. Funkcjonariusz, wrzeszcząc na całe gardło, przekazał ich słowa tłumowi na zewnątrz. Odkryto dziurę w dachu, żeby sęp mógł uciec, ale przerażony ptak nie widział jej i nadal siedział tuż nad tabliczką z napisem INRI. Z zewnątrz doszły okrzyki entuzjazmu.

Rychło odsłonięto parę okien, nie odblokowując jednak drzwi. Po dwóch godzinach w ubikacjach nie było już ani śladu nieczystości. Przez dziurę w dachu spuszczone kosze z kwaśnym żytnim chlebem pocętkowanym otrębami. Przywrócono też dopływ wody. Znowu rozległy się jednak okrzyki, kiedy sęp opuścił nagle krzyż i usiadł na posadzce, gdyż przyciągnęła go woń jakiegoś odpadka. Wpuszczono więc przez wysokie okno trzech sanjoa ninów, żeby przepłoszyli ptaka i usunęli nieczystości z posadzki.

Wzburzenie opadło, powrócił porządek i jedynymi dźwiękami rozlegającymi się w pałacu były teraz czkawka, jęki, westchnienia i stęknienia chorych. Tworzył się szmer, w którym ginęły prowadzone szeptem rozmowy; unosił je i odbijał echem w wielkiej i tymczasowo uświęconej pieczarze. Światło słabło, zbliżał się zachód słońca. Słudzy zaczęli zapalać świece, ale niewielu kardynałów pozostało w tym miejscu. Zjedzono żytni chleb, wypito prawie całą wodę, ale czekała ich noc naznaczona głodem, pragnieniem i strachem. Czarnoząb usłyszał, jak któryś z teksarkańskich pełnomo cników mówi do asystentki ksieni:

– Wszyscy widzą, że kardynał Kucisawy zrezygnował z działań w białych rękawiczkach. Tej wiosny udał się do Opactwa Leibowitza i wynajął sobie sekretarza i człowieka do ochrony. A któż to jest? Zbiegły z Teksarku kryminalista, były kat Wooshin, na którym ciąży kara śmierci za zdradę. A sekretarz? Nienawidzący Teksarku uciekinier z Hordy Pasikoników, którego wychowano w pogardzie dla cesarskiej cywilizacji, ale wykształcono w opactwie. Był

przyjacielem zabójcy Corvany'ego. Kardynał diakon wstał i zaczął rzucać oskarżenia pod adresem naszego uczonego thona Yordina, znieważając tym samym kardynała Benefeza. W ten sposób wypowiedział wojnę Kościołowi teksarkańskiemu. A teraz sprowadza tu pustelnika z gór, który ledwie zna łacinę i byłby zbyt śmiertelnie przerażony Nowym Rzymem, żeby zostać następnym jego biskupem, także tym razem in absentia. Na stałe in absentia – jak chciałby zapewne kardynał Kucisawy. Chociaż mój pan głosowałby być może na Amena Specklebirda, fakt, że tego człowieka popiera kardynał Kucisawy, skłoni go, jestem pewny, do powstrzymania się od głosu.

Zebrano jednak bez trudu dwadzieścia niezbędnych głosów i Amen Specklebird został kandydatem na papieża, zanim jeszcze pojawił się, by przemówić do kardynałów.

Rozdział 11

„Dlatego też ze względu na ważność milczenia, nawet na rozmowy dobre, święte i budujące należy rzadko pozwalać doskonałym uczniom”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział VI

Amen Specklebird nie miał dość siły, by oprzeć się tłumowi, który zawlókł go późnym rankiem do Pałacu Papieskiego. Kierując się pragnieniem uspokojenia ludu i kardynałów, ciemnoskóry, stary pustelnik przystał w końcu na to, że przemówi do konklawe. W tym celu umierający kardynał Ri zgodził się wyznaczyć starca na swojego specjalnego asystenta, albowiem status Specklebirda jako kardynała in pectore, mianowanego przez swego byłego prześlą dowcę, większość poddawała w wątpliwość. Przeszedł przez wybite

okno na balkonie, a wtedy dziurą w dachu spuszczone następne kosze z marnym chlebem i flaszki z wodą.

Na sali byli pisarze, którzy mieli za zadanie zapisywać wszystkie przemówienia wygłoszone podczas konklawe. Wydawano je później albo po prostu delektowali się nimi sami mówcy, ale ten i ów z nielicznych słuchaczy starego pustelnika, który wygłosił nie kończącą się homilię, przysięgał potem, że wielu pisarzy zasnęło, a żaden nie zanotował dokładnie całej mowy. Z początku elektorzy słuchali jednak z wielkim zaciekawieniem.

Starzy ludzie z wiejskich terenów opowiadali dziwne historie o Amenie Specklebirdzie. Jedni mówili, że szedł kiedyś bezgłośnie w świetle księżyca górskim szlakiem i przemawiał do antylopy, górskich duchów i zmartwychwstałego Chrystusa. Inni widzieli, jak w niepewnym świetle poranka unosi się nad korony drzew, a w dziurze na tyłach swojej jaskini trzyma węże i mumię jakiegoś starego Żyda, a może młodej dziewczyny-genoka, cudotwórczym. Czasem odwiedzał farmy osadników i sprowadzał dla nich deszcz. Władał nieuchwytnymi mocami. Ponoć rzucił urok na papieża Linusa VII, który jako biskup Denver zmusił go do przejścia na emeryturę, i to sprawiło, że Linus wzywał go wielokroć do Pałacu Papieskiego podczas swej długotrwałej choroby, by albo zdjął z niego urok, albo wyleczył go z choroby o nieodgadnionym dla lekarzy podłożu. (Czarnoząb widział, jak zmienia się w kota i z powrotem w człowieka, ale Czarnoząb pierwszy gotów byłby przyznać, że jego zdolność widzenia mogłyby wyostrzyć okulary, nie chciał ich jednak nie tyle ze względu na ubóstwo, ile ze strachu, iż zniszczyłyby zapewne zdolność przenikania w ludzi i spraw, do czego miał predyspozycje.)

Do pieczary Amena pielgrzymowali heretycy i święci. Dzieci z obojętnych religijnie rodzin ciskały kamieniami w jego drzwi i nazywały go pederastą, a jednocześnie często go odwiedzał dostojny kardynał Kucisawy. Był też spowiednikiem najznakomitszych grzeszników w mieście. Brzemienne niewiasty przychodziły, by pobłogosławić ich brzuch, a za mały datek zasięgał porady górskich duchów, które władały pogodą aż po zachodni skraj Równin i do których zwracał się imionami świętych, pytając o najlepszą porę na siewy albo żniwa, albo rozmnażanie owiec.

Teraz jednak ciemnoskóry starzec o białych, kędzierzawych włosach na głowie zaczął przemawiać do zebranych na konklawe kardynałów, zwracając się do nich dokładnie tak samo jak do swego penitenta, Czarnozęba. Był postarzałym spowiednikiem jak najtaktowniej napominającym grzeszników i mniej taktownie poddającym ich umysły próbie paradoksów oraz pokrętej, od czasu do czasu, składni.

Wyciągnął długie, kościste ramiona, jakby obejmując nimi słuchaczy.

– Ojcowie Kościoła, znamienici panowie, jest między nami prostaczek bez żadnej godności i zasiada tu jak szpieg we wrogim obozie. Do niego kieruję to kazanie.

Arcybiskup Appalotchy wstał i zakrzyknął:

– Wskaż go, ojcze! Wezwij prefekta!

– Przebywa tu bez upoważnienia, to prawda – oznajmił Specklebird, oddalając machnięciem ręki szwajcarów. – Usiądźcie jednak, był bowiem między nami od samego początku i zawsze pozostanie. Jest tu zresztą, by szpiegować dla Jezusa. A to konklawe jest wrogim obozem.

Rozległ się szmer uzasadnionych protestów. Kardynałom chodziło o Ducha Świętego i sukcesję apostolską. Szybko powróciła jednak cisza.

– Prostaczek, który zasiada między nami jako szpieg, to sumienie. Sumienie nie ma żadnych godności, żadnych stanowisk. Sumienie nie może być sumieniem kardynała albo sumieniem żebraka. Przywiera do człowieka nagiego, bez reszty wystawionego na świat. Także do nagiej kobiety. – Ksieni NORku drgnęła, ale Specklebird unikał patrzenia w jej stronę. – W nim czy w niej Ojciec zrodził swego Syna.

Do tego nagiego prostaczka mówię. Bez względu na jego urząd. Urzędy wzajemnie się zwalczają. Godność kłóci się z godnością. Czy prostaczek chce jednego jedyne papieża, czy chce papieża dla wszystkich? Odbierzmy mu więc jego urząd, godność i pochodzenie i błagajmy u Boga o łaskę, abyśmy głosowali jak on, jak człowiek czysty.

Początek był więc rozumny, ale potem starzec zapuścił się w dywagacje.

Najpierw mówił przede wszystkim o powrocie Stolicy Apostolskiej do Nowego Rzymu, gdyż wiedział, że jest to sprawa o pierwszorzędym znaczeniu, aczkolwiek nie najbliższa jego sercu. Od razu oznajmił bez ogródek – ku całkowitemu zaskoczeniu swych walańskich zwolenników, to jest stojącego na zewnątrz tłumu – że sprzyja bezwarunkowemu odtworzeniu noworzymskiego papieżstwa w jego dawnej siedzibie. Nawet jego przyjaciel Kucisawy był wstrząśnięty tym oświadczeniem.

Tylko kardynałowie z Republiki Denverskiej popierali ideę trwałego wygnania i oni też doznali prawdziwego wstrząsu. Powstrzymywali się od nazywania Wygnania wygnaniem i proponowali zmienić nazwę Valana na Rzym. Potrafili wyrażać swoje racje, ale zgadzali się też z ulicznym pospółstwem, że koniec wygnania oznaczałby koniec Valany. Frakcja walańska stanowiła jednak na konklawe nic nie znaczącą mniejszość. Wszyscy poza nimi pragnęli powrotu do Nowego Rzymu. Ostry podział opinii panował natomiast, jeśli chodzi o warunki tego powrotu i demilitaryzację przez Cesarstwo przyległych obszarów.

Konklawe utknęło w martwym punkcie.

Ogólnie rzecz biorąc, Daleki Wschód i Daleki Zachód sprzymierzyły się przeciwko środkowi. Tym środkiem był Teksark wraz z wasalnymi państewkami nad Rzeką Wielką. Byli też jednostronnie nastawieni elektorzy, dla których sprawa walańskiego wygnania nie miała większego znaczenia. Takie stanowisko zajmowała na przykład Emmery kardynalessa Buldyrk. Pochodziła z dalekiego Północnego Wschodu i podczas dwóch poprzednich konklawe głosowała razem z Zachodem, ale teraz skłaniała się wyraźnie ku Benefezowi, licząc na możliwość złagodzenia jego poglądu na sprawę wyświęcania kobiet. Benefeza jednak tu nie było, nie mógł więc potwierdzić opinii swoich pełnomocników, tak więc nie było pewności, jak zagłosuje w końcu ksieni. Kardynał Kucisawy użył całego swojego wdzięku, by przeciągnąć ją na swoją stronę, a ona całego swego czaru, by poruszyć męską część jego natury.

Sam Czarnoząb robił od czasu do czasu notatki, ale starzec ciągle przeskakiwał z tematu na temat. Popełnił błędy przy cytowaniu Pisma. Czkał. Poprawiał Pismo. Puszczał wiatry. Przepraszał za swoje słabości. Opowiadał o dzieciństwie spędzonym

na Północnym Zachodzie. O sprawach gospodarskich. O mądrości obojętnego Boga.

Jeden z ustępów mowy zapisano dokładnie i potem wykorzystano przeciwko niemu. Oto on:

– Całe to gadanie o Kościele, państwie i przyczynach schizmy przypomina mi pewną historię. Kiedy kapłani zapytali Jezusa, czy powinni płacić podatki ówczesnemu Hanneganowi, Jezus pożyczył od jednego z nich monetę i spytał, czyja głowa jest na niej wybita. „Hannegana” – odpowiedzieli. Powiedział więc im: „Oddajcie Hanneganowi co Hannegana, a Bogu co Boga”. Potem wsunął monetę do kieszeni i uśmiechnął się. Kiedy kapłan zażądał oddania monety, Jezus spytał: „Do kogo twoim zdaniem należy Hannegan?” Ponieważ nikt nie odpowiedział, przypomniał im: „Ziemia i wszystko co na niej należy do Ojca, świat i ci, którzy go zamieszkują”. Jest to oczywiście inny sposób powiedzenia: „Lisy mają nory, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł oprzeć”.

Oddał więc kapłanowi monetę i spał tej nocy pod jednym z mostów Hannegana -wraz z Piotrem i Judaszem. Kapłan zaś wrócił do domu, zapłacił podatek i sporządził akt oskarżenia.

W tym miejscu Specklebird zapuścił się w dygresje na temat Nowego Rzymu i Valany.

– Dlaczego, moglibyście spytać, Judasz, Piotr i Jezus spali pod mostem – ciągnął, zmieniając kurs. – No cóż, Judasz miał powód. Ktoś skradł mu konia, a był zbyt zmęczony, żeby dojść do gospody. Także Piotr miał powód. Nie miałby czym zapłacić za nocleg. Lecz Jezus nie miał powodu. Żadnego! Jezus był w swojej decyzji spania pod mostem wolny. Oto czym jest wolność. Oto powód. Oto refleksja.

Kolejne nagięcie tekstu Pisma, wykorzystane później przeciwko niemu, było następujące:

– „Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł?” Mówiłem już, o tym świecie i o tym, do kogo należy, co jednak, mógłby ktoś zapytać, z własną duszą, na której można ponieść szkodę? Dusza, o tyle, o ile istnieje albo nie istnieje, jest siedzibą cierpienia. Kiedy Jezus się narodził, rozejrzał się po świecie i powiedział matce: „Od najdalszego do najbliższego tylko ja jestem tym, który cierpi”. Powiedział mi to

kardynał Ri, którego jestem pełnomocnikiem. A oto najpierwszy fakt religijny: jestem, to znaczy cierpię. Czemu cierpię? Czy to zemsta Boga na swym dziecku? Nie, cierpię, ponieważ ja, moja dusza, łapię świat, by go zyskać, a świat ma ostre zęby. I ciernie. Oto drugi fakt religijny. Świat jest też śliski i ruchliwy. Kiedy myślę, że już go chwyciłem, kąsa i wyślizguje się albo jego część umiera w moim ręku, a mnie ogarnia uczucie żalu i straty. To konsekwencja grzechu. Jest jednak sposób, by zaprzestać chwytania tego śliskiego świata, sposób, by nie cierpieć i nie łaknąć. To trzeci fakt religijny. A ten trzeci fakt, czcigodni ojcowie, nazywa się drogą Krzyża. Prowadzi na Golgotę. Dla tego spośród was, który zostanie papieżem, prowadzi do Nowego Rzymu.

Był to brutalny i zaskakujący powrót do tematu.

– To są sprawy elementarne. Czwarty elementarny fakt religijny nazywa się Stacje Drogi Krzyżowej.

Machnął ręką w stronę malowideł na ścianach katedry.

– Oto, czcigodni panowie, co powiem o Nowym Rzymie. Tam kończy się Droga Krzyżowa. Ostatnia stacja. Papież musi wrócić do Nowego Rzymu tak, jakby szedł na Golgotę, musi tam być ukrzyżowany. Hannegan dostanie w daninie swą monetę, która należy wszak do Boga, jeżeli właściwie zrozumie się ironię naszego Pana, a i Piotr dojdzie do swego krzyża. Kiedy w ubiegłym wieku Benedykt uciekł z Nowego Rzymu, Jezus ukazał się mu i spytał: Quo vadis?, lecz ten wziął go za nomadę, odparł więc: Ad Valanam, i nie zawrócił. Tego dowiedziałem się od jednego z was.

Uśmiechnął się do pełnomocników z Teksarku, którym wyraz twarzy zmieniał się w trakcie przemówienia od początkowej wrogości, przez zdumienie, obrazę, aż do podejrzliwej aprobaty, chociaż bowiem przesłanki prowadzące do konkluzji nie były zbyt pochlebne dla ich monarchy, a teologia budziła zgorszenie, sama konkluzja zgodna była z ich stanowiskiem. Papież powinien wrócić do siebie bez żadnych ustępstw ze strony cesarskiego naczelnika Teksarku.

Zwykle tak milczący i zadziwiający starzec tym razem przema wiał całe popołudnie, a kiedy wieczorem zapalono lampy, mówił przy ich świetle. W pewnym momencie Czarnoząb zapadł w drzemkę, a obudzony się, ujrzał, że ubrany w wytartą sutannę

kuguar zmienia się z powrotem w ciemnobraunatnego starca z grzywą białych włosów.

Amen Specklebird wygłosił mowę, która miała przejść do historii Kościoła w wersji spisanej przez najzacieklejszych jego wrogów. Cytaty, poprawne i błędne, są podawane w postaci zanotowanej przez pisarzy.

Amen o upadku i jego konsekwencjach:

„Owoc drzewa, znamienici panowie, to przetrawianie. Z owego przetrawiania bierze się dobro i zło. Diabeł jest przeżuwającym zwierzęciem o rozszczepionych kopytach. Wąż-szatan zjadał dusze i przeżuwał swój pokarm. Nauczył przetrawiania niewiastę, ta zaś ntęzczyne. Cokolwiek czynicie, nie przetrawiajcie. Namaszczony nigdy nie przetrawia. Zstępuje z grobu prosto do piekieł.. i wstępuje do nieba, jeżeli to mu odpowiada.

Jeżeli jednak musicie przetrawiać, a tym samym grzeszyć spółkowaniem, gniewem albo zachłannością, nie wstyďte się swojej przewiny. Albowiem wstyd jest niczym innym, jak pychą, a pycha niczym innym, jak wstydem. Wasza pycha jest waszym wstydem, wasz wstyd jest waszą pychą. Wstyd i pycha zwracają wzrok w przeciwne strony, ponieważ jeśliby pycha spojrzała prosto w oczy wstydowni, wstyd zaś prosto w oczy pysze, obie te rzeczy zaraz by umarły. A umierają przy wtórze śmiechu, śmiechu człowieka, który hodował je niemądrze w swym sercu, i to hodował oddzielnie. Kiedy jednak odczuje wstyd jako pychę i pychę jako wstyd, uwolni się od nich, uwolni na zawsze od grzechu, jaki ' ze sobą niosą. Przewina natomiast nie jest uczuciem.

Kiedy widzisz, żeś zgrzeszył, i czujesz skruchę, nie pragnij być bez grzechu. Pragnij natomiast, żeby Bóg w swych tajemnych zamysłach obrócił grzech w dobro, albowiem twój grzech jest odtąd częścią historii Jego trwającego nieustannie dzieła stwarzania świata. Pragnąć przekreślenia grzechu to przeciwstawiać się Jego woli”.

Amen o prawdzie:

„Prawda to nieuchwytnie, odrażające słowo Boga, znamienici panowie, subtle at infandum jest Jego słowo”.

Amen powtarzający się w kwestii miejsca człowieka w Bożym świecie:

„Czy nie wiecie, że Jezus Chrystus jest na tym świecie sam i bez przyjaciół? Czyż nie wiecie, że ziemia i całe jej bogactwo do Stwórcy należą? Cóż to może znaczyć, znamienici panowie, jeśli nie to, że lisy mają swe nory, lecz Syn Człowieczy nie ma gdzie głowy oprzeć? Często sypia pod mostem.

Kimże jest Bóg, że pamiętacie o Nim, kimże jest Syn Boga, że musicie Go nawiedzać?

Kto przebywa blisko Boga, jest w niebezpieczeństwie. Bywa olśnienie, które oślepia. Światło jest zbyt jasne dla waszych oczu i nie ujrzycie już Boga”.

Amen o mężczyźnie, niewieście i Trójcy Świętej, porwany swego rodzaju uniesieniem: „Bóg żyje w samym środku Syna. Albo Córkę. – Skinął głową w stronę kardynalessy ksieni. – Jego tron gorętszy niż, powiadam, niż samo piekło. Nawet diabeł nie mógłby na nim zasiąść. Atoli wy, owszem. Ja, owszem. Siedzimy u Niego na kolanach i wiemy, jak wygląda Pan Bóg. Wiem od środka. Jam Bóg w środku słońca-mnie i większym niżem jest. Duchem Świętym też jestem. A i Dziewicą, o tak!, też jestem. Człek winien być zawstydzony, kiedy mówi o Bogu w trzeciej osobie”.

Ciągnął, bez ceregieli przyjmując za swoje to, co Czamoząb rozpoznawał jako dogmat starej, tak zwanej „Herezji północno zachodniej”, lecz wielu ze słuchaczy zbyt wielką ogarnęła senność, by mogli to wykryć.

„Skądże to wzięła się Trójca Święta i Najświętsza Panna?

Niewysłowiony Bóg Ojciec ziewnął i ukazali się. Dziewica jest śpiewną Ciszą, w której Ojciec wyśpiewuje Słowo Świętym Tchnieniem i rodzi, i tworzy od samego początku ciało z jej ciała. Przed stworzeniem świata Bóg nie jest Bogiem. Lecz za tą przerażającą poczwością z tchnienia Bożego powstaje nieodróżnialny Bóg Ojciec. Takie mówienie jest jednak fałszem, znamienici panowie. Każda wzmianka o tym jest kłamstwem. Bóg Ojciec? Ważyć się to nazwać albo choćby o tym napomknąć to całkowicie chybić, będąc w tym zanurzonym. A przecież do jedności z owym najwyższym Bogiem Ojcem śmiemy dążyć. W tej jedności dusza jest jak szklanka wody wlana do bezbrzeżnego oceanu. Jej tożsamość jako określonej szklanki wody roztapia się w tożsamości oceanu. Niczego nie traci. Niczego nie zyskuje. Wraca do siebie”.

Brat Czarnoząb wcześniej uświadomił sobie, że słuchacze niezbyt długo byli zniewoleni pobożnym zapałem i potem słuchali już nieuważnie słów Amena. Ten człowiek coś w sobie miał. Potrafił pozostać sobą w obliczu tłumu i siłajego ducha owładnęła nimi. Po wielu godzinach słuchania kardynałowie zaczęli jednak nachylać się ku sobie, a nawet wstawać, przechadzać się spokojnie po sali tronowej i wymieniać szeptem uwagi.

Następnego dnia słońce zawędrowało już dość wysoko na niebie, kiedy pobłogosławił swych niezbyt uważnych słuchaczy i usiadł. Przemawiał przez całą noc! Był to pierwszy cud dokonany przez przyszłego papieża. Przemawiał siedemnaście godzin nie wypijając w tym czasie ani szklanki wody. I nie zachrypł! Doprowadził ich do wyczerpania. Tylko jego przyjaciel, kardynał Kucisawy, odpowiedział: „Amen”, kiedy światło porannego słońca wtargnęło przez okna od wschodu. Sedno sprawy w tym, że nieliczni słuchali do rana, a ledwie garstka słuchała uważnie. Wielu zasnęło. Inni czytali brewiarz, niektórzy tworzyli zespolone względami politycznymi pary – przechadzające się od tronu do tronu – a siedzący na swoich miejscach biskupi szeptali i chichotali z sąsiadami, niewinni jak dziewczątka rankiem. Kiedy Kucisawy powiedział „Amen” po zakończeniu mowy, Specklebird wstał i spytał „Słucham?”, a wówczas nieliczni uważni słuchacze, jakby natchnieni przez Ducha Świętego, zaczęli dźwigać się ze swych miejsc i odpowiadać „Amen” z tak głębokim uczuciem, że inni, jakby zniewoleni, jęli mówić zdziwionym nieco i pełnym poczucia winy rozproszonym chórem: „Amen, Amen”.

I to naprawdę wszystko. Przemówienie nie było jeszcze sławne. Jak mnóstwo wielkich oracji wygłoszonych w toku człowieczych dziejów mowa Specklebirda wydała się zebrany dość mętna. Lecz w desperacji wybrali go, jakby zapominając o tej dziwnej homilii. Dopiero znacznie później jego słowa wróciły do życia, kiedy ktoś czytał uważnie transkrypcję i nieliczne notatki i albo potępiał te słowa jako najbardziej obłądną z herezji, albo chwalił je jako natchnione przez Boga, jako nowe objawienie. Natomiast dla Kucisawego i wszystkich, którzy znali go dobrze, homilia Specklebirda, tego cętkowanego ptaka, była naprawdę jak świergot ptaków, które we wszystkich językach wykrzykują takie rzeczy, jak

„czy-to-ty” albo „kore-kore, kit-kit, ryba-ryba, rak-rak”, albo „szit-szit, bije-bije, kto-to-widział, kto-to-widział”. Znaczenie powstaje w uchu słuchacza.

I wybrali go tego ranka, wybrali starca, zanim tłum zaczął ciskać kamieniami w drzwi. Kardynał Ri spoczywał martwy na swoim łożu. Stary Otto e'Notto całkowicie zszedł z umiarkowania. W korytarzach pałacowych pełno było ekskrementów i wymiocin. Ponad dwudziestu pięciu kardynałów cierpiało katusze z powodu choroby, a pięciu było w takim stanie, że pełnomocnicy z trudem powstrzymywali ich od gwałtownych czynów. Wybrali go zatem przed południem. Bez dyskusji.

Ku zaskoczeniu wielu, w tym Czamożęba, starzec oznajmił: *Accepto*, i wybrał sobie własne imię. Został więc ku niezadowoleniu wielu papieżem *Amenem*. Zerwał w ten sposób z najstarszą tradycją.

Oczywiście przed wyborem nie brakowało głosów protestu, ale były ledwie słyszalne.

– Powiedział, że namaszczony idzie prosto do piekła – poskarżył się opatowi pewien kardynał z Południowego Wschodu.

– „Zstępuje z grobu prosto do piekieł” – przypomniał mu Jarad. – A trzeciego dnia powstaje z martwych i wstępuje do nieba. To całkiem prawomyślne.

– Jeżeli to mu odpowiada! I powiedział, że słowo Boże jest odrażające.

– Zwykłe przejęzyczenie – zapewnił go Kucisawy. – Chciał powiedzieć „zachwycające”.

– Powiedział „nieuchwytnie i odrażające”. To atrybuty szatana! Wąż był najmniej uchwytną z bestii. Słowo Boże szatanem?

– Ejże, ejże! – rzekł opat. – Sądzę, żeś niedokładnie go usłyszał. *Verbum subtile atque infandum*. Oznacza to pięknie splecione, ale niewymawialne. Prawda tak nieuchwytna, że nie do ujęcia w słowa. Milczenie Chrystusa. A kiedy to mówił, wyciągnął ramiona, wskazując cały świat.

Na zakończenie konklawe doszło do jednomyślnej zgody w pewnej sprawie. Jeśli ktokolwiek może wrócić do Nowego Rzymu jako głowa Kościoła i być Piotrem dla naczelnika-Cezara, bez kompromisów i bez strachu, to z pewnością właśnie *Amen* (kardynał *in pectore* Linusa VII, jak wielu skłonnych byłoby teraz

przyznać) Specklebird. Lecz konklawe wybrało go właśnie w nastroju kompromisu i strachu, które nawet pełnomocnikowi arcybiskupa Benefeza pozwoliły głosować pod nieobecność zwierzchnika, choć było to niezgodne z zasadami, gdyż sam elektor nie udzielił swemu zastępcy instrukcji. Ku swemu późniejszemu zmartwieniu oddali głos na posepnego pustelnika o dzikim wejrzeniu.

Gaudium magnum do vobis. Habemus Papam. Sancte Spiritu volente, Amen Cardinal Specklebird...

Reszta utonęła w ryku tłumu i kardynałowie znowu znaleźli się we własnym gronie. Każdy z nich przyklękał przed nowym papieżem, by ucałować jego pantofel i znaleźć się na chwilę w ramionach spadkobiercy kluczy Piotrowych, a także spadkobiercy – jeśli prawnik Kucisawy miał rację – obu mieczy świętego Piotra, oznaczających władzę duchową i doczesną, przy czym ta druga pozostaje podporządkowana pierwszej. Prawnik

Kucisawy, który więcej wiedział o historii prawa kanonicznego i papieżstwie niż ktokolwiek poza Opactwem Leibowitzańskim. z wielką swadą mówił podczas konklawe o starodawanej teorii dwóch mieczy –ku zasmuceniu pełnomocników nieobecnego arcybiskupa Teksarku. Cytował nawet starą bullę. Porro subesse Romano Pontifici... de necessitate salutis... „Kto więc ma zostać wybrany do zbawienia, musi być poddanym rzymskiemu papieżowi”. Zdaniem Kucisawego w tym dekrete, nigdy nie znanym szerszemu ogółowi, chodziło szczególnie o monarchów, świeckich i nomadzkich, a również o Hanneganów i cesarzy, przeszedł jednak próbę nieomyślności, definiując sprawę jako kwestię wiary i ustalając sankcję za odrzucenie dekretu: utratę zbawienia. Być może zamiast tego, czego elektorzy sympatyzujący z Teksarkiem lękali się najbardziej, to jest wyboru Kucisawego na papieża, powstała sytuacja także budząca lęk – Kucisawy został teraz szarą eminencją. Wszyscy doskonale wiedzieli, że kardynał był protektorem pustelnika, podtrzymywał przyjaźń z nim i postarał się, by Linus VII przywrócił go do łask. Wyglądało to wszystko na nieszkodliwą sympatię łączącą bogatego i pańskiego księcia Kościoła z pełnym pokory, świętym eremita. Jeśli nie ma się sumienia, zawsze można zapłacić za poparcie. Tak powiedziałby cynik. Lecz Kucisawego i

Specklebirda, choć wszystko zdawało się ich dzielić, łączyła szczerą sympatia. I ta przyjaźń budziła teraz troskę.

Z początku na ulicach zapanował szal radości, ale potem ludzie oburzyli się, usłyszeli bowiem, że ich bohater zmienił swe pierwotne stanowisko, które sprowadzało się do twierdzenia, iż prawdziwy Rzym jest tam, gdzie papież wybierze sobie rezydencję. Drugim prztyczkiem w nos był interdykt, którym papież Amen obłożył Valanę i który miał pozostawać w mocy, póki podżegający do zamieszek i wystąpień przeciwko konklawe nie staną przed jego obliczem. Przez trzy dni w mieście wrzało. Nie odprawiano mszy, nikt nie mógł klęknąć przy konfesjonale i jedynym sakramentem, jakiego udzielano, było ostatnie namaszczenie. Ludność popadła w przygnębienie. Domyślano się, że interdykt to sprawka kardynała Kucisawego. Jednak czwartego dnia zaciągnięto terrorystów przed papieskie oblicze. Amen kazał ich rozwiązać, wysłuchał ich spowiedzi i udzielił rozgrzeszenia – pod warunkiem, że pod okiem kardynała penitencjarza naprawią szkody i zaspokoją inne roszczenia uznane przez rozjemcę. Po podporządkowaniu sobie w ten sposób miasta papież-elekt zwołał na nowo konklawe i polecił, by wybrano go raz jeszcze – tym razem bez nacisku tłumów. To także przypisano wpływom Kucisawego. Głosowanie przeciwko papieżowi byłoby głosowaniem przeciwko rychłemu opuszczeniu Valany. Nikt nie ośmielił się bronić takiego stanowiska, a wstrzymało się od głosu tylko dwóch elektorów.

Specklebird powiedział kiedyś co prawda, że Rzym jest tam, gdzie papież, ale przecież twierdzenie, iż papież pozostaje papieżem bez względu na miejsce pobytu, nie jest równoważne twierdzeniu, iż powinien zamieszkiwać w Valanie. Specklebird niczego takiego nie powiedział, bo papieżem został tylko jako biskup Nowego Rzymu. Rada do Spraw Publicznych Kościoła, która miała informować opinię publiczną i wywierać na nią wpływ, opublikowała analizę poglądu Specklebirda i poleciła wy wiesić ją na drzwiach wszystkich kościołów w mieście. Valańczycy nie muszą niczego się obawiać w związku z powrotem Amena do Nowego Rzymu, jest to bowiem jego Stolica, i chociaż wyjedzie on jako duchowy zdobywca, do końca życia będzie przyjeżdżał na lato do Valany i osadzi tu na stałe wiele kościelnych instytucji, których siedzibą jest w tej chwili Nowy Rzym,

na przykład Zakon Ignacjański, uwalniając je w ten sposób od wpły wów cesarskich. Mimo to rozwścieczeni mieszczanie zamierzali uniemożliwić papieżowi wyjazd do czasu przybycia Uriona kardyna ła Benefeza i złożenia przez niego hołdu Jego Świątobliwości.

Na razie obecni w Valanie elektorzy, kardynałowie Świętego Kolegium, przyklękli przed Ojcem Świętym, ucałowali jego pierścień i zostali przez niego uściśnięci. Tylko garstka odmówiła, twierdząc, że wybory odbyły się pod przymusem i tym samym są nieważne. Byli to oczywiście kardynałowie powiązani z Teksarkiem i tylko takiej postawy można się było po nich spodziewać.

Było mniej więcej południe przełomowego dnia wyboru, kiedy powóz z najznamienitszym i najdostojniejszym Urionem kardyna łem Benefezem, arcybiskupem Teksarku, wjechał do miasta wraz z eksortującym go oddziałem kawalerii. Czamoząb dostrzegł przelo tnie wyraz wściekłości na dostojnym arcybiskupim obliczu, kiedy Benefez dowiedział się o wyniku wymuszonego wyboru, i usłyszał istną ulewę złorzeczeń, które spadły na głowy pełnomocników za ich sposób głosowania, lecz nie zastanawiał się długo nad tego konsekwencjami. Oto bowiem po drugiej stronie placu stała bosonoga dziewczyna w brunatnym mnisim habicie. Była to najwyraźniej wstrząśnięta jego widokiem Edrea.

Zrobił krok w jej stronę i nagle zadźwięczały mu w uszach słowa Kucisawego: „Nie zabiegaj o to, żeby znów ją zobaczyć. A jeśli kiedykolwiek ujrzysz ją w Valanie, uciekaj jak najdalej”. Zamarł w miejscu. Ale dziewczyna i tak odwróciła się już i zniknęła w tłumie.

Rozdział 12

„Bezczynność jest wrogiem duszy. Dlatego też bracia muszą się zajmować w określonych godzinach pracą fizyczną i również w określonych godzinach czytaniem (duchownym)”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział XLVIII

Gdy tylko Elia Kucisawy dowiedział się, że jego stary przyjaciel-wróg, Urion Benefez, jest w mieście, zaczął rozmyślać, co zrobić, ażeby wykręcić się od uczestniczenia w tego rodzaju uroczystościach, jak odziewanie nowego papieża. W odpowiednim momencie zabrał ze sobą Czarnozęba i udał się z wizytą do arcybiskupa cesarskiego miasta, po co jednak, mnich nie potrafił się domyślić. Kiedy spiechyli na miejsce, gdzie Benefez wynajął sobie kwaterę, Czarnozęb wyznał drżącym głosem, że zobaczył iCdreę. Uśmiech zamarł na ustach kardynała i Kucisawy gwałtownie obrócił wzrok na swojego sekretarza.

– Kazałem ci jej unikać!

– Nie złamałem twojego zakazu, panie.

„Na razie” – bezgłośnie dodał zamieszkujący go demon.

Na twarz kardynała wrócił nikły uśmiech.

– Wiem. Unikała cię. Rozmawiałem z nią.

– Gdzie?

– W moim biurze, podczas twojej nieobecności. Poprosiłem służby bezpieczeństwa, by przysłały mi ją, kiedy przyjechała z osady ze srebrem. Podczas naszego postoj w Łukowej Kotlinie, wspomniałem ci o grupie genoków w górach Ssamieyto. Nazywają to miejsce Nową Jerozolimą. Wydobywają tam srebro ze starej kopalni. Edrea przyjeżdża do miasta mniej więcej raz na miesiąc i przychodzi do... hmm... drugiego skrzydła budynku, żeby wymienić srebro na gotówkę. Kontaktują się ze mną bardzo dyskretnie, dostarczając potrzebnych mi informacji. Dlatego nie znała mnie przedtem, choć bardzo mnie to zdziwiło. Nie zdradzamy ich tajemnic. Boją się między innymi o swoją kopalnię srebra. Widziałeś papieską flagę nad domem Sharda.

Powiem ci, jak nasza wizyta wyglądała z ich punktu widzenia, Nimmy. Przebywają na krańcach krainy bezprawia. Ostatnia grupa duchownych, jaka zjawiała się w Łukowej Kotlinie, składała się z teksarkańskich agentów, którzy bardzo podejrzliwym okiem przyglądali się rodzinie Sharda. Jeden z nich wyszedł za ich dom i ruszył ścieżką nad urwiskiem. Zobaczył więcej, niż powinien, więc strażnicy zabili go i odciągnęli w jakieś ukryte miejsce. Kiedy dwaj pozostali spostrzegli jego nieobecność, chcieli wyruszyć na poszukiwania. Shard powiedział im, że mogą zostać zaatakowani

przez niedźwiedzia, i odwiódł ich od tego. W przeciwnym razie strażnicy musieliby obu zabić. Zamiast nich wyruszyła więc na poszukiwania Aidrea. Przyniosła kawałek ręki ze śladami niedźwiedzich pazurów. Odmówili nad tym szczątkiem modlitwę, pogrzebali go i odeszli tam, skąd przyszli, to znaczy na południe. Przedtem jednak wyjawili Shardowi, że są po stronie Teksarku i że wszystkie genoki mają wrócić do Państwa Watchitah.

I wkrótce po odjeździe teksarkańskich agentów zjawia się kardynał bez biskupiego pierścienia, mnich grający na gitarze, nomada w czarowniczym nakryciu głowy i kat, który przyznaje, że pracował dla Hannegana. Co więcej, gdyby kardynał był tym, za kogo się podaje, wiedziałby o nich więcej, niż wyjawiał.

– Wszystko, co ukrywają, to ta kopalnia srebra?

– Niezupełnie. Genoki z Nowej Jerozolimy są w dziewięćdziesięciu procentach mamidlami podobnymi do Edrei, mogą więc uchodzić za normalnych ludzi. Ucieczki w góry zaczęły się wiele pokoleń temu. Wypychają ich na czoło i nazywają to Aleją Strachów na Wróble.

– Jeśli zaś chodzi o Aidreę... – Przerwał i spojrzał na mnicha. – Przesyła ci wyrazy ubolewania.

– Z jakiego powodu?

– Zapewne chodzi o to, że unikała cię na placu. I dlatego, że się z tobą droczyła. Jakie są twoje uczucia do niej?

Nimmy daremnie szukał właściwych słów.

– Rozumiem. Sekretariat nie może sobie pozwolić na żadne jawne kontakty z kimś z Nowej Jerozolimy. Czy to jasne?

– Nie, panie.

– Cele, jakie sobie stawiają, budzą sprzeciwy. Są uciekinierami i ciąży na nich oskarżenie o zabójstwo tekstarkańskich strażników podczas ucieczki z terytorium Państwa Watchitah. Boją się, że wojska cesarskie spróbują wypadu z Prowincji. Trzymaj się jak najdalej od tych spraw. I od niej. Ta dziewczyna oznacza kłopoty.

„Jakbym nie wiedział!” – pomyślał z przygnębieniem.

– Nie zgodzimy się, żeby była nadal ich agentem – dodał ostrym tonem kardynał. – To powinno zamknąć sprawę raz na zawsze.

Powozy z Teksarku były nadal załadowane bagażami, a służba, zarówno cywilna, jak wojskowa, stała wokół, jakby czekając na

rozkazy. Jakiś strażnik zastąpił z uprzejmym wyrazem twarzy drogę kardynałowi i poprosił o podanie imienia i sprawy, z jaką przybywa.

– Proszę zawiadomić po prostu kardynała, że chce się z nim widzieć Czerwony Diakon.

– Czy mogę spytać o cel wizyty?

– Powiedz, że chcę się dowiedzieć, dlaczego chciał zabić mnie i mojego sekretarza.

Strażnik potrząsnął głową i zniknął za drzwiami. Pół minuty później pojawił się wykładowca sprzed niewielu dni, Urik thon Yordin. Był w tym momencie blady jak chusta. Popatrzył na nich przerażonymi oczami i zniknął. Kardynał spojrział na Czamożęba i uśmiechnął się. Nimmy pojął już, dlaczego się tu znalazł.

Poproszono Kucisawego do środka. Czarnoząb usiadł pod nie domkniętymi drzwiami. Arcybiskup Teksarku był jeszcze ubrany w szaty podróżne. Stryj Hannegana krążył z wściekłością po izbie.

– Elia, jak śmiesz oskarżać mnie, choćby w żartach, w obecności mojego sekretarza i gości? – pieniał się.

– Nie wiedziałem, że masz gości. – Czarnoząb usłyszał kłamstwo padające z ust jego pana. – Ten głupiec robił wrażenie bardzo przybitego. Wybacz, Urionie.

– No dobrze. Yordin jest głupcem. Zawiadamiając nas o śmierci Corvany’ego, skojarzył zabójcę z tobą i twoimi ludźmi. Przykro mi, że ktoś próbował cię zabić, ale mam żal z powodu

twojej insynuacji, Elio. Jak ty masz z pewnością żal do Yordina.

– Raz jeszcze proszę o wybaczenie, Eminencjo. Zastanawiam się, czy za tym wszystkim nie stał sam Yordin. Pozwólmy jednak, by ta rana się zabiłiła. A teraz, Urionie, czy pozwolisz, by zabiłiła się też rana Kościoła? Czy złożysz hołd Jego Świątobliwości? Wiem, co czujesz, chociaż jednak wybory nie przebiegały zgodnie z zasadami, nie tracą przez to ważności. Okaż wspaniałość! Nowy papież chce wrócić do Nowego Rzymu bez żadnych warunków wstępnych, a przecież tego samego chce Cesarstwo. Bez żadnych żądań. Osiągnęliście cel. – Przy słowie „cel” Kucisawego tak zatkało, że Czarnoząb już prawie słyszał, jak kardynał mówi „choć tiary nie”. Ale Czerwony Diakon dodał tylko: – Urionie, on nie żąda wycofania oddziałów teksarkańskich!

Zapadła na dłuższą chwilę cisza.

– Muszę naradzić się z innymi kardynałami. Dziękuję jednak za radę, Elio – powiedział w końcu wielki człowiek. – Nie podoba mi się to, czego się dowiaduję, nie chcę jednak, byśmy stali się wrogami.

– Czegóż to się dowiedziałeś?

– Że podburzyłeś miasto, że twoi agenci zachęcali do buntu. Albo że to wszystko jest dziełem samego, hmm, pustelnika.

– Okłamano cię. Owego pustelnika ludzie musieli siłą zaciągnąć na konklawe. Spytaj Jarada. Spytaj Bleze'a. A potem, przez miłość Kościoła, przez tę miłość, która nas łączy, porozmawiaj z Jego Świątobliwością, z „pustelnikiem”.

– O tak, Elio! Wiem, że miłujesz Kościół. Ale zastanawiam się, co jeszcze miłujesz. Poczekamy, zobaczymy.

Wychodząc od Benefeza, Kucisawy zauważył, że w poczekalni do Czamożęba dołączyło trzech zawiedzionych elektorów, którzy przybyli do Valany jako sprzymierzeńcy Teksarku. Jeden z nich przyklęknął już przed Amenem i przyjął papieski uścisk. Kucisawy wymienił z nim kilka uwag na temat pogody i pośpiesznie wyszedł.

– Dlaczego chciałeś, bym przyszedł tu z tobą, panie? – spytał niewinnym głosem Czarnożąb.

– Bo wiedziałem, że zastaniemy Yordina. To chyba jasne. Chciałem, by pomyślał, że przyszliśmy go oskarżyć. I szczerze mówiąc, chciałem przysporzyć mu kłopotów z arcybiskupem.

– Myślisz, że on wynajął napastników?

– Jeśli nawet nie, z pewnością wie, kto to zrobił. Wie też, że był to błąd. Myślę, że nic nam już nie grozi. Mamy jednak dowód, że potrafia być niebezpieczni. Pora, byśmy odpoczęli po najgorszym konklawe, w jakim uczestniczyłem. Należą się nam dwa albo trzy dni wolnego.

Kiedy Czarnożąb wychodził z Sekretariatu, odźwierny wręczył mu dwa listy. Jeden był od Edrei.

Zerknął na odźwiernego, który miał laki wyraz twarzy, że Czarnożąb zapytał:

– Czy nadawca przyniósł list osobiście?

– Przyniosła go młoda siostrzyczka w brunatnym habicie, bracie od Świętego Jerzego. Czy mógłbym z pozwoleniem waszej wielebności dowiedzieć się jej imienia, gdyż milczała i nie chciałem jej przeszkadzać.

- Niby w czym?
- Niechciałem zakłócać jej skupienia.

Nimmy przyjrzał mu się z wyrazem zdumienia w oczach. Był to mocno zbudowany mężczyzna o wyglądzie byłego żołnierza. Nazywał się Elkin.

- Byłeś w klasztorze, nieprawdaż?

- W młodości. Trzy lata w twoim opactwie, bracie, jednocześnie z kardynałem. Oczywiście wtedy nie był jeszcze kardynałem ani nawet diakonem. A ja nie byłem jeszcze żołnierzem. Razem opuściliśmy mury klasztorne. Poświęcał się tam studiom, ja zaś... - Wzruszył ramionami.

- Chciałem poczuć powołanie. Albo nie - dokończył za niego Nimmy, który postanowił nie okazać zdziwienia. - A ta milcząca siostra? Czy często tu przychodzi?

Wyraz twarzy portiera powiedział „tak”, zanim ten ugryzł się w język.

- Musisz zapytać o to Jego Eminencję, bracie od Świętego Jerzego.

- Oczywiście, dziękuję.

Odwrócił się, żeby odejść. Drugi list był od Opata Jarada, który przeproszał, że nie może spełnić obietnicy i spotkać się z mnichem. „Napisałem w Twojej sprawie do Jego Świątobliwości, Synu, i możesz być pewny, że wszystko, co przekazałem papieżowi, poświadcza zacność Twych intencji”.

Cokolwiek to oznacza.

Edrea napisała: „Zostawię twoją chitarę w pęknięciu skalnego występu pod wodospadem na wzgórzu powyżej dawnego mieszkania papieża”.

Czarnoząb ruszył we wskazanym kierunku. Zastanawiał się, dlaczego zamiast liściku nie zostawiła u portiera g'tary. Marsz do wodospadu to pięciomilowa wycieczka i wspinaczka, która przyprawiła go o zawrót głowy. Kiedy dotarł na miejsce, z kałuży pod wodospadem pił wodę biały koń, więc mnich zamarł na chwilę bez ruchu. Potem zobaczył jednak, że był to wałach, a nie klacz, i wprowadzie z uzdą, ale nie osiodłany. Najego widok koń parsknął i zniknął za zakrętem ścieżki. Wodospad był właściwie niezbyt rześystym deszczykiem, który falował na wietrze, tak że od czasu do

czasu widać było tęczę. Czarnoząb obszedł staw z łąkiem i jednocześnie nadzieją, że ją zobaczy. G'tara czekała we wskazanym miejscu. Odrobinę zwilgotniała od mokrej mgiełki. Burnął coś z rozdrażnieniem i wytarł instrument o suknię. Po co zmusiła go do tak dalekiej wyprawy?

Idąc raz jeszcze wokół stawu, zwrócił uwagę na odciski kopyt na piasku. Przystanął. Ślady kopyt krzyżowały się ze śladami ludzkich stóp, mniejszych niż stopy Czamożęba, a czasem się na nie nakładały. Jedne i drugie prowadziły w tę samą stronę: oddalały się od wodospadu. Przez chwilę zmagął się sam z sobą, ale potem ruszył za tropem.

Ślady prowadziły go lesistym parowem, potem pod niskim występem skalnym, który zwieszał się nad piaszczystym brzegiem wezbranego potoku. Musiał pochylić się nisko, a potem paść na kolana i pełznąć. Wreszcie ją zobaczył. Słyszał o tym miejscu, ale nigdy go nie widział. Mała pieczara pod okapem był podobno mieszkaniem Amena Specklebirda, zanim kardynał Kucisawy kupił mu przerobioną jaskinię bliżej miasta.

Światło słoneczne przenikało tu z ukosa przez listowie i kreśliło delikatne wzory na kamieniach i obnażonych nogach fidrei, która nie miała już na sobie zakonnej sukni, ale skórzaną spódniczkę i bluzkę. Siedziała gołymi pośladkami na piasku. Na widok obnażonych nóg zastygł w pozycji na czworaka. Roześmiała się do niego i odłożyła rewolwer, który trzymała na podołku.

– Możesz podziwiać resztę.

Podkasała spódniczkę i rozstawiła nogi, by cętkowane światło padło na jej krocze, i zaraz potem zsunęła kolana. Pamiętał ten widok z mrocznej stodoły. Wskutek zaszycia miała pochwę małą jak dziurka po gwoździu, ale łechtaczkę wielką jak kciuk Nimmy'ego, który pewnie dlatego, że kochał tę dziewczynę, nie widział nic odrażającego w takim kroczu, aczkolwiek wprawiało go ono w zażenowanie. Ona zaś widziała, że mnich nie czuje odrazy, ale tylko smutek, zaciekawienie, no i zażenowanie. Uśmiechnęła się złośliwie i poklepała go po ramieniu.

Usiadł obok niej na miękkim piasku.

– Czemu się ze mną droczysz? – spytał ze smutkiem.

– Teraz czy wtedy?

– I teraz, i wtedy.

– Przepraszam. Kiedyś zatrzymał się u nas mnich, który uciekł z zakonu. Nie lubił mnie. Ani trochę. Kochał się z innym mnichem. Zastanawiałam się, czy jesteś taki sam jak on. I rzucało się w oczy jakieś pęknięcie w tobie.

– Pęknięcie?

– Tak, pęknięcie między tym, kim jesteś, a tym, za kogo chcesz uchodzić. Nie zapominaj, że jestem genokiem. Zauważam pęknięcia. Niektórzy nazywają mnie wiedźmą, nawet ojciec, kiedy jest na mnie zły.

– I co zobaczyłaś w tym pęknięciu?

– Wiedziałam, że nie jesteś po prostu uciekinierem jak tamten, ale coś było nie tak jak należy. Zastanawiałem się, czy nie jesteś więźniem kardynała.

Śmiech Nimmy'ego zabrzmiał jakoś obco.

– Coś w tym rodzaju. Popadłem w niełaskę.

– I nadal jesteś w niełasce?

– Tak będzie, gdy tylko kardynał dowie się, że cię widziałem.

– Wiem. Kazał mi opuścić miasto. Nie czekałam przy wodospadzie, żebyś mógł wrócić na dół.

– Zostawiłaś ślady.

– Nie musiałeś za nimi iść.

– Poszedłem – obrzucił ją oskarżycielskim spojrzeniem.

– Wróc tu, kiedy nikt nie będzie mógł nas zobaczyć.

Przetoczyła się i wpełzła do pieczary, zabierając po drodze rewolwer. Nimmy wczołgał się za nią. Skała nad głową zwieszała się niżej niż zwykły sufit, nie mógł więc wstać, ale w niepewnym świetle padającym od wejścia zobaczył rozłożony na ziemi materac, siodło, niski stolik ze stojącą na nim świecą i kilka skrzynek.

– Mieszkasz tu?

– Tylko trzy dni. Twój chlebodawca powiedział siostrom, żeby mnie wyrzuciły. To moja ostatnia podróż do Valany. Nie jestem już miłe widziana w Sekretariacie. Mój lud będzie musiał znaleźć kogoś innego. Wracam samotnie do domu. Ten koń na zewnątrz jest mój.

– Dlaczego? Jego Eminencja powiedział mi, że wymieniasz srebro za pieniądze, ale...

- Pieniądze? - Roześmiała się. - Tak, to prawda. Nie cała prawda, ale prawda. Nie chce, bym się tym dalej zajmowała z twojego powodu, no i przez Jaesisa. Jaesis był jednym z nas i teraz twój kardynał myśli, że jest wśród nas szpieg. Może ma rację, ale ja nim nie jestem.

- Skąd masz rewolwer?

- Wzięłam go z jednej z pak, w których znajdował się towar.

- Towar?

- Oczywiście, wysyłany z Sekretariatu do Nowej Jerozolimy.

Nimmy spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Dajemy wam broń?

- Wcale nie dajecie. Sprzedajecie, ufając, że część przechowamy jako osobisty arsenał sekretarza. Nie wiedziałaś? Jest nas więcej, niż myślisz, prawie naród. W górach łatwo się bronić.

- Chyba nie powinienem tu przychodzić - powiedział z wyraźnym niepokojem.

Kiedy zaczął się cofać w stronę wyjścia, chwyciła go za ramię.

- Nie będziemy już o tym rozmawiać. Myślałam, że wiesz. - Jej dłoń wsunęła się pieszczotliwie pod rękaw jego sukni. - Jesteś miły i porośnięty futerkiem.

Usiadł z powrotem. Rewolwer leżał na jednej ze skrzyń. Wziął go do ręki.

- Uważaj, jest naładowany. Byłam tu sama i bałam się. To najmniejszy model, ale można strzelić z niego pięć razy. Daj, pokażę ci.

Wzięła do ręki broń, zaczęła przy niej manipulować i pięć mosiężnych przedmiotów wypadło po kolei na jej podolek.

- Skoro to są kule, gdzie proch?

Podąła mu jeden z pocisków.

- Część ołowiana to kulka. W części mosiężnej jest proch. A teraz patrz. - Odwiodła kurek i część rewolweru obróciła się odrobinę. Nacisnęła spust, znowu odwiodła kurek i obrót nastąpił jeszcze raz. - Widzisz? Strzela pięć razy. I łatwo go z powrotem załadować.

Obracała bębenek o jeden zaczep i wsuwała łuski do komory.

- Ale jak naładować z powrotem pociski?

– Podczas strzelania nie możesz tego zrobić. Ale zabierasz ze sobą dużo takich ładunków. A u siebie, w bazie, masz prasę do ładowania. Pod warunkiem, że nie zgubisz łusek.

– Nigdy niczego takiego nie widziałem.

– Podobnie jak teksarkańska kawaleria. Ta broń pochodzi z Zachodniego Wybrzeża. Zdaje się, że opracowano ją w kraju kardynała Ri, ale jest to pewnie kopia starożytnego rewolweru. – Odłożyła broń i nagle objęła go. – Już nigdy cię nie zobaczę. Chodź, będziemy się kochać. Tak jak to możliwe.

Pogodził się już z tym, że znowu zgrzeszy, i robił teraz, co mógł, żeby sprawić jej przyjemność. Leżeli na materacu, ocierając się o siebie ciałami i namiętnie całując. „Boże, jaka ona piękna” – pomyślał patrząc na nią w słabym świetle padającym od wejścia. – „W pierwotnym szlamie Duch kopułowal z Ziemią i Ziemia zrodziła ją – złotowłosą jak młoda kukurydza i roześmianą na wietrze. O, Dziewico Dnia, twoje imię Edrea, i jesteś mą miłością”.

– Fajce Go!

– Co mówisz? – szepnęła, wijąc się pod nim i uśmiechając do swej rozkoszy.

– Fajce Go. To jedno z imion...

– Kogo?

Milczał, patrząc jak jej fiołkowe oczy szukają jego spojrzenia.

– Niewypowiedzianego? – spytała.

– To ty, jesteś, prawie, obudzona – jęknął, wiedząc, że zbliża się chwila orgazmu.

– Och, pozwól, że wezmę. Jak wtedy!

Sięgnęła ręką w dół, by pochwycić jego nasienie.

Jego podniecenie zgasło, ale zaraz poderwał się, ogarnięty zdumieniem, Edrea wcierała w siebie jego spermę, w małą dziurkę, nie większą niż dutka sępiego pióra.

– Co robisz? – stęknął Nimmy.

Nie przestając się uśmiechać, powiedziała:

– Zachodzę w ciążę. Jak wtedy. Od tamtego czasu miesięczka opóźnia się.

Oszołomiony Czarnoząb usiadł. W stodole Sharda było ciemno choć oko wykol, a poza tym był zbyt pijany, żeby zdać sobie sprawę,

co się dzieje. Czuł, ale nie widział – wbrew temu, co wyznał-podczas spowiedzi staremu niegdyś pustelnikowi.

– Nimmy, jesteś blady jak płótno!

– Po co?

– Shard kazał chirurgowi, żeby mnie zaszył, i nie pozwoli, by przywrócił mnie do normalnego stanu. Jest moim ojcem i kocham go, i nie okażę mu nieposłuszeństwa, ale dzięki temu sprawię, że dziecko mnie rozedrze, jeśli nie każe chirurgowi, by mnie rozciął.

– O Boże! – Przetoczył się i ukiął twarz w dłoniach.

– Nimmy, błagam cię, nie płacz! – Objęła go za ramiona, próbując powstrzymać wstrząsający nim szloch. – Proszę! Nie chciałam, żebyś był nieszczęśliwy. Wzięłam cię, by mieć dziecko. Twoje dziecko!

Nimmy czuł, że kręci się mu w głowie i zbiera na wymioty. Wydawało mu się, że przeżył ledwie chwilę utraty świadomości, kiedy jednak otrząsnął się i wyszedł na zewnątrz, nie zobaczył ani Edrei, ani białego wałacha. Stał samotnie przed maleńką jaskinią. Zostawiła tylko napis na piasku: „Żegnaj, Nimmy. Jesteś naprawdę mnichem”.

Kiedy wracał ze wzgórz, zobaczył ją jednak znowu. Usłyszał dźwięk końskich kopyt na ulicy miasta, spojrzął przez ramię i ujrzał Edreę, która powoli go wyprzedzała. Potrząsnęła szybko głową, ale ledwie na niego spojrzała. Dał jej głową znak, że rozumie, i szedł dalej. Zatrzymała się gdzieś po drodze, ale musiała przejechać przez miasto, żeby wrócić do siebie głównym szlakiem. Czamoząb, który miał na sobie habit leibowitzańskiego nowicjusza, skreślił za róg i prawie wpadł mężczyzną skaczącego przez sznur. Mężczyzna miał na sobie uprząż z drewna i skóry, podtrzymującą na wysokości ust organki. Skacząc przez sznur, grał szybko, ale wyraziście Salve Regina; miseczka stojąca obok niego na ziemi oznaczała prośbę o wsparcie i był już w niej kilka monet. Czamoząb stłumił nagle stęknienie i starał się wyminąć tamtego, nie przyspieszając kroku. Człowiekiem, który błaznował na ulicy za parę miedziaków, był ubrany w leibowitzańską suknię postulanta Torrildo. Czamoząb przeszedł kilka kroków, kiedy nagle muzyka i świst sznura ucichły jak nożem uciął, i usłyszał stukot kopyt konia ukochanej, która

mijała w tym momencie ekskomunikowanego żebraczego muzykanta.

– Hej, Czamożab! Kochanie! – wykrzyknął Torri.

Czamożab mszył biegiem. Słyszał za plecami ich głosy. Edrea zatrzymała się, żeby wymienić parę żartów z Torrildem, którego najwyraźniej już znała.

– Więc to był on! – uciekając, usłyszał jej głos.

Dźwięk dochodził z kaplicy: świst i klapnięcie, a potem jęk. Powtarzało się to co trzy sekundy. Jego Eminencja kardynał Kucisawy przestał nasłuchiwać i wszedł do środka. Po trzech dniach nieusprawiedliwionej nieobecności jego sekretarz do spraw nomadzkich w końcu się znalazł. Czamożab klęczał przed ołtarzem Dziewicy w kaplicy Sekretariatu; chłostał się biczem z rzemieni.

– Przestań! – rozkazał spokojnym głosem kardynał, ale dźwięk nie ucichł.

Świst, klapnięcie, jęk. Przerwa. Świst, klapnięcie, jęk. Przełożony Sekretariatu głośno odchrząknął.

– Nimmy, dość tego!

Ponieważ został zignorowany, odwrócił się, żeby przejść do swojego gabinetu. Przez cały czas ani na krok nie odstępował go Topór.

– Przyjdź do mnie, gdy tylko będziesz mógł! – krzyknął przez ramię, ponieważ mnich nie zaprzestał biczowania. – Jutro wczesnym rankiem masz audiencję u Jego Świątobliwości. Chodzi o twoją prośbę.

Audiencja wypadła źle. Kiedy szli w stronę Pałacu Papieskiego, Czamożab, z grzbietem obolałym i sercem przepelnionym poczuciem winy, nie odzywał się do swojego chlebodawcy, a i chlebodawca milczał. Panowała między nimi jakaś obcość, której Czamożab nigdy przedtem nie czuł. Kucisawy wiedział oczywiście, że Nimmy okazał nieposłuszeństwo i spotkał się z Edreą, nie mógł jednak wiedzieć, choć może podejrzewał, że powiedziała Czarnożebowi o przemyśle broni. Gdyby któryś odezwał się po drodze, pewnie zaczęliby się wzajemnie oskarżać, nic więc dziwnego, że mnich był wdzięczny kardynałowi za to pełne napięcia milczenie.

Papież, który wyraźnie czuł się jeszcze nieswojo w białej sutannie, powitał go serdecznie i bez ceregieli. Kiedy Czamoząb uklęknął, żeby pocałować jego pierścień, Amen dał znak kardynałowi, który natychmiast wyszedł, pozostawiając mniszka sam na sam z najwyższym kapłanem.

– Wstań, proszę, Nimmy. Usiądź tutaj.

Czamoząb poruszał się jak we śnie. Kiedy siadał, czuł się, jakby powracał do roli penitenta, który przybywa do pieczary Specklebirda. Widział kącikiem oka, że Specklebird zmienia się w kuguara.

– Ma się wrażenie, że przebywa wśród nas Istota Boska – powiedział z nikłym uśmiechem kuguar.

– Istota Boska winna się zamknąć – usłyszał Nimmy własny głos i zaraz potem śmiech kuguara.

Istota jest nastawiona żartobliwie.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, będziesz jeszcze przez jakiś czas pracował u kardynała Kucisawego – oznajmił kuguar, przeobrażając się w czarnoskórego starca z chmurą białych włosów pod białą piuska.

– Dziwię się, że mnie jeszcze chce – Nimmy znowu usłyszał własny głos.

– Jak myślisz, dlaczego wybrał cię na osobistego sekretarza spośród wielu tłumaczy.

– Sam się nad tym zastanawiałem, Ojcie Święty. Doszedłem do wniosku, że wskutek częstych kontaktów z ludźmi z rodu swojej nieznannej matki przywiązał się do nich. Jesteśmy jednej krwi.

– Chodziłoby więc o etniczny nepotyzm? Naprawdę tak myślisz?

– Druga możliwość to uznać, że dopatrył się we mnie jakichś szczególnych przymiotów albo talentów i dla nich mnie wybrał pomimo mego nieposłuszeństwa. Nie potrafię jednak. Ojcie Święty, wyobrazić sobie, o jakie przymioty mogłoby chodzić, bo wiem, że każdy musiałby być wyimaginowany.

– Inaczej mówiąc, jesteś po prostu biednym grzesznikiem, który miłuje głęboko Boga, lecz nie ma Mu do ofiarowania żadnych szczególnych zdolności.

Ironia? Czamoząb zamarł z przerażenia. Nieświadomie przybrał maskę pokory i kuguar jako Specklebird-Piotr podsunął zwierciadło tuż przed maskę, przez którą mnich patrzył.

Po chwili odzyskał panowanie nad sobą i także posłużył się orężem ironii:

– No dobrze, uznajmy, że jestem genialnym znawcą nornadzkich języków i sam wynalazłem nowy alfabet, z którego korzystają, jak mi powiedziano, nawet u Świętego Stona. Gdybyż tylko to! Nauczyłem się sztuki obrony, pojąłem większość ze spraw, jakie mój pan prowadzi z nomadami, a także dokąd zmierzamy. Pewnie więc jego wybór jest całkowicie racjonalny. Nauczono mnie też, jak zabić człowieka.

– Musisz wstrzymać się od zgubnej przemocy, synu – rzekł stary górski kocur.

– Nie powinienem też pożądać wołu bliźniego swego, Ojciec Święty.

Papież roześmiał się z całego serca.

– Nie zawsze jesteś pogrążony w drzemce, Nimmy. Jestem przekonany, że twoim powołaniem jest kontemplacja.

Czamoząb westchnął i spuścił głowę.

– Mógłbym zostać uwolniony od świeceń i nadal pracować dla kardynała, Ojciec Święty. Nie muszę być mnichem, by oddawać się kontemplacji.

Specklebird wrócił do tematu:

– Twój przypadek jest akurat taki, że chyba musisz. Kardynał Kucisawy wybrał cię, Nimmy, ponieważ jesteś mnichem, prawdziwym mnichem, człowiekiem o kontemplacyjnej naturze. Jak myślisz, czemu on, człek majątny i możny, związał się przyjaźnią ze mną, pustelnikiem i żebrakiem, księdzem o zszarganej opinii i z całą bezwzględnością przywołanym do porządku, z księdzem bez parafii i nie mającym przez wiele lat dostępu do ołtarza w valariskich kościołach? Twój pan chce dowiedzieć się jak najwięcej o ludziach takich jak my, Nimmy. To jego nadzieja. Polega ona na tym, że dostrzega naszą odmienność i budzi to jego zaciekawienie, nie zaś pogardę. Gdybyś nie był naprawdę człowiekiem wiary, po cóż miałby cię wybierać? Kogoś, kto mniej wie o sprawach Sekretariatu

niż co najmniej trzech innych? Znam go. On rozmyśla, jak to jest, kiedy człowiek poznaje Boga.

– Jeśli w tym, co rzekłeś, nie ma błędu, poddaję się. Jeśli jednak jest, kardynał się myli, albowiem jestem, albo raczej byłem, bardzo złym mnichem.

– Co za fura oślego gówna. Spowiadać się, jeśli czujesz taką potrzebę, to twoja sprawa, ale ostateczny osąd, nie!

– Zakochałem się, Ojczy Świąty, w mamidle, w dziewczynie-genoku.

– Dlatego chcesz zrzucić suknię?

– Najpierw z innych powodów – westchnął. – Teraz być może też z tego.

– Być może?

– Bo i ona mówi, że jestem mnichem. Wszyscy to powtarzają. Poza mną!

– Mądra dziewczyna! Skoro ją kochasz, musisz dostrzec w niej Boga. Nie pozwól, by ta miłość umniejszyła twą miłość do Pana. Uczucie miłości to druga strona współczucia, nie zaś zaprzeczenie. Musisz nauczyć się widzieć i miłować Boga w każdym z Jego dzieł, także w tej dziewczynie, której ci zakazano. Pamiętaj jednak, żeś mnichem świętego Leibowitza. Miłość nie jest grzechem.

– Ale jej spełnienie tak.

– Dla ciebie. Jest to jednak wybór, którego sam dokonałeś.

– Jako piętnastoletni uciekinier.

– Lecz uroczyste śluby złożyłeś znacznie później, bracie od Świętego Jerzego.

– Nie miałem pojęcia o świecie, którego przysięgłem się wystrzegać, składając śluby, z których tylko ty możesz mnie zwolnić, Ojczy Świąty.

– Tak wiele dowiedziałeś się ostatnio o świecie?

– Jestem zakochany.

Papież roześmiał się.

– Miłować Boga w dziele Jego stworzenia, to rzecz zachwycająca, jeśli tylko wiesz, co czynisz. Pozwól, że o czymś ci przypomnę, o czymś, co mnie przypomniał opat Jarad. Zakon Świętego Leibowitza był pierwotnie zakonem pustelniczym. Możesz pozostać w zakonie, ale żyć poza klasztornymi murami. Będiesz

wtedy żył w zgodzie ze starodawną regułą, w tym kształcie, w jakim została ustanowiona. Oczywiście, kiedy zwolni cię twój obecny pracodawca. Proszę cię, byś rozważył tę możliwość, zanim podejmiesz decyzję zrzucenia sukni zakonnej.

Z piersi Czamożęba wyrwało się głębokie westchnienie. Spojrzał na starego, czarnoskórego mężczyznę. Kuguar zniknął. Skłonił ulegle głowę, ale wiedział, że pytanie nadal wisi w powietrzu. „A jeśli zaszła w ciążę?” – myślał, wychodząc po audiencji z pałacu. Czuł się pusty. Może nie całkiem pusty. Oto on, biedny mnich, śmiał strawić czoło samemu papieżowi. Jest bogaty, jakże bogaty!

Inni pracownicy Sekretariatu opowiedzieli mu, co działo się podczas jego trzydniowej nieobecności. W Valanie nadal było niespokojnie. Nawet nowy Papież miał świadomość, że na konklawe z 3244 roku odcisnęły piętno przemoc pochodząca z zewnątrz i wewnętrzne tchórzostwo. Zdziwił wszystkich, obkładając miasto interdyktem. Strażnik Elkin wymienił Czarnożębowi całą listę przywódców tłumu, których przyprowadzono, żeby naprawili szkody, jakich doznał pałac wskutek zamieszek.

– Siedemnastu łotrów uklękło przed Papieżem, swoim bohaterem. Uzyskał od nich obietnicę, że naprawią szkody. Wyzначył im w ramach pokuty modlitwy i posty, a potem udzielił wszystkim rozgrzeszenia.

– To jednak nie zadowoliło zgoła ludzi Benefeza – domyślił się Nimmy, a Elkin skinął potakująco głową.

Od razu stało się widoczne, że wybór dziwnego religijnego ascety, którego prawomyślność budziła wątpliwości i który odznaczał się impulsywnością w sprawach wiary, sprawił, iż całą hierarchię i wszystkie instytucje władzy przebiegł nerwowy dreszcz. Chodziło albo o niespodziewaną interwencję Ducha Świętego, albo o dzieło diabła i Czerwonego Diakona.

Arcybiskup Teksarku przepytął blisko 170 kardynałów, uczestników konklawe, zanim znalazł wystarczającą liczbę elektorów gotowych potwierdzić, że oddając głosy na Amena Specklebirda, działali pod przymusem. Pozostał w mieście ledwie trzy dni i, powołując się na chorobę, nie złożył hołdu papieżowi. Opuścił miasto wraz ze swą asystą i sporą liczbą tych kardynałów ze Wschodu, którzy cieszyli się dobrym zdrowiem i pragnęli jak

najprędzej opuścić ogarnięte zarazą miasto. Niektórzy dostojnicy z jego frakcji głosili pogląd, że Tron

Piotrowy jest nadal pusty, gdyż elekcja Amena została wymuszona. Wzywali starca, by uznał, że wybór nie jest prawomocny, by zwołał konklawe do Nowego Rzymu i zrzekł się tronu, który zajął niezgodnie z prawem kościelnym. Kucisawy i inni bronili ważności wyboru i domagali się, by frakcja uznała Jego Świątobliwość, jeśli nie chce narazić się na sankcje kościelne. Tylko jeden kardynał zmienił wówczas stanowisko, reszta zaś rozjechała się do domów. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że stara rana schizmy znowu się otworzy.

W swej podyktowanej na miejscu ostatniej woli kardynał Ri przekazał kardynałowi Kucisawemu swoją służbę. Był to nie lada kłopot, ale kierownik Sekretariatu do Nadzwyczajnych Spraw Kościelnych zdołał zrzucić część tego brzemienia na barki Jego Świątobliwości, któremu arcybiskup Hongu powierzył swą żonę i pomniejsze konkubiny. Prawnik, który sporządził testament, wpadł w gniew i uciekł się do uników, kiedy spytano go o możliwość połączenia dwóch zapisów w jeden i przekazania kobiet Kucisawemu. Czerwony Diakon odpowiedział takim samym wybuchem gniewu i oświadczył, że kardynał Ri prosił go przed śmiercią o pieczę nad swoją służbą. Jego zdaniem nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż zmarły zamierzał powierzyć los swych najbliższych słudze sług Bożych, papieżowi Amenowi. Ponieważ słudzy kardynała Ri byli uradowani tym, że mają nowego pana, Kucisawy postanowił zatrzymać wszystkich poza jednym, ale niejako niewolników, tylko na pięcioletnich umowach odnawianych po tym czasie za obopólną zgodą. Papież zapewnił Sekretariatowi dodatkowe fundusze na ich płace. Było to pięciu biegłych wojowników, dwóch służących osobistych i spowiednik Ri. Ten ostatni został przekazany do Świętego Stona, aby poprowadził tam wykłady na temat praktykowanych w jego ojczyźnie obrządków wschodnich oraz kursy używanego tam języka.

Jeśli chodzi o trzy odziedziczone przez Amena niewiasty, papież przekazał im zapisane przez prałata złoto, obdarzył je wolnością oraz dał do wyboru szkołę, klasztor albo swata.

Wooshin był zachwycony tym, że stanął na czele drużyny doskonale wyszkolonych wojowników, którzy mieli za sobą nieobcą i jemu wojskową tradycję. Topór zaczął już mówić skalnogórskim jak tubylec i ten fakt wystarczył, by objęcie przez niego dowództwa nad prywatną armią Kucisawego uznali za rzecz naturalną, ale kardynał kazał im dokonać formalnego wyboru i następnie przysiąc wierność swemu dowódcy, a także chlebodawcy, czyli kardynałowi sekretarzowi. Czarnoząb zastanawiał się, czy Kucisawy wie to, co wyznał mu kiedyś sam Topór, a mianowicie, że wojownik wyszkolony w tej tradycji zabije każdego, kogo wskaże mu pan, nawet papieża. Wooshin przyrównał ich do zabójców na służbie u Hannegana, ujawniając pogardę, jaką żywił do tych ostatnich – nawet najbieglejszych w swym rzemiośle.

W Valanie panowało zbyt wielkie podniecenie, by ktokolwiek zastanawiał się w tej chwili, po co właściwie Sekretariat wciągnął na swą listę płac zastęp sześciu zawodowych zabójców, aczkolwiek Czarnoząb rozmyślał o tym od chwili opuszczenia – wraz z Toporem i pod opiekuńczymi skrzydłami Czerwonego Diakona – Opactwa Świętego Leibowitza. Czuł się mniej wtajemniczony w zamysły kardynała, niż mogła wskazywać praca, którą wykonywał. Jaśniej uświadomił to sobie w momencie, kiedy ujrzał broń Edrei. Całe skrzydło Sekretariatu

był przed nim zamknięte. Całe obszary działalności Sekretariatu pozostawały poza zasięgiem jego wiedzy. Starał się powściągać swą ciekawość. Chwilowo dzielił zewnętrzne biuro Kucisawego z dwoma innymi sekretarzami specjalistami. Zauważyli, że co najmniej raz dziennie ktoś z zamkniętego skrzydła przychodził z teczką dokumentów, był wpuszczany do świątyni Kucisawego, a potem wychodził bez teczki, która nigdy nie była rejestrowana w biurze zewnętrznym. Kardynał nie miał w swym gabinecie żadnych kartotek; był tam za to piec do palenia dokumentów. Tamci dwaj sekretarze doszli do wniosku, że w zamkniętym skrzydle zajmowano się wywiadem i specjalnymi operacjami. Czarnoząb nie zaprzeczał. Nie pisnął jednak ani słówka o broni.

Rozdział 13

„Opat zaś powinien zadbać o właściwe rozmiary, aby odzież była nie za krótka, lecz dostatecznie długa dla noszących ją mnichów”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział LV

Czarnoząb miał wrażenie, że w okresie zamętu w kwestii zarówno papiestwa w Valanie, jak i wschodniego Kościoła jego chlebodawca dostał jakiejś obsesji w związku z polityką nomadzką. Chociaż mógł utrzymywać stałą łączność ze wschodnimi kardynałami, którzy uczestniczyli w wyborze Amena na papieża, wolał zaprosić do Valany na spotkanie z następcą św. Piotra Pasikonika Hultora Brama wraz z całą strażą, jaką zechce ze sobą przyprowadzić. Cel tego przedsięwzięcia był oczywisty. Kardynała oskarżano o przedkładanie kandydatury Chtira Osie Hpngana z hordy Dzikich Psów nad kandydaturę wojennego szarfa Pasikoników. Chcąc wskazać, że zajmuje stanowisko neutralne, Kucisawy zaprosił Hultora Brama do złożenia wizyty papieżowi. Dopiero potem zamierzał wystosować zaproszenie do Hpngana. Porzucił najbliższe otoczenie papieża i w towarzystwie jednego potulnie wyglądającego policjanta zamiast swego stałego strażnika wyprawił się na Równiny, by powitać wojennego szarfa Pasikoników, nie zważając na to, że w tych niespokojnych czasach jest z pewnością potrzebny Amenowi. Czarnoząb zaczął jeszcze bardziej podziwiać odwagę swego chlebodawcy, aczkolwiek z podejrzliwością, i snując najdziksze domysły, myślał o wierności kardynała wobec papieża i o dostawach broni dla genoków. „Oto świat, święty Izaaku Edwardzie Leibowitzu, który porzuciłem, by żyć jako twój mnich. I gdzie się znalazłem?”

Wraz z Wooshinem wyszli wcześniej w stronę miejsca, gdzie mieli się spotkać z wracającym z Równin Kucisawym, i zastali już tam następcę Edrei, posłańca z Nowej Jerozolimy, który czekał na ulicy. Teraz, kiedy Czarnoząb dowiedział się od kardynała i

bezpośrednio od Edrei tego i owego o wymianie dokonywanej między Nową Jerozolimą a zamkniętym skrzydłem Sekretariatu, obaj, on i Topór, mogli poznać Ulada, wysłannika kolonii. Czarnoząb był przeświadczony, że wszystkie mamidła wyglądają normalnie, i Uład wyglądał normalnie, jeśli patrzyło się na niego z daleka i nie było w sąsiedztwie nikogo, z kim można by go porównać. W tłumie jednak wystawałby o jedną trzecią wysokości nad głowy innych, a ważył zapewne ze dwa i pół raza tyle, co zwykły mężczyzna. Trzykroć widział Czarnoząb, jak olbrzym, którego dłonie robiły wrażenie nieproporcjonalnie smukłych, sięga do kieszeni przechodniów, aż wreszcie przeszedł przez ulicę i ostrzegł go: „Zrób to jeszcze raz, a wydam cię”.

Uład chwycił go za głowę długą, smukłą dłonią i z taką siłą wcisnął mu kciuk w skroń, że mnich omal nie zemdłał z bólu. W tym momencie Wooshin przemknął ukradkiem za olbrzymem i zrobił coś z jego kolanem, tak że ten puścił Czarnoząba i usiadł na bruku, trzymając się za nogę. Topór stanął przed nim i podsunął mu pod nos obrócony na płask miecz.

– Zrób to jeszcze raz, a zabiję cię.

– Nie rozpoznałem was w pierwszej chwili – odparł olbrzym zaskakującym kontraitem drobnemu, staremu wojownikowi.

– Lubisz swoją robotę? – spytał Topór.

– Dobrze jest znaleźć się w mieście, o tak.

– Czy twoi wiedzą, że jesteś złodziejem? – spytał mnich, dźwigając się na nogi.

– To element konspiracji. Tutejsi mnie znają. Nie ma znaczenia, czy mnie aresztują. Policja mnie zna. Myślą, że jestem tutejszy, i jestem. W nadgodzinach. Czasem zamykają mnie na parę dni, ale czasem dla nich pracuję. Przedtem jeździłem jako strażnik Edrei. Tutaj spotykaliśmy się przed powrotem do domu.

– Czy Jego Eminencja wie o tym?

– Mam się tu z nim spotkać. Przyjedzie w nomadzkim powozie Pasikoników. Nienawidzę nomadów. Wyglądacie jak oni i nazwalicie mnie mamidłem.

Nimmy patrzył mu w oczy, nie zważając na ich zawzięty wyraz.

– Czy widziałeś kiedyś nomadę w mnisim habicie? – spytał szyderczo. – A czy ty wyglądasz na mamidło?

Poczuł, że Wooshin dotyka jego ramienia, próbując go ostrzec, ale było już za późno.

Ulad wydał z siebie dziki pomruk i sięgnął po nóż. Stal zadźwięczała o stal, ostrze przesunęło się po ostrzu i nagle krótki miecz rozplątał olbrzymowi ramię, a wszystko odbyło się jakby jednym płynnym ruchem: od dobytcia sztyletu, przez cięcie i upadek sztyletu, aż do krwi na bruku.

Przez chwilę stali jak skamieniali, a potem Wooshin schował miecz i powiedział:

– Opatrz sobie ramię. Cięcie nie jest głębokie.

– Toporze, zdaje się, że chciał mnie zabić!

– Zdaje się? – parsknął Topór. – No tak! Kardynał ostrzegł mnie przed Uladem i powiedział, że jest bardzo niezadowolony z tego następcy Edrei. Ten człowiek co chwila wpada w szał. Moim zdaniem niedługo będzie posłańcem. Nowojerozolimczycy byli tak rozwścieczeni odprawieniem przez naszego pana Edrei jako persona non grata, że na jej miejsce wyznaczyli Ulada. Potrafią być aroganccy.

– Czemu nie zamknięto go w klatce?

– Po pierwsze kardynał chce, żeby spotkał się z nomadą, którego tu sprowadza, a po drugie to wojownik obdarzony siłą i wysoki oficer małej armii, która ma stanąć po naszej stronie.

– Przeciwno komu, na miłość Boską? Czy z twojego po pierwsze i po drugie wynika jakieś trzecie? Która strona jest nasza?

– Jakże? Strona naszego pana! – warknął Wooshin i obrzucił go spojrzeniem pełnym wściekłości. – Moim zdaniem twoja wierność stoi pod znakiem zapytania, bracie od Świętego Jerzego. Nie wyobrażaj sobie, że nie poderżnę ci gardła, jeśli spróbujesz go zdradzić!

– Hola, powoli! To ja, Czarnoząb! Staralem się po prostu zrozumieć tok jego myślenia.

– Pamiętaj, gdzie twoje miejsce.

– Czyżbyś, Toporze, zamierzał mnie pouczać? To coś nowego.

– Nie mogę pouczać cię, gdzie jest twoje miejsce, ale nie pozwól, bym cię przyłapał poza nim.

Coś nowego. O tak, coś nowego i bardzo realnego. Po raz pierwszy, poczuł się realnie zagrożony przez starego wojownika.

Kuci sawy musi być bardziej rozgniewany, niż Nimmy sobie wyobrażał. A Nimmy przypomniał sobie, jak bał się Wooshina w opactwie, choć źródłem tego lęku były nerwy i wyobraźnia. Teraz dowiedział się jednak, że Wooshin żyje tylko po to, by spełniać życzenia swego pana i bronić jego osoby i szczęścia. Oto co stanowi dla niego największe dobro. Czarnoząb miał inne przekonania w kwestii lojalności i okazał swemu panu nieposłuszeństwo. Wooshin domyślił się tego, przynajmniej w ogólnych zarysach, ponieważ mnich był tak długo nieobecny. Ich wzajemne stosunki zmieniły się, co nie przeszkodziło jednak Toporowi obronić go przed sztyletem Ulada. Edrea odmieniła całkowicie jego życie.

W momencie, kiedy Uład wracał z obandażowanym przedmiotem, od strony wschodniej nadjechał powóz ciągnięty przez cztery piękne, siwe ogiery, które zatrzymały się przed zajazdem Smak Dziczyzny. Chorąży z totemicznym tryumfalnym drzewcem Pasikoników podjechał bliżej, zeskoczył z konia i stanął ze swą chorągwią na bacność przed drzwiami gospody.

– Wysunęły się sztandary króla piekieł – powiedział cierpkim tonem Czarnoząb, cytując starożytnego poetę.

Nimmy dowiedział się później, że kiedy Kucisawy spotkał Hultora Brama, ten ostatni jechał w swoim królewskim powozie, zapewne zbudowanym na Wschodzie i zrabowanym podczas któregoś z wypadów do wschodniej krainy drewna. Towarzyszą mu szesnastu dobrze uzbrojonych jeźdźców, choć księżę Kościoła zostawił w domu nawet swojego groźnego strażnika i podróżował z potulnie wyglądającym policjantem. Bram poczuł zakłopotanie, kiedy zobaczył, że wita go samotny człowiek Kościoła, i odesłał wszystkich zbrojnych do domu, pozostawiając dwóch wojowników. W ten sposób Kucisawy wrócił w powozie zaskoczonego, ale nie nastawionego jeszcze przyjaźnie szarfa. Olbrzym Uład podszedł do powozu i przedstawił się kardynałowi, który zmarszczył brwi, powiedział parę słów i odprawił go skinieniem ręki.

– Najpierw chce rozmawiać z tobą – oznajmił olbrzym Czarnozębowi, a zwracając się do Topora, rzekł: – Ty masz strzec wejścia. – Był wyraźnie przybity. – Kiedy nomadzi przybywają do miasta, powinno się ich zamykać w więzieniu – dodał.

- Jak mogliby wówczas załatwić jakąkolwiek ze spraw, z którymi przybyli?

- Ich jedyne zajęcie to kradzież.

- Pojmuję. W twoim przypadku to niewinna rozrywka, a w ich – przestępstwo.

Z piersi Ulada dobył się pomruk i Wooshin znowu szturchnął mnicha.

Miejsce obok woźnicy zajmował nomada o nieprzyjemnie wykrzywionych ustach i z długą strzelbą w dłoni. Dwaj żołnierze pełnili straż. Policjant i nomada zeskoczyli na ziemię i pomogli wysiąść dwóm innym pasażerom, prałatowi i jeszcze jednemu nomadzie. Ten drugi robił wrażenie bardziej zadufanego w sobie niż pierwszy. Ulad poczuł zawód, gdyż człowiek ten najwyraźniej nie był więźniem policjanta. Trzej nomadzi i policjant zostali przy powozie, a podróżny i prałat weszli do środka, żeby spożyć posiłek.

Po pokonaniu Równin pojazd był okryty brudem, ale nie uległo wątpliwości, że jego konstrukcja i wykonanie są bardzo kosztowne. Konie, w tej chwili zmęczone, były wybornymi i dobrze wykarmionymi zwierzętami, które można by sprzedać za co najmniej tysiąc piosów. Drzwi powozu pokryto błękitnym i złotym lakierem z dodatkiem odrobiny czerwieni na herbie, który prześwitywał przez warstwę kurzu. Stali w małej grupce ludzi, którzy przystawali, wchodząc do gospody albo z niej wychodząc, gdyż rzucał się im w oczy widok nomadów, policjanta i powozu z ognistym zaprzęgiem. Gapie ociągali się z odejściem i wkrótce zebrał się mały tłum. Czamoząb przyglądał się bacznie Uladowi.

- Mówię, że to nie może być sekretarz – zapewniał jakiś sklepikarz z sąsiedztwa. – To nie jego herb. Ani żadnego prałata.

- A dewiza? – zwróciła mu uwagę stojąca obok niego kobieta. – Po łacinie, tak czy nie? – Ponieważ sklepikarz wzruszył w odpowiedzi ramionami, zwróciła się do wychodzącego właśnie z gospody braciszka, który też ją przyglądał się powozowi. – Po łacinie, bracie?

- Prawdę mówiąc, nie.

- Chyba nie po nomadzku!

- Nie, to język kościelny. Angielski.

- Co tam jest napisane?

– Moja noga nie stanęła w szkole od dwudziestu lat – odparł duchowny. Odwrócił się, żeby odejść, ale rozmyślił się i dodał: – Tam jest coś o ogniu. A podróżuje nim kardynał Kucisawy, lepiej więc się stąd wynieście.

– Sam się wynieś, bracie. Ja tu mieszkam.

– Może papież zakłada własną straż pożarną – rzucił student od Świętego Stona, nie kto inny jak sam Aberlott.

Czarnoząb wziął na siebie trud wyjaśnienia:

– Dewiza mówi: „Rozpalam ogień”. To herb wojennego szarfa Pasikoników. Pogadamy później – powiedział do byłego współlokatora, a potem odszedł, żeby stanąć przy samym oknie.

W gospodzie zaś kardynał spożywał posiłek w towarzystwie nomadzkich wysłanników. Podano kurczę pieczone z ziołami, a do tego miejscowe piwo. Mieszkańcy Równin byli na tyle wygłodniali, że zechcieli okazać uprzejmość i nie skarżyli się na brak wołowiny, ale zeskrobali z mięsa wszelki ślad roślin. Bram kontynuował monolog, który zaczął wygłaszać po drodze, ale kardynał zobaczył przez okno swojego sekretarza i skinął, by ten wszedł do środka. Czarnoząb zastał swego pana w trudnej sytuacji, okrutnie nękanego kwestiami teologicznymi przez napastliwego szarfa.

– Ojciec Matki Bożej jest też Jej Synem i Oblubieńcem – wywodził nomada. Zerkał w stronę okna i udawał, że me patrzy na kardynała. – Tak tłumaczy to nasze Weejus.

Kardynał odgryzł kęs kurczaka i żuł go energicznie, nie spuszczając wzroku z Brama.

– Czy słyszałeś, co rzekłem?

– Nie – skłamał Kucisawy. – Zechciej powtórzyć.

Mówił z poprawnym pasikońskim akcentem, ale od czasu do czasu spoglądał w stronę Czarnozęba, oczekując jego wsparcia.

– Ojciec Matki Bożej jest też Jej Synem i Oblubieńcem. Tak widzi to pasikoński Duch Niedźwiedzia.

– No tak.

Kucisawy umoczył udko kurczaka w sosie i odgryzł następny kęs. Hultor Bram robił, co mógł, żeby go sprowokować.

Szarf wyprostował się i zmarszczył brwi.

– No tak? Czyżbyś się ze mną zgadzał?

– Chciałem tylko powiedzieć, że usłyszałem, coś rzekł, szarfię. Jestem prawnikiem, nie zaś teologiem. Weź, proszę, odrobinę kurczaka.

– Zaprasza cię, byś zjadł odrobinę kurczaka – powtórzył mnich, który dobrze wyczuwał dzikopsią składnię.

– Skoro jesteś prawnikiem, czemu nie kazałeś mnie zatrzymać?

– Ponieważ nie jestem prawnikiem teologów, a zresztą gdybym cię aresztował, stałbyś się nikomu nieprzydatny.

Zerknął na Czarnozęba, który skinął uspokajająco głową. Tylko od czasu do czasu mnich musiał wyjaśniać jakieś zdanie.

– Jesteś prawnikiem papieża.

– Tak jest. Białe mięso jest suche. Spróbuj ciemnego.

– Jezus jest Oblubieńcem Maryi.

Kardynał Kucisawy westchnął z niesmakiem i zaczął stukać w stół ogołoconą z mięsa kością.

– Czemu chcesz doprowadzić do kłótni? Czy powiedziałem coś gorszego o Pustym Niebie albo waszej Dzikokonnej?

– Raz. Przy świętym ogniu narad. Dlatego mówię do ciebie w ten sposób. Chciałeś ją odpędzić, a twoja chrześcijańska kukiełka zabiła jej kapłanów.

Kucisawy znowu westchnął.

– Nie przeżyłem więc tego, czy tak? Sunovtash An nie był niczyją kukiełką. Co do mnie, postąpiłem niemądrze. Wiem to teraz i żałuję. Lecz stało się to na obszarach farmerskich, a nie na Wschodniej Równinie.

– To bez znaczenia, bo ci ludzie byli formalnie Pasikonikami. Musisz odkupić świętokradztwo.

– Jak mam to zrobić?

– Rozmawialiśmy o tym. Musisz się do niej udać.

– Dokąd niby? Na tereny farmerskie?

– Nie. Do pępka ziemi, tam, gdzie ona mieszka. Do hodowlanej niecki jej dzikich koni. To miejsce śmiertelnych ogni, zwane Stopiel.

– Słyszałem. Czy nie tam przed podbojem Szalony Niedźwiedź stawał się panem Trzech Hord?

– Tam. Każdy powołany do świętego królowania musi zostać w tamtym miejscu przez nią wybrany. Potem musi spędzić tam noc przy świetle księżyca w pełni. Tak będzie znowu. W tym miejscu

poddajemy też próbie ludzi oskarżonych o zbrodnie. To miejsce sądu Bożego. Wielu stamtąd nie wraca. Wielu wynosi chorobę i traci włosy. Nieliczni wychodzą bez szwanku. Kucisawy, popełniłeś w oczach naszych Weejus i Ducha Niedźwiedzia zbrodnię.

– I mam się poddać sądowi Bożemu?

– Jeśli przeżyjesz, zawrzemy przymierze. I pokój z Dzikimi Psami.

– Bez względu na to, kto zostanie wybrany na włodarza?

Bram potrząsnął głową. Robił wrażenie zakłopotanego.

– Jako Qcesach dri Vordar – wtrącił się Czarnoząb.

– Ach, bez wątpienia! Stare kobiety wiedzą najlepiej. I Hongin Fujce Vurn.

Kardynał zwrócił się do Nimmy'ego w skałnogórskim:

– Wyjaśnij starannie i uprzejmie szarfowi, że Jego Świątobliwość jest najwyższym kapłanem całego świata chrześcijańskiego i że immunitet dyplomatyczny, którego działanie szarf zechciał wypróbować na mnie, nie dotyczy *crimen laesae majestatis*, ma więc powściągnąć swój język, kiedy znajdzie się przed obliczem papieża.

Hultor Bram był potężnie zbudowanym nomadą wzrostem dorównującym Churowi Honganowi, może tylko nieco szczuplej szym. Nie mówił wiele. Dominującą cechą jego osobowości była siła i gotowość rzucenia się na człowieka w każdej chwili, po to, by go serdecznie uścisnąć albo zabić. Wszystkie mięśnie były napięte, żeby dokonać jednego lub drugiego.

Zdenerwowany Czarnoząb powtórzył to, co kazał mu powiedzieć Kucisawy.

Przez chwilę szarf patrzył na niego z wściekłością. Jego napięte ciało zdawało się mówić: „Zabić tłumacza”, ale po chwili nomada obrócił się w stronę kardynała i skinął szybko głową. W tym momencie Uład, gotowa do skoku masa mięśni, przekroczył próg sali i ruszył w stronę jednego ze stołów. Kucisawy odesłał Czarnozęba tam, skąd przyszedł olbrzym. Intuicja podpowiedziała mnichowi, że Uład miał omawiać sprawy nie przeznaczone dla jego uszu, bo przecież Kucisawy potrzebował bardziej niż kiedykolwiek tłumacza, jako że olbrzymi genok posługiwał się wyłącznie dolinnym językiem Ol'zark i bardzo nieporadnie skałnogórskim. Ponieważ został na jakiś czas zwolniony z obowiązków, poszedł do

domu w towarzystwie Aberlotta, którego nie widział od czasu konklawe.

– Ponoć ma dojść do schizmy, może nawet do wojny. Wiesz coś o tym?

– Schizma albo wojna wymaga dwóch stron. Kogo masz na myśli? I dlaczego zwracasz się z tym pytaniem do mnie?

– Pracujesz dla sekretarza.

– Który zapewne też nie odpowiedziałby na twoje pytanie. Czemu nie zapytasz którejś z kobiet Weejus?

– Nie znam żadnej. A ty?

– Na razie nie.

– A kiedy poznasz? Słyszałem, że twój kardynał wybiera się do kraju nomadów.

Czarnoząb obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. Miał wrażenie, że wszyscy wiedzą więcej o działaniach jego chlebodawcy niż on sam.

– Kto ci o tym powiedział?

– Mężczyzna, który tuż przed tobą wyszedł z gospody. Czarnoząb zatroskał się. Kucisawy był nieostrożny i dopuścił

do tego, że rozmowa z Hultorem Bramem doszła do uszu jakiegoś rozumiejącego nomadzki gościa gospody. Ale przecież z miejsc przy ich stole nie było nikogo widać.

– Po tajemnicy? – spytał po chwili Aberlott.

– Boja wiem. Mam wrażenie, że prędzej czy później zostaną wyrzucony za drzwi.

– Przez kardynała? Niby za co?

– Czy pamiętasz tę osobę, która oddała mi różaniec? Czarnoząb nie powiedział nic więcej, lecz przyjaciel zobaczył rumieniec na jego twarzy i zamknął usta.

Odwrócił się tylko i zakrył dłonią twarz, by mnich nie zauważył uśmiechu, a po chwili spytał:

– Co ci się takiego przydarzyło, Nimmy?

– Sam nie wiem. Mam wielki dług do spłacenia. Co ty, do diabła, robisz tutaj, kiedy powinienesz być w szkole?

– W lecie nie mam wykładów. Lubię podróżować.

– Dokąd zamierzasz się udać?

– Gdzie mnie koń poniesie. Puszczę luźno wodze. Wiesz, trzeba tylko szturchnąć zwierzę piętami, jeśli zbyt często zatrzymuje się, by poskubać trawę.

– Musisz mieć pewność, że wybrałeś odpowiedniego konia, bo inaczej znajdziesz się tam, gdzie przyszedł na świat. Jesteś chyba stuknięty.

Machnął ręką w stronę równiny. Aberlott roześmiał się i oddalił.

Minęły dwa dni, zanim Hultor Bram został przyjęty na audiencji u Jego Świątobliwości. Podczas nieobecności kardynała Kucisawego w Kurii papież ogłosił datę swojego powrotu do Nowego Rzymu. Jeśli przełożony Sekretariatu poczuł się zirytowany tym, że nie brał udziału w podejmowaniu tej decyzji, miał przynajmniej alibi, jeśli okaże się błędna. Papież planował wyruszyć już wkrótce. W tej kwestii nie doszło do żadnej wymiany informacji z Teksarkiem. Ojciec Święty wykorzystał rozmowę z Hultorem Bramem, żeby przekazać swe błogosławieństwo Weejus Pasikoników i ludowi Ducha Niedźwiedzia i poprosić o wolny przejazd przez ich kraj w drodze do Nowego Rzymu. Wojenny Szarf obiecał łaskawie, że przyśle eskortę złożoną ze stu wojowników, gdy tylko papież opuści teren Dzikich Psów. Kucisawy słuchał tego w milczeniu, ale potem oświadczył bez ogródek, że nie weźmie udziału w wyprawie, gdyż zatrzymują go pilne sprawy na Równinach i w samym Teksarku.

– Jest moim pragnieniem, abyś został wikariuszem apostolskim Trzech Hord – oznajmił następnego dnia czarnoskóry, stary papież Czerwonemu Diakonowi.

Nimmy zauważył, że Kucisawego aż zatkało, a kilku obecnych przy tym członków Kurii wymieniło przestraszone spojrzenia. Zapadło przedłużające się milczenie, gdyż to, co powiedział przed chwilą papież, wywołało istną lawinę spekulacji. Pierwsza myśl: nadanie terytorium Trzech Hord statusu Wikariatu Apostolskiego oznaczało odebranie de facto Hordzie Dzikich Królików roli misjonarzy w Archidiecezji Teksarkańskiej. Byłoby to zniesieniem władzy arcybiskupa nad Prowincją i zmusiłoby go do odwołania swoich misjonarzy albo wyrażenia zgody na poddanie ich nowemu ośrodkowi władzy kościelnej. Druga myśl: bez względu na to, kto zostałby mianowany na stanowisko wikariusza, Benefez wpadłby we wściekłość. W dodatku Kucisawy! Trzecia myśl: zanim Kucisawy

mógłby objąć Wikariat, musiałby zostać wyświęcony na księdza i konsekrowany na biskupa byłej diecezji, byłby bowiem równy rangą biskupowi na obszarach misyjnych, nie stanowiących jeszcze diecezji. Czarnoząb przypomniał sobie słowa kardynała: „Moim powołaniem było prawo, nie zaś kapłaństwo. W tym rzecz”.

- Co ty na to, Elio? Zgodzisz się?
- Ojciec Święty, nie mam chyba powołania.
- My cię powołujemy. W tym momencie.

Po raz pierwszy Czarnoząb usłyszał, że Amen używa, poza urzędową łaciną, papieskiego „my”.

Kucisawy, nie tracąc ani odrobiny godności, padł na twarz przed starcem, ale nadal nie odezwał się ani słowem, leżał tak, póki papież nie uznał tego za zgodę, choć był to tylko, jak ocenił Czarnoząb, akt posłuszeństwa.

- Wstań, Elio. Wyświęcimy cię, dostaniesz sakrę biskupią i w przyszłym tygodniu ruszysz w drogę. Jeśli zrobimy to po cichu, dotrzesz na zjazd na Równinach, zanim Benefez dowie się o wszystkim.

Później, zanim szarf opuścił miasto, Czarnoząb przedstawił mu sytuację.

- Będzie przedstawicielem papieża przy wszystkich hordach, będzie zarządzał wszystkimi kościołami i misjami na północ i południe od Nady Ann. Musisz jednak dochować tajemnicy, póki nie stanie się to faktem.

Szarf potrząsnął głową.

- Nie zostanie zaakceptowany przez Pasikoników – warknął, komentując to wydarzenie – póki nie pojedna się, jak obiecał, z Hongin Fujce Vurn. I musimy zasięgnąć rady Ducha Niedźwiedzia.

- Wygląda na to – powiedział Kucisawy, kiedy Czarnoząb przekazał mu te zastrzeżenia – że odkąd popełniłem błąd, krytykując mowę Yordina, raz po raz wpadam w niemiłe pułapki. Nie zawsze zastawiane przez wrogów! Czy ciebie to nie zdumiewa, Nimmy?

- Nie za bardzo. W każdym razie od czasu, kiedy sam sprawiłem ci przykry niespodziankę.

Były to najbliższe przeprosinom słowa, jakie wypowiedział, ale kardynał obrzucił go tylko osobliwym spojrzeniem.

Postawa mnicha wobec kardynała była teraz naznaczona podejrzliwością, choć nie do tego stopnia, by Czarnoząb wątpił, że posunięcia przyjaciela Czerwonego Diakona, papieża Amena, są całkowitym zaskoczeniem dla Kucisawego. Może Sorely kardynał Nauwhat albo Hilan Bleze, wykorzystując nieobecność Kucisawego, namówili Amena na przyznanie całemu terytorium nomadzkiemu statusu Wikariatu Apostolskiego, zarządzanego jak diecezja, ale przez biskupa odpowiedzialnego bezpośrednio przed papieżem. Oznaczało to faktyczne pozbawienie Archidiecezji Teksarkańskiej roli misjonarskiej w podbitej prowincji. Kościołami na całym tym terenie rządili teraz misjonarze mianowani przez Uriona kardynała Benefeza, co nie oznaczało bynajmniej, że Prowincja została przyłączona do Diecezji Teksarkańskiej. Większość z tamtejszych księży stanowili początkowo wojskowi kapelani. Utworzenie podlegającego papieżowi Wikariatu z całego obszaru Trzech Hord oznaczało jednak pozbawienie Benefeza władzy i dochodów z połowy posiadłości jego bratanka. Czy święty stary pustelnik mógł wpaść na taki pomysł bez udziału jakiejś złowrogiej siły, która go mu podsunęła? O ile Czarnoząb mógł dostrzec, ową złowrogą siłą był zapewne Duch Święty. Starzec był bowiem, jak powiadał święty Leibowitz, „niezależny jak wieprz czy lód”. Myśl była na tyle szalona, że mogła pochodzić od samego Boga albo od Specklebirda. A może, jak ująłby to Urion Benefez, od szatana albo Kucisawego. Sam fakt, że Czerwony Diakon został z dnia na dzień arcybiskupem, pokazywał jasno każdemu, kto chciał podążyć myślą w tym kierunku, iż ten awans był posunięciem zaplanowanym przez przebiegłego starca, który zaczął rządzić, nim jeszcze został intronizowany.

Uroczystości święceń Elii Kucisawego i nadania mu sakry biskupa Palermo odbyły się w tajemnicy i nikt niepowołany nie został dopuszczony do uczestnictwa. Pan Czarnoząb nie zmienił sposobu ubierania, nie zaczął nosić biskupiego pierścienia – do dnia wyprawienia się na Równiny, co nastąpiło na krótko przed wyjazdem papieża do Nowego Rzymu. Nie ulegało wątpliwości, że Filipeo Harq i Urion Benefez mieli dowiedzieć się o nowej randze i urzędzie Kucisawego dopiero po ostatecznym zaakceptowaniu go

przez nomadów z Trzech Hord jako duchowego przywódcy chrześcijan z Równin i z Prowincji.

– Bez wątpienia dowiedzą się o tym, Nimmy – powiedział kardynał. – Lecz tylko papież może zawiadomić ich oficjalnie. Kiedy uzna to za stosowne. Mam dla ciebie nowe zadanie. Jak się przekonasz, twój poprzednik przejął chwilowo obowiązki, które pełniłeś. Zamierzam odwiedzić najpierw Chiira Hpngana, a potem Hultora Brama.

Przekażesz pisemną wiadomość ode mnie staroście Nowej Jerozolimy, Dionowi. Będzie to, oczywiście między innymi, twój list polecający. Powiedz im, że Sekretariat będzie prowadził przez jakiś czas Sorely kardynał Nauwhat. I że nad Uladem nie ma żadnej kontroli, trzeba więc zastąpić go kimś innym. Jeśli będą dopytywać się, dlaczego nie chciałem mieć do czynienia z Tidreą, będziesz musiał chyba odpowiedzieć, że zanadto zbliżyła się do duchownych.

– Wstyd mi, panie.

– A gdzież skrucha? Nieważne. Postaraj się ich zmiękczyć. Poznaj, na ile będzie ci to potrzebne, Nową Jerozolimę. Niech Wooshin wyjaśni ci po drodze dalszy bieg wydarzeń. To wszystko jest na razie okryte tajemnicą, aczkolwiek z każdym dniem trudniejszą do utrzymania. Możesz, jeśli zechcesz, pracować nadal w Sekretariacie, dla kardynała Nauwhata. Wystarczy się do niego zgłosić. Jeśli uzna, że jesteś mu niepotrzebny, wyjawi ci, gdzie mnie znajdziesz. Chyba, że zechcesz wrócić do swojej przyjaciółki z Łukowej Kotliny i zamieszkać w kolonii. Możesz też poprosić, żeby przyjęli cię z powrotem do opactwa, albo zostać pustelnikiem. Nie chcę cię widzieć, jeżeli nie zdecydujesz się skończyć z tym związkiem.

– Spodziewałem się, że zostanę zwolniony, panie. Okazałem ci nieposłuszeństwo.

– Przekonamy się, jak to właściwie z tobą jest.

– I będzie mi towarzyszył Topór?

– Wraz z szóstką ludzi kardynała Ri i kimś z tamtego skrzydła: z Elkinem. Zdaje się, że go znasz.

– Nie wiedziałem, że jest z tamtego skrzydła. Myślałem, że pełni po prostu obowiązki odźwiernego.

- Służba bezpieczeństwa i także wojownik niewiele ustępujący Wooshinowi. Spędził jakiś czas w Opactwie Leibowitza. Będziesz miał mnóstwo cennego ładunku na dwunastu mułach, ale to odpowiedzialność Ulada i Elkina. Kiedy nie będzie żadnego zagrożenia, ty, Ulad i Topór będziecie mogli wyprzedzić całą karawanę i skrócić sobie podróż. Przebierz się odpowiednio na drogę, a habit spakuj. Możesz założyć go z powrotem po przybyciu na miejsce. Nimmy, powierzam ci kolejne tajemnice.

- Będę ostrożny. A co z tobą, panie?

- Udam się na zjazd szamanów ze wszystkich hord. a także ludzi Weejus i Ducha Niedźwiedzia. Mam nadzieję, że dzięki wsparciu Świętego Szału i księdza e' Laidena zostanę tam dopuszczony jako obserwator i szaman chrześcijański. Chodzi o to, bym mógł wyjaśnić, jaka jest moja rola na tym terenie.

- Hultor Bram spróbuje stanąć ci na drodze.

- Oczywiście, ale ludzie z Pasikoników będą chcieli wysłuchać, co mam do powiedzenia, gdyż cała ta zmiana w największym stopniu dotyczy właśnie ich. Bramowi nie udaje się skupić wokół siebie większości. Jego pramatka dokonałaby tego, lecz nie zechce. Zależnie od dalszego rozwoju wydarzeń pojedę za papieżem do Nowego Rzymu albo nawet do Teksarku. Żegnaj, Nimmy. Pobłogosławiłbym cię, ale wiesz, że nie mam powołania i jestem, kim jestem, człowiekiem udającym duchownego.

- Panie mój. wiem z historii, że były za dawnego Kościoła czasy, kiedy powołanie do kapłaństwa pochodziło od biskupa, niekoniecznie zaś od Boga. I słyszałem, jak sam biskup Rzymu wezwał cię, byś stał się tym, kim stałeś się przez święcenia i sakrę.

Kardynał uśmiechnął się.

- Dziękuję ci, Nimmy. Bądź zatem błogosławiony; do jutra.

Czamożab pochylił się, żeby pocałować pierścień, ale kardynał cofnął rękę, uścisnął mu tylko dłoń i powiedział:

- Pożegnamy się jeszcze raz jutro.

Oddalił się.

Nimmy był bliski łez. Modląc się, ruszył w stronę najbliższego kościoła. Kucisawy był dla niego jak dobrotliwy nomadzki ojciec, który nigdy się nie upija, natomiast opat Jarad jak najsroższy nomadzki wuj, który bezustannie ocenia i doszukuje się winy.

Tęsknił jednak za tym drugim i wiedział, że będzie tęsknił za pierwszym. Wiedział też, że miłość do ludzi oznacza miłość do Boga, ale że przywiązanie do kogoś, kogo się kocha, nie jest rzeczą właściwą w przypadku biednego mnicha; to dowód upodobania do spraw tego świata albo bałamucenie samego siebie.

Do rana otrząsnął się na tyle z trwożliwego rozmyślania o upodobania do spraw doczesnych, że mógł pomyśleć o swym byłym współlokatorze i ufnie nakłonić umiłowanego (i być może przekłętego) kardynała do rozmowy z Aberlottem, który jako przyjaciel zmarłego Jesisa mógłby dobrze się przysłużyć, obejmując rolę emisariusza Sekretariatu do rodziny nieżyjącego studenta. Dzięki temu można by przekonać rządzącą radę, iż nikt nie wydał Jajsisa, ujawniając, że jest mamidłem. a policja dowiedziała się o tym dopiero po jego śmierci. W stosunkach między kolonią i Sekretariatem, którym przez jakiś czas będzie zarządzał Sorely kardynał Nauwhat, wytworzyła się, po obu stronach, atmosfera podejrzliwości, i Kucisawy przyznał, że warto zdobyć się na jakiś pojednawczy gest.

– Oznaczałoby to jednak, że jeszcze jeden człowiek dowie się o broni, Nimmy. Lepiej więc zrezygnować.

Kardynał po raz pierwszy wspomniął przy nim o dostawach broni. A nie uczyniłby tego, gdyby nie miał świadomości, że mniszek dowiedział się wszystkiego wskutek zakazanych kontaktów z Edreą.

– Naprawdę myślisz, panie mój, że tajemnica jest niedostępna dla Teksarku?

– Nie, możemy tylko starać się, by wiedzieli jak najmniej. Wiedzą o kolonii genoków. Wiedzą, że jest dobrze uzbrojona i że ja im pomagam. Mam nadzieję, że to wszystko. Modlę się tylko, by tajemnica, jak to nazywasz, nie została na razie ujawniona papieżowi.

Ta uwaga zaskoczyła mnicha. Chodziło o to, że trudno było cokolwiek ukryć przed Amenem Specklebirdem, ale zaskoczenie było bardziej spowodowane tym, że wyczuł w słowach kardynała jakiś swąd zdrady. Stłumił jednak potulnie swoje uczucia. Po dłuższej dyskusji Kucisawy zgodził się przyjąć studenta i Czamożab

wyruszył na jego poszukiwania, zanim ten podejmie kolejną wyprawę.

– Podobno w górach panuje w lecie cudowny chłód. Puszczasz wodze koniowi. Spotkasz się z rodziną Jassisa. Zdobędziesz całkowicie nową umiejętność.

– Jaką to?

– Umiesz trzymać język za zębami?

– Co mi z tego przyjdzie?

– Będziesz dłużej żył jako tajny agent.

Aberlott poszedł z nim do Sekretariatu. Kucisawy wychodził właśnie głównymi drzwiami. Powitał swojego asystenta i jego młodego przyjaciela.

– Jesteś studentem, jak mi powiedziano – zwrócił się do Aberlotta. – Co myślisz o naszym mieście i tutejszych młodych damach?

Aberlott odpowiedział skwapliwie i mnich poczuł, że jego twarz oblewa się rumieńcem.

– Kiedy w zeszłym miesiącu przechodziłem z Czamożębem obok posterunku policji – oznajmił student – zobaczyliśmy ciało wiszące tak, że stopy znajdowały się na wysokości twarzy przechodniów. Na stopach trupa zawieszono tabliczkę. Czamożąb przeczytał napis: „Za coitus interruptus”. Boję się tutejszych młodych dam.

Kucisawy spojrzał na niego, udając przerażenie.

– Myślisz, że walańska policja jest na usługach papieżstwa?

– Teologia nie jest moją najmocniejszą stroną, Wasza Eminencjo.

– A może papieżstwo jest częścią policji?

– Zapewniam, panie mój, że nie miałem niczego takiego na myśli. – Twarz Aberlotta poblądła jak chusta.

– Miałeś, miałeś. I masz nadal. W Teksarku urząd naczelnika to urząd policyjny. W miastach jest jednak pod tym względem zupełnie inaczej.

Aberlott igrał z niebezpieczeństwem i teraz przeraził się nie na żarty. Kucisawy przyparł go do muru i nalegał na wyjaśnienia. W końcu ten skory do żartów student rozmawia z księciem Kościoła.

– Właściwie to na tabliczce napisali, zdaje się: „Powieszona za zuchwałość okazaną prałatowi”. Wybacz mi, proszę, panie.

– Nie uzyskałem wybaczenia od ciebie. Wybacz sam sobie. – Kucisawy uśmiechnął się do niego pocieszająco, a potem obrócił się do Czamożęba i potrząsnął głową. – Naprawdę myślisz, że temu człowiekowi można zaufać?

– Oczywiście, Eminencjo.

– Wszystko, co będzie ci potrzebne do podróży, znajdziesz w stajni. Weź z biura papiery dla siebie. Przed dotarciem do kolonii ubieraj się po cywilnemu. Kiedy już wyznaczą kogoś zamiast U lada i rada będzie usatysfakcjonowana, twoje związki z Sekretariatem ulegną zerwaniu, chyba że kardynał Nauwhat zechce skorzystać z twoich usług. Udaję się na Wschód, żeby spotkać się z Chiirem Hpnganem, Hultorem Bramem i szarfem Pasikoników, którego jeszcze nie znam. Nie sposób powiedzieć, jak długo mnie nie będzie.

– Co zatem, panie mój? Jesteś wolny, póki nie zostaniesz wezwany przeze mnie albo przez kardynała Nauwhata. Albo przez swojego opata. Żegnaj, Nimmy. Niech Bóg ma cię w swej opiece.

Czarnoząb długo później rozmyślał nad tym wszystkim. Spodziewał się, że zostanie wyrzucony. Najbardziej zdumiało mnicha nie to, że chleבודawca tak tolerancyjnie potraktował zuchwalstwą, ani nawet nie to, że tak bezceremonialnie zgodził się na Aberlotta, lecz że Aberlott w obecności tego właśnie kardynała pozwolił sobie na takie zuchwalstwo. Student zwykle wyczuwał, na co może sobie pozwolić. Wyczuł otaczającą Kucisawego aurę życzliwości dla ludzi, wyczuł osobowość kryjącą się pod czerwonym strojem. Czarnoząb był już świadkiem czegoś takiego i wiedział, że ta ocena może okazać się mylna. Kucisawy, zadając cios, nie trwonił sił na nienawiść. Jeśli okazywał czasem wrogość, to dlatego, że zależało mu na tym. Miało się wrażenie, że widzi wydarzenia chwilę przed tym, jak do nich dochodzi, i oczekuje ich pomyślnego przebiegu. Ponieważ zaś oczekiwał tego co najlepsze, wiele osób niechętnie wzdragało się przed sprawieniem mu zawodu.

Inni, którzy sprawili mu przykrość, zwykle żalowali tego, i to bez szczególnego wysiłku z jego strony. Poruszał się swobodnie wśród ludzkiej trzódki, ale bardziej przypominał przyjaznego, choć zamaskowanego owczarka niż jedną z owieczek – nawet wśród kardynałów, z których większość, nim otrzymał biskupią sakrę, górowała nad nim rangą. Zadbał o to, by ukazywać oblicze

człowieka niegroźnego, dostępnego dla tych z góry i tych z dołu, dla mówiących otwarcie i bez ogródek.

– Jakimż byłby papieżem! – skomentował to zwięźle Aberlott.

Spojrzał na Nimmego, oczekując potwierdzenia, ale mnich odpowiedział wymownym milczeniem.

Rozdział 14

„Podobnie wysłani w podróż: niech ustalone godziny modlitwy nie mijają im nie zauważone, lecz niechaj sami je odprawiają w miarę swych możliwości i nie zaniedbują obowiązków swojej służby”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział L

Zachodnia droga z Valany do Nowej Jerozolimy była gorzej wytyczona i trudniejsza do przebycia dla pojazdów niż papieska droga na Wschód, którą Czarnoząb i Wooshin pokonali już w orszaku kardynała wczesną wiosną. Oprócz jucznych mułów były tylko cztery wozy, ale ich koła trzeba było co i raz podwazyć dźwignią, żeby pomóc zwierzętom – zwłaszcza teraz, po

przedjesiennych dżdżach. Całoroczne opady były skąpe, lecz podróżowali w porze deszczów i przez niższe miejsca na pustyni często płynęła rwąca rzeka. Droga wschodnia byłaby znacznie łatwiejsza i szybsza, tyle że podróżni mieli swój powód, by unikać innych wędrowców. Tym powodem było bezpieczeństwo. Kiedy przepawali się przez strumień, jedna z okrytych brezentem pak spadła z wozu i otworzyła się. Czarnoząb patrzył, jak Wooshin i gwardziści Ri rzucali się na wszystkie strony, by wyłowić z płytkiej wody strzelby, rozglądając się jednocześnie ukradkiem dokoła, jakby wypatrując szpiega ukrytego w krzakach jałowca. Później, chcąc nie chcąc, dowiedział się o rewolwerach i amunicji załadowanych na muły. Zagadał do Elkina, a ten wyjaśnił, że ten

ładunek jest stosunkowo mały. Czarnoząb miał wrażenie, że odźwierny-strażnik jest odpowiedzialny za całą ekspedycję; Elkin wyjaśnił też, że pracował w zamkniętym skrzydle Sekretariatu. W wyprawie uczestniczyło kilku poganiaczy mułów, a także Wooshin, Aberlott, Uład i sześciu wojowników z orszaku zmarłego kardynała Ri.

Ludzie od Ri znali dobrze sztukę walki bezorężnej. Wieczorami prowadzili pozorowane pojedynki między sobą i z Wooshinem, na którego naciskali, by stanął naprzeciwko najbiegłego z nich, młodszego o trzydzieści lat wojownika. W rozmowach między sobą posługiwali się swoim językiem, a Wooshin zaśmiewał się na całe gardło.

– Hej, Toporze, zechciej im przypomnieć – krzyknął Czarnoząb – że mają się ćwiczyć w skalnogórskim albo kościelnym!

Topór warknął na nich i dalej prowadzili już rozmowę w koślawym i przerywanym kościelnym. Nimmy uświadomił sobie nagle, że rozmawiają o nim, ponieważ był żywym świadectwem wypełniania obowiązującej tutaj reguły: mnisi nie walczą, gdyż albo nie mogą, albo nie chcą. Sami zaś byli chrześcijanami i złożyli śluby, choć jeden z nich zostawił w domu żonę. Kiedy Wooshin wyjaśnił to Czamożebowi, ten nie posiadał się ze zdumienia.

Na początku podróży gwardziści Ri byli dla niego całkowitą zagadką. Wooshin pasował do nich jak ulał. Rozumieli się wystarczająco dobrze – pod warunkiem, że słowy m towarzyszyła gwałtowna gestykulacja. Trzeciego dnia Czarnoząb ośmielił się raz jeszcze przypomnieć Wooshinowi, że powierzono mu zadanie nauczania „Żółtej Gwardii”, jak zaczęto ich nazywać w Valanie, języka kościelnego. Wooshin spojrzał wrogo na śmiałka, ale po chwili wyjaśnił z pewnym zakłopotaniem, że ludzie kardynała Ri próbują nawrócić go na chrześcijaństwo.

Mnich spojrzał na niego z niedowierzaniem, które rozśmieszyło Topora.

– Nie sędzę, byś był zachwycony, słysząc to w kościelnym. Czyżbyś zapomniał, że to ludzie kardynała Ri?

– Przyjąłem do wiadomości, że są chrześcijanami, i słyszałem, jak śpiewają, ale...

- Ale nie spodziewasz się po żołnierzach zbyt wielkiej pobożności?

Nimmy pomyślał przez chwilę. Przez jego umysł przemknął mrozący krew w żyłach obraz wojowników, którzy zgwałcili go w dzieciństwie.

- Chyba jestem uprzedzony, Toporze. Żołnierze, których poznałem, bywali pobożni, ale żaden nie miał bogatego życia duchowego. Poza tobą.

- Poza mną? Więc ja mam bogate życie duchowe, Nimmy?

- Możesz się ze mnie śmiać, ale tak pomyślałem. W gruncie rzeczy wiem o tobie tylko to, co sam mi wyjawiałeś. Czyż nie tak, Toporze?

- Tam, skąd przybyli ci ludzie, wszyscy chrześcijanie, nawet mnisi, żyją tradycją walk bezoreźnych.

- Ale teraz mają broń! Powiadasz, że są mnichami?

- Tak, myślę, że można nazwać ich mnichami. Jeśli zaś chodzi o broń, Ri udzielił im dyspensy, a nasz pan ją potwierdził. Należą do zakonu azjatyckiego, którego tutaj się nie uznaje. Kiedy albo kardynał Kucisawy, albo papież domyśli się, że złożyli zakonne śluby, utracą wolność, dopóki Kościół nie postanowi, co z nimi zrobić. Nie spieszo im do domu, ale ich śluby są podobne do twoich. Chcą być wolni i założyć wspólnotę, boją się jednak prosić o pozwolenie. Dlatego chcą i muszą nauczyć się jak najszybciej kościelnego. Nie musisz nas karcić. Podsunąłem kardynałowi myśl, żeby posłał ich na jakiś czas do Opactwa Leibowitza. Mogliby przywdziać habity i nauczyć się waszej liturgii. Myślisz, że będą tam mile widziani?

- Nie mogę mówić za opata Jarada kardynała Kendemina. - Przez chwilę zmagał się z uczuciem rozgoryczenia, a potem podjął: - Czytałeś, Toporze, regułę świętego Benedykta. Bracia od świętego Leibowitza nadal przestrzegają większości jej przepisów, a to oznacza, że muszą udzielić gościny każdemu, kto się między nimi pojawi, jakby to był Chrystus przychodzący z pustyni. Nie sugeruję bynajmniej, że ludzie Ri powinni wykorzystać przepis reguły.

- Nie, oczywiście nie chciałbyś, żeby opat wiedział, że zasugerowałeś to, sugerując coś wręcz przeciwnego - odparł cierpko

Wooshin. – Masz jednak rację, że muszą nauczyć się kościelnego. Zadbam, żeby bardziej przykładali się do ćwiczeń. A jeśli udadzą się do Opactwa Leibowitza, będzie to zgodne z sugestią kardynała, a nie twoją.

– Dobrze, dobrze. Od tej chwili o wszystkim zapomnam, aczkolwiek chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej o ich zakonie.

– Wiedzą, że nauczyłem cię trochę sztuki walki, i dopytują się, czy inni mnisi z twojego zakonu mają pozwolenie na naukę bezoreźnej walki, czy też jest to sprzeczne z regułą?

– Nie ma żadnej reguły, póki chodzi o sport i ćwiczenia. Grywaliśmy za murami w piłkę, zwłaszcza ci z nas, którzy nie trudzili się fizycznie. – Roześmiał się. – Jeśli jednak wyobrażasz sobie, że dostojny opat pozwoli na ćwiczenie choćby i bezoreźnych zapaśników...

– Wiem. Szkoda. Ich zakon ma interesującą tradycję. Jeśli mają tu zostać, chcieliby założyć wspólnotę albo dołączyć do jakiejś istniejącej.

Jakiś czas później zwierzył się Czamożebowi:

– Wiesz, Nimmy, moja rodzina na wybrzeżu to uciekinierzy od tych azjatyckich chrześcijan. Sprzed kilku pokoleń. Kardynał Ri był w swoim kraju kimś w rodzaju Benefeza, tyle że na większą skalę. Tamtejsi chrześcijanie dokonali podbojów. Mój lud poniósł klęskę i uciekł na drugą stronę oceanu.

Nimmy przyjrzał się byłemu katowi, jakby widział go po raz pierwszy.

– Mój lud też. Powinniśmy być duchowymi braćmi.

Zerknął na Topora i od razu zrozumiał, że posunął się za daleko. Wooshin zrobił zwrot na koniu i podjechał z powrotem do gwardzistów i wozu. Nimmy raz jeszcze uświadomił sobie, że odkąd okazał nieposłuszeństwo kardynałowi, Topór nie w pełni mu ufa.

Wooshin znowu się od niego odsunął, ale mnich wiedział, że ta obcość tkwi i w nim samym. Informacja – przekazana mu, być może z ironicznym nastawieniem, przez Wooshina – że Żółta Gwardia próbuje nawrócić go na chrześcijaństwo, zbiła go z tropu. Dlaczego on sam i jego konfratry nie wiedzieli nic o wierze Wooshina? Jeśli jakąś wyznawał. Topór chodził zwykle na mszę, ale nigdy nie przyjmował komunii. Jego oddanie i wierność miały jakiś wymiar

duchowy, podobnie jak jego stosunek do śmierci. „Byłby z niego dobry mnich” – pomyślał Nimmy. Ale Albertyński Zakon Świętego Leibowitza nigdy nie zajmował się nawracaniem pogan. I nie bez powodu. Byłoby to sprzeczne z regułą. Mnisi mieli prawo odpowiadać na zadawane przez gości klasztoru pytania, które dotyczyły wiary, ale Topór nigdy o nic nie pytał. Teraz ci dziwni ludzie chcą, by dołączył do ich zakonnego bractwa. ZaRon Świętego Leibowitza nie wykorzystał szansy, a mógłby mieć nie tylko elektryczne krzesło, ale również mnicha, który byłby wojownikiem i katem.

Nowi przyjaciele Wooshina, żołnierze z Żółtej Gwardii, dowiedzieli się, że wiele lat przeżył jako kat na usługach Hanneganów, Flipeo Harqa i jego poprzednika. Nimmy słuchał ich rozmów. Niewiele rozumiał z tego języka, chyba że mówili akurat po kościelnemu, lecz pojął, że ci obcy byli pełni współczucia i jednocześnie rozbawieni, a kiedy Topór odchodził od rozmawiających, wyczuł, że uczynił to z irytacją, ale i z ulgą. Nimmy miał wrażenie, że Wooshin padł ofiarą prawie chrześcijańskiego poczucia winy w związku ze swym dawnym rzemiosłem, a wojownicy starają się go z tego wyleczyć, nawracając. Oczywiście Topór tęsknił za kardynałem tak samo jak Czamożab. Mnich zastanawiał się, kto po zamachu na życie Kucisawego dba teraz o jego bezpieczeństwo. Ludzie Ri zostali przekazani przez nowego wikariusza apostolskiego do tajnego skrzydła Sekretariatu, gdy tylko nauczyli się porozumiewać od biedy w skalnogórskim, ale teraz znaleźli się oto daleko od swojego pana i czuli się zagubieni tak samo jak Nimmy.

Mnich robił co w jego mocy, żeby skupić się znowu na swojej wierze, przynajmniej na czas podróży, ale udawało mu się to w coraz mniejszej mierze, i to niepowodzenie tak go zirytowało, że przez całe trzy dni nawet nie próbował się modlić, medytować albo czytać godzin kanonicznych. Jego umysł, wyczerpany niekiedy wskutek upału, nadal starał się dosięgnąć Jarada, Kucisawego, Edreę, Święty Szał, a nawet papieża i ćwiczyć wyimagiwane dialogi z tymi ludźmi, nadawać im sens. Odnosiło się to zwłaszcza do Edrei. Wszystko wzięło się z pobłażliwości dla samego siebie, ze skupienia się na sobie, z próżności i potrzeby afirmacji swego istnienia. Ponieważ nie potrafił ukoić swego umysłu przez rozmyślanie,

zwrócił się na zewnątrz, szukając jakiegoś zajęcia albo podejmując rozmowę z każdym, kto się nawinął, nawet z Aberlottem.

Grupa podróżnych przyjęła prawie wojskową strukturę. Dowodził Elkin, Wooshin i Uład byli jego porucznikami. Na drodze, którą mieli się posuwać, nie było zagrożenia ani ze strony teksarkańskich agentów, ani bezmacich nomadów, chociaż snujące się to tu, to tam grupy wszelkiej maści wykrotników wędrowały czasem przez jałową krainę i nigdy nie można było wykluczyć możliwości zbrojnego starcia. Panowały tu surowsze warunki niż te, z którymi Czarnoząb zetknął się podczas podróży do Valany. Żadnego wyraźnego szlaku – tylko kolejne górskie przełęcze. Poza bronią załadowaną na juczne zwierzęta i wozy członkowie wyprawy byli uzbrojeni jak zwykle bywa w takich sytuacjach, ale nie spotkali nikogo, jeśli nie liczyć zasuszonego starca, który pokazał się pewnego wieczoru już po zachodzie słońca. Wśród osób odpowiedzialnych za tajemnicę i bezpieczeństwo rozgorzał w związku z tym spór, ale ten człek robił wrażenie pół martwego, a poza tym i tak zdążał w kierunku Nowej Jerozolimy. Uład twierdził, że już go gdzieś widział.

– Był w Nowej Jerozolimie – oświadczył. – Rajca Dion wynajął go kiedyś, więc ten człowiek wie o nas.

– Wynajął? Po co?

– Potrafi sprowadzić deszcz. Za srebro.

– I przydał się?

– Trochę popadało. Skąpo. Dion pozbył się go niewielkim kosztem.

– Zna więc miasto, czy wie jednak, co przewozimy? – niepokoił się Elkin. – Ponieważ nas widział, musimy zabrać go ze sobą. Jeśli nie będzie sprawiał kłopotów, potraktujemy go jak gościa. Jeśli spróbuje się wymknąć, będzie więźniem, póki nie dotrzemy do celu.

Starzec nie chciał jednak z początku do nich dołączyć i pewnie zostałby przywiązany do jednego z wozów, gdyby nie zmienił zdania, kiedy dowiedział się, że Czarnoząb jest zakonnikiem ze Świętego Leibowitza. Ta informacja wielce go rozbawiła. Droczył się z mnichem, żartując na temat świeckich szat i różańca, którym Nimmy nadal się opasywał. Czarnoząb unikał rozmowy ze starcem, który robił wrażenie, jakby wiedział więcej o Opactwie Leibowitza,

niż można by się było spodziewać. Obcy raz i drugi spróbował nawiązać rozmowę, ponieważ jednak mnich nie okazywał do niej chęci, wzruszył tylko ramionami, być może przypisując tę powściągliwość regule milczenia. Nadal jednak od czasu do czasu zagadywał, jakby nie chcąc wyjść z wprawy.

Nazywał siebie pielgrzymem, ale nie był chrześcijaninem. Miał na sobie grubo utknaną z konopi, podartą suknię, a swój dobytek nosił w tobołku zawieszonym na kij. Głowę chronił przed słońcem osobliwie haftowaną, ciasno przylegającą do głowy czapeczką, którą nazywał jarmułką. Choć z początku przyjął postawę obronną i nieufną, wyglądał na człowieka całkowicie nieszkodliwego, a już następnego dnia po spotkaniu stał się bardzo rozmowny. Nimmie nie mógł uwierzyć, by wrogowie Kucisawego przystali im tak zgrzybiałego szpiega. Chyba nawet Elkin podzielał ten pogląd, gdyż nie tylko pozwolił starcowi wsiąść na wolnego muła, ale kiedy ten zaczął uskarżać się na uwierające go siodło, wskazał mu, niezbyt co prawda wygodne, miejsce na pace z bronią w jednym z wozów.

Starzec wyjaśnił, że jest Żydem i zajmuje się między innymi szyciem namiotów. Należał najwyraźniej do tych tułaczy, którzy na obszarach cierpiących na niedostatek opadów sprzedają swoje usługi, sprowadzając deszcz. Ten stary Żyd posiadał wiele pożytecznych umiejętności, miał więc niejedno źródło dochodów. Za piętnaście pios gotów był wyrwać ząb, za osiem zeszkrobywał nalot z reszty zębów i nacierał je jak należy talkiem. Opłatę za leczenie kanałowe trzeba było ustalać w drodze negocjacji. Wynajmował się jako sprowadzający deszcz i jeśli w ciągu tygodnia nie sprowadził go, nie dostawał nic poza dachem nad głową i tygodniowym utrzymaniem. Jeśli zaś udało mu się, przyjmował to, na co klient mógł sobie jego zdaniem pozwolić. Natomiast porad we wszelkich możliwych dziedzinach udzielał gratis każdemu, kto chciał go słuchać, a czasem i takiemu, który nie chciał.

Czarnoząb starał się przeżyć podróż w skupieniu i milczeniu, jeśli tylko pozwalała na to wystawiana na ciężkie próby uprzejmość. Stary Żyd nie zostawiał go jednak w spokoju i zadawał mu najrozmaitsze pytania na temat opata Hieronima, który, o ile Nimmie potrafił sobie przypomnieć, zmarł w bardzo już podeszłym wieku

siedemdziesiąt lat temu. Starzec twierdził, że był przyjacielem Hieronima, Beniaminem.

– Musiałbyś mieć blisko sto lat – odparł z niedowierzaniem Nimmy. – Może nawet więcej.

– Hmm, hnnn! Musiałbym, nieprawdaż?

W Dolinie Wybryków Natury krążyły plotki o nadzwyczaj długowiecznych osobach, ale nie było widać, żeby stary pielgrzym był genokiem. Przyjęto go jednak do tajemnego państwa leżącego na obszarach w górach Ssamiećto, które potem opuścił i do którego nie zamierzał wracać. Rajca Dion zapoznał się pewnie z jego przeszłością. Gdyby jednak był mamidłem, Uład by o tym wiedział. Ale olbrzym nie miał, zdaje się, najlepszej opinii o starym Żydzie, w każdym razie jako o sprowadzającym deszcz. Fakt, że góry Ssamiećto stanowiły ich schronienie, był dobrze znany Kościołowi, lecz naturę samego jądra kolonii jako narodu mamideł zaciemniało to, że genocy w rodzaju Sharda i jego rodziny zamieszkiwali okoliczne wzgórza i nie uzyskiwali pełnego obywatelstwa, aczkolwiek dobrze uzbrojona centralna kolonia zapewniała im ochronę przed wykrotnikami, luźnymi grupami nomadów i agentami Teksarku. Wędrowcy trzymali się zwykle z dala od tych obszarów, podobnie jak unikali Doliny Wybryków Natury, a tych, którzy próbowali tam się dostać, zabijano lub przepędzano.

– Co sprowadza mnicha od Świętego Leibowitza do Nowej Wieży Babel? – spytał starzec. – Osobliwego mnicha, który popadł w niełaskę.

– Kto ci o tym powiedział?

Nimmy spojrział na niego ostro, zaskoczony, że plotka dotarła już do tego całkowicie przecież obcego człowieka. Kto z uczestników wyprawy wie o jego sytuacji. Prawdę mówiąc, wszyscy. Wooshin, Elkin, Aberlott – wszyscy. Był jednak zażenowany tym, że jego osobiste sprawy nie są dla nikogo tajemnicą.

– Jestem tylko posłańcem kardynała do wspólnoty. Dlaczego nazywasz to miejsce Nową Wieżą Babel?

– Dlaczego ty nazywasz je Nową Jerozolimą?

– Mają prawo tak je nazywać. I nazwali. Skąd więc wyruszyłeś do Nowej Wieży Babel?

– Z Valany, tak samo jak ty.

– A co robiłeś w Valanie, modliłeś się o deszcz?

– Udałem się tam na spotkanie z moim starym przyjacielem, Amenem Specklebirdem, ale nie dopuszczono mnie do niego. A zresztą... nie jest Nim.

– To znaczy kim?

Stary Żyd wzruszył ramionami.

– Kto wie? – powiedział tylko.

Ulad Olbrzym, którego Czamożab uznał z początku za niebezpiecznego brutala i wariata, w trakcie podróży w góry Ssamieyto zmienił się w nieposłuszne dziecko. Zła strona jego charakteru wzięła się zapewne z wrodzonej podejrzliwości wobec każdej ludzkiej istoty, która nie była genokiem, ale chociaż poznali się lepiej podczas długiej podróży na południe, cień nieufności pozostał.

Pewnego razu Nimmy stracił w drodze panowanie nad sobą, nie chodziło jednak o starego pielgrzyma, lecz, dzięki Bogu, o Aberlotta. Ale potem zdarzyło się to znowu, i to z powodu opata

Jarada kardynała Kendemina in absentia. Istny sen na jawie! Było coś pięknego w tym widoku: chwycił Jarada za gardło i wciskał mu kciuki w grydkę, zawsze przerywając duszenie, zanim stary przyk stracił przytomność. Zło może być przyjemne, po prostu przyjemne. To wiedział. Trudno wyznać spowiednikowi, jak wspaniale się człowiek czuje grzesząc, gdyż ksiądz wpada wówczas w gniew, jakby penitent zmuszał go do czerpania rozkoszy z takiego plugawego łajdactwa. Czuł, że ostatnio jego umysł traci kontakt z rzeczywistością, a i Wooshin przyłapywał go czasem podczas jazdy na szeptaniu pod nosem przekleństw. Prawie spadł z siodła, kiedy Topór grzmotnął go w plecy, żeby przywrócić mu poczucie rzeczywistości. Tyle rzeczy wydarzyło się w ciągu zaledwie kilku miesięcy, że wszystkie wydawały się mu nierzeczywiste i czasem miał uczucie, iż popada w obłąd. Śnił na jawie, kiedy powinien się modlić, a potem kłął w myślach samego siebie.

– Zajmij się czymś, bracie – doradził mu Topór.

Nie było to trudne. Codzienne rozbijanie i zwijanie obozu wymagało czasu i wysiłku. Teoretycznie dzień podróży składał się z jedenastu godzin jazdy przez bezlitosne latem tereny i trzynastu godzin pakowania, rozpakowywania, doglądania zwierząt, polowa-

nia, gotowania, jedzenia, czyszczenia, naprawiania, szycia i wreszcie snu. Jedenaście godzin jazdy, jeśli mieli szczęście. Przeważnie jechali tylko dziesięć.

Siódmego dnia Ulad, Wooshin i Elkin naradzili się i doszli do wniosku, że karawana z cennym ładunkiem będzie tak samo bezpieczna, jeśli zabraknie w niej Czamożęba, Aberlotta,

Ulada i Elkina, którzy mogą wyprawić się przodem i skrócić sobie o połowę drogę do Nowej Jerozolimy. Wooshin i wojownicy Ri mieli pozostać z poganiaczami mułów, żeby rozprawić się w razie potrzeby z wykrotnikami czy pustynnymi włóczęgami. Jedynym problemem było bezpieczeństwo tych, którzy mieli jechać przodem, ale Ulad i Elkin byli żołnierzami, a Czarnożab też umiał, dzięki Wooshinowi, walczyć.

Staremu Żydowi pozwolono jechać wraz ze strażą przednią, podobnie zresztą jak Aberlottowi, obaj bowiem byłiby całkowicie nieprzydatni, gdyby przyszło bronić przewożonego arsenału przed wrogiem albo wyrzutkami.

Aberlott dręczące ostatnio Czarnożęba napady złego humoru przypisywał szaleństwu.

– Myślę, że zwariowałeś – oznajmił mnichowi pierwszego ranka, kiedy wygrzebali się z pledów. – Przez całą noc gadałeś przez sen, choć za dnia milczysz jak zaklęty.

– O czym mówiłem?

– O dziewczynie z bardzo małą dziurką.

– O jakiej dziewczynie?

– Z bardzo małą dziurką. Nazywałeś to dziurą we wszechświecie. Nimmy, ty zwariowałeś!

– Co za dziurki? Może powiedziałem, że jesteś jak dziura w dupie? – Zobaczył jednak, że Aberlott nie żartuje, dodał więc: – To tylko sen. Ale może rzeczywiście trochę pomieszało mi się we łbie. Dwakroć nie stanąłem na wysokości zadania. Chyba potrzebny mi ktoś, kto powiedziałby mi, co mam robić. Nie wiem, jak radzić sobie bez wuja, opata albo kardynała.

– Albo papieża? Raz powiedziałeś coś przez sen o Amenie Specklebirdzie.

W końcu pięciosobowa straż przednia dotarła do zachodnich zboczy gór Ssamieto. Elkin był przekonany, że wyprzedzili o trzy dni

drogi karawanę z jucznymi mułami i wozami. Stoki były tu bardziej strome niż po wschodniej stronie górskiego pasma, tam, gdzie osiedlił się Shard. Ledwie zaczęli się na nie piąć, kiedy ulewa strzał i kamieni opadła kilka kroków przed nimi. Zatrzymali się. Na szczycie urwiska stali trzej genocy z łukami i jeden z muszkietem, przyglądając się im wrogo w blasku stojącego w zenicie słońca. Ulad rzucił w ich kierunku jakieś przekleństwa, a potem podał, kim jest i z jaką misją przybywają. Genocy cofnęli się.

– Aleja Strachów na Wróble – zadrwił stary Żyd. – Lepiej byłoby, żeby się stąd wynieśli i schronili u siebie w Dolinie.

– Być może. W Dolinie są ludzie, którzy wierzą, że Chrystus znowu przyjdzie, tym razem jako jeden z nich – odparł Ulad, kiedy jechali już kamienistym szlakiem pod górę.

– Masz na myśli to, że urodzi się jako jeden z nich? – spytał Czarnoząb.

– Właśnie.

– Nie tak ma to wyglądać – wtrącił się Aberlott. – Ma nadejść w obłoku.

– Zanim jednak zobaczymy Jego przyjście, musi na nowo się narodzić.

– Tego nie powiedziano.

– A czy powiedziano coś innego?

– Chyba nie.

Czarnoząb milczał. Stary Żyd roześmiał się, patrząc na nich z pogardą.

Kiedy znaleźli się na małej równi, Elkin spytał Ulada, ile godzin drogi czeka ich, zanim dotrą do serca wspólnoty.

– Co najmniej osiem – odparł olbrzym.

W tym miejscu droga w głąb gór biegła obok głębokiego parowu po stronie północnej i paru akrów płaskiego terenu u stóp mesy – po południowej. Ponieważ zbliżał się zmrok, Elkin postanowił rozbić tu obóz, choć Ulad sprzeciwiał się temu, twierdząc najpierw, że okolica jest nękana przez duchy, a potem, że żyją tu kuguary. Odbyło się głosowanie i olbrzym przegrał.

– W takim razie trzymajcie się z daleka od tych lasków – nalegał Ulad.

Spędzili spokojną noc, zmieniając się przy podsycaniu ogniska. Nie zjawily się ni kuguary, ni duchy. Ostatnia warta przypadła Czamożebowi, a kiedy dobiegała końca, niebo zaczęło już jaśnieć.

Przed obudzeniem reszty zszedł do lesistego parowu, żeby nabrać do wiadra wody. Po minięciu drzew znalazł się na istnym cmentarzysku. Nad strumykiem ciągnął się szeroki na dziesięć kroków pas piasku wymywany co roku podczas wiosennego przyboru. Z piasku sterczało mnóstwo małych, ludzkich kości, przyniesionych tu z jakiegoś miejsca w górze strumienia. Nowa Jerozolima dostarczała zatem światu swój kontyngent monstrów i zapewnienia, że odsyła się takie dzieci do Państwa Watchitah, są zwykłym kłamstwem. Nie wszystkie kości należały na noworodków. Jakaś w pół zagrzebana czaszka należała kiedyś do dziecka zapewne pięcioletniego. Martwe dzieci, nieszczęście odziedziczone po Wielkiej Cywilizacji! Na Równinach nie brakowało miejsc podobnych do tego. Nimmy nie był tym wstrząśnięty, ale postanowił nie nabierać tu wody. W menażkach pozostało jej jeszcze trochę. Z goleniem i myciem można poczekać.

W połowie stoku zobaczył kogoś zbiegającego bardzo szybko w jego stronę. Ulad wyhamował gwałtownie, strzelając w mnicha pyłem i kamykami.

– Co tu robisz? – spytał.

– Jak widać, nic. – Nimmy poklepał puste wiadro.

– Dwa lata ternu wybuchła epidemia – powiedział Ulad, chwytając go za ramię. – Wiele dzieci zmarło.

– Rozumiem – rzekł Nimmy neutralnym głosem.

Uwolnił ramię z uchwytu Ulada, który nie próbował go przytrzymać. A Nimmy zrozumiał, że wspólnoty rozsiane po całym kontynencie przeżywały co kilka lat takie epidemie. Często wszystkie ofiary umierały w ciągu jednego tygodnia i wszystkie były niewiarygodnie ułomne. Kiedy Nimmy wspomniął później o tym staremu Żydowi, pielgrzym nazwał tę epidemię „genocką Paschą”.

– To byłoby tyle, jeśli chodzi o Nową Jerozolimę i ich politykę odsyłania genoków do Doliny – skomentował całą sprawę Aberlott.

Czarnoząb wzruszył tylko ramionami. Wszystko, co wiedział o Nowej Jerozolimie, usłyszał od Edrei. Martwe dzieci w dole

przepływającej przez osadę rzeki to raczej reguła niż wyjątek. W tym tkwi sedno sprawy. Uznano, że Nowa Jerozolima jest wyjątkiem.

Wspinając się w głąb gór, poruszali się zygzakami po zboczach dolin i wierzchołków. Gdzieniedzie szlak był zawałony osuwającą się ziemią i głazami, tak że poganiacze mułów nieźle się napracują przy usuwaniu przeszkód. Nad nimi wznosiły się na stoku ogromne drzewa iglaste. Wkrótce zobaczyli znaki świadczące, że teren jest zamieszkały, ale ludzie, którzy wychodzili, by popatrzeć na wędrowców, byli z wyglądu normalni. Nieliczne rodziny genoków mieszkały na obrzeżach rozrzuconej kolonii, podobnie jak Shard i Tempus po wschodniej stronie tego samego górskiego pasma. Tutaj jednak widziało się prawdziwe farmy, aczkolwiek pełniący służbę strażniczą genocy zamieszkiwali obszary mniej żyzne. Szczyty górskie przyciągały deszcze i śnieżyce, a strumienie spływały bezustannie, kiedy tylko przyszła pora topnienia śniegów. Na przełęczach i w dolinach rosły nad potokami sady jabłoni, czereśni, gruszy i brzoskwiń. Lato miało się ku końcowi, owoce dojrzewały i kramarze sprzedawali swoje produkty prosto z zaprzężonych w osiołki wozów, zatrzymujących się w kilku ośrodkach wspólnoty. Całe sztuki wołów, owiec i dziczyzny zwieszały się ze słupów i wycinano z nich części dla kobiet, które wyszły na zakupy. Było późne popołudnie i z kopalń wracali mężczyźni o twarzach czarnych od pyłu węglowego i prochu.

Gmach zwany kapitołem był dwupiętrowym budynkiem z łączonego zaprawą kamienia. Na parterze była kuchnia i wspólnotowa jadalnia podzielona na duże pomieszczenia dla brudnych po pracy górników i mniejsze dla urzędników rządowych i gości. Na pierwszym piętrze znajdowało się, jak powiedziano Nimmy'emu, biuro starosty Diona i sala posiedzeń rady, gdzie niewielkie ciało ustawodawcze zbierało się raz w tygodniu, by zatwierdzić lub odrzucić decyzje administracyjne. W centrum miasta widziało się ledwie tuzin budynków, a domy mieszkalne i zabudowania gospodarcze – zwykle z bali, ale na kamiennym fundamencie – były rozrzucone w górach.

Czarnoząb widział całą tą krainę przez pryzmat tego, co usłyszał od Edrei, ale cmentarzysko dziecięcych kości rozbudziło w nim nieufność. Poczuł ulgę, kiedy Ulad, który pojechał przodem w stronę

centrum wspólnoty, dołączył do nich i oznajmił, że starosta Dion przebywa w innej części gór i wróci dopiero naza-jutrz po południu. Także spotkanie Aberlotta z rodziną Jsesisa zostało odłożone do jutra. Aberlott, Czarnoząb, Elkin i stary Żyd mieli spędzić noc w domu gościnnym, gdzie mieszkał już przybysz spoza kolonii, który wyszedł z szerokim uśmiechem, by ich przywitać. Czarnoząb najpierw otworzył szeroko usta ze zdumienia, a potem przyklęknął, żeby pocałować pierścień Chuntara kardynała Hadali, wikariusza apostolskiego w Państwie Watchitah.

– Jakże się miewa kardynał Kucisawy? – spytał biskup genoków.

– Doskonale, Eminencjo, w każdym razie, kiedy widziałem go po raz ostatni. O ile wiem, wyprawił się na Równiny, by spotkać się z Chiirem Hpnganem i innymi nomadzkimi przywódcami.

– Tak, znam jego plany. Mam wrażenia, że moja obecność tutaj jest dla ciebie nie lada niespodzianką.

– O tak, choć powinienem zdawać sobie sprawę, że masz, panie, specjalne stosunki z Nową Jerozolimą, która została założona przez kolonistów z twojej diecezji.

– Wikariatu – poprawił go Hadala. – Przyjechaliście w samą porę, żeby się rozpakować i umyć przed kolacją. Zobaczymy się w jadalni.

Poszli za Uladem do wyznaczonych im kwater. Obecność Hadali obudziła w Nimmym wstyd z powodu nieposłuszeństwa wobec swojego kardynalskiego przełożonego, ale położył na drugiej szali nowo nabytą wiedzę o sabotowaniu przez Kucisawego papieża, o nielojalności wobec papieża Amena i jeśli nawet nie o spisku, to z pewnością o forsowaniu własnego dawniejszego planu. Chodziło oczywiście o zapewnienie Kościołowi walańskiemu pewnej militarnej siły niezależnej od aliansów z nomadami. Czarnoząb uznał, że w tym wszystkim nie ma, być może, niczego złego poza faktem, że plan musi być ukrywany przed papieżem. Czy Amen Specklebird na pewno odniósłby się wrogo do posiadania przez Kościół broni? Nimmy domyślał się, że tak. Czyjego obowiązkiem jest wyjawienie tego, co wie? Próbował wymyślić jakiś sposób, żeby przekonać się, czy Chuntar kardynał Hadala został już wtajemniczony, ale doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli będzie się uważnie przyglądał

kardynałowi, kiedy Topór i Żółta Gwardia przybędą z transportem broni.

Tego wieczoru kardynał zaprosił jednak Ulada i Elkina, by zjedli kolację przy jego stole, po drugiej stronie izby w stosunku do miejsca, gdzie Czarnoząb, Aberlott i stary Żyd spożywali posiłek razem z kilkoma kancelistami z urzędu rajcy Diona. Przyglądanie się w tej sytuacji kardynałowi byłoby zwykłą stratą czasu. Zresztą sam fakt, że dostojnik wykorzystał kolację, żeby naradzić się z Uladem i tajnym agentem Sekretariatu, był wystarczająco wymowny. Nimmy doszedł więc do wniosku, że lepiej rozkoszować się smakiem dziczyzny, ziemniaków i świeżych owoców, a przy okazji spróbować lepiej zrozumieć kolonię, przysłuchując się przekomarzaniom Aberlotta z kancelistami. Nie dowiedział się zbyt wielu rzeczy, które byłyby dla niego nowością. Opowiadali, jak Nowa Jerozolima rozrastała się dzięki imigrantom z Doliny.

Watchit-Ol'zarkia, górzysty region położony na północ od Teksarku, który z pierwotnej Doliny Wybryków Natury przekształcił się w getto genoków, został otoczony przez strażę graniczne zarówno państwowe, jak i kościelne, lecz nocami granica była jak sito dla nie obciążonych bagażami zbiegów i ucieczki mamideł nie były niczym nadzwyczajnym. Niekiedy nie chodziło o ucieczki, ale wycieczki, i uciekinierzy po kilku dniach spędzonych za granicą wracali do swych domów – zwykle wzbogaceni. Ludzie porzucali swoje górskie siedziby, żeby kraść albo znaleźć sobie jakąś dorywczą pracę w mieście. Kobiety wyprawiały się w tym samym celu, a czasem, by zająć w ciążę z jakimś parobkiem, nosicielem przypuszczalnie zdrowych genów. Niektórzy zbiegowie nigdy jednak nie wracali i chociaż na wschodzie było kilka małych kolonii mamideł, izolacja Nowej Jerozolimy w paśmie Ssamieo, jej zasoby i położenie sprzyjające obronie sprawiły, że stała się największym poza Doliną skupiskiem genetycznie podejrzanych osób i świętym miejscem wytęsknionym przez uciekinierów. Szczególnie gwałtowny przyrost ludności nastąpił w latach po podboju, ponieważ pod rządami

Cesarstwa Horda Pasikoników przestała być zagrożeniem dla podróżujących przez Prowincję i wystarczyło unikać wysuniętych posterunków teksarkańskich oraz lokalnej policji.

- Możemy się bronić w naszych górach - tłumaczył naczelny kancelista Czamożebowi, kiedy odprowadzał go po kolacji na kwaterę ale przeciwko Teksarkowi nie mamy żadnej broni ofensywnej poza terrorem. Mamidła nabrały umiejętności przenikania na tereny wroga. Mamy swoich ludzi w teksarkańskim wojsku i Kościele. Mamy swoich ludzi i w Valanie, i w Nowym Rzymie. Jeśli zaczną prześladować nasz lud w Watchitah, odpowiemy terrorem.

Nimmy przystanął i rozejrzał się. Nikt ich nie obserwował ani nie słuchał. Miał wrażenie, że naczelny kancelista jest chętniejszy do rozmowy, kiedy znalazł się poza jadalnią.

- Czy to wasi ludzie próbowali zabić kardynała i mnie? - spytał. Urzędnik westchnął.

- Nie ma żadnej pewności. W każdym razie rozkaz nie wyszedł stąd. Nasi ludzie oczywiście zaprzeczyli. Najrozumniejsi dostają czasem obłędu, prowadząc życie konspiratora.

Jćesis miał zostać księdzem, ale powinęła mu się noga na uniwersytecie. Mamy jednak innych. Terror jest możliwy. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, być może użyjemy go, chociaż wtedy Kościół nas potępi. Także, o ile wiem, nasz przyjaciel, kardynał Kucisawy. Nie więcej wiem o planach kardynała niż ty. Kardynał Hadala pewnie wie niejedno. Być może jednak nie ma żadnego długofalowego planu. Widziałem, jak rajcaDion podczas swego pobytu w Valanie grał w szachy z kardynałem. Wygrał tyle samo partii, ile przegrał. Przewiduje kilka ruchów do przodu, ale w szachach nie może być mowy o planie długofalowym. Gromadzi tu broń. Dla nas i dla innych. Nie wiemy, kim są ci inni, przypuszczamy jednak, że chodzi o nomadów. Zawiera przymierze z każdym narodem lękającym się Teksarku. Ma sprzymierzeńców na wschód od Rzeki Wielkiej i na południe od Rzeki Śmiałej.

Robi na mnie wrażenie człowieka, który gra o terytorium w szachy. Nie zbił jeszcze żadnego pionka. Gromadzi siłę.

Nimmy był zaskoczony otwartością kancelisty. Może Kucisawy nie jest tutaj tak kochany, jak mniema. Kolonia ma swój program, a Kucisawy swój.

- Czy możesz mi powiedzieć, co słyhać u waszego dawnego agenta w Valanie? - zmienił temat rozmowy.

– A któż to taki?

– Nazywa się Adrea i jest córką Sharda.

Kancelista otworzył usta, ale zaraz je zacisnął. Spojrzał na Czarnozęba, marszcząc brwi, i wreszcie odpowiedział z wahaniem:

– Za dużo powiedziałem. Jesteśmy przed twoją kwaterą. Muszę już iść.

Obrócił się na pięcie i pomaszerował z powrotem w stronę budynku z kamienia.

Tej nocy Czamożab śnił, że wrócił do klasztoru. Nikt na niego nie spojrzał, nikt z nim nie rozmawiał. Zastanawiał się, czy to odsuwanie się od niego ma jakiś związek z ekskomuniką. Ale „odsuwanie” nie było tu najwłaściwszym słowem. Z pochyloną głową stanął na drodze przeorowi Olshuenowi i czekał. Kiedy przemieszczające się szybko sandały znalazły się w polu widzenia, odskoczył, żeby uniknąć zderzenia, w przeciwnym bowiem razie Olshuen wpadłby prosto na niego. A może przeszedłby przez niego jak przez ducha. Poszedł na cmentarz i stanął nad otwartym grobem.

Był to ten sam otwarty grób i to samo miejsce, co wczesną wiosną, kiedy wyjeżdżał. W klasztorze Świętego Leibowitza na Pustyni zawsze był jakiś otwarty grób, nawet gdy nikt nie chorował. A od czasu śmierci świątobliwego brata Mulestara nie umarł ani jeden mnich. Grób nadal czekał na kolejnego mieszkańca. Skraj dołu zabezpieczono dokoła słomą nachyloną nieco w jego stronę, by krople deszczu spływały po źdźbłach na dno, nie podmywając obrzeża. Jeśliby okazało się to konieczne, jeden z mnichów zszedłby na dół z łopata, by oczyścić dno z ziemi, która osunęła się od czasu poprzedniego doprowadzania grobu do porządku. W ciągu roku było siedem pokutnych dni, kiedy bracia szli w procesji do grobu. Stali nad nim, patrząc przez jakiś czas do środka, aż wędrujące na zachód słońce zajrzało między cienie tego wykopanego w żółtawej glinie dołu. Ten dół był nicością jak sama dusza, nicością w samym środku wszystkiego. Czamożab nie lubił ani tego dołu, ani tej uroczystej medytacji, choć niektórzy z braci uważali, że umysł osiąga potem na resztę dnia cudowne skupienie.

Wydawało mu się, że słoma jest w tej chwili mokra. Przyglądał się i grób powoli przestawał być grobem. Zdał sobie sprawę, że

słoma to włosy łonowe, a dół wcale nie służy do grzebania zmarłych. Potrząsnął głową, i myśląc cały czas o Edrei, chciał odejść z tego miejsca, by powiedzieć Opatowi, że grób zmienił się w pochwę, ale usłyszał nagle płacz dziecka. W dole leżało dziecko, podszedł więc, by na nie spojrzeć. Całe było pokryte kępkami sierści i nie miało dłoni. Wyraźnie ułomne. Genok. To ma być jego syn?

Usłyszał, jak z jego własnej piersi dobywają się jęki, i po chwili poczuł nagłe kłapięcie w kark. Wydobył się z sennego transu i zahaczył siedzącego obok niego Aberlotta. Student miał świadomość, że od czasu wyjazdu z Valany odmienił się stan umysłu i ciała Czamożęba. Jego sny na jawie zaczęły się upodabniać do sennych koszmarów.

– Diabeł siedzi mi na grzbiecie – powiedział Nimmy.

Poczucie, że świat jest miejscem pełnym tajemniczych zjawisk, wróciło Czamożębowi, kiedy poznał nomadę Ónmu Kuna, który przybył następnego dnia wraz ze starostą Dionem i jego świtą. Nimmy rozpoznał w nim nomadę dopiero, kiedy przemówił w języku OPzark z wyraźnym akcentem. Tego, że był Dzikim Królikiem, nie sposób było się domyślić ani z rodzaju płóciennego stroju, ani z kształtu nóg, które nie wykrzywiły się wskutek jazdy konnej, ani z zabarwienia ciała, które nie było spalone od słońca. Wskutek zmiany sposobu odżywiania obecna generacja dzikokróliczych nomadów była niższa niż ich przodkowie. Nie ulegało wątpliwości, że Kun występował tu jako nieoficjalny rzecznik swojej hordy w Nowej Jerozolimie, tej Parva Civitas, która stała się bez wątpienia arsenałem dla wszystkich dzieci Pustego Nieba i Dzikokonnej. Nimmy podszedł do niego i przemówił po nomadzku, przechodząc na akcent południowy. Kun uśmiechnął się szeroko i zaczęli żartować i gawędzić o różnych życiowych sprawach. Rozmawiali też o spotkaniu ludzi Weejus i Ducha

Niedźwiedzia z wszystkich hord na Równinach, a Nimmy zaskoczył i uradował swego rozmówcę nowiną że kardynał Kucisawy jest teraz wikariuszem apostolskim na Równiny, także południowe, opanowane przez duchowieństwo z Teksarku. Kiedy zaś mnich zapytał Ónmu Kuna o sprawy, które sprowadziły go do Nowej Jerozolimy, odburknięto mu w odpowiedzi, że powinien

pilnować własnego nosa. Nimmy przeprosił więc, a nomada wzruszył tylko ramionami.

– Być może pozycja byłego sekretarza kardynała upoważnia cię do zadawania pytań, ale ja muszę trzymać język za zębami.

Aby ułatwić Czamożębowi przełknięcie tych słów, opowiedział mu sprośny pasikoński dowcip o kobiecie Weejus, biskupie Teskarku i długo wyczekiwanej erekcji.

Aberlott został posłany do rodziny Jiesisa i Czamożab nie zobaczył już go w Nowej Jerozolimie. Nikt nie chciał rozmawiać z nim o Tidrei ani nawet przyznać, że ją zna. Starosta przysłał po niego dopiero, kiedy dzień później przybyła karawana z mułami, wozami i bronią, i dopełniono transakcji między Elkinem i Civitas. Mnich co noc śnił dziwaczne sny o jasnowłosym i błękitnookirn skrzacie za nie dającą się przekroczyć fintą. Ten sen wprawiał go w przerażenie.

Sny przygotowały go także do pierwszego spotkania ze starostą Dionem, który przeszedł od razu do sedna sprawy.

Wiemy, dlaczego tu jesteś, bracie od Świętego Jerzego – powiedział miłym głosem. – Poczuliśmy się znieważeni, kiedy okazało się, że sekretarz nie chce mieć do czynienia z wyznaczonym przez nas agentem. Podejrzewaliśmy też, że Jaesis zginął wskutek zdrady. Córka Sharda, Edrea, przekonała nas jednak, że w tej sprawie jesteśmy w błędzie. Wzięła na siebie całą odpowiedzialność. Nie musisz niczego tłumaczyć ani nas przeproszać. Nowy nasz przedstawiciel skontaktuje się za jakiś czas z Sekretariatem. Poznasz go jeszcze dzisiaj. Czy masz nam jeszcze coś do przekazania?

Czamożab najpierw spuścił wzrok, a potem spojrzał prosto w szare oczy Diona.

– Chciałem tylko przeprosić, dostojny rajco. Tkirea jest bez winy. To ja zawiniłem. Także kardynał wie o tym. Edrea jest niewinna. Gdzie ona przebywa i czy mogę się z nią zobaczyć?

Szare oczy przypatrywały się mu uważnie.

W końcu rajca oznajmił:

– Muszę ci wyjawić, że Edrea Sharda nie żyje. – Przez chwilę patrzył na mnicha, a potem skinął na strażnika. – Ty tam! Przytrzymaj go! – I dodał, zwracając się do drugiego: – Przynieś mnichowi trochę brandy, najmocniejsza jest brzoskwiniowa.

Czamożab ukrył w twarz w dłoniach.

– Jak umarła? – spytał w końcu.

– Poronienie. Coś się stało podczas porodu. Jak wiesz, mieszkają nieopodal papieskiej drogi szybkiego ruchu i zanim nasz lekarz do niej dotarł, straciła za dużo krwi. Tak mi doniesiono.

Rajca przyglądał się przez chwilę rozpaczy mnicha, a potem szepnął Elkinowi: „Spotkamy się tutaj jutro”, i wyszedł.

Kiedy Czamożab zrobił wszystko, co miał do zrobienia, i uporał się z obowiązkami emisariusza, poszedł do miejscowego kościoła, by się wyspowiadać, i pościł przez trzy dni, pogrążony w nieustającej modlitwie za swoją umiłowaną i utracone dziecko. Upodobanie do żalu jest równie złe jak upodobanie do innych rzeczy, do rozpusty, tryumfów, albo, jak ująłby to Specklebird, równie złe jak upodobanie sobie Jezusa. Spędził kilka dni w miejskiej bibliotece. Kiedy nie mógł się już otrząsnąć z poczucia żalu, przerywał studiowanie historii kolonii i studiował sam żal, spychając go z całych siły z przepony w głąb brzucha, a potem wracał do wczytywania się w prywatną korespondencję między pierwszymi kolonistami a ich krewnymi z państwa Watchitah. Szukał jakiegokolwiek informacji o bliskich Sharda albo ich przodkach. Najwyraźniej przybyli tu późno, jak sami zresztą mówili, i nie przedstawiali sobą żadnej historycznej wartości dla prześwieconych mieszkańców tych gór, nafaszerowanych bronią i otoczonych mniej świętą pierwszą linią obrony. Dlaczego ułomni heloci z tych alei Strachów na Wróble nie buntują się przeciwko uzbrojonym po zęby spartańskim mamidlom? Może dlatego, że ci Spartanie są krewnymi ludźmi w rodzaju Sharda, a Shard był dumny ze swojej Edrei. Panowała tutaj segregacja, ale nie widać było żadnych przejawów represji. Nie życzyli sobie tylko genów po genokach.

Dowiedział się, że karą za związek seksualny między obywatelem Res Publiki Jerusalem Nova i genokiem jest śmierć dla obywatela i ewentualnych dzieci zrodzonych z tego zbliżenia. W Nowej Jerozolimie żyli ludzie obdarzeni szczególnymi talentami. Małżeństwa były kontraktami między rodzinami i wymagały zatwierdzenia przez rajców. Ludzi hodowano jak zwierzęta, ale w całych zapisanych dziejach ludzie nie tylko niewolników, lecz także swe dzieci hodowali jak zwierzęta. Jedyną tutejszą nowością były

kryteria, wedle których oceniano genetyczny potencjał takich związków, gdy tymczasem swaci znani z historii interesowali się zazwyczaj łączeniem majątności. Nimmy wyczuwał niejasno, że te kryteria nie różniły się zanadto od tych, które wybrałby burmistrz Taksarku. Ale tutaj wyrastało się na zdrowego obywatela obdarzonego szczególnymi talentami albo trafiało na cmentarzysko podobne do tego, które minęli rankiem po nocy spędzonej u stóp gór. Być może to lub owo dziecko, tego lub owego obywatela odsyłało, jak zapewniała Edrea, do państwa Watchitah, lecz droga do Doliny była długa i najeżona niebezpieczeństwami.

Długo zastanawiał się nad swoją wątpliwą przeszłością i w końcu postanowił, że po zakończeniu niezbyt przecież ważnej misji tutaj wróci do świata przez Opactwo Leibowitza, ponieważ tam właśnie chcieli się udać żółci zakonni wojownicy kardynała Ri. Natomiast Wooshin musiał wracać do Valany. Nimmy miał swoje powody, żeby objąć rolę przewodnika żołnierzy. Po pierwsze podejrzewał, że Kucisawy przysłał go tutaj, żeby się go pozbyć. Nie ufał już ani kardynałowi Kucisawemu, ani Nauwhatowi, ani Hadali. Chciał trzymać się jak najdalej od wszelkich spisków, a spiskiem było wszystko, w co nie wtajemniczono papieża Antena. Poza tym musiał uregulować sprawy swojego sumienia i stosunek do Boga. Chciał wypowiedzieć się Jaradowi, a Jarad winien mu był ich wysłuchanie. Nie wyrzuci go za drzwi, ale nikt tam nie ucieszy się także, jeśli będzie przedłużał swój pobyt ponad miarę. Chciał, żeby nikt nie mógł uznać go za suplikanta, ale Jarad z pewnością zadba, by właśnie tak się czuł.

Kiedy Czamoząb i oddziałek wojowników pakowali wyposażenie i siodłali przed podróżą konie, dołączył do nich Ónmu Kun, który siedział na koźle wozu najwyraźniej wyładowanego bronią.

– Nie możesz zabrać tego do opactwa – powiedział Nimmy.

– A kto powiedział, że wybieram się do opactwa? – odparował pasikoński nomada, ruszając na wschód śladem konnego oddziałku.

Stary Żyd, który nazywał siebie Beniaminem, podążał przez jakiś czas za nimi, ale potem zmienił zdanie.

– Powiedz opatowi, że odwiedzę go przed zimą.

Nimmy obiecał przekazać wiadomość.

Nie zważając na ostrzeżenia starosty, bardzo pragnął przed opuszczeniem gór wstąpić do Łukowej Kotliny, jednak Shard, gdy tylko go zobaczył, pobiegł po broń. Gwardziści oddali ostrzegawcze strzały nad jego głową, a potem jeden z nich smagnął biczem zad wierzchowca, którego dosiadał Czamożab, i wrzasnął coś, wskazując kierunek odwrotu. Przegalopowali obok zabudowań gospodarskich i dalej szlakiem prowadzącym na wschód, do papieskiej drogi szybkiego mchu. Nimmy nie mógł uronić łzy na grobie umiłowanej.

Gdy tylko znaleźli się na drodze papieskiej, nomada pożegnał się z Czarnożębem, oznajmiając, że zamierza opuścić bity trakt i pojechać na przełaj w kierunku południowo-wschodnim. Znajdzie się w kraju niczym, w miejscu, gdzie granica cesarskiej prowincji pozostaje kwestią sporną.

– Nie lękasz się teksarkańskich agentów? – spytał Nimmy.

– Dziś wieczorem spotkam się z moimi klientami – odparł z uśmiechem Ónmu Kun. Oni wrócą do siebie, ja zaś do Nowej Jerozolimy.

Wymienili pasikoński znak pokoju i rozstali się. Nimmy doszedł do przekonania, że Kun zajmuje się po prostu przemytem broni dla swojej zniewolonej hordy. Widział jednak oręż załadowany na wóz i zauważył, że nie jest to zgoła sprzęt najnowocześniejszy. To zabezpieczenie na wypadek, gdyby transport wpadł w ręce sił cesarskich.

Po drodze do opactwa naczelnik Żółtej Gwardii, mężczyzna o imieniu Jing-U-Wan, zaczął ostrożnie wypytywać Czamożęba o Zakon Świętego Leibowitza, a potem opowiedział o swoim zakonie.

– Zakon Miecza Świętego Piotra ma dwie tradycje. Jednak czysto chrześcijańskie. Nasze wierzenia nie różnią się zbyt od waszych. Nasze modlitwy kanoniczne nie są identyczne, ale bardzo podobne. Mniej wykorzystujemy psalmy i większą wagę przykładamy do milczącej medytacji. Jeśli chodzi o nasze czyny, ludzie zawsze oczekiwali, że będziemy robić to samo, co niechrześcijańscy mnisi zawsze robili w naszym kraju. Poza klasztorem pracujemy na polach i zebrzemy tylko podczas podróży. Podtrzymujemy tradycję bezorężnej walki, gdyż tak właśnie czynili zawsze mnisi przestrzegający zasad zawartych w tantrach. Tak nakazywała konieczność. W naszych dziejach nie uzbrojoną ofiarę zbójców

zawsze uważano za winną zaniedbania. Płaciła z własnej kieszeni za policyjną akcję przeciwko przestępcy. Nie uzbrojeni mnisi musieli zdobyć umiejętność walczenia własnymi rękami i nogami.

– Teraz jednak macie broń.

– Reguła zapewnia dyspensę, jeśli zajęcie wykonywane przez mnicha wymaga oręża. Kiedy zmarł nasz pan, rozmawialiśmy o tym, żeby pozbyć się broni, ale naszego pana czeka wojna.

Minęła chwila, zanim Czamoząb uświadomił się, że mówiąc po raz drugi o panu, wojownik miał na myśli kardynała Kucisawego.

– Dlaczego tak sądzisz?

Mężczyzna milczał. Z ostrożności.

– W pewnym sensie zawsze prowadziliśmy wojnę.

Wypowiadając ten ogólnik, chciał widać zmienić temat.

I Nimmy nie wracał do tej sprawy.

Śnił niedawno o otwartym grobie w opactwie, a teraz było to pierwsze miejsce, gdzie udali się po wymianie powitań z furtianem, ten bowiem kierunek wskazał im, nie otwierając ust, ów braciszek. Ku zaskoczeniu Nimmy'ego otwarty grób został przeniesiony. Poprzedni był zasypany i tkwił w nim nowy, drewniany krzyż z imieniem tego, którego w nim złożono.

Hic jacet Jaradus cardinalis Kendemin, abbas. Data śmierci była sprzed dwóch tygodni.

– Bracie od Świętego Jerzego – usłyszał nagle znajomy głos.

Obrócił się i ujrzał, że zbliża się do niego Olshuen. Przeor obrzucił zdumionym spojrzeniem zbrojoną w miecze Żółtą Gwardię. Był w żałobie. Cały klasztor nosił żałobę. Czarnoząb poszedł do kaplicy, żeby odmówić jałowy akt skruchy za swoje błędy, ale miał dla siebie jakiś pobłażanie. Po chwili poszedł porozmawiać z przeorem. Czuł, jak narasta w nim strach.

Był to naprawdę gwałtowny krwotok. W środowy ranek, odprawiając mszę, opat Jarad dokonał właśnie konsekracji chleba i wina, obrócił się do zebranej w chórze wspólnoty i zaczął mówić: Ecce agnus dei, gdy nagle zbladł, wydał zduszony okrzyk i padł na stopnie ołtarza przy głośnym wtórze brzęku mosiężnego kielicha i pateny o kamienną posadzkę. „Ciało i krew wszędzie dokoła” – powiedział brat Strzyżyk. Kardynał opat od Świętego Leibowitza zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

Rozdział 15

„I niech [opat] wie, że jeśli gospodarz ma zbyt mało pożytku z owiec, obwinia za to pasterza”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział II

Zanim wieść o śmierci opata Jarada dotarła z telegraficznego teksarkańskiego terminalu do

Valany, Stolica Święta i większość Kurii wyruszyła już w stronę Nowego Rzymu, a kardynał Kucisawy rozpoczął wędrówkę drogą nieco bardziej na północ, ku miejscu świętych wieców szamanów Weejus i Ducha Niedźwiedzia. Wiadomość dotarła oczywiście najpierw do Świętej Kongregacji Wiary, lecz kardynał, który jej przewodniczył, wyjechał już z papieżem. Jego wikariusz czym prędzej zawiadomił Sekretariat do Nadzwyczajnych Spraw Kościoła i Sekretariat Stanu. Kardynał Nauwhat należał do nielicznych, którzy zwlekali z wyjazdem. Czym prędzej pchnął posłańców w ślad za Kucisawym i papieżem, lecz od wyjazdu minęło już kilka dni i z pewnością niełatwo będzie odnaleźć ich w pozbawionej szlaków krainie traw. Gdyby Nauwhat wybrał na posłańca nomadę umiejącego wysyłać sygnały na odległość, wiadomość mogłaby dotrzeć do Nowego Rzymu przed tymi, dla których była przeznaczona, Nauwhat jednak odziedziczył wprawdzie po Kucisawym urząd, lecz koneksji notnadczych – nie, i posłańcy będą musieli przez jakiś czas błąkać się po oceanie traw.

Szósty września 3244 roku przypadł na wtorek. Pięć dni wcześniej minęła pierwsza kwadra księżycy, który wzniósł się na nieboskłon na długo przed zachodem słońca. Czatownicy Dzikich Psów przebywający na skraju osady w „Pępku Świata”, hodowlanej niecce, którą władała Hongin Fujce Vurn, dostrzegli w końcu na horyzoncie maleńki pióropusz kurzu. Samotny jeździec wymachiwał rękami, przekazując nomadzki sygnał oznaczający Kościół. Powta-

rzał sygnalizację tak długo, aż upewnił się, że został dostrzeżony i rozpoznany jako oczekiwany gość z Valany. Ale sam?

Ojciec Ornbroz był zdumiony, oczekiwał bowiem, że kardynałowi będzie towarzyszył jego młody sekretarz i przynajmniej jeden osobisty strażnik. Natychmiast posłał po dalekiego kuzyna Chiira Hongana, niejakiego Kopyta, swego młodego pomocnika, wojownika, który już od trzech lat służył mu do mszy.

– Z powodu pogrzebu nie mogę wyjechać mu na spotkanie – oświadczył młodzieńcowi. – Chcę, byś zatrzymał go, nim się zbliży, i przekazał mu wiadomość. Odnoś się do niego jak do prawują, z najwyższym szacunkiem. Musisz mu jednak wyjawiać rzeczy, których wolałby nie słyszeć. Pospiesz się, by nie podjechał zbyt blisko obozu. Staraj się być przez cały czas w jakimś zagłębieniu albo za wzniesieniem. Wrogowie będą mieli otwarte oczy. Pamiętaj, żeby napomknąć mu, co mówi się o jego matce. Bez względu na to, czy to prawda.

– Tak jest, ojczy – powiedział Kopyt.

Natychmiast dosiadł konia i opuścił obozowisko. Młodzik był tak samo, jak jego pan zaskoczony tym, że nowy wikariusz apostolski przybywa w pojedynkę, wyposażony tylko w plecy i muszkiet. Na głowie miał czerwoną piuskę – łatwą do ukrycia – która pozwalała odróżnić go od innych obywateli przemierzających krainę nomadów. Młodziutki akolita miał zbyt wiele rzeczy do powiedzenia kardynałowi, by znajomość z nim zacząć od wymiany żarcików. Nie spuszczaając wzroku z apostolskiego pierścienia, który przed chwilą pocałował, jął wyliczać w języku dzikopsim nowiny. Czuł się wyraźnie nieswojo i nie mógł zdobyć się na to, by spojrzeć prosto w zaciekawione oczy kardynała.

– Zeszłej nocy zmarł ojciec Niedźwiedziątka. Szarf nie żyje.

Klacz jest znowu wdową. Pogrzeb odbędzie się dzisiaj wieczoru. Była to śmierć według obrządku. – Przemknął spojrzeniem po twarzy Kucisawego, by upewnić się, że ten zrozumiał, co znaczy w tym kontekście słowo obrządek. Lekkie skrzywienie kardynalskich ust pokazało, że owszem, zrozumiał. – Ale było wiele sporów wśród Ducha Niedźwiedzia i Weejus. Święto uboju odbędzie się w piątek, podczas pełni.

– Odbędzie się? Co to niby znaczy?

- Odłożyli je. Trwa kilka dni i już powinno się zacząć. Przesunięcie tak świętej uroczystości jest czymś niebywałym, lecz byłoby rzeczą niewłaściwą, gdyby prawuj został... hmm... gdyby umarł podczas rzezi bydła. No i, wiesz, święto...

- Rozumiem. Mów dalej.

- Pogrzeb wieczorem. Wiele się zdarzyło, panie mój. Jest tu przedstawiciel Kościoła w Teksarku. Monsignor Sanual. Obserwator przysłany przez Benefeza, ale także rzecznik. W imieniu arcybiskupa rozkazał księdzu Ombrozowi wrócić do swojego klasztoru w Nowym Rzymie...

Kucisawy wybuchnął śmiechem.

- Wyobrażam sobie, co odpowiedział zacny ksiądz. No tak, jako nowy wikariusz apostolski rozkażę mu pozostać. Z żalem przyjąłem wiadomość, że prawuj Złamana Stopa nie żyje. Oczywiście przyjął ostatni sakrament z rąk twego nauczyciela?

Akolita Ombroza patrzył na niego przez chwilę, jakby nie rozumiejąc pytania, a potem podjął wyliczankę.

- Dostojny Chiir Hpngan sądzi, że odkrył miejsce pobytu twojej matki. Kazał powtórzyć ci, że jest już w drodze i wkrótce tu przybędzie. Nie ma jednak pewności. Z tego powodu, a także innych, pragnienie Dobrotliwego Światła, szarfa Pasikoników, byś spędził noc w niecce hodowlanej kobiety-diabła nie zostanie zapewne spełnione. Arogancja tego człowieka nie pasuje do Weejus.

- Mimo to chętnie spędzę tam noc. Bez względu na pragnienia Hultora Brama.

Na twarzy młodego nomady pojawił się cień zaniepokojenia.

- To straszne miejsce, panie mój. Wielu tam umarło.

- Ludzie umierają wszędzie.

- Zabija każdego, kogo odrzuci.

- Czy nie jesteś chrześcijaninem?

- O tak, ale ona nie!

- Może zdołam ją nawrócić.

Kopyt był wyraźnie zbity zupełnie z tropu.

- Hongin Fujce Vum...

Kucisawy przerwał mu:

– Oczywiście nie będę tego próbował. Jak jednak inaczej mogę dowieść, że mam prawo do zarządzania waszymi kościołami? Monsignor Sanual może do mnie dołączyć, jeśli tylko zechce.

Młody nomada zachichotał.

– Chyba zmoczyłby sutannę.

– Powiedz mi, dlaczego Święty Szał uważa, że moja matka żyje?

– Wiem tylko to, co powiedział ksiądz Ombroz. Że siostry, które cię wychowały, mówiły tylko dialektem dzikokróliczym i niedokładnie przetłumaczyły jej rodowe imię.

– Może więc nie jestem Kucem Cisawym ?

– Jest u Dzikich Psów imię rodowe, które oznacza gniadego żrebaka. Ale w dzikokróliczym...

Wzruszył ramionami.

– Co o niej wiesz?

– Same plotki, panie mój. Jest z krwi królewskiej, ale jej mała rodzina nie jest ani bogata, ani znamienita. Jest w odpowiednim wieku, żeby być twą matką, ale nigdy nikogo nie poślubiła. Żyje z innymi niewiastami jako mąż i ponoć nienawidzi mężczyzn. Może nie powinienem ci tego wszystkiego mówić. Ale u nas zdarza się to wcale nierzadko.

Ombroz wyszedł im na spotkanie na skraj obozowiska. Jego wygolona czaszka lśniła w słońcu. Ciało miał usiane bliznami po wyciętych tumorach. Patrząc na niego, kardynał uświadomił sobie, że w języku dzikopsim imię tego człowieka brzmi bardzo podobnie do określenia „wygolony niedźwiedź”, aczkolwiek sam ksiądz twierdził, iż używa brzytwy, aby odróżnić się od typowego szamana. Kiedy Kucisawy powiedział mu, że Amen Specklebird unieważnił jego zawieszenie w obowiązkach zakonnika Świętego Ignacego i rozważa możliwość mianowania go generałem Zakonu, Ombroz zaśmiał się smutno.

– W Nowym Rzymie spotka się to z takim samym oddźwiękiem jak powołanie cię na stanowisko wikariusza apostolskiego, panie mój.

– Pewnie tak, lecz papież musi pokazać, że zamierza korzystać ze swoich praw i prerogatyw, aby nikt nie ważył się powątpiewać w

prawowitość jego wyboru. Musi zachowywać się pod każdym względem jak władca.

– Pojmuję to, ale Zakon nie zechce, to oczywiste, przyjąć do wiadomości mojego powrotu. A jak wyglądają twoje sprawy, Eminencjo?

– W najgorszym razie mianuję cię kapłanem w którymś z kościołów mojego wikariatu.

Ombroz znowu się roześmiał.

– Mój kościół mam przytroczony do siodła. Twoi kurierzy przywożą mi nie tylko pocztę, ale także opłatki i wino.

– Nawet kościół przytroczony do siodła wędrowca musi nosić jakieś imię.

– I nosi. Matki Boskiej na Pustyni.

Kucisawy uśmiechnął się.

– Taką samą jak dawny zakon papieża? Ordo Dominae Desertarum. Doskonale. I z pewnością byłbyś zadowolony, gdybyś mógł zmienić zakon.

– Jeśli tylko Jego Świątobliwość na to przystanie. Zakon Świętego Ignacego nie dochował wierności papieżom na wygnaniu. Nie zrobili też nic, by potwierdzić, że uznają papieża Amena. Trafiłem na listę nieprzyjaciół ich Boga. Jeśli więc tylko Ojciec Święty się zgodzi...Czemu nie. Zgodzi się, jestem tego pewien. – Kardynał objął spojrzeniem miejsce, gdzie zgromadził się spory tłumek. – A teraz powiedz mi, co się tu dzieje? Gdzie Święty Szał?

– Jest w żałobie. Jak już wiesz, Eminencjo, przybyłeś akurat w dniu pogrzebu jego ojca.

– Spodziewano się jego śmierci, prawda ?

– O tak, nawet ją zaplanowano.

– Jeszcze jedna ofiara z człowieka?

– Tak, było to rytualne zabójstwo, ale w jego przypadku wolę myśleć o tym jako o eutanazji. Nadal oczywiście zabronionej katolikom.

– Czy Chiir Hongan wyraził zgodę?

– Nie. Z powodu swojej wiary został wykluczony przez szamanów Ducha Niedźwiedzia.

– Z powodu wiary, którą podzielał jego ojciec.

– Złamana Stopa nie był w pełni władz umysłowych. Niczego nie rozumiał.

– Nie zamierzają chyba...

– Uczcić go? Niestety zamierzają. Dziś wieczorem.

– Żałuję, że nie przyjechałem dzień później.

– Dziwię się, że przyjechałeś w pojedynkę. Gdzie brat Czarnoząb? Gdzie Wooshin i Żółta Gwardia?

– W Nowej Jerozolimie.

– Broń?

– Tak, broń. Musisz wiedzieć, że papież przemierza Równiny na południe od nas i pewnie w tej chwili rozbił gdzieś obóz na noc.

– Wiem. Mam nadzieję, że go przepuszczą. Eminencjo, jest tu legat z Teksarku. Od Benefeza. Można by powiedzieć, że przybyłeś w samą porę.

– Wyjawiał mi to młodzieniec, którego przysłałeś. Kim jest ten monsignor Sanual i czego tu chce?

– Przybył po prostu, żeby się spotkać z Duchem Niedźwiedzia, Weejus i szarfami. Dawniej Benefez nigdy nie był temu przychylny. Zastanawiam się, czy będzie na tyle głupi, by upra-

wiać tu prozelityzm. Spodziewam się, że szarf Pasikoników zabiłby go jako szpiega, gdyby spróbował wziąć udział w zjeździe na terenach pasikońskich. Tutaj jednak jest gościem osieroconej rodziny Chiira Hpngana. Doradziłem Niedźwiadkowi, żeby wziął na siebie rolę gościnnego gospodarza, ponieważ w przeciwnym razie dach nad głową musieliby mu zapewnić delegaci Dzikich Psów.

– A to postawiłoby go w roli ich protektora albo sprzymierzeńca. Doskonale, przyjacielu. Wszystko skończy się lepiej, niżby wynikało z tego, co wiedziałeś.

– Nie, wiem, że podporządkowano ci kościoły Dzikich Królików w całej Prowincji. Jeżeli uda ci się je odzyskać!

– Nie mogę przejąć siłą kościołów ani kapłanów, ale być może zdołam wyprowadzić stamtąd ich kongregacje... pod warunkiem, że będę miał pomoc ze strony dostatecznej liczby księży wiernych papieżowi. Oczywiście ci ludzie musieliby mówić dzikokróliczym.

– Wielu jest już takich w Prowincji, panie mój, i to takich, którzy będą wierni Ojcu Świętemu, mimo że ich nauczycielem był arcybiskup Teksarku. Mówiący po nomadzku kapłani to przeważnie

nawróceni nomadzi. Przyjęli wiarę naczelnikowego wuja, ale samego wuja ani naczelnika nie.

– Cieszę się, że potwierdzasz to, co i ja uważałem za prawdę.

– Wiem też o groźbie Dobrotliwego Świata, który chce, byś skruszył się przed Dzikokonną, spędzając noc w Pępku Świata, jak nazywają to miejsce. Huitor Bram nigdy nie uzyska nominacji i nie może cię do niczego zmuszać. Niedźwiedziątko i ja ułożyliśmy jednak pewien plan. Wysłuchasz go teraz czy później?

– Jeśli można, później. Obserwują nas, prawda?

– Tak, i źle postępujemy prowadząc poważną rozmowę, zamiast śmiać się. Pozwól, że zaprowadzę cię do pramatek-przywódczyń i ich małżonków. A może wolisz najpierw odpocząć?

– Marzę o odpoczynku. I o kąpieli, jeśli to możliwe.

Kardynał przespał się kilka godzin. Kiedy się obudził, panowała ciemność rozpraszana migoczącym światłem ognisk. Nomadzi obchodzili już ze śpiewem i tańcami królewskie uroczystości pogrzebowe. Kiedy wyszedł na światło bijące od płomieni, natychmiast podszedł do niego Kopyt.

Młodzieniec wskazał palcem Ombroza i powiedział:

– To twój ksiądz Ombroz.

– Mój? – Kucisawy obrzucił go osobliwym spojrzeniem. – Święty Szał mówił mi, że zostałeś ochrzczony. Czyż nie jest twoim kapłanem?

Zbity z tropu wojownik wzruszył ramionami.

– Czasem tak, ale on się goli.

– Żeby odróżniać się od innych. Poza tym dzięki temu nie musi nosić koloratki przesuniętej na kark.

– Ludzie Ducha Niedźwiedzia nie golą się, a on czasem postępuje jak człowiek Ducha Niedźwiedzia. Choćby teraz. Lubię go, wszyscy inni też, ale niezbyt dobrze go pojmuję. Chcesz z nim porozmawiać?

– Powinienem, ale wolałbym nie przerywać mu, hmm, biesiady. Wygląda jak nawalony, jeśli rozumiesz to słowo.

– Palił razem z innym nebraskański keneb.

Kucisawy podszedł do księdza. Wyzuty z habitu Zakonu Ignacjańskiego stary kapłan, którego Amen chciał wynieść do godności generała tegoż zakonu, siedział na stosie wygarbowanych krowich skór i ogryzał przednimi zębami, jedynymi, jakie mu

pozostały, dobrze upieczone resztki ludzkiej dłoni. Kiedy zobaczył Kucisawego, rzucił dłoń z powrotem do miski, ale podniósł na kardynała wzrok jasny i bez wstydu. Kopyt został trochę z tyłu. Kucisawy spostrzegł, że Ombroz nie jest pijany, ale wskutek wypicia sakramentalnej mieszanki wywarów osiągnął szczególny stan umysłu. Kardynałowi wydało się, że ksiądz po tych wszystkich plemiennych obrządkach odmienił się, ale Ombroz obdarzył go serdecznym uśmiechem. Kucisawy odpowiedział mu spojrzeniem, które zdawało się pochodzić z jakiegoś miejsca odległego o tysiąc mil. „Nie znam tego człowieka, nie znam starego przyjaciela”.

Pierwszy przerwał milczenie Ombroz.

– Stary szarf chciał, bym został jego prawą ręką... Zaszczyt! Zniewaga odmówić.

Wikariusz apostolski przyglądał się mu, nie otwierając ust.

– Czasem – ciągnął Ombroz, sięgając po chrząstki, które pozostały z dłoni prawująca Złamanej Stopy – biorę kawałek chleba i konsekruję go jako prawdziwe ciało Chrystusa. A czasem biorę prawdziwe ciało Chrystusa i konsekruję je jako kawałek chleba. Czy pojmujesz?

– Uch! – chrząknął zaskoczony Kopyt.

Kucisawy spojrzał na niego. Kopyt uśmiechał się lekko, z miną, która wskazywała, że nagle spłynęło na niego objawienie.

Kardynał powiedział głosem, jakby nadal znajdował się tysiąc mil stąd:

– Czy naprawdę chcesz, ojcze, wstąpić do dawnego zakonu papieża?

Ombroz e'Laiden, który nie na tyle oddalił się od rzeczywistości, żeby nie zrozumieć ironii kryjącej się w tych słowach, odparł:

– Powiedz Jego Świątobliwości, panie mój, że wskutek choroby muszę pozostać tym, kim jestem. Nie mogę wrócić do mojego zakonu, a na zmiany jestem już za stary.

– Dobrze. Powtórzę.

Kucisawy odwrócił się na pięcie i odszedł. Kopyt zawahał się, a potem poklepał starego księdza po ramieniu i ruszył za kardynałem. Ombroz uśmiechnął się do młodzieńca i wrócił do swojego sakramentalnego posiłku.

- I to wszystko, jeśli chodzi o Zakon Świętego Ignacego - powiedział kardynał.

- Czujesz się zawiedziony, że zostałeś jednym z nas? - spytał wojownik.

- Nie. Żał mi tylko Ombroza e'Laidena człowieka.

- Ponieważ zmienił się w nomadę?

- Nie. Ale nie ma zbawienia poza Kościołem - szepnął kardynał, cytując starodawną kościelną dewizę.

Ta odpowiedź musiała wprawić Kopyta w zakłopotanie. Słyszał to i owo o kardynale od Ombroza, który podziwiał dostojnika i określał go jako liberała. Ale słowa, które przed chwilą wypowiedział, nie pasowały do tego obrazu. Z drugiej strony jest przecież teraz księdzem, nawet biskupem.

- Panie mój, któż osądzi, kto znalazł się poza Kościołem.

- Jakże, mój Kopycie, papież, no i samo prawo.

- Bóg nie ma nic do powiedzenia?

- Ojciec Ombroz jest człowiekiem oświeconym - wtrącił się Święty Szał, który właśnie ich dogonił. Obaj obrzucili go dziwnymi spojrzeniami, czekając, co Hpngan ma jeszcze do powiedzenia, ale on tylko ziewnął i potrząsnął głową. - Przybyła niewiasta, która jest być może twoją matką, panie mój.

Kucisawy spojrział na księżyc i zmienił temat:

- Papież zażywa teraz przechadzki. Zawsze spaceruje podczas pełni i śpiewa ku chwale Najświętszej Panny, księżycowej siostry. Ten papież, który rozdałby Kościół ubogim, gdybyśmy ja i Nauwhat na to mu pozwolili.

„Boże mój, co teraz uczynimy?”

Nie chcesz zobaczyć się z tą niewiastą, Eminencjo? Jest królewskiej krwi, moją daleką kuzynką. Znaczyłoby to, że ty też jesteś moim kuzynem.

Roześmiał się i w jego głosie zabrzmiała, być może, szczypta goryczy.

- Jej imię rodowe to Urdon Go, a nie Avdek Gole - oznajmił, nie doczekawszy się żadnej reakcji kardynała. - Nie Kuc Cisawy, lecz Gniade Źrebię.

- Kopyt już mi o tym powiedział. Ale na Boga! - szepnął Kucisawy. Krew odpłynęła mu z twarzy. - Po tylu latach! Siostry posługiwały się oczywiście dzikokróliczym.

- Twoja matka, jeśli nią jest, przybyła tutaj. To ta stara kobieta siedząca na pledach przy drzwiach tamtego hoganu. Doradzałbym ostrożność. Może być gwałtowna jak Nunshdn.

- Naturalnie. Dziękuję.

Kucisawy podszedł szybko we wskazaną stronę, ale zatrzymał się kilka kroków przed kobietą. Oczy niewiasty były białe, zasłane zaćmą. Słuch powiedział jej jednak, że ktoś się zbliża, i obróciła ku nieznanemu pomarszczone oblicze.

- Jesteś Teksarkiem? - spytała podejrzliwie.

- Tylko w połowie - odparł po dzikopsiemu. - Tylko w połowie, matko.

Matką można było nazwać kobietę ze zwykłej uprzejmości. Nie musiała rozumieć tego dosłownie.

Wstała jednak. Splunęła na jego twarz i sutannę. Żuła prymkę z jakichś ziół. Może opluła go niechcący? Była prawie ślepa. Czy jednak należy przyjąć, że nie miała zamiaru go znieważać? Czyżby jej nic nie powiedzieli o nim?

Kardynał wycofał się. Nic z tego nie będzie. Nie może jej wszak oznajmić, że mężczyzna, który przed nią stanął, wyrósł z nasienia siłą wprowadzonego do jej łona, a potem został gwałtem wydarty spod jej ud i że jest rudy. Wiedział, że nie zechce go znać. Była kobietą prostą, lecz przepełnioną goryczą. Zdawał sobie sprawę, że jej rodzina, królewska wprawdzie, nie była majątna. Ale teraz, kiedy Chiir Hpngan i wodzowie wiedzą, że jest jej synem, wieść, iż on tu jest, dotrze w końcu także do niej - jeżeli jeszcze nie dotarła. Z pewnością spodziewała się jej. Nie miał innego wyjścia, jak oznajmić nomadzkiemu szarfom, że zamierza udać się do niej, gdy go wezwie. Był pewny, że nigdy to nie nastąpi. Czuł przygnębienie, ale był zadowolony, że ją zobaczył i że - pomyślał - ona nie jest niczego pewna.

- Bardzo proszę, Eminencjo! - Głos dochodzący z progu namiotu należał do monsignora Sanuala, legata arcybiskupa Teksarku. Pucułowaty dyplomata robił wrażenie człowieka roztargnionego. - Zapraszam, Eminencjo. Tylko na chwilę.

Chociaż Sanual był już tego dnia bliski wyrządzenia mu afrontu, Kucisawy w milczeniu przyjął zaproszenie i schylił się, żeby wejść do oświetlonego latarnią wnętrza, wypełnionego mocnym zapachem ziemi i wonią rozlanego sakramentalnego wina. Kiedy Sanual chwycił kardynała za rękę, ten poczuł od niego wino.

– Zjadają starego wodza! Myślałem, że nie wyjdiesz dzisiejszego wieczoru z namiotu!

– Miałbym wyrzec się takiego widowiska? – Ostrożnie wy dobył ramię z uścisku dłoni Sanuala. – Legat arcybiskupa może nadąsać się i pozostać w namiocie, ale legat papieski nie.

Sanual cofnął się. Obaj doskonale wiedzieli, że rywalizują o względy dzikich plemion i nowego chrześcijańskiego wodza, który być może zjednoczy wkrótce Trzy Hordy.

– Gotów jesteś na wszystko! – powiedział Sanual. – Gdyby Jego Świątobliwość wiedział...

– Spójrz na to inaczej. Moja matka była nomadką. Zmarły wódz był ze mną spokrewniony. Nowy jest też moim kuzynem. Oczywiście dalekim. Nie zamierzam trzymać się z daleka od obrządków pogrzebowych mojego ludu. O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

– Właśnie o tym. O twoich stosunkach rodzinnych – zaśmiał się szyderczo Sanual. – Ombroz wyjawiał mi, że zostałeś wybrany do uczestnictwa w królewskim obrzędzie!

– Ledwie widziałem Ombroza. Nic o tym nie wspomniał. Zresztą ty zawsze odwracasz się plecami do człowieka. Nie wierzę ci, ojcze. Piłeś!

– Wrzeszczał na mnie. I ten jego rehot! Oczywiście jest zgrzybiały i stuknięty, ale wierzę mu. Słusznie, nieprawdaż?

– Zawiadomiono mnie tylko, że jako syn z królewskiej linii po kądzieli mam prawo do honorów podczas uroczystości. To sprawa osobista, nie mająca nic wspólnego z moim urzędem czy misją.

– A zatem uhonoruj Pana Boga, Eminencjo, i zdejmij na czas uroczystości strój świadczący o twym urzędzie.

– Przybyłeś tu, by wyrazić teksarkańską dezaprobatę dla pogańskich obrządków nomadzkich, czy też by zaszczyścić swą obecnością same obrządki, które oznaczają objęcie rządów przez nowego chrześcijańskiego wodza?

– Miałem nadzieję, że wypełnię oba te zadania, ale nie wziąłem pod uwagę tego, że tak ochoczo przyjmiesz diabła do swego serca. W tej sprawie winniśmy być jednomyślni. Na miłość Boga, kardynale, tolerancja musi się gdzieś kończyć!

– Proszę księdza, ja przyjąłem święcenia bardzo niedawno. Jestem zwykłym prawnikiem, któremu jego zmarły pan, papież Linus VI, nałożył czerwony kapelusz, a papież Amen dał biskupią sakrę. Teologiczne subtelności są dla mnie niedostępne.

– Czyżby kanibalizm był tego rodzaju subtelnością?

– Odnotuję w pamięcie twe zastrzeżenie, wielbny księże prałacie. Wspomnę o nich w sprawozdaniu, które przygotuję dla papieża, podobnie jak ty, jestem pewien, nie zapomnisz o

nich w sprawozdaniu przeznaczonym dla twojego arcybiskupa. Czy to wszystkie sprawy, jakie chciałeś ze mną omówić?

– Niezupełnie. Krążą pogłoski, że zostałeś tu przysłany, by objąć biskupią władzę nad kościołami wznoszącymi się na naszym misyjnym terytorium. Czy to prawda?

– Terytorium misyjne jest wasze wyłącznie wskutek podboju, a nikt nie ma prawa do podboju, chyba że doszło do niego w wyniku wojny obronnej. Papież Amen mianował mnie wikariuszem apostolskim na obszar Trzech Hord, jeśli to właśnie masz na myśli, i mój urząd nie ma nijakiego związku z twoimi panami, z żadnym z nich.

– Do diabła! Nie ma żadnego papieża! W niczym się nie zgadzamy! W sprawach zwykłej obyczajowości! Nawet w kwestii ratowania Kościoła przed schizmą!

Sanual obrócił się tyłem. Kucisawy bez chwili zwłoki opuścił namiot legata, podszedł do głównego ognia, przez chwilę obserwował orgię, a potem udał się do siebie.

Tejże nocy ślepa stara kobieta przysłała i próbowała go zabić. Kiedy rozległ się jego krzyk, Kopyt wyskoczył ze śpiwora, chwilę się z nią mocował, wyrwał jej z ręki nóż i wyprowadził ją z namiotu.

– Nie może być twoją matką – oświadczył po powrocie.

– A jednak nią jest. Przed chwilą tego dowiodła.

Kardynał Kucisawy resztę nocy spędził, patrząc na dryfującą gwiazdną plamę w otworze, przez który wylatywał dym z paleniska. Myślał o swojej żonie Serunie. Myślał o siostrach, które go

wychowały, o Kościele i Najświętszej Pannie i o Hfingin Fuj w Vurn, której poświęcono pobliską nieckę. Wiedział już, że musi poddać się sądowi Bożemu i ruszyć w zaloty do Dzikokonnej w jej siedzibie pradawnego ognia. Jeśli ma zostać najwyższym chrześcijańskim szamanem w oczach ludu, musi przeobrazić się w nomadę do końca, jak ksiądz Ombroz. Zadźwięczały mu w uszach słowa podyktowane przez upojenie: „Czasem biorę kawałek Chleba i konsekruję go jako prawdziwe ciało Chrystusa. A czasem biorę prawdziwe ciało Chrystusa i konsekruję je jako chleb”.

Wydało mu się teraz, że coś takiego mógłby powiedzieć Amen Specklebird.

Księżyc prawie już zaszedł, kiedy w wejściu do namiotu pojawił się jakiś mroczny cień. Byle nie znowu matka! Kopyt chrapał w najlepsze.

Był to jednak Święty Szał, który wezwał go szeptem:

– Ubierz się szybko, panie mój. Chcę ci pokazać nieckę.

Kucisawy ubrał się, ale kiedy znaleźli się na zewnątrz, zapytał:

– Czy nie lepiej widzielibyśmy za dnia?

– Nie. Jeśli masz przejść próbę, musisz uczynić to nocą. Nawet blask księżyca w pełni okrywa mrokiem połysk trucizny.

Dosiedli dwóch koni, które przyprowadził Hongan, i opuścili po cichu obóz. Pomarańczowy księżyc dotknął właśnie linii horyzontu i światła było niewiele, lecz konie znały drogę. Obrzeże krateru znajdowało się pół godziny jazdy od obozu. Kiedy mijali skraj obozowiska, zaspany wartownik kazał im podać hasło, ale zaraz rozpoznał chrząknięcie swojego szarfa i usiadł.

Gdy dotarli na skraj niecki, księżyc już zaszedł, a na wschodzie widać było ledwie zapowiedź brzasku. Niecka była jeziorem ciemności. Zsiedli z koni i szli ostrożnie na piechotę. Święty Szał trzymał kardynała za ramię.

– Do diabła! – szepnął po chwili. Co się stało?

– Ogień rozbłyska i gaśnie. Nie mogę go wypatrzeć.

– Nie wiem nawet, w którą stronę zwrócić wzrok.

– Patrz na niebo. Znajdź najjaśniejszą gwiazdę w Złodzieju, a potem spuść szybko wzrok. Blisko środka powinieneś zobaczyć małą czerwoną plamkę.

– Złodziej to nazwa gwiazdozbioru w nomadzkim.

Hpngan wyciągnął rękę i Kucisawy podążył spojrzeniem we wskazane miejsce.

– Zdaje się, że my nazywamy ten gwiazdozbiór Perseuszem. Tak, a ta gwiazda to pewnie Mirfak.

Usiedli na krawędzi krateru i w milczeniu wpatrywali się w czeluść. Słyszeć było tylko szum wiatru i odległe wycie dzikich psów. Od czasu do czasu Chiir Hpngan klął pod nosem.

– Czy to naprawdę takie ważne? – spytał kardynał. – Nie możesz pokazać mi tego za dnia?

Spojrzał na wschód. Niebo już jaśniało.

– Ważne. Winienes zobaczyć, jak się jarzy. Musisz zorientować się, skąd wieje wiatr i trzymać się po stronie zawietrznej. Bywają noce, kiedy widać smugę oparu i dziurę, z której się dobywa.

– Czy nie lepiej, żeby ogień pozostawał uśpiony?

– Lepiej, ale cała niecka jest zakażona. Jedyna roślinność rośnie po odwietrznej stronie w stosunku do najczęstszego kierunku wiatru. Trzeba wybrać sobie miejsce tam, gdzie są rośliny, chyba że wiatr zmienił kierunek. Za kilka minut zobaczysz, co miałem na myśli.

Czuwali, póki słońce nie zalało wzgórze. Niecka robiła wrażenie martwej, jeśli nie liczyć skąpej roślinności u stóp urwiska. W tej chwili wiał od niej lekki wiatr.

Następnego dnia przywódcy Ducha Niedźwiedzia i Weejus spotkali się, by rozważyć zamiar Kucisawego, który chciał spróbować zalotów do Hongin Fuj a: Vurn w Pępku Świata i stawić czoło ukrytym ogniom Stopieli. Kardynał nie mógł uczestniczyć w naradzie, ale Chtir Hongan dwakroć opuszczał namiot narad, by zadać mu pytanie.

Pierwsze pytanie brzmiało: „Czy gotów jesteś traktować Wielką Klacz z taką samą czcią jak Najświętszą Pannę?”

Odpowiedź: „Tak, jeśli będę mógł się do niej zwrócić z modlitwą, którą zawsze odmawiam”.

Drugie pytanie, zadane godzinę później: „Jesteś świadomy, że jeśli cię odrzuci, nie zostanie uznana twoja władza nad chrześcijańskimi nomadami z żadnej hordy. Czy zrzekniesz się urzędu, na który powołał cię papież?”

Odpowiedź: „Jeśli starczy mi na to życia, tak”.

Hpnagan obrzucił go surowym spojrzeniem i wrócił na naradę. Kiedy było po wszystkim, szarf Dzikich Psów obwieścił, że kardynał spędzi czwartkową noc w niecce. W piątek szarf Dzikich Psów, Święty Szał, będzie zalecał się do Dzikokonnej, a czuwanie sobotnie przypadnie szarfowi Pasikoników, Dobrotliwemu Światłu. Pasikonik skarżył się, że z nich trzech tylko Hpnagan będzie miał pełnię od zmierzchu do świtu, ale Święty Szał wyjaśnił mu na osobności: „Jeśli znasz nieckę tak, że nie wpadniesz w kłopoty po ciemku, księżyc nie jest wcale twoim przyjacielem. W jasnym świetle księżycyca nie dostrzeżesz ognia piekieł, a jak wiesz, czasem można go nie ujrzyć nawet po ciemku. Być może chmury zakryją księżyc. Poświęć dnie na oglądanie ze wszystkich stron niecki hodowlanej. Będziesz musiał przemieszczać się zależnie od zmian wiatru”.

Następną noc spędził w niecce. Kopyt zaprowadził go na miejsce, z którego schodziło się w jej głąb. Księżyc, bliski pełni, znajdował się o zachodzie słońca po wschodniej stronie nieba. Kucisawy zabrał ze sobą pled, ale maty nie. Lepiej nie zasypiać, natomiast pled przyda się, bo po północy zrobi się tu zimno.

– Mój nauczyciel chce, bym spędził noc na szczycie urwiska i podsycił ogień – oznajmił młody wojownik. – Kiedy wiatr będzie się zmieniał, podniosę pochodnię. Wypatruj jej. Tam, w dole, możesz nie poczuć lekkiego powiewu.

– Czy to dozwolone?

Kopyt przystanął.

– Zacznę, kiedy wszyscy zasną, a zresztą nikt niczego nie zobaczy, bo zasłoni mnie skała. I tylko szarf Bram mógłby się sprzeciwić. Niech Bóg i Klacz mają cię w swej opiece, panie mój.

Wiatr przemykający w dół przez otwór krateru niósł z sobą wstęgi pyłu, który zakrywał gwiazdy, ale był to pył z prerii, nie z niecki. Kucisawy znalazł sobie miejsce w skąpej kępie roślinności, tutaj bowiem wiatr od diabelskiej dziury będzie wiał w przeciwnym kierunku. Był nadal bardzo zasmucony po spotkaniu z pełną goryczy niewiastą, z której łona wbrew jej woli wyszedł. Nim adoptowały go siostry, był dzieckiem gwałtu i nienawiści, lecz na jego wspomnienie siostr kładła się cieniem uraza, której nie czuł tylko do siostry Magdaleny („Rzeka w Łzach”), niegdyś z nomadzkiej Pasikoników, ta bowiem opowiadała mu bajki i przykładała wielką wagę do jego

kształcenia. Kiedy poślubił Serunę, żona przypominała mu Magdalenę. Teraz obie nie żyją. Czy odwiedzając ten i ów z kościołów rozsianych po terytorium Dzikich Królików, odwiedzi też sierociniec? Tęsknota czy uraza kazały mu o tym myśleć? „Lepiej nie” – uznał. Żadne z tych uczuć nie może mieć korzystnego wpływu na jego kościelne i polityczne plany.

Po chwili zaczął się modlić. Odmówił najpierw różaniec, pozwalając, by wzrok zatrzymał się przy plamie ciemności, wejściu do pieczary pod oświetlonym przez księżyc skalnym nawisem. Przemawiał łagodnie do plamy ciemności, ale nadal czuł na twarzy palącą jak kwas ślinę prawdziwej matki. Teraz przemawiał do tej innej Matki o niezliczonych imionach: Regina Mundi, Domina Rerum, Mater Del, Hongin Fujce Vurn, a nawet Sęp Wojny. Jej objawienia zawsze były związane z jakimś miejscem: Betlejem, Lourdes, Gwadelupa, no i to miejsce, Pępek Świata.

„Urodziłem się przy południowym krańcu Twojej dziedziny, Matko, i znam Twoje ścieżki. Nawet tutaj, gdzie ludzie są sługami tych, którzy zabrali Twą ziemię, dostrzegałem Twoje drogi. Miriam, Matko Jezusa, módl się za mną”.

Kopyt podniósł pochodnię, kiedy bliski zenitu księżyc zakryła chmura. W końcu ujrzał coś w rodzaju świetlistej poświaty nad dziurą w środkiem niecki i wokół niej. Przemieścił się o sto kroków od kierunku wskazanego przez płomień.

„Panie, zmiłuj się. Kyrie eleison”.

Na szczęście wiatr znowu wiał mu w plecy.

„Moja matka była niewiastą z plemion Dzikich Psów, Matko, mój ojciec wyrządził krzywdę jej i Twojemu ludowi. Spraw, by nie żył, jak nie żyje już dla mnie. Spraw, bym go nigdy nie odnalazł, bo wtedy go zabiję. Dawno temu, kiedy nie wiedziałem jeszcze, że jest dla mnie martwa, jej duch powiedział, bym tu przyszedł. Spełniłem jej życzenie. Porzuciłem swój lud. Przyjąłem wiarę, której nauczyły mnie siostry. Ale teraz stoję w końcu przed Tobą, Matko”.

Wiatr tej nocy zmieniał co i raz kierunek i kardynał ciągle musiał się przemieszczać.

„Chryste, zmiłuj się. Chrisie eleison”.

Znowu przeszedł w inne miejsce, żeby czuć wiatr na plecach, orientując się według błysków pochodni. Ani na chwilę nie przestał jednak przemawiać w kierunku pieczary.

„Mam rude włosy. Powiedziała im, że on też był rudy. Siostron, które ją przyjęły. I siostry wychowały mnie. Miriam, Matko Jezusa, módl się za mnie. Jeśliby żył, zabiłbym go. Ora pro me, Dzikokonna. Kyrie eleison”.

W ciągu tej nocy ujrzał ją jeden jedyny raz: kobieca postać, czarna na tle poświaty ognia z niecki. Ręce miała wzniesione niby skrzydła. Nunshan? Nie, była to postać młodej kobiety, a Nocna Wiedźma jest stara. Poznał po skrzydłach, że to z pewnością Grobnicha, Sęp Wojny. Kiedy wstał, zniknęła.

Amen Specklebird mówił o niej tak, jakby była czwartą osobą Trójcy Świętej, i to właśnie posłużyło frakcji Benefezajako jeden z pretekstów, żeby nie uznać jego wyboru na papieża. Papież, który głosi herezję, nie jest papieżem. Ale kiedy to powiedział, nie był nim jeszcze. Czy nadal będzie to mówił? Nie. Kucisawy był zaskoczony łatwością, z jaką starzec pełnił swą nową rolę. Niedowiarek nazwałby to obłudą, wierzący zaś dziełem Ducha Świętego, który chroni trzodę przed błędem.

„Ilu papieży trafiło do piekła?” – zaczął się zastanawiać. Kilku wymienił Dante, ale nie była to pełna lista. Bez wątpienia znalazł się na niej ostatni papież sprzed Potopu Płomieni.

Z tą myślą zasnął, gdyż księżyc skrył się za krawędzią krateru. Obudziła go jasność nieba i krzyk Kopyta. Wiatr wiał ze złej strony. Chwycił pled i pobiegł najszybciej jak mógł w stronę ścieżki prowadzącej na górę. Bez względu na wynik miał już próbę za sobą.

– Jeśli zachorujesz w ciągu tygodnia, umrzesz–przepowiedziała mu obojętnym głosem Weejus, która z nim rozmawiała. – Jeśli zaś nie umrzesz rychło, możesz spodziewać się, że skróciłeś sobie życie. Czy uprzedzili cię o tym?

– Oczywiście, pramatko.

Wypytała go bardzo dokładnie. Powiedział jej o kobiecie z wzniesionymi ramionami, którą widział w poświęceniu ognia piekielnego. Spojrzał na niego bacznie.

– Czy wiesz o Sępie Wojny? – spytała po dłuższej chwili milczenia.

- Słyszałem o Grobnisze.
- Sęp Wojny jest czerwony na niebie.
- Ona nie była na niebie.

Stara kobieta skinęła głową, co oznaczało koniec rozmowy. Wyrobiła już sobie opinię i poszła do namiotu narad. Po jakimś czasie Chiir Hpngan podszedł do niego i oznajmił, że Duch Niedźwiedzia zaakceptował go warunkowo jako chrześcijańskiego szamana. Warunkiem było to, że w najbliższych dniach nie zachoruje.

Kucisawy nie widział powodów do radości. Z Yalany przybył posłaniec z wiadomością, że Jarad kardynał Kendemin, opat Świętego Leibowitza, odszedł, by stanąć przed Sędzią. Przyszła też wieść, że papież wraz z całym orszakiem obozowali na ziemi niczyjej między obszarami Dzikich Psów i Pasikoników. Święty Szał łaskawie zaproponował, że przesunie termin spotkania Dobrotliwego Światła z Htpngin Fujce Vurn, aby Hultor Bram mógł wraz z towarzyszącymi mu wojownikami wyruszyć w sobotni ranek, spotkać się z Amenem i odprowadzić go do granic Cesarstwa.

Kucisawy postanowił pojechać z wojownikami na południe. Bram, który miał za sobą spotkanie z Klaczą, nie sprzeciwił się.

W sobotę wczesnym rankiem, godzinę przed wyruszeniem w drogę, kardynał Kucisawy pożyczył od ojca Ombroza chleb, wino, mszał i przenośny ołtarzyk. Chciał odprawić uroczystą mszę pontyfikalną. Z pewnością było to korzystne ze względów politycznych i widowiskowe, tyle że kardynał śpiewał nie za dobrze, a poza tym odprawił od czasu wyświęcenia nie więcej niż tuzin mszy.

- Czy zechcesz wysłuchać najpierw mojej spowiedzi? - spytał stary ignacjanin.

- Czy masz do wyznania jakieś popełnione niedawno grzechy?

Ombroz zrozumiał aluzję i zrobiwszy strapioną minę, potrząsnął głową. Wezwał Kopyta, swojego ministranta. Zwołali wszystkich chrześcijan i zaprosili tych spośród ludzi Ducha Niedźwiedzia i Weejus, którzy chcieli wziąć udział w nabożeństwie. I wikariusz apostolski Trzech Hord odprawił zwykłą mszę na prerii, owiany wiatrem niosącym dym z ognisk, które podsycano krowim nawozem. Kongregacja dzikich nomadów otaczała ołtarz, trzymając

się w bezpiecznej odległości. Zapewne liczba tych, którzy wystąpili, żeby przyjąć Eucharystię, przewyższała liczbę chrześcijan w obozie, ale kardynał o nic żadnego z nich nie pytał. Ci, których zaskoczył delikatny smak Ciała Chrystusowego, byli prawdopodobnie pogańskimi szamanami. Ani Sanual, ani Ombroz nie przystąpili do komunii. Po słowach *Ite missa est* tłum wydał z siebie radosne okrzyki, ale trudno się było domyślić, kto dał do nich hasło.

Najwyraźniej został jednak zaakceptowany jako najwyższy chrześcijański szaman ludu.

Monsignor Sanual znowu upajał się winem. Wszedł, żeby popatrzeć, jak odjeżdżają, i krzyknął w stronę kardynała, że poszedł za przegrany, że fałszywy papież nigdy nie wejdzie do Rzymu i że przyjdzie czas wielkiej żałoby dla Kościoła.

– Dziękuję za błogosławieństwo, wielbny prałacie – odparł kardynał.

Hultor Bram nie był jeszcze przygotowany na to, żeby zostać przyjacielem przyjaciela swojego rywala, ale miał za sobą złą piątkową noc w niecce i wiedział, że sprawozdanie, jakie złożył potem radzie Ducha Niedźwiedzia, zostało źle przyjęte. Weejus najwyraźniej podjęły już decyzję. Przyznał się swoim wojownikom, że jeśli Święty Szał nie spędzi w sobotę jeszcze gorszej nocy w Pępku Świata, urząd Qcesach dri Vordar przypadnie szarfowi Dzikich Psów. Jedyna pociecha, że starodawny urząd zostanie przywrócony i

Trzy Hordy znowu się zjednoczą.

Spostrzegł, że kardynał Kucisawy słyszał, co powiedział wojownikom, i spytał burkliwym głosem o przeżycia kardynała z Klaczą.

– Czy tamtej nocy zostałeś przyjęty na jej ogiera? – zapytał. – Czy w ogóle ją widziałeś?

Kardynał zawahał się.

– Nie jestem pewny, co widziałem. Człowiek przez wiele godzin patrzy na plamy ciemności i w końcu zaczyna coś widzieć, choć niczego tam nie ma.

– Czegóż tam nie było?

– Miałem wrażenie, że między sobą a plamą zamglonego światła widzę kobietę. Nie umiem jej opisać. Patrzyła na mnie, miała podniesione ramiona. Potem zniknęła.

– Jak Sęp Wojny?

– Wyjawili ci, co widziałem. Ja niczego takiego nie twierdziłem.

Bram skinął głową.

– Gdybym to zobaczył, byłbym już Qcesach dri Vordar. Ale ja rychło umrę.

– Jesteś chory?

– Zobaczyłeś Sępa Wojny. To twoja przyszłość. Mnie powiedzieli, że też zobaczyłem moją.

Bram roześmiał się i odjechał. Jeden z wojowników powiedział później kradyńskiemu, że Weejus uznali, iż szarf Pasikoników spotkał w niecce Nocną Wiedźmę, choć przecież – ciągnął – przesądzi w ten sposób sprawę na korzyść Świętego Szału, który może nie przeżyć próby niecki, on sam zaś nie wierzy, by Bram miał umrzeć wskutek pobytu w Pępku Świata.

Wojownicy byli nastawieni swawolnie. Bram obiecał im, że Kościół szczerze wynagrodzi ich za służbę w eskorcie. Kucisawy czuł się coraz bardziej nieswojo za każdym razem, kiedy o tej obietnicy wspomiano. Nic nie mówił szarfowi Pasikoników o pieniądzach. Może ktoś z Kurii złożył taką ofertę, nie wykluczone, że sam papież Amen.

Patrzył, jak wojownicy dokazują we wrześnieowym słońcu. Jeden z mężczyzn stanął na końskim zadzie. Drugi uczynił to samo i podjechał tak blisko pierwszego, że ten musiał usiąść w siodle, jeśli nie chciał runąć na ziemię. Wszyscy zarechotali z uciechy. Inny wojownik zsunął się po boku swojego ogiera, pod brzuch, a potem wyłonił się po drugiej stronie. Kiedy zrobił to po raz trzeci, rumak doznał erekcji. Mężczyzna wykonał swoją sztukę po raz czwarty i wtedy zobaczył, co się stało, szybko więc wgramolił się na siodło. Ktoś rzucił w żartach zniewagę i po chwili dwaj mężczyźni zwarli się w walce na noże. Hultor Bram podjechał, przez chwilę przyglądał się śmiertelnemu tańcowi, a potem poprawił wysoki skórzany hełm z herbem swojej pramatki i symbolem władzy szarfa wojny.

Trysnęła krew. Cięcie nie było głębokie, ale natychmiast padł rozkaz, by rzucili broń.

Dokończcie walki gołymi rękami – warknął szarf Hultor – albo w tej chwili jej zaprzestańcie. Słuchajcie uważnie! Żadnego zabijania wśród swoich! Jeśli któryś żywi urazę do swego druha, ma stłumić ją do końca tej wojennej wyprawy.

– Dlaczego nazwał to wyprawą wojenną? – spytał Kucisawy wojownika jadącego obok. – Przecież miała to być asysta honorowa.

Pasikoniki zawsze są w stanie wojny – oświadczył jeździec i spiął konia ostrogami, żeby oddalić się od tego farmera i chrześcijanina w czerwonym kapeluszu.

Rozdział 16

„Łóżka te jednak opat powinien często przeglądać, czy nie znajdzie w nich jakiejś własności mnicha. Gdyby u kogoś odkryto coś takiego, czego nie otrzymał on od opata, winny podlega bardzo ciężkiej karze”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział LV

„To trupa błaznów” – pomyślał komendant eskorty policyjnej. Trzydziestu siedmiu kardynałów jechało, tak samo jak papież, konno, a dwudziestu czterech dalszych siedziało w ciągniętych przez muły wozach, które podskakiwały na wyboistych bezdrożach krainy traw. Trzydziestu konnych policjantów z Denver i tyleż samo wojowników Dzikich Psów składało się na świtę wyprawy. Te dwa oddziały miały zawrócić, kiedy orszak dotrze do kraju Pasikoników i spotka jeźdźców szarfa Brama.

Na granicy rozbili obóz i czekali na pasikońskich wojowników. Amen Specklebird okazywał więcej cierpliwości niż inni. Namioty dostarczone przed dzikopsią eskortę były dość wygodne i papież wymagał, żeby kardynałowie codziennie odśpiewywali z nim laudę, mszę i nieszpory, a także odmawiali wspólnie inne modlitwy

kanoniczne. Większość przywykła mrużyć pod nosem kilka linijek każdego psalmu, i to nazywała odmawianiem brewiarza.

Wokół obozowiska wędrownej Kurii gromadziły się gromady zaciekawionych kobiet i dzieci Dzikich Psów i Pasikoników z pobliskich miejsc wypasu albo niecek hodowlanych, ale wojownicy dbali o zachowanie odpowiedniej odległości, obawiali się bowiem kradzieży. Wszyscy – poza być może samymi wojownikami – poczuli ulgę gdy na grzbiecie wzgórza pokazali się jeźdźcy Pasikoników, którzy wyrzekli się zwykłych igraszek i kłótni i przemieszczali się w typowym dla swego plemienia bitewnym szyku: przednia linia wysuwała się do przodu w coraz to innym miejscu, tak że przeciwnik miał trudności z rozszyfrowaniem ordynku. Przewyższali liczebnością wojowników Dzikich Psów, którzy porwali jednak włócznie i białą broń i popędzili w stronę swoich rumaków, ale Hultor Bram rozkazał swoim zatrzymać się i zakrzyknął: „W imię Fujce Go wzywam do pokoju”.

Cała Kuria patrzyła, jak kardynał Kucisawy opuszcza srogie szeregi i jedzie w kierunku obozu. Na spotkanie ruszył mu Amen Specklebird. Dźwignął kardynała, kiedy ten przyklęknął na ziemi, by pocałować pierścień Rybaka.

– Doszła nas, Elio, wiadomość, że Jarad jest z Chrystusem i nie powstał jeszcze z martwych.

Był to osobliwy sposób ujęcia sprawy, ale kardynał odparł:

– Wiedziałem, że będzie to pierwsza rzecz, o jakiej wspomnisz, Ojcie Świąty. Jeśli pozwolisz mi odejść sprzed twego oblicza, udam się teraz do Opactwa Leibowitzańskiego, by dzielić z mnichami żałobę.

Papież, stara czarna pantera, zrobił zdziwioną minę.

– Myślałem, że udajesz się na południe od Nady Ann, by dokonać wizytacji swoich kościołów w Prowincji.

– To także, Ojcie Świąty. Lecz oddziały teksarkańskie będą oczekiwały właśnie tego, że przekroczę Nady Ann, nie zaś Bajdos. Jeśli przybędę od zachodu, być może nie zatrzymają mnie. A wizyta w opactwie zajmie mi ledwie dzień lub dwa.

– Obłożymy ekskomuniką każdego w Prowincji, kto śmie tknąć cię choćby palcem. Ogłoszę to na piśmie. Masz odwiedzić Opactwo

Leibowitza, a następnie udać się na wschód, do krainy Dzikich Królików.

- Dziękuję. Potem chciałbym wyprawić się do Miasta Hannegana, Ojcie Świąty.

- Pojedziesz więc tam jako mój legat. List polecający zostanie opieczetowany moim pierścieniem. Dokument prześlę przez posłańca do opactwa.

- Wybacz, Ojcie Świąty, ale to może nie zrobić większego wrażenia na arcybiskupie i jego bratanku.

- Nie dam ci pozwolenia na męczeństwo, Elio.

- Czyż jest mi potrzebne?

Amen uśmiechnął się i zmienił temat.

- Co u naszych przyjaciół z Weejus i Ducha Niedźwiedzia? I jak ci się udało z tą ich jamą? Spędziłeś tam noc?

- To nieka hodowlana, Ojcie Świąty. Szczerze mówiąc, w mitach i opowieściach jest dużo przesady. Kilka wieków temu to miejsce musiało być niebezpieczne, jeśli jednak żadna choroba nie spadnie na Świąty Szał, uznam, że tamtejszy diabeł stracił dawną przebiegłość.

Te słowa wypowiedział, zanim podczas pobytu w Opactwie Leibowitza dostał ataku mdłości i osłabienia.

Po rozstaniu się z papieżem i Kurią, pojechał do Hultora Brama, żeby podziękować mu za grzeczność. Bram żalił się, że nie dostał żadnych pieniędzy. Kardynał zapewnił tylko, że nic nie wie o całej tej sprawie i powierzył ją trosce znudzonych prałatów z papieskiego otoczenia.

Żegnając się z nim, papież powiedział: „Dopatrz wszystkiego u Świątego Leibowitza, Elio. Każ im wybrać nowego opata i zatwierdź go w moim imieniu. Obecny przy naszej rozmowie kardynał Onyo potwierdzi, że udzieliłem ci takiej instrukcji, jeśliby ktoś później próbował to podważyć”.

Pożegnali się krótkim uściskiem. Kardynał obejrzał się na pasikońską eskortę. Wojownicy Dzikich Psów i valańscy policjanci przekazali Pasikonikom obszerne obozowisko, po czym Dzikie Psy wskoczyły na konie i pojechały na południe z lekkim zachodnim odchyleniem. Policjanci zostali przez jakiś czas na miejscu.

Późniejsi historycy sugerowali, że wojna, która doprowadziła do klęski papieżstwa, wybuchła, kiedy Amen Specklebird zgodził się na eskortę złożoną z dziewięćdziesięciu dziewięciu pasikońskich wojowników. Zostali oni zwerbowani przez Hultora Brama, oderwani od swych rodzin, wyszkoleni, wymusztrowani i zindoktrynowani przez Hultora Brama. Sedno sprawy tkwiło w tym, że szarf Pasikoników był wściekły na kardynała Kucisawego i przeniósł swoją złość na jego papieskiego zwierzchnika. Prefekt Domu Papieskiego oświadczył, że karawana nie wiezie żadnego złota, i wtedy dowódca oddziału policji przedstawił sytuację papieżowi.

Stolica Apostolska w Valanie podpisała z niektórymi rodami Dzikich Psów i Pasikoników umowę na wynajem w stacjach etapowych wypoczętych koni dla posłańców kościelnych, aby droga przez Równiny, od Republiki Denver do pogranicznych terenów rolniczych na wschodzie, trwała mniej niż dziesięć dni. Jedna przedsiębiorcza rodzina z Dzikich Psów i jedna z Pasikoników podjęły się przewozić pocztę przez Równiny. Była to konkurencja dla kurierów papieskich, lecz nie dla telegrafu Hannegana. Te rodziny otrzymały pewne przywileje – zarówno na piśmie, jak i w obrębie prawa hordy. Byłoby rzeczą przedwczesną twierdzić, że wyłoniła się nowa warstwa nomadzkich przedsiębiorców, lecz niektóre pramatki gromadziły kłopotliwe bogactwa, służąc wrogowi, to znaczy cywilizacji. Społeczeństwo nomadzkie zawsze wędrowało po nieogrodzonych obszarach za dzikim bydłem, a bogactwo i dobytek sprawiły, że osada stawała się mniej ruchliwa. Ale właśnie zgodnie z tą umową – taka była interpretacja Hultora Brama – spodziewano się zapłaty.

– Obiecaj, że dostanę wynagrodzenie później. – To tylko mógł powiedzieć papież Amen.

Po złożeniu Bramowi tej obietnicy papież i Kuria ruszyli na wschód pod kuratelą tych diabłów na koniach. Starsi spośród kardynałów szybko się męczyli, więc jechano cztery dni zamiast dwóch. Papież lubił wdawać się w pogawędki z prostymi ludźmi, przy każdej sposobności rozmawiał też z wojownikami z eskorty.

– Nasze plemiona są zagniewane – oznajmił mu jeden z nich. – Gniewa nas to, że Dzikie Psy dopuściły, by duchowni byli gośćmi świętego zjazdu hord. Był tam nie tylko kardynał Kucisawy, ale

także wysłannik arcybiskupa Benefeza. A ponadto Kucisawy przedkłada Osie Hpngana Chiira nad Hultora Brama.

Papież dostrzegł, że wojownik kurtuazyjnie odwrócił porządek wymieniania członów imienia Świętego Szału. To, że był zagniewany, nie przeszkadzało mu uznać politycznej woli pramatek, pogodzić się z faworyzowaniem przez nie szarfa Dzikich Psów, nadal uznawać, iż mają pełne prawo kontrolować sprawy wyborcze na Równinach. Urazę, jaką żywił do Kucisawego, przeniósł jednak na papieża i dlatego pojawiło się żądanie zaliczki.

Amen próbował go w tej sprawie uspokoić, ale tamten nie wyczerpał jeszcze listy skarg.

– Co więcej. Dzikie Psy zapewniły prałatowi Sanualowi wikt i dach nad głową.

– Myślałem, że człowiek Benefeza będzie wolał trzymać się delegatów Dzikich Królików – zauważył Specklebird.

– O tak, chciał. Wśród delegatów dzikokróliczego Ducha Niedźwiedzia byli chrześcijańscy księża. Ci delegaci czuli się zagrożeni tym, że zostaną uznani za marionetki Kościoła teksarkańskiego.

– Jest tylko jeden Kościół, synu.

Tak mijają im podróże.

Zgodnie z Traktatem Świętej Klaczy każdy farmer czy żołnierz cesarski, który wszedł uzbrojony na terytorium Pasikoników, może spodziewać się, że zostanie zaatakowany, a każdy uzbrojony nomada, który znajdzie się w odległości strzału z muszketu od granicy, będzie zastrzelony. Kiedy więc orszak papieski pokonał wzgórze, z którego widać było graniczny posterunek, Hultor Bram i jego ludzie zatrzymali się. Wojownicy nadal skarżyli się swojemu wodzowi na brak wynagrodzenia, ale szarf miał głowę zaprzątniętą starciem czekającym go przy przekraczaniu granicy.

– Zostaniecie w ten czy inny sposób wynagrodzeni – zapewnił. – Może nawet wcześniej, niż myślicie.

Kiedy orszak prałatów zbliżył się do bramy. Amen Specklebird wysiadł z powozu i strząsnął pył Równin ze swej białej sutanny. Podeszedł do oficera, który stał z założonymi ramionami na środku drogi. Po obu jego stronach stanęli dwaj żołnierze z dwulufowymi strzelbami załadowanym zapewne grubym śrutem.

- Z rozkazu Hannegana nie możesz jechać dalej – oświadczył oficer. – Jeśli spróbujesz, zostaniesz bezzwłocznie aresztowany.

- Nie zagrażaj mi drogi, synu. Nie sprzeciwiaj się woli Boga.

- Wskaż mi, co jest wolą Boga.

- Podnieś prawą nogę i spójrz.

Oficer wykonał polecenie i nagle jego twarz oblał rumieniec.

- Widzę cień mojej prawej stopy – oświadczył, udając, że nie widzi końskiego łajna, w którym odcisnął się jej ślad.

- Jego woła już się stała – oznajmił Specklebird. – Szkoda.

- Co za bzdura! I to nazywają twoją mądrością, czy tak? Proszę wybaczyć, lecz dla mnie to jak wrzód na dupie, Wasza... hmmm... Świątobliwość. Nie sądzę też, by dostojnemu naczelnikowi sprawiło to radość. Czemu nie powiesz czegoś nowego i w języku OPzark?

Amen uśmiechnął się do niego i wskazał na słońce, zerkając na nie z ukosa. Pułkownik zamrugał, ale powstrzymał się przed spojrzeniem we wskazaną stronę.

- Nieźle pomyślane, starcze. Zdaje się, że frant może być biegły albo marny. Ty jesteś wcale niezłym.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób, synu, ale moje stanowisko tego ode mnie wymaga, nieprawdaż?

- Nie wiem, czy splunąć na ciebie, czy też paść przed tobą na kolana, stary błaznie. Ale

lepiej nie ściągaj sobie na głowę kłopotów i wracaj skądś przybył.

- Pułkowniku, po cóż popadać w takie skrajności?

- Co nazywasz skrajnością?

- Pluć na Boga lub klękać przed nim.

- Otrzymałem wyraźny rozkaz od samego Hannegana. W siadź do powozu, zawróć i wracaj do Valany, albo trafisz do Miasta Hannegana i staniesz przed trybunałem, oskarżony o herezję. Jeszcze słowo, a złożę zeznanie w sprawie wszystkiego, coś tu powie działał.

- Bądź błogosławiony, synu. Dziękuję ci.

Pułkownik parsknął, po cichu powiedział coś z irytacją kapitanowi, a potem wskoczył na konia i odjechał. Kapitan wycelował pistolet kawaleryjski w szczupłą, ciemną twarz papieża.

Dwaj kardynałowie ujęli go pod ramiona, trzeci zaś pchnął go w stronę orszaku.

W ten sposób droga do Nowego Rzymu została zamknięta przed jego biskupem.

Wojownicy Pasikoników rozstąpili się, żeby umożliwić im przejście, ale nawet nie spróbowali odprowadzić ich do wozów – także wtedy, gdy Golopez kardynał Onyo skinął na Brama. Ten zmarszczył tylko czoło i potrząsnął głową. Jego wojownicy stali bez ruchu i patrzyli, jak orszak papieski zmienia się w obłoczek kurzu gdzieś w zachodniej stronie. Zmęczona karawana Amena (spora część Świętego Kolegium) miała przed sobą długą drogę powrotną. Skądś zza pleców dobiegły okrzyki i odgłosy strzałów, ale prałaci nic nie mogli tu zrobić, sam zaś papież Amen był nieco głuchawy. Wędrowali od wysepki lasu na wschodzie, przez obszary zarośli i wysokiej trawy, potem przez otwarte tereny trawiaste, skwarnymi dniami i zimnymi nocami, po prawie pustynnej krainie, pod koniec tu i ówdzie nawodnionej, aż dotarli wreszcie do gór. Po drodze przyjmowali jałmużnę od nomadów, a pewnego razu dogonili ich wysłannicy niecki hodowlanej.

Chiir Osie HOngan poślubił Fujce Go. Nowy Qcesach dr i Vordar, Władca Trzech Hord, małżonek Dziewicy Dnia, przyklęknął, by pocałować papieski pierścień i na Boga i Najświętszą Pannę zaprzysiął wieczne poddaństwo Jego Świątobliwości.

Zanim się rozstali, Golopez kardynał Onyo poprosił Święty Szał na bok i opowiedział o zachowaniu szarfa Hultora Brama, kiedy oddalali się od granicznego posterunku.

– Nie wrócili z nami. Słyszałem strzały i okrzyki. Nie jestem pewny, ale sądzę, że doszło do walki.

Pan Trzech Hord, siedząc na swoim rumaku, zaczął marszczyć powoli czoło.

– Jeśli uczynił, niestety, to, co myślę, dostanę jego głowę.

– Papież o niczym nie wie – wyjaśnił Onyo.

– Poślę zaraz kogoś, by zbadał sytuację.

Wydał rozkaz i zawrócił w stronę niecki hodowlanej. Jeden z żołnierzy pojechał na wschód.

A było co zbadać. Tego dnia na granicy eskorta Pasikoników, trzymająca się pół mili od tego, co się tam działo, nagle wykonała

manewr. Gdy tylko kurz po przejeździe papieskiego orszaku opadł za wzgórzami, szarf wojny Hultor Bram rozkazał swoim dziewięćdziesięciu dziewięciu doborowym wojownikom dobyć broń i ruszyć w stronę Nowego Rzymu. Chcieli wyjechać szerokim łukiem od południa na drogę do Miasta Hannegana, zamykając przejazd pułkownikowi, który odmówił przepuszczenia papieża. Zginął jako jeden z pierwszych spośród wielu żołnierzy, którzy mieli polec tego dnia.

Skręcili znowu na północ. Szybko, ale na krótko wjechali na drogę do Rzymu. Urodzeni w siodle, podobni do zwierząt jeźdźcy przebili się przez teksarkańskich lekkokonnych, zostawiając za sobą rozciągniętych na ziemi, naszpikowanych strzałami i pokrytych ranami żołnierzy. Wolno ładowana broń palna nie była równorzędnym przeciwnikiem dla szybkich i celnych łuków. Wielu Pasikoników używało zdobycznej broni białej, ale tylko jako oręża pomocniczego. Nomadzcy wojownicy, dosiadający szybszych i lepszych koni, byli dla niewprawnych kawalerzystów jak prawdziwi jeźdźcy Apokalipsy, jak dziewięćdziesięciu dziewięciu jeźdźców Apokalipsy pod wodzą istnego diabła. Nie zapłacono im, gdyż nie zabrano ze sobą papieskiego skarbcza. Porąbali żołnierzy na kawałki, zabili stu czterdziestu sześciu farmerów, zgwałcili ich żony i córki, siostry i matki, także synów, a następnie przebili się z powrotem do granicy przez świeże, ale niedoświadczone oddziały posiłkowe, o tak, przebili się wszyscy, trzydziestu trzech upojonych adrenaliną jezdnych, wyczerpanych, na czele z zamyślonym wodzem, który miał kontuzjowaną nogę. Ale juki przy siodłach napęczniały i kiedy znaleźli się z powrotem na Równinach, sporządzili z dwóch dragów sianie, by załadować część łupu. Tak, teraz mieli swoją zapłatę.

Wypad był piekielnie korzystny dla tych, którzy przeżyli i wracali do wypatrujących ich i wdzięcznych żon, których serca i podbrzusza drżały z niepokojem i nadzieją, oczekując na utrudzone i zwiędłe członki mężów. Ileż miłosnej pomysłowości musiał okazać tej nocy wojownik, by przekonać swą małżonkę, że wraca z bitwy spragniony jej miłosnej nagrody. Większość uskarżała się na bitewny znój i kładła się spać samotnie.

Udział w wojnie to największa rozkosz, i nie ma co do tego wątpliwości. Nawet jeśli jest tylko jedna szansa na dwie, że nim

człowiek polegnie, uda się mu gwałcić, kraść i podpalać pełne świeżo wysuszonego siana stodoły.

Ten wrześniey wieczór był w obozowisku rodu matki szarfa czasem zarówno świętowania, jak żałoby. Okrzyki wojenne niemal zagłuszyły płacz kobiet.

„Rozpalam ogień! Rozpalam ogień!”

Była to królewska dewiza na sztandarze Hultora Brama. I nikt nie wątpił, że był to policzek z rozmysłem wymierzony nowemu włodarzowi Hord, którego wysłannicy dotrą tu w ciągu najbliższych dwóch dni. Rankiem po wieczornym świętowaniu kilka wdów zaniósło swe skargi Weejus i Duchowi Niedźwiedzia Pasikoników. Przed oblicze rady wezwano Brama. W milczeniu wysłuchał oskarżeń i nie próbował się nawet bronić.

Do wypadu pod dostojne mury Nowego Rzymu musiał natchnąć go sam szatan, ponieważ było to złamanie Traktatu Świętej Klaczy i oznaczało stan wojny między Teksarkiem a Pasikonkami. Wszyscy jednak dobrze się bawili – poza poległymi, zgwałconymi i trwale okaleczonymi. „Na wojnie, Bóg wie, tak już jest!” – powiedziałyby stary Tempus.

Dzięki telegrafowi nowina o wypadzie Hultora Brama dotarła do Yalany długo przed

przybyciem papieża, tego papieża, który nie miał pojęcia o tym, co się stało kilka mil za jego plecami – poza tym, że nomadzka eskorta przepadła bez śladu i słycać było jakieś krzyki i strzały. Kiedy wreszcie dotarł do Valany, musiał stawić czoło teksarkańskim oskarżeniom o to, że on sam albo Sekretariat Stanu wydał nomadom rozkaz ataku.

W następstwie tych wydarzeń podczas krótkiego i nieszczęśliwego pontyfikatu papieża Amena Specklebirda wydano w Valanie więcej aktów legislacyjnych niż, w podobnym okresie, za któregokolwiek z papieży po ubiegłowiecznej schizmie. I nic w tym dziwnego. Ponieważ zabrakło taksarkańskich sprzymierzeńców, Kuria osiągała jednomyślną zgodę na propozycje nowych doradców papieskich, którym przewodniczył Sorely Nauwhat, jako że Elia Kucisawy był gdzieś w drodze. Sorely pod wieloma względami przypominał Kucisawego. To wszystko nie oznacza zgoła, że Kuria

rządziła Amenem. Wspomniał coś o zrzeczeniu się tiary, ale najpierw muszą być ogłoszone rozmaite papieskie dokumenty.

W bulli *Unita ex Adam Orta Progenis*, po tych pierwszych słowach, papież raz jeszcze potwierdził, że nikogo z ludzkiego rodu nie można uważać za istotę nie w pełni ludzką i że genokom nie można odmawiać równych uprawnień, powołując się na prawa kościelne lub państwowe. Prawo nie może też zamykać dzieci papieża na określonych terenach, na przykład w Dolinie. Jednocześnie zakazał wykorzystywania ich jako niewolników w obozach drwali w OPzark. Nie było w tej bulli nic nowego poza tym, że potępił zapisywanie przez Kościół rodowodu na świadectwie chrztu, albowiem tego rodzaju dokumentacja była wykorzystywana w nieuczciwy sposób przez wiele państw. Od cudzoziemca żądano udowodnienia, że nie jest mamidłem, które chce uchodzić za człowieka normalnego. „Władcy, którzy kierując się względami politycznymi, wykorzystują ludzki strach przed osobami obciążonymi dziedzicznymi defektami i grzeszą przeciwko nim, wydając niesprawiedliwe prawa i podżegając tłum do aktów przemocy, winni być uznani odpowiedzialnymi za to zło. Tym samym sankeja ekskomuniki, którą nasi Poprzednicy obłożyli tych, co wazyli się wbrew woli Boga zadawać gwałt tak zwanym dzieciom papieża, zostaje niniejszym potwierdzona”. Bulla kończyła się klauzulą, w której określono kary za pogwałcenie jej litery i ducha, i rozciągnięto je na przypadki gwałtów zadawanych pod pretekstem działań zgodnych z prawem. Napisano ją językiem prawniczym, ale jej przesłanie wyszło z pewnością od Amena Specklebirda.

Bez żadnej pomocy ze strony Kurii spisał swym własnym, pająkowatym pismem *motu proprio* (na swoją osobistą odpowiedzialność), ubolewając nad tym, że Kościół oddala się od swej liturgicznej czci dla theotokos (Bożej Rodzicielki). Nie musiał wskazywać, które obszary duchowości Kościoła wymagają pod tym względem reformy. Biskupi społeczności patriarchalnych mieli skłonność do potępienia mariolatrii panującej na Północnym Zachodzie, co Amen Specklebird pośrednio zaaprobował w swojej mowie do kardynałów zebranych na konklawe, zanim (podkreślali to jego zwolennicy) został wyniesiony na tron papieski i zyskał dar nieomyślności w swych wypowiedziach *ex cathedra*. W *motu proprio*

zabrakło jednak definicji i wskazania sankcji karnych, jakich oczekuje się od nieomylnych wypowiedzi papieża. To wystąpienie było tylko trochę czymś więcej niż pełną zniecierpliwienia odpowiedzi udzieloną najgłośniejszym krytykom i poetyckim hołdem złożonym Matce Wszechrzeczy.

Prawo mówiące o zrzeczeniu się papieża tiary, wydarzeniu, które miało miejsce przeciętnie raz na tysiąc lat, zostało przez papieża przejrane i uporządkowane. Zarządził, by rezygnację składał tylko człowiek, nie zaś papież. Człowiek, który jest papieżem, może wstać z Tronu Piotrowego, zdjąć swe szaty i słowami „Nie mamy papieża” obwieścić sede vacante, a następnie odejść, jakby opuścił go Duch Święty. Nie może być za to podziwiany, ale nie może też być ukarany, chyba że po jakimś czasie się rozmyśli. Specklebird nalegał na wprowadzenie tych zmian w istniejącym prawie, a Hilan kardynał Bleze próbował przemycić jeszcze dalsze. Wydawało się, że kładzie to kres staremu sporowi wokół twierdzenia, że zrzeczenie się tiary jest niemożliwe.

„Planuje własne odejście” – zauważył Nauwhat, ale zgodził się na wprowadzenie zmian.

Dobrotliwe Światło nosił w sobie piętno śmierci. Nosił je od czasu, kiedy Weejus powiedziały mu, że w niecce widział Nocną Wiedźmę. Przepowiedział swą śmierć w rozmowie z kardynałem Kucisawym. Zachorował dwa tygodnie po próbie w Pępku Świata. Kiedy szamani Dzikich Psów przybyli na naradę ze swoimi pasikońskimi odpowiednikami, wiedział już, jaka decyzja zapadnie. Zaproponował, że podda się dobrowolnie ofiarnej śmierci, pod warunkiem, że jego młodszy brat, Eltiir Bram (Diable Światło), zajmie jego miejsce jako szarf wojny Pasikoników. W przeciwnym razie sam odbierze sobie życie. Weejus z obu hord naradzały się i zasięgały rady wszystkich pramatek. Eltiir cieszył się zasłużoną sławą jako wojownik, a nie brał udziału w wypadzie i w przeciwieństwie do swego pełnego gorczy brata był znany z powściągliwego temperamentu. Pramatki wypytały swych synów i bratanków o gotowość pójścia za Elturem. Gorączka bitewna wygasła w obozie Pasikoników i nawet trzydziestu trzech niedobitków, którzy wrócili z wypadu, zrozumiało, że Hultor Bram dopuścił się zdrady Jusach dri Vprdar. Polecono im dokonać

rytualnego oczyszczenia przez siedmiodniowy post, ale żadne inne kary za posłuszeństwo wobec szarfa nie spadły na ich głowy.

Ustalono, że Hultor Bram nie zostanie uhonorowany rytualnym pogrzebem, jaki miał prawuj Dzikich Psów, Złamana Stopa. Ponieważ wrócił z tak wielkimi stratami, większość pramatek była zagniewana. Jedna z nich powiedziała: „W mojej niecce jest dziki ogier i zamierzam go wypuścić”.

Wszystkie spojrzały na nią i natychmiast podjęto decyzję w sprawie rodzaju śmierci, jaka czeka Hultora.

Chcąc zapobiec rozmnażaniu wsobnemu Weejus łączyły czasem swoje klacze z dzikimi ogierami, których mężczyznom nie wolno było tykać. Weejus miały własne sposoby podchodzenia dzikiego ogiera. Trwało to zwykle kilka tygodni, czasem miesiący. Kobieta stopniowo dołączała do dzikiego stada, trzymając się daleko i od strony wiatru. Powolutku przysuwała się coraz bliżej, póki nie zauważył jej przewodzący ogier. Wtedy spokojnie, ale szybko odchodziła. Konie zaczynały traktować ją jak fragment terenu. Wreszcie wojownik z jej rodziny przynosił Weejus dzban moczu od pochodzącej z jej reniudy klaczy w okresie rui. Wcierała w siebie ten mocz i podchodziła jak zwykle do stada. Kiedy ogier, przywódca stada, ożywiał się i ruszał w jej stronę, znowu się oddalała. Powtarzała ten manewr aż do chwili, kiedy mogła spokojnie wejść między pasące się konie. Po jakimś czasie dokonywała wyboru mustanga i zaczynała podsuwać mu łakocie. Potem zakładała mu sznur, uspokajała go i przymilała się. Na koniec wabiła go, żeby pokrył jej klacze, potem zaś wypuszczała na wolność. W ten sposób unikano chowu zbyt wsobnego, zawsze jednak okazując szacunek dzikiemu zwierzęciu. Weejus uwodziła go, ale ani go nie dosiadała, ani nie próbowała oswoić. Jedyny kłopot polegał na tym, że taki ogier przestawał bać się ludzi i mógł zostać schwytyany przez jakiegoś łotra.

Aby koń stał się znowu dziki i pełen ostrożności, trzeba było złożyć dawnego szarfa wojny Hordy Pasikoników w ofierze Władcy dzikich koni: uwolnione zwierzę miało wlec go na długim sznurze, póki nie umrze.

Rozdział 17

„O chorych należy troszczyć się przede wszystkim i ponad wszystko i służyć im rzeczywiście tak, jak Chrystusowi, bo On sam powiedział: «Byłem chory, a odwiedziliście Mnie» (Mt 25, 36)”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział XXXVI

Abiquiu Olshuen, mimo że wszyscy przyjęli za pewnik, że po stosownym okresie żałoby zostanie wybrany na opata, podejmował na razie decyzję tylko w drobnych sprawach i w sprawowaniu władzy ograniczał się do uprawnień, jakie dawało mu stanowisko przeora. Wskazał więc Czarnozębowi i Żółtej Gwardii kwatery przeznaczone dla gości, zaprosił ich do codziennej cztero- albo pięciogodzinnej pracy fizycznej, Nimmy'emu zaś kazał dołączyć podczas nabożeństw do innych mnichów zasiadających w chórze, ale nie przyjmować komunii bez wyraźnego zezwolenia ze strony spowiednika, to jest jego samego.

Kiedy Czarnoząb wyjawiał mu, że cudzoziemscy gwardziści są nie tylko chrześcijanami, ale złożyli nawet śluby zakonne, Olshuen poczuł się zbity z tropu. Wezwał rekonyliatora Leviona, żeby zasięgnąć jego rady, i we trzech, wraz z Czarnozębem, długo radzili nad statusem, jaki należy przyznać obcym. Olshuen i Levin czuli się nieswojo na myśl, że zawodowi zabójcy złożyli zakonne śluby, Nimmy zaś wiedział w gruncie rzeczy bardzo mało o ich wierzeniach i praktykach religijnych. Przypomniał jednak Olshue nowi, że kilka stuleci temu mnisi od Świętego Leibowitza bronili z orężem w dłoni swego klasztoru, o czym świadczyły parapety murów i zardzewiała broń spoczywająca w zaryglowanym podziemnym arsenale, do którego klucz miał teraz tylko sam Olshuen.

Czarnoząb czuł się nieswojo, patrząc na suknie Leviona. Mnich przyjął święcenia kapłańskie. Choć nie czuł niechęci do tego człowieka, wyobrażał sobie, że rekonyliator jako spowiednik byłby jedną z udręk jego osobistego piekła. Czarnoząb niewiele się zmienił

od czasu opuszczenia opactwa, lecz wystarczyła i ta niewielka zmiana, jaka w nim zaszła dzięki służbie u kardynała i studiowaniu sztuki walki pod kierunkiem Topora, by czuł teraz mniejszy lęk przed takimi ludźmi, jak Olshuen i Levion. Świadomość, że umiejętność zabijania daje człowiekowi poczucie pewności siebie, nawet kiedy znajduje się wśród ludzi, których lubi i szanuje była dlań wstrząsem.

– Czemu rozmawiacie ze mną, nie zaś z nimi? – spytał ojca Leviona, swego byłego przewodnika duchowego.

– Próbowałem, bracie od Świętego Jerzego, lecz z trudem ich pojmuję. A ty?

Lękając się, że przyjdzie mu pełnić rolę tłumacza, Nimmy potrząsnął głową.

– Uczą się języka kościelnego, ojcze. Byłoby dobrze, gdybyś zechciał pomóc im poprzez częste rozmawianie z nimi. z pewnością bowiem będziesz robił to lepiej niż ja.

Potem starał się zdusić w sobie uczucie samozadowolenia. Wkrótce zaproszono obcych chrześcijan do wspólnej modlitwy z braćmi od Świętego Leibowitza. Z udzielaniem im komunii postanowiono jednak poczekać do chwili, kiedy ich zrozumienie tutejszych form katolicyzmu zostanie potwierdzone przez katechetów i spowiedników. Olshuen, nadal nie wybrany na opata, lękał się niezadowolenia Valany, niewiele bowiem wiedział zarówno o charakterze Amena Specklebirda, jak i członkach tej żółtoskórej wojennej grupy z orszaku zmarłego kardynała Ri.

Nimmy'ego wyznaczył do zmywania naczyń i szorowania podłogi w kuchni. Wędrowny mnich nie cieszył się szacunkiem swych byłych przyjaciół i wolał unikać przejawów ich miłosierdzia. Opat Jarad powiedział im widać niewiele, albo i nic, o jego pracy dla kardynała Kucisawego, i chyba tylko Olshuen coś tam wiedział, ale zbyt mu to nie imponowało. Jeśli nawet brat Śpiewna Krowa wyjawiał komuś, że Czarnoząb był jednym z pełnomocników Kucisawego, kiedy wybierano Amena, nikogo to nie obeszło. W opactwie poświęcano się modlitwie i sprawowaniu pieczy nad spuścizną. Z rozmysłem ograniczano zainteresowanie światem zewnętrznym. Nimmy był wdzięczny, że nikt nie śmiał się mu w twarz ani nie mówił o nim na tyle głośno, by mógł to usłyszeć.

Opactwo Leibowitzańskie odwiedzało o tej porze roku wielu gości, a w hospicjum było ledwie tuzin odpowiednio wyposażonych cel. Któregoś wieczoru, kiedy Czarnoząb wrócił po niesporach do siebie, zobaczył, że w jednej z pustych rankiem cel pali się lampka. Zerknął przez małe drzwi służące jednocześnie za okno i zamarł. Na łożu spoczywał, wspierając się na spiętrzonych poduszkach, blady i wymizierowany kardynał Elia Kucisawy. Czarnoząb wtulił czoło w kratę, żeby lepiej przyjrzeć się choremu prałatowi, swemu byłemu i przyszłemu przełożonemu.

– To ty, Nimmy? Zastanawiałem się, gdzie się ukrył. Wejdźże!

– Nie wyjawiono mi, że tu jesteś, panie mój.

Czarnoząb padł na kolana i pocałował pierścień Kucisawego.

Wyczuł, że kardynał wzdrygnął się wewnątrz, postanowił więc nie składać drugiego pocałunku.

Dwa dni później do opactwa przybył Ónmu Kun. Nimmy uznał, że to po prostu osobliwy zbieg okoliczności, ale potem zobaczył, że wyrzutka z plemienia Dzikich Królików zaprowadzono od razu do chorego kardynała – zanim jeszcze pokłonił się przeorowi. Spędzili już kilka godzin na rozmowie, kiedy Nimmy przyniósł im z kuchni wieczorny posiłek. Ónmu zachowywał się przyjaźnie, ale obaj zamilkli, gdy tylko wszedł Czarnoząb, i podjęli rozmowę dopiero po jego wyjściu. Przemytnik znowu wędrował z Prowincji do Nowej Jerozolimy, ale zamierzał pozostać tutaj, póki Kucisawy nie dojdzie do siebie. Potem zresztą gościł w klasztorze jeszcze przez jakiś czas.

Od samego początku nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Olshuen zostanie wybrany na opata, duchowego ojca i rządcę Zakonu Świętego Leibowitza, ale Kucisawy pozwalał, by przeor snuł pełne niepokoju myśli związane z władzą confirmacyjną, jakiej udzielił kardynałowi papież, i Olshuen wyraźnie doszedł do przekonania, iż powrót kardynała do zdrowia musi być najważniejszą troską opactwa.

Na razie Czerwony Diakon cierpiał z powodu nudności i osłabienia. Nie miał apetytu. Próba zwymiotowania jadła kończyła się zwykle skurczami żołądka. Kiedy tylko wstawał z łóżka, czuł zawroty głowy. Brakowało mu tchu i przy lekkim nawet wysiłku serce ruszało w szaleńczy galop. Czarnoząb poprosił, by zwolniono go z obowiązków w kuchni, gdyż dzięki temu będzie mógł zajrzeć do

czcigodnego Boedullusa, albowiem ten szacowny autor pisał o Stopieli, niecce hodowlanej, i o chorobach, na jakie zapadano wskutek panującego tam promieniowania. Zapamiętał przepis na zupę zwaną „wzywajadą”, która zdaniem dawnych mieszkańców Równin była przydatna przy leczeniu.

Przeor Olshuen odmówił najpierw zwolnienia Czarnozęba z kuchennych obowiązków, gdyż brat medyk nie chciał korzystać z pomocy kogoś takiego jak Nimmy. Kiedy jednak Kucisawy dowiedział się, że przeor wyznaczył wędrownego mnicha do najniższych posług, wezwał Olshuena do swego łoża boleści i okazał mu, jak bardzo jest niezadowolony. Napomknął nawet o tym, że mogą być kłopoty z zatwierdzeniem wyboru, jeżeli przeor będzie uparcie tkwił w Jaradowym błędzie.

– O jaki błąd chodzi. Eminencjo?

– O wciskanie stopą karku Nimmy’ego w ziemię, cholerny głupcze!

– Przecież wszyscy wykonujemy prace fizyczne, pomyślałem więc... – Zrezygnował z kontynuowania swojej myśli, zobaczył bowiem, że Czerwony Diakon zaraz wybuchnie.

W ten sposób brat Czarnoząb został zwolniony z prac kuchennych i przydzielony do dyspozycji kardynała.

Przeczytał raz jeszcze Boedullusa, a potem naradził się z bratem medykiem i bratem kucharzem. Kardynał zechciał wyrazić zgodę na przestrzeganie ścisłej diety opracowanej przez tych konsultantów. Dwa razy dziennie zjadał jabłko, w którym przez trzy dni tkwiły żelazne ćwieki. Przepis na wzywajadę wymagał spożywania wyłącznie narządów wewnętrznych. „Wszystkiego, czego nie zje pies” – oznajmił kucharz zrzęda, myśląc się w tej sprawie całkowicie, w każdym razie według pasterzy, których psy zjadały ze zwierzęcia wszystko poza rogami i kopytami – oczywiście jeśli się im pozwoliło. Według recepty należało użyć dzikiej cebuli i drobnego dzikiego pieprzu. Wonna, dzika cebula rosła tylko nad rzekami, a w pobliżu opactwa żadna rzeka nie przepływała. Kucharz użył więc cebuli z warzywnika, a chociaż pasterze klasztorni znaleźli podczas chodzenia za stadami nieco dzikiego pieprzu, uznano, że ostry pieprz ogrodowy będzie odpowiednim substytutem, mniemano bowiem, że moc uzdrawiająca tkwi przede wszystkim w cienko

posiekanych ozorach, wątrobach, sercach mózdkach, nerkówkach, nerczkach i flaczkach. To wszystko należało dusić w żelaznym rondlu, z dodatkiem kapki czerwonego wina albo winnego octu. Oryginalny przepis wymagał cielęcina, nie zaś jagnięcia, lecz tego roku nie ocieliła się żadna z klasztornych mlecznych krów. Ponieważ co tydzień trzeba było zabić dwie młode owce, by mieć odpowiednią ilość narządów, mnichom pozwolono jeść gulasz barani, a nawet zachęcano ich do tego, choć leibowitzańska dieta zwykle nie uwzględniała czerwonego mięsiwa. Najpobożniejsi z mnichów woleli pościć, kiedy podawano baraninę, lecz wielu nowicjuszy jadło ją ze smakiem (to znaczy ze smakiem pieprzu i czosnku) i bez wyrzutów sumienia.

W drugim tygodniu kardynałowi nieco się poprawił apetyt.

– Wiesz, Nimmy, ten gulasz jest właściwie dość smaczny. Zapytaj kucharza, z czego go przyrządził.

– Wątpię, byś naprawdę chciał to wiedzieć, panie mój.

– Tak sądzisz? A z czego wzięły się te dziury i brunatne smugi w jabłkach? I po co upierają się przy karmieniu mnie pestkami dyni?

– W jabłka wbija się żelazne ćwieki. Czcigodny Boedullus uważał, że to dobrze wpływa na krew. Mamy paździenik i dynie już dojrzały.

– Ale czemu tylko pestki? Znowu ten Boedullus, prawda? To ten, któremu dodałeś przypis? Ale nie na temat pestek dyni.

– To był Dureń, ale widać taki mój los, że nigdy już nie wymażę tego z mojego życia.

– Nie rób takiej zbolalej miny. To nie ma nic wspólnego ze mną. Opowiedz o pobycie w Nowej Jerozolimie.

– Ona umarła, panie mój.

– Edrea? Przykro mi. Była zdolną młodą damą. Oczywiście nazbyt skorą do psot. Myślisz, że zdołasz o niej zapomnieć?

– Nigdy.

– Czy zaczerpnąłeś z tego jakąś naukę?

– Tak.

– Masz więc do wyboru: albo pojedziesz ze mną na Wschód, albo zostaniesz tutaj w swoim zakonie.

– Pojadę, panie mój. Dziękuję. To miejsce stało się dla mnie okazją do grzechu. Zbyt często wpadam tu w nieuzasadniony gniew.

- Daruj sobie podziękowania. Ta podróż będzie zapewne niebezpieczna. I zmarzniesz! Nie dotrzemy do Miasta Hannegana przed zimą. Jak myślisz, czy zdołasz nakłonić któregoś z gwardzistów kardynała Ri, żeby się z nami wyprawił?

- Nakłonić? Nie pojmuję. Uważają cię za swojego pana, a nawet właściciela.

- Wiem. Dlatego nie wydam im żadnego polecenia, póki nie wybiją sobie z głowy tego niewolniczego podejścia.

Nimmy bez trudu zwerbował osobistego strażnika dla kardynała. Wszyscy marzyli o wyjeździe.

- To niemożliwe – oświadczył im. – Będziemy podróżować pod fałszywymi papierami. Ten, który z nami pojedzie, będzie musiał ukryć broń w macie do spania i chodzić w sutannie.

Wooshin wyjawiał mu, że najlepszym wojownik jest wśród nich Qum-Do, ale Nimmy wybrał Weh-Geha, najmniejszego, który miał skórę jakby lekko brunatną. Tylko on sam potrafiłby odróżnić go od miejscowej ludności.

Zanim do opactwa dotarły zapieczętowane dokumenty i list od papieża, Kucisawy był gotów do wyjazdu na wschód, do Prowincji, a potem do Miasta Hannegana. W liście było niewiele o wypadzie Hultora – poza tym, że do czegoś takiego doszło i że winą obarczono papieża. Kardynał napisał odpowiedź, w której błagał Amena, by nie zrzekał się tiary, póki on, Kucisawy, nie wróci z cesarskiego dworu. List nadano w Sanly Bowitts wraz z opacką pocztą, którą posłaniec zabierał raz na dziesięć dni.

Potem trzech przebrani za mnichów mężczyźni ruszyli w stronę Prowincji.

Wkrótce po ich wyjeździe w Opactwie Leibowitza zjawili się dwaj następni podróżni. Jednym był stary Żyd, który wybierał się na Mesę Ostatniego Ratunku. Przypędził dwie młode błękitnogłowe kozy z pełnymi wymionami i napęczniałymi brzuchami. Towarzy szyła mu młoda, jasnowłosa kobieta w ciąży, niewiele tylko mniej zaawansowanej niż u kóz. Stary Żyd nie chciał przyjąć nic poza wodą, paroma sucharami i odrobiną jagnięciny na zimno. Dziewczyna uciekła z niewoli u własnej rodziny i chciała odnaleźć ojca dziecięcia, które nosiła w łonie.

- Wyjechali dwa dni temu. Powiedział kardynałowi, że nie żyjesz – wyjaśnił Olshuen.

- To prawda, on myśli, że nie żyję, ale kardynał wie, jak się sprawy mają.

Opat zazgrzytał zębami i niechętnie zaproponował gošcinę, chociaż hospicjum było w połowie zapełnione cudzoziemskimi wojownikami, do których dołączył przemytnik broni. Nie było osobnej ubikacji dla niewiast, a przecież mnich, którego szuka, wyjechał.

- Możemy zaryglować cię w celi z nocnym naczyniem – oznajmił. – Będziesz względnie bezpieczna.

- Kto będzie miał klucz?

Olshuen zastanowił się przez chwilę. Czy ta kobieta nie wymknie się i nie zacznie molestować mężczyzn, jak przedtem tamtego?

- No cóż – oznajmił w końcu. – Ja będę miał nad nim pieczę.

- A zatem to ty mnie zamkniesz?

Podniosła głowę i spojrzała na trzech mnichów, którzy przyglądali się jej z zaciekawieniem z wysokości muru. Uśmiechnęła się złośliwie i podkasła przód swojej skórzanej spódniczki do wysokości pasa. Pod spódniczką nie było nic. Ze swoim nabrzmiętym brzuchem wypięła się przodem, a potem i tyłem, w stronę ogarniętego zgrozą opata, a następnie, kręcąc tyłkiem, odmaszerowała w stronę Sanly Bowitts. Ktoś pozdrowił ją wesołym okrzykiem. Opat podniósł wzrok na mur, ale trzej mnisi zniknęli. Wkrótce zatrzymał się jakiś mężczyzna poganiający muła ciągnącego wyładowany owczym nawozem wóz i zaproponował, że ją podwiezie. Po kilku minutach zabrał też starego Żyda i ruszył dalej z kozami przywiązanymi do tyłu wozu.

„Czamożab, ach, ten Czarnożab!” – mruknął z odrazą Olshuen i udał się do kaplicy, gdzie padł na kolana i zmierzył sobie puls, zanim przystąpił do odmawiania modlitw. Mnich, który zaczyna modlitwę, nie uspokoiwszy wprzód serca i umysłu, modli się źle. Z bijącym szybko sercem odmówił pospiesznie „Ojcze Nasz” i wrócił do swego gabinetu.

Podróż z Opactwa Leibowitza do wschodniej granicy terytorium Dzikich Królików zajmie prawie dwa miesiące. Ónemu Kun

zaopatrzył kardynała w spis kościołów, których pasterze wraz ze swoją trzódką wywodzili się z nomadów i którym sam Kun sprzedawał broń. Niektórzy byli też na kardynalskiej liście korespondentów Sekretariatu. Póki odwiedzali tylko takie kościoły, mogli ujawniać swoją tożsamość. Ale kardynał pragnął wstąpić także do osad położonych w pobliżu linii telegraficznej, aby przejąć wiadomości z Valany i z Miasta Hannegana. Znaleźli się na tyle daleko na północy, że mogli pokonać rzekę Bajdos w bród i nie narażali się na przechodzenie przez cesarski posterunek graniczny. Potem wędrowali zgodnie z mapą od kościoła do kościoła, od osady do osady. Otaczał ich srogi, jałowy krajobraz, gdyż przeważnie posuwali się obszarami położonymi na północ od żyznych wzgórz.

Właśnie w jednej z takich osad, powstałej na miejscu dawnego miasta Yellow, Kucisawy dowiedział się, jak rozległe szkody poczynił szarf wojny Bram wbrew Qcesachdri V</>rdar, a także o jego rytualnej śmierci. Nie znał Eltiira Brama (Diabłego Światła), który był ponoć bliźniakiem Hultora, młodszym od niego o dwie godziny. Kapłan Dzikich Królików, zwany Nadepnąc Węża, który znał rodzinę Pasikoników, powiedział kardynałowi, że Eltiir jest mniej wojowniczy i impulsywny, ale być może przebieglejszy od podziwianego przez siebie brata bliźniaka. To, że pramatki wybrały właśnie jego, zdumiało Nadepnąc Węża, który oznajmił, iż Eltiir z pewnością zechce pomścić brata.

Filipeo Harq zażądał od Pasikoników wydania jako zbrodniarzy wszystkich wojowników uczestniczących w rzeziach, a także pięćdziesięciorga dzieci, które miały być zakładnikami zabezpieczającymi na przyszłość przed tego rodzaju wypadami. Ponadto zażądał połowy całego bogactwa Pasikoników – w bydło i koniach. W przeciwnym razie rozpocznie przeciwko nim bezlitosną wojnę. Jednak siły cesarskiego naczelnika były w tej chwili niedostatecznie wyposażone jak na potrzeby okopanej na otwartych Równinach piechoty, choć w Teksarku pracowano nad tym intensywnie. Filipeo mógł wysłać tylko swoją jazdę, by nękała Pasikoników i sama narażała się na zdziesiątkowanie. Będzie gotowy do walki, kiedy zyska pewność, że zdoła opanować i utrzymać terytorium nieprzyjaciela. Wysilek, jakiego wymagało utrzymanie krainy Pasikoników, sprawiał, że niewiele sił pozostawało mu na

powiększanie swojego imperium na zachodzie. Gdyby wojownicy teksarkańscy stracili w bitwie sześćdziesięciu sześciu z dziewięćdziesięciu dziewięciu wojowników, ocaleni nie mieliby ochoty na świętowanie. „Tylko ci brudni, ciemni nomadzi potrafią się na coś takiego zdobyć” – krzywiąc się, oznajmił ksiądz. W dającej się przewidzieć przyszłości wojna z Pasikonikami zapowiada się jako toczona z przerwami i zależnie od okoliczności, ale z pewnością też jako bezlitosna.

Prowincją położoną na południe od Nady Ann rządził prokonsul, dysponujący siłami policyjnymi, których oczywistym zadaniem było od stulecia chronienie majątkości bogaczy przed zachłannością biednych Pasikoników. Czarnoząb przypomniał sobie broń palną, którą Ónmu Kun przywoził na te tereny. Obawiano się, że mogłaby wpaść w teksarkańskie łapy, nie był to więc najnowocześniejszy oręż z nowojerozolimskich arsenałów, a Czarnoząb powątpiewał, iżby Pasikoniki były jeszcze zdolne do buntu, aczkolwiek podczas pobytu w Yellow doszły do jego uszu opowieści o pasikońskich bezmacich zbójcach działających daleko na południu, w górzystym terenie. „Zbój” to teksarkański termin polityczny.

Na korzyść Filipeo przemawiał fakt, że Włodarz Trzech Hord, Święty Mały Niedźwiedź Szał, nakłaniał nowego szarfa Pasikoników do unikania bitwy. Jedynym możliwym atakiem był kontratak. Otwartą kwestią pozostawało pytanie, czy Diable Światło okaże więcej wierności szarfowi wszystkich szarfów, czy pamięci swego brata. Nowina o wypadzie Brama rozbudziła w Prowincji szaleństwo radości, której towarzyszyła wściekłość na pramatki Pasikoników za to, że skazały go na rytualną śmierć.

Tego wszystkiego dowiedział się Kucisawy od dzikokróliczego księdza w Yellow, gdzie znajdował się bardzo interesujący krater, dorównujący wielkością Stopieli, ale zamieszkały przez istoty żywe. Nadepnąć Węża znał dobrze pewnego pasikońskiego nomadę, który żył w pobliżu z rodziną swej dzikokróliczej żony. Ten mąż o swojej rodzinie i hordzie dowiadywał się od pewnego człowieka, który mieszkał nad Nady Ann i obserwował sygnalistów Pasikoników i Dzikich Psów, przekazujących sobie znaki od wzgórza do wzgórza po drugiej stronie rzeki. Sygnały przekazywano ruchami całego

ciała, często rytmicznymi, i uczestniczyły w tym wierzchowce trzymane krótko ściągniętym wędzidłem. Ruchy były na tyle zamaszyste, że widziano je i rozumiano z wielkiej odległości. Po zakończeniu takiego przekazu nowiny od Pasikoników docierały po kilku dniach do Yellow.

W ten sposób goszczący Kucisawego ksiądz Nadepnąć Węża utrzymywał kontakt z Pasikonikami, a także z teksarkańskim sierżantem policji, który przejmował wszystkie oficjalne wiadomości z pobliskiego terminalu telegraficznego i najwyraźniej samodzielnie decydował o ich wadze.

– Jak możesz ufać policjantowi? – dziwił się kardynał.

– Jego dziewczyna jest moją parafianką i przyprawia go co niedzielę do kościoła. Ufam jej, ponieważ jemu na niej zależy bardziej niż jej na nim. To człowiek zbyt prosty, by udawać uczucia. A poza tym nie zawsze jestem gotów dawać mu wiarę.

– Czy masz jakiś sposób, żeby przekazać wiadomość do Valany, do papieża?

– Nie – odparł Nadepnąć Węża, ale zawahał się. – Byłoby to bardzo niebezpieczne.

– Muszę ważyć się na rzeczy niebezpieczne.

– Narażałbym moją parafiankę.

– Tę dziewczynę?

– Tak, i policjanta, i samego siebie.

– Wiesz jednak, jak to zrobić?

– Dziewczyna wysłała raz wiadomość do krewnego na Zachodzie. Zaszyfrowała ją i skłoniła swego przyjaciela do anonimowego włączenia do strumienia innych depeesz.

– Mogłaby zrobić to raz jeszcze?

– Nie nalegaj dzisiaj – odparł ze złością ksiądz Nadepnąć Węża. – Zobaczą, co da się zrobić.

– Trzeba przekonać papieża, że nie powinien zrzekać się tiary.

– I wystarczy w tym celu wiadomość od Jego Eminencji?

– Nie mogę tego obiecać.

– Ani ja. Ale pomówię z dziewczyną.

Po trzech dniach wiadomość została przekazana. Było to jedno zdanie: „Nie rób nic, póki nie spotkam się z Filipeo Harqiem”; maleńki skarb ukryto w paru setkach słów innej korespondencji i

sam Kucisawy nie miał pojęcia, jak jego słowa zostaną wyłuskane ani jaką metodą dostarczone do adresata.

– Mogę tylko powiedzieć, że lepsze to niż nic – brzmiał jego jedyny komentarz.

Niechętnie myślał o rychłym opuszczeniu miasta Yellow, gdyż znalazł się tu najbliżej w ciągu całej podróży rzeki Nady Ann, przez którą nowiny z Równin wędrowały na północ. Ojciec Nadepnąć Węża był doskonale obeznany z wszelkimi perypetiami w stosunkach między cywilizacją a społecznościami nornadzkimi z wielkich prerii. Urodził się w czasach podboju i pamiętał, jak jego ojciec wyruszył, by dołączyć do powstańców na południowych wzgórzach. Kiedy ojciec został zabity, on sam, podobnie jak pokolenie później Kucisawy, znalazł się w szkole prowadzonej przez siostry. Potem, już jako młodzieniec, wyprawił się z dzikopsim przyjacielem na północ, ale nie miał zdolności pastucha ni wojownika, nie znalazł więc rodziny, która zechciałaby go adoptować. Zastanawiał się, czy nie dołączyć do bandy bezmacich, ale zakonnice wpołyły mu poczucie grzechu, wrócił więc do Prowincji i został księdzem.

Był teraz zachwycony, że może za swojego duchowego przywódcę uznać kardynała Kucisawego, nie zaś Benefeza, a jego sumienie nie sprzeciwiało się temu, że parafianie kupowali zakazaną broń od Ónmu Kuna. Obiecał nawet, że będzie sprzyjał rozwojowi miejscowej tajnej policji wśród tych, którzy dochowywali wierności zarówno Kościołowi, jak i spuściznie nomadzkiej.

Pewnie wiedział więcej o kulturze nomadzkiej niż Czarnoząb i Kucisawy, ale miał siedemdziesiąt pięć lat i patrzył na wszystko z innego punktu widzenia, bardziej całościowego i prawie nieczułego na namiętne przywiązanie do sprawy Dzikich Królików.

Żaden z trzech gości księdza Nadepnąć Węża nie spotkał się z równie szerokim spojrzeniem na sytuację nomadów. Z większością tych kwestii mieli już do czynienia, ale zawsze w oderwaniu od innych. Natomiast starzec poskładał wszystkie kawałki i otrzymał obraz całościowy. Był wstrząśnięty wypadem Hultora Brama, i to nie tylko jako ksiądz, ze względów moralnych. Nieżyjący już szarf nie był głupcem. Uwierzył, że i tak wkrótce zemrze, gdyż Weejus przepowiedział mu to po próbie w niecce. Jego wypad był, zdaniem

dzikokróliczego kapłana, przesłaniem przeznaczonym dla nikogo innego, jak samego kardynała Kucisawego, przebywającego w tej chwili właśnie tutaj, na tym probostwie, dla tegoż Kucisawego, którego Bram uznał za znaczącą postać w valanskim Kościele.

Kardynał wyraźnie poczuł się nieswojo i potrząsnął głową, ale Nimmy zauważył, że wcale temu nie zaprzeczył.

– Pasikonik zawsze jest w stanie wojny – mruknął tylko.

– Co masz na myśli?

– Powtarzam tylko to, co jeden z wojowników powiedział mi, kiedy jechaliśmy ze Stopieli na południe, żeby się spotkać z papieżem.

Nadepnąć Węża upierał się przy swoim twierdzeniu, że Bram poprowadził swoich ludzi pod bramy Rzymu, żeby pokazać kardynałowi (i oczywiście papieżowi), że siła uderzeniowa w każdej wojnie zrodzi się z Pasikonika, nie zaś z Dzikiego Psa, i że valańskie papieństwo traci niepotrzebnie energię, zabiegając o względy Chiira Osie Uongana. „Sukces” wypadu miał również pokazać Filipeo Harqowi, że jego postępy na wschodzie są pozorne, gdyż Pasikonik może zapisać na swe konto pewną przewagę. Czamoząb, słuchając tego prowincjonalnego dzikokróliczego księdza zaczął podziwiać szarfa Pasikoników za brawurę i nieugiętość w dążeniu do celu – jakby zapominając o jego morderczych instynktach. I Nimmy znowu jął rozmyślać, czy czasem Bram nie jest jego dalekim krewnym.

Nadepnąć Węża tak oto podsumował swój pogląd na sytuację wojskową, kulturową i historyczną:

Jak wszyscy wiedzą, przewaga nomadzkiego wojownika nad teksarkańskim kawalerzystą polega na tym, że wojownik dorastał na koniu. Jest rzeczą powszechnie znaną, że plemię, które nie miało do czynienia z wierzchowcami, patrząc po raz pierwszy najeźdźców innej nacji, widzi człowieka i konia razem, jako jedno dziwaczne zwierzę. Potem uczą się rozdzielać dwie istoty. Jeśli jednak wojownik z obcej nacji jest przypadkiem nomadą z Równin, tamto pierwsze wrażenie można uznać za poprawne. Nomadzki jeździec zrasta się w jedno ze swoim wierzchowcem. Przy pracy czy na wojnie człowiek na koniu jest nazywany imieniem nie swoim, lecz konia, a w sytuacjach bardziej oficjalnych imieniem swego konia i

jego hodowcy, a więc często świekry. Człowiek jest w końcu tylko tym, który kontroluje konia – na wojnie i przy pracy z bydłem.

Jedną z rzeczy, które dostrzega się najpierw w nomadzkim obozie, tymczasowym albo stałym, jest fakt, że widzi się więcej niewiast niż mężczyzn, chyba że przybywa się w dniu świątecznym, kiedy większość wojowników-pastuchów wraca z otwartej równiny, gdzie spędza większość swego życia wśród półdzikiego bydła. Kiedy taki pastuch wraca do siebie, wygląda we własnym obozie czy wiosce jak ktoś obcy. Tylko starcy, chłopcy, okaleczeni lub nie w pełni sił żyją i czasami pracują razem z kobietami. Przynajmniej chłopcy nie próżnują. Starsi ujeżdżają konie. Młodszy ogradzają leren remudą i próbują jazdy na częściowo ujeżdżonych wierzchowcach. Starcy chętnie poddają się uczuciu, że ich dokonania i dawna chwała dają im tytuł do przejścia w stan spoczynku i bezczynności. Natomiast chłopcy i niewiasty gotują, sprzątaj, noszą wodę, wykonują gliniane dzbanki i doglądają koni. Czasem kobiety Weejus wykorzystują swą nadprzyrodzoną władzę, by skłonić starych wojowników do pracy, która nie wymaga zbyt wielkiego wysiłku, ale ci weterani są gnuśni, a w dodatku bywa, że ich bezczynność chronią liczne powiązania z Duchem Niedźwiedzia. Czasem, chcąc usprawiedliwić nieróbstwo, służą okruchami zdrowej mądrości, kiedy dochodzi do waśni między młodzieńcami.

Przeciętny pastuch-wojownik z terenów na północ od Nady Ann jest nadal człowiekiem niepiśmiennym i nie zna żadnego języka poza dialektem używanym w jego hordzie, ale jego matka albo babka jest Weejus i zapewne sama nauczyła się czytać, może nawet podzieliła się tą umiejętnością z jego młodszym rodzeństwem. Choć taki przeciętny nomada nie umie czytać ni pisać i nie zna żadnego języka obcego, wytworzył sobie znacznie rozleglejszy obraz świata niż jego praprawuj. Wie, że ziemia nie urywa się stromo po drugiej stronie gór i że na wschodzie, za Wielką Rzeką, żyją ludzie i że są oni równie niebezpieczni i godni pogardy, jak trawożercy z tego brzegu rzeki. Podejrzewa nawet, że wielka hodowlana niecka Dzikokonnej nie jest w rzeczywistości Pępkiem Świata i wszystkich rzeczy, i że hodowlana niecka jego własnej babki, jeśli ją ma, niekoniecznie jest śmiertelnie niebezpieczna dla człowieka, który do niej wtargnie, aczkolwiek lepiej trzymać się od niej z daleka, żeby nie ściągnąć na

siebie nieszczęścia. Z pewnością nie trzyma się tak kurczowo nomadzkiej tradycji, jak jego najstarsi prawujowie. Używa narzędzi obywateli, nosi strój obywateli, pije napoje obywateli i często je fasolę i kukurydzę obywateli, jeśli tylko nie musi sam jej uprawiać – zachichotał Nadepnąć Węża.

Ziemia została stworzona po to, by rosła na niej trawa dla bydła i jelenia, dla antylopy i królika, dla psa preriowego i konia, te zaś zwierzęta dostarczają z kolei pożywienia ludziom i dzikim psom, rozmaitym gatunkom kotów i sępom. Zwierzęcą hierarchią na Równinach rządzi w drapieżnym przymierzu trzech wielkich włodarzy: człowiek, koń i pies. A wraz z nimi kobieta, klacz i suka. Na równinach wszystko było prostsze niż w krainie hodowców kukurydzy i fasoli. Człowiek może czuć litość dla farmera, podobnie jak może ją czuć dla upolowanej przez siebie zwierzyny, wie bowiem, że farmerzy są taką zwierzyną łowną dla innych: dla żołnierzy, policjantów, księży i poborców podatkowych. Farmerzy są przypisani do określonej połaci ziemi, gdy tymczasem nomada jest panem całego świata rozciągającego się pod Pustym Niebem. I tak brzmiała jedna ze starodawnych nazw, którą nomada określał samego siebie: Bratanek Pustego Nieba. Puste Niebo jest oczywiście osobą, ale także czymś, na co można podnieść wzrok: pustym niebem. Tylko z grzbietu konia, na Równinach, człowiek widzi całą rozległość ziemi – poza oczywiście szczytem masztu oceanicznego szkunera, choć nomada sam nie jest zbyt pewny, czy wierzy w istnienie oceanów. Wiedział jednak, że wszystko przejawia się w sprzecznych formach, skoro więc otaczał go półjałowy ocean trawy, sama wyobraźnia podsuwała obraz oceanu wody. Nie wszystko jednak, co podsuwa wyobraźnia, jest rzeczywiste. Po klęsce zadanej prawujom przez żołnierzy drugiego Hannegana i zarażone bydło tegoż Hannegana ten nowy nomada stał się sceptykiem. Nie wierzy we wszystko, co mówią mu wujowie albo jego kobieta Weejus, chyba że przygotowuje się do tego, by zostać człowiekiem Ducha Niedźwiedzia. Lecz przeciętny nomada nie staje się człowiekiem Ducha Niedźwiedzia i sceptycznie odnosi się do jego mocy i mocy Weejus. W Hordzie Dzikich Psów nierzadko bywa, że nomada, który zachoruje, udaje się do miasta w górach, by znaleźć lekarza wykształconego w innej tradycji – zwłaszcza gdy potrzebny jest mu

chirurg. Najczęściej byli to ludzie młodzi, ale zdarzało się i tak, że jakiś młodszy krewniak prowadził opierającą się, choć bez przekonania, chorą do lekarza z gór. Niejeden z ludzi Ducha Niedźwiedzia pracował jakiś czas w szpitalu należącym do Kościoła lub Cesarstwa, starając się jak najlepiej zapoznać z odmiennymi sposobami leczenia. Nauczyli się myć ręce. Wiedzą już, które lekarstwa najlepiej ukraść i zabrać do siebie.

No i legendy o początku, o narodzinach z kataklizmu porośniętej trawą ziemi i jej prawdziwego Ludu.

W pierwotnych czasach wielkiej śmierci był tylko ogień i lód. Z tej straszliwej śmierci powstała garstka zwierząt i ludzi. Kiedy zaś dobiegł końca czas pierwotny, przyszedł Czas Dawny. W Dawnym Czasie ludzie, psy i konie zmówili się, by rządzić porośniętym długim włosem, niezależnym, swobodnie wędrującym po Równinach, świętej krainie Pustego Nieba i Świętej Klaczy, byłem. Przymierze Człowiek-Koń-Pies-Rzecz sprawowało władzę nad stadami ku ich pożytkowi – człowiek wiedział bowiem, gdzie trawa jest bardziej zielona – choć zwykle wbrew ich woli. Byłoby otrzymywało coś w zamian za swoje mięso, skóry i kości, to mianowicie, że Człowiek-Koń-Pies chronił je przed wilkami i wielkimi kotami. Pozostawało jednak żyjącym na wolności łupem Człowieka-Konia-Psa, który je zabijał. Konie zaś były końmi niepospolitymi.

– Dzisiaj bywa często, że stada bydła już nie mają swobody – ciągnął Nadepnąć Węża. – Wokół skrawków Równin wznosi się ogrodzenia. Niektóre plemiona próbują pozostawać przez cały rok w jednym miejscu, budują na stałe domy, zaganiają tam jesienią swoje stada (teraz to zwykła trzoda) i najpierw wybierają sztuki do hodowli, a potem zarzynają wszystkie zwierzęta nadające się na mięso, które zjadają od razu albo konserwują na zimę. Resztę sprzedają albo wymieniają z farmerami na ziarno. Niektórzy, ku najwyższej odrazie prawdziwego Ludu, hodują nawet świnie.

Z początku hordy uznawały tych nomadów za wyrzutków równie godnych pogardy, jak ci byli nomadzi, którzy zaczęli uprawiać rolę, na przykład rodzina Czarnozęba, tyle że jego bliscy musieli uprawiać cudzą ziemię. Lecz stare kobiety z Wysokich Równi, owe wychudzone pramatki o twardych jak rzemień

pięściach, uśmiechniętych oczach, władające mocą Weejus, jeły bronić sprawy tamtych ludzi ze skraju Równin i kłaść do uszu mężowi, bratu, synowi i ojcu, że Nocna Wiedźma ostrzega i wzywa na swe mroczne łono tych wodzów, którzy zdradzają własne dziedzictwo albo krzywdzą tych, co w nim żyją. Więcej, jeśli ci osiadli pasterze zostaną przez wędrownych uznani za obcych, będą musieli zostać sprzymierzeńcami farmerów i Teksarku.

Ponieważ ten i ów ujrzał Wiedźmę, zaniepokojeni wodzowie zaczęli podzielać pogląd, że nomadów, którzy osiedlili się i ogrodzili, nie należy zabijać i grabić, lecz, jeśli to tylko możliwe, zapraszać do udziału we wspólnym życiu hordy. Ta tolerancyjna postawa ograniczała się jednak do hacjend, które przylegały do już istniejących ogrodzeń. Na samych Równinach niewiele rodzin ważyło się ogrodzić tylko dla siebie wybrany obszar, jeśli znajdował się daleko od innych ogrodzeń. Wodzowie hord posyłali wojowników, by je niszczyli. Zmuszali tych ludzi do wybierania między powrotem do wspólnego życia, a opuszczeniem tego terenu. Ci, którzy byli dość głupi, by pozostać na miejscu, byli zabijani przez wykrotników. Można było zawsze liczyć, że ci oszczędzą plemionom wyrzutów sumienia z powodu przelania swojskiej krwi. Oczywiście potem hordy przyłączyły się do kościelnego potępienia tych bezmacich zbójów. Wszystko zmieniało się za czasów Hpngana Osa, kiedy Hannegan II zaczął szerzyć zarazę bydła, wprowadzając chore sztuki do nomadzkich stad, traktując to jako wojenny fortel.

Plemiennym jasnowidzącym została objawiona przyszłość. Było do przewidzenia, że otwarte Równiny będą się kurczyć, a przemierzający je z bydłem ludzie albo zginą, albo zmienią sposób życia. Od czasu Podboju, czyli od trzech pokoleń, zmieniali się bezustannie i cechą wyróżniającą współczesną populację jest młodość. Płodne babki i matki podwoiły w krótkim czasie ludność. Wszyscy nomadzcy wojownicy wierzyli, że kobieca zdolność do częstego rodzenia dzieci, w tym bliźniąt, a nawet trojaczków, potęguje się lub maleje zależnie od potrzeb narodu. Cokolwiek jednak by o tym myśleć, Wielkie Równiny kurczyły się, gdyż doszło do w ostatnich czasach do znacznego przyrostu ludności. Czy nie to jest główną przyczyną wojen? Dochodzi do nich zazwyczaj wtedy, gdy mężczyźni osiedlają się w jakimś miejscu ze swoimi kobietami i

dziećmi, mają czas na życie płciowe i płodzenie dzieci, zbyt wielu dzieci, by mogły pomieścić się w miejscowym układzie. W tym procesie pierwszymi wojownikami stają się bandy nastolatków. Ponieważ wszczynają właśnie z sąsiadami, trzeba podporządkować je władzy wodza i stworzyć im okazję do gwałtów na ludziach, którzy nie cieszą się względami wodza. Nomadzi są przekonani, że przyczyną wojen jest rolnictwo. Przecież sami chrześcijanie przyznają, że w historii Kaina i Abla rolnik zabił pasterza.

Plemiona są niespokojne, zatrwożone, wściekłe. Wszystkie poszły na kompromisy: nawet najdziksze używają narzędzi i broni wytworzonych w mniejszych i większych miastach w górach na wschód od Równin. Wędrują ze swym bydłem, bydlęcymi skórąmi, wytworami rzemiosła, skórąmi wilczymi, niedźwiedzim sadłem i nadliczbowymi żrebackami do miejsc wymiany, a wracają stamtąd do krainy pramatek z mułami objuconymi narzędziami, prochem strzelniczym, kulami do muszkietów, tkaninami, fasolą i wystarczającą ilość spirytusu, by przynajmniej starzyzna zaznała upojenia. Śpiewali stare pieśni i tańczyli obrzędowe tańce, czcili Dziki Lud i przemieszczali domy i stada zależnie od pory roku. Każda horda miała święty szlak, a wzdłuż niego święte miejsca, gdzie rozbijała obóz na sezon wypasu. Żeglowali po oceanie trawy, kierując się w tej samej mierze zmianami zachodzącymi na nocnym niebie, co znakami orientacyjnymi. Niebo mówiło im, kiedy ruszyć na południe. Była już połowa trzydziestego trzeciego wieku i Gwiazda Polarna zakreślała obszerniejszy krąg na północnym niebie niż w czasach Leibowitza, lecz hordy podczas wędrówki nazywały same siebie ludem Gwiazdy Polarnej. Kiedy rozbijali w lecie obóz, stawali się ludem Pustego Nieba i Dziewicy Dnia. Kiedy chronili się na zimę, byli już tylko synami Wilka i Wiedźmy.

Czamożab wiedział niejedno o nomadzkiej tradycji, choć nigdy nie była częścią jego życia. Ale teraz wszystko się zmienia. Widział to dzisiaj, nie dostrzegał jako chłopiec. Wśród wojowników-pastuchów z Równiny moce wymknęły się spod kontroli i budziło to troskę starych kobiet. Czasem mężczyźni wybierali sobie przywódcę, nie dbając o zasięgnięcie rady pramatek, niewiast Weejus i mężów Ducha Niedźwiedzia. Wojna zagrażała koniom i świętemu dziedzictwu krwi, zabijała wnuki. Kobiety były zwykle

przeciwnie wojnie, chyba że trzeba było ukrócić międzyplemienne kradzieże koni.

Kiedy Puste Niebo umierał w obecności swych Siedemnastu Szalonych Wojowników, obiecał, że powstanie z martwych, kiedy przyjdzie czas i jeśli w taki czas każdy z nich wypowie jego magiczne siedemnasiosylabowe imię. Puste Niebo w swej ostatniej woli i testamencie nauczył go tych wojowników-kapłanów, którzy najlepiej służyli mu w bitwie, przekazując każdemu inną lajemną sylabę, którą można wypowiedzieć tylko raz, gdyż dwukrotne wypowiedzenie sprawiało, że język na zawsze kołowaciał. Umierając można było przekazać sylabę najstarszemu synowi albo, jeśli ten nie był odpowiednim człowiekiem, jakiemuś innemu, wybranemu przez szamanów Ducha Niedźwiedzia. Puste Niebo obiecał, że zjawi się, gdy tylko jego imię zostanie poprawnie wypowiedziane, ale do tego sylaby musiały być wypowiedziane we właściwym porządku.

Jaki jest właściwy porządek?

Stłoczyli się w tym czasie wokół jego łoża, a chociaż większość była zgodna co do tego, kto jest powiernikiem pierwszej i ostatniej sylaby, nikt nie potrudził się, by policzyć pośrednio. Na przykład, jeden z włóczników oświadczył, że nim przyszała jego kolej, Puste Niebo mówił do ucha co najmniej dziesięciu innych, nie więcej jednak niż dwunastu. Zdarzyło się, że niedowiarek, który odziedziczył sylabę po swoim ojcu, wypowiedział ją na głos, a potem spróbował jeszcze raz i natychmiast spadała na niego niemota. Inni słyszeli tę sylabę, lecz dały o sobie znać wątpliwości. Czy przywołanie będzie skuteczne, jeżeli wszystkie sylaby padną we właściwej kolejności, lecz jedną z nich wypowie ktoś inny niż właściwy jej powiernik? I czy jeśli ktoś wypowie już swoją sylabę, będzie mógł również wypowiedzieć sylabę osieroconą, czy też niemota chwyci go za gardło? Pewnego jednak dnia, jakieś sto lat temu, zebrali się wszyscy poza sceptykiem niemową i postanowili podjąć próbę wezwania Pustego Nieba, gdyż nastały złe czasy dla ludu.

Wypowiedzieli sylaby i nie stało się nic, co zwróciłoby ich uwagę. Uznali, że próba skończyła się niepowodzeniem, kiedy z pobliskiego namiotu doszedł ich płacz noworodka. Dziecko było

synem matki z królewskiego rodu i niewiasta ta doprowadziła do nadania dziecku imienia Puste Niebo, choć w czasie, gdy przechodził rytuały inicjacji i stawał się mężczyzną, obdarzono go imieniem Hpngan Ós, Szalony Niedźwiedź, i wyrósł na tego, który stał się Qcesach dri Vordar i poprowadził hordy do straszliwej klęski. Nie ulega wątpliwości, że święte imię zostało wypowiedziane w niewłaściwy sposób.

Byli oczarowani opowieściami Nadepnąć Węża. Musieli jednak ruszać dalej, pokonać w kierunku południowo-wschodnim jedną z odnóg Rzeki Czerwonej, a następnie skierować się ku Miastu Hannegana.

Na skraju miasta przystanęli przy krawędzi krateru Yellow. Pośrodku znajdowało się małe jezioro, a ziemia wokół niego była żyzna i okryta zielenią. Dwa dzikie konie skubały trawę, ktoś łowił w jeziorze ryby.

– Mówiono mi – powiedział Kucisawy – że przed podbojem była to niecka hodowlana Dzikich Królików.

– Przypomina Stopiel? – spytał Czamożab.

– Nie, jest tu inaczej niż w niecce hodowlanej Dzikokonnej.

– Przed nami jest jakiś kamień z napisem. To miejsce musi mieć jakąś nazwę.

– Co tam przeczytałeś?

– Jezioro Błogosławionego Bezpieczeństwa. – przeczytał Czamożab i podniósł wzrok na Kucisawego, który wpatrywał się w drugą stronę kamienia.

– Czy jest tam jakiś napis, panie mój?

– Tak. „Był tu Boedullus”.

– Cooo? – Nimmy zajrzał za kamień. – To namalowane! Niedawno. Chyba chodzi o żart. Nawet z pewnością. Albo... – Zamilkł na chwilę. – Czy wiesz, panie mój, że Boedullus zginął wskutek wybuchu, do którego doszło na stanowisku archeologicznym, gdzie prowadził badania? Jest taka legenda, która mówi o olbrzymiej rybie, zębacz, zwanej Bodolosem, która zamieszkała w kraterze po bombie.

– Jest to więc żart wsparty teorią. Z pewnością żart Leibowitzański. Któż poza twoim zakonem wie, że istniał ktoś taki, jak Boedullus?

– Prawie nikt, panie mój, chyba że nomadzi przeczytali moje tłumaczenie.

– Zdaje się, że jest tu popis: inicjały BR.T. Niechętnie traciłbym czas, wracając, żeby zapytać o to księdza Nadepnąć Węża.

– Zapytajmy raczej tego dzikokróliczego farmera – zaproponował Nimmy, patrząc na mężczyznę, który jechał w ich stronę na mule.

Farmer roześmiał się serdecznie.

– Mój praprawuj blisko sto lat temu złapał tego starego Bodolosa. Nakarmił nim całą osadę. Ten, kto namalował w zeszłym miesiącu te słowa na odwrocie kamienia, nie znał właściwego brzmienia. Nosił jednak taką samą suknię jak wy.

Kucisawy i Czamożab wymienili spojrzenia. Nikt nie wspomniał w opactwie o mnichu, który wyprawił się ostatnimi czasy do Prowincji.

– No cóż, nie ulega przynajmniej wątpliwości, że ten farmer umie czytać – zauważył później Kucisawy.

– W Yellow jest mała szkoła przykościelna.

– Jestem pewny, że wielu nomadów w Prowincji umie przeczytać książkę, lecz nie umie dosiąść konia, a już szczególnie w bitwie.

– Ile czasu trzeba, żeby nauczyć ich maszerować i strzelać? – spytał milczący zwykle Weh-Geh.

Mnich i prałat zastanowili się nad tym pytaniem, ale żaden nie odpowiedział.

Przeprawili się przez Rzekę Czerwoną i ruszyli krainą traw na wschód. W sumie zatrzymali się w dwudziestu trzech kościołach i zapewnili sobie wierność siedemnastu dzikokróliczych kapłanów, a wiele nocy przespali w farmerskich stodołach albo znajdowali sobie naturalne schronienie nad łożyskami stmmieni. Dwakroć wynajęli pokoje u teksarkańskich posiadaczy ziemskich, lecz ci zadawali zbyt wiele dociekliwych pytań. Kardynał nie lubił kłamać i postanowił, że więcej nie zatrzymają się w takim miejscu, choć nastąpiła już bardzo chłodna zima. Lodowate deszcze zaczynały zwykle padać w tych stronach dopiero w styczniu. Kardynał ciągle czuł się nie najlepiej. Zaczął wierzyć w przepowiednię Weejus, że wskutek próby czeka go krótsze życie. Czamożab karmił go mnóstwem jabłek, w które

wciskał uprzednio ćwieki, ale miał wrażenie, że kardynał traci nie tylko energię, ale również siwiejące rude włosy. Oto przekleństwo Stopieli.

Rozdział 18

„Czwarty rodzaj mnichów to ci, których nazywają mnichami wędrownymi. Przez całe życie wędrują oni po różnych okolicach, goszcząc po trzy lub cztery dni w rozmaitych klasztorach [...] O godnym pożałowania postępowaniu tych wszystkich lepiej jest zamilczeć niż mówić”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział I

Do obrzeży Miasta Hannegana dotarli wczesnym wieczorem i kardynał postanowił, że na noc wynajmą pokoje w gospodzie poza granicami miasta. Może uda się im zdobyć najświeższe nowiny od gospodarza albo innych podróżnych. Nie da się uniknąć czytania obwieszczeń rządowych, jeśli chce się poznać reakcję urzędów na niektóre z nowin. Pora już zmienić mnisi habit na czerwień i czern. Także Weh-Geh potrzebuje nowego stroju i może teraz nosić przy sobie broń jako straż przyboczna kardynała. Czarnoząb marzył o kąpieli i zmianie habitu. Podczas podróży wyrosły im brody, ale tylko Weh-Geh postanowił się ogolić. Miał rzadkie wąsy, które podkreślały obcy wygląd. Broda Kucisawego była bardziej ruda niż przerzedzające się włosy na głowie. Czarnoząb bardziej posiwiiał na policzkach niż na głowie, którą koniecznie należało podgolić. Weh-Geh wystrzygł mu krótkim mieczem tonsurę, trzymając oręż oburącz i przesuwając go gładkim mchem po namydlonych włosach. Czarnoząb skarżył się, że wojownik zbyt mocno na niego napierał,

– Tylko po to, żebyś się nie ruszał. Jeśli wolisz, mogę z łatwością ostrzyć cię, stojąc dalej – oznajmił wojownik namydlonemu mnichowi.

Czarnoząb spojrział na niego z udawanym przestraczem. Gwardzista trzymał miecz nad prawym barkiem, jakby zamierzał z całym rozmachem ściąć włosy na czubku głowy.

– Dość tych przechwałek. Oprzyj się o mnie, jeśli to konieczne.

Był zaskoczony, gdyż Weh-Geh po raz pierwszy pozwolił sobie na żart, a w dodatku żart dość posępny. Ponadto był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy raczył w ogóle otworzyć usta. W kraju Dzikich Królików tylko raz powstała sytuacja wymagająca zdobycia długiego miecza i pistoletu Kucisawego, kiedy gromada młodych łobuzów postanowiła dla zabawy obrabować trzech wędrownych, zebrzących mnichów. Zarówno Nimmy'emu, jak i kardynałowi brakowało Wooshina. Czarnoząb zastanawiał się, czy żywią mimowolną urazę do Weh-Geha jako do marnej namiastki Topora, na którego głowę wyznaczono w tym kraju nagrodę. Ale Weh-Geh nie zamierzał być żadną namiastką. Nimmy postanowił się z nim zaprzyjaźnić – jeśli nie jest jeszcze za późno.

Wczesnym popołudniem chłodnego, lecz słonecznego dnia stali na stopniach Katedry Świętego Michała, Anioła Wojny, i rozmawiali z jej arcybiskupem. Po lewej ręce kardynała arcybiskupa, trzymając się nieco z tyłu, stał przystojny młodzieńki akolita odziany w długą komżę z koronkami i rozcięciami po bokach. Torrildo! Uśmiechał się z zadowoleniem do Czarnozęba, kiedy ujrzał go po raz pierwszy, ale potem źle zrozumiał wyraz twarzy Nimmy'ego i spuścił skromnie wzrok. Mnich był nie tyle wstrząśnięty tym, że Benefez wziął na służbę ładniutkiego uciekiniera, ile zaskoczony, gdyż nagle uświadomił sobie, że litery BR.T pod namalowanym napisem „Był tu Boedulles” nad kraterem w Yellow, oznaczały „Brat Torrildo”. Były mniszek leibowitzański bez wątpienia wędrował tamtędy z Valany do Miasta Hannegana.

Weh-Geh czuł się nieswojo, gdyż Benefez nie spuszczał z niego wzroku.

W końcu arcybiskup spytał:

– Gdzież mogłem cię już widzieć, młodzieńcze?

– W Valanie, Urionie – odpowiedział za gwardzistę Kucisuwy. – Weh-Geh był w świcie kardynała Ri. Teraz jest w mojej.

– Ach, prawda, było ich pięciu czy sześciu. Co się stało z pozostałymi?

Kucisawy potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

– Jestem od dwóch miesięcy w drodze.

„To prawie kłamstwo” – pomyślał Czarnoząb.

– Oczywiście – powiedział Benefez i wrócił do tematu rozmowy:

– Elio, hmmm, Eminencjo, ja też byłem specjalistą od prawa kanonicznego. Przed Potopem Płomieni dwakroć tylko /darzyło się, że papież zrzekł się tiary. Jeden tak zwany papież był wielkim grzesznikiem, a drugi wielkim świętym. Pierwszy sprzedał papiestwo, drugi uciekł od niego w świętym przerażeniu. Pytanie jednak, czy którykolwiek z nich był prawowitym papieżem. Czy rzeczywisty papież może zrzec się swej godności? Myślę, że nie. Skoro się zrzeka, to znaczy, że nie został wybrany z natchnienia Ducha Świętego. Może to być sprzeczne z poglądem większości, lecz tak właśnie mniemam. Poeta żyjący w jego czasach umieścił go w piekle, lecz był to człek pełen gorzkości. Sądzę, że starzec był naprawdę święty, lecz powątpiewam w prawowitość jego wyboru. Gdyby był papieżem, nie mógłby zrzec się tiary i nawet by o tym nie wspomniał.

– Mówimy o San Piętro del Murrone czy o Amenie Specklebirdzie? – spytał Kucisawy.

– Czyż nie są ulepieni z tej samej gliny?

– Nie, Urionie, nie są. – Zawahał się. – Jak by to powiedzieć iść? Antena Specklebirda znam. Świętego Piotra z Murrone znam tylko z książki przechowywanej w Opactwie Leibowitza. Autor uważał, że był to święty błazen.

– Czyż to samo nie odnosi się do Antena Specklebirda? <)czywiście z całym miłosierdziem ?

Kucisawy zamilkł. Miało się wrażenie, że nie chce zamykać sobie żadnych możliwości. Czarnoząb starał się przypomnieć sobie, jak to określił Wooshin. Zdaje się, że coś w rodzaju happu biraki. Podczas walki była to zazwyczaj śmiertelnie groźna zachęta do nieroztropności.

Kucisawy zaczął z drugiej strony:

– Jeśli tak, to ten święty błazen, papież Amen, Jego Święto bliwość, gotów byłby zrezygnować z kary ekskomuniki, grożącej za crimine ipso laesae majestatis facto albo wszelki inny akt buntu,

jakiego dopuściłeś się w myśli, mowie lub uczynku. Przybyłem, by ci to oznajmić.

Czarnoząb zauważył, że fiolet na obliczu Benefeza nie był po prostu błyskiem światła odbitego od fioletowej szaty (był to dzień grzebania zmarłych).

Nie przeklął jednak kardynała, ale mruknął:

– Jakże to miło z jego strony, Elio. Cóż za wspaniałomyślność! Założę się, że jedyną pokutą, jaką mi wyznaczy, będzie ucałowanie jego pierścienia.

– Wątpię, by ci na to pozwolił, Urionie. To człek uczciwy. Nie ma żadnych warunków, żadnej pokuty, chyba że ja postanowię inaczej.

– Ty?

– Papież przysłał w tej sprawie pełnomocnictwa. Tak, ja.

– Ty!

– I uwalniam cię bez żadnych warunków od grzechu, Urionie, in nominae Patris Filiique Spiritusque Sancti.

Czarnoząb ujrzał, jak prawa ręka arcybiskupa drga, jakby chciała powtórzyć znak krzyża uczyniony nad jego głową przez Kucisawego, ale był to tylko odruch.

– Twoje listy uwierzytelniające są tyleż warte co twoja łacina, Elio. Wracaj do domu, bo jesteś dla mnie jak uprzykrzona mucha.

– Zostałem też upoważniony do tego, by zaproponować ci zarząd tych kościołów w Prowincji, których parafianami są w przeważającej liczbie osadnicy albo żołnierze posługujący się Ol'zurkiem jako językiem ojczystym.

– Och, pojmuję. Kwestie geograficzne nie mają więc najmniejszego znaczenia.

– Geografia to granice i ogrodzenia. Dla nomady nie mają jednak większego znaczenia.

– O tak, doświadczyliśmy tego niedawno tuż na zachód od Nowego Rzymu. Życie ludzkie też nie ma dlań najmniejszego znaczenia. Lubi też ludzkie mięso.

– Zjadają tylko tych, których chcą uhonorować. To obrządek pogrzebowy albo hołd złożony odwadze nieprzyjaciela.

– Bronisz więc tych niegodziwości.

– Nie, ja je tylko opisuję.

Ktoś zaczął w oddali wykrzykiwać: „Rozstąpić się! Przejście!” i kardynał Benefez zwrócił głowę w górę ulicy.

– Najwyraźniej zdąża tu mój bratanek – powiedział, zwracając się do Kucisawego. – Chcesz wejść do środka?

– Pytasz, czy chcę się ukryć? Nie, Urionie, dziękuję. Muszę się z nim zobaczyć, mam mu bowiem coś do przekazania. – Pokazał Benefezowi zapieczętowane dokumenty, które przysły / . Valany do opactwa. – Muszę udać się do pałacu i poprosić o audiencję. Chyba, że zechce się przy nas zatrzymać.

Cesarz jak zwykle bardzo się spieszył i rozkazał powożącemu chwycić za bat. Machał przyjaźnie ręką do poddanych, ci zaś skłaniali głowy albo oddawali głęboki pokłon przejeżdżającemu powozowi, który poprzedzali dwaj konni gwardziści w strojach znacznie wytworniejszych niż szaty ich władcy. Filipeo chętnie demonstrował, że jest człowiekiem skromnym, szczodrym dla poddanych i myślącym o gospodarczej pomyślności Cesarstwa, ubiegał o zdystansowanie się w oczach opinii publicznej od okrucieństwa swoich poprzedników i skrócił wykaz zbrodni, za które skazywano na śmierć. Powściągał własne okrucieństwo. Za kulisami wielokrotnie domagał się wymierzenia najwyższej kary, ule niewielu zdawało sobie z tego sprawę. Jednym z tych, którzy wiedzieli, był Wooshin, i właśnie osobiste zafascynowanie Hannegana zabijaniem zgodnym z katowską sztuką sprawiło, że stracił kata. Topór poczuł wstręt do swojej sztuki, kiedy zobaczył, jak praktykuje ją władca. I Harq pozwolił się mu wymknąć! Był to jeden z. nielicznych przypadków, kiedy popełnił błąd w ocenie ludzi.

Filipeo Harq był Hanneganem tylko od strony matki i nie brakowało takich, którzy uważali, że w dziedziczeniu tronu po kądzieli kryje się straszliwa ironia, bo przecież cywilizacja teksarkańska ukształtowała się w reakcji na matriarchalną kulturę Równin. Była męska, patriarchalna i dopuszczała dziedziczenie wyłącznie po mieczu. Pierwszy Hannegan (albo zgodnie z wymową dzikokróliczą Hongan), zdobywca miasta, był przywódcą nomadzkich wykrotników i do urzędu naczelnika-wójta targowego miasteczka zwanego Teksarkiem doszedł na drodze podboju. Terminu „wykrotnik” używali farmerzy, natomiast nomadzi, którzy gardzili tymi ludźmi, lecz mniej się ich bali, używali określenia

„bezmaci”. Stosowano ten termin w odniesieniu do tych wędrowców Prerii, którzy nienawidzili więzów rodzinnych i uciekali od nich jak najdalej albo których nie chciała żadna kobieta z hordy. Tworzyli homoseksualne (nie zawsze w erotycznym sensie tego słowa) bandy, które porywały i gwałciły kobiety, kiedy ich członków ogarniała żądza, no i kiedy były sprzyjające okoliczności. Jeżeli zatrzymywali sobie te kobiety, to wyłącznie jako niewolnice.

Z punktu widzenia *civis* każdy *nomas* był wyrzutkiem, natomiast według samych nomadów bezmaci tak bardzo oddalili się od nomadzkich wzorców kulturowych, że stali się ludźmi bardziej przeklinanymi przez mieszkańców Równin niż przez farmerów osiadłych nad wschodnią granicą, choć tych ostatnich od czasu do czasu grabiii. Jak to zwykle bywa, całkowicie obcy wróg spotyka się z. mniejszą pogardą niż brat odszczepieniec. Tych bezmacich, którzy dokonali pierwszego podboju Teksarku, poprowadzili prawomyślni nomadowie z kilku hord. Dla sennego miasteczka targowego i okolicznych farmerów był do zastrzyk świeżej krwi i nowych idei i Teksark zaczął się rozwijać. Wykonano prace fortyfikacyjne. Był położony w miejscu narażonym z dwóch flank na atak nieprzyjaciół, musiał się więc rozwijać albo zginąć. Po pięciu pokoleniach dokonało się jednak prawie całkowite przeobrażenie barba rzyńskich wyrzutków w przesiąkniętą kulturą arystokratów, a sam Filipeo cieszył się jako władca popularnością – poza podbitymi terytoriami.

Miasto Teksark, zwane czasem z łaciny Teksarkana, nie wznosiło się na siedlisku starodawnego miasta o tej samej nazwie. Nosiło teraz nazwę Miasta Hannegana i leżało nad Rzeką Czerwoną, na mało wyrazistej granicy oddzielającej lasy od Równiny, przez co było w dawnych czasach mało znaczącym ośrodkiem wymiany handlowej między obszarami rolniczymi a pozbawionym lasów pustkowiem. Względnie pokojowy lud Dzikich Królików wymieniał tu nadwyżki bydła, koni i skór na drewno, metale, napoje alkoholowe, rośliny lecznicze, wytwory rzemiosła kowalskiego i wszelkie błyskotki, które kupcy wystawiali, żeby pobudzić pożądanie nomadów. Znalazło się jednak wśród nich kilku rajfurów, którzy wykorzystywali niezaspokojone żądze bezmacich i sprzedawali im lub wynajmowali na jakiś czas panienki. Od tego się zaczęło. Kiedy

cena poszła w górę, bandyci zabili kupców, wzięli sobie to, czego pragnęli, i osiedlili się w mieście, ale sami – ani ich żony-niewolnice – nie trzymali i nie hodowali koni. Nie dbali też o inne formy posiadania. Wystarczyło jedno pokolenie, żeby wszystko, jeśli o chodzi o sposób życia, zostało wywrócone do góry nogami.

Filipeo Flarą pilnie studiował miejscowe i rodzinne dzieje, słabo znane innym mieszkańcom Cesarstwa. Osobiście interesował się dziełami historyków z kolegium, teraz kwitnącego uniwersytetu, a jeżeli któryś z nich pragnął dostać stale stanowisko profesorskie i cieszyć się królewskimi łaskami, musiał pisać tak, by przypodobać się monarsze. Ten, kto próbował pisać inaczej, długo musiał czekać na publikację swych prac i nie rozwijał się naukowo. Łagodnie mówiąc.

Mijając kościół swego wuja, monarcha dał nagle powożącemu znak, żeby zwolnił. Wskazał

stojącą w porannym słońcu na stopniach kościoła grupę duchownych, wśród których wypatrzył swego wuja, Uriona. Miał wrażenie, że kardynał Benefez dyskutuje gorąco z innym duchownym, który miał na głowie czerwoną piuskę i stał odwrócony tyłem do powozu.

– Kim jest ten człowiek? – spytał ostrym tonem Filipeo.

– Który, Wasza Cesarska Mość?

Zwrócony tyłem do powozu kardynał spojrzał nagle przez ramię. Głowa naczelnika zniknęła czym prędzej w oknie i Filipeo zastukał w ściankę, nakazując powożącemu przyspieszyć. Obok drugiego kardynała stał mężczyzna w habicie Albertiańskiego Zakonu Leibowitza i jeszcze jeden – uzbrojony, a więc zapewne straż przyboczna. Pomyślał, że chyba wie, kim jest jeden z tych trzech. Zbrojny miał zbyt obcy wygląd, żeby mógł być sekretarzem kardynała. I wygląda na to, że wuj Urion przygarnął jeszcze jednego młodzieńca na swego akolitę.

– Nuże, szybciej.

Kiedy królewski pasażer i dworacy wysiedli z cesarskiego powozu, przedstawiciel wytwórcy czekał już w Kolegium Wojennym, ale ani on, ani przydzieleni mu oficerowie nie byli jeszcze gotowi do pokazu. Filipeo, zirytowany zwłoką, ale zdecydowany wykorzystać każdą wolną chwilę, zwołał natychmiast zebranie

korpusu oficerskiego, żeby omówić długoterminową strategię, jaką należy przyjąć wobec Równin. Oficerowie czuli się nieswojo, kiedy monarcha zupełnie niespodziewanie zaczął zadawać im pytania, na które nie byli przygotowani, ale Filipeo uwielbiał stawiać ich w takiej sytuacji. Miał za sobą ogromną praktykę, która pozwalała mu bez trudu wyłowić i usunąć głupców. Dowódca piechoty i Kurpusu Saperów był jednak w tym momencie na manewrach poza miastem, więc z biur wywleczono w pośpiechu zastępców, spędzając ich do sali konferencyjnej.

Osobiście stawili się admirał e'Fondo!ai, generał Goldaun, szef sztabu, oraz generał major Avasson, dowódca jazdy. Piechotę i saperów reprezentowali pułkownicy Holofot i Blindermen. Nie traktując tego zgoła jak żart, lecz w sposób żartobliwy, Filipeo Harq wziął na korytarzu za kołnierz pułkownika Pottscara, SJ, kiedy naczelny kapelan, członek zakonu ignacjańskiego, wracał z mszy, i zawlókł go na spotkanie.

– Może się zdarzyć, że ktoś będzie cię potrzebował, ojciec – oznajmił monarcha zdumionemu Pottscarowi. – Może nawet ja. Czy wiesz, że kardynał Kucisawy przybył do miasta, i to zapewne z tym mnichem mącicielem, swoim sekretarzem?

Ksiądz pułkownik Pottscar skinął potwierdzająco głową.

– Dowiedziałem się tego, kiedy wyszedłem z kościoła. Musiał już poprosić Waszą cesarską Mość o audiencję.

– Otóż nie! W każdym razie mnie nic o tym nie powiedziano.

– Z pewnością więc poprosi, ale oczywiście najpierw spotka się z arcybiskupem.

– Na Boga! Jego obowiązkiem było aresztować tego człowieka! Jeśli Urion wiedział, że Kucisawy zamierza przybyć, powinien był mnie o tym zawiadomić. Co tu się, do diabła, dzieje?

– Przypuszczam, Wasza Cesarska Mość, że przyjechał, by bronić sprawy człowieka, którego uważa za papieża.

– Ha! Tego, który posłał Horde Pasikoników, by przebiła się do Nowego Rzymu! Na Boga, zabito wprawdzie dwie trzecie nomadów i odesłano całą tę bękartą Kurię z powrotem do Valany razem ze Specklebirdem. Ale zostawili za sobą mnóstwo poległych mężczyzn i zgwałconych niewiast, nie mówiąc o spalonych domach. Tego rodzaju okrucieństw świat nie widział od czasów podbojów

Hannegana II. I teraz mamy wzdłuż całej granicy kłopoty z Pasikonikami! To przede wszystkim jego wina!

– Czyja, Wasza Cesarska Mość ? Kucisawego ? Panie, źle cię poinformowano. Tego człowieka nie było nawet w tym czasie / tak zwaną Kurią. Był wraz z monsignorem Sanuałem na nomadzkich wyborach. Sam Sanuał mi powiedział. Był bardzo wstrząśnięty. Twierdzi, że Kucisawy to poganin. Chociaż jednak kardynał pojechał na południe z Pasikonikami, żeby spotkać się z rzekomym papieżem, nie dołączył do jego świty, ale ruszył dalej na południe. Wasza Cesarska Mość, według jednego z moich kapelanów pracujących na obszarach objętych konfliktem, ten, hmmm, papież zawrócił razem z całą świtą, kiedy straż nie przepuściła ich przez granicę. Ten ksiądz utrzymuje, że nomadzka eskorta rzuciła się do ataku już po rozstaniu się z walańskimi kardynałami. Nie mamy pewności, czy rzeczywiście działali według instrukcji z Valany. Wiem, że arcybiskup dostał list od tego szalonego Specklebirda. Pewnie z zawiadomieniem o wizycie Kucisawego.

– Dziwi mnie to, że straż pozwoliła im przekroczyć granicę.

– Wątpię, żeby podróżował przez strefę potyczek, panie. Sądzę, że przybył tu od strony Prowincji.

– Przypuszczam, że po drodze wstąpił do Opactwa Leibowitza, gdyż jest z nim jeden z ich mnichów. Chcę, żebyś bez zwłoki posłał jednego ze swoich kapelanów z rozkazem sprowadzenia do mnie Kucisawego. Niech weźmie ze sobą żandarma. I niech nie wąż się wracać z niczym. Mają przyprowadzić także mnicha.

Ksiądz pułkownik Pottscar wyszedł pospiesznym krokiem.

Hannegan obrzucił osobliwym spojrzeniem admirała e'Fondolaia i spytał:

– Nie przypominam sobie, bym cię wzywał. Chyba nie potrzebujemy marynarki w walkach z nomadami na Równinach? Nie chodzi o to, że jesteś niemile widziany...

– To ja poprosiłem, żeby przyszedł – wyjaśnił generał Goldasm.

– Kucisawy odziedziczył sześciu cudzoziemskich wojowników po zmarłym podczas konklawe kardynale, a Carpy wie co nieco o ich rasie i narodowości. Może to okazać się użyteczne.

Admirał zmarszczył brwi. Carpios Zbój – było to wojenne imię e'Fondolai'a z jego czasów pirackich, kiedy to jako drugi człowiek z

epoki poststarożytnej opłynął kulę ziemską – nie lubił jednak, kiedy nazywano go Carpym, a zwłaszcza w obecności Hannegana.

Weszli do sali konferencyjnej. Cesarz zapytał przede wszystkim o sytuację wojsk chroniących nowe obszary rolnicze i o ewentualne dalsze starcia z Pasikonikami. Kiedy wyjaśniono mu, że wojska te wycofały się i zajęły pozycje obronne, Filipeo zakazał podejmowania bez jego wyraźnego rozkazu jakichkolwiek karnych ekspedycji.

Potem oświadczył:

– Gdybym był wojennym szarphem Pasikoników, zawarłbym przymierze z Dzikimi Psami, żeby uderzyć na Prowincję. Przerwałbym w wielu miejscach linię telegraficzną. Dzikie Psy przecięłyby Prowincję na dwie części, a Pasikoniki zaatakowałyby Teksark. Co byście wtedy zrobili?

Do sali wszedł ksiądz pułkownik Pottscar; skinął cesarzowi głową.

Głos zabrał pułkownik Holofot:

– Potrafią zniszczyć jakiś obszar, ale nie potrafią go utrzymać. Tego rodzaju najazd byłby tylko wypadem potężnych sił jazdy. Nie zagroziłoby naszym twierdzom. Mogliby dokonać rzezi osiadłych Dzikich Królików i kolonistów, ale szybko wyczerpałoby impet i zostaliby wyparci jak podczas wypadu Pasikoników.

Generał Goldaem obrzucił swego władcę pełnym szczerości spojrzeniem i potrząsnął głową.

– Twój opis wydarzeń jest mało prawdopodobny, panie. Kiedy po wojnie zaczynają osiadać na zimowych kwaterach, tracą całą swą siłę. Wiedzą, że jeśli zaatakowali na południu, nasza jazda uderzyłaby od północy na siedziby ich rodzin, które pozostałyby bez obrony. Kiedy hordy były w pełni mobilne, mogły się wiecznie wycofywać. Potrafiłyby wyczerpać siły ścigających. Teraz mają dobra nieruchome, które można łatwo utracić. Nie dysponują piechotą, która potrafiłaby zająć i utrzymać teren.

– A jeśli Pasikonki zbuntują się i dołączą do najeźdźców ?

– Zadbaliśmy o to, żeby nie mieli broni – odparł pułkownik Holofot, saper. – Czym będą walczyć? Widłami?

Nie, ale mogą zaopatrzyć najeźdźców w prowiant, wodę, zapewnić im kwatery i kryjówki – rzekł generał. – Pytanie tylko, czy zechcą? Dzikie Króliki z goryczą wspominają nomadów z Północy,

gdyż dzikie hordy odnosiły się do nich z pogardą. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy bardziej nienawidzą nas, czy tych z Północy. Na dwoje babka wróżyła. Ale pułkownik Holofot ma rację: nawet jeśli Dzikie Króliki poprą pozostałe nomadzkie hordy, zmasowany atak jazdy wyczerpie impet na południu i północne hordy odkryją miękkie podbrzusze. Bardziej prawdopodobne wydaje się to, że uderzą na obszary rolnicze położone na północ od Doliny, hmm, od Państwa Watchitah, i na to nie jesteśmy w tej chwili zupełnie przygotowani. Ale prace trwają i za dwa lata cała granica będzie umocniona. Farmerzy, którzy tam przetrwali, są teraz dobrze uzbrojeni, a od czasu wypadu nienawidzą nomadów z całego serca. Mamy na miejscu dość sił, by ich wesprzeć, ale za mało na prewencyjny atak, gdyż nasze kłopoty na północy są takie same, jak ich na południu.

– To znaczy?

– Możemy atakować i zabijać, ale brakuje nam ludzi i sprzętu, żeby okupować terytoria Pasikoników. Chyba, że uszczuplimy nasze siły w Prowincji.

Filipeo zamyślił się.

– Zastanawiam się, dlaczego farmy położone we wschodnim pasie przygranicznym, gdzie opady są obfitsze, nie są tak wydajne jak ziemie uciekinierów u stóp Gór Skalistych, gdzie ziemia jest ponoć pustynią.

Na chwilę spadało milczenie. Uwaga Hannegana robiła wrażenie błażej i nie mającej nic wspólnego z nomadami jako problemem czysto wojskowym.

– To pytanie wykracza poza moją specjalność, panie – oświadczył głównodowodzący. – Ale ma to, być może, jakiś związek z dyscypliną. Jak wiesz, nasi rolnicy są wolni i pracują przede wszystkim dla siebie. Mówiąc o wydajności, masz na myśli plony o znaczeniu handlowym. Byli nomadzi dzierżawią ziemię za połowę plonów i pracują na rzecz posiadaczy ziemskich, zwłaszcza biskupa Denver. Muszą pracować i nie trwonią sił na wiele różnych upraw.

– Nie sędzę, żeby było to właściwe wyjaśnienie – powiedział ksiądz pułkownik Pottscar. – To nie jest cała prawda. Byli nomadzi nauczyli się rolnictwa od górali, którzy od wielu stuleci są zaprawieni w gospodarowaniu na ziemiach skąpo nawodnionych. Jeśli zaś chodzi o opady... Na wzgórzach na północ od Valany jest

klasztor, którego mnisi zapisują zjawiska na niebie, gdyż oczekują na przyście Pana. Między innymi odnotowują deszcze, modlą się bowiem o pogodę. Twierdzą, że opady po zachodniej stronie góry są prawie dwa razy obfitsze niż osiemset lat temu. Oto cały cud wydajności farm prowadzonych przez byłych nomadów. Mnisi uważają oczywiście, że to oni dokonali cudu, ponieważ modlili się o to przez osiemset lat. Cud, nie cud, nawodnienie jest lepsze niż osiemset lat temu.

– Czy ta poprawa stosunków wodnych nie odnosi się do całych Równin? – spytał monarcha.

– Ich zapiski dotyczą sytuacji miejscowej, nie potrafię więc powiedzieć. Thon Graycol zwrócił uwagę, że na skraju naszych borów, tam gdzie preria zwraca się ku wschodowi, nie ma bardzo starych drzew. Można by wyciągnąć stąd wniosek, że granica lasów od kilku wieków przesuwana się powoli na zachód. Nikt jednak nie ma w tej sprawie pewności. Niewykluczone, że nomadzi ścięli co starsze drzewa.

– No cóż – powiedział generał Goldtem – skoro sama przyroda napiera na nich od wschodu i zachodu, tak czy inaczej stracą swą ukochaną pustynię. Wystarczy, że damy jej wolną rękę, a znikną z powierzchni ziemi.

– Znikną? Nie chcę słyszeć więcej tego słowa, generale – rzucił ostrym tonem Filipeo Harq. – Pacyfikacja i powstrzymanie oto nasze cele. Żadnej eksterminacji. Powiodło się nam na południu. Ludność Dzikich Królików żyje spokojnie.

– Lecz ich młodzież nadal ucieka i dołącza do band wykrotników.

– Nomadzi z północy większość z nich zabijają. Jest jednak sposób, może jedyny, na zapewnienie bezpieczeństwa obszarom położonym między lasami i górami na zachodzie. To kolonizacja.

– Jak tego dokonać, panie? Poza wschodnim pograniczem kraj jest biedny, brakuje wody, klimat straszny. Kto mógłby, i zechciałby tam żyć, poza dzikimi pastuchami?

– Jeśli poskromi się pastuchów, poskramiacz będzie mógł hodować bydło – oznajmił

Filipeo Harq. – Na ogrodzonych pastwiskach, jak na południu. Tamtejsi farmerzy gdzieś wznoszą ogrodzenia z drzew

żółtodrewnych. Jeżeli zasadzi się je w odległości stopy, a potem będzie przyszywać, powstanie żywopłot wystarczająco gęsty i ciernisty, żeby bydło nie mogło go pokonać. Być może nie ma tam dość wody, żeby uprawiać ziemię, ale można magazynować ją, kopiąc studnie. Dalej na północ, tam gdzie zimno zabija żółtodrewna drzewa, można wznosić ogrodzenia. Na wschodzie mamy dużo lasów. Wystarczy, żeby dostarczyć drewna osadnikom w zamian za bydło i skóry. A poza tym nie jestem wcale pewien, czy prowadzenie upraw na tamtych terenach jest naprawdę niemożliwe. Na uniwersytecie badają ten problem. Póki na Równinach nie będzie warunków dla człowieka cywilizowanego, pozostaną dla nas zaporą. Papież równie dobrze mógłby obrać sobie stolicę na księżycu. Nie znajdziemy sposobu na doprowadzenie do jedności kontynentu.

– Któż jednak zechce tam żyć?

Hannegan Harq zastanowił się chwilę.

– Na południu udało się ustatkować Dzikie Króliki. Właśnie dlatego nie godzę się na mówienie o eksterminacji.

– Ależ tak czy inaczej oni zawsze będą prowadzić tylko półosiadły tryb życia, panie. Dziki Pies i Pasikonik woli polec w bitwie, niż wyrzec się swojego sposobu życia. Praca na roli albo na farmie hodowlanej jest bardzo ciężka. Dla nomady to niewola.

– Nomadzi nauczyli się pracować, kiedy stracili swoje konie. Ty przewidujesz, co by wybrali, a ja uważam, że trzeba pozbawić ich możliwości wyboru. Nie musimy kolonizować Równin pod warunkiem, że uda się ucywilizować dzikie plemiona. Chcę, żeby Urion wysłał misje do północnych hord.

Kardynał Urion posłał do nich monsignora Sanuala, który wrócił jednak z pustymi rękami i, jak się zdaje, pustką w głowie. Ci spośród nich, którzy przyjęli chrześcijaństwo, związali się już z Valaną, panie, i krążą pogłoski, że valański papież zamierza odebrać kościoły naszemu arcybiskupowi – rzekł kapelan.

– W Valanie nie ma papieża, a póki nie będzie go w Nowym Rzymie, nie będą związani z nikim. A Urion ma nadzieję, że zostanie następnym papieżem. Jeśli dopnie swego, zobaczymy kto, Urion czy jakiś antypapież, ofiaruje im słodsze zbawienie. Przed wszystkim mam na myśli Pasikoników. Kiedy już ich ukarzymy. Sytuacja dojrzała do zmian. Papiestwo czeka na tego, kto je weźmie. Nowym

włodarzem hord jest Dzikie Pies, nie zaś Pasikonik. Musimy mieć wpływ na obie hordy.

– Zechciejcie zrozumieć – ciągnął Hannegan po chwili przerwy – że chcę uzyskać od was opinię, co stanie się, jeśli zrobimy to czy tamto. Nawet gdybym miał nigdy nie podjąć takiej decyzji. Żeby uświadomić wam, o co mi chodzi, poproszę generała Goldaema, żeby powiedział, co się jego zdaniem stanie, kiedy rozpoczniemy wojnę, żeby po prostu zmieść ludność nomadzką z północnych Równin.

Zamilkł. Ponieważ zapadła cisza, spytał po chwili:

– A zatem, generale?

– Panie, nie zamierzałem doprawdy proponować...

– Doskonale. Mam świadomość, że wydawałeś z siebie wojownicze okrzyki, bo chciałeś popisać się żołnierskim zapałem, ale teraz mów! Odpowiedz na pytanie: Co się stanie, jeżeli spróbujemy wytępić Pasikoniki i Dzikie Psy?

Generał zaczerwienił się i po paru sekundach powiedział:

– Myślę, że nic dobrego by z tego nie wynikło. Nasze siły są rozciągnięte na zbyt dużym obszarze. Okupujemy i utrzymujemy tereny Dzikich Królików położone poniżej Nady Ann. Jeśli spróbujemy zadać cios Pasikonikom, odeprą nasz atak, a my będziemy czekać bezsilnie na wozy z zaopatrzeniem.

– Nomada potrafi żywić się padliną i świerszczami. A ty?

– Też mogę, ale nie jesteśmy w stanie walczyć bez prochu i pocisków.

– Słusznie. Teraz zapanowałeś nad żołnierskim zapałem. Możesz jednak rozpaść go znowu i zorganizować specjalny batalion szturmowy. Ci ludzie mają być lepszymi nomadami niż sami nomadzi. Wybierz samych najroślejszych, najsilniejszych i najuboższych, jakich zdołasz znaleźć zarówno w naszych szeregach, jak i wśród bezzmacich wyrzutków, których zdołasz zwerbować. Naucz ich żyć z tego, co znajdują, oraz języka i nonradzkiego systemu sygnalizacyjnego.

– Jaką misję powierzysz temu batalionowi, panie? Z pewnością nie obronną.

– To jasne. Będą działać z zaskoczenia, zabijać, niszczyć i zmykać. Chodzi o ekspedycje karne w przypadku, gdyby znowu doszło do wypadu nomadów na tereny rolnicze. Jeśli chodzi o

uzbrojenie, zadbaj, żeby nie zbrakło im najnowszej broni biologicznej, jaką opracują na uniwersytecie. Jeśli musisz, weź pod swoją komendę thona Hilberta.

Goldaem spojrzał na Carpiosa, zrobił kwaśną minę i zamrugął. Nie wierzył, by przyszłością wojny miała być broń biologiczna, i miał nadzieję, że Carpy się z nim zgodzi. Ale admirał-pirat wzruszył tylko ramionami.

Filipeo obrócił się w stronę kapelana.

– Pułkownik Pottscar, przypuśćmy, że nasz arcybiskup ma nieograniczone środki na nawracanie Hordy Pasikoników. Co osiągnie?

– Cóż, jeśli nie roztrwoni ich na chłopców, wyda je, wysyłając ludzi w rodzaju monsignora Sanuala.

Naczelnik stłumił chichot.

– Jakże miałby wydać je na chłopców? Na dzieła miłosierdzia?

– Ależ oczywiście. Przyszło mi tylko na myśl to, że nie dalej jak w zeszłym tygodniu wziął sobie uciekiniera z Opactwa Leibowitza. Zatrudnił młodego brata Torrilda jako swego pomocnika i akolitę. Zawsze myśli o czynieniu dobra młodzieńcom.

– Znam mojego wuja, księże pułkownik Pottscar. Powtarzam pytanie: Czy twoim zdaniem przeznaczenie pieniędzy na chrystianizację nomadów byłoby mądrą inwestycją?

– Nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ nomadzi dadzą się ochrzcić, wezmą pieniądze, a potem odwrócą się plecami do księży. Tak się to zawsze odbywało.

– Otóż to. Spójrzcie tylko na zegar! Panowie, udajemy się na inspekcję dokonań naszych rusznikarzy.

– Chwileczkę, panie – odezwał się Goldsem. – Zdaje się, że Carp... hmm... admirał ma coś do powiedzenia.

– Mówże, Carp – zachęcił go Hannegan.

Admirał zamrugął, ale zabrał głos:

– Broń palna, którą cudzoziemscy wojownicy przywieźli ze sobą, zniknęła wkrótce po przejęciu ich przez Kucisawego.

– Skąd o tym wiesz? A jeśli tak, co to oznacza?

– Od Esitta Loyte, panie. W ich ojczyźnie mają lepszą broń palną niż my. Taką samą wytwarza się teraz na Zachodnim Wybrzeżu.

Wydobył mały pistolet, który natychmiast wyrwał mu z ręki jeden ze strażników przybocznych Filipeo. Najwyraźniej nie potrafił sprawdzić, czy broń jest naładowana. Admirał zapewnił go więc, że nie.

– Gdzie to zdobyłeś? – spytał Filipeo.

– Jakieś pięć tysięcy osiemset mil morskich stąd, panie. Płynąc po wielkim kręgu, chyba prawie dokładnie na północny zachód. Albo sześć tysięcy trzysta mil kursem kompasowym wprost na zachód. Ścisłejszych danych nie mogę podać bez spojrzenia na mapy.

– Po drugiej stronie oceanu? Nie na naszym Zachodnim Wybrzeżu?

– Nie, ale teraz wytwarzają już je i tam.

– Pokaż, admirale, jak to działa – rozkazał Filipeo Harq.

Carpios Zbój wyjął z kieszeni pięć pocisków, naładował rewolwer, podszedł do najbliższego okna, wycelował w niebo i zaatakował ich bębrenki uszne, przyciskając spust i szybko odwodząc pięćrazy kurek kantem dłoni. Kiedy obrócił się do wszystkich, zobaczył bladość na twarzy Filipeo.

– Boże mój! I to właśnie gromadzą w górach Ssamieyto?

– Nie mam sposobu, żeby się tego dowiedzieć, panie. Ale ten specjalny batalion, który ma dla ciebie zorganizować Goldy, powinien dysponować potężną siłą rażenia.

– Podaj mi tę broń. A teraz chodźmy do rusznikarzy.

Admirał z wyraźnym ociąganiem oddał broń.

Według kupców reprezentujących rusznikarzy prototyp podobnej broni jest już na deskach kreślarskich i miał być gotowy za dwa lata. Byli wstrząśnięci tym, że ktoś ich ubiegł.

– Czy jeśli dostaniecie ten egzemplarz, będziecie mogli przyspieszyć produkcję?

– Zapewne tak, panie.

Carpios Zbój znowu zamrugał.

– Dostaniecie więc, zanim opuścicie miasto – oświadczył Filipeo, a potem spostrzegł wyraz

twarzy admirała i dodał: – Oczywiście będziecie musieli oddać ją właścicielowi, kiedy uporacie się z tym problemem.

– To oczywiste, panie.

Rozmowa Kucisawego z Jego Cesarską Wysokością Filipeo Harąiem, naczelnikiem Fłanneganem VII, odbyła się w ratuszu, zwanym także Pałacem Cesarskim, dnia 5 stycznia, w czwartek, co zadawało kłam krążącym wśród Dzikich Królików z Prowincji uporczywym pogłoskom, że Filipeo Harą podczas pełni księżyca zamyka się w swych prywatnych apartamentach na całe trzy dni i nikogo w tym czasie nie przyjmuje. Tego czwartku księżyc był w pełni i monarcha po otworzeniu opieczętowanych papierów, które przysłał papież Amen, wpadł w taką wściekłość, że Czamoząb jął żałować, iż pogłoska nie okazała się prawdą. Jego i Weh-Geha posadzono na ławce w korytarzu przed naczelnikową salą tronową i ich uszu dochodziły tylko stłumione wrzaski, z których niewiele potrafili zrozumieć. Ani razu nie zdarzyło się jednak, żeby wrzasnął kardynał.

W tej chwili przeszedł korytarzem jakiś ksiądz przepasany szarfą wskazującą na godność prałata i powiedział coś do żołnierzy pełniących wartę przy drzwiach.

Jeden z nich zastukał mocno w drzwi, otworzył je i wykrzyknął:

– Monsignor Sanual na wezwanie Dostojnego Naczelnika.

Wepchnął księdza do środka, potem wszedł sam i zamknął za sobą drzwi. Wrzaski ucichły.

Czamoząb nigdy przedtem nie widział Sanuala, ale słyszał o nim wystarczająco dużo zarówno od swego pana, jak i od księdza Nadepnąć Węża, by wiedzieć, że z pewnością nie będzie to świadek życzliwy i że na porządku dnia stanie sprawa zachowania Kucisawego podczas uroczystości pogrzebowych na Równinach, a także podjęcia przez niego próby w niecce Dzikokonnej. Wymienił spojrzenia z Weh-Gehiem i zdał sobie sprawę, że obaj mają tę świadomość.

Żołnierz, który wprowadził Sanuala do środka, otworzył teraz drzwi i zwrócił się do drugiego strażnika:

– Bierz ich!

Potem z powrotem zamknął za sobą drzwi.

Żołnierz nie wiedział, jak ma ich brać, ale wycelował pistolet w Weh-Geha i rozkazał mu odłożyć miecz. Dwie sekundy później leżał na plecach i czuł na gardle ostrze tegoż miecza.

– Czy zabierzesz mu broń, bracie?

Nie był to bynajmniej rozkaz, lecz zwykła propozycja.

– Nie – odparł Czarnoząb. – Popełniłeś błąd, Weh-Geh. Zapomniałeś o kardynale.

Weh-Geh spojrział w stronę drzwi. Zaraz potem kopnął leżącego gwardzistę w brzuch. Weh-Geh chwycił jego broń i rzucił się na drzwi. Nimmy nie mógł oderwać wzroku od zasiadającego na tronie monarchy. Kucisawego zmuszono do ukłęknięcia i żołnierz przyłożył mu pistolet do skroni.

Weh-Geh wycelował w Filipeo Harqę i warknął:

– Puść mojego pana!

Nimmy odskoczył jak oparzony od drzwi, gdyż po obu stronach naczelnika stali dwaj następni gwardziści z uniesionymi muszkietami. Mężczyzna z trudem łapiący oddech zaczął się czołgać w stronę Nimmy'ego, który wskoczył na niego obiema nogami, żeby uniknąć walki.

Nastąpiły trzy wyraźnie oddzielone od siebie huki, potem zapadła cisza, a wreszcie rozległ się głos Filipeo Harqę:

– Brać go. I tego z korytarza też.

Czarnoząb zajrzał do środka. Weh-Geh leżał w powiększającej się kałuży krwi. Jeden z muszkietników został powalony, ale naczelnik trzymał w ręku broń. Była podobna do rewolweru, który Edrea pokazała mu w pieczarze. Trudno byłoby orzec, kto zabił Weh-Geha. Cały arsenał był wycelowany nadal prosto w niego. Kiedy Hannegan zobaczył, że w drzwiach stoi blady jak chusta Nimmy, znowu podniósł rewolwer, lecz mnich odskoczył. Nie próbował ucieczki. Przestraszony i upokorzony kardynał Kucisawy nadal klęczał.

Jedno z więzień w Mieście Hannegana było częścią dostępnego dla publiczności ogrodu zoologicznego. Co godniejszych zainteresowania więźniów pokazywano tam w klatkach niezbyt odbiegających wyglądem od tych, w których trzymano kuguary, prawdziwe wilki i małpy. Po drodze musieli pokonać otwartą przestrzeń opasaną solidnym ogrodzeniem, na którym wywieszono tabliczkę z napisem: „CameliusDromedarius, Africa, dar adm. e'Fondolaia”.

– Strażniku, co to takiego? – spytał Kucisawy.

– Umiesz chyba czytać – warknął strażnik więzienny. – Nie wolno się gapić.

– Te zwierzęta są oswojone?

– Ależ jesteś domyślny! Gdyby nie były, chłopak nie mógłby dosięść jednego z nich, tak czy nie?

– Czy są pożyteczne?

– Dłużej wytrzymują bez wody niż konie. Admirał powiedział, że zanim dostały się w jego ręce, wykorzystywano je podczas wojny na pustyni.

– Macie ich więcej?

– O ile wiem, nie. Ale wkrótce to się zmieni. – Wskazał samicę z nabrzmiętym brzuchem. – Są to chyba jedyne wielbłądy, żyjące na tym kontynencie w niewoli. Admirał przywiózł je w ładowni ogromnego szkunera. Nuże, dalej, idziemy!

Poprowadzono ich obok cel przeznaczonych dla mniejszych zwierząt, a potem innych, pełnych istot ludzkich. Na każdej z cel była umieszczona nazwa zamieszkującego ją gatunku. Istoty ludzkie były w większości mordercami: Homo sicarius albo Homo matricidus, ale było też dwóch Homines seditiosi i jeden gwałciciel dzieci. Wszyscy oni zaczęli szydzić, kiedy w trzeciej celi po lewej stronie zamykano dwóch duchownych. Strażnik rozwinął tabliczkę i umieścił ją nad drzwiami klatki –poza zasięgiem ich oczu i rąk. Mężczyzna zamknięty w klatce po drugiej stronie alejki spojrzał na nią, zaczął szeptem rozmowę z człowiekiem z przyległej celi, a potem zamilkł i przyglądał się im z wyrazem grozy na obliczu. Jego klatka była opatrzona tabliczką z napisem Gryllus (Pasikonik) i informowała, że siedzi tu za zbrodnię wojenne. Szydząc z nich, ograniczył się do nomadzkich pomruków, kiedy więc strażnik się oddalił, Czamoząb przemówił do niego w ojczystym języku.

– Co jest napisane na naszej tabliczce? – zapytał.

Tamten milczał. On i Kucisawy przyglądali się sobie bacznie.

– Znam cię – powiedział kardynał po dzikopisemu. – Myłeś z Hultorem Bramem.

Nomada skinął potakująco głową.

– To prawda – odpowiedział swoim dialektem. – Prowadziliśmy cię na południe, żebyś spotkał się z papieżem. Spytałeś, czemu szarf wojenny mówił o wyprawie wojennej. Teraz wiesz. Ku swej hańbie

zostałem, jako jedyny, ujęty. Ale Pforft, ten obok, mówi, że próbowaliście zabić Hannegana.

– To napisali? – spytał Nimmy.

Nomada najwyraźniej nie umiał czytać. Znowu porozmawiał z mężczyzną zwanym Pforftern, a potem potrząsnął głową.

– Nie wiem, co znaczą wszystkie te słowa.

Pforft, zamknięty za pederastię, wyjaśnił:

– Napisano, że chodzi o herezję, symonię, zbrodnię obrazy majestatu, a także próbę królobójstwa.

Na szczęście było już późno i zoo zostało zamknięte. Chociaż pozostali więźniowie mieli jednakowe ubrania, kardynała i jego sekretarza pozostawiono w ich odzieniu. Każdy dostał trzy pledy, które miały go chronić przed styczniowymi chłodami. Klatka od południowej strony nie zabezpieczała przed odmianami pogody. Jedyna pociecha, że będą mieli przez część dnia słońce.

Kardynał nadal nie w pełni odzyskał siły uszczuplone wskutek przekleństwa Stopieli.

– Zdaje się, że Matka Boska od Sępów ma tchnienie sępa – powiedział Czamożebowi, kiedy poczuł się prawie histerycznie rozradowany. – Jak myślisz, po czyjej stronie będzie zwycięstwo, kiedy Anioł Wojny Uriona stanie przeciwko mojemu Sępowi Wojny?

– Panie mój, czyż nie wypowiadamy w starej modlitwie słów: „Święty Michale Archaniele, broń nas od utarczek”?

– Nie, bracie mniszku. Mówimy: „Broń nas w utarczkach”, ale „uchroń od sideł diabła”. Wiesz o tym dobrze. Co jednak postawiłbyś w tej chwili na to, że jedna z tych modlitw zostanie wysłuchana?

– Nic. Jeśli dobrze zapamiętałem nomadzką legendę, Eminencjo, twoja Grobnicha, ponieważ do niej się odwołujesz, zawsze płacze, pożerając poległych wojowników, dzieci swej siostry, Dziewicy Dnia. Ona też nie chce wojny.

– Masz rację, winniśmy się modlić o pokój, nie ustając w zbrojeniach. Oczywiście masz rację, Nimmy. Ty zawsze masz rację.

A Nimmy zwiesił głowę i zmarszczył czoło. Ale w słowach Kucisawego było coś więcej niż tylko ironia. Aby inni więźniowie nie mogli ich zrozumieć, posługiwali się nowołaciną i kardynał nie baczył zanadto na to, co mówi.

– Tak sędzę. Słusznie postąpiłeś, opuszczając opactwo, choć jesteś przecież mnichem od Leibowitza. Słusznie zakochałeś się w kimś takim jak Edrea. Słusznie boczyłeś się na mnie za to, że sprowadzałem i sprzedawałem broń pochodzącą z Zachodniego Wybrzeża bez wiedzy Jego Świątobliwości. – Zaskoczony Czarnoząb spojrział na niego. Kucisawy zauważył to spojrzenie i ciągnął: – Papież Linus VI, który dał czerwone kapelusze twojemu zmarłemu opatowi i mnie, polecił mi prowadzić te działania w liście, który przechowuję w Valanie. Linus powiedział, bym nikomu tego listu nie pokazywał, chyba że zostanę przyłapany, a i wtedy tylko papieżowi. Szczerze mówiąc, Nimmy, prawie pragnąłem, by mnie złapano.

– Och.

Czarnoząb raz jeszcze wszystko przemyślał. Bez wątpienia Kucisawy nie dbał zbyt o ostrożność. Pozwolił nawet, żeby Aberlott Wielka Gęba dowiedział się o jego poczynianiach. Ale zapewne wolałby być przyłapany przez Amena Specklebirda. I nagle kardynał wydał się mu kimś znacznie mniej złowrogim; był teraz po prostu słabym człowiekiem gnębionym wyrzutami sumienia.

Na szczęście w godzinach dla publiczności, kiedy dzieci mogły pluć na nich przez kraty, ludzkim zwierzętom podawano surową wołowinę i surowe ziemniaki, żeby zabawić tłum. Nikt nie widział, jak podawano im na śniadanie papkę z mączki kukurydzianej. Nimmy zapamiętał z Boedullusa, że jedzenie surowego mięsa, a jeszcze lepiej picie świeżej krwi, co czynili czasem nomadzi, jest „dobre dla krwi chorego”, i namawiał Kucisawego na zjedzenie choćby odrobiny. Sam lubił surowe mięso, jeśli było świeże, ale ochłapy więzienne miały czasem zapach jakby ofiary kojota, a surowe ziemniaki wywoływały bóle brzucha. Rząd Filipeo dostarczał dość papki, by okazy hodowane w zoo nie wyglądały na wygłodzone. Podczas pobytu kardynała i mnicha w więzieniu trzech sąsiadów poprowadzono z celi śmierci do pniaka, na którym mieli złożyć głowy. Od współwięźniów dowiedzieli się, że miejsce Wooshina zajęła maszyna do ucinania głów, nie zaś następne krzesło elektryczne. Kosztowne przecież dynamo można wykorzystać do innych celów niż smażenie przestępców.

Księżyc po pełni stopniowo zanikał, a potem przyszedł nów. Pewnego popołudnia, już po zamknięciu ogrodu dla zwiedzających,

jakiś mężczyzna w koronkowej komży podszedł i zaczął się im przypatrywać.

– Torrildo!

Były braciszek mrugnął do Nimmy'ego, ale milczał.

– Czego chcesz, młodzieńcze? – spytał Kucisawy.

– Pan mój, arcybiskup, zastanawia się, czy chcielibyście, aby przyniesiono tu wam komunię.

– Chciałbym dostać chleb i wino, by móc samemu odprawić mszę.

– Zapytam – oznajmił Torrildo i odszedł.

– Dowiedz się, czy papież wie, że jesteśmy za kratkami! – wrzasnął za nim Czamoząb.

– Nimmy! – syknął kardynał.

Torrildo zatrzymał się jednak. Nie odwracając się, powiedział:

– Wie.

Ruszył dalej.

– Psiakrew! To już koniec! – Kucisawy był wściekły i przybity.

Czamoząb uznał, że lepiej zostawić go samego. Owinął się pledami i zaczął drzemać, nie zważając na lodowate podmuchy wiatru.

Trzy dni później Torrildo pojawił się znowu. Tym razem to Czamoząb puścił do niego oko i akolita zarumienił się jak panna.

– Nigdy jeszcze nie widziałem tak ironicznego mrugnięcia – oznajmił.

– Co z chlebem i winem? – spytał kardynał.

– Eminencja nie zdąży już odprawić mszy. – Wyjął z kieszeni list i klucz. – Mam was wypuścić, kiedy przeczytacie list i obiecacie, że nie złamiecie zawartych w nich zakazów.

Kucisawy wziął do ręki papiery i przystąpił do czytania. Przeczytaną kartkę podał Czarnożębowi.

– Psiakrew! To już koniec – powtórzył kardynał. Był znowu przygnębiony, ale nie wpadł tym razem w gniew.

– Myślałem, że każdy kardynał ma swój kościół w Nowym Rzymie – rzucił Nimmy zaraz po przeczytaniu pierwszych linijek.

– Świętego Michała w Nowym Rzymie – wyjaśnił Kucisawy. – Jest to kościół Uriona, ale tutaj nie nazywa się go Aniołem Wojny.

Czytali dalej w milczeniu, a Torrildo przyglądał się im i niecierpliwie uderzał kluczem o otwartą dłoń.

Oto pierwsza strona tekstu:

„Do Jego Eminencji Elii kardynała Kucisawego, diakona od Świętej Małgi.

Od Uriona kardynała Benefeza, arcybiskupa od Świętego Michała Archanioła.

Ponieważ rzekomy papież, niejaki Amen Specklebird, podejmując próbę zrzeczenia się papiestwa, przyznał, iż nigdy papieżem nie był, Jego Cesarska Łaskawość Naczelnik Teksarku zechciał w swej dobroci wybaczyć ci wszystkie zbrodnie poza próbą królobójstwa, za co zarówno na Tobie, jak i na Twoim słudze Czarnozębie od Świętego Jerzego ciąży wyrok śmierci w zawieszaniu. Zostaniecie wypędzeni z Cesarstwa jako personae non gratae. Składając podpis we wskazanym miejscu poniżej, uznajecie pozostałe oskarżenia za nolo contendere, na co Jego Łaskawość raczy wyrazić zgodę, wy zaś tym samym przyjmiecie do wiadomości, że zostaniecie najszybciej jak to możliwe odprowadzeni pod strażą do wybranego przez siebie posterunku granicznego nad rzeką Bajdos, i obiecujecie, że nigdy nie wrócicie, chyba że na wyraźny rozkaz panującego papieża, Rady Powszechnej albo konklawe, i to tylko w celu przebycia drogi do Nowego Rzymu lub w przeciwnym kierunku od najbliższego posterunku granicznego”.

Poniżej oświadczenia o przyjęciu do wiadomości oskarżeń oraz przyrzeczenia ich niekwestionowania i przestrzegania zarządzenia o wiecznej banicji zostawiono miejsce na ich podpisy.

Reszta tekstu była bardziej lub mniej osobistym wezwaniem, z jakim Benefez zwracał się do Kucisawego i innych walańskich kardynałów, by zaakceptowali Nowy Rzym jako miejsce najodpowiedniejsze do bezzwłocznego przeprowadzenia konklawe w celu wybrania papieża. Kiedy Kucisawy skończył czytać, podniósł wzrok na Torrilda. Akolita podawał już im przez kratę stalowe pióro i flaszkę z inkaustem. Szybko złożyli podpisy i klucz zazgrzytał w ryglu.

Podróż powozem na zachód, w stronę rzeki Bajdos, po wojskowej drodze szybkiego ruchu trwała krótko, niecałe dziesięć dni ostrej jazdy. Zanim opuścili Prowincję, strażnicy pozwolili

Kucisawemu kupić dwa konie od dzikokróliczych farmerów. Księżyc był znowu w pełni, dzięki czemu czasem mogli jechać nocami. Kiedy dotarli w końcu do Opactwa Leibowitza, podeskcytowany opat Olshuen przyklęknął, żeby pocałować kardynalski pierścień i oznajmić, że on, Kucisawy, jest teraz papieżem-elektem wybranym przez grono gniewnych walańskich kardynałów, a powołanym przez papieża Amena przed złożeniem rezygnacji. Kardynałowie czekali niecierpliwie na jego accepto.

– Kto przybył z tą zwariowaną wiadomością? – spytał Kucisawy.

– Dawny nasz gość, a jakże, ten, który udał się z tobą do Nowego Rzymu, mianowicie Wooshin. Kardynał Nauwhat przysłał go z listem od Kurii (jest w moim biurze) i ustnym komunikatem od kardynała Sorely'ego.

– Jak brzmi ten komunikat? Że sprzeciwiał się wyborowi dokonанemu przez konklawe, ale ma nadzieję, że przyjmiesz jednak ten zaszczyt.

– Wie, że wybór nie był prawowity – skomentował to na poczekaniu Czerwony Diakon. – Oczywiście nie przyjmę.

– Masz pilniejszy kłopot – oznajmił Olshuen, dochodząc do siebie po chwili zgromy na widok kardynała.

– Jakiż to, dom Abiauiu?

– Czy brat od Świętego Jerzego zechciał wspomnieć ci o młodej damie? Szukała go po waszym wyjeździe. Myślał, że nie żyje. Powiedziała jednak, że ty wiesz, że żyje.

Kucisawy poczuł przypływ niepokoju.

Pomówimy o tym. Chodźmy do twego gabinetu. Muszę przeczytać list z Kurii.

Rozdział 19

„Wszystkich przychodzących do klasztoru gości należy przyjmować jak Chrystusa, gdyż On sam powie: «Gościem byłem i przyjęliście mnie» (Mt 25, 35)».

Reguła świętego Benedykty, rozdział LIII

Do opactwa Leibowitza dotarli w środę popielcową późnym popołudniem, w godzinach poświęconych na wypoczynek. Żółta Gwardia poprowadziła między nowicjuszami szereg walk na ciosy rękami i kopniaki i nawet bracia Strzyżyk i Śpiewna Krowa, choć już po ślubach, wzięli się niezdarnie do ćwiczeń. Czamoząb zauważył, że styl walki odbiega pod pewnymi względami od tego, czego uczył się u Wooshina – choć Topór nigdy by nie przyznał, że walczy jakimś stylem. Komendant Jing, który zmierzył się z Wooshinem, nazywał to jednak „techniką bezdomnego miecza” albo „stylem bez stylu”.

Najważniejszym zadaniem Kucisawego było odbycie rozmowy z opatem Olshuenem.

Czamoząb musiał podzielić się z Żółtą Gwardią złą nowiną. Przedtem jednak rozpakował się w pokoju gościnnym.

– Nadal tu jesteś! – wykrzyknął, wchodząc do hospicjum.

– Nie, nie – odparł Ónmu Kun, dzikokróliczy przemytnik broni. – Jestem tu po raz drugi od twojego wyjazdu. – Był wypełniony po brzegi winem i ochotą do pogawędki. – Weejus i Duch Niedźwiedzia Dzikich Królików wybrali mnie na szarfa. Wiedziałaś?

Nimmy miał co do tego wątpliwości, ale właściwie niewiele go to obchodziło. Wpadły mu w oko wojenne sprzęty kamratów nieboszczyka Weh-Geha i domyślił się, że choć pracują ciężko w opactwie, uczestniczą w liturgii i uczą nowicjuszy sztuki walki bezoreźnej, nadal mieszkają w hospicjum – razem z Ónmu Kunem. Oznaczało to, że Olshuen nie zamierzał zgoła przyjąć ich na postulantów czy nowicjuszy, póki nie otrzyma zezwolenia z góry.

Kiedy wrócili po ćwiczeniach, które prowadzili na dziedzińcu, powitali go uśmiechami i klepnięciami dłonią w dłoń, ale Ónmu nie zamykały się usta. Wybuchając co i raz śmiechem, opowiadał o swoich przygodach w Prowincji, a wojownicy byli zbyt uprzejmi, by mu przerwać. Tylko w ich oczach było pytanie („Weh-Geh? Co z nim?”), ale czekali cierpliwie na koniec opowieści przemytnika.

Ónmu oświadczył, że zabiegi Kucisawego w kościołach na lerenie Prowincji ułatwiły mu sprzedawanie broni. Wystarczyło, że zapytał kapłana, czy ten rozmawiał z kardynałem Kucisawym wędrującym w stronę Miasta Hannegana. Jeśli ksiądz odpowiadał, że nie, Ónmu umykał. Jeśli tak, jeśli okazywał choćby ślad entuzjazmu,

oznaczało to, że w tym miejscu działa grupa partyzantów, którzy potrzebują broni. Jedną z takich grup, która określała się jako Rycerze Pustego Nieba, była organizacją dobroczynną. Przekazał im nie tylko broń dla piechoty, ale wyprawił się specjalnie, żeby dostarczyć trzy armatki, które strzelały albo kulami wielkości brzoskwiń albo kartaczami – wszystko dla potrzebujących pilnie dobroczynnego wsparcia. Według „szarfa” Ónmu Rycerze namaścili każdą armatę olejami, schowali ją do szczelnej skrzyni, a polem zakopali w płytkim grobie na przykościelnym cmentarzyku.

Czamożab burknął coś grzecznie w odpowiedzi, ale w końcu obrócił się plecami do pijanego szmuglera, a przodem do pięciu wojowników, którzy patrzyli nań wyczekująco swoimi czarnymi oczami o wielkich powiekach. Czuł wstyd, że nie zaprzyjaźnił się w obcym kraju z cudzoziemcem – z tego tylko powodu, że ten nie był Wooshinem.

– Brat Weh-Geh poległ, broniąc swego pana – oznajmił im dość podniesionym głosem, żeby przekrzyczeć Ónmu. – Słyszałem to, ale nie widziałem. Padły trzy strzały. Kiedy zajrzałem przez drzwi, czterech mężczyzn celowało do niego z broni palnej, on zaś leżał już na posadzce. Miał ze sobą pistolet, który wydarł jednemu ze strażników. Jeśli wypalił, chybił. Boleję nad tym, co się stało. Wykonał do końca swój obowiązek, bez względu na to, czy postąpił słusznie, czy też nie. Był lepszym mnichem niż ja.

– Postąpił niesłusznie? – spytał Jing-U-Wan, dowódca.

– Kim byli ci czterej mężczyźni? – dodał swoje pytanie Gai-See.

– Czy oddano mu ostatnią posługę? – wtrącił się Woosoh-Loh. – Pogrzebano go zgodnie z obrządkiem?

– Czy możemy poprosić opata Olshuena o odprawienie mszy za jego duszę?

Nimmy starał się odpowiedzieć na jedno pytanie i usprawie dliwić się z tego, że na inne nie zna odpowiedzi. Na koniec obiecał, że porozmawia z opatem Olshuenem w sprawie mszy żałobnej za zmarłego Weh-Geha, i od razu pospieszył do jego gabinetu. Drzwi były otwarte. Kucisawy siedział przy biurku opata i coś mówił, a Olshuenowi siedział na stołku.

– To hańba, że Hannegan ma wyłączność na telegraf – uzalał się kardynał, kończąc pisać list, z pewnością, jak pomyślał Nimmy,

przeznaczony dla Kurii w Valanie. Obrócił się bokiem do biurka, żeby spojrzeć na jego prawowitego użytkownika, opata, i spostrzegł stojącego na progu Nimmy'ego. Skinął na mniszka i ciągnął: – Kościół ma dość pieniędzy, by pozwolić sobie na wynajęcie majstrów Filipeo. Moglibyśmy zbudować linię stąd do Valany i, być może, z Valany do Oregończyków.

Opat powiedział:

– Tak, pieniędzy mamy dość. Skąd jednak wziąć miedź? Ponoć Hannegan skonfiskował miedziaki, rondle i dzwony kościelne. Kupić można. Tylko kto nam ją sprzeda?

– Słyszałem, że srebro przepuszcza jeszcze lepiej esencję elektryczną niż miedź. Nie jestem pewny, czy da się to urzeczywistnić, ale przecież mamy kopalnie srebra.

– Doprawdy? A gdzie to?

Kucisawy zmienił temat.

Podał Olshuenowi list i zapytał:

– Co o tym myślisz? Wejdźże, Nimmy!

Opat wziął do ręki list i studiował go, trzymając kartkę tak, że Czamoząb mógł też czytać, jeśli tego pragnął.

„Do Sorely kardynała Nauwhata, Sekretarza do Nadzwyczajnych Spraw Kościoła.

Od Elii kardynała Kucisawego, wikariusza apostolskiego przy Trzech Hordach.

Non accepto!

Wiesz, że nie można odbyć konklawe, póki nie zawiadomi się każdego kardynała na kontynencie. Kuria z pewnością doradziła Jego Świątobliwości uściślenie prawa dotyczącego zarówno rezygnacji, jak i konklawe, i nie mogę uwierzyć, że nadał prawowitość takiemu konklawe, jak to, które Kuria najwyraźniej zwołała. Ja to wiem, ty też. Musieliście być mniejszością w rozgniewanym Świętym Kolegium.

To, że Hannegan mnie uwięził, zmusiło Jego Świątobliwość do zrzeczenia się tiary. Teraz jestem jednak wolny i modłę się, by wszystko rozważył raz jeszcze. Nie jest związany niczym, co uczynił w warunkach szantażu. Niechaj cofnie zrzeczenie, oświadczając, że działał pod przymusem. Jeśli tak nie postąpi, musicie wezwać kardynałów, wszystkich, co do jednego (łącznie ze mną,

przebywającym w opactwie), do Valany, by wybrać innego następcę świętego Piotra, i to zgodnie z każdym punktem w obowiązującym prawie.

Choć doceniam ironię kryjącą się w tym, że na papieża wybrano kogoś, kogo Hannegan, po dobieciu targu, zwolnił dopiero co z więzienia, muszę powtórzyć: Non accepto. Wiesz dobrze, Sorely, że takiej odpowiedzi z mojej strony należało oczekiwać.

Czekam na instrukcje od Najwyższego Kapłana, papieża

Amena, a kiedy będziesz je przysyłał, sprawisz mi ogromną radość, powierzając je Wooshinowi”.

– Pytasz, co myślę? Skąd mam wiedzieć? – rzekł, potrząsając głową, Olshuen. – W imię Boga, mojego Pana, jestem tylko leibowitzańskim mnichem. Nie jestem Opatem Jaradem. Moje powołanie ogranicza się do tego miejsca, mój Bóg jest tutaj, i choć jestem sługą Świętej Matki, Kościoła...

– A niechże! Zamilcz, proszę! Przepraszam, że pokazałem ci ten list. Jarad powinien był odmówić czerwonego kapelusza, ale Linus VI nalegał. Wiem to, i ty zapewne też.

– Próbuję sobie przypomnieć, czy był opat, który sprzeciwił się papieskiemu żądaniu, panie mój.

– Może i nie było takiego, lecz co ty byś powiedział, gdyby Amen Specklebird mianował cię kardynałem?

Olshuen zawahał się, a potem odpowiedział:

– Nie, nie przyjąłbym. Nawet by spełnić jego wolę.

Było rzeczą oczywistą, że starego księdza, pustelnika i czarownika uwielbiali także ci, którzy znali go tylko ze słyszenia. Zdaje się jednak, że spośród wszystkich kochających się tylko Kucisawy darzył go naprawdę głębokim uczuciem.

Nimmy przedstawił prośbę w imieniu ludzi Jing-U-Wana i ich poległego brata i Olshuen obiecał, że odprawi mszę. Następnego ranka Kucisawy posłał Czamożeba do Sanly Bowitts, wręczywszy mu uprzednio list i dość złota, by mógł wynająć posłańca z dwoma końmi, który szybko dostarczy list do Valany. Posłaniec obiecał, że będzie pędził od świtu do zmierzchu, a także w nocy, jeśli tylko księżyc na to pozwoli, i że będzie czekał w Yalanie na odpowiedź – chyba że jego miejsce zajmie Wooshin.

W powrotnej drodze do opactwa spotkał jadącego konno w stronę osady Gai-See. Wymienili pozdrowienia i zatrzymali się na chwilę. Nimmy spytał, po co Gai-See udaje się do miasta.

– Kiedy opuściłeś opactwo, kardynał postanowił wysłać jeszcze jeden list. Mam go przy sobie – odparł wojownik.

– Do Valany?

– Nie, do Nowej Jerozolimy. – Zmarszczył powątpiewająco brwi.

– Czy masz prawo o to pytać?

– Zapewne nie. Spróbuję więc zapomnieć.

Rozjechali się w przeciwne strony. Nimmy wiedział doskonale, co kardynał ma do przekazania staroście Dionowi. Małeńki rewolwer trafił w jakiś sposób z ich arsenału na Zachodnim Wybrzeżu do rąk Filipeo Harqa. Widział go i pan, i sługa. Do Nowej Jerozolimy musiał przeniknąć agent Hannegana. Innej możliwości nie ma. Nie będzie jednak wypytywał o to Kucisawego, gdyż naraziłby na nieprzyjemności Gai-See, który wyjawiał mu miejsce przeznaczenia listu.

W październiku panowało w opactwie nieprzychylnie nastawie nie do wędrownego mnicha, ale na początku marca zmieniło się na zdecydowanie wrogie. Dawni współbracia wystrzegali się go jak ognia. Z drugiej jednak strony niektórzy nowicjusze okazywali mu więcej zainteresowania niż dawniej. Próbował dowiedzieć się, co się wydarzyło od tamtego czasu, ale w odpowiedzi na swoje pytania usłyszał tylko niechętne burknięcie o „niespodziewanych gościach”.

Trzej nowicjusze przebywający w poczekalni przed gabinetem Opata usłyszeli, jak ten przekrzykuje się z kardynałem Kucisawym – albo papieżem Kucisawym, tak go bowiem nazwał jeden z nich – i powiedzieli o tym Nimmy’emu. Niewiele z tych krzyków zrozumieli, ale nie mieli wątpliwości, że chodziło właśnie o niego, Czarnozęba.

– Czarnoząb postanowił więc stanąć przed kardynałem, ponieważ jednak zastał go klęczącego przed ołtarzem Matki Boskiej i zatopionego w modlitwie, uklękął tylko obok i czekał. Kucisawy poruszył się i Nimmy wyczuł, że coś go dręczy. Wreszcie Czerwony Diakon przeżegnał się i wstał. Mnich odczekał kilka sekund, a potem poszedł w jego ślady. Kucisawy ruszył w stronę drzwi. Nimmy powlókł się za nim. Słyszając szuranie butów, Czerwony Diakon obrócił się. Czy chcesz czegoś, bracie od Świętego Jerzego?

-Tylko usłyszeć, co się dzieje?

Wyszli na zewnątrz i przystanęli.

- Wiedziałem, że ona być może żyje. Nie chciałem jednak rozbudzać w tobie złudnych nadziei. Idź na Mesę Ostatniego Ratunku. Jest tam ktoś, kto widział ją jako ostatni.

Kardynał ruszył przed siebie.

- Co za ona? Kto taki? - zawołał za nim Nimmy.

Kucisawy obejrzał się, ale milczał.

- Edrea!

- Idź na Mesę. Powiem opatowi, że cię tam posłałem. Sam chciałem to uczynić. Ale odpowiedzialność spada na mnie. To ja cię zwiodłem.

Blady jak zjawa Nimmy popędził do kuchni, żeby wyprosić kilka sucharów i wodę na drogę. Od kucharza, który był akurat w doskonałym humorze, dostał suchary, trochę sera i bukłak wypełniony winem zmieszany z wodą. Następnie udał się do hospicjum, żeby spakować maty. Tego dnia było już zbyt późno na wymarsz, położył się więc spać i wyruszył przed brzaskiem, kiedy wzywano braci na laudę. Czekająca do daleka droga do Ostatniego Ratunku, a kiedy wreszcie dotarł do miejsca, z którego pięła się w górę ścieżka, zobaczył grób z dwoma kijami związanymi tak, że tworzyły krzyż. Nie przychodziło mu do głowy, co ten grób może oznaczać. Kiedy zakończył mozolną wspinaczkę, słońce opadało już za odległe wierzchołki górskie. Poszedł prosto w stronę zburzonego szałas, który odkrył w zeszłym roku, i spostrzegł, że został odbudowany. W pobliżu nikogo nie było. Nie chciał otwierać drzwi.

Kilka razy zakrzyknął, a ponieważ nikt nie odpowiedział, usiadł na swoich matach i czekał. Światło było już za słabe, żeby czytać kompletę, odmawiał więc różaniec, raz snując rozważania o tajemnicy każdej dziesiątki, raz - o pięknej, wykolejonej niewieście, która skradła mu niegdyś ten różaniec. Przypomniał sobie grób u stóp Mesy. Potrząsnął niecierpliwie głową i przystąpił do kontemplowania piątej z chwalebnych tajemnic, którą było cielesne Wniebowzięcie Matki Bożej i ukoronowanie Jej w Niebiosach przez Syna. Nie ma jednak żadnego „przed” ani „po”, jak powiadał Amen Specklebird, dla którego koronacja Najświętszej Panny była wydarzeniem mieszczącym się w wieczności. Stopniowo twarz dziewczycy zmieniała się w twarz Edrei, dokończył więc najszybciej

jak potrafił odmawianie ostatniej dziesiątki. Kiedy podniósł głowę, ujrzał na tle wieczornego nieba zarys chudej postaci, stojącej nad nim z podniesioną maczugą.

– Nie wstawaj! – wychrypiła postać. – Kim jesteś? Co tu robisz?

– Jestem bratem od świętego Jerzego i przysłał mnie tu mój pan, kardynał Kucisawy.

– Och, już sobie przypominam – powiedział stary Żyd, patrząc na niego z ukosa w mroczniejącym świetle. – Zadawałeś mi mnóstwo pytań w drodze do Nowej Jerozolimy.

– Czy sprowadziłeś im deszcz?

– Znowu te pytania! Twój pan przysłał cię z wiadomością? Dla mnie?

– Nie, z pytaniem. Co wiesz o jfkirei? Widziałeś ją. Dokąd się udała?

Stary Żyd przez dłuższą chwilę milczał.

– Służyłem jej jak mogłem wsparciem, kiedy uciekła od ojca. Przyszła tu ze mną, kiedy w opactwie ją przepędzono. Urodziła dzieci. Odeszła!

– Dzieci!

– Dwóch chłopczyków. Nie byli jednak do siebie podobni. Zostawiła ich ze mną, albowiem nie byli bez skazy. Jej ojciec zabiłby obu. A nie miała dokąd się udać, musiała wrócić do swoich. Zbyt wiele wie o sprawach Nowej Jerozolimy, by narażać się na schwytanie na wschodniej drodze do Doliny.

– Gdzie są dzieci?

– Nie służyło im mleko moich kóz. Zabrałem je do Sanly Bowitts. Zostawiłem u niewiasty, która obiecała, że zajmie się nimi, póki ktoś się po nie nie zgłosi.

– Któż taki?

– Hraram, hnnn. Skąd mam wiedzieć? Ktoś z Doliny. A może ty, ojciec.

– jfidrea wyjawiała ci, że jestem ojcem?

– To rozmowna białogłowa. Była tu... hmm, hnn... siedem, może osiem tygodni. Przez cały

czas śpiewała albo mówiła. – Sięgnął do swej torby i podał Nimmy'emu krzesiwo i kawałek stali. – Tam, w cieniu, jest palenisko. Rozpal hubkę. Mam zapas drewna.

- Czy poród był trudny?
- Bardzo. Musiałem zrobić cięcie. Straciła mnóstwo krwi.
- Cięcie? Jesteś lekarzem?
- Jestem wszystkim.

Nimmy skrzesał po jakimś czasie ogień. Szukając według instrukcji, które podawał mu stary pustelnik, znalazł w szałasie pudełko z pokruszonym suchym prowiantem, wrzucił dwie podwójne garści do garnka z kabłąkiem i dolał wody z wielkiej konwi stojącej przy drzwiach.

- Zawieś na trójnogu. Mieszaj czystym patykiem.
- Co to takiego?
- Jadło, ojcze.
- Nie nazywaj mnie tak. Nie jestem księdzem.
- Czyż utrzymuję, że jesteś? Ojcem wszelako jesteś. Mógłbym nazywać cię tatusiem.

Czarnoząb poczuł, że rumieniec wypełził mu na twarz.

- Dlaczego nie nazywasz mnie Nimmym?
- Tak zwą cię w opactwie?
- Nie, ale mój pan i owszem.
- Nie ma go w klasztorze?
- Słucham?
- Twój pan pozwolił, jak się zdaje, byś mniemał, że ta niewiasta nie żyje, czyż nie tak?
- Powiedział, że nie był pewny i że nie chciał budzić złudnych nadziei. Chyba mu wierzę.
- Ha! - powiedział stary Żyd i zaczął chichotać jakby sam do siebie.

Nimmy mieszał w garnku, aż papka zgęstniała. Stary pustelnik wyniósł metalowe talerze, łyżki i czarki. Nimmy wydobył zawinięte w maty suchary i napełnił czarki winem z wodą. Usiedli na płaskim kamieniu wspartym na dwóch wkopanych w ziemię nogach i jedli kolację przy świetle bijącym od ognia.

Czarnoząb przeżegnał się i odmówił szeptem błogosławieństwo. Stary Żyd, trzymając w ręku czarę, odśpiewał parę słów w dziwnym języku, który Nimmy uznał za hebrajski.

Papka - wyjaśnił Beniamin - została przyrządzona z odpowiednio przygotowanych fasolek jadaloszy, który przyniósł tu z Sanly

Bowitts. Kiedy przyjdzie odpowiednia pora roku, zbierze i przygotuje własne. Przedtem hodował tu kozy i spróbuje znowu kupić sobie stadko. O minionych wiekach opowiadał tak, jakby był świadkiem wydarzeń. Kilka razy wspominał o opacie Hieronimie, jakby ten nadal rządził klasztorem, i o podbojach Hannegana II mówił tak, jakby ciągle jeszcze trwały. Wydawało się, że dla niego wszystkie czasy współistnieją w jakimś jego osobistym „teraz”.

Nimmy spędził noc w szałasie starca. I znowu przyśnił mu się otwarty grób w opactwie, ten grób z dzieckiem, lecz obudził się gwałtownie ze świadomością, że został tam pogrzebany Jarad Kendemin. Rankiem odważył się zapytać Beniamina o świeży grób u stóp Mesy.

Pustelnik zaprzeczył, jakoby coś na ten temat wiedział, ale spostrzegł wyraz powątpiewania na twarzy Nimmy’ego.

- Jeśli myślisz, że ją tam zakopałem, idź i rozkop grób.
- Wierzę ci.

Nie spieszył się z opuszczeniem tego miejsca. Obudził się w nim gniew na kardynała i chciał się od tego uczucia uwolnić albo znowu zaufać choćby trochę Kucisawemu. Czerwony Diakon nie wyjawiał prawdy, ale Czamożab nie przypominał sobie, by kiedykolwiek go wprost okłamał. Z tego, co powiedział starzec, wynikało jednak, że wiedział o Edrei. lecz kłamał. Ona nie usłyszała jednak słów, które naprawdę przekazał Czamożebowi. Został jeszcze dzień i noc. Niebo zasnuło się chmurami, zerwał się zimny wiatr. Bukłak i konwią pustelnika opustoszały.

- Skąd bierzesz wodę?

Beniamin spojrział na niego, a potem wskazał niedbale na niebo i wrócił do dojenia kozy.

Minęło jakieś dwadzieścia sekund. Duża zimna kropla deszczu spadła prosto na twarz mniszka. Chwilę później roszała się krótkotrwała ulewa. Nimmy nie zadawał dalszych pytań.

Stary pustelnik żalił się, że Nimmy zjadł więcej, niż przyniósł. Nie miał innego wyjścia, jak odejść trzeciego dnia tuż po świcie. Kiedy usłyszał za sobą grzechot osuwającego się żwiru, obejrzał się i spojrział do góry. Stary Żyd szedł za nim, niosąc w rękach rydel.

Nimmy przypomniał sobie sen i przed oczyma stanął mu na chwilę obraz otwartego grobu. A trzeciego dnia powstała z martwych...

Grób nie był jednak otwarty. Znaleźli natomiast u stóp Mesy jeszcze jeden. Najwyraźniej został wykopany ledwie wczoraj. Stary Żyd oparł się na rydlu i spojrzał z ukosa na Nimmy'ego.

– Nie, ani myślę kopać – oświadczył mnich. – Dziękuję i żegnam. Nie oglądając się za siebie, popędził w stronę Sanly Bowitts.

Beniamin podał mu imię starej kobiety. Czamoząb bez trudu odnalazł jej stary dom z suszonej na słońcu cegły i doliczył się siedmiorga dzieci bawiących się na podwórku. Uświadomił sobie nagle, że jest to „sierociniec”, który opactwo zawsze utrzymywało w mieście. Niewiasta przyglądała mu się z posępną miną. Miał wrażenie, że wie, kim jest i po co przyszedł, ale uważała go za wyrzutka i drania.

– Czemu nie przyszedłeś po nie dziesięć dni temu? Teraz ktoś je adoptował.

– Kto?

– Trzy siostry.

– Dokąd je zabrały?

– Nie wolno mi powiedzieć.

Kiedy Czamoząb wykrzywił gniewnie twarz, nazwała go łotrem, rozpustnikiem, fałszywym michem. Kazała mu się natychmiast wynosić i schroniła się w swym starym domu.

– Gdzie się podziewa matka? – zakrzyknął za nią, ale nie uzyskał odpowiedzi.

W posępnym nastroju pomaszerował w stronę opactwa.

Wrzaski zaczęły się następnego dnia. Mnisi siedzieli w refektarzu i spożywali południowy posiłek. Poszczący akurat ojciec Levion, teraz przeor klasztoru, stał na murze, kiedy rozległo się pierwsze odległe „bum!”. Zgodnie ze swym zwyczajem modlił się zwrócony ku ogromowi załamującego się pustynnego horyzontu i ku Bogu, który ten horyzont stworzył. Pierwszy wybuch ledwie zakłócił mu modlitwę, ale przebiegł wzrokiem otwarty pejzaż, szukając dymu. Po drugim „bum!” Ónemu Kun wybiegł z refektara i pospieszył na drugą stronę dziedzińca. Zobaczył Leviona i wbiegł do niego po schodach.

- Gdzie? – spytał, z trudem łapiąc oddech.

- Nie wiem. Niczego nie dostrzegłem.

Bum! Wybuchy były oddzielone od siebie mniej więcej półloraminutową przerwą.

- Mam wrażenie, jakby to dochodziło stamtąd – powiedział I ,evion, wskazując w dół doliny.

- To przez ten wiatr, który wieje w poprzek – odparł Ónmu, patrząc prosto w stronę Mesy Ostatniego Ratunku.

Po czwartym wybuchu wskazał na Mesę. Rzeczywiście wznosiła się z niej cienka wstęga dymu.

Po czwartym „bum!” pióropusz dymu trysnął z miejsca położonego jakieś dwieście kroków od opactwa.

- Jasna cholera! Wstrzela się prosto w nas! – krzyknął przemytnik.

Przy szóstym „bum!” kula armatnia trafiła w sam środek drogi tuż przed opactwem, a potem odbiła się i wpadła przez otwartą bramę. Gruchnęła w kamienny krawężnik okalający klomb z różami i podskakując, pomknęła w stronę zabudowań, aż wreszcie wpadła przez drzwi refektarza. Rozległy się krzyki i z budynku zaczęli wybiegać mnisi.

- Chronić się! – wrzasnął Dziki Królik. – Zostały mu jeszcze dwa pociski!

Nie było jednak dalszych strzałów i chociaż mnisi spożywający skromny wielkopostny posiłek byli śmiertelnie przestraszeni, nie było żadnych szkód poza kuchnią. Tyle że Ónmu Kun zdradził się ze swoją wiedzą. Odnaleziono kulę i chociaż była zniekształcona i cokolwiek spłaszczona dostrzeżono pewną liczbę wyskrobanych na niej hebrajskich liter. Wezwano biegłego. Czytelna część napisu głosiła: .. Aby z roli dobywał chleb”. Tymi słowami błogosławiono jadło. „Bardzo stosowne, zważywszy, gdzie trafił” – zauważył tłumacz. Zwołano natychmiast naradę w gabinecie opata. Wezwano Czamożęba i wyznaczono go na prowadzącego śledztwo, albowiem znał wprawdzie podejrzanego nie lepiej jak wszyscy, ale najswobodniej posługiwał się jego dialektem.

Spotkanie odbyło się w hospicjum.

- Jakim prawem przybywasz w tym miejscu, cny prostaczku?

- Zostałem zaproszony – odparł Ónmu Kun.

- Przez kogo?
- Przez opata Olshuena, a jakże.
- Z polecenia kardynała?
- To możliwe.
- Czy opat jest świadomy, czym się trudnisz?
- Nie wiem. Ale jeśli nawet jest, nigdy bym nie sprowadził... nigdy bym nie mógł sprowadzić mojego towaru na teren opactwa. I nigdy tego nie uczyniłem.
- Zakopujesz więc go na pustyni do chwili wyruszenia w dalszą drogę. A potem wykopujesz.
- Tym razem wykopał go starzec. Mój pech. Myślałem, że nigdy nie schodzi z Mesy i nikt go nie odwiedza. Użyłem tego miejsca po raz pierwszy. Nie spodziewałem się, że zechce zbeczczyć grób.
- Jest trochę stuknięty, ale wcale nie głupi. Pojął, że to nie grób. Wykopał więc armatę i przesłał za jej pomocą wiadomość.
- Skoro kula doleciała aż tutaj, musiał przekroczyć dopuszczalny ładunek. I wznieść lufę pod kątem mniej więcej czterdziestu stopni.
- I strzelał z miejsca położonego jakieś pięćset stóp wyżej niż klasztor.
- Chciał kogoś zabić?
- Stary Beniamin? Nie. Doniósł opatowi o tobie.
- Lepiej, żebym stąd zniknął. A co było w drugim grobie?
- Karabiny.
- Jeśli chcesz podjąć próbę odzyskania towaru, ktoś musi z tobą pójść. Jest nas sześciu. Każdy potrafi sobie z tobą poradzić.
- Nawet ty? - Dziki Królik wybuchnął śmiechem.
- Czamożab rąbnął go tak, że tamtemu zaparło dech, i rzucił go w róg izby. Ónemu podniósł na niego zdumione spojrzenie. Z trudem łapał powietrze, ale nie widać było po nim, by wpadł w gniew.
- Czemu to uczyniłeś, bracie od Świętego Jerzego?
- Chciałem ci pokazać, że jeśli dojdzie do zwady ze starcem w sprawie broni, przegrasz.
- Ależ to moje karabiny! Są przeznaczone dla Pasikoników, a ja jestem szarfem.
- Wiesz, że to kłamstwo. Sam mówiłeś, że dostajesz prowizję.
- Pewnie, jeśli sprzedam towar. Jeśli go stracę, jest mój.

– Nie pojmuję.

– Muszę płacić za bron. Jak myślisz, kto jest jej właścicielem? Kardynał Kucisawy?

– Nie wiem, ale wątpię. Zapewne starosta Dion. Ktokolwiek jednak ją sprzedaje, ty jesteś tylko pośrednikiem.

– Jestem też szarfem! Oczywiście utajonym.

Ónmu Kun zniknął z opactwa jeszcze tej nocy i nigdy już nie wrócił. Pokrewieństwo z rodem królewskim było pierwszym warunkiem wyboru na szarfa hordy, a Nimmy wątpił, by którykolwiek z nomadów żyjących na terenach na północ od Nady Ann uznałby jego roszczenia. Gai-See został wysłany na koniu samego opata w stronę Ostatniego Ratunku, by bronić starego Żyda i, jeśli to możliwe, wynegocjować zwrot broni. Wrócił następnego dnia, wlokąc armatę, i doniósł o dwóch pustych grobach, a także o tym, że Benjamin nie otworzył drugiego grobu. Kun najwyraźniej odzyskał karabiny i ruszył swoją drogą. Ale w ten sposób

Opactwo Leibowitza weszło w posiadanie nowoczesnej artylerii – choć bez amunicji. Abiquiu Olshuen zamknął armatę w podziemnym pomieszczeniu wraz z zardzewiałym orężem z zeszłego stulecia.

Nowicjusze donieśli, że za zamkniętymi drzwiami doszło do następnej głośnej wymiany zdań między kardynałem i opatem. Tym razem poszło o broń palną. Kucisawy wyszedł z pokoju wściekły i z uczuciem upokorzenia. Oznajmił Czarnozębowi, że zdaniem Olshuena nadużyli gościnności opactwa.

– Wie już, że zbroi się Dzikie Króliki – powiedział. – Boi się o klasztor, jeśli Hannegan zacznie podejrzewać, że tutejsi mnisi są w to wplątani. Chce, żeby ludzie Jinga wynieśli się stąd jak najrychlej.

– Ależ ci nie mają nic wspólnego z całą sprawą!

– To prawda, ale koncepcja mnichów-wojowników jest nie do pogodzenia z wizerunkiem chrześcijaństwa, jaki wytworzył sobie dom Abiquiu. Dla niego to zgorszenie. Musimy opuścić opactwo.

– Czy to, co twierdzi Ónmu Kun, że pramatki wybrały go na szarfa, jest zgodne z prawdą?

– W kraju Dzikich Królików wszystko owiane jest mgłą tajemnicy, Nimmy. Sprawdzianem jest dla nich rzeczywistość, a nie

prawo. Jeśli ludzie pójdą za nim w bitwie, będzie szarfem. Jeśli nie, nic z tego. Bez względu na to, co powiedzą Weejus.

Wielki Post trwał już od jakiegoś czasu, kiedy posłaniec z Miasta Hannegana dotarł do opactwa z orędziem skierowanym do wszystkim biskupów, a podpisanym przez Uriona Benefeza i siedmiu innych kardynałów. Zapowiedziano, że sześć tygodni po Wielkanocy odbędzie się w Nowym Rzymie Sobór Powszechny Kościoła i wszyscy zdolni do podróży biskupi i Opaci muszą wziąć w nim udział. Celem soboru będzie opracowanie nowego prawa dotyczącego konklawe.

- Tylko suwerenny papież może zwołać Sobór Powszechny
- oznajmił Kucisawy i odmówił złożenia podpisu.

Odmówił też Olshuen. Posłaniec wzruszył ramionami i pojechał dalej.

Następnego dnia przybył Wooshin z oczekiwanym wezwaniem na konklawe w Valanie. Został serdecznie powitany przez Kucisawego, Czarnozęba i Żółtą Gwardię, ale wezwanie, które przywiózł, było dość osobliwe. Kuria najwyraźniej wiedziała już o próbie zwołania Soboru Powszechnego, gdyż ton listu był gniewny, a w ostatnim paragrafie zagrożono ekskomuniką każdemu kardynałowi, który weźmie udział w soborze w Nowym Rzymie, „gdzie schizmatycy i heretycy podejmą próbę osadzenia na Apostolskim Tronie Piotrowym znanego sodomitę”. Dokument podpisał Amen, Episcopus Romae, servus servorum Del, ale Kucisawy podejrzliwie patrzył na ten podpis, tym bardziej że tekst nie był napisany językiem, jakiego zwykł używać Specklebird.

- Sytuacja staje się paskudna – oznajmił Czerwony Diakon. Wyjeżdżamy natychmiast.

Rozdział 20

„Biorąc pod uwagę niedomagania różnych braci uważamy, że na główny codzienny posiłek – czy to w porze seksty, czy w porze nony

– wystarczą dla każdego stołu dwie potrawy gotowane, aby ten, kto jednej jeść nie może, posilił się drugą”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział XXXIX

Czarnoząb miał teraz uczucie, że od ponad roku jest ciągle w drodze. Tym razem nie było żadnego powozu. Ośmiu ludzi z szesnastoma końmi pędziło papieską drogą szybkiego ruchu na północ, do Valany. Kilka mil na południe od bocznej drogi, która wiodła do kolonii Sharda i w głąb gór, w stronę Nowej Jerozolimy, kardynał Kucisawy zatrzymał konia, wezwał do siebie Czarnoząba i Wooshina i oznajmił, że ominą cały ten teren.

Czarnoząb zaprotestował:

– Panie mój, jedynym, który musi jechać dokoła, jestem ja. Mogę skierować się na wschód, dojechać do obszaru porośniętego krzakami, potem parę mil na północ i jeszcze przed zmierzchem dołączyć do was na drodze.

– Nie – powiedział kardynał. – Nie chcę, by zobaczono więcej niż jednego z nas. Wooshinie, wyznacz człowieka, który przejdzie przez posterunki genoków i przekaże list rajcy Dionowi. To pismo jest przeznaczone w rzeczywistości zarówno dla starosty, jak i dla Sharda, ale Shard nie przyjmie rozkazów od nikogo poza Dionem.

– Dlaczego nie pošlesz mnie? – spytał Topór.

– Nie. Shard cię pamięta.

– Mógł zapamiętać każdego z nas – wtrącił się Nimmy. – Kiedy zdążaliśmy zeszłej jesieni do opactwa, pobiegł po strzelbę i strzelał do nas.

Topór poszedł naradzić się z mnichami-wojownikami.

– Proponuję, żeby pojechał Gai-See – oznajmił potem. – Przedstawia sobą najmniejszy cel i ma najszybszego konia. Jeśli nie znajdzie drogi okrężnej, może poczekać do zmierzchu i popędzić wprost Aleją Strachów na Wróble. Księżyc świeci wystarczająco jasno.

Kucisawy skinął potakująco głową, dał znak Gai-See i pouczył go, że musi unikać wszelkiego kontaktu z rodzinami strzegącymi przejścia.

– Powiedz Dionowi: „Na wschodzie otwórz bramy Dzikim Psom i Pasikonikom. Na zachodzie pošlij dary Kurii”. Zechciej powtórzyć.

– Na wschodzie otwórz bramy Dzikim Psom i Pasikonikom. Na zachodzie pošlij dary Kurii.

– Dobrze. Potem przypomnij mu, co Nimmy i ja widzieliśmy w ręku Hannegana. Wiadomość o tym przesłałem z opactwa. Jeśli dotarła do niego, wie, co ma robić. Potem da ci jucznego muła z ładunkiem. Opuść Nową Jerozolimę od strony zachodniej i pędź najszybciej jak możesz do Valany.

Gai-See zeskoczył z konia, skłonił się przed kardynałem i usiadł obok szlaku.

– Poczekaj do zmierzchu – wyjaśnił Topór. – I ja sądzę, że tak będzie bezpieczniej.

Kucisawy spojrział na Czarnożęba.

– Skąd ta zawiedziona mina?

– Nic takiego, panie mój.

– Miałeś nadzieję, że ktoś sprawdzi, czy Edrea jest w domu swego ojca?

– Wiem, że to niemożliwe. Zbyt niebezpieczne.

– Niech to nie budzi twojej troski. Gai-See może spytać o nią starostę.

– I otrzymać tak samo prawdziwą odpowiedź jak ja?

Kucisawy wzruszył ramionami.

– Nie mogę wskazywać Dionowi, co ma powiedzieć albo zrobić, chyba że chodzi o moją własność.

Po raz pierwszy zdarzyło się, że kardynał wspomniał o własnym arsenale, ale tą sprawą Czamożab wcale nie chciał się interesować.

– Panie mój, wolę, by Gai-See nie pytał Diona o Edreę.

– Dlaczego?

– Kiedy Gai-See powie o broni palnej, którą widzieliśmy w ręku Filipeo, Dion zacznie się zastanawiać, kto jest szpiegiem albo zdrajcą. A w tym czasie Edrea uciekła z domu. My wiemy, dokąd się udała, ale starosta może jej nie uwierzyć.

Kardynał opuścił wzrok na Gai-See.

– Słyszałeś i zrozumiałeś?

– Tak, dostojny kardynale. Zachowam dyskrecję.

– Zobaczymy się w Valanie. A teraz wjedźmy jakąś milę w głąb zarośli jałowca.

Trzy dni później, w poniedziałkowy wieczór, trzeciego kwietnia, obozowali wśród krzaków pół mili na wschód od papieskiej drogi. Tej nocy miała być przedwielkanocna pełnia księżyca, ale słońce jeszcze nie zaszło, ponieważ zaś kończył się im prowiant, Nimmy wyruszył na poszukiwanie jadalnych korzonków i liści, które mogły już się rozwinąć, a Wooshin wziął jedyną broń palną, jaką dysponowali, i poszedł zapolować. Wojownicy kardynała nazbierali drewno i przystąpili do rozpalania ogniska. Natomiast sam Kucisawy, wyraźnie wyczerpany długą podróżą i nękany atakami coraz gwałtowniejszego kaszlu, owinał się w pledy i nim zapadły ciemności, zasnął z głową wspartą na siodle.

Czamożab wykopał nad półzamarzniętym strumieniem kilka zeszłorocznych dzikich cebul; niewielki z nich będzie pożytek, chyba że posłużą jako przyprawa, jeśli Wooshin nie wróci z pustymi rękami. Oczywiście był nadal Wielki Post, ale znaleźli się w sytuacji przymusowej, a zwłaszcza kardynał, który po próbie w niecce hodowlanej nie doszedł w pełni do siebie.

Nimmy pamiętał o tym, żeby trzymać się określonego kierunku, zerkając co jakiś czas na zachodzące słońce, pierwsze gwiazdy, a wreszcie poświatę od odległego w tym momencie ogniska. Znalazł jukę i ostrym końcem kijka wydłubał z ziemi parę mizernych bulw.

Usłyszał dwa strzały i pomyślał, że to Wooshin, ale zaraz rozległ się trzeci – zbyt szybko, żeby Topór zdążył załadować na nowo pistolet. Mignął mu pędzący wzdłuż strumienia u stóp wzgórza koń z nomadą na grzbiecie. Od strony obozu dobiegły go wrzaski, w które wmieszał się pojedynczy strzał, ale Nimmy rozróżnił tylko głosy dowódcy wojowników Jinga i Woosoh-Loha nawołujących się w ojczystym języku. Potem Topór krzyknął coś w swoim ubogim, lecz zrozumiałym dzikopsim o groźbie śmierci, i słabszym echem zawtórował mu kardynał, który oznajmił, że jest to groźba realna i poparta odpowiednimi argumentami.

Nimmy najciszej jak umiał podążył w stronę ogniska. Dwóch nomadzkich wykrotników siedziało ze związanymi do tyłu rękami. Pilnowali ich gwardziści Kucisawego. Sam kardynał siedział nu swoim rozłożonym pościeliu. Przy krzaku jałowca stał uwiązany do

niego dziwny, mały konik, a obok leżały dwa nieznane Nimmy'emu muszkiety, oparte o powalony pień drzewa.

– Nimmy, gdzie jesteś?

Był to głos Kucisawego. Czamoząb stanął czym prędzej w kręgu światła i rzucił cebulę i jukę obok zabitego dzikiego psa. Kardynał poczuł zapach cebuli i skrzywił się.

Wooshin wyjaśnił, co się stało. Trzech bezmacich, mających tylko jednego konia, chciało ukraść dwa wierzchowce kardynałowi. Jednemu się udało, ale dwaj pozostali chcieli przeszukać i obrabować Kucisawego. Dopadł ich jednaki ujął Topór, któremu pomogli wojownicy, gdyż usłyszeli, że ktoś zbliża się do obozu.

Nomada o parszywym wyglądem zerkał z przerażeniem na obcych wojowników uzbrojonych w długie miecze.

– Nimmy, powiedz im, jak wygląda sytuacja – powiedział Topór, puszczając oko do mnicha.

Czamoząb otrzepał swą suknię z ziemi, która została po korzeniach, i stanął za swoim panem. Spojrzał ponad ogniem na tamtych, wyprostował się, wysunął palec wskazujący w stronę jednego z mężczyzn i przemówił nieskazitelnym pasikońskim.

– Znam cię. Nękasz tę okolicę. Tym razem napadliście na wikariusza apostolskiego hord, którego rady zasięga sam Qcesach dri Vordar Osie Hpngan Chiir, nie mówiąc nawet o szarfię Pasikoników, Eltiirze Bramie. Wasz zbójcecki kamrat ukradł właśnie konia wysokiego szamana całego świata chrześcijańskiego, następnego szarfa i prawują świętego Kościoła katolickiego. Został też wybrany przez Sępa Wojny, a Weejus to ogłosiły.

– Bylebyś nie przedobrzył, Nimmy – wtrącił się w języku kościelnym kardynał.

– Koń za konia! – wykrzyknął śmielszy z dwóch jeńców. – Wzięłeś tego konia, wielki panie. Rachunek został wyrównany.

Nimmy nie zwrócił na niego uwagi i znowu zaczął mówić do tego, którego rozpoznał:

– Ty! To ciebie Święty Szał, teraz władarz Trzech Hord, osobiście powstrzymał, kiedy w zeszłym roku próbowałeś niedaleko stąd, w kolonii Sharda, zgwałcić Edreę.

Wyrzutek wzruszył ramionami, ale nagle spokomiał.

Kucisawy dźwignął się z pośłania i poszedł obejrzyć mizernego konika.

Obszedł małą klacz, stanął przed zbójami i powiedział pośępnie po dzikopisemu.

– Należy do Hongin Fujie Vurn. Śmieliście zadać gwałt kobyle należącej do Dzikokonnej. Dostojny Osie Hpngan Chiir wyprałby z was trzewia i rzucił psom na pożarcie. Wooshinie, uwolnij natychmiast to zwierzę.

Topór machnął dwa razy mieczem, raz, żeby przeciąć sznur uzdy, którym była przywiązana do jałowca, drugi, żeby uderzyć ją płazem w zad. Kobyła parsknęła, wierzgnęła i zniknęła w ciemnościach. Ponieważ Gai-See nie wziął wolnego konia na przejażdżkę przez Aleję Strachów na Wróble, nadal każdy z nich miał dodatkowego wierzchowca, ale ani Kucisawy, ani jego pomocnicy nie zamierzali zakończyć na tym sprawy.

– Kto jest waszym panem? – spytał kardynał.

– Jego imię Dosiada Każdego.

– Jak daleko stąd jest jego obóz?

– Prawie dzień jazdy, wielki panie.

– Ilu ludzi liczy wasza banda?

Wyrzutek przeliczył.

– Chyba trzydziestu siedmiu.

– A kobiety? Dzieci?

– Wczoraj było pięcioro jeńców. Dzisiaj może mniej.

– Ile jest takich band?

– Nie wiem. Czasem spotykamy innych bezmacich. Zdarza się, że dochodzi do walki, albo i tak, że się łączymy. Wielu jest bez żon, na pograniczu ziem Dzikich Psów i na południu, nad Nady Ann.

– Czy walczyacie z farmerami, czy ich grabicie?

– To nie jest mądre.

– A jednak to robicie?

– Od czasu do czasu.

– Czy walczylibyście z farmerami za pieniądze?

Jeńcy spojrzeli po sobie i zaczęli się niespokojnie wiercić.

A Kucisawy kuł żelazo póki gorące:

– Między Pasikonikiem i farmerami Hannegana toczy się wojna.

– Wiemy, ale my walczymy przeciwko wszystkim.

- A jeśliby Pasikonik zawarł z wami przymierze?
- Nigdy tego nie zrobią, wielki panie.
- Czy ten mnich tutaj wyjawiał wam, że jestem chrześcijańskim szamanem wszystkich hord?
- I co z tego? Nie wiemy.
- To, że słowo Jego Eminencji ma władzę nad Trzema Hordami – wyjaśnił Czamoząb.
- Czy będziecie walczyć przeciwko Hanneganowi pod rozkazami Diabłego Światła?
- To niemożliwe.
- A pod szarfem Dzikich Królików?

Związani mężczyźni wyobrazili sobie widać szarfa Dzikich Królików, bo wybuchnęli śmiechem.

- Wypuście tych tchórzy – rozkazał Kucisawy. – A wy, skamlące dzikie szczenięta, powiedzcie waszemu Dosiada Każdego, żeby stawił się przede mną w Valanie, jeżeli nie jest tchórzem, i przyprowadził skradzionego konia. W przeciwnym razie zostaniecie przepędzeni na południe od Nady An i na wschód od rzeki Bajdos. Hannegan będzie już wiedział, co z wami zrobić. A teraz precz mi z oczu!

Nim dotarli do Valany, nadeszła Wielkanoc. Kucisawy odprawił Mszę Rezurekcyjną w przydrożnym kościele razem z objeżdżającym misje księdzem, który potykał się przy czynnościach liturgicznych, gdyż dostojność koncelebranta pętała mu umysł i ręce.

Kilka dni później szybki jeździec z Pobli, gdzie spędzili noc, dostarczył wiadomość o ich bliskim przyjeździe Sorely kardynałowi Nawhatowi. Strażnik Sekretariatu, Elin, czekał na nich w zajeździe Smak Dziczyzny, gdzie kardynał rozmawiał w zeszłym roku z Dobrotliwym Światłem. Zachód słońca był już bliski, zamówili więc wieczerę. Dwaj prałaci usiedli razem ze swoimi asystentami, Wooshin zaś i Żółta Gwardia zajęli stolik sąsiedni. Sorely Nauwhat miał obrotny język i wiele rzeczy do powiedzenia.

Zanim papież Amen przedłożył rezygnację – którą Nauwhat, podobnie jak Kucisawy, uważał za możliwą do wycofania, a być może nawet całkowicie nieważną – zerwał z młodą jeszcze tradycją i powołał nowych kardynałów, czterdziestu dziewięciu, a także został skłoniony do posunięcia prawie bezprecedensowego, to jest do

odebrania kardynalskich kapeluszy czterdziestu dziewięciu innym. Dla Kucisawego był to wstrząs, ale zrozumiał, dlaczego próba odbycia konklawe była potrzebna, a nawet prawowita.

Amen Specklebird, który nalegał, by jego rezygnację przedłożono w wyznaczonym czasie Kurii, przeniósł się do swej dawnej rezydencji, starego domu wyrastającego, mogłoby się zdawać, ze zbocza góry. Ten dom służył kiedyś jako piwnica i jego najgłębsze zakamarki nigdy nie zostały zbadane. Starzec znowu otworzył szeroko drzwi, żeby „górskie duchy mogły spokojnie przybywać i odchodzić”. Tutaj przychodzili doń teraz kardynałowie z Kurii, żeby zasięgnąć jego rady, zrzędzić i błagać go – na próżno.

Nadeszły nowiny z Teksarku. Choć tekst rzekomej rezygnacji papieża Antena dotarł tam drogą telegraficzną, oryginalnego, opatrzonego podpisem egzemplarza dokumentu nie można było znaleźć ani w Valanie, ani w żadnym innym miejscu. Jakiś przedsiębiorczy oszust z cesarskiej stolicy sprzedał Archidiecezji Teksarkańskiej zręczną podróbkę oryginału za dziesięć tysięcy pios, którą to sumę wypłacono, gdy policyjny biegły potwierdził autentyczność odręcznego pisma antypapieża Amena. Potem jednak inny biegły wskazał, że w dokumencie znalazły się jawne błędy, jakie często się zdarzają podczas przekazywania tekstu przez telegrafistów, między innymi dodanie paru czysto operacyjnych kodowanych znaków, jak choćby ZMF, to jest „przerwa, dalszy ciąg nastąpi”. Oszust umknął na terytorium Dzikich Królików i wszelki śluch po nim zaginął.

– Jak już mówiłem, papież nie chce mieszkać w pałacu – ciągnął Nauwhat – i wrócił do swego dawnego domu. Mszę wielkanocną odprawił u siebie, nie u Jana na Wygnaniu. Przyjmuje każdego, kto przyjdzie, i z radością znosi obelgi. Podpisał in blanco pewną liczbę bulli. Gotów jest prawie wszystko opatrzyć swoją pieczęcią. Nie wiem, czy cokolwiek z tego jeszcze czyta. Czy naprawdę powołał nowych kardynałów, czy też ktoś uczynił to w jego imieniu? Powinienem to wiedzieć, a jednak nie wiem. Sedno sprawy w tym, że dowiedział się o paru sztukach broni palnej w Sekretariacie i myśli, że odpowiedzialność spada na mnie.

– No tak, muszę mu więc wyznać...

- Nie, tego nie czyń. Teraz ja jestem za wszystko odpowiedzialny. Amen zachowuje się jak człowiek zdezorientowany, może nie przy zdrowych zmysłach, ale nigdy nie tracący dobrego humoru. Ciągłe mówi o tobie, Elio, i z pewnością ucieszy się twoim powrotem. Musisz go jutro odwiedzić. Ty i brat Czarnoząb.

- Oczywiście. Jakie jednak sprawy mam poruszyć, skoro o bronii muszę milczeć?

- To on wysunął twoją kandydaturę na przyszłego papieża. Sądzę, że dla niego najważniejszą sprawą będzie podporządkowanie się nowemu następcy Piotra, to jest tobie.

- Muszę postawić sprawę jasno.

- Cóż, spróbuj. Ale nie licząc nowych kardynałów, całe Kolegium stawi się znowu licznie w mieście. A niektórzy ze Wschodu zjawią się w asyście wojskowych i zaproszonych przez ciebie postów. Ci podadzą się za straż przyboczną.

- W odpowiedzi na wezwanie, które i ja otrzymałem? Kto napisał ten niemądry tekst?

- Domidomi kardynał Hoydok.

- Znasz go?

- Nie. To jeden z tych nowych. Jest zTeksarku, ale Benefez ekskomunikował go za sprzyjanie papieżowi Amenowi, ten wręczył mu więc czerwony kapelusz. Jest świeckim prawnikiem, nie ma święceń.

- Jak docierają tu wielkanocni pielgrzymi? – spytał Kucisawy.

- Przeważnie przez krainę Iowa. Zdaje się, że tamtejsi farmerzy lepiej sobie radzą z Pasikonikami. Prowadzą z nimi handel. Nieliczne patrole teksarkańskie zapuszczają się na północ od Rzeki Mizery i nie zatrzymają w tamtych stronach kardynała. Nawet wiedząc, że zdąża na konklawe.

- Rzeka Mizeria?

- Niegdyś Missouri, panie mój – wyjaśnił Nimmy.

- Rzeka Mizeria to dzisiaj stosowniejsza nazwa – powiedział Sorely. – Przed okupacją ziem uprawnych była to naturalna droga do Nowego Rzymu.

Oczywiście. Zawodzi mnie pamięć. Pierwsza rzecz, jaką muszę zrobić jutro, to pchnąć posłańców do Świętego Szału i Pły wnego

Łosia, by przybyli tu na naradę, oraz wyprawić oddział zbrojnych do Nowej Jerozolimy po broń.

– Co to za jeden, ten Pły wny Łoś?

– Szarf Eltiir Bram, brat Hultora. Szarf Pasikoników.

Podano posiłek. Tym razem była to dziczyzna i dobre czerwone wino. Podczas długiej wielkopostnej podróży zagłodzili się prawie na śmierć. Nimmy zastanawiał się z roztargnieniem, czy powinien w dzień postny jeść dzikiego psa z rusztu, aczkolwiek sam kardynał udzielił dyspensy ze względu na wyjątkowość sytuacji.

– Przy okazji. Co nowego w Teksarku? – spytał kardynał Nauwhat.

– Prowincja wrze. I oczywiście dochodzi sporadycznie do walk z Pasikonikami. W samym Mieście Hannegana niewiele się /mieniło poza tym, że sprowadzili z Afryki kilka sztuk zwierząt, które można wykorzystać do walk na pustyni. I wiedzą o naszej broni palnej.

– To dwie złe wiadomości.

– I jeszcze jedno. – Spojrzał w stronę sąsiedniego stołu i poklepał Wooshina po ramieniu. – Toporze, zdaje się, że zapomniałem powiedzieć ci o pewnej drobnej zmianie.

– Słucham, panie?

Kucisawy przeniósł spojrzenie na Czamożęba.

– Ty mu powiedz.

– Jego Cesarska Mość Naczelnik zastąpił cię mechanicznym ucinaczem głów, Toporze.

Wooshin wzruszył ramionami.

– Człowiek, który nie rzuca cienia i nie przybiera kształtu, ścinając ludzi staje się ucinaczem głów. Nie widzę żadnej zmiany.

Rozległ się pomruk reszty obecnych przy tym wojowników, nujwyraźniej nie oznaczający aprobaty, lecz być może potwierdzenie. Wooshin odwrócił się do swoich towarzyszy.

Niezwykły człowiek – rzekł Sorely głosem świadczącym, że przeszedł mu po plecach dreszcz zgrozy. – Człowiek bez cienia i formy – dodał zamyślnym głosem Kucisawy.

Minęły cztery tygodnie od dnia, kiedy widzieli po raz ostatni Gai-See, i zaczęli się już obawiać, że zastrzelono go w Alei Strachów na Wróble. I oto nagle pojawił się, i to nie z dobrze obładowanym jucznym mułem, ale ze starostą Dionem, Uładem, ośmioma ciężkimi

wozami i całą brygadą lekkokonnych, najeżoną nową, znakomitą bronią. Tajemnica Nowej Jerozolimy przestała być tajemnicą. Kucisawy nie okazał zaskoczenia, a Nimmy uświadomił sobie, że wiadomość przekazana Dionowi była umówionym kodem.

Było rzeczą niemożliwą, żeby Vaiana zapewniła kwatery zarówno ogromnej liczbie kardynałów, jak i całej brygadzie lekkokonnych, których zresztą mieszkańcy nieco się przestraszyli, szybko bowiem rozeszła się pogłoska, że ci żołnierze są mamidlami. Ale rajca Dion nie miał najmniejszego zamiaru się narzucać. Jego oddziały natychmiast rozbiły umocniony obóz na wzgórzu położonym w sporej odległości od miasta. Gdy tylko wozy zostały rozładowane, wyruszyli do Nowej Jerozolimy po dalsze zaopatrzenie. Regularnie kursujące konwoje miały zaopatrywać jego ludzi w prowiant, amunicję i wszystko, co niezbędne w życiu wojskowym. Z początku spali w namiotach, ale po czterech dniach zbudowali solidny budynek z bali – z przyziemiem, w którym urządzono skład amunicji i warsztat, gdzie napełniano prochem i wyposażano pocisk w mosiężne łuski. Maszyny do ładowania były bardzo proste i przenośne, mogły się więc posuwać w bitwie za wojskiem.

Szukając jakiejś wiadomości o Ediei, Nimmy podszedł do bramy nowo zbudowanego fortu w nadziei, że uda się mu uzyskać rozmowę z rajcą, który pełnił teraz funkcję głównodowodzącego. Poproszono go uprzejmie, by poczekał, i wartownik udał się do zbrojowni. Czamoząb zaś wdał się w pogawędkę z innymi strażnikami.

Zauważył, że mają stizelby podobne do rewolwerów, wyposażoną w obrotowe bębny, tyle że z sześcioma komorami zamiast pięciu. Wartownik pokazał mu, że używa się do nich amunicji tego samego kalibru co do rewolwerów i takich samych łusek. Inny był za to ciężar pocisku i ładunku prochu. Ale i tak amunicją rewolwerową można było bezpiecznie strzelać z karabinów, aczkolwiek zasięg się wtedy zmniejszał. Niebezpieczne było natomiast używanie ładunków karabinowych do rewolwerów. Ponieważ panował niedobór miedzi, ważne było, żeby puste łuski zbierać po wystrzeleniu – nawet w ogniu bitwy.

Musiał czekać trzy godziny na powrót wartownika, a potem usłyszał grzeczną wymówkę rajcy Diona, który odmówił przyjęcia

go. Wrócił więc do położonego poza miastem prywatnego dworku Czerwonego Diakona, gdzie wszyscy zostali czasowo zakwaterowani.

Kucisawy zdobył listę wszystkich nowych kardynałów, których Amen powołał podczas ich nieobecności w mieście. Wręczył kopię Czarnozębowi, do jego osobistego użytku, oraz dwie kopie skierowanych do wszystkich kardynałów wezwań, by zarejestrowali się w Pałacu Papieskim u urzędnika Sekretariatu Stanu, który po okresie interregnum znowu objął na mocy rozporządzenia Amena Hilan kardynał Bleze. Jedną kopię Kucisawy polecił Czarnozębowi wysłać pocztą z placu Świętego Jana na Wygnaniu, drugą zaś powierzyć wynajętemu miejskiemu obwoływaczowi, który miał wykrzykiwać jak najgłośniej jej tekst na wszystkich skrzyżowaniach walańskich ulic.

Po uporaniu się z tymi zadaniami Nimmy wrócił do swojego dawnego mieszkania, gdzie powitał go dosyć posepnie Aberlott, który zapałał miłością do młodszej siostry nieboszczyka Jsesisa.

– Wydaje mi się – oznajmił Aberlott z niezwykłą u niego powagą – że ci ludzie, tam, w górach, są równie nietolerancyjni w stosunku do osób z zewnątrz, jak ci ostatni byli zawsze dla mamideł. Po prostu patrzą na nas z góry.

– Edrea nigdy!

– Wiem. I jest w więzieniu.

– O Boże! Widziałeś ją?

– Nie, nie uzyskałem pozwolenia.

– O co ją oskarżają?

– Kilka miesięcy temu zniknęła, nie prosząc o pozwolenie. Tyle wiem.

Dzięki wstawiennictwu chlebowdawcy Czarnozęba rajca Dion dopuścił w końcu mnicha przed swoje oblicze. Wysłuchał uprzejmie opowieści o wyprawie /Ectrci do Opactwa Leibowitza, a potem na Mesę Ostatniego Ratunku, gdzie nastąpił poród.

– Kiedy było po wszystkim, wróciła do swego ojca – dokończyła opowieści Czarnozęb. – Nic więcej nie uczyniła.

– A ojciec zbił ją i przyprowadził do mnie. Nie możemy pozwolić, by ludzie opuszczali bez pozwolenia nasze tereny.

– Ależ miała zawsze pozwolenie na podróż do Vaiany.

- Nie, miała rozkaz.
- Ojciec zabiłby jej dzieci.
- Dzieci?
- Stary Beniamin powiedział, że urodziła bliźnięta.
- Cóż, tylko wydaje ci się, że coś wiesz, gdyż zasłyszaleś to i owo.

Rozważę całą rzecz, ale Edrea pozostanie na razie pod strażą. Uznaj to za ochronę przed jej własną rodziną. Już nigdy jej nie ujrzysz. Ani twój kardynał, ani ja na to nie pozwolimy.

Czarnoząb opuścił obóz, kipiąc ze złości na starostę i na Kucisawego. Po drodze chciał wstąpić do Amena Specklebirda i poprosić go o interwencję, ale przed drzwiami czekało już w kolejce co najmniej czterdzieści osób, w tym wielu kardynałów. Sam Czerwony Diakon był dziesiąty. Udał więc, że nie dostrzega swego pana, i poszedł do najbliższego kościoła, by modlitwą przemóc gniew.

Pierwszego dnia miesiąca maja – w zwykłych okolicznościach był to dla nomadów dzień świąteczny – odpowiadając na rozesłane przez Kucisawego wezwania na wojenną naradę, Chiir Hpngan, jego bratanek drugiego stopnia Kopyt, ksiądz Ombroz i Diable Światło z jednym ze swych poruczników wjechali razem do miasta. Kucisawy zdumiał się na wieść, że Kopyta, mimo jego młodości, wybrano na szarfa Dzikich Psów, kiedy Święty Szał został wyniesiony do godności sędziego i przywódcy Trzech Hord. Wódz Dzikich Psów pokłonił się i pocałował kardynalski pierścień. Eltiir Diable Światło powstrzymał się od tego gestu, ale oddał nomadzkie honory wojskowe.

Następnego dnia przybył z południa Ónmu Kun, trzeźwiutki jak dziecię i w skórzanym hełmie z rodową odznaką na głowie. Przedstawił się jako szarf Dzikich Królików. Ponieważ wszyscy znali na wylot Ónmu, poproszono go o odpowiednie dokumenty. Okazał zwój miękkiej jeleniej skóry, na której Weejus wyszyły z paciorków wizerunek mężczyzny z uszami dzikiego królika. Z torby przy siodle dobył pióropusz z sępich piór, także wykonany według wzoru Weejus. Ten święty talizman zakładało się na hełm szarfa wyłącznie podczas bitwy. Po krótkiej dyskusji, której towarzyszyło powątpiewające potrząsanie głowami, uznano jednak te „listy uwierzytelniające”. Kucisawy, który pragnął ich wszystkich

uhonorować, naradził się z przedstawicielami Kurii i zakwaterował nomadzkich przywódców w papieskim pałacu, albowiem papież zamknął się w przerobionej górskiej pieczarze i ani myślał jej opuszczać.

Naradę wojskową zaplanowano na czwartek, 4 maja, w siedzibie Sekretariatu. Wystosowano także zaproszenie do komendanta Diona, który miał przybyć ze swoimi wyższymi oficerami. Atoli w nocy trzeciego maja przybył do Valany kłopotliwy gość, który przegalopował przy świetle księżyca w pełni przez miasto, kierując się do prywatnej rezydencji Kucisawego, gdzie narobił straszliwego hałasu przed głównym wejściem. Wooshin i Woosoh-Loh wybiegli natychmiast z jadalni, by zbadać, co za gość robi tyle zgiełku, ale zaraz posłali po Czamożęba.

Nimmy patrzył na widowisko rozgrywające się w świetle pełnego księżyca. Wooshin i Woosoh-Loh mieli przed sobą trzysta funtów mięśni, założone ramiona i wściekłe spojrzenie. Gość rzucał sprośne przekleństwa i żądał widzenia z „chrześcijańskim szamanem, który przechwalał się moim ludziom, że poślubił Grobnicę, a mnie nazwał tchórzem”.

Czamożąb przełknął z trudem ślinę i wrócił do jadalni.

– Zdaje się, że pod drzwiami stoi jeden z bezmacich i żąda widzenia z Jego Eminencją.

– Któż to?

– Zdaje się, że zwał go Dosiada Każdego. Pamiętasz wyrzutków, których kazałeś uwolnić? Wspomnieli coś o swoim przywódcy...

Kardynał otarł sos z warg i podszedł do wejścia.

– Gdzie mój koń? – spytał krzepkiego wyrzutka.

– Przywiązany do bramy, przeklęty trawożerco.

– Wejdz więc i zjedz ze mną wołu, przeklęty złodziejaszku.

Mężczyzna wszedł do środka w otoczeniu podejrzliwych wojowników uzbrojonych w krótkie miecze. Ponieważ bił od niego straszliwy smród, kardynał usadził go przy końcu stołu. Większość mieszkańców domu skończyła już jeść. Sługa ukroił mu parę płatów pieczeni wołowej i przyniósł z kuchni świeżo upieczone ziemniaki i przysmażoną cebulę. Była jeszcze zbyt wczesna pora roku na cokolwiek, co nomada nazwałby trawą, ale wódz poskarżył się burkliwie na brak „mięsa ze środka” jako dodatku do wołowiny.

Nimmy wiedział, że nomadzi zjadają właściwie całe zwierzę – poza skórą, rogami, kopytami i kośćmi. Na tej podstawie czcigodny Boedullus opracował zalecenia na chorobę popromienną. Wykrotnicy jedli rękami, owijając płaty mięsiwa wokół ziemniaków. Pierwszy zabrał głos kardynał.

– Dziękuję za zwrot konia. Czy wiecie jednak, że w mieście są wszyscy szarfowie hord, a nawet sam Qcesach dri Vordarl

Dosiada Każdego przerwał jedzenie i obrzucił go groźnym spojrzeniem.

– Zaprosiłeś mnie. To wrogowie. Chcesz, żeby mnie zabili?

– Nie, chciałem tylko odzyskać konia.

– Mówiłeś moim ludziom o walce z farmerami. Za pieniądze!

– Zadałem im parę pytań.

– Którzy farmerzy są twoimi wrogami? Z tej okolicy?

– Nie, ci są pod ochroną biskupa Denver.

Do rozmowy włączył się Czamożab:

– Jego Eminencja stara się użyć waszego słowa, które oznaczałoby „obywatela”. Ma na

myśli poddanych Hannegana, a mówiąc dokładniej, siły zbrojne Teksarku. Nie chodzi mu o spokojnych ludzi, którzy uprawiają i obsiewają ziemię. Wielu z nich było dawniej nomadami. Także moja własna rodzina.

– Dziękuję, Nimmy – powiedział odrobinę zirytowany Kucisawy. Zwrócił się do Dosiada Każdego: – Powiedz mi, ilu ludzi zdolnych do walki mógłbyś zebrać, gdybyś zechciał podjąć się czegoś takiego.

Dosiada Każdego dokonywał przez chwilę w pamięci jakiegoś podsumowania.

– Zależy od zapłaty. Za złoto niewielu. Potrzebujemy dobrych koni. Rody zabijają nas, kiedy łapiemy dzikie. Dasz dwa konie i kobietę dla każdego mężczyzny, a będziesz miał małą armię.

– Konie tak, kobiety nie. Jak duża będzie ta armia?

– Może czterystu wojowników. Ale Pasikoniki wojują już na wschodzie z farmerami. Nie możemy walczyć u ich boku.

– Wiem. A Dzikie Króliki?

Dosiada Każdego stał się nagle podejrzliwy.

– Robaczywa Twarz powiedział, że groziłeś, że zepchniesz nas na południe od Nady Ann, na ziemię Teksarku.

– Gai-See, przynieś jedną z nowych strzelb.

Wojownik o drobnej budowie ciała poszedł do sąsiedniej izby i przyniósł stamtąd sztukę broni sprowadzonej z Zachodniego Wybrzeża.

– Załaduj i wyprowadź go na zewnątrz, żeby pokazać, jak to działa.

Kucisawy i Czamoząb pozostali w jadalni, patrząc, jak sługa uprząta stół po posiłku. W ciągu sześciu sekund padło sześć głośnych wystrzałów, a potem rozległo się rżenie spłoszonego konia i odgłos kopyt galopujących po drodze.

Do jadalni wszedł Wooshin z wykrotnikiem, który trzymał w rękach pustą strzelbę i spoglądał na nią ze zgrozą.

– Przykro mi. Twój koń uciekł – oznajmił Topór.

– Kiedy go znajdą, daj go szarfowi wykrotników. Razem ze strzelbą.

Potężny gość spojrzał ze zdumieniem na Kucisawego.

– Niczego ci nie obiecałem.

– Wiem. I nie dostaniesz darów, póki nie obiecasz.

– Żadnych obietnic!

– No dobrze. Chcę tylko, żebyś został tu na noc i przez większość jutrzejszego dnia. Nie możesz uczestniczyć w zebraniu, bo ktoś mógłby cię zabić. Czy po drodze do miasta widziałeś fortecę na wzgórzu?

– Tak. Jest nowa.

– Jutro wieczorem udasz się tam i porozmawiasz z rajcą Dionem i Dzikim Królikiem Ónmu Kunem. Ludzie, których zwerbujesz, będą walczyć pod ich dowództwem. Ty też. I nie zostaniesz wyparty na południe od Nady Ann. Udasz się tam dobrze uzbrojony i razem z innymi oddziałami.

– Pomyślę.

Kardynał odwrócił się.

– Toporze, dopilnuj, żeby się wykąpał, ostrzyż mu włosy i brodę i ubierz w strój ludzi z gór. Może tu zostać do jutra, do wschodu księżyca.

Dosiada Każdego warknął gniewnie i zerwał się na równe nogi, ale sześć obnażonych mieczy uspokoiło go. Pozwolił się wyprowadzić.

Kucisawy spojrział pytająco na Czamożęba.

– Panie mój. ci ludzie żyją z mordowania i grabienia!

– Tak też jest na wojnie, prawda?

Tej nocy Nimmy modlił się żarliwie o pokój, lecz bał się, że Dziewica nie zechce go wysłuchać. Jeśli kardynał przybył tu po to, by wybrano go na papieża, Najświętsza Panna zostanie naczelnym wodzem hord.

Rozdział 21

„Ilekcóż trzeba w klasztorze podjąć jakąś ważną decyzję, niechaj opat zwoła całą wspólnotę i przedstawi jej, o co chodzi [. . .] Powiedzieliśmy zaś, że wszystkich należy wzywać na radę, gdyż Pan często właśnie komuś młodszemu objawia to, co jest lepsze”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział III

Tej nocy Nimmy spał źle i dwakroć zbudziły go koszmary, a wtedy wstawał i modlił się przed krucyfiksem. Raz miał gościa. Światło księżycowe padło przez okno na białe prześcieradła i ujrzał w drzwiach mroczną postać. Potężna budowa ciała powiedziała mu, że musi to być Dosiada Każdego. Zerwał się szybko, gotów walczyć, gdyby wykrotnik zechciał zachować się tak, jak wskazywało na to jego imię. Ale wielka bryła mięśni chrząknęła tylko i zniknęła. Chwilę później za bezmacim przekradł się korytarzem inny cień. Musiał to być ktoś z Żółtej Gwardii, komu polecono mieć oko na tamtego. A Dosiada Każdego szukał pewnie miejsca, gdzie mógłby oddać moc.

Nimmy wrócił więc do łóżka. Lękał się jutrzejszego dnia, widział bowiem jasno, jaki kierunek wytyczają ostatnie wydarzenia i jak Kucisawy nimi manipuluje. Nie miało się wrażenia, że Czerwony Diakon sporządził mapę przyszłości, lecz że zmierza ku jednemu celowi i cokolwiek się zdarza, ocenia z punktu widzenia przydatności w jego osiągnięciu. Nimmy nie miał nic przeciwko zniszczeniu Cesarstwa albo przynajmniej osłabieniu jego potęgi i

przywróceniu Nowego Rzymu papieżowi. To miał za cel Kucisawy. Środki Nimmy mógł uznać za prawowite. Po części.

Jest coś takiego jak wojna sprawiedliwa; nie wątpił w prawdziwość starodawnych nauk. Lecz Leibowitz był przecież mężem pokoju – po młodości spędzonej na wojaczce – on zaś,

Czamożab, jest nadal gorliwym uczniem świętego, aczkolwiek za mało gorliwym członkiem zakonu tegoż świętego, odkąd rządy sprawują opaci w rodzaju Jarada i Olshuena. Wyrzekł się świata dokładnie tak samo jak oni i reszta mnichów, lecz teraz znalazł się oto w wirze spraw tego świata i tamto wyrzeczenie zdawało mu się pozbawione znaczenia. Przez większość nocy leżał z otwartymi oczami, wspominając swe nabożeństwo do Leibowitza i Najświętszej Pani. Kiedy na chwilę zasnął, przyśniła się mu Edrea, obudził się, zauważył, że doznał wzwołu, i przemógł ochotę na masturbację, albowiem świtało już i po korytarzu chodzili ludzie.

Z pewnym ociąganiem poszedł za kardynałem na odbywającą się w Pałacu naradę z przywódcami hord i władzami Nowej Jerozolimy. Pewnie potrwa to prawie cały dzień.

Chlebowdawca dostrzegł jego niechęć i powiedział:

– Przykro mi, Nimmy, ale będziesz mi potrzebny. Pasikonikowi też.

W naradzie uczestniczyło tylko czterech członków Świętego Kolegium: Sorely Nauwhat, Chuntar Hadala, Elia Kucisawy i jeden z nowych kardynałów, niejaki Jastrzębi Wódz Irrikawa, ponoć król północno-wschodniego leśnego narodu. Nosił czerwony kapelusz z piórem. Twierdził, że przerasta godnością wszystkich książąt Kościoła poza samym papieżem. Poza czterema kardynałami zjawili się wielu wojskowych przedstawicieli narodów zamieszkujących zarówno tereny na wschód od Rzeki Wielkiej, jak i na zachód od linii działu wód na kontynencie. Wszyscy oni przybyli do miasta ze swoimi kardynałami-elektorami. Odczytywano listę obecności, liczone głowy, przedstawiono się sobie nawzajem. Rajca Dion był najwyraźniej nadal zirytowany wstawianiem się Nimmy'ego za Aidreą i w pierwszej chwili zaprotestował przeciwko jego, i Wooshina, obecności na naradzie. Kucisawy obrócił się do Eltiira Brama, mrugnął do niego i powiedział:

– Czy zechciałbyś zdać komendantowi sprawę z bitwy, jaka odbyła się między Pasikonikiem a Teksarkiem po śmierci twego brata?

Szarf uśmiechnął się krzywo i zaczął mówić. Pół minuty później Dion uniósł dłoń.

– Co on mówi?

– Ja większość zrozumiałem – oznajmił kardynał – ale jestem tylko niezły w dzikokróliczym i radzę sobie jako tako z dzikopsim. Pasikoński to ojczysty język brata Czamożęba.

Dion spojrzał na Nimmy’ego i skinął głową.

– Wooshin zaś dowodzi Żółtą Gwardią, która prowadzi szkolenia we wszystkich formach walki bezorężnej.

Starosta wyraził swą zgodę, ale jakby pragnąc dowieść swej bezstronności, kazał Uladowi i innym swoim oficerom grzać ławę pod drzwiami. Czarnoząb przetłumaczył sprawozdanie szarfa Diabiego Światła z ostatnich potyczek między jego wojownikami i kawalerią Teksarku, lecz była to wojna ospała, straty w rannych były niewielkie, w poległych jeszcze mniejsze. Zgodnie z wydanymi przez Święty Szał rozkazami siły Pasikoników nie dokonywały dalszych wypadów na bezbronne tereny rolnicze. Bram zauważył ironicznie, że bezbronne tereny rolnicze na północ od Rzeki Mizerii nie były narażone na wypadki, odkąd zaczęła się wymiana handlowa między farmerami i nomadami, a więc od pokolenia, a może nawet dłużej.

Większość uczestników narady miała własnych tłumaczy i lokalne dialekty tłumaczono na mowę kościelną. To przedłużało obrady. Uwaga obecnych skupiała się zwykle na mapie ściennej, która przedstawiała fragment kontynentu między Górami Skalistymi i Appalotchan. Mapa wprowadzała w zakłopotanie wszystkich nomadów poza Świętym Szalem, ale ksiądz Ombroz wspierał ich wysiłki, wskazując powiązanie między ziemią a papierem.

Czarnoząb, nim sam się spostrzegł, objął rolę rzecznika szarfa Pasikoników i strofował innych, osobliwie zaś Kucisawego i Diona, za to, że porozumiewają się między sobą mową kościelną albo dolinnym dialektem ol’zark, nie czekając wcale na przetłumaczenie własnych słów. Nawet Ónemu Kun był trójjęzyczny, natomiast Diabie

Światło, jeśli rozumiał jakikolwiek język poza dialektem nomadzkiem, nie przyznawał się do tego. Nimmy zauważył jednak, że szarf zmarszczył brwi, kiedy mnich przetłumaczył tytuł „Czerwono brody” jako „Jego Eminencja”. Sam Eminencja zachował nieruchomą twarz, choć znał trochę pasikoński. Bram nie przyjmował do wiadomości niczego, co miało formę żądania albo polecenia, chyba że zwrócił się doń Osie Hpngan Chiir. Miało się wrażenie, że poza Qcesach dri Vordar nikt nie zasługuje na jego szacunek. Był uprzejmy, ale maskował tylko w ten sposób wrodzoną arogancję.

Nimmy spostrzegł, że patrzy z podziwem na przywódcę Pasikoników. Bez wątpienia był to tego rodzaju podziw, jaki człowiek żywi dla niedźwiedzia grizli albo kuguara, ale przecież mógł być dalekim krewnym Diabiego Światła. Szarf nie okazywał mnichowi ani łaskawości, ani grubiaństwa, choć wiedział dobrze, że przodkowie Czamożęba uciekli od hordy, by uprawiać ziemię należącą do archidiecezji denverskiej.

W pewnym momencie zauważył, że Święty Szał wzniósł wzrok do góry. Podążył w tamtym kierunku spojrzeniem i zobaczył, że chodzi o to same okno balkonowe, przez które Amen Specklebird dostał się do środka podczas ostatniego konklawe. Okno było otwarte. Stali tam i wymachiwali rękami jakiś policjant i młody szarf Kopyt, którego nieobecność rzucała się w oczy – w każdym razie Czamożębowi. Włodarz Hord wstał.

– Dostojny kardynale, Eminencjo, muszę prosić o wybaczenie i sprawdzić, czego chcą. – Wskazał palcem do góry.

Kucisawy spojrział na okno, skinął głową i powiedział:

– Podczas twej nieobecności będziemy omawiać sprawy, które w niewielkim stopniu dotyczą twojej domeny. Jeśli stało się coś złego, zechciej nas zawiadomić.

ChUr Hongan (Czamożęb wyteżał umysł, żeby przypomnieć sobie, jak okazuje się szczególnie szacunek, zmieniając kolejność imienia, ale bez rezultatu) zniknął na kwadrans i w tym czasie mówiło się przede wszystkim o dostawach sprzętu wojskowego /. Zachodniego Wybrzeża. Kiedy włodarz hord wrócił, był jak burza gradowa.

– Teksarkański szpieg słyszał każde słowo, jakie tu padło – warknął, wpatrując się w Kucisawego.

- Złapali go tam, na górze?

- Tak. Nasz szarf Kopyt był na czatach.

- Jesteś pewny, że to ktoś z Teksarku?

- Oczywiście. Znam tego człowieka. Jego Eminencja też. - Przerwał, i w spojrzeniu, które utkwił w Kucisawym, pojawiła się nienawiść. - Jest albo był mężem Potear Wetok. To twój ekspert od taktyki teksarkańskiej kawalerii. Pamiętasz, przysłałeś go nam. Zawsze go podejrzewałem.

Książd Ombroz, który siedział nieopodal, skrył twarz w dłoniach.

- EsittLoyte! -jęknął.

Kucisawy zbladł jak chusta.

- Został zatrzymany?

- O tak, panie. Kopyt związał mu ręce i unieruchomił go.

Nimmy zadrżał. Wiedział, co słowo „unieruchomić” znaczy w ustach Świętego Szału. Przebito jeńcowi policzki i przewleczono przez nie sznur lub rzemień.

- Czy mam go przyprowadzić na przesłuchanie? Przetnę pęto, będzie więc mógł używać języka.

- Nie, niech zamkną go w miejscowym więzieniu. Jeśli o mnie chodzi, może tam zgnić.

- O nie! Należy do mnie i rodziny Wetok. Zabiorę go stąd ze sobą, żywego albo martwego.

Kucisawy wstał i spojrzał prosto w oczy rozwścieczonemu włodarzowi nomadów.

- Popęlniłem błąd, okazując mu zaufanie - powiedział. - Słusznie żądasz prawa do osądzenia tego człowieka. Lecz, dostojny Honganie Osie Chiir, jako twój wikariusz apostolski w imię Boga zabraniam ci go zabijać.

Patrzyli sobie w oczy. Nomada ledwie dostrzegalnie skinął głową. Kardynał usiadł.

Hpnagan znowu opuścił salę. Tym razem nie było go prawie godzinę. Kiedy wrócił, raz jeszcze spojrzał prosto w oczy Kucisawemu.

- Jest w więzieniu?

- Większość jego jest w więzieniu - oznajmił Qcesach dri Vordar. - Resztę mam tutaj.

Wyrzucił zakrwawione części ciała z woreczka na stół przed wikariuszem apostołskim. Nimmy zobaczył dłoń, uszy, czubek nosa i coś, co zapewne było penisem kapitana.

Siedzący obok Czarnozęba Diabła Światło zerwał się na równe nogi i wydał z siebie ogłuszający okrzyk wojenny Pasikoników, by obwieścić wszystkim, że pochwała czyn włodarza. Kucisawy odwrócił się i zwymiotował.

– Powiedziałaś, bym go nie zabijał – rzekł łagodnym głosem Hpngan.

Zebranie zostało przerwane, gdyż służba musiała zmyć stół i posadzkę. Kiedy wznowiono obrady, Kopyt dołączył do dwóch pozostałych szarłów i cała trójka zasiadła razem ze swym włodarzem Honganem i tłumaczem Eltiira. Nimmy siedział w otoczeniu czterech nomadów i miał wrażenie, że zajęli oni miejsca w innym porządku niż poprzednio. Krzesła sąsiadujące z zajętym przez nomadę pozostały puste.

Z początku rajca Dion sprzeciwiał się planowi Kucisawego, nomadzi zaś mu sprzyjali; chciał połączyć swe siły z Dzikimi Psami i Pasikonikami i przemierzyć Równiny po północnej stronie Nady Ann, a potem połączyć siły ze sprawnymi cieleśnie genokami z Państwa Watchitah i zaatakować Miasto Hannegana od północy. Chuntar kardynał Hadala, wikariusz apostołski Doliny, który miał dane dotyczące jej potencjału wojskowego, pod warunkiem dostarczenia broni poparł przedstawiony przez Diona plan utworzenia połączonej armii mamideł z Ssamieito i ich ułomnych krewniaków z ol'zarkii. Wychodząc od tego właśnie założenia, komendant mamideł przyprowadził swoją lekkokonną brygadę do Valany.

Kucisawy był jednak przeciwny. Dokonał osobiście rozpoznania w Prowincji i przewidywał wojnę na trzy fronty. Obecni oficerowie reprezentujący cztery narody-państwa z regionu Appalotchy byli nastawieni na zaatakowanie marionetkowych sprzymierzeńców Teksarku ze wschodniego brzegu Rzeki Wielkiej. Mieli nie tyle dokonać podboju, ile zmusić Filipeo do wysłania posiłków dla swoich marionetek ze wschodniego brzegu, w przeciwnym bowiem razie groziła mu utrata kontroli nad rzeką. Ten plan przewidywał nękanie wroga, staczenie z nim potyczek i wycofywanie się, by

wiązać jego siły, póki samo miasto Hannegana nie stanie w obliczu bezpośredniego zagrożenia. W naradzie uczestniczył głównie dowodzący sił zbrojnych króla Tenesi i on to nakreślił w głównych zarysach plan, jaki opracowały wschodnie narody z udziałem Jastrzębiego Wodza Irrikawy.

Większości nomadów ten wschodni plan spodobał się. Dostojny Hongan Osie Chiir wystąpił z pomysłem, żeby szarf Pasikoników tuż przed atakiem na państwa z wschodniego brzegu zaproponował zawieszenie broni siłom Filipeo.

– Dzięki temu nie będzie miał wątpliwości, że może wysłać wojsko na drugą stronę rzeki.

Szarf Diable Światło uśmiechnął się do swego włodarza i ten uśmiech oznaczał, że jeśli dojdzie do zawieszenia broi, to zostanie ono w najważniejszym momencie zerwane.

Armie Nowej Jerozolimy miałyby za zadanie dołączyć do partyzanckich jednostek Ónmu Kuna, rozrzuconych w tym momencie po wzgórzach Prowincji. Partyzanci przemaszerowaliby małymi oddziałami w rejon koncentracji, położony kilka dni jazdy na zachód od miasta Yellow, trzymając się zrazu w bezpiecznej odległości od często patrolowanego, ale wąskiego pasma po obu stronach linii telegraficznej prowadzącej prosto do ostatniej, najbliższej Yalanie stacji. Kun wziął do ręki pałeczkę i zakreślił niar na mapie krąg wokół całej krainy, w której rzeka Bajdos i Nady Ann były prawie strumyczkami–poza niewielkimi jeziorami, gdzie po wzniesionych w czasach starożytnych tamach pozostały małe wodospady. Była to ciągnąca się na wschód od papieskiej drogi szybkiego ruchu kraina bezprawia i Czamoząb zaczął się teraz domyślać, dlaczego jego chlebodawca chciał mieć wśród swoich sprzymierzeńców Dosiada Każdego, aczkolwiek o tych zamysłach sam kardynał ani razu nie napomknął. Północne hordy sprzeciwiłyby się przymierzemu z bezmaciami, ale Dzikie Króliki były dzięki teksarkańskiej ochronie mniej nękanie przez bandy wykrotników.

Kiedy siły Kuna, Diona i być może samych wykrotników połączą się pod jednym dowództwem, proces zaopatrywania Królików w pochodzącą z Zachodniego Wybrzeża broń, której uprzednio nie było wolno Ónmu Kunowi przemycać, przebiegnie gładko. Zastanawiano

się nad całkowitym zniszczeniem telegrafu, a także nad przewiezieniem całego drutu do Nowej Jerozolimy. Lokalna dzikokrólicza policja, już teraz po kryjomu uzbrojona – aczkolwiek w nieco przestarzałą broń – miała wznieść powstanie, gdy tylko wojska Kuna ruszą na wschód, między Rzeki Czerwoną i Nady Ann.

Wojska Teksarku będą więc unieruchomione w Prowincji i po drugiej stronie Rzeki Wielkiej, a wtedy Dzikie Psy i Pasikoniki połączą siły i uderzą od zachodu z nadzieją, że uda się uzbroić każdego zdolnego do noszenia broni genoka z Państwa Watchitah i ruszyć razem do natarcia.

W końcu udało się przekonać rajcę Diona. Upierał się przy zdaniu, że Valana powinna powołać własną policję i zająć fort, który zbudowali jego ludzie. Mieszkańcy mogliby szukać tam azylu w razie wypadku „przenikających tu agentów lub wykrotników”, a poza tym mogliby wspierać regularną policję przy zatrzymywaniu nielojalnych obywateli, zwłaszcza pochodzenia teksarkańskiego. Wskazał jednego z dwóch swoich adiutantów, majora Elswitcha J. Gleavera, niskiego baryłkowatego mężczyznę o rumianej twarzy i długich wąsach, jako oficera nadającego się do dowodzenia takim pospolitym ruszeniem. Czamożab spodziewał się, że jego pan sprzeciwi się takim roszczeniom, ale kardynał milczał.

Milczenie przerwał Chuntar kardynał Hadala, który mrugnął do Kucisawego i powiedział:

– Będę miał cały czas na oku majora, kardynale. Mieszkam w forcie.

Nikt nie zapytał, co powie Valana na objęcie takiego stanowiska przez człowieka z zewnątrz, i w dodatku mamidło.

Kiedy obrady dobiegły wreszcie końca, na zewnątrz panowała prawie całkowita ciemność. Kucisawy oznajmił nomadom, że Pałac, w którym zostali zakwaterowani, będzie jutro potrzebny, gdyż rozpoczyna się konklawe, i poprosił, by spakowali się i przenieśli na tę noc do jego posiadłości.

– Czamożab wskaże wam drogę.

Nimmy skinął głową na znak, że zrozumiał. Nakłonił szarfów i Święty Szał do zjedzenia wieczerzy na koszt kardynała w zajeździe Smak Dziczyzny. Nim dotarli do posiadłości. Dosiada Każdego już odjechał, zapewne na spotkanie z Dionem. Nomadzi pozdrowili jak

najoźblej swego gospodarza, wciąż byli bowiem wściekli z powodu szpiega, i od razu poszli do swoich pokojów.

Na stole nie było już nic do jedzenia, ale Kucisawy poprosił Nimmy'ego, by ten zechciał usiąść i wypić szklaneczkę wina. Spytał, co myśli o wydarzeniach tego dnia.

– Czułem się, jakbym służył hordom, nie zaś tobie, panie mój.

– To zupełnie zrozumiałe. Byłeś tłumaczem Brama. Co poza tym?

– Byłem przerażony i jednocześnie wściekły.

– Przerażony? Z czyjego powodu? Na kogo wściekły?

– Na ciebie.

Wooshin chrząknął ostrzegawczo.

– Myślę, że to też jest zrozumiałe – powiedział kardynał. – Święty Szał i szarfowie byli z pewnością wściekli na mnie z powodu Esitta Loyte'a. I to udzieliło się tobie. Loyte to jeden z nielicznych ludzi, których źle oceniłem. No cóż, jutro zaczyna się konklawe. Będzie spokojniejsze niż zeszłoroczne i...

Przerwał, gdyż dostrzegł wyraz twarzy Czarnożęba. Także Topór zwrócił uwagę na twarz mnicha i nachmurzył się, gdyż jego wierność dla kardynała była bezgraniczna.

– Och, poradzę sobie bez ciebie – rzekł Czerwony Diakon. – Podczas konklawe nie będzie mi potrzebny tłumacz z pasikońskiego, a sekretarza mogę pożyczyć od kardynała Bleze'a albo Nauwhata. Czy to uśmierzy twój gniew?

– Nie, panie mój. Ale jestem strasznie zmęczony.

– To był męczący dzień. No dobrze, dam ci urlop do czasu wyboru nowego papieża. Nomadzi zostaną jeszcze kilka dni w mieście. Mają mnóstwo spraw do omówienia między sobą i z oficerami Diona. Nie zapomnij jednak o kapitanie i zeszłorocznym napadzie. Musisz mieć szeroko otwarte oczy.

Wczesnym rankiem następnego dnia, przemierzając ulice miasta, Czamożab widział kardynałów zdążających ze swymi sługami w stronę Pałacu, gdzie miało się rozpocząć konklawe. Jednym z nich była kobieta, lecz nie kardynalessa Buldryk. Słyszał o tej niewieście, ale nigdy dotąd jej nie widział.

Na południowym brzegu Rzeki Śmiałej znajdował się mały konwent, w którym żyły, pracowały i modliły się boscie mniszki,

siostry z Amenowego Ordo Dominae Deseratarum Nostrae. Papież powołał matkę Iridię Silentię na drugiego żeńskiego członka Świętego

Kolegium. Czamoząb zwrócił uwagę na fakt, że jej asystentki nosiły ten sam zakonny strój, co Edrea. kiedy pełniła funkcję kuriera między Sekretariatem i Nową Jerozolimą. Ten sam zakon osiadł w zeszłym roku na pewien czas w Valanie i Nimmy uznał, że jedna z tych zakonnic, przyjaciółka Edrei, siostra Julianna, dostarczyła jej habit. Ale siostry opuściły już miasto. Ogarnęło go złe przecucie, ale przemógł się i zaczepił jedną z nich na ulicy.

– Zechciej wybaczyć, siostró – powiedział cicho. – Jestem mnichem od Świętego Leibowitza, choć niezbyt prawomyślnym. Przychodziła tu z górskiej wspólnoty młoda niewiasta ubrana w habit taki jak twój. Nazywała się Edrea. Pomyślałem, że może)t|znasz...

Siostra stała ze spuszczonym wzrokiem i milczała. Matka Iridia spostrzegła, że jej asystentkę zaczepił jakiś zuchwały duchowny. Zmarszczyła brwi i podeszła do nich. Wymieniła z mniszką szeptem parę słów w obcym języku, a potem zmierzyła ('zarnozęba od stóp do głów spojrzeniem, skinęła głową, sięgnęła do teczki i podała mu obrazek z modlitwą.

– Niech Bóg cię błogosławi, bracie Czarnozębie – powiedziała i zrobiła mały znak krzyża. – Módl się za tych, których nękają troski.

Chwyciła swą asystentkę za ramię i obie szybkim krokiem odeszły.

Czamoząb, zdumiony tym, że znała jego imię, a więc i jego grzech, poczuł, że krew uderza mu do twarzy. Spojrzał na obrazek. Był z tektury, świecący, pokryty grubą warstwą lakieru i zapewne poświęcony – podobnie jak wiele z tych małych plaketek sprzedawanych przez zakony żebracze. Więszość odznaczała się landrynkową słodyczą i sentymentalizmem, ale ten nie. Po jednej stronie u góry znajdowało się wyobrażenie krzyża, lecz osobą ukrzyżowaną była niewiasta, święta Librada – jak napisano powyżej. Pod obrazkiem umieszczono sformułowaną w staroangielskim dobrą radę, którą Czamoząb zrozumiał z pewną trudnością.

Zwróć się do świętej Librady w czas nękania przez policję i sądy i gdy nie widzisz przed sobą wolności.

Pomoże ci, jeśli uwierzysz.

„/Edrea z pewnością nie widzi przed sobą wolności!”

Chciał pobiec za mniszkami i zadać im kilka pytań, ale byłoby to w najwyższym stopniu niewłaściwe, a poza tym z pewnością

by nie odpowiedziały. Postanowił więc napisać krótki liścik z zapytaniami i przesłać go przez kogoś ze służby Kucisawego.

Spojrzał na drugą stronę kartonika. Wydrukowano tam modlitwę albo wiersz, który zrozumiał tylko częściowo, gdyż użyty język przypominał wprawdzie łacinę, ale nią nie był.

Santa Librada del Mundo

Tengo ojos, non me miren;

Tengo manos, no me tapen;

Tengo pieses, no me alcansan.

Con los angeles del 43,

Con el manto del Maria estoy tapado.

Con los pechos de Maria estoy rosado.

Przypomniał sobie w tym momencie Aberlotta, który znowu pobierał nauki u Świętego Stona, i skierował kroki w stronę domu, gdzie w zeszłym roku razem mieszkali. Może student zna kogoś, kto umiałby te słowa przetłumaczyć.

Na placu Świętego Jana na Wygnaniu gromadził się tłum, ale nie był to ten rozwścieczony motłoch, co w czasie poprzedniego konklawe. Tym razem miasto było wolne od zarazy i strach przeważał nad gniewem, a ta odrobina gniewu, jaka się ostała, obróciła się przeciwko Teksarkowi i kardynałom, którzy nie przybyli do miasta. Ludzie chcieliby, żeby papieżem pozostał Amen Specklebird, ale jego rezygnację przyjmowali już jako smutny fakt. Kucisawy był dobrze znany i cieszył się powszechną sympatią, lecz nie otaczano go czcią. Nie dostawało mu i świętości, i wyniosłości. Panowała opinia, że miłuje miejski gmin.

Po drodze Czamoząb przystanął, żeby popatrzeć na mianowanych przez Amena kardynałów, którzy stopniowo przybywali i wchodziłi do Pałacu. Stał obok młodego księdza, który podawał mu ich imiona.

Był wśród nich opat Joyo kardynał Watchingdown z Opactwa Watchingdown, położonego daleko na wschód od Rzeki Wielkiej.

Przybył też otulony futrami, choć dzień nie był zimny, Wolfer kardynał Poilyf z Kraju Północnego.

Domidomi kardynał Hoydok z Teksarku został ekskomunikowany przez Benefeza za to, że poparł papieża Amena, który powołał go w skład Kolegium. On to napisał gniewne wezwania na konklawe i wydawało się, że nadal kipi gniewem, wchodząc do budynku.

Potem przybył Furi kardynał Shirikane, który przesuwiał się spokojnie, niemal chyłkiem. Ten kapłan pochodził z Zachodniego Wybrzeża i znał dialekt, którym posługiwał się Wooshin, o czym zapewnił Czamozęba sam Topór. W jego obejściu też było coś azjatyckiego.

I za nim Abraha kardynał Linkono, nauczyciel z Nowej Jerozolimy, jedyny uczestnik konklawe, o którym wiadano, że jest mamidłem.

– A to Jastrzębi Wódz Irrikawa – oznajmił młody ksiądz.

– Wiem. Widziałem go wczoraj.

– A czy wiedziałeś, że jego imię podsunęła papieżowi kardynalessa Buldryk? Opactwo Worku przylega do lesistego królestwa Irrikawy.

– Dziwię się – wyznał Nimmy. – W zeszłym roku kardynalessa zdawała się sprzyjać Benefezowi.

– Cha! Było to, zanim Amen wyświęcił dwie niewiasty, a jednej wręczył czerwony kapelusz – odparł dość sztywno, jak uznał Czamoząb, młody ksiądz.

– Irrikawa opowiada dziwaczne historie, twierdzi na przykład, że jego rodzina jest równie stara jak kontynent. I to orle pióro! Nie chce, by tytułowano go kardynałem. Służba zwraca się doń „Ojcze” albo „Wasza Wysokość”.

Przed drzwiami zjawili się teraz dwaj mężczyźni o niezbyt okazałym wyglądzie, Buzi kardynał Fudsow, miejscowy instalator urządzeń hydraulicznych, który wyposażył pieczarę Amena Specklebirda w splukiwany klozet własnego pomysłu, oraz Leevit dostojny kardynał Baehovar, kupiec z krainy Utah.

Następny był nowy biskup Denver, Yarley kardynał Swineman, którego diecezja obejmowała całe Wolne Państwo Denver – poza samą Valaną. Miał swoją katedrę o dwa dni jazdy konnej na północ,

w Danfer, małej wspólnocie położonej na skraju półpochłoniętego przez ziemię, rozległego rumowiska, które było niegdyś miastem Denver. Choć kilka lat temu na Tronie Piotrowym zasiadł biskup Denver, zgodnie z tradycją na denverskim stołku biskupim nigdy nie zasiadał kardynał.

Czarnoząb podziękował księdzu i przepchnął się przez tłum na plac. Siedziba konklawe, prawowitego czy nie, nie została jeszcze oficjalnie zaryglowana i opieczętowana. Okna i drzwi były nadal otwarte i tłum na placu zachowywał się cicho, gdyż ze środka dochodził mocny głos przemawiający do przybyłych już kardynałów. Głos brzmiał gniewnie i minęła chwila, zanim Nimmy rozpoznał, że należy do jego pana.

– Cięży na mnie wyrok śmierci w zawieszeniu wydany przez cesarskiego naczelnika. Hannegan, arcybiskup i ich sprzymierzeńcy ogłosili, że papież jest oszustem. Próbują zwołać do Nowego Rzymu Sobór Powszechny, a jest to, jak wiecie, niemożliwe bez zgody papieża, skoro zaś papieża nie ma, o soborze nie może być mowy. Teksark toczy nie wypowiedzianą wojnę z valańskim papieństwem i wszyscy jesteśmy zagrożeni. Chociaż ubolewamy z powodu pasikońskiego wypadu na bezprawnie okupowane obszary wokół Nowego Rzymu i z powodu wynikłej z tego rzezi niewinnych ludzi, z konieczności czujemy się solidarni z hordami w walce przeciwko Cesarstwu. Musicie bronić samych siebie. W Valanie roi się od teksarkańskich szpiegów. Jeden z nich został wczoraj, bez mojej wiedzy, schwytany i straszliwie okaleczony przez włodarza Trzech Hord. Przebywa w miejscowym więzieniu otoczony opieką lekarską. Jak z pewnością pamiętacie, w okresie zeszłorocznej Wielkanocy nastano morderców, którzy próbowali zabić mnie i mojego sekretarza. Możemy spodziewać się dalszych takich zamachów.

Każdy, kto zechce mieć broń dla siebie lub swoich sług, otrzymają, podobnie jak Gwardia Papieska, i to najwyższej jakości. Valana jest miastem otwartym. Nie mamy straży granicznej i nie lądźcie się, agenci Hannegana przybywają i wyjeżdżają, kiedy się im spodoba. Broń sieczna dla was i waszych sług będzie dostarczona...

Może gniew, który brzmi w głosie kardynała, jest czysto retoryczny. Mnich potrząsnął w zamyśleniu głową i poszedł dalej. Nie żałował, że Kucisawy wziął sobie tym razem innego

pełnomocnika, miał jednak nadzieję, że wybaczona mu będzie jawna niechęć do służenia jako jeden z nich.

Aberlotta nie było w domu. Ponieważ chciał przepisać dziwną modlitwę i zostawić mu ją na stole razem z liścikiem, spróbował otworzyć drzwi. Były jednak zaryglowane. Wzruszył w duchu ramionami i już miał odejść, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl: ciągle jeszcze nie rozmawiał z Amenem Specklebirdem, gdyż pod jego drzwiami wciąż było tłoczno. Teraz jednak ci, którzy nie pracowali, zgromadzili się na placu Świętego Jana na Wygnaniu, a kardynałowie przebywają w Pałacu. Zawrócił więc i ruszył pod górę w stronę pieczary Amena.

– Nie przetłumaczę ci tego – oznajmił czarnoskóry papież, trzymając w ręku kartonik od matki Iridii.

Siedzieli sami w kamiennym domu wydrążonym w stoku góry. Skąła była zimna, ale na palenisku płonął niewielki ogień, więc chłód, jaki tu panował, nie był nadmiernie dokuczliwy.

– To raczej wiersz niż modlitwa. Nie napisano go w języku, jakim siostry posługują się dzisiaj, ale w ich mowie jest więcej hiszpańskich naleciałości niż w skalnogórskim albo OFzarku. To starohiszpański i widzę tu jedno, drugie słowo zaczerpnięte być może z dialektu wiejskiego. Już to widziałem. Wiem, jakie znaczenia dla sióstr mają te słowa. Uważają, że ukrzyżowana kobieta to nie fakt historyczny, lecz coś, co dokonało się w umyśle Maryi, kiedy zechciała wczuć się w mękę swego Syna na krzyżu.

– Pragnęła znaleźć się na krzyżu zamiast Niego?

– Pragnęła? Znalazła się tam w swym sercu. Librada del mundo oznacza wyzwolona od świata. Wydaje się, że następne trzy linijki wypowiedziała ukrzyżowana. „Ma oczy, ale nie widzi samej siebie. Ma ręce przybite do krzyża, nie może więc siebie dotknąć. Nogi też ma przybite i nie może chodzić”. Następna linijka, „z aniołami w liczbie czterdziestu trzech”.. jej sens poszedł w zapomnienie. Ostatnie dwie linijki mogły być wypowiedziane przez Dzieciątko Jezus. „Okrył Mnie rąbek od Maryi. Pierś Maryi zaróżowiła me policzki”. Dzieciątko ssie pierś. Tak interpretują to siostry.

– A ty?

– Nie jestem interpretatorem. Ty, Czamożębie, owszem. Masz oczy, dłonie i stopy. Czy możesz zobaczyć siebie, dotknąć, czy możesz chodzić?

– Dawniej nigdy w to nie wątpiłem, ale... – Przerwał na chwilę. – Ale to, co widzę w lustrze, nie jest mną, prawda? Mogę dotknąć mego ciała, czy to jednak ja? Moje nogi poruszają się, kto jednak chodzi?

– Czyż potrzeba ci odpowiedzi, skoro wiesz, jak postawić właściwe pytania? Odpowiedzi są zawarte w pytaniach. – Wykrzywił twarz w kocim uśmiechu. – Podobają mi się twoje pytania.

– Czy możesz pomóc jakoś Edrei?

Specklebird milczał. Nimmy bał się, że powie: „Lecz to pytanie nie”.

Po jakimś czasie mruknął jak kuguar:

– Zostań chwilę i pomódl się ze mną. Będziemy się modlić w duchu.

I modlili się bez słów. Czarnoząb wstawał czasem z klęczek i podsyczał ogień. O zmroku spożyli prosty posiłek i znowu się modlili. Rankiem brat Czarnoząb narąbał drewna. Amen Specklebird wywiesił zaś kartkę z napisem: „Modlę się. Odejdź”.

Nimmy został z nim i razem się modlili. Panowała cisza, jaka powinna panować w Opactwie Leibowitza. Piątego dnia ktoś wrzasnął trzykroć pod drzwiami: Habemus Papami, a potem odszedł. Zdawało się, że Specklebird tego nie usłyszał. Cisza nadal panowała w pieczarze.

Czarnoząb pozostał dziewięć dni. Podczas tej jakby nowenny lepiej poznał swą duszę niż przez wszystkie lata spędzone w Opactwie Leibowitzańskim. Amen Specklebird był nauczycielem ciszy. Nie mogło być żadnego wyjaśnienia, gdyż wyjaśnienie unicestwiłoby ciszę.

Mógłby pozostać dłużej niż te dziewięć dni, ale kiedy wyszedł dziesiątego ranka, by narąbać drewna, nad Vaianą wzbijał się wielki kłęb dymu. Czyżby całe miasto ogarnęła pożoga?

Amen odprowadził go prawie do stóp wzgórza, a stamtąd ujrzeli, że płonie tylko Pałac Papieski i koszary policji. Tylko! Tego słowa użył Specklebird.

Uścisnęli się bez słowa i bez słowa rozstali. Nimmy czuł jakąś niewyraźną troskę o starca. Podjął próbę całkowitego odsunięcia, się od sceny kościelnych i politycznych walk o panowanie, jak jednak mógł być od tego wolny, skoro ludzie nadal wadzili się i w sprawie zrzeczenia się przez niego tiary? Czy był choć przez moment papieżem? Czy nadal jest papieżem? Gdzie jego rezygnacja? Czarnoząb czuł, że jeśli ktoś spalił oryginał, starcowi grozi niebezpieczeństwo. A jednocześnie wiedział, że arogancją byłoby doradzać mu, by szukał u kogoś ochrony.

Strażnicy przy bramie powiedzieli mu, że pożogę poprzedziły wybuchy. I[^]ecz kardynał Kucisawy, teraz papież Amen II. nie stracił życia. Uciekł tylko z miasta razem z większością Kurii. Dokąd? Strażnik nie umiał powiedzieć. Znacznie ponad połowa brygady starosty Diona pojechała papieską drogą szybkiego ruchu na południe, zostawiając garstkę ludzi i Żółtą Gwardię, by szkolić w zbudowanym przez widma forcie obywateli. Schroniło się tam także kilku kardynałów. Być może Ojciec Święty jest razem z Dionem. Teksarkański szpieg zniknął z więzienia i straż obliczyła, że do zdobycia wiezienia i wysadzenia pałacu trzeba było ze czterdziestu teksarkariskich agentów. „Te sukinsyny mieszkały wiele lat obok nas. Osadnicy z Teksarku! Większość podawała się za uciekinierów”.

– Nomadowie wrócili na Równiny – wyjaśnił Nimmy’emu – być może to z nimi jest papież, nie zaś z Dionem. Czarnoząb pobiegł najpierw do Aberlotta. Kartka na drzwiach głosiła: „Jestem w forcie. Obsłuż się sam”. Czarnoząb nacisnął klamkę. Tym razem drzwi były otwarte. Sądząc po bałaganie, jaki zobaczył na podłodze, i po przewróconych meblach, ktoś już się sam obsłużył, chyba że student został zawleczony do fortu siłą, a przedtem stawiał zaciekły opór.

Poszedł do Sekretariatu. Budynek był pusty – poza tajnym skrzydłem. Spróbował wejść, ale natychmiast go wyrzuciono. Poszedł więc do Świętego Jana na Wygnaniu. Nie było nikogo poza proboszczem. Ten powiedział Czarnozębowi, że po ucieczce z płonącego budynku nowy papież opuścił miasto w powozie należącym do szarfa Pasikoników, ale właściwie pojechali na południe, za Dionem.

– Czy na boku powozu był namalowany napis „Rozpalam ogień”?

– To więc znaczy? Zdaje się, że to było po staroangielsku.
„Bram przejmie ładunek strzelb” – pomyślał Nimmy. Ruszył w stronę fortu. Po drodze został schwytany za kark i zawleczony do tegoż fortu. Był to Uład, który nie chciał uwierzyć, że Czarnoząb idzie tam z własnej woli.
– Wiesz przecież, że jestem sługą kardynała, papieża Antena II – protestował.
– Gdybyś nadal nim był, wyjechałbyś razem z Ojcem Świętym. Teraz jesteś żołnierzem, szczyłu – powiedział olbrzym. – Będziesz walczył o Święte Miasto.
Święte Miasto? Ma na myśli Nowy Rzym czy Nową Jerozolimę?
– Czy zobaczę didreę?
– Mało prawdopodobne – burknął tamten.
Nimmy przestał się wyrywać, ale Uład trzymał przez cały czas długą, szczupłą dłoń na jego karku.

Rozdział 22

„Jeden, hojnie odważony funt chleba jest dostateczną porcją na cały dzień bez względu na to, czy bracia jedzą jeden posiłek, czy też dwa, w południe i wieczorem”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział XXXIX

Elia Kucisawy – teraz papież Amen II – odczuwał brak swego tłumacza pasikońskiego, ale nikt nie widział Nimmy’ego od dnia wyboru. Papież nie dopuszczał do siebie myśli, że Czarnoząb opuścił go w potrzebie, zostawił więc dla niego wiadomość u kardynałów pozostających w Valanie. Teraz jechał z szarfem Kopytem i Diablim Światłem Bramem w powozie Brama, podczas gdy kardynałowie, jedni w powozach, inni konno, podążali w jego świcie. Wooshin, który nie mówił płynnie żadnym nomadzkim dialektem, siedział na koźle z woźnicą. W powozie zaś młody szarf Dzikich Psów płaszczył

się przed papieżem, co sprawiało przykrość najwyższemu kapłanowi, którego Bram nadal nazywał Czerwonobrodym. Za każdym razem, kiedy Kopyt użył tytułu Wasza Świątobliwość lub Ojciec Święty, szarf Pasikoników robił kwaśną minę. Bram częściej wspominał o Esittcie Loyte, niż nakazawałaby uprzejmość. Kopyt przekonywał, że szpieg został przyłapany, zanim dowiedział się czegoś poza tożsamością uczestników wojennej narady.

– To i tak za dużo – warknął Eltur. – Jeśli Hannegan dowie się, że mamy sprzymierzeńców na Wschodzie, nie wyśle pochopnie wojska na drugą stronę Rzeki Wielkiej. Czyż nie mam racji. Dostojny Czerwonobrody?

Kucisawy, jakby głęboko rozmarzony, wyglądał przez okno. Eltiir musiał powtórzyć pytanie. Kopyt powtórzył je po dzikopsiernu, ale Kucisawy nie udzielił i tak bezpośredniej odpowiedzi.

– Atak na Pałac był dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Przez godzinę, dwie byłem zbyt zbity z tropu, żeby myśleć jasno. Agenci, którzy odbili Loyte’a z więzienia, z pewnością od razu zabrali go do terminalu telegraficznego. Powinniśmy byli od razu o tym pomyśleć i posłać wojsko, które opanowałoby telegraf, zanim zdążyliby nadać meldunek. Teraz zawładniemy nim zgodnie z planem, ale za późno.

– Siły Hannegana nie przeprawią się przez Rzekę Wielką!

– Tego nie dowiemy się, szarfie Bram, póki nie podejmiesz próby zawarcia zawieszenia broni.

– Chcesz, bym udawał tchórze, Dostojny Czerwonobrody?

– Skądże! Możesz być temu niechętny. Daj mu do zrozumienia, że żąda tego Święty Szał i że ty osobiście będziesz zachwycony, jeśli Teksark odrzuci ofertę.

Kucisawy czuł się nieswojo, miał bowiem wrażenie, że Eltiir obarcza go winą za samobójcze poczynania Hultora. Źródłem tego uczucia był zapewne pogląd księdza Nadepnąć Węża, który był przekonany, że morderczy wypadek Hultora stanowi swego rodzaju wezwanie skierowane do kardynała, który rozpieszczał chrześcijan z Dzikich Psów, a Pasikonika nie dopuścił do swej rady.

– Twoje plemiona, twoi wojownicy i ty sam, szarfie Bramie, to najpotężniejsza siła, jaką mamy w walce przeciwko Hanneganowi.

Eltiir niezbyt dokładnie to zrozumiał. Kopyt chciał przełożyć słowa papieża na dialekt Pasikoników, ale wynik nie był zadowalający.

– Nie jesteśmy twoją siłą, Dostojny Czerwonobrody – powie dziaś szarf.

Minęli tuzin zbrojnych z Nowej Jerozolimy. Papieska droga szybkiego ruchu została opanowana i patrolowali ją teraz żołnierze Diona. Oddziałek uporządkował szyk i oddał wojskowe honory przejeżdżającemu papieżowi. Wkrótce potem dotarli do celu. Szlak wiodący do Sharda nie był już ścieżką wiodącą przez zarośla w stronę Alei Strachów na Wróble. Ludzie rajcy Diona umieli pracować szybko. Wycięto krzewy. Pięćdziesiąt jardów od drogi papieskiej wzniesli barykadę z drewnianych kłoców, a po obu stronach ulepszonej drogi zbudowali strażnice. Nad całym obszarem unosiła się chmura pyłu wzbitego przez ludzi i konie. Walące się domy genoków zrównano z ziemią. Na ich miejscu powstały baraki i inne budowle z kłoców. Dwie karawany naładowanych wozów czekały na wyjazd, a ciągle jeszcze był widoczny obłok kurzu po trzeciej, która ruszyła już na południe. „Ónmu Kun” – pomyślał Kucisawy.

Kiedy Amen II wysiadł z powozu Eltiira, natychmiast został otoczony przez członków swojej Kurii. Zdawkowe pożegnanie z szarfami nomadów trudno byłoby uznać za serdeczne. Każdego powitała gromada wojowników z jego hordy i nie minęła nawet godzina, kiedy byli gotowi do dalszej jazdy. Tajemnica Ssamieito rozwiła się i nikt nie mógłby już wątpić, że kolonia jest w stanie wojny.

Starosta podszedł do grupy kardynałów, poruszając się z wojskową precyzją, przyklęknął przed ubraną na biało postacią i musnął wargami papieski pierścień. Odpowiedział na wszystkie pytania, zanim zostały zadane.

– Stacja telegrafu została opanowana. Według zeznań jeńców Loyte już tam był i odjechał. Gromada wyrzutków zastawiła na kawalerię pułapkę w kraju bezprawia. Zbój, którego mi przysłałeś, przyprowadził ponad setkę ludzi, a oni nie biorą jeńców. Nasi lekkokonni posuwają się wyteżonym marszem w stronę drugiej stacji, mijając partyzantów, którzy podążali, by dołączyć do nas. A co z naszymi sprzymierzeńcami na wschodzie?

– Nie dotarła jeszcze do nich wiadomość o tym, co się tu stało. – Kucisawy wzruszył ramionami. – Przez jakiś czas nie będziemy więc mieli od nich żadnych wieści. – Wskazał ręką na góry. – Czy droga dla nas została otwarta?

– Oczywiście, Ojciec Święty. Budynki są z belek, ale nowe, i będzie to twój Rzym, jak długo zechcesz tu pozostać.

Skinął na młodzieńca o nogach tak długich, a rękach tak krótkich, że ktoś mógłby uznać go za genoka, gdyby nie to, iż Dion przedstawił go jako swojego syna. Obaj mieli maniery bez zarzutu i byli przystojni.

– Slojon będzie twoim przewodnikiem tak długo, jak będziesz go potrzebował.

Młodzieniec skłonił się i spojrzał z bliska na papieski pierścień, ale nie pocałował go.

Kiedy zapuszczali się coraz głębiej w góry, jadąc powozem należącym formalnie do starosty, który polecił wymalować na drzwiczkach papieską tiarę i klucze, Kucisawy nadal wpatrywał się w krajobraz z miną człowieka pogrążonego w zadumie. Tym razem w powozie jechał także Wooshin wraz ze Slojonem, synem Diona oraz kardynałami Hilanem Bleze i matką Iridią Silentią. Z tą ostatnią utrzymywał dość odległą, ale trwałą znajomość. Podziękowała już mu za to, że miał swój udział w wyniesieniu jej przez Amena I do godności kardynalskiej. Kucisawy przyznał, że nie było w tym żadnej jego zasługi, nie zmienia to jednak faktu, iż pochwała z całego serca decyzyjnie poprzedniego papieża.

Podczas jazdy w głąb gór kardynalessa poruszyła sprawę uwięzienia Edrei, ponieważ jednak znaleźli się dość już wysoko, Kucisawy miał trudności z oddychaniem i nie mógł wykrztusić ani jednego słowa, które byłoby poparciem skierowanej do Slojona prośby w tej kwestii. Zdobył się tylko na uśmiech i wskazanie młodzieńca. Gest jego ręki mógł mieć dowolne znaczenie, jakie jedno z nich zapragnęłoby mu nadać. Hilan Bleze zmienił temat i zaczął mówić o sprawach Kurii.

Nim dotarli do serca wspólnoty, Amena II trzeba było nieść w lektyce do jego nowej rezydencji. Polecił sekretarzowi stanu przekazać pilną wiadomość do Valany, do Czamożęba, z prośbą o kopię przepisu czcigodnego Boedullusa. Zaraz potem opadł na

poduszki i spał szesnaście godzin. Przed budynkiem zebrał się tłum zawiedzionych wiernych. Nie różniące się niczym od zwykłych ludzi dzieci papieża zgromadziły się w nadziei otrzymania apostolskiego błogosławieństwa od otaczającego je szczególną pieczęcią ojca. Pobłogosławił je jednak sekretarz Hilan kardynał Bleze, który zwrócił się do obecnych z prośbą, by wrócili nazajutrz.

Pilna prośba papieska nie dotarła do kaprala Czamożęba od Świętego Jerzego, kiedy bowiem owa wiadomość przyszła do Valany, przekazano ją do fortu i wręczono jego dowódcy,

majorowi Elswitchowi J. Gleaverowi, który podpisał w imieniu Czarnożęba pokwitowanie, lecz zapomniał o oddaniu listu adresatowi. Powiedział natomiast o nim Chuntarowi kardynałowi Hadali, który rozpieczętował pismo i przeczytał.

– Nasz nowy Ojciec Święty stał się po wyborze łakomczuchem – rzekł Hadała z odcieniem pogardy w głosie. – To tylko prośba o przepis kucharza o imieniu Boedullus.

– Może chodzi o zaszyfrowaną wiadomość? – podpowiedział rumiany major.

– Raczej nie. Gdyby kapral Czarnożęba dysponował jakimiś tajnymi informacjami, papież przysłałby po niego.

– Doszły mnie słuchy, że owszem, przysłał.

– Gdzieś to usłyszał? – spytał ostrym głosem kardynał.

– To tylko pogłoska. Być może sam kapral ją rozpuścił, ale doniesiono mi, że jej źródłem jest kardynał Nauwhat.

– Psiakrew! Muszę porozmawiać z Sorelym. Wiesz dobrze, iż starosta Dion nie życzy sobie tego mniszka w Nowej Jerozolimie. Chodzi o tę podejrzaną dziewczynę, a papież zbyt w tej chwili jest zależny od starosty, by mógł sobie pozwolić na zrażenie go do swojej osoby. Jestem pewny, że Elia go nie wezwał, i to z tej właśnie przyczyny. Zresztą w Nowej Jerozolimie nie jest mu do niczego potrzebny ktoś znający biegle nomadzki, nawet jeśli... – Zamilkł.

Major spojrział na niego i zaczął się zastanawiać, czy myślenie kardynała utknęło na granicy rozróżnienia między tłumaczeniem rozmów, a tłumaczeniem tekstów pisanych.

Jakby potwierdzając jego wątpliwości, Hadaia ciągnął:

– Zreszty sami będziemy potrzebowali kogoś zajmującego się korespondencją z nomadzkimi szarfami. Z tego samego względu

będzie go z pewnością potrzebował Sorely. Dlatego zaproponowaliśmy nadanie mu stopnia kaprała. Chcemy, żeby był w miarę możliwości usatysfakcjonowany. Powątpiewam, by jakieś pogłoski o jego powrocie na służbę u Kucisawego, hmm, u papieża, mogły wyjść od Nauwhata.

– Dobrze, zadbam więc, by miał co robić, póki go nie potrzebujesz – oznajmił Gleaver. – W tej chwili to sprawa policji. Dostał przepustkę, która kończy się jutro, po pogrzebie.

– Lepiej mieć go na oku, bo gotów czmychnąć. Nie można mu ufać. Przekonał się o tym Kucisawy. I me przydzielaj go do służby w mieście. Jest zapewne zbyt wrażliwy, żeby rozstrzeliwać szpiegów.

Sprzątaczką, która przychodziła w poniedziałki, żeby doprowadzić do ładu ubranie i naczynia byłego papieża, a także wyszorować podłogę, zwykle nie wchodziła do środka, kiedy widziała wywieszkę z napisem „Modlę się. Odejdź”, lecz tego poniedziałku jej uwagę zwróciła jakaś brunatna plama, która wypływała spod drzwi. Zapukała nieśmiało, ale nikt nie odpowiedział. Nacisnęła klamkę i drzwi otworzyły się do środka. Był cichy poranek i jej krzyk odbił się echem od przeciwległego wzgórza. Przybiegł jakiś farmer i dwaj pasterze. Bezgłowe ciało Specklebirda runęło na bok z klęcznika, na którym Amen modlił się zapewne przed ołtarzykiem, kiedy morderca zadał mu śmiertelny cios. Głowa odbiła się od ściany i potoczyła pod stół. Były papież nie żył od co najmniej dwóch dni.

Sposób zadania śmierci –jedno poziome cięcie mieczem – zwrócił natychmiast podejrzenia w stronę Żółtej Gwardii, lecz ani Gai-See, ani Woosoh-Loh w tygodniu, w którym popełniono zabójstwo, nie opuszczali fortu, pozostali zaś, także Wooshin, pojechali z Amenem II do Nowej Jerozolimy.

Czarnoząb należał do ostatnich osób, które widziały Amena Specklebirda żywego, i policja przesłuchiwała go szczegółowo, aczkolwiek w obecności adwokata, księdza wyznaczonego przez jednego z kardynałów do tego, by dbał należycie o prawa przesłuchiwanego. Okazało się zresztą, że policja wcale go nie podejrzewa, ale adwokat przydał się, kiedy trzeba było wyjaśnić religijne więzy, jakie połączyły leibowitzańskiego mnicha z byłym papieżem podczas wspólnej, dziewięciodniowej, bezgłośnej

modlitwy w domu Amena na kilka dni przed śmiercią tego ostatniego. Nimmy obwiniał siebie o to, co się stało. W chwili pożegnania nie posłuchał intuicji, która podpowiadała mu, że Speckebird znalazł się w niebezpieczeństwie. Całe zatroskanie zniknęło, kiedy Ulad złapał go za kark i zawlókł do kwater pospolitaków. Z drugiej strony był całkowicie przekonany, że Speckebird nie zwróciłby najmniejszej uwagi na jego ostrzeżenia.

Policji nie obchodziło jego poczucie winy; nie mieli nadal podejrzanego, choć ludność miasta była pieczołowicie nadzorowana i każdego obywatela, który nie potrafił przedstawić świadectwa z miejsca urodzenia, zamykano w przyległym do fortu obozie. Rozstrzelano już piętnastu rozpoznanych uczestników terrorystycznego zamachu. Mieczem, który przyniósł śmierć, mogła być zarówno dobrze wyostrzona kawaleryjska szabla, jak jedno z pięknych ostrzy azjatyckich wojowników. Nimmy'emu pozwolono odejść w pokoju i przedłużono mu nawet przepustkę, by mógł wziąć udział w pogrzebie starca. Chciał uciec do Nowej Jerozolimy, ale bez wątpienia zostałby złapany, a zresztą Kucisawy nie przyjąłby z otwartymi ramionami uciekiniera.

Zwłoki Amena Speckebirda wystawiono na widok publiczny; spoczywały oświetlone licznymi świecami na wysokim katafalku w Katedrze Świętego Jana na Wygnaniu i wszyscy wierni, którzy nie opuścili Valany po terrorystycznym zamachu, czystkach i ucieczkach, przyszli złożyć ostatni hołd zmarłemu, przesuwając się powolnym szeregiem przed katafalkiem. Wszystko odbywało się z mniejszym przepychem i pompą, niż gdyby umarł jako panujący papież. Panował też lekki chaos, ale bardziej wynikało to chyba z ucieczki obecnego papieża do Nowej Jerozolimy, niż z tego, że Amen I zrzekł się tiary i przekazał władzę papieską kardynałowi Kucisawemu. Prowadzący śledztwo stwierdzili na przykład, że w momencie rezygnacji żadna osoba urzędowa nie odebrała starcowi sygnetu Rybaka i dwóch pieczęci (woskowej i ołowianej). Zazwyczaj pieczęcie te w okresie interregnum, po śmierci papieża, przejmował i niszczył kardynał pełniący funkcję prefekta papieskiego domu. Czy używano ich po intronizacji Kucisawego? Po śmierci starca zdjęto mu z palca papieski pierścień, ale policja, która przeszukała jego dom, nie znalazła ani śladu pieczęci. Czyżby ukradł je zabójca? Te

fakty, w połączeniu z innymi nieprawidłowościami. kazały powątpiewać w prawdziwość wielu dokumentów wydanych za pontyfikatu Amena I, zwłaszcza w przypadkach, gdy nie można było odnaleźć nikogo, kto byłby świadkiem pracy nad nimi.

Czarnoząb stanął na końcu przesuwającej się powoli kolejki i po jakimś czasie znalazł się przed katafalkiem. Zauważył, że przedsiębiorca pogrzebowy umiejętnie zamaskował fakt, że głowa została oddzielona od ciała, i Specklebird wygląda bardziej po papiesku niż kiedykolwiek za życia. Zmierzwiłone zwykle siwe włosy były starannie przyczesane, co głębsze bruzdy na twarzy – wypełnione, a skóra – nieco rozjaśniona brunatnym pudrem. Woń rozkładającego się ciała zaczęła już jednak górować na wonią kościelnych kadzideł. Nimmy poczuł, że dławią go łzy, i wyszedł pospiesznie na plac.

Przed kościołem zebrał się niezbyt gęsty tłumek. Wielu wielbicieli Amena Specklebirda było fanatycznie oddanych starcowi i ci dyskutowali o ważności jego rezygnacji, a tym samym o ważności wyboru Kucisawego. Ktoś zasugerował nawet, że sam Kucisawy zorganizował zamach na życie Amena, by umocnić się na tronie. Nimmy usłyszał, że dwóch mieszkańców wzgórz rozgłasza tę teorię i wrzasnął do nich: „Co za idioci! To woda na młyn Teksarku!”

Tamtych to uraziło i Nimmy musiał podjąć walkę. Pokonał ich, ale stracił szacunek dla samego siebie, choć przecież miał teraz na sobie zielony mundur żołnierza pospolitego ruszenia, nie zaś brunatną zakonną suknię. Zaczęto go jednak poklepywać po plecach i rozległy się wiwaty tych walańczyków, którzy znali i kochali nowego papieża.

Następnego dnia, podczas pogrzebu, Czarnoząb czuł woń rozkładającego się ciała, która przebijała się przez wypełniający katedrę zapach palonych nasion pinii; później świadkowie w procesie kanonizacyjnym Amena I twierdzili, że z ciała dobywała się niebiańska woń. Czarnoząb wiedział jednak wszystko o cudownych zapachach bijących od świętych ciał; święty Leibowitz pachniał jak przyprawione ambrozją danie z rusztu – twierdzili adoratorzy. Próbował wdychać woń świętości wydzielaną przez ciało Amena Specklebirda, lecz być może grzechy uszczupliły jego pobożność, gdyż nozdrza ciągle wypełniał mu smród zgnilizny.

Nagle jednak ciało Amena Specklebirda usiadło na katafalku i wskazało prosto na Czamożęba. Wąsy kuguara drgnęły i ukazały się obnażone kły. Nimmy zamknął oczy, żeby osuszyć je z łez. Kiedy spojrział znowu, ciało spoczywało z powrotem na katafalku i nie poruszyło się przez całą mszę żałobną koncelebrowaną przez sześciu pozostałych tu kardynałów.

Czystka wśród mieszkańców Valany trwała nawet podczas pogrzebu. Kiedy Nimmy opuścił kościół, dowiedział się, że liczba podejrzanych o spisek i rozstrzelanych wzrosła do osiemnastu, a ponad trzydziestu obywateli więziono na ogrodzonym terenie koło fortu. Każdy, kto nie mógł udowodnić, gdzie się urodził – przedstawiając odpowiedni dokument albo świadków – był skazany na wieczne wygnanie. Chyba że ktoś poświadczył jego udział w aktach terroru. Każdy, kto raz został zatrzymany, a miał w mieście wrogów, mógł oczekiwać, że ci złożą odpowiednie zeznania, które będą dla niego wyrokiem śmierci. Wyrównywano w ten sposób stare porachunki. Spraw nie rozpatrywał ani sąd świecki, ani kościelny, lecz trybunał wojskowy. Nimmy uważał, że większość rzeczywistych łotrów uciekła z miasta po dokonaniu swych nikczemnych czynów, a rozprawy dają tylko ujście żądzy zemsty. Natomiast w sprawie zabójstwa Amena Specklebirda policja nie miała żadnych podejrzanych.

Póki w Valanie trwały czystki i pacyfikacje, nie było mowy o rozwiązaniu pospolitego ruszenia. To, że Chuntar kardynał Hadala i jego oficerowie z Nowej Jerozolimy mają własne plany batalii, stało się jasne, kiedy rozplakatowano rozkazy, na mocy których połączone siły miały opuścić miasto pierwszego dnia następnego miesiąca, podczas pełni księżyca. Pchnięto posłańców do Dzikich Psów i szarf Kopyt odpowiedział, przysyłając trzech przewodników i ponad sto koni przeznaczonych dla tych valańskich pospolitaków, którzy nie mieli własnych wierzchowców. Czarnożęba odkomen derowano do przewodników jako tłumacza. Spostrzegł, że ci ludzie nie zdają sobie sprawy, iż wykonują bezpośrednie rozkazy Chunatara Hadali, Sorely Nauwhata i Elswitcha Gleavara, nie zaś papieża. Bał się im o tym napomknąć, gdyż Nauwhat był zawsze związany z Kucisawym. Valańczycy odnosili się do całego przedsięwzięcia niechętnie i skarżyli się, że muszą opuścić okolice

miasta i udać się w góry, lecz nikt nie ważył się, jak na razie, bąknąć choćby słówkiem o buncie.

I nagle, pierwszego lipca, kiedy całe pospolite ruszenie gotowało się do wyruszenia na wschód z czternastoma wozami broni, do Valany przybył wysłannik papieża i rozkleił na drzwiach katedry oraz ścianie Papieskiego Pałacu ośmiostronicowy dokument opatrzony papieską pieczęcią, a następnie udał się do fortu i jeszcze jeden egzemplarz wywiesił na ścianie wojskowej kancelarii.

Pismo było opatrzone takim oto nagłówkiem: Amen U Episcopus Romae servus servorum Dei, omnibus electis domini ipsis fidelibus in una Ecclesia vera Catholice atque Apostolica credentibus, qui subsunt nobis secundum Petrum unicum pastorem...

Czarnoząb wiedział, że późniejszy historycy nazwą dokument od pierwszych słów tekstu Scitote Tyrannum. Kiedy wrócił do koszar, było już ciemno i czytał pismo przy świetle łuczywa. Pierwsze ustępy głosiły:

„Amen II, biskup Rzymu, sługa sług Bożych, do wszystkich wierzących w jeden prawdziwy Kościół, powszechny i apostołski, tym wybranym przez Boga, którzy podporządkowali się Nam jako Piotrowi, jednemu pasterzowi wyznaczonemu przez Chrystusa na głowę Jego mistycznego ciała, śle pozdrowienia i apostołskie błogosławieństwo.

Musicie wiedzieć, że tyran Filipeo z Teksarku [Tyrannum Phillipum Texarkanae wraz ze swym wujem, byłym kardynałem arcybiskupem Miasta Hannegana [Civitatis Hanneganensis], ekskomunikowanym wskutek swych czynów [ipso facto], co potwierdził Nasz poprzednik, świętej pamięci Amen I, zostają niniejszym uznani przez Nas za wrogów Boga i Jego Świętego Kościoła i są przeklęci, potępieni, odrzuceni i odcięci od Ciała Chrystusowego, poza którym nie ma zbawienia. Za zbrodnie przeciwko ludzkości i Kościołowi, a także przeciw własnemu ludowi i jego duchowieństwu, zwalnimy Filipeo Harqę z urzędu naczelnika, a także wszystkich jego byłych poddanych z przysięgi posłuszeństwa wobec niego, a jednocześnie usilnie im zalecamy powołanie prawowitego rządu, chrześcijanom zaś zakazujemy służyć mu lub okazywać posłuszeństwo. Zachęcamy wszystkich chrześcijańskich władców z całego kontynentu, by chwycili za broń i

wystąpili przeciwko niemu. Przez Naszych czcigodnych braci a ich biskupów przekazujemy Nasze błogosławieństwo ich wojskom i ich orężowi.

Ponadto każdy, kto jest zdolny do noszenia broni i podjęcie sprawiedliwą wojnę przeciwko heretyckiemu tyranowi i jego wujowi, otrzyma od Nas poprzez swego spowiednika całkowite odpuszczenie grzechów i darowanie wszelkich kar, jakie mogłyby mu być wymierzone na tym świecie albo w czyśćcu. Po dokonaniu spowiedzi jego jedyną pokutą będzie prowadzenie wojny przeciwko wojskom cesarskiego tyrana, a jeśli padnie w tej walce, My, któremu powierzono klucz do Królestwa

Niebieskiego, otworzymy jego bramy, by mógł stanąć przedświętym Obliczem..

„Krucjata!”

To słowo nie padło i nie było używane od dwudziestego trzeciego wieku, ale nie zabrakło ani jednego aspektu krucjaty. Papież mówił o bohaterach idących w bój za Ukrzyżowanym. Wojna miała się toczyć pod znakiem Krzyża i sztandarem papieżstwa. Kościół w Mieście Hannegana został obłożony interdyktem. Nakazano zamknięcie dziedzińców kościelnych. Księżom nie wolno było odprawiać mszy ani udzielać sakramentów poza ostatnim namaszczeniem. Duchowni i świeccy nie respektujący zakazu byli automatycznie objęci ekskomuniką. Nie odnosiło się to do Prowincji, wyjąwszy te parafie, które nie podporządkowały się byłemu wikariatowi Kucisawego i podlegały archidiecezji ze stolicą w Mieście Hannegana.

Na samego Uriona Benefeza rzucił papież „anatemę, która może być zdjęta tylko przez rzymskiego najwyższego kapłana i tylko w momencie śmierci”.

Nie było to wszystko, ale Czarnoząb nie czytał dalej nabrzmiałego gniewem dokumentu. Dzięki temu, że była pełnia księżyca, bez trudu trafił z powrotem do koszar. Jutro wymarsz. Był

zdzumiony, że tego rodzaju językiem posługiwał się jego były chlebobawca, człowiek nieskory do gniewu.

– Czemu cię to zdumiewa? – zapytał Aberlott. – Nigdy nie słyszałeś o krucjacie?

- Owszem, słyshałem, ale o żadnej późniejszej niż w dwudziestym trzecim wieku, o ostatniej z wszystkich świętych wojen. Ta bulla, czy jak to nazwać, nie pasuje do kardynała Kucisawego.

- No i nie jest jego dziełem. Ogłosił ją papież Amen H. Może od konklawe zmienił się jego sposób myślenia.

To mi raczej wygląda na dzieło domidomi kardynała Hoydoka. Aberlott zadumał się na chwilę.

- Właściwie czemu nie? Hoydok nie śmiałby wrócić do Miasta Hannegana. Nie ma go tutaj. Musi więc być z papieżem. I któż potrafiłby napisać tekst, który doprowadziłby do większej wściekłości naczelnika i arcybiskupa? Jest teraz zapewne papieskim sekretarzem do spraw Miasta.

Nimmy nie wyzbył się do końca pragnienia, by uciec do Nowej Jerozolimy, do F.drei, lecz ton bulli Scitote Tyrannum bardzo to pragnienie osłabił. Nie był pewny, czy chce pracować dla jej autora.

Wczesnym rankiem następnego dnia większość pozostałej w Valanie ludności wyległa, by patrzeć, jak młodzież podąża konno na Równiny, na wojnę pod dowództwem mamideł z Nowej Jerozolimy. Ci z niższego duchowieństwa, którzy czytali Scitote Tyrannum, przywdziali swe szaty i wyruszyli razem z jeźdźcami. Przed koniem, na którym jechał major Gleaver, kroczył ksiądz z krucyfiksem. Czamoząb podejrzewał, że któryś z kardynałów musiał zorganizować to duchowe wsparcie. Obraz Kościoła sprzymierzonego z pospolitym ruszeniem zapobiegał okazywaniu przez ludność wrogości obcym dowódcom prowadzącym do boju walańską młodzież.

Słońce było już prawie w zenicie, kiedy Gleaver zarządził postój, by wojsko mogło napić się, coś zjeść i nieco odpocząć. Kiedy znowu stanęli w szyku marszowym, Uład posłał Czamozęba na czoło kolumny, gdyż będzie tam potrzebny jako tłumacz. Dopiero teraz, kiedy znaleźli się poza zasięgiem mieszczkańskich uszu, Gleaver skłonny był ujawnić swym nomadzkiemu przewodnikowi kierunek marszu. Ale i tak rozkazał, by nie podawano żadnych bliższych danych ani jego ludziom, ani nomadom, których mogli napotkać – bez względu na to, z jakiej będą hordy.

– Będziemy posuwać się na południowy wschód, aż dotrzemy do rzeki Kensau. Przez jakiś czas pojedziemy nad rzeką, a potem na południowy wschód, jak przedtem. Znowu znajdziemy się nad rzeką w okolicy starych tam koło Tulse, ale będziemy utrzymywać ten kierunek, póki nie znajdziemy się w odległości pół dnia jazdy od teksarkańskiej drogi patrolowej. Z tego miejsca dokonamy rozpoznania i pošlemy patrole, które przenikną na tereny Watchitah.

Czamożab przetłumaczył to nomadzkiemu harcownikowi i Gleaver podjął:

– Kiedy dotrzemy do celu, księżyc będzie znowu w pełni. Nasi bracia z drugiej strony

granicy mogą sprowokować incydenty, żeby odwrócić uwagę patroli, kiedy z naszymi wozami będziemy pokonywać nocą granicę. Jeśli dopisze nam szczęście, uzbroimy ludzi z Doliny bez konieczności toczenia walki. Jeśli jednak przyjdzie nam walczyć, będzie to znaczyło, że Hannegan wiedział o naszym przybyciu. Nie mówcie napotkanym nomadom o celu naszego marszu.

Nomadzcy wojownicy skinęli głowami na znak, że wszystko zrozumieli, ale Czarnożab usłyszał potem, jak rozmawiali między sobą o obserwujących przemarsz bezmacich, którzy regularnie sprzedają taksarkańskim agentom informacje o ruchach Pasikoników. Wiele wody w rzekach upłynie, nim nadejdzie ów ostatni dzień lipca. Karawana wozów eskortowana przez lekko konnych i przemieszczająca się dniami i nocami przez Równiny w stronę Watchitah-OPzarkii nie mogła przemknąć się nie zauważona. Nimmy i nomadzi spodziewali się więc walki, lecz tylko mnich będzie musiał do niej stanąć, zapominając o swej zamkniętej w więzieniu Edrei.

Wszystko układało się według jakiegoś zwariowanego schematu. Tydzień po wyruszeniu z Valany dogonił ich Sorely Nauwhat. Ledwie trzymał się nogach po długiej jeździe, zaraz więc ułożył się do snu w jednym z wozów. Koń, na którym przyjechał, miał wypalony znak nomadzkiej rodziny posłańców, nie ulegało zatem wątpliwości, że goniąc ich, wielokrotnie zmieniał wierzchowca. Czemu właśnie Nauwhat? Dlaczego ta karawana ma tak wielkie znaczenie, że przełożony Sekretariatu musiał za nią

pędzić na złamanie karku? Przedtem Czamożab snuł domysły na temat nieudolnego wymarszu z Valany i podejrzewał, że był to wyłącznie pomysł Chuntara Hadali, a ponieważ został siłą wcielony do wojska, myślał o dezercji. Lecz Nauwhat był w Kurii najbliższym przyjacielem i poplecznikiem Kucisawego. Jego obecność potwierdzała, można by uznać, prawowitość i rozsądną misję. Zresztą wyprawie towarzyszyli Gai-See i Woosho-Loh, a byli to ludzie poza wszelkimi podejrzeniami, jeśli chodzi o wierność Kucisawemu. Pod ich czujnym okiem nie dojdzie do żadnego aktu dezercji.

Kiedy pewnego wczesnego ranka w połowie lipca mijają kardynalski namiot, w ucho wpadły mu strzępy rozmowy między księżętami Kościoła.

– Pokój tak, ale musi to być pokój Chrystusowy! – mówił Hadala.

– Kucisawy kocha pokój, to niewątpliwe – odparł przyjaciel Papieża. – Kocha go tak, że gotów jest zabić każdego, byle ten upragniony pokój osiągnąć.

Czamożab oddalił się czym prędzej, ale być może nie dość szybko, gdyż Sorely Nauwhat zaczął go od tego czasu unikać.

„Santa Librada! Nie widać wolności!”

„Módl się za nami!”

Tej nocy śniła mu się kobieta, której wojna odebrała życie. Była częściowo zagrzebana w zboczu wzgórza usianym kraterami po armatnich pociskach. Z otworu tuż przy piersi wypływał jej powoli strumień gęstej krwi. Połowę jej ciała, wraz z prawą ręką, zasypała osuwająca się ziemia, a lewa ręka leżała swobodna i bezwładna na piasku wśród kamieni. Dotknął tej ręki,

szukając pulsu. Ani śladu, choć rana w boku nadal krwawiła. Wbiegł na piasek między kamienie i zsunął się z rozpędu jakieś dziesięć stóp. Oderwał kawał swej sukni i próbował zatamować krew, chociaż jednak liczył do tysiąca, przyciskając mocno szmatę, krew płynęła swobodnie. Chciał ją wykopać, lecz poruszył jakiś stojący w stanie chwiejnej równowagi kamień, jej ciało przesunęło się i z góry jęły się toczyć skalne odłamy, jakby osunęło się jeszcze nie wszystko, co powinno się osunąć. Wkrótce stało się jasne, iż krew płynie coraz obficie, i Czarnożab zdał sobie sprawę, że to nie jej krew, lecz inna, tryskająca z głębi osuwiska. Ta krew

utrzymywała ją jednak przy życiu. Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na niego.

Przez chwilę widział Tidreę. Uniosła lewą rękę w stronę jego twarzy i zobaczył rozdarłe, broczące krwią wnętrze dłoni.

Tengo ojos, no me miren.

Tengo manos, no me tapen.

Była to teraz złożona z krzyża Santa Librada.

Cofnął się z przerażeniem. Syknęła, poczerwieniała i spróbowała go ukąsić. Była narzeczoną Kucisawego, Sępem Wojny. Okrył go jakiś cień i podniósł głowę. Nad nim stał Elia Kucisawy, ubrany w białe szaty i z tiarą na głowie. Pokropił kobietę święconą wodą, a ta zaczęła skomleć w udreće.

Czarnoząb zawsze miał niespokojne sny, kiedy spał pod rozgwieżdżonym niebem.

Rozdział 23

„Zresztą w każdym okresie trzeba tak ustalać pory posiłków, czy to kolacji, czy obiadu, aby wszystko za dnia się odbywało”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział XLI

Cesarz pracował w nadgodzinach jako uczony. Z pomocą młodego profesora nauk politycznych, także chętnie czytanego autora, napisał książkę. Tę właśnie książkę Kucisawy posłał, czemu trudno się dziwić, Świętemu Oficjum, gdy tylko ją zobaczył. Święte Oficjum, jak należało się spodziewać, wpisało ją do Index Librorum Prohibitorum, choć była opatrzona imprimatur kardynała arcybiskupa Teksarku i wstępem napisanym przez mnicha od Świętego Leibowitza. Mnich ten zgadzał się – ze szkodą dla swej kariery – z cesarskim naczelnikiem w tym, że Magna Civitas może być odbudowana tylko przez świecką naukę i przedsiębiorczość, którym laickie państwo zapewni obronę przed oporem i wrogością

religii. Książka była tak jawnie grzeszna, że Święte Oficjum uznało, iż wskazywanie i komentowanie na piśmie jej błędów jest rzeczą zbędną. Wpisano ją więc na indeks w dziale „antyklerykalizm”. Sam autor był już tak dokładnie obłożony anatemami, że dalsze klątwy wiecznego Rzymu robiły zaiste wrażenie małosłownych.

Filipeo był jednak uczonym i wśród wielu jego dokonań znalazło się kilka odtworzonych utworów muzycznych, między innymi jeden, miejscowego pochodzenia, który byłby jak najodpowiedniejszy na nowy hymn narodowy Cesarstwa. Opublikował go w swojej książce. Melodia stała się już powszechnie znana. Dawne słowa były napisane po angielsku, ale tłumaczenie na OPzark odznaczało się doskonałym wyczuciem rytmu. Początek był następujący: „Spojrzenie Teksarku na tobie spoczęło”. Naczelnik chciał, by jego poddani czuli, że ma się ich na oku.

Każdy ksiądz w Cesarstwie, który przeczytał z ambony wzywającą do krucjaty bullę Scitote Tyrannum albo publicznie przestrzegał interdyktu, jakim papież obłożył Kościół teksarkański – a takich było tylko trzynastu – został aresztowany i oskarżony o bunt. Dwaj biskupi, którzy zgodnie z literą bulli zawiesili w swoich diecezjach odprawianie mszy i słuchanie spowiedzi, dołączyli do tamtej trzynastki. W sześciu czy siedmiu parafiach w Cesarstwie życie religijne toczyło się jednak tak, jakby Amen II nie zabierał głosu. Po kilku dziesięcioleciach papieża na wygnaniu mieszkańcy Miasta Hannegana i nawet Nowego Rzymu nie widzieli już w papieżu uczestnika swojego rzeczywistego życia. Przebywał daleko, a jego gniew był jak gra aktora na scenie, tyle że ludzie czytali recenzje, a nigdy nie oglądali sztuki. Dzięki środkom masowego przekazu – przede wszystkim gazetom, gdyż linia telegraficzna prowadząca na zachód została przerwana – wiedzieli, co się dzieje, nie można jednak zapominać, iż autorzy doniesień okazywali wielką uległość absolutnemu władcy państwa.

W tej sytuacji Scitote Tyrannum – bez względu na to, jak wiążąca w niebiesiech – była najmniejszą z ziemskich trosk Filipeo Harqa. Wojska antypapieża ruszają na wojnę i ów antypapież użył skarbów Kościoła, by uzbroić dzikich nomadów w najnowocześniejszą broń, która posłuży im do walki z cywilizacją. Filipeo zawsze mówił o Kucisawym jako o anypapieżu, choć przecież nie

było papieża-rywala. Filipeo dążył do odbudowania Magna Civitas, natomiast Kucisawy temu się przeciwstawiał. Tak prosto wyglądała sprawa z punktu widzenia Hannegana. Kucisawy był dniem wczorajszym walczącym z jutrzejszym. Uzbroił barbarzyńców i wkrótce pośle ich do walki ze świętymi miejscami cywilizacji, może nawet przeciwko samemu Miastu Hannegana.

Filipeo był przekonany, że zdoła obronić miasto, póki nie dotrze nowa broń palna, potem zaś jego wojska zepchną mamidła z powrotem w góry Ssamieyto, Hordę Dzikich Królików na Południowo-Zachodnią Pustynię, Dzikie Psy na północ od rzeki Mizerii, a Pasikoników na dawne obszary Dzikich Psów, zmuszając w ten sposób północne hordy do walki o przestrzeń życiową.

Cesarski naczelnik miał nadzieję, że uda mu się przeciągnąć wykrotników na swoją stronę, i posłał byłego pirata, by ich zwerbował. Admirał e'Fondolai obiecał im, że po zwycięstwie dostaną tereny należące do Pasikoników. Myśl o tym najpierw niesłychanie rozbawiła Filipeo, ale potem przemyślał sprawę i uznał, że jeśli będzie to tylko możliwe, dotrzyma pochopnej obietnicy Carpy'ego. Jeżeli bezmaci poślubią farmerskie kobiety i dostaną dość ziemi, zaczną hodować całkowicie oswojone bydło, osiądą na stałe i będą handlować z farmerami i mieszkańcami. W takich okolicznościach powstanie społeczeństwo zupełnie niepodobne do hord. Tabu dotyczące chwytania dzikich koni pójdzie zapewne w zapomnienie, kiedy zabraknie Weejus, które je narzucały, a osiadli już bezmaci nie przywrócą prawdopodobnie obowiązującego wśród nomadów dziedziczenia po kądzieli. Staną się posiadaczami i będą bronić swych dóbr. Naczelnik uroił sobie, że po jego niechybnej wiktorii Pasikoniki, Dzikie Psy i bezmaci będą między sobą walczyć, natomiast Dzikie Króliki rozproszą się poza terenami pustynnymi. Będzie się ich wyłapywać i zmuszać do pracy w zniszczonych wskutek wojny posiadłościach.

Filipeo był więc bardzo zadowolony ze swojego admirała, ale znacznie mniej z generała.

Kiedy generał Goldaem udał się na uniwersytet i zażądał od thona Hilberta współpracy przy szkoleniu żołnierzy w zatrutowaniu studni w Prowincji i zarażaniu bydła nowymi epidemiami, ten odmówił. Generał Goldaem udał się do Biura Wojny i zażądał

powołania go do wojska w randze szeregowego. Potem rozkazał prowadzić szkolenia. Hilbert przeklął osobiście generała, a potem monarchę. Generał wtrącił go więc do więzienia pod zarzutem buntu. Hannegan wezwał generała, zwolnił go, przenosząc w stan spoczynku ze zmniejszoną do połowy pensją. Następnie powierzył realizację planu admirałowi eFondolaiowi, alias Carpiosa Zbój. Ponieważ uniwersytecki asystent Hilberta nie miał nic przeciwko uczeniu żołnierzy wszystkiego, czego się odeń zażąda, Hilbert pozostał w więzieniu, póki nie zdecyduje się prosić Hannegana o wybaczenie. Na razie jednak taka prośba nie nadeszła.

Trzy miesiące po zwolnieniu generała Goldaema Filipeo przypatrywał się z uczuciem satysfakcji, jak wzorowa jednostka uderzeniowa admirała eTondolai defiluje przed jego trybuną, prowadzona przez dosiadającego rumaka Carpiosa Zbojca. Cesarski naczelnik nigdy nie widział takiej zgrai bandziorów poza dziedzińcem więziennym. Byli uzbrojeni w parę tuzinów dostarczonej już przez rusznikarzy broni palnej. Była to nie lada inwestycja i Filipeo z początku odnosił się do niej bez szczególnego zapału. Carpios Zbój przekonał go jednak, że siła ognia ma kluczowe znaczenie dla oddziałów szturmowych, i cesarz zgodził się w końcu powierzyć najnowocześniejszą broń odzianym w wilcze futra i przeżutą skórę łotrom. Patrzył teraz, jak maszerują pod sztandarem z wizerunkiem ptaka pieczonego na rożnie. Ptak był naznaczony używanym przez Weejus symbolem Sępa Wojny oraz skrzyżowanymi kluczami. Filipeo roześmiał się na głos z tego świętokradztwa, wezwał starego pirata na trybunę i nagroził go starodawnym tytułem Najwyższego Vaquero Równin. Hanneganowie rościli sobie prawa do tego tytułu jeszcze w swych czasach nomadzkich, aczkolwiek poszedł on w zapomnienie, kiedy Hanneganowi IV zdarzyło się spaść z konia.

Filipeo bawił się częściowo kosztem Carpiosa, gdyż widok brodatego pirata, ubranego w biały admirałski mundur i podążającego konno na czele trzystu nie znających mydła łotrów w dzikopsich skórach, był doprawdy śmieszny. Po zakończeniu defilady Filipeo nie tylko nadał mu tytuł Vaquero, ale także awansował go do stopnia marszałka polnego. „Możesz teraz sam wybrać sobie mundur” – tak ujął to cesarz. Postarał się, by stary wilk

morski wiedział, że po zakończeniu prac nad projektem zostanie naczelnym wodzem sił teksarkańskich. Wielkie Równiny mają w sobie coś oceanicznego. Admirał też to wyczuwał i z entuzjazmem patrzył na coraz wyraźniej rysującą się perspektywę wojny.

Nie istniała żadna jasno określona wojskowa doktryna teksarkańska, jeśli chodzi o prowadzenie wojny z nomadami – w każdym razie od upadku Hannegana IV z konia – i zadaniem admirała było jak najszybsze jej opracowanie. Równiny przypominały ocean pod tym względem, że nie było się gdzie na nich ukryć ani zająć naturalnego stanowiska obronnego. Większość obszaru położonego na zachód od ostatnich skrawków lasu była jednakowo dostępna ze wszystkich stron, a przez to tak samo niegościnna jak wzburzone morze. Bitwa kawaleryjska przypominała walkę dwóch okrętów wojennych, była krótka, zaciekała i tylko jedna strona pozostawała przy życiu.

Admirał trzy razy odwiedził thona Hilberta w więzieniu. Zawiadomił o tych wizytach władcę i wskazał ich oczywisty cel. Obiecał, że zda sprawę z ostatecznych rezultatów swych zabiegów, ale odmówił podawania bieżących informacji. Strażnik więzienny doniósł Filipeo Harqowi, że podczas trzeciej wizyty admirała grali w stare zarkańskie szachy i rozmawiali wyłącznie o grze. Z tych spotkań nic nie wynikło, ale Carpy chciał, by naczelnik mimo to zwolnił profesora. Filipeo odmówił. Prośba o wybaczenie nie jest mu do niczego potrzebna, ale i tak Hilbert będzie siedział w więzieniu, póki współpraca uniwersytetu z wojskiem nie będzie zadowolająca.

– Choroba opracowana przez thona Hilberta powstrzymuje ich na południu – oznajmił marszałek polny. – Było też kilka przypadków w armii Kucisawego, lecz charakteru epidemii nabrała tylko w Prowincji. Z powodu zarazy buntownicy, mamidła i Dzikie Króliki tracą w tej chwili wojenny impet. Wkrótce będziemy mogli ruszyć do kontrataku.

– Czy nie było żadnych przypadków choroby w naszych szeregach?

– Nie. Wystarczy, że piją codziennie antidotum Hilberta. Ma paskudny smak i nie są tym zachwyceni. Obowiązuje jednak rozkaz, że każdy żołnierz, który zachoruje na chorobę Hilberta będzie

rozstrzelany na miejscu. Jako powód podaliśmy niebezpieczeństwo szerzenia się zarazy.

Naczelnik poruszył się niespokojnie na krześle.

– To chyba zbędne okrucieństwo.

– To prawda, gdyby była konieczność takiego postępowania. Groźba ma zapobiec zarazie. Mamy pewność, że ludzie będą pić antidotum.

Pies Wojny to gwiazdozbiór na nomadzkim niebie, ale także mityczny ulubieniec Pana Puste Niebo. Starodawny bohater poprowadził nawet dzikie psy do bitwy z królem farmerów. Nomadowie zawsze korzystali z okazji, żeby rzucić swoje psy przeciwko nieprzyjacielowi, lecz bitwa stoczona przez Puste Niebo była jedyna w swoim rodzaju, gdyż jego psy był dzikimi psami i przez to starszyzna spośród suk Weejus wybrała Puste Niebo na szarfa Hordy Dzikich Psów, choć jego siostra uważała, że psy były po prostu wierne Qcesach dri Vordar, któremu należna jest wszelka wierność. Fakt, że Horda Dzikich Psów wybrała go jako własnego rywala człowieka szarfa Dzikich Psów, sugerował, iż stanowisko to pełni zwykle pies. Zgodnie natomiast z przekonaniem Pasikoników ten pies ma prawo zarówno do wierności ze strony człowieka Dzikich Psów, jak i do młodych dzikopsich kobiet. To przekonanie prowadziło czasem do walk między rywalizującymi gromadami poganiaczy z północnych hord.

Pies Wojny był jednak nadal dla nomadów mityczną rzeczywistością i Pływny Łoś zaczął swoje panowanie jako szarf od wydania rozkazu, by powrócono do szkolenia szturmowych psów, które towarzyszą jeźdźcom w bitwie z pieszym wrogiem, i wyłączność na to szkolenie przyznał rodzinie żony swego biegłego akurat w tym rzemiośle brata, Koziego Wichru. Kozie Wicher przekonał wszystkich wyrostków ze swego licznego rodu, by organizowali grupy napadające na legowiska dzikich suk i kradnące szczenięta. Troskę o te ostatnie powierzył swojej siostrze, dodając do tego jeden zakaz dotyczący zabijania suczek poza przypadkami obrony koniecznej i drugi dotyczący porwania szczeniąt, które nie ukończyły szóstego tygodnia życia.

Część Weejus utrzymywała, że kradzież dzikich szczeniąt jest takim samym występkiem jak kradzież dzikich źrebiąt, lecz siostra

Eltiira spytała je wzgardliwie: „Kogóż tym znieważamy? Hongin Fujce Vurn nie jest Dzikosuczą. Psy należą do Pustego Nieba, którego głosem przemawia szarf. Przecież nie karzemy nawet bezmacich za zjadanie upieczonych dzikich szczeniąt”.

Diable Światło żądał pierwszych rezultatów za dwa miesiące, więc Kozi Wicher brał każdego psa, który miał jakiekolwiek doświadczenie w towarzyszeniu jeźdźcowi. Choć zbliżał się dopiero koniec lipca, rezultaty były już teraz widoczne. Trzydziestu pięciu wojowników, którzy sami się zgłosili, otrzymało trzydzieści pięć psów towarzyszących i trwało intensywne szkolenie osiemdziesięciu jeden szczeniaków.

Nie było możliwości poddania ich próbie podczas zdarzających się czasem potyczek z teksarkańską jazdą, gdyż psy nie mogły walczyć po jednej stronie, kiedy walczyły ze sobą dwa oddziały konne. Ich zadaniem było wspierać jazdę podczas ataku na piechotę, ponieważ zaś wojny nomadzkie były zazwyczaj ceremonialnymi starciami między hordami, od czasów Hpngana Osa nie było powodu, by ponosić wydatki na utrzymywanie wojennej zgrai – póki Eltiir nie zaczął snuć planów o bitwie z pieszymi wojskami Hannegana. Duch wojennej jedności psa, człowieka i konia nie zanikł jednak w plemionach i inicjatywa Diabego Światła natychmiast spotkała się z odzewem. Błogosławieństwo Pustego Nieba dodawało blasku jego przywództwu. Ale pierwszy lepszy mówiący po nomadzku agent Teksarku – a przynajmniej jeden taki musiał między nimi być – wiedział, że psy wojny nadają się tylko do walki z piechotą, na przykład z siłami obronnymi Cesarstwa. Będą potrzebne po wtargnięciu na tereny należące do Teksarku.

Jego bratu Dobrotliwemu Światłu przydałyby się psy, kiedy przedarł się przez teksarkańskie posterunki graniczne i ruszył w stronę Nowego Rzymu. Gdyby je miał, straciłby dwa razy mniej ludzi. Jeżeli człowiek stapał się w jedno z psem i koniem, który zmieniał się wówczas w ducha zgrai, pies stawał się śmiertelnie groźną bronią. Człowiek upodabniał się do konia i psa, koń zaś i pies upodabniały się do człowieka i do siebie wzajemnie. Było to zespolenie duchowe, lecz zapewne jedynym obcym, który to dostrzegł, był stary chrześcijański szaman Dzikich Psów, ksiądz Ombroz. Eltiir podziwiał go, chociaż ubolewał jednocześnie nad jego

wpływem na dzikopsich szamanów. Epifania jedności człowieka z koniem i psem była, jeśli się jej doświadczyło, nomadzkim sakramentem. Tak uważał Ombroz. Natomiast monsignor Sanual nazwał to „zwierzęcą formą diabelskiego opętania”, ale Eltiir uznał tę uwagę za pochlebną.

Sprawa Psów Wojny przyczyniła się do uratowania Chuntara kardynała Hadali i jego oficerów od śmierci z rąk wojennej grupy Pasikoników. Temat poruszono podczas narady, którą zwołano, kiedy wieść o inwazji dokonanej przez Hadalę dotarła po raz pierwszy do przywódców Pasikoników. Diabelskie Światło zsiniał ze złości i był gotów rzucić się bez zwłoki do ataku na wojska kardynała. Ze względu na taktykę negocjacji dla szarfa Pasikoników zawsze korzystnie było zająć podczas narady twardsze stanowisko, niż zechcą, jak się spodziewał, zaaprobować pramatki. Kiedy jednak Eltiir zaproponował, że zabije Hadalę i każdego, kto sprzeciwi się przejściu wozu należącego do pospolitego ruszenia, własna siostra wykorzystwała przeciwko niemu sprawę Psów Wojny.

– To jawna zdrada, siostró – oświadczył Diabło Światło i natychmiast zaczął wrzeszczeć: – Plan Kucisawego przewidywał atak mamideł z Ssamieto na Prowincję, a wschodnich sprzymierzeńców na drugi brzeg Rzeki Wielkiej. Pasikoniki miały siedzieć cicho, póki Hannegan nie pošle zagrażających nam sił na pomoc swoim sojusznikom. A teraz ta armia farmerskich błaznów z Valany wędruje z bronią do Doliny Genoków! Wyobrażają sobie, że Filipeo nie dowie się o tym? Każdy jeden z bezmacich grasujących po terenach południowych widział już ich i próbował sprzedać tę informację Teksarkowi. I pierwszy z nich z pewnością został wynagrodzony.

– To prawda – powiedziała w zamyśleniu jego siostra – i zastanawiam się, czy odpowiednie wynagrodzenie dostał ten bezmaci, który doniósł Teksarkowi o twoich psach wojennych. I czy te psy zachęca Hannegana do osłabienia stojących naprzeciwko nas sił. Nie, nie uważam, by sprawiedliwość Pasikoników wymagała zabicia głupców. Wymaga za to, żeby zawrócili. Powinieneś dać im wybór: albo odejdą stąd ze swoją bronią, albo wydadzą ją tobie. I takie jest jednomyślne zdanie Weejus, dostojny szarfie.

Diabło Światło pozwolił, by jego bitewna wściekłość opadła, jak zwykle działa się, kiedy Weejus zajmowały jednomyślne stanowisko, jeśli nie było żadnego sprzeciwu ze strony Ducha Niedźwiedzia. Po naradzie Bram wziął osiemdziesięciu wojowników i poprowadził ich na południe z odchyleniem wschodnim, by dopaść konne pospolite ruszenie mieszczan z gór. Jego ludzie wzięli nowe pięciostrzałowce i tradycyjne włócznie, ale Eltiir rozkazał zabrać też dziesięć powtarzalnych strzelb, żeby strzelać z nich z daleka do oficerów, jeśli ludzie z miasta spróbują oporu.

Potem przystąpił do działania, które odmieniło bieg wojny. Posłał po Czarne Oczy, wojownika, który dostał się do niewoli podczas wypadu Hultora. W więzieniu spotkał kardynała Kucisawego. Zwolniono go miesiąc później, żeby przekazał swojej hordzie pismo od Filipeo. Zarówno Diabło Światło, jak i cesarz, wiedzieli, że Czarne Oczy jest podwójnym agentem, ale właśnie w tej roli mógł być dla obu użyteczny.

– Powiedz tym, z którymi się kontaktujesz, o wyprawie Hadali – rzekł szarf. – Będą mogli przygotować się na tym terenie do obrony. I powiedz, że wyjawiasz to z mojego rozkazu. A jeśli zapytają, dlaczego to robię, wyjaśnij, że zależy mi na przerwaniu walk między Pasikonikami i Teksarkiem.

Farmerzy będą zadowoleni – parsknął śmiechem Czarne Oczy i natychmiast ruszył w stronę granicy. Diabło Światło nie odwracał bynajmniej w ten sposób sojuszy, gdyż nie był w głębi serca przekonany do oskarżeń, jakimi sam obrzucił papieża, chociaż bowiem tylko Kucisawy był wystarczająco szalony, żeby podjąć takie przedsięwzięcie, miał przecież bardzo dobrych doradców od spraw nomadzkich. Niektórych posłał mu Święty Szał, władarz Hord. A poza tym Eltiir miał wysokie mniemanie o jednym z papieskich sekretarzy, o nomadzkim tłumaczu-mnichu, Nyindenie, który mówił również po pasikońsku. Żaden z tych doradców nie dopuściłby do tego, by Kucisawy łudził się, iż wkroczenie Chuntara Hadali na terytorium nomadzkie będzie do przyjęcia dla Pasikoników, nawet jeśli na pierwszy rzut oka nie wydawało się to głupie z wojskowego punktu widzenia. Po opadnięciu pierwszego wojowniczego porywu na wieść o przejeździe Hadali Diabło Światło spodziewał się, że jednak jego oddziałek stanie do walki – nie z

oficjalnymi zastępami krzyżowców posłanych przez papieża, ale ze zbieraniną, pchniętą na szaleńczą wyprawę przez ludzi niższej rangi.

Kiedy Kucisawy po raz pierwszy dowiedział się o misji Hadali, sam gotów był wykrzyknąć „Zdrada!” i jego gniew obrócił się przeciw następcy stojącemu na czele Sekretariatu do Nadzwyczajnych Spraw Kościoła. Papieżowi nie przychodził do głowy żaden powód, dla którego Sorely Nauwhat byłby gotów go zdradzić albo sprzyjać szaleńczemu planowi uzbrojenia i wsparcia takich wątpliwych sprzymierzeńców, jak trzoda Hadalowych genoków z Doliny. Tym bardziej, że prawdopodobnie trzeba by za to zapłacić umocnieniem swej zachodniej granicy przez Teksark. Hadala oszalał, służąc swoim owieczkom – uznał papież. Zapewne rozumował tak: „Skoro Kucisawy może uzbroić nomadów, ja uzbroję prawdziwe dzieci Papieża – nie żadne mamidła z Ssamieto, ale genoków z Watchitah i Ol' zarku”. Papież potrafił pojąć, że Hadala tak miłuje swój lud, ale tego, że Nauwhat współuczestniczy w tak żalnym przedsięwzięciu – nie.

Myśl, że stary przyjaciel Nauwhat przeszedł po prostu na stronę wroga, nie przyszła Kucisawemu do głowy, póki nie podsunął mu jej Abrahama kardynał diakon Linkono, nowojerozolimski nauczyciel, który dołączył do Kurii, ponieważ wiedział wszystko o narodzie goszczącym w tej chwili papieża.

– Czym mógłby Filipeo Harq skusić Sorely Nauwhata do zdrady?
– dziwił się Amen II.

– Może papieską tiarą? – domyślał się nauczyciel.

Spekulacje Linkona skłoniły Kucisawego do wysłania bez zwłoki pisma do Valany, w którym rozkazał, by kardynał Nauwhat i brat od Świętego Jerzego stawili się natychmiast przed jego obliczem. Wzywając także Czamożęba, papież miał nadzieję rozproszyć podejrzenia w przypadku, gdyby Sorely był naprawdę winny. Po dwóch tygodniach posłaniec wrócił jednak z nowiną, że Czamożęb wyruszył z valańskim pospolitym ruszeniem i że wkrótce potem zniknął też Nauwhat. Ta wieść wprowadziła Kucisawego w przygnębienie. Wezwał swoich nomadzkich posłańców i polecił jednemu z nich, by ruszył za Hadalowym pospolitym ruszeniem i przekazał rozkaz zawrócenia. Innemu dał pełnomocnictwa przedstawiciela Kurii i kazał aresztować Nauwhata natychmiast po

odnalezieniu na nomadzkim terytorium, a także Hadali, jeżeli ten nie zechce wykonać rozkazu i zawrócić. Trzeciemu polecił, nie chcąc zrażać do siebie Diablego Światła, zapewnić szarfa Pasikoników, że wyprawa Hadali jest samowolna.

Nomadzkie rodziny pełniące funkcję posłańców, zarówno dzikopsie, jak i pasikońskie, miały na Wyżynie przez dziesięciolecia wyłączność na przekazywanie pakietów kurierskich między Valaną a Nowym Rzymem. Ci ludzie mieli stałe obozy i właśnie z powodu tych nienomadzkich praktyk nie cieszyli się poważaniem w swoich hordach. Wojownicy prosili szyderczym tonem o pokazanie „warzywnych grządek”. Zarabiali jednak dobrze i pieniądze wydawali na zakup koni od ludzi z zewnątrz, uwalniając się dzięki temu od rodzinnych zobowiązań, jakie spadały na kupującego i sprzedającego, jeśli sprzedającym była nomadzka kobieta od kłaczy. Kucisawy zawsze korzystał z usług tych sztafetowych rodzin, kiedy chciał się skontaktować z szarfami i wodzami plemiennymi. Teraz utrzymywały dla niego łączność z Qcesach dri V\$rdar i zachęcał je do założenia stacji etapowych na północ od Rzeki Mizerii i daleko poza zasięgiem teksarkańskich patroli. Wysłał już listy do króla Tenesi i kilku innych władców po drugiej stronie Rzeki Wielkiej i teraz czekał na wieści z frontu.

Do Nowej Jerozolimy wziął ze sobą dwóch Dzikich Psów i dwóch jeźdźców Pasikoników, by utworzyć filię służby sztafetowej. Otworzyły mu się nagle oczy i zrozumiał, że Hadala i Nauwhat go zdradzili. Potrzebował od razu trzech posłańców. Jednemu z jeźdźców pasikońskich wręczył pismo do Diablej Światłości. „Upoważniał” w nim Brama do wykonania papieskiego nakazu aresztowania dwóch ksiąząt Kościoła na swoim terytorium i do zapewnienia zatrzymanym ludzkich warunków w więzieniu.

Pasikonik, zapominając na chwilę, że papież rozumie jego dialekt, powiedział do swojego krewniaka:

– Nasz szarf z pewnością doceni to, że będzie miał na swoim terenie nowe uprawnienia.

– Twoja rodzina musi przysłać nam kogoś mniej skłonnego do popisywania się ironią – odparował Amen II w znośnym pasikońskim. – List możesz przekazać jutro na najbliższej dzikopsiej stacji etapowej. Potem zechciej udać się do siebie, do krainy

wysokiej trawy. Kiedy się tam znajdziesz, niechaj rodzina przyśle mi innego posłańca.

Odwrócił wzrok od tamtego i powiedział do jeźdźca dzikopsiego:

– Możesz dotrzeć do siebie jutro i stamtąd przekazać dalej mój list Hadali. W ten sposób szybciej doń dotrze. Nie możemy dać Dzikiemu Psu władzy aresztowania na obszarze pasikońskim. Udzielamy ci jednak pełnomocnictwa do aresztowania go wszędzie poza nim. Wyznaczę za niego nagrodę. Rozgłoś to.

Teraz zwrócił się do drugiego z Pasikoników:

– Musisz ścigać Hadalę do samej OPzarkii, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. Wręczysz mu kopię tego samego pisma. Jeżeli w momencie, kiedy go dościgniesz, nie będzie jeszcze wracał

do Valany, przeczytaj jego ludziom paragraf siódmy. Nakłada ekskomunikę na każdego, kto natychmiast go nie opuści. Musisz mieć przy sobie broń, lecz postaraj się o wsparcie swojego szarfa, kiedy będziesz aresztował Hadalę.

Następnie spojrzął znacząco na tego, który pozwolił sobie na ironiczną uwagę.

– Kiedy masz do czynienia z człowiekiem, który może wziąć prawo w swe ręce, nie pytając cię o zdanie, najlepiej uczynisz oszczędzając sobie kłopotu i powierzając mu to prawo z własnej woli.

Ponieważ posłaniec był i tak już zwolniony, odparł zuchwale:

– A jednak, Wasza Świątobliwość, znajdziesz się w niezręcznej sytuacji, kiedy powtórzę twoje słowa szarfowi Eltirowi.

Kucisawy spiorunował go najpierw wzrokiem, a po chwili wybuchnął śmiechem.

– No dobrze, możesz wrócić, kiedy oddasz na stacji etapowej pismo do Brama. Prędzej czy później przyda się nam zuchwały jeździec z talentem do szantażu.

Pramatka Pasikoników wychowywała zuchwałe źrebięta i równie zuchwałych młodzieńców.

– Może wróć, a może nie – odparł posłaniec.

Zbrojna grupa Chuntara Hadali mimo obciążenia karawaną wozów z amunicją posuwała się szybciej, niż się ktokolwiek spodziewał. W ostatnich dniach lipca księżyc znowu zbliżał się do

pełni, kiedy jednak zachodził przed świtem i świat okrywał mrok, Czamożab widział na wschodnim horyzencie odległe punkciki. Miał wrażenie, że to ogniska. Czyżby farmerzy podsycali ogień przez całą noc? Nimmy wiedział, że dwudziestego ósmego dnia lipca dogonił ich posłaniec z pismem dla kardynała Hadali. Sprawiał wrażenie zdumionego obecnością kardynała Nauwhata. Co prawda, kardynał sekretarz opuścił Valanę dwa dni po nich, i to nocą, nikt z miasta nie mógł więc mieć pewności, w którą stronę się udał. Posłaniec zawrócił, ale skutek pisma, jakie otrzymał Hadala, był taki, że nakazano forsowny marsz. Nie zatrzymali się przed północą.

Następnego ranka słońce wzniosło się nad odległe wzgórza, na których Nimmy widział w nocy światła. Po drugiej ich stronie rozciąga się obszar osadnictwa genoków, Dolina. Po zjedzeniu w pośpiechu składającego się z sucharów i herbaty śniadania policja wyruszyła w tamtą stronę.

Dwa dni później, pod wieczór, dopadł ich od zachodu szarf Pasikoników z oddziałem zbrojnych. Pospolite ruszenie rozbiło już namioty na noc. Po odbyciu narady z kardynałami major Gleaver rozkazał ustawić wozy w szyku obronnym, a żołnierzom schować się w oczekiwaniu na atak.

– To jakieś szaleństwo, Nimmy – powiedział Aberlott. – Przecież są naszymi sprzymierzeńcami.

– Nie wykonuj rozkazu strzelania. Porozmawiam z nimi.

Czamożab opuścił pozycję i poszedł na spotkanie pasikońskich wojowników. Słyszał, jak major Gleaver wrzeszczy, żeby wracał, i przystanął raz, kiedy jeden z nomadów wycelował do niego ze strzelby. Diabeł Światło powiedział coś do wojownika i ten opuścił strzelbę. Szarf rozpoznał mnicha i skinął na niego ręką.

Pocisk zarył się w ziemię koło stóp Czamożęba, który chwilę potem usłyszał odgłos repetowania. Nomada, który przed chwilą do niego celował, podniósł strzelbę i odpowiedział ogniem. Nimmy obejrzał się w momencie, kiedy jeden z poruczników stojących koło Gleavera wypuścił z dłoni rewolwer i padł na ziemię.

– Na Boga! Przestańcie strzelać, idioci! – wrzasnął Nimmy.

– Staniesz przed sądem i powieszę cię! – odwrzasnął major.

Za Gleaverem stał z posępną miną Chuntar Hadala.

Szarf Bram przystanął tuż za zasięgiem strzelb i czekał na mnicha.

– Pamiętasz mnie? – spytał Czamożab.

Bram skinął głową.

– Ale co człowiek papieża robi wśród tych ludzi?

– Nie jestem już sługą papieża. Mój pan wyjechał z Valany beze mnie.

– Tak, słyszałem o tym. Odprowadziłem go na południe, gdzie spotkał się z Dionem. Myślał, że go opuściłeś. Czy tak?

– Nie z rozmysłem. Nie było mnie w mieście, kiedy Pałac wyleciał w powietrze. Kiedy wróciłem, papieża już nie było, a mnie wcielono siłą do pospolitego ruszenia.

– Zdaje się, że nie znasz nowin?

– Jakich nowin, szarfie Bramie?

Diable Światło, który nie umiał czytać, podał mnichowi pismo. Czamożab czytał z narastającym przerażeniem, potem spojrział na Eltiira, a wreszcie przeniósł wzrok na kardynałów.

– Pewnie to samo pismo otrzymał Hadala.

– Powiesz mu, co tu jest napisane, i zadasz pytanie. Potem powiesz mu też, że jeśli pojedzie dalej na wschód sam, nie aresztuję go.

– Sam? Nie rozumiem. A kardynał Nauwhat?

Tym razem Eltiir był zdumiony.

– Jest z nimi? Mogą więc pojechać na wschód razem. Reszta z was musi zostać.

– Nie pojmuję. Wygląda na to, że spodziewają się twojego ataku.

– Spodziewają się, że ich aresztuję. Czyż nie to właśnie jest w piśmie? Nie wiedzą jednak, że pchnąłem już posłańca do teksarkańskiej straży granicznej. Wróg wie, że nadciągacie, i wie z czym. Hadala ma tylko jeden sposób, żeby strzelby nie wpadły w ręce Hannegana: musi oddać je nam. I jeden tylko sposób ucieczki przede mną: oddać się w ręce straży granicznej. Potem reszta z was wróci do domu. Przypomnij im, co Hpngan Osie Chiir zrobił Esittowi Loyte. To samo możemy zrobić im, jeśli będziemy musieli ich aresztować.

W liście, który przeczytał Czamożab, nie było nic o oddawaniu kardynałów Hanneganowi, uznał jednak, że lepiej się nie spierać.

Kiedy wrócił do obozu, wszyscy wpatrywali się w niego, a Uład czekał już, żeby go pochwycić. Mnich w ostatniej chwili zmienił kierunek, tak że między nim a sierżantem-mamidłem znalazła się grupa rekrutów. Zwrócił się do Aberlotta i powiedział szybko:

– Szarf dostał od papieża rozkaz aresztowania kardynałów. Jeśli będziemy stawiali opór, czeka nas ekskomunika. A nieprzyjaciel jest już gotów na nasze przyjęcie, gdyż Bram zawiadomił go o naszym przybyciu. Powiedz to ludziom, a przede wszystkim Gai-See i Woosoh-Lohowi. Niechaj się modlą, i to tak, żeby widział ich Hadala.

Chciał dotrzeć do kardynałów, zanim dopadnie go Uład, ale olbrzym był szybszy. Unieruchomił głowę mnicha pod swym ramieniem i rzucił go na kolana. Sorely Nauwhat od chwili dołączenia do wyprawy unikał Czarnozęba jak ognia i teraz też czym prędzej się oddalił. Chunta Hadala pochylił się nad mnichem. Sam był genokiem i miał skórę usianą jaśniejszymi i ciemniejszymi brunatnymi cętkami – często spotykana mutacja – lecz mimo to był przystojnym mężczyzną z kocią bródką i długimi, niegdyś złocistymi wąsami.

– A teraz, braciszku, opowiedz nam o swej rozmowie z nomadzkim panem wojny – powiedział wikariusz apostolski w Państwie Watchitah.

– Nie każesz zastrzelić, Eminencjo, posłańca?

– Nikt nie wyznaczył cię na posłańca! – warknął kardynał. – A major już mógł to zrobić. Masz wyjawic, czegoś się dowiedział.

– Czy widziałeś tej nocy ogniska, panie mój?

– Tak. to mój lud daje znaki. Wiedzą, że tu jesteśmy.

– Wie też Teksark. Szarf zawiadomił ich o naszym przybyciu. Te ogniska rozpałała teksarkańska jazda.

Jaśniejsze cętki na skórze kardynała nagle zbiały.

– Są ponoć naszymi sprzymierzeńcami! – sapnął. – Dlaczego sprzedał nas wrogom?

Czamożab, przestraszony niebezpieczeństwem, jakie zawisło nad jego głową, postanowił nie wspominać bezpośrednio o piśmie papieskim. Przecież Hadala i tak ma jego kopię.

– Powiedział, że nie aresztuje cię, panie, ani kardynała Nauwhata, jeśli poddacie się wojskom Teksarku – odezwał się po

chwili. – Wszystkim pozostałym rozkazuje, by oddali mu broń i opuścili jego kraj.

– Pójdiesz tam i zaprosisz go na rozmowę. Będziemy układać się na otwartej przestrzeni, by jego ludzie przez cały czas nas widzieli. Jeśli przyjdzie sam, może zabrać ze sobą broń. Jak myślisz, czy zadowolony się moim przyrzeczeniem, że nie spotka go żadna krzywda i nie zostanie wzięty do niewoli?

Czarnoząb chwilę się zastanawiał.

– Nie. Może uznać to za zniewagę.

– Załatw więc tę sprawę najlepiej, jak potrafisz.

Szarf się nie sprzeciwił. Pożyczył od jednego z wojowników drugi pistolet, przywiązał sobie do pasa smycz ciężkiego psa bojowego, chwycił mnicha za kołnierz munduru i ruszył w stronę obozu Hadali, trzymając lufę pistoletu przy głowie Nimmy'ego.

– Nic ci nie zrobię.

– Jestem marnym zakładnikiem, szarfie Bramie. Nie przejmą się moją śmiercią.

Kiedy stanęli przed kardynałem, Gleaverem i pasikońskim przewodnikiem Hadali, Eltiir uwolnił Czarnoząba, odwiązał smycz od pasa i wydał psu jakieś polecenie. Zwierzę zaczęło warczeć, nie spuszczać wzroku z kardynała.

– Jeśli ktoś do mnie strzeli, zagryzie was.

Hadala zaczął od tego, że zasypał Diable Światło oskarżeniami o układanie się z wrogiem. Czarnoząb wszystko to tłumaczył, ale szarf nie zwracał uwagi na jego słowa. Wskazał tylko ręką na wschód i zaczął mówić krótkimi zdaniem.

Czarnoząb zaś tłumaczył:

– Ten szlak na wschodzie będzie nadal otwarty. Biegnie od waszego obozu hen po tamte wzgórza, gdzie wstaje słońce. Kiedy wejdzie na jakiś zbrojny, zastrzelimy go. Nieuzbrojony usłyszy strzał ostrzegawczy. Ale ty i ten drugi Czerwony Kapelusze możecie przejść w kierunku wschodnim. Weźcie sobie nieuzbrojonych oficerów. Ilu zechcecie. Czerwonobrody rozkazał mi aresztować cię i pilnować. Jestem szarfem Hordy Pasikoników. Ja tu rozkazuję. Moim papieżem jest Puste Niebo. Dzikokonna to moja siostra. Hpngan Osie to mój pan. – Diable Światło wskazał szerokim gestem niebo, ziemię, a potem znowu północno-zachodnią prerię, gdzie rozbił obóz jego

Pan. Po chwili milczenia ciągnął uroczystym tonem: – Ja, szarf tego kraju, ofiaruję wam gościnę Pasikoników. Będziecie musieli zbierać suche łąjno do paleniska. A niewiasty każą wam przerzucać końskie gówna. Będą się z wami droczyć, ale nie zostaniecie skrzywdzeni. Kiedy Czerwobrody po was przyśle, pojedziecie do niego. Jeśli nie zechcecie skorzystać z gościny u nas, pójdziecie na wschód. Bez broni i ludzi. Zatrzymają was ludzie Hannegana, który z pewnością się ucieszy.

– Czy dotyczy to także majora Gleavera? – spytał szorstkim tonem kardynał.

Eltiir zaczął tracić cierpliwość i mówił teraz dłuższymi zdaniami. Nic nie wie o Gleaverze. Już powiedział, że mogą zabrać nie uzbrojonych oficerów. Co jakiś czas wymykała mu się jakaś uwaga na temat głupoty Hadali.

Czamożab poczekał, aż skończy, a potem streścił jego słowa:

– Mówi, żeby major Gleaver współpracował przy swoim rozbrajaniu. Szarf pozostawi mu dowództwo nad ludźmi powracającymi do siebie. Mówi, że cała nasza hałastra szybciej opuści krainę wysokiej trawy, jeżeli będzie miała dowódcę. Jeśli jednak Gleaver woli poddać się Teksarkowi, szarf Bram go przepuści.

– Wie, że jesteśmy czterokrotnie liczniejsi. Skąd przyszło mu do głowy...

– Że zdoła nas powstrzymać? Mam zapytać?

– Zapytaj, czy dwóch jego ludzi dorówna siedmiu naszym?

Szarf zachichotał, gdy tylko Nimmy przetłumaczył pytanie, a potem wymienił na boku kilka żartobliwych uwag ze swoim tłumaczem. Hadalę ogarnął gniew.

– Co mówi? Dość tych uwag na boku!

– Powiedział, że siedmiu przeciwko dwóm to uczciwa walka, jeśli pozostawisz wozy bez obrony. Twoich siedmiu ludzi z siedmioma strzelbami może daremnie ścigać jego dwóch ludzi

z dwoma strzelbami przez wiele dni, ale stracie wozy. Jeśli zaś będziesz bronił wozów, sam przykujesz się do tego miejsca i w końcu zostaniesz wzięty głodem. A jeżeli nie podejmiesz szybko decyzji, Teksark pojawi się i zabierze wozy.

– To jego słowa, bracie od Świętego Jerzego, czy twoje? Uważaj, byś nie posunął się za daleko.

Po wygłoszeniu tego napomnienia Hadala zaczął mówić powoli, żeby Nimmy mógł jednocześnie tłumaczyć.

– Posłuchaj, tak samo jak ty martwimy się tym, że wozy zostaną przejęte przez patrol, kiedy spróbujemy doprowadzić je na miejsce. Dlaczego więc nie miałbyś nam pomóc? Twój ludzki zostali doskonale uzbrojeni i nie potrzebujecie naszych wozów. Okupowany obszar przed nami to tylko wąski pasek wzdłuż zachodniej granicy Państwa Watchitah. Niewiele szerszy niż dwupasmowa droga. Zewnętrzne pasmo patrolują wojska Teksarku zwrócone w stronę twojego kraju. Wewnętrzne patroluje Służba Celna Doliny zwrócona ku Państwu Watchitah, mojej ojczyźnie. Ja sam jestem z ramienia Kościoła członkiem Zarządu Służby Celnej. Ich patrole wesprą nas, gdy tylko minie żołnierzy Teksarku i patrole zobaczą, kim jestem. Jeśli byś pomógł nam powstrzymać teksarkańskich jeźdźców, póki nie przeprowadzimy wozów, przedostaniemy się wszyscy i szybko ruszymy dalej.

– Czy jesteś jeszcze jednym chrześcijańskim szarfem? Jeszcze jeden wojskowy geniusz w czerwonym kapeluszu? Tylu was jest! – Czamożab nie zdołał uniknąć naśladowania szyderczego tonu Brama, choć widział, że kardynał zaczyna się gotować z wściekłości. – Co jednak powstrzyma teksarkańską jazdę przed marszem prosto do serca Doliny, żeby odebrać wam wozy?

– Mieliśmy nadzieję, że uda się nam przekraść nocą i nie zauważą nas. Ale ty wszystko zepsułeś, ostrzegając ich. A traktat między...

Dalsze wyjaśnienia Hadali przerwał wojenny okrzyk Pasikoników. Ktoś krzyknął, że na wschodzie widać wielki obłok pyłu, wzniecony zapewne przez oddział jazdy.

– Postanowili przybyć i sami dobrać się do ciebie, księżę-genoku – powiedział Bram z okrutnym uśmiechem. – My się teraz usuniemy. Jesteś zadowolony? Będiesz walczył z nimi, nie z nami.

Wszyscy nomadzi wskoczyli natychmiast na siodła. Czarnożab patrzył, jak odjeżdżają na północny zachód. Kusiło go, żeby dosiąść konia i mszyć za nimi, ale Uład zagroził, że strzeli mu w plecy jako dezercerowi, jeśli raz jeszcze opuści szeregi.

Hadala przyglądał mu się przez chwilę.

– Jaka jest twoja opinia, bracie kapralu od Świętego Jerzego? – spytał surowym głosem.

– Ci jeźdźcy będą tu za kilka minut. Tyle potrafię powiedzieć, Eminencjo.

Odwrócił się i mszył truchtem do wozów. Sorely Nauwhat i major stali tam i przysłuchiwali się rozmowie między Bramem i Hadalą, póki nie rozległy się okrzyki, ale teraz Nauwhat przepadł bez śladu.

– Kardynał Hadala już cię nie potrzebuje, szeregowy od Świętego Jerzego! – warknął Gleaver. – Zamelduj się sierżantowi Uladowi. Przypnij broń i siadaj na konia!

Nimmy, nadal z kaprałskimi szewronami na ramionach, przyjął do wiadomości fakt swojej degradacji, nie okazując ulgi, którą poczuł. Major dopiero co wywrzaskiwał coś o sędzie polowym i szubienicy, uznał więc pozbawienie stopnia za korzystną zmianę wyroku. Kiedy jednak zajrzał w oczy Ulada, ujrzał w nich gotowość do zabijania.

Diable Światło poprowadził swoich wojowników łukiem na zachód, tak by znaleźli się poza zasięgiem strzelb valańskiej brygady. Czamożab nie wątpił, że przystąpią do walki, żeby amunicja i broń nie wpadły w ręce cesarskich, ale nie rzucą się do ataku, póki Hadala i jego ludzie nie poniosą klęski. A valańscy lekkokonni, niedoświadczeni żołnierze dowodzeni przez mamidła, znaleźli się w potrzasku między górującymi nad nimi wojskami. Był czwartek, 2 sierpnia, i robiło się już ciemno. Księżyc wzeszedł dwie godziny po zachodzie słońca. W ciągu tej godziny Sorely Nauwhat zniknął i nigdy już nie widziano go na zachód od granicy teksarkańskiej.

– Dojdzie do buntu – szepnął Czarnozębowi przy pierwszej sposobności Aberlott. – Chyba że odejdzie ten genok, kardynał.

Nirnmy potrząsnął głową

– Te mieszcuchy mogą buntować się w Valanie, ale nigdy tutaj, ujęte w kleszcze przez dwie nieprzyjacielskie armie.

Chuntar Hadala pozostał na czele swojego wojska. Sierżant Iliad zastrzelił dezterera, który próbował w nocy uciec w stronę linii pasikońskich. Kiedy przywleczono ciało do obozu, okazało się, że był

to pasikoński przewodnik kardynała. Rzucił po prostu pracę, żeby wrócić do swoich.

Czarnoząb powiedział Aberlottowi:

– Był człowiekiem szarfa, a tutaj wszyscy podlegamy jurysdykcji pasikońskiej. Spójrz tylko na sierżanta.

Mnich przypominał sobie, jak przy pierwszym ich spotkaniu w Valanie Uład wyraził swą nienawiść do nomadów. Teraz jednak, kiedy zastrzelił jednego z nich, na jego twarzy nie widać było satysfakcji, lecz tylko zadziwiający strach.

Rozdział 24

„Brat, który z własnej winy występuje z klasztoru, jeśliby chciał wrócić, niech najpierw obieca całkowitą poprawę w tym, co było powodem jego wystąpienia. Przyjąć go należy na ostatnie miejsce, aby w ten sposób wypróbować jego pokorę”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział XXIX

Strach, ojciec nienawiści, owładnął całym pospolitym ruszeniem. Nie było jednak dokąd uciekać. Za plecami mieli Pasikoników, przed sobą – cesarskich. Grasował wśród nich Chuntar Hadala i dwaj ochoczy zabójcy rekrutów, major i Uład. Na obu flankach płonęły ognie, ale dzień był zadziwiająco bezwietrzny. Ogień podłożono w nocy i nikt nie miał pewności, kto to zrobił, ponieważ jednak nie było wiatru, nie przejmowano się nim zanadto. Przed świtem Uład z pomocą trzech krzepkich mieszczuchów zdjął z wozów dwa działa i ustawił je naprzeciwko wroga osaczającego ich od wschodu. Potem wyładowali dwa następne i wycelowali je w nomadów. Szarf przyglądał się temu, a potem podzielił swoje siły na dwa jednakowo liczne oddziały. Jeden przesunął na północ, drugi na południe. Zajęły stanowiska naprzeciwko valańczyków od strony

południowo-zachodniej i północno-zachodniej. Uład przesunął odpowiednio działa, ale ruchy nomadów wskazywały, że artyleria nie będzie potrzebna. Droga na zachód była szeroko otwarta. Czarnoząb uważał, że przyjęcie propozycji szarfa to jedyne rozsądne wyjście, lecz Chuntar Hadala był nieugięty.

–Wszystkim, którzy okazali skruchę za swoje grzechy, udzielam rozgrzeszenia – oznajmił o świcie żołnierzom – *in nomine Patris, Filii et Spiritus Sancti*. A jeśli polegniecie w boj u za chwałę Boga i słuszną sprawę Ojca Świętego, wstąpicie do nieba, oszczędzając sobie mąk czyścicowych. Błogosławię was...

– I mówi to człowiek obłożony ekskomuniką przez tegoż Ojca Świętego – szepnął Aberlott.

Czarnoząb, zaskoczony tym, że żołnierze nie powitali drwinami słów Hadali, spytał:

– Czy nie powtórzyłeś innym tego, co ci rzekłem?

Aberlott zrobił minę zbitego psa, ale milczał. Nimmy zajrzał mu w oczy i zaśmiał się gorzko. Wszyscy wiedzieli, że Aberlott to bezczelny kłamca, któremu nie można wierzyć. A zresztą skąd wzięłby dość odwagi, żeby oskarżać kardynała za jego plecami, skoro każdy żołnierz mógłby w końcu wskazać na niego palcem i oznajmić: „On mi to powiedział”? No cóż, Czarnoząb musi rozgłosić to sam albo przynajmniej zjednać sobie któregoś z żółtych gwardzistów. Niełatwo było jednak się do nich zbliżyć. Trzymali się blisko kardynała Hadali, jak przedtem Kucisawego.

Woda była racjonowana. Zapas suszonego mięsiwa wyczerpał się, a ponieważ nie mogło być mowy o polowaniu, ludzie jedli fasolę i suchary. Wróg czekał na posunięcie Hadali, a Hadala – na to, że genocy z Doliny zaatakują nieprzyjaciela od tyłu, ale zdaniem Czarnozęba były to tylko pobożne życzenia. Trzeciego dnia szarf Bram wysłał parlamentariusza z białą flagą do dowódcy teksarkańskiego, nie zważając, że widać to doskonale z valańskiego obozu. Te rokowania z nieprzyjacielem wzmogły wściekłość kardynała. Gleaver wydał rozkaz i para żołnierzy otworzyło ogień do posłańca, lecz przy tej odległości nie mogło być mowy o celnym strzale.

Tej nocy czternastu wojowników pasikońskich zakradło się przed wschodem księżyca do obozu, zabiło dwóch wartowników i

ukradło albo rozpędziło większość koni. Kiedy zaś pokazał się zmierzający już do kwadry księżyc, oddział teksarkkańskiej jazdy, który podszedł bezgłośnie w ciemnościach, dosiadł koni i popędził przez obóz, wrzeszcząc i zabijając ludzi szablami albo z kawaleryjskich pistoletów. Dobrze uzbrojeni żołnierze pospolitego ruszenia też zabili kilku napastników. Rano pogrzebano osiemnaście ciał, w tym pięć w teksarkkańskich mundurach. Było też siedmiu rannych. Aberlotta teksarkkańska szabla pozbawiła prawego ucha.

– Nawet nie ruszyłeś się z betów, sukinsynu! – powiedział Nimmy’emu.

– Chyba się nie obudziłem – skłamał Czamożab.

Strata koni ostatecznie wyprowadziła Hadalę z równowagi. Dał lekkokonnym rozkaz ataku na okopane teraz pozycje teksarkkańskie. Sam wziął krzyż i kroczył dumnie na czele swojej armii. Ponieważ miał na głowie czerwoną piuskę i był przepasany czerwoną szarfą, stanowił doskonały cel. Major Gleaver zastrzelił trzech żołnierzy, którzy odmówili wzięcia udziału w ataku. Trzy kompanie żołnierzy w zielonych mundurach, z bagnetami nasadzonymi na wspaniałe strzelby maszerowały pod osłoną skąpej kanonady z trzech dział. Uład, jak zwykle wściekły, szedł tuż za kardynałem-krzyżowcem, oglądając się ciągle do tyłu, by sprawdzić, czy żołnierze utrzymują szyk. Twarze atakujących pobladły ze strachu, kiedy znaleźli się w zasięgu ognia, a ten i ów padał na sam odgłos nieprzyjacielskiego wystrzału. Nimmy szedł z półprzymkniętymi oczami i modlił się do Najświętszej Pani. Dziwił się, że zza pleców przeciwnika nie razi ich ogień teksarkkańskiej artylerii.

Kiedy pokonali połowę odległości dzielącej ich od stanowisk nieprzyjacielskich, zobaczył, że unoszą się osłony z ziemi i darni. Cesarscy strzelali do nich z bezpiecznych stanowisk i skutki okazały się straszliwe. Trzecia część ludzi padła. Dwukrotnie Uład rozkazywał atakującym zatrzymać się i strzelać, ale za każdym razem głowy nieprzyjaciół znikwały natychmiast.

– Biegiem marsz! Strzelać w biegu!

Jeśli chodzi o celność ognia, było to marnowanie amunicji. Po oddaniu pięciu strzałów trzeba było przejść z biegu w marsz i załadować broń. Większość zabrała dwa dodatkowe bębenki, chociaż jednak ich zmiana trwała krócej niż ponowne ładowanie

poszczególnych komór, trzeba było przystanąć, żeby nie pogubić łusek, A przystanąć znaczyło zginąć od kuli oficera-mamidła.

– Patrzcie! Zwiewają! Biegiem, do cholery! Biegiem!

Przerażenie zmieniło się we wściekłą radość, gdyż mieszczanie spostrzegli, że ogień ustał, chociaż z dalszej odległości nadal dochodziły odgłosy strzałów.

– Dzieci papieża! Mój lud! – krzyknął, odwracając się do żołnierzy Hadala. Wymachiwał krzyżem jak maczugą, wskazując w stronę podnóża wzgórz. – Atakują od tyłu!

– To tłumaczy, dlaczego nie dostaliśmy się pod ogień artyleryjski – powiedział Nimmy, nachylając się do zabandażowanego ucha Aberlotta. Jego słowa nie dotarły do adresata, gdyż zagłuszał je odgłos strzałów. Nimmy dodał jednak: --Może ten kardynał-genok nie jest taki szalony, jak myśleliśmy.

Armia Teksarku nie uznała się jednak wcale za pokonaną. Ponieważ partyzanci z gór zmusi li ją do bronienia tyłów, żołnierze teksarkańscy wycofali się przed atakującymi od zachodu, by bronić artylerii przed atakującymi od wschodu. Ale cofnęli się niewiele. Kiedy pospolite ruszenie wdarło się na przedpiersie, trzech dostało postrzały i runęło na drugą stronę.

Gleaver rozkazał przerwać atak. Najwyraźniej druga linia była nadal broniona. Ale atakujący mogli wykorzystać teraz pierwszy nasyp, schronić się za nim, żeby zjeść swoje racje żywności i napić się z manierek. Nimmy podniósł głowę i zobaczył Gai-See czołgającego się w jego stronę płytkim okopem. Nie krył się przed wrogiem, ale przed Hadalą i jego oficerami.

– To prawda? – spytał azjatycki wojownik, rozejrzawszy się ostrożnie dokoła.

– Tak, jeśli dowiedziałeś się tego od Aberlotta.

Gai-See skinął z posępną miną i poczołgał się z powrotem tą samą drogą.

„Teraz coś się musi stać” – pomyślał mnich. Ale na razie nic się działo.

Był początek sierpnia i słońce paliło bezlitośnie, ale popołudniem nadciągnął leciutki wietrzyk z zachodu. Wyglądało, że wojownicy pasikońscy nie potrafią ani chwili usiedzieć spokojnie i teraz także Czarnoząb zauważył, że w ich obozie trwa jakaś

krzątania. Przeformowali się i podzielili na trzy oddziały, które zajęły pozycje na północ, zachód i południe w stosunku do wozów. Ciągłe trzymali się poza zasięgiem strzelb, ale grupa południowa i północna ustawiły się do ataku albo na wojska Hannegana, albo Hadali.

Wydawało się, że ognie przemieszczają się powoli na wschód. Być może wskazywały prawdopodobne pole bitwy oraz linie natarcia lub odwrotu dla nomadzkich grup, które zapewne same je rozpały.

Wkrótce potem, podczas ataku na drugą linię, Nimmy chciał strzelić żołnierzowi nad głowę, ale jego strzał okazał się celny. Teksarkański żołnierz leżał na wznak na łasze piasku – tak jak padł. Genok, genok w teksarkańskim mundurze, z cętkowaną jak u Hadali skórą i często spotykanymi włochatymi uszami. Patrzył w górę na byłego mnicha, usiłując zobaczyć go na tle zasnutego dymem słońca. Podniósł ręce do twarzy i dłonie zwisały mu jakoś bezwładnie z nadgarstków. Wyglądał jak piesek błagający o ochłap. Po co poddawać się, mając brzuch w strzępach? Zacisnął powieki i czekał z nadzieją na odgłos wystrzału. Lecz Czarnoząb nie śmiał marnować amunicji na akty miłosierdzia ani nawet tracić czasu na przeładowanie, gdyż czuł na sobie podejrzliwe spojrzenie Ulada. Za każdym razem, kiedy czuł takie napięcie, widział oczami duszy Wooshina i brzmiały mu w uszach jego słowa: „Życie to kropla rosy i błysk pioruna. Tak trzeba na to patrzeć, Nimmy”.

Przytknął ostrze bagnetu do gardła rannego i przeciął tętnicę szyjną. Ostrze błyskawicy, kropla czerwonej rosy. Kropla zmieniła się w fontannę. Zrobił krok do tyłu i rozejrzał się. Bolało go wysuszone gardło: dzień był upalny i wszędzie unosił się dym z płonącej trawy.

„Każdy człowiek, każda istota to świat. Istnieją niezliczone światy, przyjacielu. Każdy świat z tego niezliczonego szeregu zawiera w sobie i przenika inne światy poprzez nieogarniony kosmos, nie ma bowiem żadnych barier między światami”. Metafizyka kata? Dla Topora religia było sztuką żołnierską. Chciałby porozmawiać o tym z Gai-See albo Woosoh-Lohem, ale byli zawsze z kardynałem i oficerami, i przeraziło go to, że Gai-See przyczołgał się do niego rowem.

„W pewnym sensie podciąłem własne gardło – pomyślał, patrząc na martwe ciało. – Takie uczucie daje mordercy popełnienie morderstwa. Święta Matko Boża, wybacz mi, ale niewiele czuję”.

Sierżant Uład nadal przyglądał mu się z lewej strony, potrząsając głową. Musi uważać, żeby nie okazać niezdecydowania czy wahania. Uład patrzył podejrzliwie na jego litościwy czyn. Za Uładem stało dwóch mężczyzn. Kapral Victros wspiął się na wzniesienie. Machnął ręką, nakazując żołnierzom poderwać się do ataku.

Łacha piasku znajdowała się obok wykoszonego i starannie wygracowanego – lecz bezużytecznego – paska ziemi zabezpieczającego przed rozszerzaniem się pożaru. Czarnoząb wspiął się na wzniesienie i wyjrzał ostrożnie na drugą stronę, ale patrol uciekł. Dlaczego? Było to najlepsze miejsce do obrony, chyba że uznali przewagę walańskiej siły ogniowej za przygniatającą. Albo, co prawdopodobniejsze, wiedzieli, że dalej mają bezpieczniejsze schronienie i że trzeba uniemożliwić ułomnym partyzantom przechwycenie artylerii. Stojąc na małym wzniesieniu, obejrzał się na wozy. Co się stało z pilnującymi je ludźmi? Widział w oddali nomadów, ale ani jednego żołnierza pospolitego ruszenia czy wozu. Nie mieli już koni, wozy i tak były więc stracone.

Dalej na północy wysoka trawa płonęła szybciej. Przedtem wiatr wiał poprzecznie i dym z ognia otulał podnóże wzgórz na północnym wschodzie, teraz jednak, ciągle zmieniając kierunek, obrócił się ku nim. Czarnoząb poczuł swąd dymu. Spojrzał ku północy i zobaczył w oddali konnych wojowników pędzących na zachód, żeby zejść z linii przemieszczania się ognia. Jeśli wiatr nadal będzie zmieniał kierunek, wozom grozi niebezpieczeństwo. Dał Uładowi znak, że wróg zniknął. Wkroczyli na piach i szli ostrożnie przed siebie – zamaskowane cienie przemykające od kopczyka do kopczyka po wielkim oceanie trawy.

Patrząc z oddali na grzbiety wzgórz rozciągających się na południe od pola bitwa, szarf Pasikoników widział zmagania wokół teksarkańskich dział. Teksark znalazł się na chwilę w opałach i szarfowi sprawiło to przyjemność. Diable Światło miał nadzieję, że uda mu się wpłynąć na przebieg bitwy, wykonując groźnie wyglądające manewry, ale nie narażając swoich wojowników na

ostrzał z broni palnej. W tej chwili zależało mu wyłącznie na tym, żeby nikt poza nim nie dostał wozów, aczkolwiek Pasikonik nie cierpiał na dojmujący brak amunicji i arsenały hordy były pełne nowej broni. Nie miał nic przeciwko przekazywaniu broni genokom, a teraz stało się zapewne możliwe. Nie ulegało wątpliwości, że wojsko teksarkańskie jest nękanie od tyłu. Ten fakt zaskoczył go tak samo jak samych Teksarków.

Diable Światło zawiadomił ich o ekspedycji Hadali, ale zaufali mu na tyle, że w rejon, gdzie można było jego zdaniem spodziewać się próby sforsowania granicy, wysłali dwie kompanie kawalerii, dwie lekkokonnych i parę dział. Eltiir był zaskoczony tym, że wielu teksarkańskich żołnierzy było zwerbowanymi w Dolinie genokami. Nie spodziewali się ich ataku na swoje tyły, tym bardziej że przybyli tutaj niedostatecznie przygotowani. Pożalują, że nie potraktowali wystarczająco poważnie jego doniesienia. Może następnym razem bardziej mu zaufają. Jego posłańca z białą flagą wysłuchali uprzejmie, kiedy zażądał, by ładunek z wozów przejęli nomadzi, i zapewnił, że jeśli to żądanie zostanie spełnione, nie będzie powodów do wszczynania nieprzyjaznych kroków. Zawiadomił też teksarkańskiego dowódcę, że zamierza wykraść mieszczańskie konie. Jeśli chodzi o wozy, dowódca udzielił odpowiedzi uprzejmie, lecz wymijającej, a plan wykradzenia wierzchowców wywołał uśmiech na jego twarzy. W tej sytuacji Diable Światło niechętnie myślał o atakowaniu swoich odwiecznych wrogów. Zależało mu tylko na tym, by przeszkodzić im w przejęciu amunicji.

Nic za to nie przeszkadzało mu cieszyć się starciem, do którego doszło na jego oczach – poza informacją od zwiadowcy / południowo-zachodniego oddziału. Doniósł on, że nadciągnęła banda bezmacich, która zatrzymała się jednak o kilka minut jazdy od nomadzkiego oddziału i zajęła szczyt wzgórza. Dla Brama byli juk wrzód na tyłku, a w dodatku też chcieli zdobyć broń. Wiedział, że wielu z bezmacich grasujących na południu terenów należących do Dzikich Psów zostało uzbrojonych przez Diona do walki /, wrogiem w Prowincji, ci jednak wykrotnicy trzymali się z daleka od bitwy. Jeżeli zdołają położyć swoje łapy na nowej broni, będą pewnie strzelać zarówno do Teksarków, jak i do ludzi Brama, najprawdo

podobnie zaś sprzedadzą niezwykle strzelby Hanneganowi, który nie pospieszył się z ich zdobyciem.

Postanowił wycofać swoich ludzi z północy, gdzie ogień zaczął dosięgać tyłów oddziału, a następnie obejść pozycje mieszczan i połączyć wszystkie swe siły na obszarze między pospolitym ruszeniem a wykrotnikami – nie zważając, że zniweczy to na jakiś czas poprzedni plan działania. Dzięki temu posunięciu inni dowódcy będą mieli nad czym rozmyślać, a ponadto ogień stanie się sprzymierzeńcem Pasikoników, o czym ich szarf doskonale wiedział, kiedy go, zgodnie z rodową dewizą, podkładał. Przemierzając konno teren między Valańczykami i zachodnim oddziałem swoich ludzi, zauważył z satysfakcją, że konie wykradzione z taboru są trzymane poza zasięgiem wzroku i strzałów. Wierzchowce jego wojowników nie były końmi pociągowymi, realizacja jego planu wymagała więc przechwycenia i zatrzymania koni należących do trawożerców. Do swojego kuzyna dowodzącego oddziałem zachodnim pchnął posłańca z rozkazem, by odkomenderował część ludzi do pilnowania wierzchowców, a z pozostałymi dołączył do głównych sił Eltiira.

Zbliżał się zachód słońca, kiedy nieprzyjaciel znowu otworzył ogień. Jako jeden z pierwszych padł kardynał Hadaia. Elswitch Gleaver podbiegł do niego, obejrzał jego ranę, zadaną, jak się mu zdawało, od tyłu, i rozejrzał się po swoich ludziach. Tym razem Czarnoząb zobaczył, jak Gai-See unosi rewolwer i strzela majorowi Gleaverowi prosto w czoło. Jednocześnie z tyłu dobiegł go jakiś piskliwy krzyk. To głos Ulada! W powietrzu błysnęło zakrwawione ostrze miecza Woosoh-Loha. Opadło raz jeszcze. Rozległy się gniewne okrzyki młodszych oficerów.

Brat Czarnoząb od Świętego Jerzego cisnął strzelbę, porwał rewolwer leżący obok zabitego oficera i rzucił się do biegu, którego stawką było jego życie. Pocisk zarył się w ziemi tuż przy jego stopach, ale mnich nie wiedział, przez którą z trzech stron został wystrzelony.

Biegąc łukiem tuż poniżej grzbietu wzgórze, zauważył pod występem skalnym obszerny i wyraźnie zamieszkały tunel. Było tu akurat dość miejsca, by zmieścić się człowiek, wskoczył więc do środka, modląc się żarliwie, by nie natknąć się na prawowitego

mieszkańca. Tunel był nachylony w dół i głębszy niż się spodziewał. Kiedy udało mu się wyhamować, zobaczył dwie stopy od swojej twarzy oświetlony przez słońce otwór. Poczuł między rzemieniami sandałów futro i coś ukąsiło go w wielki palec drobnymi, ale ostrymi zębami. Kopnął to coś. Inne pyszczki zaczęły żuć rzemienie sandałów. „O Boże, już po mnie! Znalazłem się w norze kuguara”.

„Ten dzień jest równie dobry na umieranie, jak każdy inny. Trwa wojna, a ja, o święty Leibowitzu, nie jestem Danielem w jaskini lwów. A jednak to jedyny dzień, jaki został mi dany. W zeszłym tygodniu przeżyłem burzę i widok ciała wojownika, którego poraził grom. Rok temu cyklon zabił siedemnastu dzikokróliczych wieśniaków. A potem szarańcza, szarańcza, szarańcza i zamarznęte wychudzone ciała, które znajdowano zimą. Dzień jak każdy inny” – pomyślał w momencie, kiedy kula odbiła się od skały tuż nad jego głową. Bezwładna bryłka ołowiu spadła mu na podołek. Wziął ją do ręki, by przyjrzeć się jej w półmroku. Nie był to pocisk z broni pasikońskiej lub valariskiej, lecz muszkietowa kula wystrzelna przez Teksarka albo wykrotnika. Dzięki temu miał teraz ogólne wyobrażenie o kierunku, z którego strzelał wróg.

Macał podłóżę stopą, odsuwając kopniakami kocięta. Ich zęby nie mogły wyrządzić mu krzywdy. Co jednak powstrzymuje matkę? Może przeraziły ją ognie. On też czuł przed nimi lęk. „Udusimy się tu dymem” – oznajmił kociakom.

Kiedy tak folgował strachowi i politowaniu nad samym sobą – bardziej niż zdarzało mu się, zanim zabił człowieka – coś zasłoniło wejście do tunelu. Gotował się na śmierć.

„Święta Maryjo, łaskiś pełna, Pan z tobą!...”

– Kto tam jest? Kto?

Pytanie padło w skalistogórskim, ale akcent był azjatycki. Nimmy podniósł wzrok i zobaczył strzelbę wycelowaną w swoją głowę.

– Nie strzelaj! To ja, Czarnoząb. Czy na zewnątrz jest bezpiecznie?

– Na razie nigdzie nie jest bezpiecznie – odparł Gai-See – a poza tym ogień podchodzi coraz bliżej. Daj rękę.

Nimmy strząsnął rozbawionego kotka z nogawki i wypęzł na przesycone dymem popołudniowe światło. Zgiełk bitewny ucichł i

tylko od wschodu dochodziły odgłosy walki wojsk teksarkańskich, które odpierały genoków próbujących dobrać się do broni. Wojownik i mnich wspięli się na grzbiet i położyli na brzuchach, by wyrzucić na drugą stronę. Widzieli ciała Chuntara Hadali i majora Gleavera. Obaj zostali zabici przez Gai-See, który – tak samo jak Wooshin – był gotów pozbawić życia każdego, kto zdradził jego pana.

– Gdzie Woosoh-Loh?

– Uład zastrzelił go, kiedy zobaczył, że zabijam wrogów mojego pana.

– Ależ widziałem...

– Mój brat żył wystarczająco długo, by zabić swego zabójcę.

Nimmy patrzył, jak oddział pasikońskich wojowników zaprzęga skradzione konie pociągowe do trzech wozów. Spieszyli się, gdyż ogień był coraz bliżej. Obrońcy wozów rozproszyli się podczas potyczki piechoty. Valańskie pospolite ruszenie już nie istniało: zostało wybite, poszło w rozsypkę, zabrakło dowództwa.

Od wschodu nadciągała teksarkańska kawaleria – ostrożnie, gdyż tuż za grzbietem skryły się główne siły Diabiego Światła, od południa zaś zbliżał się ogień. Pół mili od miejsca, gdzie leżeli, teksarkański żołnierz wjechał na grzbiet wzgórza, by rozpoznać szyk bojowy Pasikoników. Gai-See przetoczył się, uniósł wysoko lufę strzelby i nacisnął spust. Strzał nie mógł być celny, ale pocisk padł na tyle blisko, że spłoszył konia i ostrzegł Pasikoników, którzy też zaczęli strzelać w stronę kawalerzysty, który zaraz się wycofał. Gai-See wstał i spojrzał na południe. Wojownicy Eltiira przyglądali się mu, ale najwyraźniej nie zamierzali strzelać do żołnierza w mundurze pospolitego ruszenia.

– Patrz! – powiedział Gai-See, wskazując coś palcem. – Ktoś zabił wielkiego kota.

Czarnoząb stanął obok niego i spojrzał we wskazaną stronę. Zwierzę leżało dwadzieścia kroków na zachód od nich. Samica.

– Chodźmy – powiedział i zszedł z powrotem do nory kuguara.

Wkrótce wydobyli kocięta, ale wtedy nadjechało trzech nomadów z bronią gotową do strzału.

– Rzucić broń, mieszczanie! Poddajcie się! – krzyknęli po pasikońsku.

Zrobili, co im kazano, ale Nimmy uśmiechnął się, słysząc uprzejmy zwrot „mieszczanie”, i odpowiedział w tym samym języku:

– Czy wiecie, że Teksarowie posuwają się w stronę wozów? Chętnie się poddamy, ale potrzebna nam broń, żeby wrócić do domu.

Jeden z wojowników wjechał na grzbiet wzgórza. Drugi zeskoczył z konia i podniósł broń. Rozładowując ją, mówił do Czarnozęba.

– To ty byłeś na rozmowach z szarfem. Powiedział, że jesteś sługą najwyższego chrześcijańskiego szamana. Czy tak?

– Tak było.

Wojownik podał mu rozładowany pistolet, a Gai-See – strzelbę.

– To ty zabiłeś kardynała i majora?

Gai-See skinął potwierdzająco głową.

Pierwszy wojownik zjechał do nich i rzekł:– Musimy powiedzieć szarfowi Eltirowi, że czas już atakować. Jedziemy!

Ruszyli, pozwalając, by Nimmy i Gai-See pobiegli, bezbronni, za nimi. Gdy tylko wojownicy dołączyli do swoich, główne siły nomadzkie podzieliły się na dwa oddziały. Jeden podjechał do stóp wzgórza, zsiadł z koni i wspiął się na grzbiet, skąd można było prowadzić skuteczny ostrzał. Ponieważ gęsty dym przewalał się przez krawędź wzgórza na południe, a strzelcy nie otworzyli od razu ognia, Nimmy domyślił się, że płonąca trawa opóźnia marsz kawalerii w stronę wozów. Kiedy tylko któryś z żołnierzy wjeżdżał na górę po wschodniej stronie, żeby dokonać rozpoznania, trafiał pod ostrzał głównego oddziału nomadzkiego. Teksarkański dowódca chciał zapewne znaleźć się po drugiej stronie wzgórz i dopiero potem ruszyć na zachód, ale wojownicy Pasikoników skutecznie mu w tym przeszkadzali. W końcu kilka ciągniętych przez walańskie konie wozów pojechało na zachód. Resztę wkrótce ogarną płomienie, jeśli Teksarkowie nie zdołają dotrzeć przedtem do tego miejsca.

O zachodzie słońca pozostałe wozy strawił ogień. Niektóre wybuchły, a wszystkie spłonęły. Spaliły się też ciała poległych, ale wiatr teraz opadł i ogień nie przeniósł się na drugą stronę linii wzgórz. Szarf Bram dokonał objazdu i kazał nakarmić tych niedobitków z pospolitego ruszenia, którzy złożyli broń.

Nielicznych, którzy nie chcieli się poddać, głównie oficerów-mamidła obawiających się zemsty valańskich rekrutów, kazał zabić. Rozkazał wojownikom dobrze traktować jeńców wojennych, lecz bojownicy nomadzcy byli zbyt złośliwie nastawieni do farmerów, by dbać o ich wygody. Rozdzielono prowiant, ale jedzenie było opiaszczone. Jeden z wojowników pożyczył Nimmy'emu skórzaną sakwę – wystarczająco dużą, by zmieściły się trzy kocięta kuguara, a potem zaczął krzyczeć, że mnich mu ją ukradł. Było mniej niż czterdziestu jeńców, ale inni dezercerzy uniknęli być może schwytania przez Teksarków albo nomadów.

Kiedy Diabło Światło zobaczył wśród uciekinierów Nimmy'ego, kazał mu zająć miejsce u swojego boku jako tłumaczowi. Rozśmieszyły go kocięta. Oddał mnichowi broń i amunicję, a Nimmy natychmiast poprosił, żeby zwrócono broń także Gai-See.

– Moje oczy są za słabe, bym trafił w cokolwiek. Zabiłem człowieka, ale niechcący, chciałem strzelić mu nad głowę.

Eltiir kazał sprowadzić Gai-See i po krótkiej rozmowie, która odbyła się za pośrednictwem Czarnożęba i dotyczyła dochowania przez wojownika-mnicha wierności Kucisawemu, szarf oddał mu broń. Potem spojrzął na zasnute dymem niebo.

– Przybyła małżonka waszego papieża. Spójrzcie. Oto siostra Dziewicy Dnia.

Nad polem bitwy krążył wielki ptak. Zanurzony w dymie i świetle zachodzącego słońca sęp wyglądał jak powleczone jasną czerwienią. Zbierały się inne ptaki. Te wydawały się małe i ciemne, ale być może po prostu wzbiły się wyżej.

– Oznacza to, że bitwa się skończyła.

Nimmy i Gai-See, ogarnięci grozą, milczeli.

– Jutro wracamy pod namioty mojego plemienia – oświadczył Bram. – Ranni mogą tu zostać, póki nie wyzdrowieją. Pozostali zostaną zabrani na zachód, by osądził ich *Qcesach dri Vordar*, Hpngan Osie Chiir. Potem zostaniecie, jak sądzę, odprowadzeni do Valany albo, jak w twoim przypadku, Nyinden, do Kucisawego. Przekaż to reszcie. Wyjaśnij, że albo pojedą z nami, albo wpadną w ręce bezmacich. Wyłapaliśmy dość koni Hadali, byście nie podróżowali pieszo.

Diable Światło traktował ich przyjaźnie i Nimmy odważył się zapytać:

– Czy jesteś zadowolony z biegu dzisiejszych wydarzeń, szarfię Bramie?

– Grobnicha nie będzie jadła ciał Pasikoników. Nie straciłem ani jednego człowieka – odparł nomada. – Zdobyliśmy pięć wozów ze strzelbami i rewolwerami, nim objął je ogień wzniecony przez bezmacich. Wozy z amunicją wyleciały w powietrze. Teksarcy przejęli pewnie cztery wozy z bronią, które przeszły przez ogień. Ta broń nie nadaje się do niczego.

– Nie nadaje się do użycia, lecz jako wzór, który Teksark może skopiować, owszem – powiedział Nimmy.

– Tak sądzisz? Ile czasu to im zajmie?

– Nie wiem. Pewnie kilka miesięcy.

– Jest jeszcze jedna sprawa, którą uważam, Nyinden, za bardzo niepokojącą – rzekł Eltiir. – Czy wiesz, że wśród Teksarków było wielu genoków?

Nimmy zmarszczył czoło.

– Ten, którego zabiłem, był jednym z nich. Zdziwiłem się. Zdaje się, że cesarz albo zniósł sprawnych fizycznie genoków z Doliny, albo ich najał. To świadczy chyba, że cierpi na niedostatek żołnierzy.

– Albo że zgodnie z naszymi oczekiwaniami posłał część swych głównych sił na wschód od Rzeki Wielkiej. W szeregach teksarkańskich dochodziło do waśni. Tak twierdzi mój posłaniec. Czy domyślasz się, o co chodzi?

– Chyba tak. Kardynał Hadala spodziewał się, że wojska Doliny uderzą od tyłu na żołnierzy. Kiedy tak się stało, genocy pewnie odmówili walki. Może dlatego cofnęli się przed nami.

Eltiir sapnął.

– Wy, mieszczanie, świetnie nadajecie się na poległych, ale zabijać nie umiecie. Musi być jakiś inny powód. Jutro powinniśmy dotrzeć do rodziny posłańca i wysłać dzisiejsze nowiny włodarzowi Hord i waszemu papieżowi. Jeśli chcesz, możesz sam napisać do Kucisawego, bylebyś wyjawiał mi, o czym mu donosisz.

– Oczywiście! Będziesz mógł sam przeczytać!

Diable Światło zaśmiał się pogardliwie i odszedł. Czamożab oblał się rumieńcem. Zapomniał, że szarf jest analfabetą.

Mnich spodziewał się, że przyjdzie mu pisać na wołowej skórze inkaustem z krwi i sadzy, ale rodzina posłańca, do której doprowadził ich następnego popołudnia Bram, miała papier i pióra, choć sami ci ludzie z trudem odczytywali słowo pisane. Pisał pospiesznie, gdyż szarf chciał jak najszybciej wrócić do swojej rodziny i plemienia.

„Wiem, że szarf Elttir Bram przysłał Ci ustne sprawozdanie z bitwy, która się tu odbyła, a ja nie mam nic do dodania. Chociaż większość broni została przejęta przez bojówkę Pasikoników, oddziały teksarkańskie znalazły część strawionej wprawdzie przez ogień i zapewne nie nadającej się do użycia broni, ale rusznikarze naczelnika mogą niejednego się nauczyć, odtwarzając sposób jej działania.

Wstyd mi, Ojczy Święty, że nie było mnie przy tobie w chwili zagrożenia. Kiedy wyjeżdżałeś z Valany, byłem u nieżyjącego już papieża, a potem wpadłem w ręce zdrajców. Sorely kardynał Nauwhat poszukał sobie azylu w Teksarku. Chuntar kardynał Hadala zginął od kuli brata Gai-See, kiedy ten dowiedział się, że Hadala Cię zdradził, Wasza Świątobliwość. Moje ciało jest całe i zdrowe, ale dusza doznała uszczerbku, gdyż zabiłem człowieka.

Zaproszono mnie, bym pozostał u moich dalekich pasikońskich krewnych (tak, szarf wie, że tacy są w jego plemieniu), póki nie otrzymam rozkazów od Waszej Świątobliwości, opata Olshuena albo z Sekretariatu, co do moich przyszłych obowiązków i miejsca pobytu. Na razie mam, zgodnie z wolą szarfa Brama, być wychowawcą jego bratanków. Winienem uznać, że to zajęcie stosowne dla mnie, ale bez ksiąg i odpowiednich przyborów do pisania stanę przed trudnym zadaniem.

Raz jeszcze proszę, byś wybaczył moją nieusprawiedliwioną nieobecność w trudnym dla Ciebie czasie, i zapewniam, że przyjmę z wdzięcznością i odbędę każdą pokutę, jaką zechcesz mi, Ojczy Święty, wyznaczyć.

Twój niegodny sługa Nyinden (Czamożąb) od Świątego Jerzego, AOL”.

Konie sztafetowe rodzin posłańczych były szybkie i często je zmieniano. Pod koniec sierpnia księżyc świecił jasno, co pozwalało na jazdę nocną. Mimo to Nimmy’ego zdziwiła szybkość odpowiedzi

Kucisawego. List był zwięzły: „Weź udział w rzeźnym święcie, a potem przybywaj bez zwłoki” – odpisał trzy tygodnie później Amen II.

Kuzyni drwili z niego niemiłosiernie, gdyż dołączył do czternastolatków, którzy mieli podczas święta przejść rytuał męskiej inicjacji, urządzany zwykle podczas ostatniej pełni księżyca przed jesiennym zrównaniem dnia z nocą i trwający kilka dni.

– Nie będą już nazywać cię Nimmy’em, jeśli poddasz się obrządkowi – oświadczyła mu prapra wnuczka jego praprababki.

– Dziękuję, ale pierwszym człowiekiem, który nazwał mnie Nimmy, był Święty Szał, włodarz Trzech Hord, a nie zamierzał mnie znieważać. Nie jestem wojownikiem, nie jestem nomadą.

Była to taka sama uroczystość jak ta ogłoszona w ubiegłym roku ruchomym świętem, kiedy jej zwykła data zbiegła się z pogrzebem prawującej Złamanej Stopy. Mniej więcej w tym samym czasie farmerzy obchodzili święto zbiorów, ale dla nomadów był to początek okresu zabijania starego bydła i słabych sztuk, które nie przeżyłyby zimy. Kobiety wybierały konie nie nadające się na wojnę ani do rozrodu i sprzedawały je farmerom z północnego brzegu Rzeki Mizerii albo zabijały je i piekły. Wiele mięsa suszono na czas głębokich śniegów, kiedy trudno dotrzeć do dzikich stad.

Był to czas tańców, wybijania rytmu na bębnie, obżarstwa, palenia *kenebu*, picia farmerskiego wina, zapaśniczych zmagania przy ogniskach i czczenia Pustego Nieba, który porwał Dzikokonną. Młodzieńcy zakradali się do ukochanych i nawet w namiocie Czarnozęba pojawił się w nocy ciemny kształt kobiety, która nie wyjawiała swego imienia, ale przystąpiła do rozdzielania mnicha. Pamiętał, że nie może uczynić nic, co mogłaby uznać za zniewagę, przeżył więc noc znojną i pełną słodyczy.

Następnego ranka jedna z jego kuzynek uśmiechała się za każdym razem, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Nazywała się Piękne Tany i była pucułowata jak świnka, ale miła i nadobna. Przypomniła mu się *Edrea*, unikał więc jak mógł spojrzenia kuzyneczki.

Zyskał sobie poważanie, gdyż powalił w walce kilku młodzieńców mniej więcej tego samego wzrostu co on i jakoś radził

sobie z żartobliwymi zaczepkami, ale i tak częściej nazywano go Nimmy'm niż Nyindenem.

W dniu opuszczenia kraju przodków podwójny agent Pasikoników, Czarne Oczy, przyniósł mu książkę, którą kupił od teksarkańskich żołnierzy. Czarne Oczy siedział w klatce po drugiej stronie przejścia, kiedy Czarnoząb i Kucisawy byli więźniami w cesarskim zoo, i nadal podziwiał Czarnozęba za rzekomą próbę zabicia Filipeo.

– Książka kosztowała mnie siedem wołków – powiedział mnichowi. – Szarf uważa, że może ci pomóc przy udzielaniu nauk jego bratankom, bo żołnierz twierdził, że jest napisana w naszym języku. Nie pojmuję, jak książka może mieć ten język, nie zaś inny.

Nimmy spojrział na nomadzki tytuł i poczuł przypływ żalu i wstydu. *Księga początków. Tom pierwszy*, pióra Verusa Sarquusa Boedullusa! Teksarkański wydawca wykonał dobrą robotę, dodając do opracowanej przez Czarnozęba wszechnomadzkiej ortografii nowe samogłoski, dzięki którym dla każdego nomady, bez względu na to, z jakiej hordy się wywodził, słowa brzmiały tak, jak w jego macierzystym języku. Na stronie tytułowej zaznaczono, że tłumaczenia dokonano w Opactwie Świętego Leibowitza, opuszczono jednak oczywiście imię tłumacza. Sam Czarnoząb go nie podał.

Przed oczyma jego duszy wyłoniła się twarz opata Jarada i zabrzmiał mu w uszach ten sam co niegdyś głos. „Pomyślże więc o setkach, o tysiącach żyjących w stanie dzikości młodzieńców, takich samych jak ty niegdyś. O swoich krewnych, znajomych. Chcę wiedzieć: jakież może być z twej strony większe zadośćuczynienie i jakaż większa satysfakcja może cię spotkać, niżli przekazanie swemu ludowi odrobiny wiary, cywilizacji, kultury, tego wszystkiego, co sam otrzymałeś tutaj, w Opactwie Świętego Leibowitza?”

– Czemu płaczesz, Nyinden? – spytał Czarne Oczy. – Czy to niedobra książka dla nomadów?

Rozdział 25

„Jeśli przybywa obcy mnich z dalekich okolic i chce jako gość zamieszkać w klasztorze, a spodobają mu się miejscowe zwyczaje i nie będzie wnosił niepokoju przez swoje nadmierne wymagania, ale zadowoli się po prostu tym, co zastanie, można go przyjąć na tak długo, jak tego pragnie”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział LXI

Podczas dwóch miesięcy, które matka Iridia spędziła na dworze Amena II w Nowej Jerozolimie, jeden z informatorów papieża doniósł mu, że księżniczka Kościoła i oblubienica Chrystusa trzy razy w ciągu każdego tygodnia odwiedzała Edreę Shardową w areszcie. Wahał się, czy powinien ją o to zagadnąć, albowiem dla każdego, kto to widział i o to dbał, było rzeczą jasną, że matka Iridia albo zabiega o duchową odnowę dziewczyny, albo uczy ją katechizmu według nowej wersji poprawionej i zalecanej przez Amena I. To wydanie katechizmu zostało już potępione jako heretyckie przez wielu biskupów ze Wschodu. Po jakimś czasie strażnik więzienny nie miał jednak wątpliwości, że dziewczyna pragnie wstąpić do wspólnoty zakonnej, której przełożoną była właśnie Iridia. Nikogo to nie zaniepokoiło poza Kucisawym, który poczuł wzburzenie i niepokój. Nawrócenia w więzieniu nie należą do rzadkości.

Starosta Dion jako głównodowodzący sił powstańczych w Prowincji większość czasu spędzał poza miastem, Slojon zaś interesował się religią wyłącznie jako narzędziem przydatnym do rządzenia ludźmi. Kiedy 12 sierpnia 4Edrea złożyła zwykłe śluby jako mniszka Zakonu Matki Boskiej na Pustyni, matka Iridia odwiedziła papieża i poskarżyła się, że świeckie władze Nowej Jerozolimy trzy mają jedną z jej zakonnic w więzieniu. Kucisawy uśmiechnął się i posłał po Slojona.

– Bez jakichkolwiek oskarżeń trzymasz w więzieniu siostrę od Świętej Klary z Asyżu – powiedział Amen H. – Czyż muszę ci przypominać, Messer, że nie masz żadnej władzy nad zakonnicami?

– Ależ Ojciec Święty, ja nie znam nawet siostry od Świętej Klary z Asyżu!

– Owszem, znasz ją, tyle że jako Shardową Edreę – odparł Kucisawy. – Została zakonnicą w zeszłym tygodniu, w dniu świętej Klary, tak więc matka Iridia nadała jej imię tej świętej i tym to imieniem będzie nazywana w swoim klasztorze.

Slojon zaczął złożyć:

– Nie można uznać, że nie sformułowano zarzutów. Złamała prawo, opuszczając wspólnotę bez pozwolenia z biura starościńskiego. Jest też podejrzana o szpiegostwo.

– Według mojej wiedzy, a zapewniam cię, że się nie mylę, nie szpiegowała na szkodę waszego państwa – burknął Kucisawy. – Jeśli zaś chodzi o inne zarzuty, jakie przeciwko niej wysuwasz. Kościół naucza posłuszeństwa wobec prawowitych rządów, takich jak wasz. Ponieważ ta osoba przyznaje się do nieposłuszeństwa wobec obowiązującego prawa, przyrzekam, że zostanie za to odpowiednio ukarana. Muszę jednakowoż zwrócić uwagę na fakt, że nie wymagacie już przestrzegania prawa, które złamała. To wasza sprawa. Tak jak siostra Klara to nasza. Winienieś przekazać ją bez zwłoki trybunałowi kościelnemu. Wiesz dobrze, jakie sankcje grożą za przywłaszczanie sobie jurysdykcji kościelnej. Mój świętej pamięci poprzednik nie zawahał się ekskomunikować samego cesarza Teksarku za uwięzienie mnie i mojego sekretarza.

– Więc na tym polega sztuczka! Ze mną się to nie uda.

Slojon odwrócił się i wyszedł, nie racząc zdobyć się nawet na słowa pożegnania.

Kucisawy natychmiast przygotował list do wszystkich duchownych na obszarze Ssamieto, zakazujący udzielania synowi starosty sakramentów, póki nie posłucha rozkazu i nie przekaże Kurii siostry Tidrei od Świętej Klary z Asyżu. Papież zdawał sobie sprawę, że Slojon nie przykłada wagi do takiej sankcji i że będzie ona dla niego jedynie upokorzeniem i przedstawi go w niekorzystnym świetle, kiedy jej treść będzie mógł przeczytać każdy w dowolnym kościele na górskim obszarze.

Slojon nie ustąpił, póki jego ojciec nie wrócił tydzień później z pola bitwy. Dion naradził się z papieżem. Najpierw omówili sprawę wojny, która toczyła się w Prowincji i ugrzęzła w

okolicy 98 południka. Potem przeszli do kwestii Edrei. Bez względu na to, w co Dion wierzył prywatnie, publicznie przedstawiał się jako katolik. Po naradzie przekazał pieczę nad siostrą Klarą matce Iridii Silentii, ODD, która objęła rolę jej obrońcy. Sankcje w stosunku do syna starościńskiego zostały cofnięte. Papież posunął się nawet do tego, że pozwolił Slojonowi asystować nauczycielowi Abraha kardynałowi Linkon jako inkwizytor i oskarżyciel.

Takie zakończenie sprawy było do przewidzenia. Jedynym punktem spornym była teraz kara, jaką najwyższy kapłan nałoży na mniszkę.

Kucisawy zauważył, że urody bosonogiej siostrzyczki, która stanęła przed jego obliczem, nie uszczupliło macierzeństwo ani nie zaćmił całkowicie habit z grubej tkaniny. Była promienna, uśmiechała się do niego nieśmiało, a jej oczy patrzyły wyczekująco, lecz bez lęku. To niedobrze. Najwyraźniej chodziło w tym wszystkim o spisek, i to taki, który się powiódł. Slojon wiedział już, że został wyprowadzony w pole, ale... jego uwagę przykuł nieśmiały uśmiech.

I zabrał głos Amen II, który czynił wysiłki, by jego słowa zabrzmiały surowo.

– Siostrze Edreo od Świętej Klary z Asyżu, zostałaś oddana pod wieczystą opiekę kardynalessy Silentii. Za złamanie ustalonych przez prawowite władze i obowiązujących w Nowej Jerozlimie przepisów skazujemy cię na przebycie Rzeki Śmiałej i spędzenie tam reszty życia na wygnaniu, chyba że Stolica Święta zechce tę karę złagodzić. Jeśli ważysz się przekroczyć ową rzekę z powrotem, z południa na północ, sam ten czyn sprawi, że będziesz wyklęta z Kościoła.

Uśmiech Edrei nie zmienił się ani trochę. Wyrok nie różnił się w niczym od tego, do czego zobowiązywały już ją śluby zakonne. Podeszła powoli i przyklękła, by pocałować pierścień swego sędziego.

– Gdzie jest Czamożab? – szepnęła.

Kucisawy stłumił chichot wywołany tą zuchwałością i odszepnął:

– Nie mam zielonego pojęcia.

Tak oto zdarzyło się, że kardynalessa opuściła Nową Jerozolimę z siostrą Edreą od Świętej Klary i trzema innymi mniszkami, swymi asystantkami jeszcze z Valany. Zaopatrzone powóz we wszystko, co niezbędne, i czterech konnych żołnierzy wyznaczono do eskorty, która miała odprowadzić je aż nad Rzekę Śmiałą. W ostatniej chwili Iridia złożyła jeszcze raz wizytę papieżowi i poprosiła słodkim głosem o pozwolenie na postój i wypoczynek w Opactwie Leibowitza, nadłożą bowiem niewiele drogi, a i podróż przedłuży się ledwie o kilka dni.

Kucisawy wpatrywał się w nią ze zdumieniem. Kardynalessa Silentia była prawie w jego wieku, a mimo to jej szczupła twarz nie utraciła urody, wdzięku ani powabu. Papież widział już, że księżniczka Kościoła jest pod urokiem Edrei.

– Chce dowiedzieć się, czy Czamoząb wrócił do opactwa – westchnął najwyższy kapłan.

– Mnie też to przyszło do głowy, Ojczy Świąty. Lecz tamtejsze hospicjum jest stosowne i bezpieczne. Bracia i moje siostry będą się widywali tylko w kościele, a i to nie jest pewne.

– No dobrze, jeśli jednak ją stracisz, i ją, i ciebie czekają poważne kłopoty. – Udzielił

pozwolenia, był bowiem przekonany, że ani Czamoząb, ani opat Olshuen wzajemnie za sobą nie tęsknią. – Jeżeli jednak spotkasz gdziekolwiek brata od Świętego Jerzego, zechciej powiedzieć mu, że ma się tu stawić bez chwili zwłoki.

Iridia przyklęknęła i po chwili opuściła komnatę.

Wszystko to działo się trzy tygodnie przed dotarciem do Nowej Jerozolimy listu Nimmy'ego z pola bitwy na wschodnich Równinach. Kucisawy uznał list za irytujący i powiedział posłańcowi: „Niech weźmie udział w rzeźnym świącie, a potem ma ruszyć tyłek i pokazać się tu jak najszybciej”.

Po wypowiedzeniu tych słów Amenowi II stanął przed oczyma obraz przyszłości Czarnozęba – wstrząs, kiedy dowie się o nagłym powołaniu zakonnym /Iklrei i o karze, na jaką skazał ją papież. Wstrząs i być może wściekłość. Doszedł do wniosku, że nie wezwie

mnicha przed swe oblicze natychmiast po przybyciu. Niechaj dowie się wszystkiego od Qum-Do, Jing-U-Wana, Wooshina i dwóch wschodnich sekretarzy, których Kucisawy odziedziczył po kardynale Ri. Ci rozumieją przynajmniej, jakimi motywami się kierował i czego wymagały od niego okoliczności. Brat od Świętego Jerzego prędzej czy później przyłoży religijną miarę do swego zagniewania, a wtedy papież będzie się mógł bezpiecznie z nim zobaczyć.

Wrzesień miał się ku końcowi, a Czamożab nadal nie przybył do zbudowanego z bali Watykanu Amena II. Jego Świątobliwość łyknął resztkę brandy, oparł pięty o blat stołu, odchylił się do tyłu i obdarzył uśmiechem swego podstarzałego osobistego strażnika. Jedna jedyna świeca oświetlała prywatny gabinet Kucisawego w Pałacu Papieskim. Ściany były z belek, posadzka z wypalanej gliny, ale przez wychodzące na południe okno świecił wyjątkowo jasno księżyc w pełni i wszystko lśniło od jego blasku, nawet twarz papieża i wojownika.

– Toporze, czy wiesz, jaki mamy dzień jutro?

– Czwartek, dwudziesty dziewiąty września, Wasza Świątobliwość.

– To dzień świętego Michała, naczelnego wodza niebieskich hord.

– Myślałem, że niebieskich zastępów.

– Ależ skąd! Wszyscy aniołowie to nomadzi, są ich całe hordy. I co z tego, Wasza Świątobliwość?

– Toporze, przecież Katedra Świętego Michała Anioła Wojny znajduje się w Mieście Hannegana i zarządza nią Urion Benefez. Dla niego jutro będzie dzień święta i uroczystej mszy. Ja zaś odprawię taką samą mszę, tyle że cichą. Ewangelia na ten dzień to dziesięć pierwszych wersów z Mateusza, rozdział trzynasty. Na pierwszy rzut oka nie mają nic wspólnego z Archaniołem Michałem. Jezus przywołuje do siebie małe dzieci i mówi, że wszyscy musimy stać się takimi dziećmi, żeby wejść do nieba. Czy to nie dziwne?

– Nie. Anielski miecz daje dzieciom życie.

Kucisawy zamilkł. Wiedział, co ma na myśli Topór, jakże jednak osobliwie to ujął.

– Pewien stary Żyd powiedział mi, że nasz Anioł Wojny jest obrońcą Synagogi, podobnie jak dlanasjest obrońcą Kościołamatki. I oczywiście jej dzieci. Chyba to właśnie tłumaczy, dlaczego wybrano właśnie tę Ewangelię. Czy wiesz jednak, że gromada starych nomadzkich

kobiet ożeniła mnie z Grobnichą, Sępem Wojny?

– Wspominałeś o tym już wielokrotnie, Wasza Świątobliwość. Mam nadzieję, że to udany związek.

– O tak, a jakże! Zdaje się, że wygrywamy wojnę – Papież nalał sobie jeszcze jeden kieliszek brandy. – Czuję się jednak dziwnie, wznosząc teraz modły do Michała. Mam nadzieję, że wódz anielskiego wojska zechce mi wybaczyć. Zostałem zmuszony do tego małżeństwa. Czy powinienem przeproszać za to, że wyobrażam sobie Benefezowego Anioła Wojny zagniewanego na moją nadprzyrodzoną ptasią małżonkę?

– Nie.

– O, widzę, że masz swoje zdanie. Pytanie było retoryczne, Toporze, czemu więc powiedziałaś „nie”?

– Bo anioł i sęp to jedno i to samo.

– Wolałbym, abyś powiedział, że są po tej samej stronie. Nigdy nie będziesz chrześcijaninem, nieprawdaż, Wooshinie? A mimo to miewasz wstrząsające przeczucia. Opowiedz mi jeszcze raz o Zabójcy Ludzi.

– Jeszcze raz? Nie pamiętani, bym kiedyś ci o nim opowiadał, Wasza Świątobliwość.

– I nie opowiadałeś. Usłyszałem tylko, co mówiłeś Czarnożębowi. Kim jest Zabójca Ludzi?

– Współczującym. – Głos Topora zabrzmiał uroczyście.

Kucisawy przyglądał mu się w świetle księżyca. Zamyślił się.

– Mój lud ma takie stare porzekadło: „Miecz, który zabija, daje też życie” – dodał Wooshin.

– Wypij jeszcze kieliszek tej zacnej górskiej brandy. Komuż jednak miecz dał życie?

Topór podziękował za trunek.

– Gdziekolwiek dochodzi do walki, miecz daje śmierć jednemu człowiekowi, a życie drugiemu. Także życie jego rodzinie, czeladzi i panu.

– To prawda, zdaje się, że twój miecz dał mi raz bądź dwa razy życie. Porzekadło nie jest jednak takie głębokie. Mówisz czasem rzeczy, które każą ludziom myśleć, że mylisz Boga z diabłem, Wooshinie.

– Mam nadzieję, że Wasza Świątobliwość do tych ludzi nie należysz.

– Nie, co jednak powiesz na to oskarżenie?

– Zaprzeczam. Jakże mogę ich mylić? Widzę, że nie są rozdzieleni.

Kucisawy roześmiał się.

– Toporze, czyżbyś uczył się sztuki paradoksu u Amena Specklebirda?

– Nie, ale rozmawiał ze mną kilka razy bardzo przyjaźnie. Powiadasz, że nigdy nie będę chrześcijaninem. Komendant Jing mówi to samo. Gdybym jednak mógł być uczniem świętego Specklebirda, być może zostałbym chrześcijaninem.

– Widzę, że go kanonizowałeś. To moja sprawa. Jesteś ateistą?

– O nie, czcuję wszystkich bogów.

– Ilu mieści się w tym „wszystkich”?

– Niezliczone mnóstwo. I jeszcze jeden.

– Jakież to wyzbycie wszelkiego znaczenia!

– Wasza Świątobliwość, zechciej policzyć do jednego.

– Jeden.

– Wskaż tego jednego.

Kucisawy poruszył się niespokojnie. Po jakimś czasie przytknął palec wskazujący do swojej skroni.

Wooshin zaśmiał się z cicha.

– To błąd. Pewnie za długo nad tym myślałeś. I nie policzyłeś do jednego, lecz zacząłeś liczyć i przerwałeś. Jeden jest niepoliczalny.

Papież zmienił temat rozmowy. Nie był mistykiem, ale miał wrażenie, że mistycy lgną do niego jak muchy. Specklebird, Czamożab, Wooshin – wszyscy mieli ten rys osobowości, choć tak bardzo się od siebie różnili. Był zafascynowany, ale nie pojmował.

W mieście Hannegana cesarz zebrał w połowie września swoich generałów i nie posiadał się z radości z powodu zdobyczej broni. Ogień, który ją strawił, nie przeszkodził w zbadaniu jej budowy, choć uniemożliwił użycie. Łożyska i kolby spłonęły, wiele bębenków

zostało rozerwanych wskutek wybuchu pocisków, żar i wybuchy beczek z prochem wygięły niejedną lufę. Filipeo z miłością obracał szczątki w brudnych od sadzy rękach. Zdaniem rusznikarzy skopiowanie broni z Zachodniego Wybrzeża będzie możliwe, gdy tylko będą mieli odpowiednie wyposażenie, uzyskają odpowiedniej jakości stal i będą mieli miedź do produkcji mosiężnych łusek – oczywiście pod warunkiem, że jego siły nie załamają się do tego czasu.

W tym czasie admirał e’Fondolai, Carpios Zbój, miał już na wyposażeniu kilka tuzinów nowej broni. Wkrótce on i Esitt Loyte (którego żołnierze nazywali Drewnianym Nosem) zaczną wypady z północnego brzegu Mizerii. Okryci wilczymi skórami teksarkańscy żołnierze przebrani za bezmacich wyrzutków narobią dość spustoszeń wśród pozostawionych bez opieki nomadzkich kobiet i koni, by ściągnąć na siebie lewą flankę krucjaty prowadzonej pod sztandarami antypapieża.

– Admirał? – zaprotestował generał Goldaem. – Myślałem, że Carpy został marszałkiem polnym.

– W tej chwili jest admirałem – odparł Filipeo. – Admirał to pirat w mundurze, pirat zaś nie myśli o zdobywaniu terytoriów. Jego metoda walki jest doskonale dopasowana do oceanu traw, jakim jest nomadzka ojczyzna.

Czas i tenor działały na korzyść cesarza. Walczące ze sobą armie Kościoła i państwa umocniły się na przeciwległych brzegach rzeki Washita i Filipeo miał mniej trudności z zaopatrywaniem swoich żołnierzy niż Amen II. Co więcej, Kucisawy liczył na siły, nad którymi nie miał żadnej kontroli.

– Antypapież mniema, że zapewnił sobie wieczystą wierność Hordy Dzikich Psów, aleja nie byłbym tego taki pewny – powiedział Filipeo swoim generałom. – Podobno szarf Kopyt liże fałszywemu papieżowi buty, ale wydaje się jednocześnie, że Hpngan Osie Chiir umiał wznieść się ponad plemienne interesy Dzikich Psów i stać się, jeśli można tak rzec, szarfem nad szarfami wszystkich hord. Nawet szarf Diable Światło składa hołd swemu włodarzowi, a wiemy przecież, jak Dzikie Króliki rzuciły się w jego ramiona i powstały przeciwko nam. Elttir jest bez wątpienia tak samo naszym wrogiem, jak przedtem jego brat Hultor, ale potrafi być ostrożny, sprytny i

rozsądny. I w przeciwieństwie do Hpngana nie jest chrześcijaninem. Nie można wykluczyć, że podejmiemy z nim rokowania.

– Nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem, panie – odezwał się ksiądz pułkownik Pottscar. – Mówisz tak, jakby świat chrześcijański żądał podporządkowania się fałszywemu papieżowi.

– Nie, Pottsy. Chodzi po prostu o to, że szarf Eltiir, któremu chrześcijaństwo jest obce, nie dba o wewnętrzne spory w Kościele. Tym samym nie ma związanych rąk i może negocjować.

Kilka dni później radość Filipeo Harqa przekroczyła wszelkie granice i puścił się nawet na trzy sekundy w skoczny tan w swoich prywatnych apartamentach, kiedy jego stryj Urion przybył z nowiną, że Sorely kardynał Nauwhat porzucił służbę u fałszywego papieża. Zamarł w środku tanecznego pas, gdyż uświadomił sobie, że ta nowina powinna dotrzeć do niego wcześniej niż do stryja.

– Dlaczego dowódca, który przyjął odstępcę, nie złożył mi natychmiast meldunku? – spytał.

– Umówiłem się z Sorely'm, kiedy przebywał jeszcze w Valanie, i nakazałem straży granicznej respektować ten układ. Dowiedziałem się, że przybywa, gdyż zgodził się przejść na naszą stronę pod warunkiem, iż moja archidiecezja zapewni mu azyl.

– Co za świnię! Prowadzisz sabotaż w moim własnym wojsku! Musi polecieć kilka głów. I od kogo spodziewa się azylu? Ode mnie? – warknął Filipeo.

– To oczywiste. I nie pozwolisz chyba, żeby poleciała głowa księdza pułkownika Pottscara albo moja.

– Psiakrew! Przecież pod moją opieką kardynał jest całkowicie bezpieczny. Wydam na jego cześć oficjalną ucztę.

– On tego się właśnie obawia. I choć przy tobie nie spotkałaby go żadna krzywda, z pewnością nie obyłoby się bez przesłuchania.

– A coż on ma do ukrycia?

– Wszystko! Przybył tutaj, by znaleźć się jak najdalej od przebywającego w zachodnich górach szaleńca, nie zaś by go zdradzić. Nie udzieli wsparcia i nie doda otuchy żadnej ze stron. Zachowa neutralność, ale tylko jeśli ja będę go chronił.

Cesarz skubał się nerwowo w płatek ucha, krążąc po komnacie.

– Na Boga! – wykrzyknął po jakimś czasie. – Kiedy będzie już po wszystkim i przystąpi się do wyboru prawdziwego papieża, czyją

kandydaturę wysuniesz? Kto może być lepszy niż kardynał, który dochował wierności zasadom, ale zachowywał neutralność? – Obrócił się, by spojrzeć na arcybiskupa i natychmiast roześmiał się. – Ależ stryju Urionie, zbyt często oskarżano cię o nieobyczajność, byś mógł zostać papieżem. Jestem pewny, że te oskarżenia są fałszywe, ale... – Wzruszył ramionami.

– No tak – powiedział Benefez. – Przypuszczam, że Sorely pomyślał o oszczerstwach, jakie rzucał Hoydok.

– Traktuj go dobrze, stryju, nawet jeśli obawiasz się jego ambicji. I pozwól, bym odwiedził go w twoim pałacu. Zaproś nas obu na wieczerzę.

– Nic z tego, póki nie oswoi się z tą myślą. A jeśli już to zrobi, zaproszę cię. W przeciwnym razie nie usłyszysz nawet wytłumaczenia.

Zaproszenie na kolację w pałacu arcybiskupim Filipeo otrzymał już po trzech dniach. Skwapliwie je przyjął i serdecznie powitał odszczepieńca Nauwhata w Mieście Hannegana. Gdy tylko jego wuj przeprosił zwięźle swoich gości po wysłuchaniu przekazanego szeptem przez subdiakona Torrilda meldunku, cesarz zaczął wypytywać kardynała.

– Na Kucisawym ciąży w Cesarstwie wyrok śmierci w zawieszeniu – powiedział Filipeo Oregończykowi, kiedy Benefez nie mógł już słyszeć jego słów. –Jego wybór był aktem wojny Kościoła valańskiego przeciwko Teksarkowi. Jeśli wpadnie w nasze ręce, zostanie zabity. Nie może mieć ci za złe, żeś odwrócił się od niego.

– Nie, panie. Lecz określiłeś jego wybór jako wypowiedzenie wojny przez valańskie duchowieństwo, a przecież ja przyczyniłem się do tego wyboru. Nie myślałem, nie myśleliśmy o tym jako o wypowiedzeniu ci wojny. O tym mogę zapewnić.

– Powiadasz, że wybrało go valańskie duchowieństwo? Nie Święte Kolegium?

– Panie, na wygnaniu duchowieństwo valańskie jest duchowieństwem rzymskim. Kolegium Święte jest duchowieństwem rzymskim tylko dlatego, że każdy z jego członków zarządza kościołem w Rzymie lub Valanie. Lecz w sytuacjach krytycznych duchowieństwo

diecezji rzymskiej wybiera sobie biskupa. Kolegium to późniejszy okres w dziejach Kościoła.

– Och! Zastanawiałem się, jak uzasadnialiście rzekome konklawe!

– Sądzę, że było uzasadnione. Lecz potem Kucisawy opuścił Kurię. Możesz uznać, że to tylko jego wojna, aczkolwiek inni zgłaszają do niej roszczenia i ją prowadzą. Byłem w Valanie, a jednak nie zasięgnął mojej porady, kiedy ogłaszał krucjatę. Nie jestem nawet pewien, czyjego wojna jest sprawiedliwa. A co dopiero święta?

– Mnie jednak doniesiono, że przed wyborem odbyła się narada wojenna, w której i ty uczestniczyłeś. I jak to się stało, żeś dołączył do Chuntara Hadali, kiedy ten podjął próbę dostarczenia broni do Doliny?

– Towarzyszyłem mu tylko w podróży przez Równiny, panie. Opuściłem go, nim doszło do bitwy.

– No dobrze, wyjaśnij mi coś innego. Kiedy Kucisawy zaczęły gromadzić arsenał w górach Ssamieyto?

– Czy kardynał Benefez nie powiedział ci, że nie udzielę żadnej odpowiedzi w sprawach dotyczących wojska? Nie jestem szpiegiem.

Arcybiskup Benefez wrócił w tym momencie do stołu, a ponieważ usłyszał koniec rozmowy, miał pretensję do bratanka, że ten złamał obietnicę i dręczył niestosownymi pytaniami oregońskiego kardynała.

Mimo to cesarz opuścił pałac arcybiskupa z uczuciem satysfakcji. Odstępstwo Sorely kardynała Nauwhata, który przyjął gościnę w pałacu jego stryja, zwiększało wiarygodność sprawy Filipeo. Chociaż Nauwhat odmówił rozmowy z służbami wywiadowczymi i dał wyraźnie do zrozumienia, że uważa się za równego swemu gospodarzowi, cesarz, był zachwycony perspektywą nawiązania przyjaznych stosunków z ludem Nauwhata, Oregończykami. Był to dziwny ruch skoczka na kontynentalnej szachownicy: dwa pola na zachód, jedno na północ. Oregon leżał nie tak daleko od tego miejsca na Zachodnim Wybrzeżu, które było zdaniem cesarza źródłem broni dla Kucisawego. Kucisawy miał tam posiadłości i czerpał z nich dochody. Filipeo uznał, że zaraz po zwycięstwie obsypie władcę

oregońskiego darami – bez względu na to, kto będzie wówczas tym władcą.

Kiedy Hadala gotował się do opuszczenia Valany przed porą zbiorów, na wschodzie król Tenesi wykorzystał kłopoty naczelnika z Pasikonikami i armią Kucisawego w Prowincji. Najechał zależne od Teksarku marionetkowe państwo Drewnoland rozciągające się na wschodnim brzegu Rzeki Wielkiej. Filipeo Harq wysłał na drugi brzeg rzeki regularne wojska, by wyprzeć Tenesów z terenów swego spalonego i splądrowanego sojusznika. Ale Tenesowie byli przygotowani i wycofali się natychmiast w niedostępne góry, w które teksarkariski generał postanowił jednak się zagłębić.

Kucisawy dowiedział się zgodnie z biegiem rzeczy o tych batalionach, które składały się na pułk doświadczonej piechoty górskiej. Posłał kuriera, który miał donieść Tenesom, że papież pragnie, by zatrzymali wojska teksarkańskie do wiosny, jak najmniej angażując się przy tym w starcia. Kurier miał meldunek wytatuowany szyfrem w kroczu, a był za tęgi, żeby pochylić się i odczytać go bez lustra, nie mówiąc nawet o tym, że nie miał klucza do szyfru. Kucisawy nie martwił się o niego, wydawało się bowiem, że nie ma powodu, by torturować zwykłego posłańca. Zdarzyło się jednak, że agenci cesarskiego wywiadu złapali go i poddawali mękom, aż wyznał, iż tatuaż jest meldunkiem przeznaczonym dla Tenesów, potem zaś nie ustalili w dręczeniu nieszczęśnika, aż nabrali pewności, że nie zna szyfru. Postanowili, że nie będą go zabijać, przywiązali go za to do stołu operacyjnego i wycięli meldunek nożem garbarskim. Puszczono go wolno, ale nie mógł chodzić z powodu bólu w kroczu. Wyciętą skórę dręczyciele zasypali solą, rozpięli na deseczce i posłali do Miasta Hannegana w celu dokonania stosownych badań. Nóż, którym posługiwali się podczas operacji, nie był sterylny i w rezultacie tęgi kurier papieski zmarł na posocznicę.

Dowiedziawszy się o jego losie, Kucisawy mógł tylko dodać kolejne sankcje kościelne do ekskomunik i anatem, jakimi obłożeni już byli Filipeo Harq i jego stryj, apostoł platońskiej przyjaźni i innych odszczepieńczych dewiacji.

Wooshin robił, co mógł, by pocieszyć swego pana.

– Wydaje mi się, Wasza Świątobliwość, że Tenesowie i tak zrobią to, czego chciałeś od nich zażądać.

– Uważasz więc, że niepotrzebnie poświęciłem posłańca?

Wooshin milczał, pamiętał bowiem, że jego pan, nawet jeśli podzielał jego obojętność w sprawach życia i śmierci, nigdy nie pozwoliłby sobie na dopuszczenie tego do swej świadomości.

– O ileż prościej było prowadzić wojnę mając taką łączność, jak w czasach Magna Civitas\ Generałowie otrzymują nasze rozkazy – jeśli się uda! – wiele tygodni po ich wysłaniu i w sytuacji zwykle całkowicie już odmienionej.

– To prawda, Wasza Świątobliwość, i dlatego zgodnie z tradycją mego ludu generał w polu ma obowiązek rozważenia cesarskich rozkazów jedynie jako ojcowskich rad. Chyba, że walki toczą się bardzo blisko dworu. Jeśli zaś chodzi o Magna Civitas, brat od Świętego Jerzego powiedział mi, że ówczesni generałowie uskarżali się na zbyt obficie i szybko docierające rozkazy od władców. Skutek był taki, że wojną kierowali politycy, a więc ludzie nie mający pojęcia o sztuce wojennej. A poza tym sam pomyśl, panie mój, co się stało z Magna Civitas.

– Nie powinienem więc mówić Tenesom, co mają robić?

Wooshin znowu zamilkł, a Kucisawy uśmiechnął się.

– Toporze, gdyby to zależało ode mnie, ty dowodziłbyś operacjami w Prowincji, nie zaś rajca Dion.

– Nie mam ambicji dowodzenia armią, Wasza Świątobliwość.

– Był już listopad, kiedy Czarnoząb, kuśtykając, z obolałym paluchem, dotarł do zaśnieżonych gór w towarzystwie Aberlotta i kociaka kuguara, genoka z jednym uchem błękitnym i łbem w połowie łysym. Na papieskiej szybkiej drodze dzikopsia eskorta opuściła go i zaraz został obrabowany z konia przez wy krotników. Jęczącego, półprzytomnego, z wygłodniałym kotem ssącym mu zakrwawiony paluch znalazł Czarnozęba Aberlott, który zdążył już przywędrować do Valany, ale wyruszył na południe w nadziei, że znów zobaczy siostrę Jaesisa. Kiedy dotarli do wojskowego posterunku w Kotlinie Łukowej, okazało się, że imię Czarnozęba znajduje się na liście osób mających prawo przekroczenia granicy, Aberlotta zaś – nie. Przybył tu ze mną w zeszłym roku. Obaj byliśmy emisariuszami z Sekretariatu w Valanie.

– Nie mam na liście żadnego Aberlotta. I nie sędzę, żeby był jednym z nas.

– Ja teź nie jestem.

Żołnierz zmierzył mnicha osobliwym spojrzeniem.

– Nie? Przysięgłbym...

Aberlott wybuchnął śmiechem.

– Jesteś mamidłem, Nimmy. Wiedziałem, odkąd Edrea powie działa to Anali.

Czarnoząb zabełkotał coś niewyraźnie, a potem obrócił się do żołnierza i powiedział:

– Poręczę za tego idiotę.

Strażnik wezwał oficera. Czarnoząb musiał podpisać zobowiązanie, że bierze na siebie odpowiedzialność za Aberlotta.

– Jeśli on złamie prawo, ty poniesiesz karę.

– Cóż to za wspaniała okazja! – wykrzyknął Aberlott. – Ja zrobię coś brzydkiego, a ty dostaniesz lanie.

– Ciebie rozstrzelamy! – warknął oficer.

Kiedy jednak dotarli do nowej i tymczasowej Stolicy Świętej, troskliwą pieczę nad nimi objęli Wooshin, Qum-Do i komendant Jing, a na Nimmy'ego po raz drugi spadł obowiązek doniesienia im o śmierci słuźącego wspólnemu panu kamrata. Zmartwiła ich nieobecność Gai-See.

– Sędzę, że szarf Diable Światło zatrzymał go na jakiś czas, by nauczył sztuki walki młodych dzikokróliczych wojowników. Chciał zatrzymać także mnie, bym uczył ich czytać. Kiedy będę mógł stanąć przed obliczem Jego Świątobliwości?

Patrzył na Aberlotta i trzy... och!... pozbawione wyrazu żółte twarze.

Rozdział 26

„Często zdarza się, że przy ustanawianiu przeora dochodzi w klasztorze do poważnego zgorszenia. Niektórzy bowiem, nadęci złym duchem pychy, wyobrażają sobie, że są drugimi opatami”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział LXV

Kiedy mówili Czarnozębowi, co się stało z Edreą, byli przygotowani na to, że będą musieli unieruchomić go i związać, aż wysłucha wszystkiego, także obietnicy, iż papież zmieni wyrok, gdy tylko będzie mógł opuścić Nową Jerozolimę.

Ale Nimmy wysłuchał ich w milczeniu, załkał i powiedział:

– Dobrze! Co z Gai-See? Jeszcze nie wrócił?

– Nic o nim nie wiemy – oznajmił Topór.

Nimmy żądał audiencji u papieża, ale Topór przekonał go, że chwila nie jest odpowiednia. Czekali jeszcze pięć dni na powrót wojownika.

Potem Czamożab powiedział komendantowi Jingowi:

– Udaj się ze mną do Łukowej Kotliny.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem już sługą papieża. I Gai-See nie był nim, kiedy zaczął wykonywać rozkazy Hadali i Nauwhata. Strażnicy nie odpowiedzą na moje pytania. Może zechcą rozmawiać z tobą.

Jing zgodził się. Obszar miejski opuścili wczesnym rankiem i przed zmrokiem byli z powrotem w swoich kwaterach. Czamożab pozwolił, żeby złe wieści przekazał Wooshinowi osobiście Jing.

– Gai-See dotarł do Łukowej Kotliny kilka dni po Czarnozębie i Aberlottcie. Strażnicy pojмали go, oskarżyli o morderstwo i powlekli prosto przez górskie przełęcz. Zaprowadzili go na dwór Slojona przy centralnym placu. Postawiono go w stan oskarżenia i zamknięto w klatce. Slojon udał się prosto do papieża i zawiadomił go o wszystkim. Spotkanie odbyło się bez świadków.

– Pamiętam! – wykrzyknął Topór. – Nie wiedziałem, o co chodzi.

– To oczywiste – przytaknął Qum-Do. – Ty też tam byłeś – obrócił się do Jinga.

– Dlaczego więc nie wpadłeś w gniew, Toporze? – spytał Czamożab.

– Na kogóż?

- Na Ojca Świętego. A jakże! Zgodził się przecież na przetrzymywanie Gai-See w zamknięciu.

Było to coś tak bardzo nie do pomyślenia, tak obelżywego dla ich pana, że obrzucili go spojrzeciami, w których czaiła się wściekłość.

- A zatem, fałszywi przyjaciele, sam pójde do papieża w sprawie Gai-See - oznajmił Czamoząb.

- Nie ma mowy - powiedział Wooshin, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Jego Świętobliwość nie jest jeszcze przygotowany...

Ponieważ nazwanie go fałszywym przyjacielem okazało się niedostateczną prowokacją, Czamoząb spoliczkował Wooshina. Było to tak niespodziewane, że Topór nie zdążył się uchylić. Nimmy zrobił krok do tyłu i przyjął postawę obronną.

- Będziesz musiał mnie zabić, jeżeli zechcesz mnie powstrzymać, Toporze, a to nie spodoba się twojemu panu.

- Chyba nie myślisz, że wdrzesz się do środka bez...

- Nie masz tu nic do gadania. Muszę zobaczyć papieża. Jeśli chcecie, chodźcie ze mną. Spojrzał na wojowników Ri. Qum-Do i komendant Jing stali z dłońmi na rękojeści mieczów. Każdy z nich opuściłby Gai-See bez słowa protestu, gdyby tylko ich pan zmarszczył z jego powodu brwi. Tak samo Topór.

Nimmy odwrócił się do nich plecami i wyszedł. Słyszał, że idą krok w krok za nim. Doszedł już do siebie po obiciu przez wykrotników. Znowu z przyjemnością dotykał stopami ziemi. Odwiedził, wprawdzie na krótko, swoich przodków. Obcując z nimi, spostrzegł w sobie coś nowego, jakby przejrzał się w zwierciadle. Teraz ziemia, wszelka ziemia była jego i mógł ją deptać. Co więcej, widział nomadzką małżonkę papieża, czerwoną jak zachód słońca, unoszącą się nad zasłanym trupami polem bitwy. Gai-See to tylko pierwsza ze spraw, o jakich chciał rozmawiać z Amenem II. Miał niejasną świadomość, że złamał śluby posłuszeństwa, lecz tym razem nie czuł z tego powodu żadnej skruchy. Edrea stała mu bezustannie przed oczyma jak wizja, ale nie miał nic do powiedzenia na jej temat.

Drzwi do sali audiencyjnej zagradzał halabardą żołnierz z papieskiej Gwardii Przybocznej. Czamoząb nadepnął mu z całej siły piętą na trzewik, chwycił halabardę i wgniół jej drzewce w brzuch

gwardzisty, zmuszając go do cofnięcia się przez drzwi. Jego orientalni kamracy przyglądali się temu bez jednego słowa. Kiedy znalazł się w środku, natychmiast schwycili go kardynał Linkono i kardynał Wielki Penitancjariusz. Topór zrobił teraz krok, by im pomóc.

Na szczęście zasiadający na tronie Kucisawy krzyknął:

– Wpuście go. Wpuście wszystkich.

Czarnoząb podszedł do podwyższenia i padł na kolana przed swoim papieżem. Ten zaś wyciągnął ręce, żeby go dźwignąć, ale mnich cofnął się i stanął wyprostowany. Kucisawy przyglądał się mu, udając rozbawienie.

– Masz do mnie tak pilną sprawę, bracie od Świętego Jerzego? Omawialiśmy właśnie kwestie polityczne z moimi znakomitymi konfratrami. Jeśli chodzi o Edreę...

– Nie o nią. Kogóż tu widzisz, panie mój, poza swoimi znakomitymi braćmi?

– Jakże to? Widzę mnicha z nieszczęśliwą miną i trzech ludzi z mojej gwardii przybocznej.

– Czemuż nie czterech, Ojczy Świąty?

– Och, nie wiedziałem, że tak zbliżyłeś się do Gai-See. A to pech.

– Nie zbliżyłem się, ale twoja zdrada jest czymś gorszym niżli pechem.

Kucisawy zmarszczył czoło, jakby nie dowierzał własnym uszom.

– Widzę więc, że papież może czynić zło.

Kiedy z ust Czarnozęba padły obelżywe słowa, w powietrzu błysnęły obnażone miecze.

– Skoro wasz pan chce mojej śmierci, czemu się wahacie? Użyjcie swych mieczy!

Natychmiast odwrócił się z powrotem do Kucisawego.

– Czyż nie widzisz, coś uczynił? Tu, w tym miejscu, na twoich oczach, są gotowi uczynić to, co zrobił Gai-See. Tyle że Gai-See wiedział, że słuszność jest po jego stronie, oni zaś wiedzą, że służą złej sprawie. I Wasza Świątobliwość przyjmuje z czystym sumieniem taką wierność?

Kucisawy z wyraźnym zafascynowaniem wpatrywał się w swojego byłego nomadzkiego sekretarza. Czarnoząb usłyszał odgłos

wsuwanego do pochwy miecza. „To musi być komendant Jing – pomyślał. – Wooshin zabiłby go, gdyby tylko uznał, że przysłuży się w ten sposób papieżowi, i Kucisawy nie potrzebowałyby nawet dawać mu znaku ręką”.

– Czarnozębie. zawsze uczyłeś się szybko, ale teraz wzięłeś na siebie całkiem nową rolę, prawda?

– Ojciec Święty, jako katolik muszę wierzyć, że to, co zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie, i muszę wierzyć, że kiedy mówisz o wierze i moralności, Duch Święty strzeże cię przed popadnięciem w błąd.

– Musisz, lecz czy wierzysz?

– Chciałbym zadać pewne pytanie. Czy deklaracja wojny ma związek z wiarą i moralnością? Kiedykolwiek. Nawet jeśli nazwie się ją wojną świętą? Ojciec Suarez powiadał, a cytował nauki świętego Augustyna, że wojna o nawrócenie pogan nigdy nie jest sprawiedliwa. Czy wojna przeciwko chrześcijańskim heretykom może być sprawiedliwa, skoro przeciwko poganom nie jest?

– Nie prowadzimy wojny ani przeciwko poganom, ani przeciwko chrześcijańskim heretykom. To wojna przeciwko tyranowi, który przywłaszcza sobie uprawnienia apostolskie i cały świat trzyma w ucisku.

– Lecz giną poganie i chrześcijańscy heretycy, tyran zaś nadal żyje i nadal sprawuje apostolską władzę.

Wydawało się, że Kucisawy zaklął pod nosem, ale szybko nad sobą zapanował.

– Napisałeś, Nimmy, że zabiłeś w bitwie człowieka. Czy to ci tak doskwiera?

Czamożab skinął głową i zaczął mówić powoli:

– Żołnierz w teksarkańskim mundurze był twoim dzieckiem, Ojciec Święty, był genokiem z Doliny. Chciałem chybić, ale źle strzelani i trafiłem go prosto w brzuch. Chciał, bym strzelił mu w głowę, ale ja poderżnąłem mu gardło, gdyż przyglądał mi się sierżant. Tak, Ojciec Święty, chyba to właśnie mi doskwiera. Ponieważ zabiłem człowieka, wystarczyłby obrzęd inicjacyjny, by Eltiir Bram uczynił ze mnie nomadzkiego wojownika. Nie musiałbym przejść próby bitwy. Przestaliby nazywać mnie Nimmy i śmiać się z tego imienia. Nie dbam o imię, nie dbam o śmiech. Nie

chcę już nigdy zabijać. Ale nie chcę też, by Gai-See został ukarany. W jego oczach Hadala był uciekinierem spod twojej komendy. Nie mógł aresztować ani jego, ani Gleavera. Uczynił to, co uważał za konieczne.

– Nie miał na to mojego pozwolenia.

– Przyjąłeś jego usługi jako wojownika. Czy naprawdę cofnąłeś mu pozwolenie, które się z tym wiązało?

Amen II zmarszczył brwi i zażądał by wszyscy, poza Czarnozębem i jednym strażnikiem, opuścili salę. Strażnik, ten z brzuchem obolałym wskutek pchnięcia drzewcem halabardy, zamknął drzwi, kiedy wszyscy wyszli.

– Nuże, powiedz wszystko, co masz do powiedzenia.

Czamożab rozejrzał się, żeby mieć pewność, że wyszedł kardynał Linkono.

– Przede wszystkim Gai-See jest zakonnikiem, a tym samym...

– Rozumiem – przerwał mu Kucisawy. – Zażądałem jurysdykcji w sprawie Edrei, dlaczegożby więc nie w sprawie Gai-See? Ponieważ żaden papież nie zatwierdził na razie zakonu, do którego należą, jak twierdzą, ludzie kardynała Ri. Oto dlaczego! Zrobię to wcześniej czy później, lecz nie mogę uczynić tego ot tak, tylko po to, by uwolnić Gai-See. To byłoby zbyt przejrzyste. Mówże jednak, jeśli masz coś jeszcze do powiedzenia.

– Nie mogę, Wasza Świątobliwość, przemawiać do wikariusza Chrystusa tak swobodnie, jak poprzednio do mego chlebodawcy, Sekretarza do nadzwyczajnych spraw Kościoła. Nie znam wikariusza Chrystusa.

– A mnie się wydaje, że pozwoliłeś sobie na sporo swobody, przemawiając do mnie. Przypuśćmy jednak, że zdejmę piuskę i zapewnię cię, że wikariusz Chrystusa wziął sobie dzień wolny. Jestem nadal Elią Kucisawym, bękartem zrodzony z nomadzkiej lesbijki zgwałconej przez teksarkańskiego łotrzyka. A zatem, Nyindenie, parobku z nomadzkiej farmy, były mnichu, były kochanku, mów, co cię dręczy. Mogę wyrzucić cię za drzwi, ale nie wtrączę cię do lochu.

– Zwolnij więc z lochu Gai-See!

– Nie ja go uwięziłem, lecz kardynał Linkono.

– Bez twojego pozwolenia?

- Nie rozumiesz, jaka panuje tu sytuacja, Czarnozębie. Nie powiem, że jestem tu jeńcem. W każdym razie póki nie spróbuję wrócić do Valany i nie sprawdzę w ten sposób, czy mi na to pozwolą. Kardynał Linkono zawiadomił mnie o aresztowaniu Gai-See. Chuntar Hadala był dla tych ludzi biskupem, gdyż był biskupem Doliny. A stamtąd przyszedli. Slojon i wszyscy tutaj wiedzą, że posłałem ludzi, żeby aresztowano Hadalę, no i...

- O! Kiedy więc Gai-See go zabił, pomyśleli, że to ty kazałeś go stracić.

- Do tego się nie posunęli, lecz z pewnością zaczęliby to podejrzewać, gdybym wystąpił o jego uwolnienie. Zabił biskupa, księcia Kościoła. Kardynał Hadala cieszył się tutaj powszechną sympatią.

- Byłem tam, kiedy to się stało, Ojczy Świąty. Gleaver i jego oficerowie strzelali przez cały czas do tych z nas, którzy okazywali chwiejność lub próbowali się cofnąć. W tej sytuacji Gai-See strzelił w samobronie, w obronie nas wszystkich. Przedtem jednak podczołgał się pod ostrzałem do mnie. Spytał, czy to prawda, że kardynał Hadala złamał twoje rozkazy i zdradził cię. Potwierdziłem. Wiedziałem, co zamierza, i miałem nadzieję, że to uczyni. To ja skazałem kardynała na śmierć! Winienieś mnie też aresztować, Ojczy Świąty.

- Zobaczą, co się da zrobić – powiedział posępnie Kucisawy.

Skinął na żołnierza i szepnął mu na ucho rozkaz. Gwardzista z obolałym brzuchem chwycił Czarnozęba za ramię, zaprowadził go do więzienia i zamknął w celi z Gai-See. Padli sobie w ramiona, a wtedy gwardzista wetknął przez kratę drzewce halabardy i z całej siły dźgnął Czarnozęba w nerkę.

- Wkrótce po ciebie wrócę – zapewnił z uśmiechem pełnym słodyczy.

Gai-See nie siedział sam. Zamknięto tu także dwóch ludzi, którzy twierdzili, że są politycznymi uciekinierami z Cesarstwa i pragną uzyskać azyl w Nowej Jerozolimie. Czekali na staranne sprawdzenie swych twierdzeń. Jednym był Urik thon Yordin, SI, ignacjanin, także profesor historii na świeckim uniwersytecie w Teksarku, tenże, którego Kucisawy podejrzewał o wynajęcie zbirów, mających zabić ich w Wielkanoc przed poprzednim konklawe. W jakiej rozpaczliwej

sytuacji musiał się ten człowiek znaleźć, skoro uciekł z Teksarku i szukał azylu właśnie tutaj! Zerknął raz na Czarnozęba, ale nawet nie próbował go rozpoznać.

Drugim był Torrildo.

– Boże mój, toż to Czarnoząb! Nawet sobie nie wyobrażasz, co ta bestia, Benefez, mi zrobiła!

Nimmy usiadł na łożu Gai-See i jął wypytywać wojownika. Starał się nie zwracać uwagi na słowa Torrilda, który pragnął wyznać mu intymne, lecz okrutne grzechy, jakich arcybiskup Teksarku dopuścił się na jego osobie. Zdaniem Gai-See Yordin i Torrildo uciekli nie przed straszliwym cesarzem, lecz przed rozwścieczonym arcybiskupem, który uświadomił sobie nagle, że nigdy nie będzie papieżem – nawet jeśli bratanek zetrze w proch wszystkich nieprzyjaciół. Yordin popełnił tę nieostrożność, że otwarcie powiedział na uniwersytecie, iż Benefez jest teraz non papabilis, Torrildo zaś był żywym przypomnieniem faktu nieosiągalności tiary. I w jednym, i w drugim przypadku to spowiednik doradził penitentowi odbycie pokuty jak najdalej od biskupa ordynariusza diecezji. Siedzieli więc teraz w nowojerozolimskim więzieniu i nie tracili nadziei, że przedstawiają pewną wartość dla papieża, który ma władzę zwrócenia im wolności. Czarnoząb uznał, że jest to interesujące i że los zadrwił z tych dwóch. Postanowił jednak, iż nie będzie się przejmował tym, co ich spotka.

Po jakimś czasie przyszedł gwardzista i zaprowadził go z powrotem do sali tronowej. Czarnoząb spytał szeptem Wooshina, czy wie o Yordinie i Torrildzie, ale Topór milczał.

– Czy Gai-See jest chory? – zapytał Kucisawy. – Czy jest źle traktowany albo głodzony?

– Serce ma chore. Trzymanie go w klatce to złe traktowanie. To samo dotyczy jedła, które mu dają.

– Gdybyś nie zaszył się z Amenem Specklebirdem, kiedy wysadzili pałac, nie doszłoby do tego wszystkiego. Przybyłbyś tu ze mną. Teraz jesteś pełen gniewu, jakbym to ja posłał cię, byś walczył i zabijał.

– Nie zaszyłem się z papieżem.

– Po prostu się modliliście?

- Nie tylko. Rozmawialiśmy. Między innymi o wojnie. Wspomniałem o tradycyjnym pojęciu Kościoła wojującego na ziemi. Kościoła cierpiącego w czyśćcu i Kościoła tryumfującego w niebie. Ale papież powiedział: „Nie ma Kościoła tryumfującego w niebie, aczkolwiek nie pierwszy mi o tym mówisz”. Spytałem, dlaczego tak twierdzi, nie zważając, że popada w sprzeczność ze wszystkim starszymi, a on odparł: „Jan to powiedział. Apokalipsa, rozdział dwudziesty pierwszy: «A świątyni w nim nie dojrzałem»). Przed obliczem Boga Kościół jest odrzuconym szczudłem.

Chcę ci przez to powiedzieć, Ojciec Święty, że jeśli Kościół wojujący na ziemi nie kształtuje członków Kościoła tryumfującego w niebie, wówczas całe to wojowanie...

- Dość. Schylałem głowę przed każdym słowem wypowiedzianym przez mego poprzednika, ale nie przed twoją wykładnią tych słów. Zwłaszcza, gdy dotyczą wojny.

Nimmy zamilkł. Poczuli się jak głupiec.

- Kiedy zastrześliłeś przypadkowo człowieka, nie popełniłeś morderstwa. Nie potrzebujesz w tej sprawie rozgrzeszenia, mogę jednak przyjąć twą spowiedź, jeśli pragniesz. - Papież wpatrywał się przez chwilę w twarz Czarnozęba, a potem zmarszczył czoło. - Zdaje się, że nie zechciałbyś przyjąć ode mnie rozgrzeszenia.

- Ojciec Święty, dałeś mi już odpust zupełny i przepustkę do raju w Scitote Tyrannum. Czegóż więcej mogę pragnąć?

Ironia kryjąca się w tych słowach sprawiła, że Kucisawy poczerwieniał, lecz Czarnoząb stał uparcie z rozłożonymi szeroko ramionami, jakby oczekiwał na dar. W rzeczywistości skamieniał ze strachu, gdyż uświadomił sobie, co powiedział.

- Wynoś się! -wybuchnął Kucisawy. - Ruszaj do klasztoru, odwiedź swego świętego patrona. Nie chcę tego słuchać!

- Czy teraz mogę uzyskać rozgrzeszenie? - Znowu powiedział coś głupiego.

- Tak. Precz!

Czarnoząb zerknął na rękę papieża. Kucisawy nie uniósł dłoni z pierścieniem, Czarnoząb nie wyciągnął swojej. Szybko przyklęknął i jeszcze szybciej umknął. Tej zimy nie ujrzał już Kucisawego.

Osiadł w Klasztorze Świętego Leibowitza w Gaju Bawełnianym, a przeor Śpiewna Krowa od Świętej Marty wyznaczył mu pracę w

zamian za wikt i dach nad głową. Nie żądano, by uczestniczyli w nabożeństwach, ale też mu tego nie zabroniono. Śpiewnik więc w chórze, pisał listy, które dyktował mu przeor, /mywiil naczynia, a kiedy wypadła jego kolejka, obejmował dyżur jako kucharz. Tutejsi bracia okazali mu więcej sympatii niż ci z opactwa, choć przecież nosili te same suknie zakonne. Poznał ich wszystkich w klasztorze na pustyni. Każdy miał jakąś specjalność. Brat Jonan, który zwykł budzić Czarnozęba na laudę, był matematykiem. Brat Elwen, który niegdyś był kochankiem Torrilda i opuścił klasztorne mury, wrócił skruszony i nabrał biegłości w przedmiocie swych poprzednich studiów, w mechanice i inżynierii. Brat Tudlen, starowina, którego Czarnoząb ledwie znał, ponieważ wziął urlop z klasztoru i spędził wiele lat na morzu, był teraz budowniczym okrętów, astronomem i żeglarzem. Z pozoru był tu, tak daleko od oceanu, zupełnie nie na miejscu, lecz Kucisawy, podobnie jak Filipeo, miał swoje ambicje. Tudlen zbudował w starej zatoce Tampa szkuner, który był ponoć własnością zakonu, tutaj zaś, w górach, gdzie powietrze było rzadkie i przejrzyste, szlifował zwierciadło teleskopu. Inni specjalizowali się w dziejach Kościoła, w historii politycznej i wojskowej, a także – wśród wielu innych autorytetów piszących o Magna Civitas i jej upadku – dziełami Boedullusa.

Przekonanie starosty Diona, żeby pozwolił na otwarcie w Nowej Jerozolimie leibowitzańskiego klasztoru, nie było wcale łatwym przedsięwzięciem. Śpiewnik Krowa cenił ogromnie siłę perswazji papieża, który był ponadto bardzo oddany ich świętemu patronowi.

– Jego Świątobliwość przekonał Diona, że możemy mieć dla tutejszej wspólnoty wartość jako pedagogzy. Ale jak dotąd żadna szkoła nie skorzystała z naszych usług. Rządzi nimi Linkono. Te mamidła nie pragną zgody, by ich nadzwyczajne dzieci wyrosły na mnichów. Tutaj wiara jest dwuwarstwowa: katolicka z wierzchu, nowoadwentystyczna pod spodem. Ich misją jest zbawienie świata. Hadala to typowy przykład.

– Mówił mi o nich stary Żyd Beniamin – powiedział Czarnoząb – ale bez przerwy mamrotał pod nosem: „To ciągle nie on, nie on”. – Nie wiem, co miał na myśli.

Śpiewna Krowa uśmiechnął się, jakby dobrze to wiedział, ale milczał.

Czamożab wypowiedział się ojcu przeorowi Muu, jak nazywali go czasem bracia. Obaj wyrosli na farmach byłych Pasikoników, dla jednego i drugiego było to więc osobliwe przeżycie.

– Czy dałeś się wciągnąć w wojenne obrzędy nomadów, synu? – spytał brat od świętej Marty, albowiem Czamożab wyznał, że zabił w bitwie człowieka.

– Nie, ojcze. Ludzie pasikońscy traktowali mnie życzliwie, jak chłopca, który nie przeszedł jeszcze przez próbę. Nie zamierzałem zastrzelić tego człowieka.

– Oczywiście, ale poderżnąć mu gardło, owszem. Czyż nie tak?

– Sądziłem, że mnie o to błaga. I nadal tak sędzę.

Śpiewna Krowa, który lubił myśleć czasem o sobie jako o nomadzie, przypomniał penitentowi, że Kościół patrzy niechętnym okiem na udzielanie pomocy w samobójstwie, ale

że on sam postąpiłby zapewne tak samo. Nie zmienia to faktu, że za ten czyn trzeba odpokutować.

Nimmy nie wymienił wśród swych licznych występków grzechu nieposłuszeństwa, a Śpiewna Krowa mu o nim nie przypomniał. Dostał rozgrzeszenie i umiarkowaną pokutę: ma odmówić pięć dziesiątek różańca i zacząć wreszcie śpiewać w podzięce za posiłek.

Pewnej chłodnej nocy Czamożab i Śpiewna Krowa brnęli przez śnieg, wracając po odśpiewaniu komplety w pobliskim kościele, który dzielili z miejscowym duszpasterzem i jego małą owczarnią. Kompletą była nocną modlitwą Kościoła i dotyczyła takich spraw, jak sen i czuwanie, życie i śmierć, śpiewanie i przyjmowanie łaski. Nie była bynajmniej kołysanką i po nabożeństwie Czamożab poczuł brzemień samotności.

– Mogę wyznać ci coś, ojcze, co chętnie chyba usłyszysz.

– Mów więc – zgodził się Śpiewna Krowa.

– Pamiętasz, jak uciekliśmy i chcieliśmy dołączyć do Pasikoników? Nakarmili nas, pozwolili dwa dni odpocząć, a potem batami przepędzili z obozu na okryte śniegiem pustkowie. Czy byłeś rozgoryczony tak samo jak ja?

– Te bicze ze sznura! Widzisz, ja nadal nie wiem, czymżeśmy ich znieważyli. Kiedyś myślałem, że ty albo Strzyżyk zaczęliście się

zalecać do którejś dziewczyny. To dlatego, że nasi rodzice uprawiali ziemię? Czy tak? Byłem pełen goryczy i ciągle jeszcze czuję się nieswojo przy pasikońskich nomadach.

– Gdybyśmy podjęli walkę, mielibyśmy, być może, jakąś szansę, ale my woleliśmy skulić się ze strachu i uciec. Pewna Weejus Pasikoników pamięta trzy sieroty, które pojawiły się w ich namiotach mniej więcej w tamtym czasie. Wyjaśniła mi, dlaczego zapewnili nam tylko jadło, wodę i dwie noce snu.

– Wyjaśnienie okrucieństwa wcale go nie usprawiedliwia.

– Pewnie masz rację. Postaram się jednak powtórzyć jej słowa tak, jak je zapamiętałem. „Kto zechce adoptować kilkunastoletniego nimmy? Obojętnie, jak był wychowany. Weejus przez cztery, może pięć lat daje mu jeść, odziewa, uczy go postępowania z końmi. I co ma w zamian? Nieporadną i gnuśną pracę. Chłopak ma rogatą duszę i rwie się do walki. Przez niego dochodzi do kłótni między rodzinami. Być może przyłapie go na spółkowaniu z jej własną córką, choć przecież zgodnie z zasadami wychowywania nie mogą być małżeństwem. Albo, co gorsza, ucieka, żeby poślubić córkę innej hodującej konie, rywalki. Rodzina, która opłakuje zmarłego syna, zrobi lepiej, jeśli przysposobi młodego kuguara niżli innego chłopca”.

Śpiewna Krowa zaśmiał się.

– Wiedziała o twoim kocie?

– Idąc do niej, wziąłem Libradę. Takobieta przysposobiła sobie dojrzewającą dziewczynkę, sierotę. Jednak u nomadów dorastająca dziewczyna pozostaje z matką. Chłopak bierze żonę i wtedy opuszcza całą rodzinę. Chłopcy bez matek są im potrzebni jak trąd. Chyba że mogą walczyć i dołączyć do obrządku wojennego.

– Bicze ze sznurów – Krowa przypominał sobie tamto wydarzenie.

– Było to ponad dwadzieścia lat temu, ojcze. Teraz sam szarf chciał, bym został jako wychowawca jego siostrzeńców. I mógłbym zostać adoptowany. Mimo mojego wieku!

-- Cóż, cieszę się, żeś powiedział, dlaczego okazali nam okrucieństwo. Miłosierdzie jest rzadko rzeczą stosowną, a bywa zupełnie niemożliwe. – Śpiewna Krowa pomyślał chwilę. – Pewnie

pramatka szarfa pomyślała, że twój ślub czystości zapewni bezpieczeństwo wszystkim dziewczętom – dodał.

Czarnoząb odwrócił głowę i oblał się rumieńcem.

– Winienesz zapomnieć to, co wyznałem ci podczas spowiedzi! – powiedział żałośnie, kiedy wchodzili do dormitorium.

W małej wspólnotce każdy po kolei obejmował obowiązki kucharza albo wykonywał prace ręczne. Topór doniósł Czarnozębowi, że papież chciał uzyskać od niego przepis na „wzywajadę”, kiedy więc przypadł jego dyżur w kuchni, poprosił ojca Muu o pozwolenie na przygotowanie tego dania dla wszystkich braci, którym zwykle nie wolno było jeść mięsa. Po uzyskaniu pozwolenia Czarnoząb kupił potrzebne składniki u miejscowego rzeźnika, przygotował danie i posłał czwartą jego część do pałacu papieskiego. Brak odpowiedzi wskazywał, jak się zdawało, na niełaskę papieża. Resztki spożyła ze smakiem Librada. Pierwszego dnia pobytu w klasztorze złapała mysz, zapewniając sobie w ten sposób wikt.

– Czemu nazwałeś ją Libradą? Co to oznacza? – spytał Krowa.

– To po hiszpańsku i oznacza „uwolniona”. Ponieważ zostanie uwolniona, zanim wyrośnie i pożre któregoś z nas.

Zima z przełomu czterdziestego piątego i czterdziestego szóstego roku była najłagodniejsza ze wszystkich, jakie zachowały się w ludzkiej pamięci. Większość Hordy Dzikich Psów jak zwykle przepędziła bydło na południe. Agenci Hannegana, którzy przeniknęli do band bezmacich wykrotników, obserwowali migrację, ale nie dostrzegli nic, o czym warto byłoby zawiadamić władze Cesarstwa. Tak było do marca, wtedy bowiem wojownicy hordy zgromadzili się, tworząc armię pod dowództwem samego włodarza Hpngana, z szarfem Kopytem jako jego zastępcą. Przez kilka dni mknęli na wschód, a potem na południe, w stronę rzeki. Zanim wieść o tym dotarła do Filipeo Harqa, nomadzcy jeźdźcy pokonali Nady Ann i zaatakowali tyły teksarkańskich wojsk, które okopały się na wschodnim brzegu Washity. Mieli z sobą trzech pasikońskich psich treserów i prawie setkę psów, które zabijały każdego, kto nie dosiadał konia i nie pachniał jak nomada. Co najmniej sześciu wojowników Kopyta zostało pogryzionych, gdyż nie wydzielali woni typowej dla Pasikoników. Przy świetle

wielkanocnego księżyca w pełni psy rozdzierały gardła tkwiącym w okopach teksarkańskim żołnierzom, a także temu i owemu z krzywo patrzących na przymierze Dzikich Królików i spożywających za dużo cebuli, żeby wydzielać swojski zapach. Dzięki atakowi psów w wielkosobotnią noc siły Ónmu Kuna, przekraczając Washitę, nie były narażone na nieprzyjacielski ostrzał – póki nie ruszyły do ataku na bagnety na umocnieniach. Kiedy w niedzielę wielkanocną wstało słońce, treserzy opanowali już rozszalałe psy i bitwa została wygrana bez dalszych strat po stronie Dzikich Królików. Wypoczęci ludzie starosty Diona przebyli rzekę, by zanieść pozogę wojny na wschód.

Po zakończeniu walk, o pierwszym brzasku dnia, Hpngan Osie Chtir spotkał się z Ónmu Kunem na środku pola bitwy. Potem odjechał z siłami Dzikich Królików, nie obejmując jednak nad nimi dowództwa. Zlekceważył zalecenia swoich szamanów. Dzikie Króliki nie okazywały należytego szacunku przemytnikowi Ónmu. Natomiast szacunek dla włodarza Trzech Hord był tym większy, że nie należał on do Dzikich Królików. Taką pogardę żywił dla samego siebie podbity lud.

Przy nomadzkich wojskach pojawił się niedawno ksiądz Nadepnąc Węża, który w południe, dwudziestego piątego marca – w dniu najwcześniejszej od wielu lat Wielkiej Nocy – odprawił rezurekcję i udzielił komunii włodarzowi Hpnganowi Osie, szarfowi Kopycie i Ónmu Kunowi, a działo się to na oczach wszystkich wojowników i dzikokróliczej ludności tego rejonu. Tak oto radowali się wierni zarówno zwycięstwem nomady nad tyranią, jak i zwycięstwem Chrystusa nad śmiercią. Nadepnąc Węża nie pamiętał, by kiedykolwiek ujarzmiony lud tak się weselił w dzień wielkiego święta.

Święty Szał poświęcił prawie cały tydzień na budowanie szacunku Dzikich Królików dla swojego szarfa, towarzysząc mu na każdym kroku, słuchając mów, jakie Ónmu wygłaszał do powstańców i grup cywilów, a następnie zabierając głos, by nadać większą wagę słowom szarfa, i rozpalając zapał tłumów.

Wzięto około siedmuset jeńców, którzy wyszli z bitwy bez szwanku. Dzikokróliczy wojownicy jęli ich okaleczać, ale Święty Szał rychło położył temu kres. Ten nomadzki obyczaj został zaniechany

wkrótce po teksarkańskim podboju i teraz taki sposób postępowania stosowano jedynie wobec przyłapanych szpiegów i sabotażystów. W tym jednak wypadku Dzikie Króliki chciały po prostu nawiązać do starej tradycji, albowiem Ónemu wyjawiał im, co sam Hpngan uczynił z Esittem Loyte'm.

W tym czasie wojska Hannegana podążały już forsownym marszem na zachód, żeby stoczyć bitwę z dzikokróliczymi buntownikami, i rosnąca stopniowo w siłę armia Ónemu pomaszerowała za lekkokonnymi Diona przeciwko nieprzyjacielowi. Ponieważ stacjonujące w pobliżu wojska nieprzyjaciela zostały rozbite, co natchnęło nowym entuzjazmem wojowników dzikokróliczych, Hpngan i Kopyt wycofali dzikopsich jeźdźców, przekroczyli z powrotem Washitę i popędzili na zachód, by przeprowić się przez Nady Ann w miejscu, gdzie nie zobaczą ich teksarkańscy zwiadowcy.

Kiedy wojownicy dołączyli na terenach zimowania do reszty Hordy Dzikich Psów, Hpngan Osie pchnął przede wszystkim posłańców, którzy mieli zanieść relacje z przebiegu bitwy szarfo-

wi Bramowi i papieżowi. Następnie wezwał księdza Ombroza, najstarszego z szamanów Ducha Niedźwiedzia oraz własną matkę Weejus. Powiedział, żeby przygotowali się bez zwłoki do podróży, będą mu bowiem towarzyszyć do Nowej Jerozolimy i na dwór Amena II.

Włodarz Hord i jego świta dotarli do Nowej Jerozolimy pod koniec kwietnia. Powitali ich z wielką pompą papież i starosta, który wrócił dopiero co z wojny. W mieście przebywał już generał-major Quigler Durod, poseł pełnomocny króla Tenesi. Durod zadał sobie trud nauczenia się nomadzkiego (dialektu Dzikich Królików, ponieważ w młodości służył w Prowincji jako teksarkański najemnik) i szybko nawiązał przyjaźń z Hpnganem Osie. Oprócz Duroda z Zachodniego Wybrzeża przybyli rusznikarze, którzy przywieźli egzemplarze najnowszych modeli broni palnej.

Chociaż Hpngan Osie jako Qcesach dri Vordar przemawiał w imieniu wszystkich trzech hord, Kucisawy wyraził ubolewanie, że szarfowie Bram i Ónemu Kun nie mogą wziąć udziału w radzie wojennej. Trzy dni później przed papieskim obliczem stanął

zagniewany emisariusz Pasikoników, który przybył prosto z Łukowej Kotliny.

Emisariusz nie był chrześcijaninem. Stał w wyzywającej pozycji przed Amenem II i sześcioma członkami Kurii i przedstawiał żądania swojego szarfa.

– Jeśli nie powierzysz mi pieczy na Nyindenem i Gai-See, władającym mieczem, Horda Pasikoników walczyć będzie nie z twymi wrogami, lecz z tobą.

– Być może szarfa ktoś okłamał – odparł papież. – Nyinden przebywa w klasztorze z innymi mnichami. Jeżeli zechce wyjechać z wami, nikt mu nie przeszkodzi.

– A żółty wojownik? Gdzie jest?

– W miejskim więzieniu. Nie ja go tam osadziłem. Jedynym z obecnych, który może zabrać głos w sprawach miasta, jest urodzony tu kardynał Linkono. – Wskazał na niskiego, siwobrodego mężczyznę, który wyglądał jak krasnal w piusce. Następnie powiedział posłańcowi: – Mniemam, że twój szarf pragnie, by jego żądanie dotarło do właściwej osoby. Ja nią nie jestem, nie jest też Jego Eminencja Abraha, ale on może zaprowadzić cię do człowieka, którego potrzebujesz.

– Czyż nie ty jesteś najmożniejszym człowiekiem w tym strasznym miejscu? Czyż nie ty jesteś Czerwonobrodym, włodarzem Chrześcijańskiej Hordy? – spytał nomada.

– Nie jestem takim włodarzem, jak myślisz. Możesz wyobrazić sobie, że pełnię urząd najwyższego kapłana.

Linkono pokuśtykał w stronę nomady. Stanął naprzeciwko niego i zaczął mówić głosem zaskakująco głębokim jak na człowieczka jego wzrostu. Mówił po nomadzku z ciężkim akcentem, ale zrozumiale.

– Czemuż to, młodzieńcze, wspomniałeś o strasznym miejscu?

Wyjaśnił to sam Kucisawy:

– Nomadowie powiadają, że złe duchy przychodzą z gór, zwłaszcza z Old Zarks, i wchodzą do łona. Tłumaczą tym fakt, że nomadzkie kobiety rodzą czasem dzieci ułomne.

– Rozumiem. No cóż, młodzieńcze, możesz teraz porównać papieża z waszym najstarszym szamanem Ducha Niedźwiedzia. Ani on, ani twój szarf nie muszą okazywać posłuszeństwa drugiemu.

Tutaj szarphem jest starosta Dion, który jednak wyjechał na wojnę. Władzę sprawuje jego syn. Kościół jest jak Rada Ducha Niedźwie dzia. Nic nie możemy dla ciebie uczynić, mój siostrzeńcze. Pozostaje nam tylko modlitwa.

Linkono miał dość rozumu, by nie nazwać nomady synem, ale temu nie spodobało się także określenie „siostrzeniec”.

– Moim jedynym wujem jest Diable Światło, stary niziołku. Noszę imię Błękitna Błyskawica i jestem najstarszym synem jego najstarszej córki. Obaj byliśmy świadkami zbrodni popełnionych przez Hadalę.

– Z pewnością masz na myśli zbrodnię popełnioną przeciwko kardynałowi Hadali.

– Mam na myśli zbrodnie, które popełnił Hadala i za które został stracony.

Krasnalowi wydłużyła się mina.

– Złamał prawo? Prawo nomadzkie?

– Traktat Świętej Klaczy. Pogwałcił go, sprowadzając wojsko na nasze terytorium. Hadala złamał prawo i ośmielił się stawić czoło naszemu szarfowi. Wydał rozkaz, by oficerowie zabijali żołnierzy. Jeśliby Nyiden i żółty wojownik nie pozbawili go życia, uczyniłby to mój wuj.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób – przyznał Kucisawy.

– Abro, on ma rację. Hadala wyraźnie pogwałcił traktat.

– Ależ, Ojciec Święty! Nie wierzę własnym uszom!

Błękitna Błyskawica chwycił małego kardynała za ramiona i potrząsnął nim.

– Ode mnie zależy pokój i wojna, człeczyno. Moje słowa są słowami mojego wuja. Może nie uda się nam przynieść wam wojny tutaj, w złe góry, ale możemy stanąć przeciwko waszym ludziom, którzy walczą na południe od Nady Ann. Zaprowadź mnie do człowieka, który trzyma w więzieniu ofiarę zamiast zbrodniarza.

Linkono pokuśtykał najszybciej jak mógł w stronę wyjścia, a krzepki nomada deptał mu po piętach. Kiedy wyszli, Kucisawy zwrócił się do swojego osobistego strażnika.

– Toporze, idź z nimi. Weź też Jinga i Qum-Du. Zadbaj, by nomada nie wpadł w kłopoty i upewnij się, że Slojon będzie patrzył ci w twarz, mówiąc o Gai-See. – Potem zwrócił się do kardynała

penitencjariusza, który był także jego spowiednikiem: – Zechciej udać się do domu gościnnego i powiedz Honganowi Osie Chiir, co zaszło. Błękitna Błyskawica nie zdaje sobie sprawy, że w mieście jest jego Qcesach dri Vordar.

W budynku rządowym Slojon wyniośle odrzucił żądania nomady. Ten chwycił syna Diona za uszy i piszczącego z bólu przeciągnął ponad biurkiem. Sierżant dobył pistolet i w powietrzu błysnęły trzy miecze.

– Rzuć to albo utnę ci głowę! – krzyknął Topór i sierżant rzucił posłusznie broń.

Siostrzeniec Eltiira stał teraz za plecami Slojona, wykręcając mu rękę i wciskając ostrze noża w gardło. Pchnął go w stronę drzwi.

– Ten wypierdek ma iść do więzienia – oznajmił nomada.

Slojon wrzasnął, gdyż poczuł, że krew spływa mu na pierś.

– Wooshin! Powstrzymaj go! Zrób coś!

– Tylko ty możesz go powstrzymać, Messer. Zaprowadź go spokojnie do więzienia.

– Kucisawy maczał w tym palce!

– Nie! Papież nie ma z tym nic wspólnego. To dzieło tego samego człowieka, który stoi w

tej chwili za tobą! Pogwałciłeś traktat, Messer.

-- Dobrze, chodźmy do więzienia.

Nie poszli jednak, gdyż nagle w drzwiach stanął Hóngan Osie Chiir z dwoma szamanami. Błękitna Błyskawica spojrział na włodarza, stęknął i uwolnił syna starościńskiego. Złożył zamaszysty pokłon, kokai, wybrańcowi Dziewicy Dnia, małżonkowi Prerii, i stał, czekając w milczeniu na rozkazy.

Włodarz Hord zażądał wyjaśnień. Najpierw głos zabrał Błękitna Błyskawica, potem Slojon, a na końcu Topór. A wtedy Qcesach dri Vordar oznajmił starościnemu synowi, że on, Hpngan Osie Chiir, przychyła się do żądania Pasikonika i zagroził Slojonowi tym samym, co poprzednio Błękitna Błyskawica. Hordy obrócą się przeciwko Nowej Jerozolimie, która pogwałciła traktat, i być może przyniosą wojnę nawet tutaj, w budzące lęk góry. Plemię Dzikich Królików także obróci się w bitwie przeciwko ojcu Slojona i zabije go.

Stało się więc tak, że wycofano oskarżenia i Gai-See znalazł się pod opieką Błękitnej Błyskawicy. Ponieważ nomada oświadczył, że jest upoważniony do przemawiania w imieniu swego wuja, Kucisawy zaprosił go na naradę wojenną, która omal nie zakończyła się po wyjeździe Diona, lecz teraz została wznowiona w obecności Pasikonika. Papież wysłał przez nomadzkie służby sztafetowe wiadomość Bramowi. Zapewnił szarfa, że Gai-See i Nyinden są wolni. Podziękował też za przysłanie Błękitnej Błyskawicy, który potwierdził wszystko swoimi inicjałami – Czamoząb nauczył go je kreślić i wśród sprzymierzonych znowu zapanował pokój.

Po tym trudnym początku Błękitna Błyskawica dowiódł, że potrafi być doskonałym dyplomatą. Chociaż groził przedtem, że zerwie sojusz i przejdzie na drugą stronę, teraz przedstawił zebrane z różnych źródeł materiały wywiadowcze. W sumie nowiny były dobre, ale pojawiły się też powody do zmartwienia. Filipeo maj uż nową broń, aczkolwiek w ilości niedostatecznej, by odwrócić bieg jakiegokolwiek możliwej do przewidzenia bitwy. Okolice Nowego Rzymu nie zostały bynajmniej zdemilitaryzowane, ale siły okupacyjne są uszczuplone wskutek wycofania stamtąd wojsk, które posłano do Prowincji, żeby powstrzymały napór armii Ónmu Kuna i starosty Diona. Szarf Bram oceniał, że dostępu do Nowego Rzymu broni nie więcej niż siedmiuset ludzi, teksarkańskiej jazdy i ułomnych najemników.

Doszło do niepokoju w Dolinie. Urządzano zasadzki na teksarkańskich werbowników i zabijano ich.

– Ciekawe, kto to robi? – spytał niewinnym tonem Quigler Durod, prowokując wybuch śmiechu.

Wszyscy wiedzieli, że przebrani za genoków agenci Tenesi przekroczyli Rzekę Wielką i przeniknęli w region Watchitah-ol'zark. Rekrutacja żołnierzy w Dolinie Wybryków Natury została spowolniona, a może nawet całkowicie uniemożliwiona.

– Jeśli nie uderzymy teraz – powiedział flongan – siła ognia wojsk Hannegana szybko wzrośnie. Stracimy przewagę, jaką zapewniła nam broń od papieża.

Błękitna Błyskawica bąknął coś pod nosem, wyrażając w ten sposób swoją zgodę. Genera Durod zapytał, czy jest możliwe

wykorzystanie nomadzkich sztafet do skontaktowania się z jego ludźmi w Dolinie.

– Może tak. Pod warunkiem, że masz bezpieczny szyfr – oznajmił Błękitna Błyskawica. – Kurier może wpaść w ręce wroga. Nie może wiedzieć, jaka jest treść twojego meldunku.

Papież Amen podjął nagle decyzję:

– Musimy zorganizować korpus ekspedycyjny, który zdobędzie, i to jak najszybciej, Nowy Rzym. Czy ktoś się sprzeciwia?

Nikt nie zgłosił zastrzeżeń. Tak oto po wielu dziesięcioleciach wygnania Stolica Święta miała wrócić do Nowego Rzymu.

Przyszedł 14 maja 3246 roku i święto Zesłania Ducha Świętego. Czamoząb wiedział od tygodnia, że Święty Szał i inne ważne osobistości przybyły do miasta, by naradzić się z papieżem, ale obradowano w odosobnieniu i o tym, co działo się za zamkniętymi drzwiami, wiedział nie więcej niż przeciętny obywatel. Przeor Śpiewna Krowa chciał, by cała ich ósemka wzięła udział w mszy pontyfikalnej, która miała być odprawiona w zbudowanej z kamieni i bali katedrze, ale Nimmy wyprosił sobie zwolnienie. Wolał uczestniczyć w mszy odprawianej w ich kościółku, odśpiewać z małym chórem Veni Creator Spiritus i pomóc księdzu w rozdzielaniu komunii miejscowym mamidlom i ich pięknym dzieciom.

Śpie wna Krowa zastał go siedzącego w ogrodzie i próbującego wyrwać szarpiącego się jeszcze gołębia ze szczęk pomrukującego groźnie kuguara. Librada rozorała mu dłoń i chwyciła gołębia w pazury. Nimmy poddał się.

– Chyba czas już, by Librada była librada – powiedział przeorowi.

– Zajmiemy się tym, Nimmy. Ty będziesz zbyt zajęty.

– To mój obowiązek, ojcze. Ja ją tu sprowadziłem. Trzeba ją wypuścić jak najdalej od ludzi. Nikogo się nie boi. I czemuż to będę zbyt zajęty?

– Tak sądzę. Papież chce, byś natychmiast przed nim stanął. Wyjeżdża.

– Wyjeżdża?

– Do Nowego Rzymu. Sądzę, że jako zdobywca. Zabandażuj rękę i biegnij do pałacu.

Kiedy Czarnoząb zobaczył Gai-See na wolności, poczuł wstyd z powodu swego poprzedniego bezczelnego zachowania w obliczu papieża i zapragnął go przeprosić. Ale Topór wskazał mu miejsce na tyle karawany i dopiero po trzech dniach podróży były mnich znalazł sposobność, żeby zagadać do swego dawnego chlebodawcy. Obaj jechali w tym momencie konno.

– Nie dziękuj mi, ale Bogu i Pasikonikowi – powiedział papież, zbywszy machnięciem ręki przeprosiny Czarnozęba.

– Nie pojmuję, Ojczy Świąty.

– I nie musisz! – warknął Kucisawy. Po chwili jednak trochę zmiękł. – Ktoś doniósł szarfowi Bramowi, że ty i Gai-See gnijecie w więzieniu za zabójstwo kardynała Hadali. Hadala pogwałcił Traktat Świętej Klaczy, wprowadzając wojsko na tereny nomadzkie. Szarf zabiłby go, gdyby nie uczynił tego Gai-See. Nie wiem, dlaczego uważa, że ty pomogłeś w tym dziele złotemu gwardziście.

– Pomogłem, Ojczy Świąty. Powiedziałem Gai-See, że Hadala cię zdradził, a wiedziałem, co czynię, mówiąc mu o tym. Elttir wiedział.

– Rozumiem. Tak czy inaczej, wpadł w gniew i przysłał siostrzeńca z ustną wiadomością dla tego, kto trzyma Gai-See w więzieniu.

– Którego siostrzeńca?

Stutzila Brama, Błękitną Błyskawicę. Jedzie przodem razem ze świtą Hpngana Osie. Z początku myślał, że to ja trzymam was w więzieniu. Rozповідаł na prawo i lewo, że jeśli nie wypuszczę was natychmiast, zawrze pokój z Hanneganem i zaatakuje wojska Diona, gdziekolwiek je dopadnie. Kiedy sprawy zaszły już tak daleko, wziął je w swe ręce Hpngan Osie. Zagroził atakiem na Nową Jerozolimę. Możesz więc dziękować nomadom, nie zaś mnie. Wziąłem cię tylko ze sobą, że sprawić przyjemność Eltirowi Bramowi.

– Więc to dlatego!

To i twoje żołnierskie wyczyny – powiedział Kucisawy i spiął konia ostrogami, żeby zakończyć rozmowę.

Rozdział 27

„Mięsa natomiast zwierząt czworonożnych nie powinien nikt w ogóle jadać oprócz chorych, którzy są szczególnie osłabieni”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział XXXIX

Jastrzębi Wódz kardynał Irrikawa, który parę miesięcy wcześniej wyruszył z Valany do swojej ojczyzny, pojawił się niespodziewanie i dołączył do karawany wozów Kurii. Wyjaśnił, że drogę na drugą stronę Rzeki Mizerii zagraża mu w tej chwili obecność oddziałów teksarkańskich w tym rejonie. Obszary po drugiej stronie Mizerii uważano za otwarte dla każdego i w porze wypasu zarówno Pasikoniki, jak Dzikie Psy pędzili tam swoje bydło, aczkolwiek nikt nie zakładał na tych terytoriach stałych obozów i nie było też niecek hodowlanych. Obecność oddziałów teksarkańskich stanowiła pogwałcenie Traktatu Świętej Klaczy. Papież był w pierwszej chwili zaniepokojony. Ale ci, którzy dokładniej wypyтали kardynała, doszli do wniosku, że musiał widzieć bandę dobrze ubranych i uzbrojonych wykrotników, którzy naśladowali manewry teksarkańskiej jazdy. Dziwne było to, że tylko szarf Kopyt okazywał troskę.

– Zbyt wielu wykrotników w marszu – powiedział cicho, zwracając się od księdza Ombroza. – Trudno w coś takiego uwierzyć.

Papieska karawana w miarę posuwania się na wschód skupiała przy sobie coraz większe rzesze. Co kilka godzin do potężniejącej armii dołączały grupki dziesięciu, dwudziestu wojowników. Podczas jazdy przez kraj Dzikich Psów zastęp urósł do sześciuset zbrojnych na koniach. Był czerwiec i kiedy świecił księżyc, nocni jeźdźcy wydawali w obozie sprośne okrzyki wojenne, którym towarzyszyły śmiechy na widok zaspanych ludzi gramolących się ze swoich posłań. Mówiło się o bliskim zwycięstwie, o „psuciu” farmerskich zon. A potem rozlegały się okrzyki poruczników szarfa Kopyta, którzy karcili wojowników za takie rozmowy.

Czarnoząb jechał na tyle okrytego budą wozu razem z Libradą, swoim kuguarem. Sporządził jej rzemienną obrozę i trzymał na

krótkiej smyczy. Naszła go choroba duszy. Nie potrafił się modlić – chyba że do Boga ukrytego w kocie.

Nadeszło lato roku pańskiego 3246. W przeddzień przesilenia dnia z nocą zabarwiony na różowy kolor księżyc w pełni wisiał nad zachodnim horyzontem. Równiny ogarniał mrok. Czarnoząb wypętlzył spod wozu i zobaczył, że wygaszono już tu i ówdzie ogniska, nad którymi przygotowywano poranny posiłek. Jak okiem sięgnąć grupki zbrojnych, konie, bydło, działa. W tym garnku już zaczynało się gotować, choć jeszcze nie kipiało.

Hannegan wie, że nadciągamy. Jaka będzie jego odpowiedź?

Nie spieszono się z wymarszem – pewnie dlatego, że był to szczególny dzień. Czarnoząb nie miał pewności, gdyż nie dochodziły do niego wieści z kręgów dowódczych. Koło wozu stał trójnóg z resztką wołowej pieczeni. Ukradzionym z wozu bagnetem odskrobał trochę surowego mięsa od kości. Mnich od Leibowitza nigdy nie spożywał takiego mięsa bez opackiej dyspensy, której udzielano rzadko, wyjąwszy największe święta i przypadki poważnej choroby. „Jestem poważnie chory” – bąknął przez ramię Jaradowi. Woźnica podał mu placek, garnuszek herbaty i dorzucił do tego zwykłą poranną zniewagę. Był to dzikopsi nomada i nazywał się Ukaszony Pies. Papieski kucharz wziął go sobie za pomocnika, Czarnoząb zaś miał być pomocnikiem pomocnika, lecz biegunka i głęboki smutek sprawiły, że niewielki był z niego pożytek. Jego jedyną pracą było zbieranie podczas postojów suchego łajna na ognisko i polerowanie kuchennego sprzętu podczas jazdy.

Okazało się, że dzień jest naprawdę szczególny. Nomadowie zwykle obchodzili Nomadzkie Święto Ognisk w dniu przesilenia, Kościół zaś świętował kiedyś dwudziesty czerwca jako Dzień Świętego Sylweryusza Papieża, syna papieża Hormizdasa. Sylweryusz obraził cesarzową Teodorę i został za to wypędzony. Ta kara doprowadziła do jego cierpień i wreszcie do śmierci w 538 A.D. W końcu uznano go za męczennika. Papież Amen Specklebird przywłaszczył sobie dzień świętego, czcąc w tym dniu Matkę Boską z Pustyni, patronkę swojego zakonu. Teraz jednak Kucisawy wolał nie obchodzić święta ustalonego przez Specklebirda, lecz odprawić rankiem mszę pontyfikalną *Si diligis me*, podczas której pragnął

konsekrować biskupa pośród wojska zgromadzonego na rozpalonej, jałowej równinie.

Zebrał ośmiu kardynałów, którzy podróżowali razem z karawaną. Nazwał to konsystorzem i wyjawiał swoje zamierzenia. Osobiście, w towarzystwie Wolfera Poilyfa, biskupa z Kraju Północnego, oraz biskupa Varleya Swinemana z Denver, konsekrował księdza Jopo e'Laidena Ombroza, SI, na biskupa starej, lecz zamierającej diecezji Canterbury, a następnie mianował go wikariuszem apostołskim nomadów, także Dzikich Królików, których duchowieństwo umykało teraz przed posuwającymi się krzyżowcami Zachodniego Kościoła. Biskup Ombroz okazał, choć niechętnie, posłuszeństwo swemu papieżowi, ale nie radował się zgoła swym wyniesieniem. Papież mianował go też kardynałem i ogłosił to podczas konsystorza. Starsi Ducha Niedźwiedzia – powiedział Ombroz – będą śmiać się z jego stroju, a w Teksarku będą go nazywać kardynałem Kanibalem. Ombroz został w ten sposób dziewiątym kardynałem towarzyszącym armii krzyżowców, a Kucisawy zwierzył się jemu i Wooshinowi, że wkrótce mianuje dziesiątego. Nie podał jednak imienia.

Z tego, co Czarnoząb mógł dostrzec z daleka, wydawało mu się, że Kucisawy wygląda na bardziej uduchowionego niż dawniej. Może czegoś w nim nie dostrzegał, kiedy przypatrywał się mu z bliska. Była to jednak niekoniecznie zmiana na lepsze. Jak twierdzili inni, którzy się mu przyglądali, papież często spoglądał w niebo. Wydawało się, że bez przerwy wypatruje czegoś w chmurach lub na horyzoncie, niewiele natomiast uwagi zwraca na swoje otoczenie.

Czarnoząb zastanawiał się, kto podsunął Kucisawemu dewizę, którą kazał umieścić na swoim nowym herbie Amena II. Brzmiała: „Zrobisz to, do diabła!” i była wypisana po staroangielsku, nie zaś po łacinie. On rozumiał tę dewizę, wątpił jednak, czy rozumie ją papież. Kiedy pewnego dnia powóz Kucisawego wyprzedził powóz Eltiira Brama, Jopo kardynał Ombroz był jedynym członkiem Świętego Kolegium, który znał wystarczająco staroangielski, żeby z rozbawieniem dostrzec kompilację dwóch dewiz.

Chcąc uczcić wyniesienie Ombroza do godności członka Świętego Kolegium, Ónemu Kun przybył na północ z księdzem Nadepnąć Węża i świtą trzydziestu dzikokróliczych wojowników.

Dotarli na miejsce długo przedtem, nim doszło do tego mianowania, i przywlekli ze sobą chorobę, choć żaden z nich nie zapadł na nią przez kilka dni po przybyciu. Najpierw objawy wystąpiły u i tak chorego Czarnozęba. Doszły go już słuchy o wybuchu zarazy w Prowincji. Z początku przypisywano to wodzie, ale po tygodniu chorowało trzech wojowników i kilkoro pasikońskich dzieci. A teraz Czarnozęb od Świętego Jerzego, od pewnego już czasu ofiara biegunki!

Ónmu wyjaśnił, że na południu krzyżowcy przypisywali z początku dolegliwości zatruciu studni przez wycofujące się siły Teksarku, ale choroba nie dotknęła bydła, które piło przecież tę samą wodę. Wydawało się ponadto, że przechodzi od człowieka, który pił ze studni, do takiego, który z niej nie korzystał. Jak dotąd zaraza, jeśli można o niej mówić, nie dotknęła nieprzyjaciół. Objawy przypominały te, które zauważono w Valanie przed wyborem Amena I, a wówczas nie była to epidemia. Wprowadzono jednak kwarantannę dla niektórych oddziałów.

Czarnozęb nie uczestniczył w mszy odprawianej przez najwyższego kapłana ani w uroczystości konsekracji Ombroza, ale przyglądał się wszystkiemu z odległego wzgórza, przykucnąwszy w trawie i wypróżniając się – długo i wśród cierpień. Oddał się diabłu. Przestał odmawiać modlitwy, chyba że jakieś ich strzępy napływały mimowolnie do jego głowy. Usłyszawszy własne pierdnięcie, mówił „amen”. Zarzucił medytację, choć odmawiał niekiedy różaniec do Najświętszej Panny, lecz i wówczas jego umysł skupiał się na Edrei jako Matce Bożej.

Uznał, że nigdy już jej nie ujrzy, gdyż stała się mniszką. Nie poprosił, i nie zamierzał prosić, Kucisawego o zapewnienie, że uczyni to, co obiecał zrobić zaraz po opuszczeniu Nowej Jerozolimy, to jest, że złagodzi karę dożywotniego wygnania. Nic nie świadczyło o tym, że papież pamiętał o tej obietnicy i że ją spełni, nie mógł jednak o to pytać. Zdawał sobie sprawę, że pogrąża się w szaleństwie. Źródłem tego kosmicznego obłądu było zakażenie jelit wywołane grzechem, i dlatego pomieszało mu się w głowie podczas lata roku pańskiego 3246, roku rekonkwisty, nie zaś roku poprzedniego, kiedy zabił żalostnego, zwerbowanego przez Teksark genoka, tamten rok nie był bowiem rokiem biegunki i gorączki.

W dniach naznaczonych szaleństwem trzymał się z dala od ludzi. Tylko poczucie odpowiedzialności za Libradę, świadomość, że powinien dotrzeć z nią do miejsca, gdzie przyszła na świat, powstrzymywała go przed wyzbyciem się nadziei i ucieczką. Ksiądz Nadepnąć Węża był pod ręką, ale Czamożab nie przystąpił do spowiedzi. Miał wrażenie, że na myśl o spowiedzi biegunka jeszcze się wzmacnia. Własna zuchwałość oddaliła go od jego pana. Podróż była jednym pasmem cierpień i co kilka dni przychodził dzień obłędu i zachowań, nad którymi nie potrafił zapanować.

I nadszedł dzień tak zły, że zjawił się sam nieboszczyk Amen I, żeby go pocieszyć.

– Twój Chrystus jest zaiste człowiekiem bez tożsamości – mówił Amen Specklebird, kiedy Czamożab wypróżniał się o zachodzie słońca – jest tym, który nie przybiera maski. Przychodzi i odchodzi przez twoją twarz, którą okrywasz maską. Przychodzi i odchodzi, kiedy zechce, od przodu i od tyłu, a nie widzi Go twoja maska. Maską w zwierciadle widzi jeno siebie. Lecz prawdziwy Jezus bez maski żyje i ma się dobrze. Jest pełen prostoty. Przykucnął w samotności pod mostem, gdzie sypia, i wypróżnia się.

– Czy wszystkie grzechy nie są same w sobie karą? – spytał beczelnie Czamożab.

Wydawało mu się, że Specklebird powiedział coś w tym rodzaju podczas dziewięciu dni, kiedy dzielili się modlitwą.

– Karą podobną do twego obcowania z córką starego Sharda? – rzucił z uśmiechem papież i zniknął, zanim Nimmy zdążył oświadczyć, że nie był to grzech śmiertelny.

Poza chorobą ciała i duszy był jeszcze jeden czynnik, który zniechęcał go do ucieczki. Tuż za południowym horyzontem wędrowała na wschód, równoległe do nich, inna karawana, a za nią być może następna. Zbyt wielkie było niebezpieczeństwo, że zostanie złapany. Kurz, jaki wzbijała tamta karawana, był zwykle widoczny w dzień, podobnie jak blask ognisk rozpalanych przez woźniców – w nocy. Od czasu do czasu, choć bardzo rzadko, tamci wjeżdżali na jakieś niewielkie wzniesienie i przez moment było ich widać. Niektóre wozy lśniły w słońcu, jakby okrywał je metal, lecz przy tym upale i tej odległości w popołudniowym słońcu nawet wzgórza wyglądały jak rozpalony do czerwoności metal. Nomadzcy

jeźdźcy nie zbliżali się do tajemniczej karawany. Taki był rozkaz. Nikt, z kim mnich na ten temat rozmawiał, nie wiedział o niej właściwie nic – poza tym że wyruszyła z Nowej Jerozolimy wkróce po karawanie papieskiej i że ktoś, kto znał człowieka, który znał Wooshina, twierdził, iż w tych wozach przewozi się tajną broń, a dowodzi transportem rajca Dion.

Kilka dni później Czamożab uświadomił sobie, że znaleźli się w krainie wysokiej trawy. Wiedział o tym, nie ruszając się nawet z miejsca, gdzie leżał: na workach z prowiantem w tylnej części wozu. Wiedział, gdyż dołączające do nich grupy wojowników mówiły teraz dialektem pasikońskim, a wśród ich zwierząt trafiały się psy. Nie od razu zaprzyjaźniły się z dzikopsimi nomadami, a wrogo warczały na duchownych i nowojerozolimczyków. Przez te psy Czamożab wołał teraz spać w środku wozu, pod brezentową budą, choć było tam mało miejsca, zamiast jak poprzednio pod wozem.

Pewnego ranka wrzeszczący z przerażenia mężczyzna, którego ścigała zgraja przypominających wilki bestii, wskoczył na tylną klapę wozu i Czamożab pomógł mu dostać się do środka. Jakiś warczący pies nie chciał puścić jego golenia. W tym momencie rozległ się ostrzegawczy syk Libradu. Kot i mnich jednocześnie rzucili się na psa. Mężczyzna miał goleń szczelnie okrytą wojskowymi sztylpami, nie przestawał jednak wrzeszczeć, póki Czamożab nie odpędził psa wiązką chrustu i nie przytrzymał kota.

– Chwała Bogu! Dziękuję ci, Nimmy. Nie wiedziałem, że jedziesz z nami.

– Aberlott! Co ty tu, do diabła, robisz!

– Wyruszyłem po prostu na krucjatę. Wooshin pozwolił mi dołączyć. Cholera, krwawi. To ten twój kot.

– I byłeś tu przez cały czas?

– Pewnie. Ale po raz pierwszy mam wolny dzień.

– Czamożab zastanawiał się przez chwilę. Kiedy papieski orszak duchownych opuszczał Nową Jerozolimę, mieli ze sobą siedemnaście wozów i doborowy oddział wojska z Ssamieto, żołnierzy, których wierność papieżowy nie ulegała najmniejszej wątpliwości, a to dzięki temu, że bali się swego dowódcy, generała sierżanta Wooshina, i odnosili do niego z wielkim szacunkiem. Ustanowienie tego stopnia była papieskim kaprysem. Zasuszony,

stary wojownik miał teraz na swojej kraciastej sukni, którą dał mu Amen II, złote naszywki z gwiazdą. Fakt, że przyjął Aberlotta do swojego doborowego oddziału, budził niedowierzanie Nimmy'ego, ale student przysięgał, iż mówi prawdę. Czamożab był zadowolony, gdyż miał chociaż na ten dzień towarzystwo. Czy gotujesz się, żeby wziąć nogi za pas? – spytał Aberlott. – Jak w zeszłym roku?

– W zeszłym roku obłąkany kardynał prowadził tłum niewydarzonych wojaków. Teraz zastępca Chrystusa na ziemi dowodzi wojownikami z Trzech Hord i dwiema małymi armiami.

– Dwiema? A gdzie jest niby ta druga?

– Na południe od nas.

– Och, masz na myśli tanki. To co innego. O tym nie mam prawa rozmawiać, nawet gdybym coś wiedział. A nie wiem.

– Tanki? To jakaś tajna broń?

– Wiem tylko, że chodzi o tanki na wodę. Będziemy potrzebowali jej mnóstwo.

Kiedy tak maszerowali przez krainę Pasikoników i papież spoglądał na niebo, Grobnicha przelatująca tak często na wozami, że stało się to przedmiotem nomadzkich żartów. W tym czasie Czarnozębowi parę razy ukazał się papież Amen I, który ostrzegał go przed trwaniem w buncie przeciwko swemu panu. Ponieważ odpowiadał staremu czarnoskóremu kuguarowi, łotrzyk Ukaszony Pies oskarżył go o to, że rozmawia z samym sobą, i przesłał Wooshinowi wiadomość, że mnich potrzebuje medyka guślarza. Przyszedł, jak się okazało, osobisty lekarz papieża, którego pacjent nigdy dotąd nie widział. Nie potrafił nawet powiedzieć, do jakiej z licznych szkół medycznych ten doktor należy. Był okryty nomadzkimi skórąmi i mrucał pod nosem nomadzkie przekleństwa, lecz miał też ze sobą czarną torbę pełną pipet, igieł, cążków i talizmanów, niby członek starej mistycznej szkoły alopatów.

Medyk wyjawiał mu, że papież też miewa się nie najlepiej, aczkolwiek nie dostał jeszcze „czwartaczki”, jak nazywano powtarzającą się co cztery dni gorączkę. Objawy papieskich cierpień przypomniały Czarnozębowi o Stopieli. Opisał „wzywajadę” czcigodnego Boedullusa. Doktor natychmiast oświadczył, że to stare nomadzkie danie, i wpadł w entuzjazm, kiedy dowiedział się, iż Kucisawy wracał po nim do zdrowia. Po pożegnaniu się z

Czarnożębem udał się od razu do kucharza. Przywrócenie „wzywajadzie” godności fundamentu papieskiej diety było najprawdopodobniejszą przyczyną wyniesienia Czarnożęba, któremu papież w kolejnej – po awansie Wooshina – chwili słabości wręczył czerwony kapelusz kardynalski.

Ponieważ przemarsz armii konnej był także religijną procesją, każdy dzień zaczynał się od odprawianej o wschodzie słońca mszy i chrześcijanie spośród nomadów otrzymywali przed całodniowym marszem chleb życia. EltUr Bram, z szacunku dla swego włodarza, Hpngana, przez cały tydzień wytrwale uczestniczył w świętych obrządkach, ale potem, omijając swego pana, zwrócił się bezpośrednio do papieża, by ten pozwolił jemu i jego wojownikom wyruszać w drogę przed wszystkimi, w awangardzie. Ten pomysł mógłby wydać się zły tylko temu, kto miał złe wyobrażenie o szarfi Pasikoników. Kucisawy starał się ze wszystkich sił patrzeć na tego człeka bez żadnych uprzedzeń. Ujął go pod ramię i zaprowadził do namiotu Qcesach dri Vordar.

Hpngan Osie Chiir najpierw nie wyraził zgody na prośbę Pasikonika.

Wtedy papież rzekł:

– Jest rzeczą dobrą uwolnić znaczną siłę uderzeniową od liturgicznych obciążeń, zwłaszcza że jesteśmy coraz bliżej nieprzyjaciela. Ten zaś wie, że nadciągamy.

– Słusznie rzekłeś – powiedział Święty Szał. – A najbardziej martwi mnie to, że nie widzimy, iżby robił cokolwiek. Nie zamierzam jednak przekazać dowództwa szarfowi Bramowi. Jeśli zechcesz, Ojczy Świąty, pozwolić, wezmę szarfa i tylu jego wojowników, ilu zechce, oraz tę samą liczbę wojowników dzikopsich pod moją komendę i pomaszujemy ku granicy jako straż przednia.

Papież spojrzał pytająco na Wooshina, który od razu poparł ten plan, dodając jednak:

– Włodarz Hpngan słusznie się martwi. Musimy jak najrychlej odkryć, gdzie skoncentrowały się teksarkańskie wojska, lecz straż przednia winna unikać starcia, póki nie nadciągną główne siły.

– Nie można wykluczyć, że zajęli pozycje obronne na wschodzie – domyślał się Kucisawy. – Nie chcą stracić panowania nad Rzeką Wielką.

– Jeśli tak – odparł Topór – Nowy Rzym nie będzie się zbyt zaciekle bronił. Całą obronę skupią wokół Miasta Hannegana.

W ten sposób uzgodniono plan. Co najmniej sześciuset wojowników wydzielonych z każdej hordy ustawiło broń w kozły, by papież mógł ją pobłogosławić, i uklękło przy wozach, by wziąć udział w swej ostatniej mszy przed bitwą. Sam szarf Bram i jakieś dwie setki praktykujących niedowiarstwo wojowników, zarówno Pasikoników, jak i Dzikich Psów, czekały na odległym wzgórzu, aż msza dobiegnie końca. Potem dwa oddziały połączyły się i odjechały na wschód.

Podczas posiedzenia, które odbyło się na polu słoneczników w samym sercu pasikońskiej krainy, papież podał imię następnego kandydata do kardynalskiego awansu na polu bitwy. Wooshin wpadł w tym momencie w trans, a Jopo kardynał Ombroz zamrugnął, odszedł na bok i zaczął mrużyć pod nosem jakieś zaklęcia. Czarnoząb brat od Świętego Jerzego wrócił z hukiem do łask, kiedy papież – wskutek nawrotu tegoż kaprysu, który kazał mu stworzyć stopień generała sierżanta dla swojego osobistego strażnika – uczynił z mnicha kardynała diakona Świętej Małgi, dawnego rzymskiego kościoła Kucisawego.

Sam mnich nie od razu dowiedział się o nadzwyczajnym zaszczycie, jaki go spotkał, jako że zwykle takie nominacje ogłasza się na posiedzeniu całego konsystorza, ale jął coś węszyć, gdy Aberlott po raz pierwszy zwrócił się doń, używając tytułu „Jego Eminencja”. Nimmy słusznie uznał to za drwinę. Aberlottowi też przypisał całą winę, kiedy do wozu podjechał na białym papieskim rumaku Wooshin i zwrócił się doń tym samym tytułem.

– Ojciec Święty przysłał mnie, bym podziękował w jego imieniu za niezwykle gulasz i zapytał o zdrowie Jego Eminencji.

Czarnoząb obrzucił Aberlotta przelotnym, ale pełnym gniewu spojrzeniem i odparł:

– Sram szesnaście razy na dzień, Toporze. Jestem słaby. Co czwarty dzień przychodzi atak i wtedy Ukąszony Pies musi mnie

wiązać. Poza tym mam się jak najlepiej. Zechciej podziękować Ojcu Świętemu za troskę.

– Powiem mu, że umierasz – burknął Wooshin i odjechał.

Tego popołudnia przyszedł raz jeszcze lekarz, żeby zbadać stan zdrowia Czarnozęba.

– Możesz za swą chorobę podziękować Hanneganowej nauce – powiedział mnichowi. – Wojownicy pasikońscy przynieśli nam przekleństwo z południa.

Lekarz posługiwał się raz skalnogórskim z pasikońskim akcentem, a raz pasikońskim z akcentem skalnogórskim. Kazał Nimmy'emu zjadać węgle pozostałe z podsycanego przede wszystkim nawozem ogniska i pić papkę z popiołu zebranego z tegoż ognia. Przepisał mu dietę z gotowanego w mleku mięsa i dał do żucia trochę gorzkiej kory. Mogły to być albo lekarstwa nomadzkie, albo alopacyjne, ale tak czy owak medyk wydmuchiwał dym z kenebu na cztery strony świata, mamrotał coś pod nosem i kazał palić tenże kenebu w dniach, kiedy Czarnozęba ogarnia obłęd. Papież najwyraźniej lubił tego medyka, a Czarnozęba był wdzięczny dawnemu

chlebobdawcy za troskę.

Przed odejściem lekarz wręczył mu paczuszkę.

– Przysyła ci to papież. Byłbym zapomniał.

Czarnozęba nie otworzył nawet pakieciku. Dar od dawnego pana mógł tylko wzmóc poczucie winy.

Czasem miał ochotę rzucić się przed papieżem na twarz – jak robił to niegdyś przed Jaradem i braćmi, żeby uzyskać przebaczenie za podłożenie Śpiewnej Krowie jaszczurki do łóżka albo za śpiewanie w chórze falsetem, lecz tam miał do czynienia z braterstwem równych, którymi rządził eualissimus. Natomiast teraz laesae majestatis culpa była, jak mniemał, czymś znacznie poważniejszym. Takie myśli przemykały mu oczywiście przez głowę, zanim otworzył paczuszkę i zobaczył czerwony kapelusz. Nie był to taki duży czerwony kapelusz, jaki przybijano do sklepienia katedry zaraz po pierwszym założeniu przez kardynała, lecz eleganckie czerwone zucchetto pożyczone od Jastrzębiego Wodza kardynała Irrikawy. Można je było poznać po dziurce w rondku, w którą kardynał monarcha wsuwał pióro.

„Teraz musimy wyświęcić cię na diakona u Świętej Małgi” – przeczytał w liściku od Kucisawego.

Papież dał mu trzy dni na powrót do zdrowia, a potem wezwał go na czoło papieskiej karawany. Czamożab odrzucił zaszczyt, który go spotkał. Papież zignorował to.

– Wkładaj czerwony kapelusz – rozkazał. – Oznacza, że będziesz wybierał następnego papieża. Nie jest żadną nagrodą za świętość czy dobre zachowanie.

– Może więc za gulasz?

– Nawet nie za ten jakże błogosławiony gulasz, Nimmy.

– W takim razie kara za grzechy? – zgadywał Czamożab.

– Ach! Widzę, że przechodzisz jak pijany od jednej skrajności do drugiej. Ni kara, ni nagroda. Zawsze byłeś symetrycznym dualistą, Nimmy.

– Symetryczny duellansl – nie dosłyszał Qcesach dri Vprdar. – Co to takiego, Ojciec Święty?

– Oburęczny fechmistrz – wyjaśnił mu scenicznym szeptem Wooshin.

Czarnożęby nadal trzymał rondo między kciukiem i palcem wskazującym, jakby kapelusz ociekał szlamem.

– Trzymaj, Toporze! – rozkazał papież.

Wooshin chwycił Czarnożęba za ramiona. Kucisawy wyjął mu zucchetto z ręki i nasadził ostrożnie na szczecinę tonsury, a potem klepnął z góry, żeby osadzić pewniej na głowie. Kiedy generał sierżant puścił ramiona Czarnożęba, ręka mnicha pomknęła do góry, ale papież chwycił ją i zaczął się śmiać.

– Czy muszę nosić to przez cały czas? – spytał Czamożab kardynał od Świętego Jerzego, dziekan Świętej Małgi.

Przyszła wreszcie wieść o wojnie, i była to wieść z tyłów. Teksarkańska jazda wyłoniła się nie wiadomo skąd na zachodzie i runęła na dzikopsie rodziny. Jeźdźcy byli przebrani za bezmacich wykrotników i dokonali straszliwej rzezi kobiet Weejus i koni rozplodowych – doniósł posłaniec. W jednym z rodzinnych podwórców – Wetoka Enara – zamierzano wyrżnąć wszystkich, widocznie nie chcąc zostawić żadnego świadka, lecz dwie córki ocalały i jedna z nich opisała pułkownika jazdy, który miał drewniany nos i zasłaniał długimi włosami uszy. Druga, Potear

Wetok, żyła jeszcze wystarczająco długo, by podać imię swego byłego męża, pułkownika Esitta z Wetok Loyte, dowódcy oddziału teksarkańskich grasantów. Widziała, jak zastrzelili całą jej rodzinę. Na koniec sam Loyte, dyszący nienawiścią, strzelił jej w dół kręgosłupa, żeby jak najdłużej umierała.

Teksarkowie doskonale wiedzieli, które konie zabić, żeby doprowadzić do miny wszystkich Weejus jako hodowczyń. Zaobserwowano, że między jednym a drugim wypadem na rodowe obozowiska grasanci po rozbiciu obozu robili coś nomadzkiemu bydłu.

Kiedy doniesiono o tym wszystkim Kucisawemu, papież zasmucił się, ale nie był wcale zaskoczony.

Spojrzał na Jastrzębia Irrikawę i rzekł:

– Miałeś rację, Wasza Królewska Mość. To Teksarków napotkałeś na północy, choć dziwi mnie, że zawędrowali tak daleko na zachód i nie napotkali Dzikich Psów.

Potem obrócił się do szarfa Kopyta.

– Będziesz musiał się tym zająć.

Czarnożębowi zabrzmiało to jak nie rozkaz, nie propozycja, lecz po prostu uwaga odnosząca się do losu Kopyta, a może do papieskiego.

Szarf Kopyt zebrał tych dzikopsich wojowników, którzy nie znaleźli się w straży przedniej.

-- Jest różnica między dogładaniem owieczek Pana, a wypasaniem dzikiego bydła Chrystusowego – powiedział łagodnym tonem Kucisawy, patrząc, jak czwarta część jego armii szykuje się do marszu powrotnego.

Posłał już na wschód dzikopsiego posłańca z meldunkiem dla włodarza Hongana Osie.

Trzy dni później Hpngan przybył, żeby naradzić się z papieżem i Wooshinem. Przywiózł nowiny ze wschodu. Nie spotkali żadnych teksarkańskich patroli i nawet bezmaci bandyci trzymali się z dala od maszerujących w bitewnym szyku hord. Szarf Pasikoników rozesłał patrole w stronę Teksarku, ale nie wróciły jeszcze, kiedy Hpngin opuścił szeregi straży przedniej, żeby przybyć tutaj.

Sporządzili wykaz oddziałów, jakie im pozostały po odejściu Kopyta i jego wojowników. Ich siła uległa uszczupleniu o czwartą

część. Dowódcy zebrali się na naradę, na której pojawił się także mamidlowy komendant tajnej karawany z południa. Nie mogło być mowy o zmianie głównego planu. Jak było ustalone, trzon armii miał ruszyć na południowy wschód, pod Miasto Hannegana, i osłabiono tylko oddziały mające za zadanie atak na „opiekunów” Nowego Rzymu.

Tego wieczoru papież postanowił jednak, że choć przez kilka godzin nie będą rozmawiać o wojnie. Od czasu opuszczenia Nowej Jerozolimy ta sama grupka ludzi zbierała się zawsze przy

Ojcu Świętym po spożyciu wieczerzy. Letnie wieczory były gorące i wszyscy starali się usiąść daleko od ogniska, na tyle jednak blisko, żeby słyszeć i być słyszonym. Na początku kardynałowie chcieli odprawić o tej wieczornej porze kompletę, a potem pogрузić się w milczącej medytacji. Papież sprzeciwił się temu, gdyż byłoby to narzucanie chrześcijańskich obrządków niechrześcijańskim wodzom nomadzkiem, którzy też wchodzili wszak w skład dworu. Dał takim posiedzeniom nazwę Curia Noctis i zachęcał ich uczestników do opowiadania historii. Tego wieczoru zarządził, że tematem będą ludzie świątobliwi, aczkolwiek nie zakazał też innych tematów, byleby nie wspomniano o wojnie.

Święty Szał, który nie wrócił jeszcze do swoich, posłał po kardynała Czarnożęba, żeby dołączył do nich przy ognisku. Mnich był jeszcze za słaby, by chodzić bez pomocy. Topór wspierał go najpierw, ale po chwili wziął kardynała na plecy i przyniósł.

- Gdzie twój czerwony kapelusz? – spytał papież.
- Ukradł mi go powien święty człowiek, Ojciec Święty.
- Doprawdy? Któż taki, Eminencjo?
- Twój poprzednik, Ojciec Święty.
- Bracie od Świętego Jerzego, czyżby nawiedził cię Amen Specklebird?
- Przychodzi do mnie co czwarty dzień.
- Jeśli tak, powinien był cię uleczyć. Powiedz mu, że potrzebne nam cuda, by wynieść go na ołtarze.
- On chyba nie chce, by robiono z niego świętego.
- Ależ, mój Czarnożębie! Nie można z nikogo zrobić świętego! Albo jest się nim, albo nie. My zaś musimy ty lko to stwierdzić.
- Oczywiście, Ojciec Święty.

– No dobrze, ale zażądaj zwrotu kapelusza. Nie pokazuj się tutaj bez niego.

Czamożab zwierzył się Wooshinowi:

– Jutro jest mój dzień szaleństwa. Już teraz czuję się nieswojo. Nie pozwól, bym dopuścił się jakiegoś niecnego czynu.

Niektórzy kardynałowie zapadli, zdać by się mogło, w drzemkę. Papież spojrział na Wooshina. Topór odchrząknął i powiedział parę słów jako pierwszy.

– Podziwiam świętych. Może wydać się to wam nieprawdą, panowie i dostojni ojcowie, ponieważ ja sam nie jestem człowiekiem religijnym, lecz mój lud oddaje cześć ludziom świętym. Jeden z nich zwał się Butsa. Kiedy przecisnął się na świat z matczynego łona, od razu stanął wyprostowany. Jedną ręką wskazał w górę, drugą do dołu i rzekł: „Niebo nade mną, ziemia pode mną, ja zaś jestem tu jedynym gościem honorowym”.

– Każde kwilące niemowlę mówi to właśnie, nim je ochrzczę – roześmiał się ksiądz Ombroz. – O tym krzyczy dziecko. I jest gościem aż za bardzo honorowym.

Siedzący ze skrzyżowanymi nogami Topór uśmiechnął się, jakby zrobił już, co do niego należało. Zamknął oczy i stał się szesnastostopowym złotym ciałem, które waży siedemnaście ton. Potem zniknął i zmienił się w źdźbło trawy. Czamożab zauważył, że papież Amen I przybył wcześniej, niż się go spodziewał, i stanął na obrzeżu świetlnego kręgu wyznaczonego przez ognisko. Przystanął, żeby opróżnić pęcherz. Kiedy już schował z powrotem swego długiego, czarnego członka pod szaty, podszedł powoli do ogniska. Dotykając palcem spokojnie uśmiechniętych warg, przestrzegł Nimmye’go przed wyjawianiem jego obecności. Nie ulegało wątpliwości, że nikt inny nie może go zobaczyć. Natomiast Czamożab czuł nawet jego zapach, i był to zapach śmierci.

Wytrącony z równowagi uśmiechem, jakim obdarzył go duch Specklebirda, Czamożab przerwał milczenie.

– Także święty Leibowitz przemówił w chwili narodzin. Czy wiecie? Wysunął głowę z łona matki i spytał położną: „Co teraz?” L położna odparła: „Przez dziewięćdziesiąt i dziewięć lat wielka pustynia”.

– Chrum! – chrząknął z cicha Topór.

– Święty Izaak rzekł: „Precz!”

– Zniknęła. On zaś żył dziewięćdziesiąt i dziewięć lat. Czy wiecie?

Papież uśmiechnął się krzywo.

– Czyżby więc święty Leibowitz miał diabła za położną? Czy źródłem tej historii jest podziemie Opactwa Leibowitza?

Można tam znaleźć dziwne legendy, Ojciec Święty – przyznał Czamożab. – Najwcześniejszy Żywot świętego Leibowitza spisano anonimowo. Za napisanie książki groziła szubienica. Nie ma z tych dziesięcioleci żadnych tekstów. Nie jest to jednak jedyna legenda wiążąca Leibowitza z diabłem.

– Opowiedz więc jakąś inną – polecił mu papież.

– Nie mogę. Czy słyszałeś, Ojciec Święty, o Fauście?

– Chyba nie.

– Chodzi o pakt z diabłem. Znamy tylko okruchy tej opowieści. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego czcigodny Boedullus myślał, że Faust był Leibowitzem.

– Czy ten prostaczek nie uważał, że zawarł pakt z diabłem?

– Tak. Ale czcigodny Boedullus nie był prostaczkiem.

Amen II roześmiał się. Słowo prostaczek było tytułem grzecznościowym, a Nimmy oświadczył w ten sposób, że Boedullus nie był człowiekiem wytwornych manier.

– Mam na myśli to, że nie należał do czyniących sprostaczenie, takim, który uważał, że wszystkie księgi, poza Pismem, powstały z diabelskiego natchnienia.

– I czcigodny Boedullus nie był tego zdania?

To pytanie sprawiło, że Czamożab poczuł zawrót głowy. Patrzył na papieża Amena II, który powoli i wijąc się odmienił swą postać i był teraz szesnastostopowym złotym ciałem bożka Baala. Czamożab po chwili oszołomienia i niezdecydowania nachylił się, by rozbić papieskiego bożka, ale Wooshin był temu przeciwny. Zanieśli rozwścieczonego, lecz nieposkromionego do wozu łotrzyka i pomogli Ukąszonemu Psu go związać. Był to jeszcze jeden dzień udręczenia i wojna uspokoiła się tylko podczas Curia Noctis.

W czasie, kiedy władał nim obłęd, kuguar Librada uciekł.

Rozdział 28

„W czas głodu, gdy ogród zawodzi i bracia zjadają korzenie juki, płetwy kaktusa, koguciki chaparral, węże i kury nioski, a jednak są bliscy śmierci głodowej, niechaj Opat pomodli się o błogość wieństwo świętego Benedykta i pozwoli im zjadać czworonożne zwierzęta, chyba że są wśród nich zręczni łowcy, którzy umieją podkraść się do dzikich błękitno głowych kóz”.

Reguła świętego Leibowitza, dewiacje 17

Nie wszyscy opaci byli jednacy. Hieronim z Pecos, pełniący funkcję opata przed Podbojem, w czasach papieża Benedykta XXII i naczelnika Hannegana II, otworzył szeroko bramy klasztorne na świat i pozwolił swym synom wysłuchiwać wykładów z filozofii naturalnej, wygłaszanych przez racjonalnie myślących ateistów, i zabawiać się w podziemiu maszynami elektrycznymi. Co stało się w owych czasach z zakonnym powołaniem – opat Olshuen mógł się tylko domyślać. Za jego rządów mnisi z Opactwa Leibowitza byli w miarę możliwości nieświadomi zmian zachodzących w świecie, także spraw związanych z budzącymi sprzeczne uczucia pontyfikatami dwóch Amenów. Takie odsunięcie od świata nie byłoby możliwe – bez znieważenia papieża – za czasów Jarada, który był także kardynałem, lecz dom Abiquiu zmienił politykę poprzedniego Opata i nie dopuszczał, by mnisi wiedzieli cokolwiek o sprawach, jakimi Kościół żył poza murami klasztoru. Opat, zawsze zachowawczy w sposobie interpretowania Reguły Świętego Leibowitza, nie dopuszczał do rozpowszechniania we wspólnocie większości wieści, także dotyczących Kościoła, jakie napływały do żyjącej w zamknięciu trzódki. O bulli Scitote Tyrannum powiedział, nakazując dochowanie całkowitej tajemnicy, tylko klasztornemu rządcy i tym braciom pochodzącym z Teksarku albo Prowincji, których rodziny mieszkały na terenach objętych pożogą.

Amen II po wyruszeniu z Nowej Jerozolimy na podbój Nowego Rzymu wysłał Olshuenowi dwa listy. W pierwszym zawiadomił go, że oto on, sługa sług Bożych, ogłasza krucjatę, żeby naprawić błędy, w jakie popadł ukochany syn, cesarz, oraz że tenże sługa sług

Bożych prosi, by wszyscy mnisi od Leibowitza wsparli modlitwami jego świętą sprawę. W drugim nakazywał mu udzielić azylu niejakiej siostrze od Świętej Klary z Asyżu, gdyby ta zechciała skorzystać z papieskiej łaski i wrócić z wygnania, czyli z klasztoru Sióstr Matki Bożej z San Pancho Villa w Górach Karaluszych, na południe od Rzeki Śmiałej. Kucisawy nie wspomniał, że siostra Klara była niegdyś kochanką Czarnożęba, ale opat i tak o tym wiedział, gdyż Iridia kardynalessa Silentia odwiedziła opactwo podczas swej podróży na południe. Olshuen osłupiał wtedy, albowiem ujrzał, że towarzysząca jej młoda siostra to też sama osoba, która tak bezwstydnie zaświeciła mu tyłkiem w poprzednim roku, a potem poszła za starym Żydem w stronę Mesy.

Poruszył się niespokojnie na to wspomnienie, ale rozkaz udzielenia jej na jakiś czas schronienia wyszedł od samego papieża.

Olshuen był bardzo surowy w sprawach związanych z regułą, ale nie był przecież ani buntownikiem, ani człowiekiem szczególnie odważnym. Zdawał sobie sprawę, że jeśli ma przewodzić swemu zgromadzeniu podczas modlitw w intencji papieża, musi powiedzieć o krucjacie. A jeśli ma zapewnić wkrótce azyl bosonogiej dziwce w habicie ODD, musi natychmiast przystąpić do budowania dodatkowej celi.

Posłaniec, który dostarczył Olshuenowi listy od papieża, pędził co koń wyskoczy prosto z Nowej Jerozolimy, następnego zaś dnia pomknął, również co koń wyskoczy, do klasztoru w San Pancho Villa – bez wątpienia z ułaskawieniem dla dziewczyny.

Po otrzymaniu papieskich listów opat bez zwłoki posłał do Nowej Jerozolimy wezwanie dla Świętej Krowy, nakazując przeorowi jak najszybszy powrót do Opactwa. Nie było to zgodne z przepisami, ale opat musiał dowiedzieć się, jak opuszczenie przez papieża schronienia w górach Ssamieito wpłynęło na stosunki między nowojerozolimskim rządem i mnichami wysłanymi z opacką misją, czyli Klasztoru Świętego Leibowitza w Gaju Bawełnianym.

Dodatkowa cela była przybudówką do północnej ściany hospicjum, nie połączoną jednak z głównym budynkiem drzwiami. W porównaniu z celami mnisimi „kurwidolek” (tak Olshuen nazywał to miejsce w myślach) miał luksusowe wyposażenie, bieżącą wodę, piecyk na węgiel drzewny służący do gotowania i ogrzewania,

drewnianą wannę i osobny wychodek trzy kroki od bocznych drzwi. Podobnie jak w celach mnisich było tu łoże z siennikiem, krzesło, stół do pisania i jedzenia, klęcznik do modlitw i krucyfiks, żeby było się przed czym modlić. Na półce ustawiono mszał, psalterz i egzemplarz Reguły Świętego Leibowitza. Jeśli kucharz będzie jej przynosił jadło, kocmołuch nie będzie musiał wychodzić nawet na posiłki, jedynie na mszę, co jednak opat uznał za mało prawdopodobne.

W opactwie gościły już dwie osoby. Pierwszą był młodszy brat szarfa Kopyta, Śnieżny Upiór, który chciał zostać postulantom. Drugim – thon Elmogieri Santalot, doktor nauk przyrodniczych, który był nie tylko profesorem nadzwyczajnym teksarkańskiego uniwersytetu, ale również majorem rezerw jazdy. Jego jednostka została powołana do służby, on sam jednak dostał przepustkę umożliwiającą kontynuowanie studiów w opactwie, gdzie spędzał cały swój czas w oświetlonej wysoko umieszczonymi oknami czytelni, a do mnichów dołączał tylko podczas posiłków i niedzielnej mszy. Nikt, nawet opat, nie znał celu badań naukowych, które prowadził w opactwie. Siedemdziesiąt dwa lata wcześniej opat Hieronim błagałby, żeby im to wyjawiał. Dzisiaj dom Abiquiu błagał, by nie prowadził żadnych rozmów z mnichami.

Śnieżny Upiór nie znał Ofzarku. Santalot nie znał dzikopsiego, choć podczas służby wojskowej w Prowincji liznął nieco dzikokróliczego. Obaj znali jednak trochę kościelny. Trudno było się im więc dogadać, ponieważ jednak byli wrogami, trzeba uznać, że i lepiej. Śnieżny Upiór uczestniczył już w mszy i odśpiewywał godzinki razem z innymi mnichami, w chórze, choć nadal nie skrojono jeszcze dla niego habitu. Opat ostrzegł go surowo przed rozmowami o polityce z teksarkańskim uczonym, ale ostrzeżenie okazało się zbędne.

Wydawało się, że Śnieżny Upiór po prostu boi się tamtego.

Thon Santalot, którego życiem rządziła dociekliwość, zaciekał się, po cóż to buduje się dodatkową celę, skoro hospicjum jest prawie puste. Śnieżny Upiór nie potrafił mu tego wyjaśnić. Brat cieśla rzekł, że to dla specjalnego gościa, nic więcej bowiem nie wiedział.

Kocmołuch nigdy jednak nie zamieszkał w tej celi. Pod koniec czerwca stary Żyd, który ciągle nie umierał, przybył ze wschodu i runął pod bramą na ziemię. Opat rozkazał zanieść go do hospicjum, kiedy jednak starzec jął bredzić po hebrajsku, thon Santalot przestraszył się i dom Abiquiu osadził Beniamina w „kurwidołku”, gdzie żywiono go chleber i przegotowanym kozim mlekiem.

Brat medyk nie potrafił określić, na co choruje stary pustelnik, ale wydawało się, że już następnego dnia choroba powoli ustępuje. Upierał się, że chce wrócić na Mesę, ale czwartego dnia, nim się wyprawił, znowu dostał ataku i trzeba go było trzymać siłą. Kiedy gorączka chwilowo przeszła, oznajmił Olshuenowi, że jest zagrożeniem dla całej wspólnoty, i uzyskał obietnicę, iż opat zarządzi odpowiednie środki sanitarne. Wyjaśnił, że choroby nabawił się podczas wędrówki wzdłuż linii walk w Prowincji, gdzie sprzedawał obu stronom korzystną z wojskowego punktu widzenia pogodę. Twierdził z uporem, że jeśli chce się zapobiec rozprzestrzenianiu zarazy, należy drzwi i okna jego celi zasłonić płótnem, żeby nie dostały się żadne owady. Opat skwapliwie się na to zgodził, wiedział bowiem, że stary Beniamin ma medyczne doświadczenie.

Kiedy Elmogień Santalot dowiedziawszy się, jaka jest natura choroby Beniamina i gdzie się jej stary nabawił, udał się prosto do gabinetu opata. Opata nie było, uczony wręczył więc sekretarzowi flaszkę pigułek i wyjaśnił, że były mu potrzebne, ażeby nie zarazić się chorobą Hilberta od wojsk stacjonujących w Prowincji. Następnego dnia uczony spożywał spóźniony poranny posiłek w refektarzu, kiedy usiadł przy nim opat Abiquiu i postawił flaszkę z pigułkami na dębowym blacie stołu.

– Jeśli zażywa się jedną tabletkę dziennie, działa zapobiegawczo – wyjaśnił thon. – Dwanaście dziennie przez pięć dni to kuracja. Powinno tego wystarczyć, żeby każdy mnich, który się z nim stykał, dostał dwie pigułki.

– Resztę zaś mam dać Beniaminowi?

– Jeśli chcesz ocalić mu życie. Zwykle choroba nie jest śmiertelna, ale ten człowiek jest taki stary i słaby...

– Stary owszem, ale słaby bynajmniej. Nie wiem jednak, skąd masz te pigułki. Wspomniałeś coś o chorobie Hilberta.

Thon Santalot rozejrzał się po pustym refektarzu. Zbliżała się już pora posiłku południowego. Poza opatem usłyszeć go mogli tylko brat kucharz i brat rekoncyliator.

– Przypuszczam, że choroba thona Hilberta przestała już być tajemnicą. Nasze wojska mają środek zapobiegawczy, natomiast najeźdźcy nie.

– Idźcie zająć się swoimi sprawami – rozkazał opat mnichom. Kiedy zniknęli, zapytał Santalota: – Chcesz powiedzieć, że wojskowi Hannegana rozmyślnie szerzą w Prowincji zarazę?

– Oczywiście. Ci, którzy toczą wojny, zawsze wykorzystywali choroby, domne. Mór to jeden zjeźdźców Apokalipsy, czyż nie tak?

Olshuen potrząsnął głową.

– Nie. To znaczy są różne wykładnie.

– Pamiętasz z pewnością, że choroba weneryczna była jedną z broni użytych podczas tak zwanego Potopu Płomieni. Hannegan II zaś użył zarazy w zeszłym wieku na Równinach.

– Lecz wtedy chodziło o zarazę wśród bydła, nie zaś ludzi.

– Tak, bydła. Koni też. To część dzieła Hilberta. Wyizolował mikroorganizmy. Dzisiaj potrafimy zarażać nomadzkie zwierzęta bezpośrednio, nie wprowadzając chorych sztuk do ich stad.

– Jak się to robi?

– Mam o tym niewielkie pojęcie. Jazda ma ten środek ze sobą w butelkach. Zdaje się, że rozpylają to przy odpowiednim kierunku wiatru.

– Wspomniałeś o chorobie Hilberta – szepnął opat, który często cichł, kiedy poczuł się czymś zadziwiony. – Kim jest ten Hilbert?

– Thon Brandio Hilbert jest, a raczej był, wybitnym epidemiologiem, niegdyś kierownikiem Katedry Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Hannegana.

– Był? Niegdyś? Nie żyje?

– Żyje, ale przebywa w więzieniu. Sumienie kazało mu sprzeciwić się wojskowemu wykorzystaniu jego dokonań. O, zbierają się już na posiłek, a ja muszę wracać do swoich badań, domne. Dziękuję, bracie kucharzu, żeś nakarmił mnie o tak niezwyklej porze.

Kiedy wyszli z refektarza, opat przyklęknął, żeby pomodlić się przed drewnianą figurą innego przeciwnika wojny, założyciela

zakonu. Olshuenowi udało się pomodlić i za duszę papieża, i za jego umiłowanego, a błędzącego syna, cesarza, nie wspominając przy tym ani słówkiem o zwycięskiej stronie. Była to krótka modlitwa, po której wrócił do refektarza, aby spożyć ze swoją trzódką powszedni chleb, czerwoną fasolę i popić ten posiłek mlekiem. Potem zaniósł pigułki staremu Żydowi.

Kuracja okazała się skuteczna. Tydzień później pacjent zostawił pouczenia co do sposobu dezynfekcji celi, którą zajmował, i wrócił na swoją Mesę. Jego przepis wymagał palenia w pomieszczeniu siarki i pozostawienie jej niezamieszkałej przez kilka miesięcy – chyba że powstanie potrzeba urządzenia „kurwidołka”.

Jeśli Śpiewna Krowa czuł do opata żal z powodu wezwania go w środku lata do powrotu, zachował to dla siebie. Tak czy inaczej, przyjazd z Nowej Jerozolimy nie miał w sobie nic z radosnego powrotu do domu. Olshuen zdusił w sobie pragnienie, by usłyszeć nowiny o krucjacie Kucisawego, gdyż Krowa był półmartwy z gorąca. Dał mu cały dzień na wypoczynek. Ale następnego dnia okazało się, że przeor od Świętego Leibowitza w Bawełnianym Gaju nie ma najmniejszego pojęcia o poczynaniach papieskiego dworu. „Ojciec – oświadczył ojciec Muu – stosunkom między klasztorem a rządem rajcy Diona nie może zaszkodzić krucjata, gdyż z woli papieża żadnych takich stosunków nie było”. Olshuen chciał porozmawiać o sprawie siostry od Świętej Klary z Asyżu, lecz Śpiewna Krowa znał ją wyłącznie jako Edreę, a ponieważ w dodatku całą wiedzę na jej temat uzyskał podczas spowiedzi, nic o niej nie mógł powiedzieć ani nie miał nawet prawa słuchać cierpliwie dobrotliwych oszczerstw, jakich nie szczędził opat.

Opactwo przyjęło tego lata siedmiu dzikokróliczych ucikinierów jako postulantów, więc dawna cela Śpiewnej Krowy była zajęta. Opat umieścił go w hospicjum z postulantami dzikopsimi oraz thonem Elmogniem Santalotem. Przedtem wyjawiał przeorowi, co uczony powiedział mu o chorobie Hilberta. Ojciec Muu zachował nieprzenikniony wyraz twarzy. Dom Abiquiu odszedł z wątlym uśmiechem na wargach. Nie poprosił Śpiewnej Krowy, by ten wypytał thona o szczegóły.

Minęły trzy tygodnie i nikt więcej nie zapadł w opactwie na chorobę Hilberta. Krowa poprosił, by pozwolono mu wrócić do

klasztoru Leibowitza w Bawełnianym Gaju. Olshuen uświadomił sobie, że wzywając go tutaj, popełnił drobny błąd, nie chciał jednak, żeby pobyt przeora nie przyniósł żadnego pożytku.

– Chcę, byś przejrzał całą pracę, jaką pozostawił brat od Świętego Jerzego. Nie tylko boedullaria, ale też rękopisy Durena. Zobacz, czy mógłbyś napisać jakiś komentarz...

Chmura kurzu wzbiła się na południe od Sanly Bowitts. Zdarzyło się, że właśnie w tym momencie trzech nowicjusze stali na murze i zapisywali wysokość oraz azymut słońca, żeby dokonać porównania z efemerydami. Chodziło o dokładne ustawienie klasztornego zegara. Z odległego obłoku pyłu wyłonił się eskortowany przez dwóch konnych powóz, który wjechał do osady, a kilka minut później wyłonił się na drodze do klasztoru. Nowicjusze patrzyli osłupiali na bogato zdobiony pojazd, który zatrzymał się przed bramą. Dwaj nieumundurowani żołnierze króla Laredanu otworzyli drzwiczki i z ukazała się siostra Klara, jakaś nieznana im inna siostra oraz sama karydynalessa, matka Iridia Silentia, ODD.

– Pięcioro do hospicjum – rozległ się czyjś okrzyk.

Dopiero po wieczornym posiłku i tuż przed kompletą Iridia Silentia udała się do gabinetu opata. Z początku nie chciała usiąść i robiła wrażenie zdenerwowanej, aczkolwiek pełnej zapału.

– Siostra Klara jest naczyniem Ducha Świętego, domne, to pewne. A nie mam w tej kwestii najmniejszych wątpliwości, gdyż siostra ta nie potrafi rządzić swym darem i nigdy nie twierdzi, że uzdrowi, kiedy wie, że nie może tego dokonać. Głęboko współczuje ludziom, a bywa wszak, że chętnie pomogłoby się niejednemu, mówiąc, iż można jego dolegliwość uleczyć. Zwłaszcza jeśli powody są przynajmniej po części duchowe. Ona jednak niczego takiego nie twierdzi.

– Czy przypisuje swój dar Bogu?

– Mniemam, że nieostrożnie byłoby ją o to pytać – oznajmiła ostrym tonem kardynalessa i dom Abiquiu pokraśniał. Wreszcie Iridia usiadła. –Jeśliby odpowiedziała twierdząco, Kościół byłby w kłopotcie. Jeśliby odpowiedziała przecząco, tak samo. Oto przyczyna, dla której nie możemy przechowywać takiego skarbu w naszej wspólnocie klasztornej. Przyjęła nasze śluby, chodziła bosą stopą po naszych kamieniach, modliła się z nami, spożywała z nami ciało

naszego Pana i rychło ją pokochałyśmy. Jest jednak skarbem i trzeba przywrócić jej wolność.

– Czy brat od Świętego Jerzego wie o jej darze?

– Wyznała mi, że się z nim droczyła. Oznacza to, jak sędzę, że okazywała mu swój dar w drobnych sprawach. Widzisz sam, że nie możemy mieć nikogo tak niezwykłego pośród nas. Poza samym Panem.

– Przywiozłaś więc ją mnie.

Teraz kardynalessa pokraśniała.

– Bo tak kazał papież... Nie, niezupełnie. Papież polecił przysłać ją tutaj, jeśli zechce nas opuścić. Uznałam, że powinna odejść, i pomogłam jej tego zapragnąć. No i sama ją tu przywiozłam. Gdybym nie przyjechała, nie mogłabym ci o niej opowiedzieć.

– Mogłaś napisać list.

– Nie mogłam napisać listu i ty też nie powierzysz żadnej wiadomości o niej papierowi. Chyba że pragniesz ją unicestwić. Czyż nie pojmujesz?

Dom Abiquiu milczał przez chwilę.

– Na przykład pytając, czyjej dar pochodzi od Boga?

Kardynalessa obdarzyła go pełnym ciepła uśmiechem i serce opata ścisnęło się z boleści.

– Musi wrócić do siebie, jeśli syn rajcy do tego dopuści. Zatrzymasz ją tylko do chwili, kiedy Ojciec Święty będzie mógł zapewnić jej powrót.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że Ojciec Święty ma inne sprawy na głowie?

Silientia nie zwróciła uwagi na ironię kryjącą się w słowach Olshuena.

– Powiem siostrze Klarze, że musi unikać rozmowy z kimkolwiek spoza hospicjum.

– W hospicjum przebywa jeden z naszych postulików.

– Musi zatem...

– Zabiorę go stamtąd. Kim jest druga siostra?

-- Moją sekretarką. Wróci ze mną do San Pancho.

W drzwiach stanął brat szafarz.

Poszukał spojrzeniem wzroku opata, kiedy zaś ten skinął mu głową, spytał:

– Domne, czy powiedziałaś naszym gościom, by sami wybrali sobie izby?

– Tak, to oczywiste. Czy są jakieś kłopoty?

– Ten tylko, że jedna z mniszek wybrała sobie, hmm, celę izolowaną.

– Musisz ją stamtąd wyprosić! Zagrożenie nie minęło.

– Oznajmiła, że ta cela jest przeznaczona specjalnie dla niej. Nie wiem, co ma na myśli.

Kardynalessa przypatrywała się chwilę badawczo opackiemu obliczu, a potem rzekła:

– A ja chyba wiem. – Wstała. – To wszystko, domne. Jestem bardzo zmęczona i chciałabym pójść do siebie. Jeśli pozwolisz, odmówię kompletę w samotności mej celi. Pomówię z mą uczennicą. Dziękuję ci za wszystko.

Z uczennicą? To słowo rozbrzmiewało w głowie opata długo po wyjściu matki Iridy.

Tego wieczoru siostra Klara opuściła opacki „kurwidolek” i przeniosła się do hospicjum,

gdzie zamieszkiwali inni. Powiedziała, że tamta cela była pierwotnie przeznaczona właśnie dla niej, ale że nic nie wiedziała o kwarantannie. Śpiewna Krowa zdusił w sobie ciekawość i o nic nie zapytał.

Hospicjum gościło teraz trzy zakonnice, dwóch żołnierzy, teksarkańskiego uczonego, nomadę, który był zapewne postulantem, i ojca Śpiewną Krowę. Aidrea opuszczała celę tylko udając się na posiłki do refektarza oraz na wspólną mszę. Kardynalessa, jej sekretarka i dzikopsi nomada Śnieżny Upiór często przebywali poza budynkiem. Zapewne wznosili w tym czasie razem z braćmi pobożne pienia. Śpiewna Krowa był zajęty w skryptorium, gdzie podsumowywał dokonania brata Czarnozęba, a thon Elmogień Santalot myszkował wśród książek przechowywanych na półkach w podziemiu albo czytał i sporządzał notatki w pomieszczeniu głównym biblioteki. Laredańscy żołnierze byli przez większość czasu sami, poza nimi w hospicjum przebywała Edrea, która ryglowała się w swojej celi. Drugiego dnia jeden z żołnierzy pojechał do Sanly Bowitts i wrócił z dzbanem miejscowego samogonu. Kiedy

obaj byli już pijani jak bela, śmielszy z nich zapukał do drzwi pięknej siostrzyczki i zaproponował, żeby się z nimi napiła.

/Edrea otworzyła drzwi, wzięła do ręki dzban, który jej podsuwano, przechyliła go i wypła zdrowy łyk.

- Dziękuję, kapralu Browka - powiedziała z uśmiechem, a potem zamknęła drzwi i szczękęła rygłem.

Browka znowu zapukał, ale za drzwiami panowała cisza.

- Widziałeś, jak się do mnie uśmiechnęła?

Ojciec Muu i nomadzki młodzieniaszek wrócili z kościoła, a wkrótce potem zjawił się też Santalot. Żołnierze częstowali wszystkich swoim napitkiem, ale dziękowano im grzecznie, gdyż dzban był już prawie pusty. Potem przyszła kardynalessa, ale nie wróciła od razu do siebie. Usiadła na chwilę w czytelni. Żołnierze ukryli dzban i udawali, że śpią.

- Wyjeżdżamy rano, zaraz po laudzie - oznajmiła matka Iridia. - Wszyscy musimy podziękować mnichom za ich gościnność.

Powiedziała to w języku kościelnym, jedynym znanym wszystkim gościom klasztoru. Żołnierze posługiwali się nim z trudem, lecz, jak przystało żołnierzom, interesowali się kampanią wojenną papieża i mieli mnóstwo pytań. Jedne ujęli w słowa, inne nie. Tak czy owak, niewiele dowiedzieli się w ciągu dwóch dni pobytu w opactwie.

Rankiem, po odbyciu ostatniej już rozmowy z opatem, Iridia pożegnała się ze swoją uczennicą. Obie uroniły niejedną łzę, a potem kardynalessa odjechała ze swoją świtą, zostawiając zapłakaną jeszcze przez jakiś czas i Tidreę. Siostra Klara dzieliła teraz hospicjum ze Śpiewną Krową, Śnieżnym Upiorem i uczonym Elmogniem Santalotem. Opat Olshuen powiedział nomadzie, że może przenieść się teraz do celi w dormitorium, lecz ten nie kwapił się do przeprowadzki, mówiąc, że nie dojrzał jeszcze do milczenia i samotności. Zaskoczony opat przemknął spojrzeniem po Edrei, jakby zastanawiając się, czy nomada dojrzał też do cnoty czystości, ale nie nalegał. Powołania wśród nomadów zdarzały się nieczęsto i jeżeli w opactwie nie było Śpiewnej Krowy, brat Strzyżyk, kucharz, nie miał do kogo otworzyć ust w macierzystym języku ani w pokrewnym dialekcie.

W dzień świętej Klary, rok po złożeniu ślubów, z których została teraz zwolniona, Edrea, siostra od Świętej Klary z Asyżu, dokonała cudu w hospicjum Opactwa Leibowitza.

Pod koniec sierpnia brat Strzyżyk uzyskał pozwolenie na odwiedzin w hospicjum ojca Śpiewnej Krowy i Edrea, siostra od Świętej Klary z Asyżu spostrzegła, że rak zżera gardło brata kucharza. Jego głos zmienił się w chrapliwy szept. Nazywał swoją chorobę „bratem Krabem” i stroił sobie z niej żarty. Edrea stanęła za nim, kiedy siedział i rozmawiał ze swoim starym przyjacielem, Muu. Poczuł dotyk i poderwał się, ale zaraz opadł na krzesło i nie sprzeciwił się temu, że jej dłonie przesuwają się po jego szyi. Podskoczył raz jeszcze, gdyż nacisnęła końcami palców miejsce pod jabłkiem Adama.

– Odpręż się, bracie. Boli?

– Tylko trochę – wyszeptał Strzyżyk. – Coś uczyniła? Poczułem jakieś puknięcie.

Jeszcze przez chwilę gładziła jego szyję, a potem odwróciła się i poszła do swojej celi. Ojciec Muu przeżegnał się. Brat Strzyżyk spostrzegł to i poszedł w jego ślady.

– Lepiej nikomu o tym nie mów – ostrzegł Śpiewna Krowa.

Po trzech dniach Strzyżyk zaczął odzyskiwać głos. Wieść o tym szybko się rozniosła. Po tygodniu siostra Klara wyleczyła zakażenie wskutek poparzenia, rupturę, ropiejący ząb i zapewne zapalenie oka. To wszystko mogłoby przejść niezauważone, kiedy jednak wyleczyła bibliotekarza, brata Obohla, z krótkowzroczności, i mnich ujrzał przepiękną niewiastę, która kładła mu dłonie na oczach, najpierw skrzeknął ze zdumienia, a potem zaczął tak wylewnie i głośno dziękować, że usłyszał to sam dom Abiquiu.

Śpiewna Krowa przebywał akurat w hospicjum, kiedy opat wkroczył do celi Edrei i zamknął za sobą drzwi.

– Zabroniłem ci obcować z mnichami.

– Nie obcowałam.

– Kardynalessa Silentia zakazała ci tych znachorskich sztuczek.

Siostra Klara otworzyła drzwi.

– Wybacz, domne, ale nie zakazała. I nie robię żadnych znachorskich sztuczek.

– Śmiesz spierać się ze mną? Tego uczono cię w klasztorze?

– Wolałbyś, żeby brat bibliotekarz dalej był półślepy?

– To moja wina – wtrącił się ojciec Muu. I z jego ust padło kłamstwo: – To ja posłałem go do niej.

– Co?! – Olshuen chwycił z trudem powietrze, starając się z całych sił zapanować nad sobą. – Dość tego kładzenia rąk na kimkolwiek, póki tu jesteś. Czy to jasne?

– Tak, domne.

– Okażesz mi posłuszeństwo?

– Tak, domne.

Opat obrzucił gniewnym spojrzeniem Śpiewną Krowę.

– Najwyższy, zda się czas, byś wrócił do siebie.

– Dziękuję, domne. – Gdy tylko dom Abuquiu zniknął, dodał: – Alleluja!

Siostra Klara uśmiechnęła się.

– Czy zechcesz zabrać list do mojej rodziny? I do starosty?

Śpiewna Krowa był jednak nadal w klasztorze, kiedy zaczęły otwierać się jej rany. Pewnego dnia przyszła na mszę i uklękła w tylnej części kościoła, za kolumną, spoza której nie mogli jej dostrzec siedzący w chórze mnisi. Dzięki temu zawsze jako pierwsza opuszczała kościół. Idąc za nią do hospicjum, Śpiewna Krowa zauważył ciemne plamy w obrębie śladów pozostawionych w piasku przez jej bose stopy. Na posadzce hospicjum krew była jeszcze wyraźniej widoczna. Zakrzyknął do niej, pytając, gdzie tak pokaleczyła sobie nogi.

Młoda mniszka przystanęła, podciągnęła nieco habitową suknię i spojrzała w dół. Przez chwilę wpatrywała się w swoje stopy, a potem podniosła wzrok na ojca Muu. Podniosła rękę do twarzy i przeor zobaczył, że wewnątrz dłoni też jest zakrwawione. Siostra była bardzo zmieszana.

– Kto cię zranił, siostrze?

– Nie wiem – odparła drżącym głosem. – Było ciemno. To był chyba diabeł. Miał taką samą suknię jak ty.

– Co powiadasz? Ktoś cię naprawdę napadł?

– To było jak we śnie. Młotek...

Zamilkła, obrzuciła go spłoszonym spojrzeniem, a potem rzuciła się do swojej celi i zaryglowała za sobą drzwi. Śpiewna Krowa

słyszał, jak się modli. Poszedł poszukać dom Abiquiu. Znalazł go klęczącego w korytarzu przed drewnianym Leibowitzem.

– Powiedziała, że było to jak sen – wyjaśniał ojciec Muu. – Ale miała wrażenie, że to ktoś z młotkiem, może sam diabeł...

– Zgwałcił ją?

– O niczym takim nie wspomniała.

– Chodźmy. Czy zawiadomiłeś brata farmaceutę?

– Właśnie tam idzie.

Kiedy weszli do hospicjum, brat farmaceuta już tam był. Drzwi celi były otwarte i ujrzeni fklreę spoczywającą na łożu. Przeszli próg, ale wtedy brat farmaceuta wypchnął ich, sam też wyszedł i zamknął drzwi.

– Rany? – spytał szeptem opat.

– To rany Chrystusowe – odparł cichutko medyk.

– O czym ty mówisz?

– Rany po gwoździach. Rana od włóczni.

– Stygmaty? Chcesz mi powiedzieć, że niewiasta... siostra ma stygmaty?

– Otóż to. Rozcięcie na boku jest wyraźne. Rany na stopach i dłoniach są sine na obrzeżu. Mówi o młotku.

– Diabli nada...!

Olshuen nigdy jeszcze nie był tak bliski przekleństwa. Obrócił się i wyszedł z hospicjum. Śpiewna Krowa deptał mu po piętach.

– Odwet! – denerwował się opat. – Odpłata!

– Przepraszani, domne? Co rzekłeś?

– Zakazałem jej używania mocy uzdrowicielskiej. I oto jej odpowiedź!

Szli w stronę budynku klasztornego i Śpiewna Krowa przez dłuższą chwilę milczała.

– Domne, wracam jutro do siebie – oznajmił wreszcie.

Opat Olshuen zatrzymał się.

-- Nie prosząc o pozwolenie?

– Wszak już mi je dałeś, nie pamiętasz?

– Ależ pamiętam.

Opat obrócił się na pięcie i odszedł.

Kilka godzin później brat Strzyżyk od Najświętszej Maryi przeszedł po rozporządzenia w sprawie diety dla chorych i zastał

Abiquiu Olshuena leżącego na podłodze. Opat nie mógł poruszyć prawą nogą. Kiedy spróbował coś powiedzieć, z jego ust dobył się skrzek.

Brat farmaceuta przybył prosto do infirmerii, gdzie Strzyżyk ułożył Olshuena.

– Czy to wylew, bracie? – spytał Strzyżyk.

– Tak, zapewne. Niestety!

Opactwo miało znowu własnego przeora, ojca Devendy. Wezwano go wraz ze Śpiewną Krową, Strzyżyk zaś wrócił do kuchni.

Przeor Devendy zwrócił się do Śpiewnej Krowy.

– Czy możesz sprowadzić tu siostrę, która ma moc uzdrawiania?

– Wiesz o niej?

– Dom Abiquiu powtórzył mi to, czego dowiedział się od matki Iridii. Wiem, że był tym zaniepokojony, ale... ale on może umrzeć!

– Zapytam ją. Została, widzisz, hmmm, zraniona. Czy brat medyk nic ci nie powiedział?

– Nie – odparł farmaceuta.

– Opisz jej rany ojcu Devendy’emu – polecił ojciec Muu – ale bez żadnych interpretacji!

– Pojmuję. Przypilnuj, żeby założyła jakieś trzewiki i nie pobrudziła bandaży.

Śpiewna Krowa spojrzała na opata. Dom Abiquiu toczył głową z jednej strony na drugą. Oczy miał zamknięte. „To o niczym nie świadczy” – uznał Muu.

Śpiewna Krowa znalazł w składziku parę małych sandałów. Były bardzo stare i być może używał ich kiedyś on sam albo jakiś inny nomadzki młodzieniec, któremu stopy jeszcze rosły. Zaniósł je siostrze Klarze i powiedział, że być może należały niegdyś do Czarnozęba. Założyła je bez słowa protestu.

– Dokąd idziemy, ojcze?

– Do dom Abiquiu. Jesteś mu potrzebna.

Aidreę wdrożono w klasztorze do posłuszeństwa, poszła więc, nie pytając, po co jest potrzebna. Kiedy weszła kulejąc do infirmerii i zbliżyła się do łoża, dom Abiquiu jęknął głośno i cofnął się. Oczy miał szeroko otwarte, na jego twarzy malowało się przerażenie. Lewą dłońią zakrył oczy, żeby na nią nie patrzeć. Edrea przystanęła i spojrzała na niego.

- Co za świnię! - wykrzyknęła nagle i przeżegnała się zabandażowaną ręką. - Nic nie mogę dla niego uczynić.

- Co masz na myśli? - spytał przeor Devendy.

- To, że dzisiaj nie mogę. Zresztą sam powiedział, bym więcej tego nie czyniła.

Obróciła się, żeby opuścić infirmerię.

- Siostrzo Klaro, błagam, przecież on może umrzeć! - prosił Śpiewna Krowa.

Raz jeszcze się przeżegnała, ale szła dalej korytarzem, nie odwracając nawet głowy.

Następnego dnia zauważono, że zniknęła z hospicjum. Nie było też w celi jej małej torby podróżnej.

Nikt nie widział, jak wychodziła. Zostawiła na łóżku karteczkę. „Przykro mi z powodu opata. Dziękuję za gościnność. Niech Bóg was błogosławi”.

Nikt nie wiedział, dokąd się udała. Wracając do Nowej Jerozolimy, Śpiewna Krowa zatrzymał się w osadzie Sanly Bowitts, żeby o nią zapytać. Widziano ją, jak szła w stronę Mesy Ostatniego Ratunku. Podążył za nią do stóp urwiska. Wypatrzył plamkę krwi na kamieniu, ale poza tym - ani śladu po niej. Poszła więc do Beniamina. Ojciec Muu był pewny, że stary Żyd wyleczy ją ze stygmatów Pana. Z niejakim poczuciem winy, opuszczał bowiem ją i dom Abiquiu, skierował muła w stronę papieskiej drogi szybkiego ruchu i dalej, na północ. Był już wrzesień i podróżował w mroku rozpraszanym tylko przez światło księżyca.

Rozdział 29

„Podobnie jak istnieje zawziętość zła i gorzka, która oddala od Boga i prowadzi do piekła, tak jest i gorliwość dobra, która oddala od grzechów i prowadzi do Boga”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział LXXII

Czamożab kardynał od Świętego Jerzego, diakon u Świętej Małgi, przykucnął na zboczu wzgórza, by dokonać długiego i bolesnego wypróżnienia, pierwszego z wielu tego dnia, kiedy usłyszał „pac, pac” repetowanej broni. Odgłos ten dochodził od strony głównego obozowiska, które rozbili w zalesionym zakolu szerokiego, płytkiego strumienia po drugiej stronie wzgórza.

Z miejsca, gdzie stał, czy raczej kucał, nie mógł zobaczyć obozu. Swój poranny rytuał, jedyny, na który mógł sobie pozwolić na osobności, wolał odbyć na zachodnim zboczu niewielkiego wyniesienia, wyniosłości tak małej, że ledwie dorównywała wysokością drzewom. Prawda była taka, że Czamożab tęsknił za domem. Nie za jakimś szczególnym miejscem. Nie miał nigdy niczego – poza Opactwem Leibowitza – co choćby w przybliżeniu mogłoby przypominać dom, i chociaż czasem (doprawdy bardzo rzadko) tęsknił za towarzystwem braci i poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawał monotonny tryb życia i przestrzeganie reguły, nigdy nie tęsknił za samym Opactwem. Brakowało mu za to pustyni, morza traw, krainy Pustego Nieba.

Chociaż nie widział na zachodzie niczego poza coraz kolejnymi drzewami, wiedział, że dalej jest otwarty teren: falista, nie zamieszкана równina, nieskończona jak wieczność, I wydawało się, że po zachodniej stronie niebo jest większe.

Bez uśmiechu, nieme, nieograniczone.

Pozdrawiam cię z tego miejsca, Puste Niebo.

„Pac, pac, pac”.

Czamożab wstał, i pospiesznie podcierając się garścią trawy, niepewnym krokiem pobiegł. Po chwili jednak zwolnił; zaniepokojenie zniknęło, gdyż rozpoznał dźwięk. Były to strzały ceremonialne, dla oddania czci. Nie chodziło o wymianę ognia z nieprzyjacielem. Wojownicy szarfa Pasikoników, zdyscyplinowani, gdy szło o wykorzystywanie cennych mosiężnych łusek, ale znudzeni już brakiem wojskowych działań, doskonalili sztukę naśladowania odgłosu repetowania nowych, „papieskich” strzelb. A nomadzi wszystkiego uczyli się szybko – jeśli chcieli.

Czarnoząb po raz pierwszy zwrócił uwagę na ten dźwięk kilka dni temu, kiedy wojownicy wracali po wykonaniu zadania zwiadowczego. Powiedział swemu woźnicy, Ukąszonemu Psu, że wojownicy wydają z siebie dźwięk strzelb zza morza, do których używa się mosiężnych łusek.

– Idź, Eminencjo, naśladować dźwięk szorowanych rondli – burknął Ukąszony Pies.

Do „pac, pac, pac” doszły teraz głosy psów. Nie było to zwykłe szczekanie, ale jakieś pół ujadanie, pół warczenie prowadzonych na smyczy psów bojowych. Te wszystkie dźwięki dochodziły ze skraju lasu, z obozu wojsk papieskich rozbitego w zakolu strumienia zwanego Nieznośnym, a może Nienośnym. Starając się osłonić oczy przed porannym, późnowrześniowym słońcem i obwiązując habit tropiciela ksiąg powrozem, Czarnoząb pokonał grzbiet wzgórza i zaczął schodzić ku obozowi. Zdjął sandały i niósł je w rękę, gdyż przyjemnie było mu iść po wilgotnej trawie. Widział między drzewami dumnie stąpające na sztywnych nogach konie, które zerkały ostrożnie w stronę psów, krążących dokoła i podobnych do kłębow kurzu.

Na „pac, pac, pac” nakładały się radosne okrzyki. Czarnoząb widział teraz pomalowanych, wymachujących uniesioną wysoko bronią Pasikoników. Było ich więcej niż mały oddział.

Coś się święci.

Czarnoząb był prawie zadowolony. Już od kilku tygodni, w miarę zbliżania się do Nowego Rzymu, wśród nomadzkich wojowników, którzy przystąpili z własnej woli do papieskiej krucjaty, narastało napięcie. Licząca tysiąc dwustu ludzi, rozciągająca się teraz na cały dzień marszowy kolumna, pęzła na wschód, i ramiona drzew sięgających nad prerię stawały się coraz liczniejsze, dłuższe i gęstsze, aż zmieniły się – w ciągu jednego dnia, i Czarnoząb dobrze ten dzień pamiętał – w ramiona prerii sięgające między drzewa. Było to coś w rodzaju złudzenia optycznego: jedna rzecz zmieniała się nagle w drugą, w swoje przeciwieństwo.

Kiedy opuszczali krainę wysokich traw i zagłębiali się w krainę lasów, wojownicy spodziewali się starć z teksarkańskimi oddziałami, które jeszcze Hannegan II zostawił – należało przypuszczać – do obrony świętego miasta. Nie spotkali jednak nikogo. Wojownicy

oczekiwali, że napotkają opór półosiadłych pasikońskich farmerów i osadników, których Filipeo przysłał, by się między nich wmieszali. Nic takiego nie nastąpiło. Przetrasający okolicę konni zwiadowcy napotykali tylko opuszczone farmy, spalone albo płonące stodoły, zabite bydło albo ślady kopyt i miękkie jeszcze łąno pozostawione przez uprowadzone stada. Drewniane zabudowania zostały spalone lub splądrowane, żałośnie wyglądające domki ogołoczone nawet z szyb w drzwiach i oknach. Szczególnie Pasikonikom pilno było do tłuczenia szkła i tracili coraz bardziej cierpliwość. Pogardzani trawożercy potłukli albo zabrali ze sobą okna.

Świeżo upieczony kardynał był równie mocno związany z krytym wozem, jak przedtem mnich, ale kilka razy zdarzyło się, że Czamożab porzucał rondle i miski i zwiedzał jeden, czasem dwa opuszczone domy, mając być może nadzieję – choć sam przed sobą się do tego nie przyznawał – że znajdzie jakiś ślad Librady, swojego kuguara-genoka, który uwolnił się, zanim do-konał tego opiekun. Ale Librada nie żarła padliny, a po drodze napotykali się jedynie na rozkładające się już ciała. Wiele razy patrzył, jak oddziały nomadzkich jeźdźców, śpiewających pieśń śmierci, wychylonych do przodu na swoich małych koniach, wjeżdżały między drzewa – najpierw z lękiem, potem z coraz większą ufnością, a wreszcie ze znudzeniem. Kraina wokół Nowego Rzymu została opuszczona. Nie było wojowników, z którymi można by walczyć, kobiet, które można by gwałcić lub – przynajmniej – których gwałcenia by zakazywano. Nie było nic poza drzewami – bardziej niemymi niż konie i bardziej nieruchomymi niż trawa. Farmerzy – wielu wywodzących się od Pasikoników – opuścili swoje domostwa, nie pozostał też ślad po wojskach, jakie Hannegan II zostawił tu w celu obrony miasta.

Niektórzy twierdzili, że właśnie te wojska zabrały stąd farmerów. Pewien ranny starzec, którego znaleziono w jego własnej stodole, powiedział papieżowi i Kurii, iż to teksarkańscy żołnierze powybijali jemu i sąsiadom okna i spalili pola, ale Czamożab pomyślał, że ten człowiek kłamie. Przynajmniej częściowo. W czasie wojennym prawda jest taką samą rzadkością jak piękno. Pojawia się przypadkiem i w najmniej oczekiwanych miejscach – jak błysk słońca odbitego od guzika poległego żołnierza.

„Pac, pac, pac”.

Wreszcie coś się dzieje. Czamożab czuł się, jakby miał w sobie dwóch ludzi: jednego, który bał się podniecających sytuacji, i drugiego, który ich pragnął, braciszka, który biegł ochoczo w dół zbocza, ku drepczącym niespokojnie koniom, i drugiego, który chciał wyhamować, zapierając się piętami w toż samo zbocze. Był zadowolony, że znalazł się na szczycie pagórka, ponad drzewami albo niewiele poniżej ich wierzchołków. Zagłębiać się między nie to jak wchodzić do więzienia.

„Pac, pac, pac”. Przynajmniej jeden ze strzałów zabrzmiał bardzo prawdziwie. Może

zwiadowcy ustalili miejsce, gdzie skoncentrowano główne siły teksarkańskie, i należy spodziewać się jeszcze dzisiaj bitwy. Ześlizgując się zboczem, Czamożab spojrzął między rozjaśnione blaskiem słonecznym rzędy drzew. Za nimi leży Nowy Rzym – najwyżej dzień jazdy stąd. A za miastem także niewidoczna Rzeka Wielka, Missipi. jak nazywają ją zjadacze trawy. Czamożab od miesięcy lękał się chwili dotarcia krucjaty do celu, teraz jednak tego pragnął – nawet gdyby oznaczało to bitwę. A teraz, ku swemu wiecznemu żalowi, wiedział już, czym jest bitwa. Wiedział też, że gorsze od samej walki jest oczekiwanie, stałe napięcie i ciężki odór spoconych mężczyzn.

Obóz cuchnął odchodami i dymem. Cuchnął gorączką Hilberta, opróżniającą wnętrzności chorobą, na którą Czamożab cierpiał wraz z trzecią co najmniej częścią ludzi – nomadów i chrześcijan. Ten smród gęstniał w miarę jak wysoka trawa ustępowała miejsca drzewom i zamiast świata, którym włada Puste Niebo, otaczał ich świat otulony gałęziami, ogrodzony drzewami. Mrok i błoto, pnie i gówno. Im bliżej Nowego Rzymu, tym tego więcej. Matka Kościół wraca do siebie.

„Pac, pac, pac”.

Na dole, w obozie, rozpalono na nowo wielkie, nocne ognisko. Bierwiona wielkie jak ciała zmarłych tliły się i dymiły – równie niechętnie jak ciała powracające do życia w płomieniach. Tutaj, w krainie lasów, wszystko było wilgotne. Skraj habitu zebrał wilgoć z wysokiej trawy. Czamożab dołączył do tłumu krzątającego się wokół ogniska pośrodku obozu. Kolejni wojownicy nadchodzili od mniejszych dzikopsich i pasikońskich ognisk. Dołączył do nich

Qcesach dri Vordar ze swoją przyboczną strażą. Nomadzcy wojownicy pluli w ogień i biegali, oddając niewidzialne strzały w stronę nieprzeniknionej szarości nieba. Znowu zanosilo się na deszcz. Jego groźba już od tygodnia wisiała nad ich głowami.

Szarf Pasikoników Eltiir Bram wyłonił się spomiędzy drzew, trzymając wysoko uniesioną nową strzelbę. Dołączył do niego szaman oddziału – na białym mule, z niesamowitym kapeluszem na głowie.

„Pac, pac, pac”. Kucisawy był nieobecny, ale niewielki oddziałek Gwardii Papieskiej dołączył do tłumu, prowadząc konie, które robiły wrażenie, jakby czuły się tu nieswojo. Ci żołnierze byli uzbrojeni w takie same strzelby jak dzikopsi wojownicy. Czamożab ze zdziwieniem wypatrzył wśród nich Aberlotta.

– Nie rób takiej smutnej miny, Eminencjo – powiedział przysadzisty valański student, dzierżąc zgoła nie trwożliwie swoją strzelbę.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Czamożab, nie zwracając uwagi na ironię kryjącą się w słowach starego przyjaciela.

– Po suchary. – Aberlott wskazał wóz, do którego ustawiła się już kolejka Dzikich Psów i Pasikoników albo raczej wszystkich zbrojnych. – Chodź.

Wooshin Topór stał już w kolejce i wpuścił przed siebie Aberlotta i Czarnożęba. Czamożab wiedział, że jest to dopuszczalne wśród nomadów, którzy w każdym człowieku widzieli część grona przyjaciół albo rodziny. Kiedy człowiek stanął w kolejce, miał też powiązania z innym, którzy w niej byli.

– Witaj, Toporze.

– Witaj, kardynale Nimmy. Czemuś taki smutny?

„Czyżbym naprawdę miał smutek na twarzy?” – zastanowił się Czamożab. Wzruszył ramionami. Może to przez chorobę. Miał uczucie, że gorączka nie opuszcza go od lat, choć wiedział przecież, że minęły ledwie dwa tygodnie. Zaznaczał mijające dni wewnątrz krytego wozu.

– Pewnie to ta wojna. Wojna wprawia ludzi w przygnębienie.

– Niektórych – zauważył Aberlott.

Wsunął dłoń pod długie włosy i dotknął, jakby na szczęście, małego kikuta chrząstki, który pozostał mu z ucha po szabli teksarkańskiego jeźdźcy.

– Wszystkich – zapewnił Topór.

Kolejka posuwała się powoli. Ludzie wyciągali stopy z błota, które wszędzie, nawet pod pozornie suchą trawą, tylko czekało, by je wessać.

– Może Eminencja wzdycha do swej małej kotki, która gdzieś się zawieruszyła – powiedział Aberlott, zwracając się do Topora.

– Nie jest taka mała – oznajmił Czamożab – i masz zaprzestać nazywania mnie Eminencją.

– Wybacz, kardynale – rzekł Aberlott.

Przyszła jego kolej, wziął więc dwa suchary i oddał jeden Czarnozębowi. Dodatkową żywność wydawali najwyraźniej tylko ludziom uzbrojonym w strzelby. Czamożab przyjął niechętnie suchara. Życie jest wystarczająco trudne – nawet bez ciągłych ironicznych uwag Aberlotta.

Wrócił z Toporem i Aberlottem do strzelającego już wysoko płomieniami ogniska.

– To oddział bojowy – wyjaśnił Aberlott. – Wysunięte patrole, jak sądzę, dzikopsie, weszły wczoraj do miasta. Żadnego opom. Dzisiaj ruszamy tam z Eltlrem Bramem i jego szamanem. – Wskazał głową starca na białym mule. – Może uda się nam zobaczyć Bazylikę Świętego Piotra.

– Ty też tam jedziesz? – spytał Czamożab.

– Dostałem pozwolenie. Podobnie jak większość Papieskiej Gwardii – odparł Aberlott, patrząc na Wooshina.

Wooshin, który miał zostać przy swoim panu, wzruszył tylko ramionami.

Aberlott jął opuszczać i podnosić, opuszczać i podnosić strzelbę, którą trzymał nad głową, zupełnie jak nomadzcy wojownicy.

– Pac, pac, pac! – wykrzyknął, ale niezbyt przekonująco. Uśmiechnął się, ukazując Czarnozębowi zepsute zęby. Otworzył dłoń, w której trzymał trzy mosiężne łuski. – Jego Wysokość Szarf nie chciał nas zabrać, ale Jego Świątobliwość Amen II nalegał. Jesteśmy jego uszami i oczami.

– No i strzelbami – dodał Czamożab.

- Tym też.

Zanosiło się coraz bardziej na deszcz. Czamożąb schował swój kardynalski kapelusz w

bezpiecznym miejscu krytego wozu - bał się, że deszcz zmyje czerwień - i zebrał poranne miski i rondle, które zostawił mu Ukąszony Pies. Wyniesienie do godności dziesiątego kardynała krucjaty nie zwalniało od obowiązków pomocnika grankotłuka. Nie zmniejszyło też intensywności ani częstotliwości napadów wyniszczającej jego ciało gorączki.

Trzecia część obozu, prawie tysiąc mężczyzn, chorowała. Mocna woń ludzkich odchodów mieszała się ze zwykłymi obozowymi zapachami koni i dymu. Nad wszystkim unosiła się atmosfera przygnębienia. „Może zacznie padać” - pomyślał obładowany naczyniami Czamożąb, przekraczając albo obchodząc dokoła psie łajno, które zaścielało cały obóz. Lepszy deszcz niż groźba deszczu. Niewrażliwi na najrozmaitsze przeciwności losu nomadzi nie wytrzymywali, można by sądzić, tej próby.

Skończył szorowanie piaskiem naczyń w odnodze strumienia wypływającej spod głazu nad ściekiem sprzed tysiąca lat. Ruszył w długą drogę powrotną do krytego wozu, idąc między powozem papieskim („Zrobisz to, do diabła!”) i lśniącymi metalowymi wozami karawany rajcy Diona, która połączyła się z nimi dwa dni temu, kiedy długie ramiona otwartej prerii zbiegły się, tworząc jedną, coraz węższą trawiastą depresję, przerywaną gdzieś nieckami wypełnionymi potrzaskanym betonem i kamieniami.

Tego ranka Czamożąb po raz pierwszy zobaczył Dionowe wozy z bliska i w świetle dnia. Wyglądały jak piece na kółkach. Aberlott nazwał je tankami, któż jednak wiozłby wodę z suchych równin na deszczowy wschód? Najpewniej były jakąś tajemniczą bronią.

Na koźle jednego z wozów drzemał jakiś genok. Otworzył oczy, i widząc Czarnożęba, wykrzywił twarz w głupkowanym uśmiechu, a potem zaśmiał się i zrobił znak krzyża. Czamożąb myślał, że ten człowiek drwi z niego, ale nagle ujrzał Kucisawego i Diona, którzy stali, prawie niewidoczni, za jednym z metalowych wozów. Wyglądali, jakby się kłócili, przy czym Dion był stroną przegrywaną. Czamożąb nie widział twarzy Kucisawego, ale rozpoznał powolne ruchy ręką, które przedstawiały - zdać by się mogło -

najpierw prawny ruch widzenia, a potem zmieniały się w papieski gest nie znoszący sprzeciwu. Mnich, teraz kardynał, odwrócił się i powędrował w stronę środka obozowiska. Wiedział, że naraziłby się na kłopoty, gdyby Kucisawy zobaczył go bez zucchetto na głowie.

Deszcz spadł dopiero późno po południu. Chmury gromadziły się przez cały dzień na północnym zachodzie niby jeźdźcy na grzbiecie wyniosłości i ich wyładowanie nastąpiło w momencie, kiedy wracał oddział pod dowództwem szarfa Pasikoników. Tym razem żadnego „pac, pac, pac”, żadnego stąpania koni. Wojownicy robili wrażenie przybitych i zasmuconych. Jeden z wierzchowców dźwigał dwóch jeźdźców, a na białym mule jechały związane jak paczka i wystawione na deszcz zwłoki. Bok muła był różowy od wody zmieszanej z krwią.

– Szaman szarfa – powiedział Czarnozębowi Aberlott, pomagając przyjacielowi zdjąć z siebie ładunek rondli. Chciał przy tym wetknąć mnichowi do ręki strzelbę, ale ten jej nie wziął.

– Teksarkańczycy?

Aberlott wzruszył ramionami.

– Strzelcy wyborowi. Strzelali do nas z niebosiężnych domów.

– Z niebosiężnych domów?

– Właściwie to stosy kamieni, choć niektóre zachowały okna. Mamy lepsze strzelby, ale nie mogliśmy wypatrzyć przeciwnika. Nie zobaczyliśmy ani jednego.

Cztery kobiety odwiązały i zabrały dokądś szamana. Psy wyły, rwąc się, żeby powąchać zbrukany krwią bok muła.

– Musiały to być wojska teksarkańskie – powiedział Czarnoząb.

– Chyba nie. Strzały padały gęsto, ale trafili tylko dwóch ludzi, choć byliśmy na otwartym terenie. Byłem tuż za szamanem, kiedy go ugodzili. Śpiewał jakąś pieśń Weejus i pocisk przeszył mu gardło. Myślę, że było to szczęśliwe trafienie.

– Szczęśliwe? – zdziwił się Czarnoząb.

– Tak, dla kogoś, nie dla niego. – Aberlott pokazał Czarnozębowi trzy puste łuski, które leżały w jego dłoni jak małe skorupki jajek. – Wystrzeliłem jednak wszystkie trzy. To mi się podobało. Inaczej niż tobie. – Była to aluzja do przygnębienia, jakie Czarnoząb przeżywał po zabiciu wojownika-genoka podczas bitwy, która odbyła się na

skraju krainy trawy już prawie rok temu. – Wszystkie trzy, „pac, pac, pac”.

Tym razem Czamożab wzruszył ramionami.

– To mi się podobało – powtórzył Aberlott.

Na Aberlottcie większe wrażenie wywarło miasto niż walka. Nowy Rzym to nie dziura jak Danfer – oświadczył – albo zbiorowisko chałup jak Valana. Jest zbudowane przeważnie z kamienia, porośnięte chwastami i drzewami.

– W centrum są same niebosiężne domy. Wydobywają z nich kamień i stal. Nie zależy im na ich obronie. Co tam jest do bronięcia? Co można zabrać? Nie walczy się z ludźmi, którzy nie zaczynają walki.

– Ale zaczęli – zauważył Czamożab.

– To nie była żadna walka. Ot, trochę strzelaniny. Ukrywają się w mieście i z rzadka strzelają. Na chybił trafił.

– Odnalazłeś katedrę?

Aberlott potrząsnął głową.

– Jechaliśmy za szarfem. Kto ich spali, spytał, a ich wątroby rzuci psom na pożarcie?

Uśmiechnął się szyderczo i wskazał do tyłu, w stronę środka obozu, gdzie nomadzi zsiadli już z koni i krzatali się z gniewnymi twarzami, zbici z tropu, zmieszani. Z gromadki kobiet zajmujących się rannym mężczyzną dochodziło żalosne zawodzenie. Ranny umierał. Trafiono go w bok z broni strzelającej kamieniami.

Czamożab zostawił Aberlotta i poszedł do wozu infirmerii, gdzie bandażowano rannego. Zastanawiał się, czy Teksarkańczycy zdołali już wytworzyć nową broń, i wyobraził sobie, że potrafi to stwierdzić na podstawie rany, jaką odniósł nomada. Leczą rana była tylko raną, nie zaś znakiem. Nic mu nie powiedziała. Paskudna bruzda biegła przez ciało i włosy nomady jak droga wryta niedbale wśród traw. Na tyłach wozu przygotowywano do pogrzebu ciało szamana. Rana na szyi starca została już zalepiona gliną w kolorze ciała.

Popiół do popiołów, proch do prochów. Obaj mężczyźni zostaną wyniesieni spomiędzy drzew, by pogrzeb odbył się pod wyniosłym i obojętnym spojrzeniem Pustego Nieba. Ale dopiero kiedy przestanie padać.

Kobiety i medycy przegonili kardynała Czarnozęba, nie zważając zgoła na jego zucchetto.

Następnego dnia mniejszy oddział wyjechał z obozu, natomiast wojenny szarf Pasikoników spotkał się z Qcesach i papieżem. Czamożab, jako członek Kurii, został zaproszony na naradę, oczywiście po umyciu misek i rondli i zapewnieniu Ukąszonemu Psu całego wolnego dnia, który woźnica będzie mógł poświęcić na picie kobyłego wina i grę w kości. Po powrocie tylnej straży bojowego oddziału Eltiira Brama, który schwycił jednego tylko jeńca, farmera uzbrojonego w muszkiet na kamienne pociski, sprawdziło się to, co podejrzewał Czamożab, a mianowicie że cesarz wycofał wszystkie regularne wojska ze świętego miasta. Wywleczono go z jednego z olbrzymich kamiennych domów – wraz z dwoma towarzyszami, którzy jednak nie wytrzymali trudów powrotu do wojennego obozu krzyżowców. Trawożerca ujawnił w toku przesłuchania, że żołnierze teksarkańscy zawlekli go z domu do miasta, wcisnęli w ręce zbędną im samą broń i kazali zająć stanowisko wśród najwyższych ruin. Powiedziano jemu i innym, że czekają ich straszliwe tortury, jeśli poddadzą się dzikopism, pasikońskim albo dzikokróliczym fanatykom antypapieża. Jeśli natomiast wytrwają, zostaną ocaleni przez teksarkańskie posiłki, które nadciągną z Miasta Hannegana.

Kucisawy powątpiewał, by było to zgodne z prawdą. Podobnie myślała reszta Kurii. Jeśli zaś chodzi o tortury, farmer zmarł, zanim można go było przekonać, że to zwykła propaganda.

Aberlott uważał, że zastawiono na nich pułapkę.

– Wszędzie wężysz pułapki – przypomniał przyjacielowi Czamożab.

Siedzieli z boku wozu, grzali się w niezwykłym tu słońcu i słuchali nie kończących się bojowych tyrad nomadów. Chociaż te tyrady o niczym nie decydowały, papież i jego Kuria musieli je cierpliwie znosić.

– Wszędzie są – szepnął w odpowiedzi były student z Valany.

Namaścił długie włosy tłuszczem i związał je do tyłu, żeby widać było, że obcięto mu ucho. To honorowe wyróżnienie. Ścisnął między kolanami swoją strzelbę. Chociaż był, przynajmniej formalnie, papieskim gwardzistą, nosił w jedynym uchu kościany

kolczyk, a we włosach klamerki dzikopsiego jeźdźcy. „Wygląda – pomyślał Czarnoząb – jak człowiek, który uniknął pułapki zastawionej przez naszą Matkę Kościół, żeby wpaść w pułapkę wojny”.

– Możemy wziąć ich na przeczekanie – mówił właśnie Kucisawy. Jego nomadzki poprawił się i papież nie potrzebował już Czarnozęba jako tłumacza. – Skoro zaciągnięto ich do miasta, niewykluczone, że nie starczy im żywności, żeby przetrwać zimę.

– Zimą? – zdziwił się szarf Pasikoników. – Do zimy daleko. Zostawiliśmy nasze kobiety i podobnie jak kobiety Dzikich Psów są zagrożone przez bezmacich, którzy nachodzą je zza Mizerii. Bez Weejus nasza medycyna jest niewiele warta, ale siła wojenna potężna. Musimy uderzyć, póki możemy. Wystarczy garstka ludzi. Przepędźmy ich ogniem.

Jego słowa powitano chrząknięciami, które świadczyły o usatysfakcjonowaniu i poparciu.

Wszyscy podnieśli w górę poślinione palce, jakby dla potwierdzenia, że przewagę mają wiatry z zachodu. Podniesione palce oznaczały także u nomadów nadciąganie ognia i ich gotowość przyglądania się, jak płonie świat.

Amen II wstał. Robił wrażenie niezwykle zwiewnego i uduchowionego. Kiedy Czarnoząb widział go poprzedniego dnia, nie uświadomił sobie, jak bardzo papież musi być chory. Stracił większość włosów. Jego twarz wyglądała jak naciągnięta na jajko, na zepsute jajko.

– Mamy przed sobą święte miasto, Nowy Rzym – powiedział w języku kościelnym, starannie wymawiając słowa. – Jest święte dla naszej matki, Kościoła. Nie ma mowy o podpalaniu. Jesteśmy tu, by zdobyć miasto, nie zaś by je spalić.

Usiadł. Dały się słyszeć sarkania, kiedy jego słowa tłumaczono na pasi koński i dzikopsi. Po chwili zapanowało jednak milczenie, bo wstał, żeby zabrać głos, Qcesach dri Vordar, szarf wojenny Trzech Hord.

– To serce Cesarstwa, nie zaś Nowy Rzym, który jest gruzowiskiem. Ruszymy dalej na południe. Lecz teraz, miast zwodzić przeciwnika manewrami, możemy uderzyć w kierunku południowym. Wiemy już, że Nowy Rzym ma niewielu obrońców, możemy

zatem większymi siłami ruszyć na Miasto Hannegana. Dzięki temu wcześniej zakończymy wojnę i wrócimy do naszych kobiet i na zimowe pastwiska.

Przemawiał w dzikopsiin, tylko od czasu do czasu wtrącając słowa skalnogórskie, nigdy zaś – kościelnych. Czamożab pomyślał, że to zły znak. Krucjata traciła powoli charakter krucjaty, a stawała się łupieżczą wyprawą Trzech Hord.

Kiedy Qusach siadał, nomadzi zaczęli chrząkać i mlaskać, wyrażając w ten sposób swoją aprobatę. Za plecami szarfa stał chłopiec, który przy zasiadaniu układał mu fałdy sukni. Inny miał baczenie na jego pióropusz, jeśli zerwał się wiatr. Nomadzi gromadzili się coraz liczniej, tak że w tej chwili mężczyźni (a także kilka kobiet i garstka dzieci) stali wokół wozu, na którym siedział Czamożab. Nie było to już posiedzenie Kurii, lecz publiczny wiec, w którym uczestniczyli wojownicy, woźnicy i pochlebcy. To też był zły znak. Kardynał Czamożab od Świętego Jerzego poczuł, że znalazł się w pułapce. W trzewiach burczało mu do wtóru tłumowi i zaczął się rozglądać za możliwością ucieczki.

– Wystarczy kilka setek ludzi, żeby przepędzić farmerów z Nowego Rzymu – oznajmił Eltiir Bram.

Wooshin potrząsał głową, ale jak zwykle milczał. Wstał Kucisawy, żeby odpowiedzieć szarfom. Zachwiał się i zaskoczony, a nawet trochę wstrząśnięty Czamożab ujrzał, że papież nosi na sutannie a pod kaftanem pustą naramienną pochwę na pistolet.

Amen II przytrzymał się burty wozu i raz jeszcze spróbował obrony swego punktu widzenia.

– Potrzebujemy tutaj wojowników. Pokaz siły skłoni farmerów do opuszczenia miasta prawie bez walki.

Czamożab zdawał sobie sprawę, że Kucisawy wolałby uniknąć bitwy. Zastanawiał się, czy zależy mu na ludzkim życiu, czy na oszczędzeniu miasta świętego Piotra. I kiedy tylko zadał sobie to pytanie, znał już odpowiedź. Życie ludzkie jest tanie.

Papież usiadł i wydawało się, że nikt nie zwrócił na niego uwagi. Żadnych pomruków. Nie zaszczycono go nawet oznakami sprzeciwu. Siła, z jaką panował nad konklawe w Valanie – a Czamożab był tego świadkiem – przepadła bez śladu. Może to wina Stopieli, a może retoryka jest nieprzydatna, kiedy ma się do

czynienia z wojennymi szarfami i ich wojownikami, którzy potrafili wznieść się na wyżyny sztuki oratorskiej, lecz w tych dniach nie mieli nastroju do przemówień.

Może wszystko przez te drzewa. Napierały tłumnie ze wszystkich stron i miało się wrażenie, że są samym złem. Czamożab dotknął krzyża, który przesuwiał mu się to w jedną, to w drugą stronę pod habitem, i jął przyzywać, jak zawsze czynił w chwilach paniki, wizerunek świętego Leibowitza. Lecz zamiast nieco dwuznacznego uśmiechu świętego Izaaka Edwarda zobaczył ostry blask pustynnego słońca i poczuł nagle tak ogromną tęsknotę za ojczystymi stronami, że niemal wypadł z wozu.

-- Co się stało? – spytał szeptem Aberlott. – Nic ci nie jest?

– A tobie? – odpowiedział pytaniem Czamożab.

Wojownicy stojący na obrzeżach tłumy zaczęli już swoje „pac, pac, pac”. Byli zmęczeni oczekiwaniem na bitwę. Nie mieli też chęci wjeżdżać do miasta, którego obrońcy będą strzelać do nich z okien wielkich domów.

– Spalą ich bez względu na to, co powie Jego Świątobliwość – zapewnił Aberlott. – Dokąd to?

Znowu wstał Eltiir Bram. Czamożab prześliznął się przez tłum w stronę głównego rowu, gdzie mimo pory dnia i całego podniecenia wywołanego dysputą słuchać było tylko stękania.

Kiedy wrócił do ogniska, tłum zgęstniał już tak, że nie mógł precyzyjnie się do przodu. Szarf Pasikoników nadal mówił. Czarnożęba trawiła gorączka, był osłabiony. Powlókł się do krytego wozu, zawinął w pledy i zasnął. Zасыpiając słyszał jeszcze odległy warkot bębna i wojenne, uroczyste „pac, pac, pac”.

Tej nocy po raz pierwszy od tygodnia odwiedził Czarnożęba we śnie Amen I. Starzec miał twarz kuguara. „Czy zawsze miał twarz kuguara?” – zastanawiał się we śnie Czamożab. Ależ tak! Była też Edrea. Siedziała obok Specklebirda, uśmiechnięta, na białym koniu podobnym do Fujce Go. Ale nie, miała rozchyloną suknię i to, co uznał za białego konia, było światłem padającym przez bramę, którą niegdyś...

Ktoś szarpnął go za ramię, ciągnąc jednocześnie za stopę. Był to Aberlott.

– Ruszamy.

– Ruszamy? Kto? – stęknął siadając Czamożab.

Aberlott stał przy wozie, nachylając się do środka. Miał pomalowaną twarz. Przetłuszczone włosy spiął do tyłu. Czamożab widział za nim metalicznie szare niebo. Słyszał stąpanie koni, przekleństwa i śmiechy mężczyzn. Z pewnej odległości dochodziły szczekania.

– Nie spali przez całą noc – oznajmił Aberlott. – Kiedy położyłeś się spać, odbyła się jeszcze jedna narada. Tym razem samych szarfów. Papieża odprawiono.

– Odprawiono?

– Pozwolono przysłuchiwać się Wooshinowi, ale wyrzucono go, kiedy sprzeciwił się ich zamiarom.

Czamożab był zdumiony. Nie wyrzuca się Wooshina!

Wyrzucono? Czamożab nadal miał zamęt w głowie, nie wyrwał się jeszcze ze swojego snu z kuguarem. Kiedy usiadł, miał niespodziewanie chwilę niezwyklej jasności widzenia i zdał sobie sprawę, że jego całe życie od chwili opuszczenia opactwa, właściwie od poznania Kucisawego, przypomina sen. Czemu więc we śnie pojawia się Specklebird, nie zaś Kucisawy? Kucisawy zamieszkiwał sen na jawie.

Aberlott wykrzywił usta w uśmiechu i wzruszył ramionami.

– No to nie wyrzucony. Poproszono go po prostu, żeby sobie poszedł.

Czamożab wygramolił się z wozu. Deszczowe chmury, które od wielu dni wędrowały po niebie, teraz zniknęły i w obozie było jasno prawie jak w dzień, chociaż słońce jeszcze nie wstało.

– Zostawiają garść ludzi z każdej hordy, w sumie jakieś trzy setki – oznajmił nieco za głośno Aberlott. – Reszta, z. Qcesach dri Vordar na czele, rusza na południe, żeby zdobyć Miasto Hannegana. Jadę z nimi!

– Przecież służysz w Gwardii Papieskiej!

– Gwardia też odchodzi. Zostaje tylko Wooshin. A poza tym papież nie dał mi tego.

Aberlott otworzył dłoń. W jej zagłębieniu, gdzie wczoraj leżały trzy puste łuski, teraz było ich sześć, i wszystkie z pociskami, które wychylały ciemne łebki z jednego końca, jakby chciały jak najszybciej pomknąć swoją drogą.

– Żegnaj więc! – powiedział gniewnym głosem Czamożab.

Owinął się szczelniej suknią, żeby odgradzić się od porannego – chłodu, i starając się biec, udał się w stronę rowu latrynowego. Przez krzaki widział, jak setki mężczyzn krzątają się, zrzedzą, ubierają się, puszczają wiatry i wybuchają śmiechem. „Pac, pac, pac!” Ktoś ciągnął psy, ktoś inny konie. Całun przykrywający obóz od kilku dni, całun deszczu i mgły, unosił się: niebo na wschodzie jaśniało. Prawie tysiąc wojowników przeprowaiało się przez strumień, wielu klepało przy tym metalowe wozy, żeby usłyszeć, jaki dźwięk się z nich dobywa. Zabiera wszystkich zdrowych mężczyzn – mruknął sam do siebie Czamożab.

– Nie ma ich tak wielu – powiedział mężczyzna, który kucał obok niego nad rowem, i sądząc z dźwięków i woni, jakie z siebie wydawał, był bardzo chory. – Ja nie jestem znowu taki zdrowy, a jednak jadę.

Powiedział to po dzikopsiemu. Zanim Czamożab zdążył odpowiedzieć, zerwał się i pobiegł, ledwie się podtarłszy.

Popatrzył przez zarośla okrywające latrynę, jak konie pokonują strumień, a potem powlókł się z powrotem do wozu. Śniadanie będzie dopiero za jakąś godzinę i chciał wykorzystać jeszcze ten czas na odpoczynek. Rozglądał się w swym śnie za Aidrą i Amenem, ale było to jak myszkowanie po opuszczonym domu, z którego zabrano nawet meble. Kiedy się obudził, poczuł, że wróciła gorączka. Usiadł. Kręciło się mu w głowie. Po blasku słońca na plandece wozu domyślił się, że już prawie południe.

– Eminencjo – powiedział Ukąszony Pies. – Jego Świątobliwość i jak mu tam, chce cię widzieć.

– Kucisawy?

– Chce, byś zabrał zaraz tyłek do jego papieskiego wozu.

Kucisawy zrezygnował z golenia się, ale to nie odmieniło zbytnio jego wyglądu. Niewiele zostało z jego zarostu – parę kosmyków na brodzie. Jedne były ciemne, inne jasne, i wyglądał z nimi jak zarzucony szkic portretu. Dojadał właśnie posiłek składający się z suszonej koniny i śliwek, kiedy Czamożab odnalazł go przy stoliku, który ustawiono w cieniu papieskiego wozu.

– Nimmy – powiedział papież – gdzie twoje zucchetto! Mam dla ciebie zadanie.

– Jako żołnierza? – spytał Czamożab.

Był gotów odmówić.

Jako posła – odparł Kucisawy, nie zwracając uwagi na ironię kryjącą się w słowach świeżo upieczonego kardynała. – Jako dla papieskiego legata do rozmów z farmerami. Poza nimi w mieście nie ma nikogo. Wojska Hannegana opuściły to miejsce, nakazując tym ludziom prowadzić walkę. Mogliśmy uniknąć bitwy, pokojowo wprowadzając do Nowego Rzymu tysiąc ludzi.

– Tysiąc nomadów nigdy nie jest nastawionych pokojowo, Wasza Świątobliwość – odparł Czamożab. – A poza tym farmerzy pokazali, że zamierzają walczyć.

– To prawda. Może masz rację. Może wszystko będzie jak najlepiej. W każdym razie mamy tylko trzystu ludzi, przeważnie Pasikoników.

Papież wskazał szerokim gestem zadziwiająco wychudłej ręki obóz, który w ostrym świetle dnia wyglądał jak opuszczony, jak pół zapomniany sen. Kucisawy robił wrażenie słabszego, niż kiedykolwiek. „Z pewnością – pomyślał Czamożab – to przez pobyt w Stopieli. Nunshan, Nocna Wiedźma, wzywała swego małżonka, chciała go mieć w swym zimnym łożu”.

– Wojenny szarf Trzech Hord, Qcesach dri Vordar, nasz stary druh i towarzysz, Hpngan Osie Chiir, zabrał prawie tysiąc moich krzyżowców na południe, do Miasta Hannegana. Odszedł z nim nawet rajca Dion ze swoimi nowojerozolimczykami. Chcą dołączyć do wojowników dzikokróliczych i genoków, którzy przygotowują oblężenie miasta, i zamiast oblężenia będziemy mieli bitwę. – Wyraźnie zmęczony Kucisawy usiadł. – Może wszystko ułoży się jak najlepiej.

– Nie sędzę – wtrącił się Wooshin.

– Mój generał sierżant przeczy. Jakie ma to jednak znaczenie? Stało się.

Dłonie papieża wzleciały w powietrze niby dwa ptaki. Czarnożab przyglądał się temu jak urzeczony. Ten gest sprawił, że najbardziej światowy z ludzi przypomniał mu nieoczekiwanie Amena I.

– Jestem przecież chory – zaprotestował Czamożab.

- Jak my wszyscy - odparował Kucisawy. - Oczywiście poza Wooshinem. Gdzie twój kapelusz, Nimmy?

- Tutaj. - Czamożab wydobył czerwone kardynalskie zucchetto spod swojej sukni. - Nie obnoszę się z nim po obozie. Wiatr mogły go porwać i rzucić w psie gówno.

- Tu nie ma wiatru - oświadczył Wooshin, któremu nie podobała się postawa Czarnożęba wobec jego pana.

- Ach tak, psy-rzucił z roztargnieniem papież. - Musimy opiekować się psami. Qcesach nie chciał wziąć ich na południe. Zostaliśmy z trzystoma ludźmi i prawie taką samą liczbą psów. I oczywiście z szarfem Pasikoników. Farmerzy o tym nie wiedzą. Na razie. Chcę, abyś udał się do miasta, Nimmy, i złożył im ofertę pokoju. Wskaż papieską dłoń wyciągniętą w geście pojednania.

- Zanim odkryją, jak mało ludzi ci zostało - rzucił wzgardliwie Czamożab.

- Ależ tak. Masz pójść tam w swych szatach i kapeluszu. Będiesz miał przy sobie papieski znak.

- Zastrzelą mnie, nim go zobaczą.

- Zaczep go więc na końcu kija - wtrącił się Wooshin. Czamożab poznał po czarnych oczach złotego wojownika, że nie pozwoli mu odmówić. Pogodził się z tym. I tak był ciekaw miasta i miał po dziurki w nosie misek i rondli. Cóż z tego, że może stracić życie? Czy nie musi się to stać wcześniej lub później?

- Wyglądasz na bardzo zasmuconego, kardynale Nimmy - powiedział prawie łagodnym głosem Wooshin. - Zapewnij farmerów, że nie chcemy wyrządzić im krzywdy. Chcemy dojść do porozumienia na drodze pokojowej. Cesarstwo ich opuściło, lecz zastępca Chrystusa nigdy.

- I nie wspominaj, że ów zastępca Chrystusa ma teraz do dyspozycji trzystu ludzi i tyleż psów - dorzucił Czamożab.

- Zapomnę o tej zuchwałości, gdyż nigdy nie niweczyła twego powołania. Czasem myślę doprawdy, Nimmy, że to twoja podpora. Oby nie stała się dla ciebie szczydłem. Lepiej już idź. Trzeba to zrobić dzisiaj. W każdym razie podjąć próbę.

- Mam iść pieszo?

- Ełtiir Bram ma białego muła, którego możesz zabrać - odparł Kucisawy. - Niechaj Bóg ma cię w swej pieczy, Nimmy.

Zrobił w powietrzu znak krzyża i pozwolił Czarnozębowi pocałować swój pierścień.

Trawiasta depresja była tysiąc lat temu drogą szybkiego ruchu i teraz znowu pełniła tę rolę. Odcisnięte w błocie ślady wozów krzyżowały się we wszystkich kierunkach. Kto wie, od ilu już lat ta „wejściowa preria” wskazywała niby strzałą drogę w las, a dalej – do miasta. „A może – pomyślał Czarnoząb – drogę w przeciwnym kierunku?” Chociaż, rzadko się zastanawiał nad papieskimi planami powrotu do Nowego Rzymu, ostatnio święte miasto pojawiło się w jego snach. Przybyło wraz z gorączką. Zapraszało z odległego horyzontu niby małe, ale strome wierzchołki gór. Jakże odmienna była rzeczywistość! Droga biegła prościutko między drzewami i niskimi stertami gruzu, które były już tylko ziemnymi kopcami. Tu i ówdzie widziało się otwór świadczący, że prowadzono w tym miejscu prace górnicze, gdzie indziej jakiś wzgórek był zabarykadowany, widocznie jakieś nieszczęsne stworzenie wybrało sobie przyziemie albo górnicze wyrobisko na swoją jaskinię. W pobliżu miasta zabudowania farmerskie były mniejsze, czasem widział tylko zachwaszczony ogródek i zrujnowany budynek, rzadko dwa. Wypatrzył raz coś w rodzaju szopy, w której nikt już nie trzymał świń i kur.

I kiedy Czarnoząb stracił już wszelką nadzieję, że ujrzy Nowy Rzym, kiedy najmniej się tego spodziewał, droga wspięła się na maleńkie wzniesienie i oto je zobaczył. Takie jak w swych snach.

– Prr!

To było zbędne, gdyż biały muł ruszał tylko, gdy miał go na grzbiecie, a zatrzymywał się, gdy z niego złąził. Ześliznął się na ziemię i muł natychmiast przystanął, żeby powąchać rosnącą obok drogi kapustę. Znajdowali się na zakręcie: droga schodziła pod kątem z ostatniego wzgórza przed doliną rzeki Wielkiej, zwanej przez miejscowych Misspi.

Czarnoząb nie widział rzeki, ale dostrzegł wyniosłe wieże niegdysiejszego mostu, a także niskie pasmo porośniętego drzewami nadrzecznego urwiska. Było jakby zwierciadlanym odbiciem wzgórza, na którym stał. A między tymi dwoma punktami znajdowały się w odległości paru mil strome, pokryte roślinnością

kikuty wież, które przypominały niskie, lecz urwiste góry. To właśnie widział we śnie. Nowy Rzym!

Było już jednak popołudnie i nie miał czasu na rozkoszowanie się widokiem – nawet jeśli była to pierwsza rozleglejsza panorama, jaką widział od prawie miesiąca. Dosiadł z powrotem białego, należącego niegdyś do szamana muła i ruszył w dół zbocza. Wkrótce znalazł się znowu między drzewami.

Wśród traw widziało się teraz więcej betonu i asfaltu. Byłby to zdradziecki teren dla konia, lecz mułowi najwyraźniej nie sprawiał trudności. Mijali mniej farm, a więcej domów, aczkolwiek były to często zwykłe szopy, które przywarły do zboczy pagórków. Czamożab zobaczył nawet dym wzbijający się nad dach jednej z nich i jakieś cienie: może bawiące się dzieci, a może ukrywający się rodzice.

– Hetta! – powiedział mułowi, żeby usłyszeć własny głos i jeśli ktoś mu się przygląda, dać mu do zrozumienia, że całkowicie panuje nad sytuacją. Żałował teraz, że nie zapytał o imię muła.

Bramy miasta, opuszczoną teraz niską zaporę, pokonał późnym już popołudniem. Kilka ciał leżących w budce wartowniczej świadczyło o tym, jak nomadzi pomścili swego zabitego szamana i jak mało trawożercy dbają o swych zmarłych.

Oczywiście mogły to być ciała teksarkańskich żołnierzy. Dwie świnie ryły pod drzwiami, najwyraźniej pragnąc to ustalić.

– Hetta!

Biały muł przekroczył kupkę gruzu i Czamożab pojechał dalej, unosząc wysoko papieski znak Amena II. Był to kawałek pergaminu napiętego na listewkach jak latawiec i przymocowanego do włóczni ozdobionej piórami i tajemnymi symbolami Trzech Hord: połączenie sacrum z profanum, cywilizacji z barbarzyństwem. Jak papieżstwo Kucisawego.

Nie widział już na ulicach ciał poległych, ale świń pojawiało się coraz, więcej. Nowy Rzym robił wrażenie miasta opuszczonego.

Proste, szerokie ulice. Wielkie domy, które Czamożab widział z daleka, teraz, z bliska, nie wyglądały już tak imponująco, lecz wydawało mu się, że te mroczne, strzelające w niebo ruiny jakoś go przytłaczają. Żadnego ruchu. Czamożab wiedział jednak, że czyjeś

oczy bezustannie mu się przypatrują. Czuł na sobie spojrzenia, w dodatku w miarę zapadania ciemności było ich coraz więcej.

– Prr! – zawołał, ale muł ani myślał przystanąć.

Czamożab zobaczył na środku ulicy mężczyznę ze strzelbą.

– Hetta!

Uderzył muła piętami, lecz ten dalej posuwał się tym samym niespiesznym krokiem.

– Poczekaj! – krzyknął Czamożab w stronę mężczyzny, ale ten wycofał się powoli w cień.

– Mam list! – zakrzyknął w momencie, kiedy mężczyzna przyklęknął i strzelił.

Czamożab ześliznął się z muła, był to bowiem jedyny sposób, żeby zatrzymać krnąbrne zwierzę. Schowany za mułem czekał na odgłos następnego strzału. Panowała szarpiąca nerwy cisza.

Mężczyzna zniknął.

Rozmowa była zbyt jednostronna. Czamożab zrozumiał, że jego jedyna szansa to jechać do centrum miasta, nie tracąc nadziei, że zanim zostanie zastrzelony, natknie się na kogoś, kto będzie miał albo trochę rozumu, albo trochę władzy, a najlepiej jedno i drugie.

Dosiadł ponownie muła.

– Hetta!

Było już prawie zupełnie ciemno, kiedy zastrzelili niosącego go muła. Znalazł się blisko środka miasta, pod największym z niebosiężnych domów. Strzał padł z daleka, gdyż zwierzę zachwiało się, nim Czamożab usłyszał huk. Zsuwając się na ziemię, usłyszał przetaczający się odgłos strzału. Muł runął na niego – ciężko, jak opat, którego powalił atak serca.

Czamożab dźwignął się na nogi i zaczął rozglądać się za papieską pieczęcią na kiju, który złamał się pod ciężarem. Czuł, jak napinają się mu mięśnie barków: czekał na następny strzał. Wiedział, że go nie usłyszy, a może nawet nie poczuje. Nic.

Z papieską pieczęcią w ręku wbiegł w ruinę wielkiego domu i skrył się pod kamienną płytą. Miał z tego miejsca widok na obie strony ulicy. Mrok gęstniał: na zachodzie niebo nabrało odcienia łososiowego z dodatkiem różu i stopniowo oblekało się czerwienią. Przed nim, na wschodzie, zabarwiało się granatowo.

Muł leżał na boku, rozpaczliwie rycząc. Nie krwawił zbyt obficie, ale niewątpliwie było już po nim. Przednie nogi wierzgały, tylne spoczywały nieruchomo: pewnie został trafiony w kręgosłup. Czamoząb poczuł, że zbliża się atak gorączki i że musi opróżnić trzewia. Przykucnął za płytą. Czy powinien trzymać papieski znak w górze? A jeśli ułatwi tylko w ten sposób celowanie?

– Nie teraz – modlił się na głos. – Tylko nie tak!

Kiedy skończył i stwierdził, że ciągle jeszcze żyje, doszedł do wniosku, iż najlepiej zrobi, jeśli podejmie swą misję. Musi kogoś znaleźć, i to szybko, nim zapadnie całkowita ciemność. W przeciwnym razie czeka go samotna noc wewnątrz jednego ze stosów kamieni. Uniósł wysoko papieskie insygnium i ruszył przed siebie. Wiedział, że trawi go gorączka, wyczuwał bowiem u swego boku obecność Amena I. Twarz kuguara świadczyła o opanowaniu i spokoju ducha; był wolny od trosk i trwogi. Nie miał mu nic do powiedzenia. Ostatnio niewiele mówił.

Kłopot tylko z tym, że muł nie ucichł. Im dalej Czamoząb od niego się oddalał, tym głośniejsze ryczał.

– Muszę wrócić – oznajmił Czamoząb Amenowi.

Wiedział, że starzec nie może odpowiedzieć i nie odpowie, ale był spragniony dźwięku ludzkiego głosu – choćby własnego.

– Zrobię dla niego to, co zrobiłem dla żołnierza-genoka – powiedział na głos. – To też będzie grzechem. Takim samym.

Grzech, nie grzech, musi to zrobić. Czy nie tym właśnie jest grzech? Czymś, co człowiek musi zrobić?

„Nie, to obowiązek – odparł Specklebird, uśmiechając się z zaniepokojeniem. – Często myliłeś jedno z drugim”.

Oddalił się już znacznie od białego muła i nogi się pod nim uginały. Szedł jednak, trzymając wysoko papieski znak i napinając mięśnie grzbietu w oczekiwaniu na strzał. Kiedy dotarł do muła, ten prawie zamilkł: ryk zmienił się w chrapliwe, rozdzierające jęki. Przednie nogi nadal wierzgały rytmicznie. Wielkie oczy patrzyły na Czarnozęba bez ciekawości i lęku. Czarnoząb przyklęknął, odmówił znaną na pamięć modlitwę, przyłożył nóż do szyi zwierzęcia, i odmawiając drugą modlitwę, pchnął.

Było to jakby przeciął sznurek i patrzył na zboże wysypujące się z worka. Muła ogarnął nagły, pełen spokoju bezruch.

Czarnoząb wytarł nóż w sierść zwierzęcia. Już miał wstać, kiedy poczuł nóż przy swojej szyi.

– Wstawaj! – powiedział jakiś głos i mnich zrobił to, co i tak zamierzał uczynić.

Już miał rzucić nóż, kiedy czyjaś ręka wyjęła mu go z dłoni.

„Trawożerca” – pomyślał, a może powiedział, gdyż ktoś uderzył go z tyłu, tak że prawie stracił przytomność. Poczuł zapach, won trawożericy. Zbyt wiele rąk, może to genok – pomyślał, ale uświadomił sobie zaraz, że trzyma go dwóch mężczyzn, trzeci zaś podnosi z ziemi papieski znak, który mnich-kardynał odłożył, żeby sięgnąć po nóż i podciąć gardło mułowi.

Poprowadzili go ulicą. Szedł już tędy, wracając, żeby dobić ranne zwierzę. Czuł lufę strzelby wciśniętej w sutannę. Kiedy mijali róg, zza którego zawrócił, pomyślał: „Dlaczego nie pojмали mnie tutaj? Czekali, bym zawrócił?”

– Mam wiadomość dla waszego dowódcy – powiedział. – Od Jego Świątobliwości Amena

II. Jestem papieskim...

– Zamknij się! – rzucił jeden z mężczyzn w języku, który Czarnoząb rozpoznał jako odmianę pasikońskiego.

Wprowadzili go do podziemnego pomieszczenia, które przypominało mu bibliotekę w opactwie. W oświetlonym oliwnymi lampkami wnętrzu przebywało kilku uzbrojonych w żelazne miecze i stare strzelby mężczyzn. Większość miała na sobie łachmany, ale jeden nosił kurtkę teksarkańskiej jazdy Hannegana. Przemówił do Czarnozęba w języku kościelnym.

– Jesteś chory? – padło pierwsze pytanie. – Cuchniesz.

– Przybywam od Jego Świątobliwości Papieża z wiadomością dla waszego dowódcy. Wszyscy jesteśmy chorzy. Wszyscy cuchniemy. Na skraju miasta są tysiące chorych, cuchnących i spragnionych krwi nomadów, którzy szykują się do szturmu. Przybyłem, by dać wam szansę...

– Zamknij się! – rozkazał teksarkański żołnierz. Skinął na jednego z mężczyzn, farmera, i ten podał Czarnozębowi kubek wody i garść brązowych pigułek wyglądających jak królicze bobki. – Połknij jedną – powiedział żołnierz.

Czarnoząb powąchał pigułki i potrząsnął głową.

– Połknij jedną!

Poczuł szturchnięcie lufą w plecy. Włożył pigułkę do ust.

– Przybyłem tutaj, by dać wam szansę pokojowego oddania świętego miasta. Koniec władzy Cesarstwa. Papież wraca do Nowego Rzymu. Papież, Jego Świątobliwość Amen II, pragnie tylko zająć należne sobie miejsce w...

– Zamknij się. Wiem, kim jesteś.

– Jestem legatem Jego Świątobliwości...

– Wiemy. Arcybiskup polecił, byśmy cię szukali – przerwał teksarkański żołnierz. Rozprostował rozwiązany już zwój. – Czy nie jesteś Czarnozębem od Świętego Jerzego, sekretarzem antypapieża i banitą, wypędzonym pod karą śmierci na drugi brzeg rzeki Bajdos i Nady Ann?

Czarnoząb nie wiedział, co ma rzec.

Znowu poczuł szturchnięcie lufy w plecy.

– Powiedz „jestem”! I co to za kapelusz? Wojskowy?

Jestem kardynałem. – Nagle uderzyła go cała powaga i jednocześnie cała śmieszność sytuacji, w jakiej się znalazł. Całe to przedsięwzięcie było szalone. Może nawet i sama krucjata. Oto trafił z powrotem do zoo Hannegana. – To doprawdy żart. Kardynał. Papież. Żołnierz.

Czuł, że kręci mu się w głowie. To przez tę pigułkę. Zastanawiał się, czy powinien przełknąć jeszcze jedną.

– Mamy rozkaz rozstrzelać cię – oznajmił teksarkański oficer, rolując ciasno zwój i przewijając go wstążką. – Najpierw musisz jednak nieco odpocząć. Pigułki pomogą ci zasnąć. Zaprowadzić go do celi śmierci!

Poniżej poziomu ulicy panował chłód. Stojąc na palcach, widział przez zakratowane okno

boczną uliczkę i od czasu do czasu psa albo świnie. Świnie miały tabliczki wskazujące – domyślał się Czarnoząb – właściciela. Jedna ze świń była szczególnie przyjazna. Podchodziła i wciskała ryj między kraty – może z powodu chłodu żelaza.

Czarnoząb poczuł nagle, że gorączka spływa z niego jak wsiąkająca w piasek woda. W rogu celi czekało puste naczynie nocne. Jak Świnia. Tuż po północy przyszedł strażnik z dzbanem wody, ale bez jadu. Czarnoząb połknął drugą pigułkę. Tym razem

rozstrzelają go. Nie wątpił, że dotrzymają obietnicy. Ta myśl podziałała na niego, nie wiadomo czemu, usypiająco.

Tej nocy znowu śniła się mu Edrea. Czekwała na niego pod wodospadem, a jego stary przyjaciel, biały muł, pasł się na skałach. Nie było tam trawy, ale wyrastała nagle, kiedy muł ją jadł. W szyi miał dziurę, ranę, i Edrea też miała rany. Pokazywała je Czarnozębowi.

– Gdzie byłeś? – spytała w języku kościelnym. – Dokąd się wybierasz?

Wiedział, że nie znała kościelnego, zdał więc sobie sprawę, że śni.

Rozdział 30

„Z największą troskliwością należy przyjmować ubogich i pielgrzymów, ponieważ w nich to przede wszystkim przyjmujemy Chrystusa. Ludziom bogatym sama ich pozycja zapewnia zawsze szacunek”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział LIII

Tej nocy, gdy Czarnoząb śnił o Edrei, oddziałek farmerów dosiadł koni, przeważnie starych pociągowych szkap, i mszył w stronę obozu papieskich krzyżowców. Byli to farmerzy, którzy widzieli na własne oczy, jak teksarkańscy żołnierze zabijają ich rodziny i bydło. Ich oszczędzili. Dyszeli żądzą zemsty, a mogli ją wyrzucić tylko na antypapieżu, którego zastępy, jak donieśli zwiadowcy, podążają na południe, w stronę Miasta Hannegana i Rzeki Czerwonej. Zdawali sobie sprawę, że Czarnoząb kłamał. Widzieli tylko jeden oddział jeźdźców i jednego z nich zabili, a drugiego ranili. Chcieli tego samego, co pasikońscy i dzikopsi nomadzi: krwawego odwetu.

Wrzesień już się kończył, noc była bezksiężycowa. Wyruszyli, wszystkiego czterdziestu jeźdźców, tuż po zmroku, licząc na światło

gwiazd i znajomość drogi. Była to przecież ich droga, droga, która prowadziła do ich zburzonych i opuszczonych farm.

W tym czasie papież tracił już nadzieję na pokojowe rozstrzygnięcie. Po długim i głośnym pogrzebie szamana wojownicy Pasikoników byli podnieceni i spragnieni krwi. Wielu się upiło i chociaż uroczystości odbywały się poza zasięgiem jego wzroku, Kucisawy podejrzewał, że niejeden spożywał wątrobę i oczy szamana.

– Musisz przyjąć do wiadomości, że mój poseł pojechał do miasta, żeby zawrzeć pokój – oznajmił El turowi Bramowi.

– Masz na myśli Nyindena, Nimmy'ego?

– Mojego kardynała. Członka Kurii!

– A zatem kardynała Nimmy'ego – zgodził się szarf Pasikoników.

Siedział na tyle wozu papieskiego, obok Jego Świątobliwości, i przyglądał się wojownikom, którzy stłoczyli się wokół głównego ogniska i wydawali radosne okrzyki albo płakali. Dla nomadów te nieprzebrane zapasy drewna na opał, choćby i wilgotnego, były czymś zupełnie nowym. Płomienie buchały coraz wyżej i wyżej.

– Pragną odwetu – rzekł Eltiir Bram. – Czy możesz ich za to ganić? Możesz im tego odmówić? Potrzebują tego. To jak trawa dla konia.

– Ich odwetem niechaj będzie zwycięstwo Kościoła – odparł Kucisawy, ale nawet mówiąc te słowa, wiedział, że sam w nie nie wierzy.

Po błotnistej ziemi krążył tłum cieni; niebo było porysowane gałęziami drzew. Kucisawy tęsknił za wyrazistą linią horyzontu i rozległością krainy traw i pustyni. Tutaj, w lesie, dźwięki i zapachy napierały z bliska.

„Pac, pac, pac”. Wojownicy celowali ze swych strzelb w niebo, gwiazdną powierzchnię ledwie widoczną przez gałęzie. Szarfowi Pasikoników udało się zapewnić im tylko po dwa pociski na głowę, wiedział jednak, że Kucisawy ma ich więcej. Zgodzono się odstąpić mu część zapasów przewożonych w karawanie rajcy Diona.

– Musisz oddać ludziom resztę mosiężnych pocisków... Wasza Świątobliwość – dodał ze słabym uśmiechem Diabła Światło.

Amen II potrząsnął głową.

– Niechaj poczekają na powrót mojego posłańca. Wtedy twoi wojownicy będą mogli dokonać tryumfального wjazdu.

W gruncie rzeczy Kucisawy miał już powody do troski. Wiedział, że jeśli Czamoząb nie wróci do rana, będzie to oznaczało, iż zapewne już nie żyje. Może nawet powieszą go na mocy interdyktu, który obaj podpisali, kiedy zwalniano ich z zoo w Mieście Hannegana.

– Zatem do jutra – powiedział Eltiir Bram.

Spojrzał na ogrodzone gałęziami, bezksiężycowe niebo.

Papież chwycił szarfa za ramię.

– Nie możesz puścić ich samopas! – Po drugiej stronie polany widział w blasku ognia powóz szarfa i wymalowany na drzwiczkach napis „Rozpalam ogień”. – Nie będzie żadnej strzelaniny, Diable Światło. Farmerzy poddadzą się, kiedy zobaczą twe siły. Może już poddali się Nimmy’emu.

– Chyba nie... Wasza Świątobliwość.

– Nie chcę strzelaniny w Nowym Rzymie. Jestem tu, by przywrócić miastu blask, nie zaś by je niszczyć. – Papież wykręcał rękę szarfa. Było to tak, jakby się siłowali. Nie chodziło jednak o to, żeby przemóc szarfa, ale żeby pokazać, że papież zna i rozumie nomadzkie życie. – Żadnej strzelaniny, pojmujesz?

– Pojmuję – odparł Eltiir Bram, oswobadzając rękę i ruszając w stronę ogniska i swoich wojowników.

– Rozpętałem burzę, nad którą nie potrafię zapanować – powiedział papież, wchodząc w głąb wozu i porządkując suknie przed snem.

Kierował te słowa do Wooshina, który stał w cieniu koło wozu. Żółty wojownik wzruszył ramionami. Taka jest wedle jego wiedzy natura wszystkich burz i wojen.

Kiedy przybyli farmerzy, papież był pogrążony we śnie. Zsiedli z koni i prowadzili je na drugą stronę strumienia. I wtedy obudziły się psy, które zbudziły z kolei wojowników odsypiających przy gasnących już ogniskach. Walka była krótka, nasączona nienawiścią i – poza krzykami umierających i pluskiem wody – bezgłośnie. Wojownicy pasikońscy niechętnie używali nowych kul, ale ochoczo posługiwali się za to nożami i maczugami, które leżały u ich boku, gdzie mogłyby spać kobiety.

O świcie woda w małych kałużach na brzegu była nadal zabarwiona krwią. Śmierć od noża to paskudna rzecz. Długa śmierć. Niektórzy z farmerów ciągle jeszcze trzepotali się jak ryby. Czterech wzięto do niewoli. Nie byli ranni, jeśli nie liczyć dziur w policzkach, przez które przeciągnięto rzemienie. Siedzieli i spętani w cieniu wozu z prowiantem. Jeden skamlał, inni czekali spokojnie na to, co los im zgotuje.

Papież obudził się i zobaczył, że obóz jest prawie pusty. Pasikońscy wojownicy zniknęli wraz z końmi i psami.

– Obiecałeś, że zaczekasz! – poskarżył się El turowi Bramowi, którego zastał przy ognisku, jedzącego śniadanie.

– Nie mieliśmy wyboru. – Szarf wojenny wzruszył ramionami. – Chcieli ukraść nasze konie.

Kucisawy kopnął czubkiem buta żar ogniska.

– To tylko paru głupców. Mogliście ich przepędzić.

Eltiir znowu wzruszył ramionami.

– Psy ruszyły w pościg, a wojownicy muszą trzymać się psów. Dałem jednak rozkaz, żeby nie palili miasta.

Kucisawy nie uwierzył. I nim nadeszło południe, po wschodniej stronie wzbił się ponad ścianę lasu dym. Płonęło miasto, którego papież nigdy nie widział.

Rankiem znowu pojawiła się Świnia, natomiast strażnik – nie. Wetknęła ryj między chłodne kraty i siedziała, patrząc na Czarnozęba, który bezskutecznie starał się skupić na modlitwie.

Słońce było coraz wyżej i mnich słyszał przez cały czas odległe odgłosy wystrzałów, bliższe wrzaski i tupot nóg na ulicy pod oknem. Pozostało mu jeszcze sześć małych pigulek, ale nie miał czym ich popić. Bał się pić ciepłą wodę stojącą w wiadrze koło drzwi, przełknął więc jedną, zebrawszy w ustach resztę śliny. Koło popołudnia napił się jednak wody.

Był już głodny, kiedy go zamykali w celi, a teraz czuł coraz dokuczliwsze ssanie w żołądku. Trudno było określić, która to godzina, gdyż słońce nie wyglądało zza chmur i przez cały dzień mżył drobny deszczyk: krople rozpryskiwały się w uliczce i tłumiły odgłosy kroków – psich, nigdy ludzkich.

Świnia zjawiała się znowu po południu, a w każdym razie w porze, którą Czarnoząb uznał za popołudnie.

Lekarstwo przechowywał w swoim kardynalskim kapeluszu, który pozwolono mu zatrzymać, podobnie jak krzyż i różaniec. Dzięki zucchetto brunatne pigułki były nadal suche. Miał wrażenie, że mu pomogły. Gorączka zniknęła. Czarnoząb nie tęsknił zgoła do skurczy i biegunki, które nie opuszczały go przez wiele dni, o szczególne udręki przyprawiając rankami. Czuł się jednak samotny, nie miewał już bowiem wizji Edrei i Amena I, towarzyszy, którzy trwali wiernie u jego boku nie tylko w nocy, ale także podczas nie kończących się snów na jawie, kiedy zjawy były, tak mu się w każdym razie zdawało, częścią jego życia.

Nigdy nie czuł się tak straszliwie samotny. Przypomniawszy sobie z pewnym rozczuleniem Kucisawego i więzienie-zoo w Mieście Hannegana, gdzie szpiegowali ich dzikopsi więźni i oglądali rozbawieni mieszkańcy. Przypomniawszy sobie zamyślonemu milczka, Wooshina. Przypomniawszy bezczelnego, pucułowatego Aberlotta. niespełnionego człowieka kontemplacji, miłośnika miast. Brakowało mu ich wszystkich, nawet Śpiewnej Krowy. Ze swej celi w podziemiach patrzył wstecz na swe życie w Opactwie Świętego Leibowitza i zastanawiał się nad umiejętnym, nieskazitelnym połączeniem w klasztornym życiu samotności i obcowania z innymi. Niektórzy są stworzeni do samotności, większość jednak nie. On z pewnością należy do tych drugich. Specklebird kochał swą samotność, gdyż umiał wypełnić ją duchem. Nigdy nie był sam. Samotność Edrei to samotność mamidła: nikt jej nie akceptował, wszyscy nią gardzili.

Jeden pożałował.

Dwoje z nich dotrzymywało w swej samotności towarzystwa Czarnozębowi. „Właściwie jednak nie żądam wiele, jeśli chodzi o towarzystwo. Prawda?” – spytał świnie, kiedy znowu wetknęła ryj między kraty. I jak Edrea, jak Amen, nie udzieliła odpowiedzi.

Po południu nie podano mu nic do jedzenia, a deszcz przestał padać. Czyżby miał nie dostać ostatniego posiłku? Śmierć była czymś wystarczająco złym, ale umrzeć z pustym żołądkiem to największa zniewaga. Miałyby pozostać głodny na wieczność?

Wstrząśnięty własną bezbożnością Czarnoząb padł na kolana i zaczął błagać o wybaczenie.

Drzwi były z ciężkiego drewna, pewnie dębowe. Wydawało się, że są solidniejsze niż czarne, żelazne kraty w wysokim okienku. Czarnoząb zaczął walić w nie pięścią, potem kopać je – najpierw trochę nieśmiało, potem coraz mocniej. Żadnej odpowiedzi. Nie potrafił powiedzieć, czy jest ktoś po drugiej ich stronie. I co tam jest? Nie pamiętał. Kiedy go tu przyprowadzono, było już ciemno. Przecież minął ledwie dzień, prawda? Żałował teraz, że nie robił znaków na pobielonej wapnem kamiennej ścianie – jak poprzedni lokatorzy tej celi.

W małym pomieszczeniu nie było nic poza łóżkiem, czyli dwiema deskami ułożonymi na kamieniach, grubo tkanym wełnianym pledem, stołkiem i dwoma wiadrami, jednym pod drzwiami, drugim w kącie. Wiadro z ciepłą wodą, to przy drzwiach, było nadal prawie pełne, to w kącie – nadal puste. Pomieszczenie było najwyraźniej już przedtem wykorzystywane przez Teksarków jako więzienie. Świadczyły o tym ściany pokryte splątanymi, lecz nieczytelnymi liniami wyskrobanymi w wapnie: twarze, uśmiechy, zmarszczone czoła, słońce, najrozmaitsze sposoby ujęcia ciał kobiecych i męskich. Czarnoząb pomyślał, że ta ściana jest podobna do powierzchni mnisiego mózgu, do zadraśnień duszy, z którymi człowiek uczy się żyć i na które w końcu, pełen nadziei, uczy się zwykle nie zwracać uwagi.

Siedział na łóżku. Leżał. Stał przy oknie. Wspiął się na taboret i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył wąską, pustą uliczkę i roztrzaskany schodek przy ścianie bez drzwi. Na murze nad schodkiem widniały ślady krwi. W pewnym momencie jakiś pies zaczął obwąchiwać plamę, ale zaraz odszedł. To więc jest koniec? Miejsce straceń? Schody donikąd, ściana bez drzwi... Wzdrygnął się. Był bardzo głodny.

W oddali uliczka doprowadzała do innej, gdzie panowało większe ożywienie. Czarnoząb widział, jak jacyś ludzie przechodzą, dźwigają jakieś pakunki, czasem strzelbę. Ci ze strzelbami chodzili po dwóch albo trzech. Pod oknem jakiś inny pies obwąchał zakrwawione schody i odszedł.

– Tam wykonują egzekucje.

Czarnoząb odwrócił się i ujrzał, że drzwi jego celi bezgłośnie się otworzyły. Po drugiej ich stronie rozciągała się bezkresna ciemność.

Jak na takie ciężkie drzwi obróciły się niezwykle cicho na zawiasach. Stał w nich jakiś nieznany farmer-strażnik, który trzymał w ręku wiadro. Był młody, po dwudziestce. Ryży trawo' żerca.

– Nie powinieneś tam włązić.

– Modlę się.

– A kapelusz?

Zucchetto leżało na łóżku.

– Nie wkładamy kapelusza do modlitwy.

Strażnik podszedł do rogu celi i wziął do ręki wiadro, poczuł jednak, że jest puste, i odstawił. Unikał zerknięcia do środka.

– Mam to opróżnić. – W jego głosie zabrzmiał wyrzut.

– Miałem je zatem napełnić – powiedział Czarnoząb. – Czy nie powinieneś przynieść mi czegoś dojedzenia? Nie jadłem kolacji, a teraz nie dostałem także śniadania.

Farmer-strażnik wzruszył ramionami. Miał na sobie skórzane spodnie i płócienną kurtkę; jedno i drugie wziął pewnie z żołnierskiej szafki. Albo ściągnął z trupa. Czarnoząb zauważył, że mimo młodego wieku ma zepsute zęby.

– Nie powiedzieli nic o jedzeniu – wyjaśnił. – Kazali tylko to opróżnić. I przynieść wody.

– Czy... czy mnie rozstrzelają? – spytał Czarnoząb.

Kręciło mu się w głowie, zszedł więc ze stołka. Kiedy postawił stopy na zimnej kamiennej posadzce i podniósł wzrok, nie zobaczył strażnika; zniknął jak zjawą. Drzwi zamknęły się, rozległ się trzask rygla. Głośny.

– Błogosławię cię, synu – powiedział Czarnoząb, kreśląc w powietrzu znak krzyża. – I wracam do modlitwy.

Wszedł z powrotem na stołek i wyglądał na świat, a właściwie na to, co widział przez maleńkie okno. To zaiste modlitwa. Czymże bowiem jest modlitwa, jeśli nie próbą zerknięcia przez maleńkie okienko duszy? Może powinien modlić się później, kiedy bliższa się stanie chwila śmierci.

„Czy poczuję ból?” – zastanawiał się. Wydało mu się, że to źle postawione pytanie, nie wiedział jednak, jak powinno brzmieć właściwe.

Jeszcze jeden pies przyplątał się i zaczął obwąchiwać ciemną plamę na schodku. On też się modli? W oddali jakaś staruszka i

dziecko grzebali kijkiem w śmieciach. Kiedy kobieta coś znajdowała, dziecko pochyliło się, żeby podnieść znalezisko. Nie potrafił odgadnąć, co zbierają.

Z oddali dobiegły następne odgłosy strzałów i Czamożab poczuł dziwną, a jednak swojską mocną woń. Zanim uświadomił sobie, co to za zapach, serce zaczęło mu gwałtownie bić.

Dym.

– Kazałeś swoim ludziom podłożyć ogień – powiedział Amen II, zwracając się do Eltiira Brama.

Diable Światło zaprzeczył, ale Kucisawy wiedział swoje. Pasikonik zawsze żyje w stanie wojny. Rozpalam ogień... Co za znaczenie ma, czy szarf przyzna się, czy zaprzeczy? Stało się.

– Kucisawy i szarf siedzieli na dnie wozu i patrzyli, jak wracający wojownicy przekraczają strumień. Znowu zaczęło padać. Kucisawy nie widział nieba, ale od członków swojej Kurii – połowa z nich była chora i spędzała większość czasu w drugiej latrynie, wykopanej w połowie stoku – wiedział, że kilka godzin drogi na wschód od obozu zawisła nad miastem zasłona dymu. Ogień pojawia się i tyle – oznajmił Eltiir Bram. – Nikt nie może mu zapobiec. Nikt nie powinien.

Szczekały psy. Rżały konie. Nomadzi rozproszyli się po dwóch, trzech i wołali, by kobiety przygotowały bandaże i jadło i ustawiły drewno na ogniska. Wznosili tryumfalne okrzyki, ale właściwie niewiele mieli potyczek z tajemniczym wrogiem. Kilku z nich odniosło obrażenia, kiedy konie pędziły po obcym sobie podłożu ulic, albo poparzyło się przy podpalaniu miasta.

Nadal nikt nie wiedział, ilu ludzi broni miasta, ani czy w ogóle ktoś go broni. Czamożab nie wrócił. Słońce chyliło się już ku zachodowi.

– Może zyskał pokój, który skradłeś, choć powiadają, że zawsze o niego zabiegasz – powiedział Eltiir Bram.

– Może – odparł Kucisawy, uznając, że lepiej zignorować ironię kryjącą się w słowach nomady. Ale wątpił.

Dym. Zapadał zmrok. Czy rzeczywiście? Czamożab zobaczył na końcu ulicy kilku biegnących mężczyzn.

Opuścił swoje stanowisko przy oknie i zaczął walić w dębowe drzwi. Przyłożył ucho do drewna, ale nie usłyszał żadnych kroków

ani głosów. Jakim dziwnym miejscem jest ta izba, w której dobiega końca jego żywot. Dokonało się odwrócenie biegu życia: zwykle żyjemy oglądając się wstecz. Teraz przeszłość była osnutą mgłą tajemnicy, za to przyszłość widział jasno. Za jasno. Czuł jej woń. Napełniała powietrze jak dym.

Bał się, że wpadnie w panikę, i tak się stało. Nie przeraził go ogień ani nawet śmierć. Była to po prostu panika, czysto zwierzęca panika. Wypełniła go samorzutnie, bez pośrednictwa myśli czy uczuć. Była nagła i nieprzeparta jak żądza (którą tak dobrze przecież poznał), a jej siła niosła pociechę i zarazem lęk. Była jak wiara, której zawsze daremnie szukał: na miejsce wątpliwości wprowadzała pewność.

Pozwolił się jej wyładować. Bił pięściami i kopał w drzwi, krzycząc najpierw: „Ogień!”, potem: „Na pomoc!”, a wreszcie: „Przez miłość Boga żywego!”

Nie przyniosło mu to ukojenia. Ból obtłuczonych pięści i własne wrzaski przeniosły go z powrotem do innej rzeczywistości, bardziej mnisiej. Przestał krzyczeć i sam się zdziwił, jakie to było łatwe. Uklęknął przy łóżku z różańcem w ręku. Dym stawał się coraz gęstszy, ale nadał było czym oddychać. Nie czuł już głodu. Woda w wiadrze rozkołysała się i słyszał dochodzące z daleka przytłumione odgłosy wybuchów. Walące się domy albo bomby...

Chyba zasnął. Usiadł i zobaczył, że za oknem nadal jest ciemno. Słyszał odległe strzały. W drzwiach stał farmer-strażnik z wiadrzem w ręku. Twarz miał owiniętą przepaską. Z powodu dymu? Czarnoząb miał wrażenie, że dym nieco się rozproszył.

Więzień zaczął kasłać.

– Wybacz – powiedział, kiedy zapanował nad atakiem. Strażnik-framer sterczał nadal na progu. – Co się dzieje?

– Walczą. Twój antypapież podpalił miasto.

– Och!

Wyszedł. Nigdy już nie wrócił i Czarnoząb nie dowiedział się, czy przeżył. Odgłosy strzałów nie zbliżały się już, a w końcu zamarły w oddali.

I przyszedł brzask, a dziwny brzask, którego źródło było, zdać by się mogło, w celi, nie zaś na zewnątrz, napełnił szczupłe pomieszczenie tajemniczym światłem. Miasto płonęło. Wiatr

grasował po uliczce, porywając źdźbła słomy i trawy, pył i strzępy papieru, popiół.

Czarnoząb walił w drzwi, ale tym razem nie krzyczał. Nie spodziewał się, że ktokolwiek przyjdzie, i rzeczywiście nikt się nie pojawił. Miał wrażenie, że pożar się przybliżył. Wiatr był palący, jakby przemknął przez jeden ogień, by podsycić drugi. Czarnoząb stał, póki mógł, przy kratkach, i czuł żar na twarzy. Przypomniawsobnie, że nie zażył pigułki. W złożonym kapeluszu pozostały cztery. Połknął jedną i wylał sobie resztę wody im głowę. Śmierć w płomieniach. Poczłł smród nafty. Rozpoznawał ten zapach od czasu swego nowicjatu, kiedy po raz pierwszy i ostatni zajmował się klasztornymi relikwiami...

Beatus Leibowitz ora pro me!

Usłyszał dochodzący z uliczki odgłos czyichś kroków.

– Pomocy! – zawołał, ale nikt nie podszedł.

Nie zjawiała się nawet Świnia. Pewnie ktoś ją zjadł. Odmówił różaniec, założył zucchetto i położył się na łóżku zaścielonym więziennym pledem. „Najlepiej po prostu poczekam” – pomyślał. Prędej czy później przyjdzie koniec. „Kropla rosy, błyskawica – powiedział Amen. – Popiół, proch...”

Musiał znowu zasnąć, gdyż ponownie znalazł się z Edreą przy wodospadzie. Tyle że woda przestała opadać. Zastygła niby płótno rozwieszane na słońcu. Dziewczyna stała w niej, oblana słońcem, cudownie piękna, całkowicie naga.

– Hej! – zakrzyknęła.

– Hej!

Czarnoząb usiadł. Ktoś stał przy okienku. W pierwszej chwili pomyślał, że znowu przyszła Świnia, ale nie, była to kobieta z dzieckiem.

– Jesteś księdzem?

– Nie.

– Skąd więc ten kapelusz?

Ta sama staruszka, którą widział krążącą z kijkiem w ręku wśród śmieci.

– Jestem kardynałem – wyjaśnił i zdjął kapelusz.

– Kto to jest karnadył? – spytała, zamieniając miejscami sylaby, co zdarza się czasem ludziom prostym. – Taki inny ksiądz?

–Mniej więcej. Pomóż mi się stąd wydostać. Znalazłem się w pułapce.

– Nie mogę tego zrobić – powiedziała staruszka. – Czy ochrzczisz mojego syna?

Wcisnęła twarz w kraty. Chłopiec był chyba zbyt mały jak na jej syna, ale jednocześnie jakby za duży. Był łysy i miał niebieskie, pomarszczone czoło. Genok!

– Nie mogę – odparł Czamoząb. – Nie jestem prawdziwym księdzem.

– On nie jest moim prawdziwym synem – zarechotała stara. – Kupiłam go.

– Kupiła! – odezwał się chłopiec. – Współmierzę rozczarowanie. Tak.

– Co?

Gdzieś rozdźwięczał się coraz natarczywszy dzwon. Potem posypały się strzały. Gruchnęły pociski.

– Jest bardzo silny – powiedziała kobieta.

– Silny – powtórzył genok. – Ściśle wyjątkiem jam.

– Mówi, że wystarczy wyjąć tę cegłę.

– Jaką cegłę?

Kobieta wstała i poskrobała mur końcem kija. Chłopiec z jakimś obłądnym, zaciekłym uśmiechem wyrwał jeden pręt, potem drugi.

– Silny!

Rzucił pręty do środka, prosto w Czarnozęba, który zrobił unik. Rozdźwięczały się na posadzce do wtóru dzwonom.

– Hej!

Czamoząb przywarł do ściany. Czyżby pręty były przez cały czas luźne? To więzienie było jak opactwo: wystarczyło po prostu je opuścić i odzyskać wolność.

Począł, aż upewnił się, że staruszka i chłopiec genok odeszli, a potem przełożył zucchetto i więzienny pled przez kraty i sam wygramolił się na ulicę.

Powietrze było gęste od dymu, zasłonił więc sobie nos rękawem. Lżej oddychało się w podziemnej celi. Na końcu ulicy zobaczył staruszkę i chłopca, grzebiących beztrosko w śmieciach, jakby świat wokół nich nie stał w płomieniach. Chyba całkiem o nim zapomnieli.

– Błogosławię ci, synu – szepnął i ruszył pospiesznie w drugą stronę.

Rozdział 31

„Kiedy zaś bracia wrócą z podróży [...] niechaj położą się na ziemię w oratorium i proszą wszystkich o modlitwę ze względu na błędy, które mogli popełnić w drodze”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział LXVII

Czamożab widział w swym życiu dwa tylko miasta: zbudowaną z kamienia i drewna Valanę i Miasto Hannegana – z drewna i błota. Święte miasto, Nowy Rzym, zostało wzniesione z fragmentów innych miast. Było mieszanką starego i nowego, bardziej przypominało opactwo niż miasto, a to z powodu stosów cegieł i kamieni ułożonych na stosach cegieł i kamieni, a wszystko to przemieszane i nasycone było drewnem, trawą i słomą. Wszystko łatwopalne, wszystko jak hubka i wszystko, jak wydawało się Czarnozębowi. płonęło.

Znalazł się na szerokiej, prostej ulicy z gruzowiskami i kikutami wież, niebotycznymi domami po obu stronach. Z początku był sam, kiedy jednak szedł w kierunku wschodnim, ku wędrującemu w górę słońcu i dalej od pożogi, widział na ulicach coraz więcej tłoczących się, przestraszonych, milczących ludzi. Czamożab czuł jakieś nieoczekiwane, niechciane pokrewieństwo z tymi przerażonym trawożercami, którzy wyłaniali się niespodziewanie (tak samo jak on) z przyziemi i kikutów budynków, wlokąc ze sobą żalodne łachmany, resztki dobytku, jakieś rondle, a także zwierzęta i dzieci. Wszyscy uciekali z miasta.

Zza pleców dochodziły odgłosy strzałów – rzadkie i nierówne. Jeśli w mieście walczyli nomadzi, nie pokazali się. Żadnych bojowych koni, same muły i stare kuce. I bezpańskie psy.

Wszystko odbywało się w niesamowitej ciszy. Czamoząb wolałby krzyki i płacz, ale uciekinierzy nie wydawali żadnych odgłosów, i było to tak, jakby okienko podziemnej celi wyprowadziło go na świat, gdzie tylko dzieci płaczą albo się uskarżają. Dorośli, pogrążeni w ponurym milczeniu, szli przed siebie. Może bali się, że zdradzi ich akcent, a może wszystko zostało już powiedziane.

Nowy Rzym płonął.

Czamoząb przygotował się już na kaźń i teraz nie czuł nawet głodu. Czyjaś dłoń szarpnęła go za rękaw – dłoń dziecięca – i spostrzegł, że w jakiś niezrozumiały i prawie niedostrzegalny sposób dołączył do grupki ludzi próbujących wyciągnąć z pomieszczenia w przyziemiu przerażonego muła. Jak się tu znalazł, do kogo muł należał i kto go potrzebował – były to pytania, których źródło znajdowało się w innej rzeczywistości. Całą terażniejszością była potrzeba wsparcia tych, którzy wabili przerażone, ryczące zwierze, nakłaniając je do wejścia na wąskie schody.

Wreszcie muł znalazł się w gęstniejącym, płynącym nieprzerwanie tłumie. Właściciel i dziecko poganiali go. Czamoząb próbował biec za nimi. Zerwał się wiatr i tuż za ich plecami wzniosła się od strony zachodniej ściana płomieni.

Czterech mężczyzn i cztery kobiety, wszyscy obnażeni, przemykali wężykiem przez tłum, trzymając się za ręce i zanosząc histerycznym śmiechem. Czamoząb próbował odwrócić wzrok od kobiecych piersi, ale nie mógł. Nie trawiła go żądza, lecz jakieś inne, prawie zapomniane uczucie: łaknienie albo nadzieja. Obok nich przebiegli równym krokiem dwaj umundurowani mężczyźni ze strzelbami, potem dwaj następni. Wyglądało to niemal komicznie. Czamoząb zdjął zucchetto i wepchnął je pod habit. Jakiś muł, zaprzężony do wózka, leżał i buczał żałośnie, daremnie usiłując się dźwignąć. Jego zad z jednej strony zalany był krwią.

Ogień albo rozgorzał z większą siłą, albo się przybliżył, zapewne jedno i drugie. Ulicę zamykała za nimi ściana płomieni wyższa niż

niebosiężne domy. Czamożab zobaczył, że rzuca teraz dwa cienie, jeden kroczący przed nim, drugi podążający z tyłu.

„Rozpalam ogień” – pomyślał, przypominając sobie błękitno-złoty napis na powozie szarfa Pasikoników.

Farmer sięgnął po nóż i pochylił się na ranny m mułem. Czarnozab powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Pozwól mu żyć – powiedział po kościelnemu.

– Co?

Farmer spojrzał na suknię Czarnozęba, odwrócił się i przeciął uprząż. Muł opadł bezwładnie, nie przestając żałośnie pobekiwać, a farmer wetknął nóż za pas.

– Pomogę ci z wozem.

Tym razem przeszedł na pasikoński. Włożył na głowę kapelusz i zaczął pchać.

Była to dwukółka przypominająca z grubsza linię wozów pasikońskich, załadowana sprzętami domowymi i różnymi rupieciami, między którymi siedziała drobna czarnoskóra staruszka z dwoma kociętami, które bez przerwy całowała. Czamożab pchał, farmer ciągnął wóz. Dołączyli do nich jeszcze dwaj mężczyźni, którzy rzucili swój dobytek na tył wozu, tam gdzie siedziała babcia. Wszyscy mówili pasikońskim przemieszonym z odrobiną kościelnego i szczyptą języka OFzark. Uciekali razem na wschód, w stronę Rzeki Wielkiej.

Czamożab przez cały dzień trzymał się farmera z wózkiem. Nosił imię Szarpiwłos, ale może był to tylko opis wyglądu albo nawet wyznanie. Był łysy jak kolano. Był tak życzliwym, tak chętnie dzielącym się jadłem i wodą człowiekiem, że Czamożab uznał go za chrześcijanina i dopiero później spostrzegł, że farmer bierze jego czerwone zucchetto za część żołnierskiego munduru. Mieszkał w świętym mieście, ale nigdy nie słyszał o Kościele. Według niego ludzie dzielili się na dwa tylko rodzaje, farmerów i teksarkańskich żołnierzy. Chociaż był tej samej krwi co pasikońscy nomadzi, „lud” przybywający z Równiny, „gdzie nie chcą rosnać drzewa”, był dlań czymś mniej niż ludzie. A może czymś więcej? Byli żywiołem jak stado bydła albo burza.

Mimo ucieczki z celi w przyziemi, Czarnoząb czuł się nadal uwięziony – między ścianą

ognia na zachodzie a nadal niewidoczną rzeką na wschodzie. W południe dym wchłonął nawet słońce, tak że ulice okrył przerażający całun czerwonej ciemności. Strumień uchodźców zmienił się w rwącą na wschód rzekę. Ulice stały się szersze i jednocześnie bardziej zatarasowane przez tłum farmerów. Niebosiężne domy były na wschodzie jeszcze większe i nie rosły tu drzewa. Czarnoząb nie przypuszczał, że może kiedyś za nimi zatęsknić.

Późnym popołudniem dotarli do rzeki. Czarnoząb nie wiedział w pierwszej chwili, co to takiego. Tłum zagęścił się jeszcze bardziej i zaczął dreptać w miejscu i przesuwając się to w jedną, to w drugą stronę. Od zachodu i od północy nadciągał ogień. Wybuchła panika, ludzie zaczęli się przepychać i Czarnoząb stracił z oczu Szarpiwłosa. W pewnym momencie wydało mu się, że słyszy znajome skrzypienie wózka, ale było to złudzenie. Na szczęście zdołał ocalić więzienny pled.

Zaczęło się ściemniać. Jakieś dzieci płakały, ale pozostali uciekinierzy zamilkli. Dreptali w miejscu i z wolna dojrzewali do decyzji. Główny strumień skręcił na południe, żeby podążając wzdłuż rzeki wydostać się z miasta. Podejrzewając już, co skłoniło ich do tego, Czarnoząb wspiął się na niski kamienny murek. Paru innych już tam stało i patrzyło na Rzekę Wielką.

Czarnoząb nigdy dotąd nie widział, a nawet nie potrafił sobie wyobrazić takiej ilości wody. Była to inna materia niżli ta, którą znał z gór albo Równin. Nie tańczyła, nie wirowała, nie spadała z wysoka. Rozciągała się jak błotnista, szklana tafla, pół brunatna, pół srebrzysta. Była to wodna równina. Pomyślał, że mógłby przez nią przejść, wiedział jednak, że to niemożliwe.

Wymijając ostrożnie innych, trzymając się muru, doszedł do zniszczonej przystani nad rzeką. Łodzie znajdowały w pewnej odległości od brzegu. Niewiele łodzi widział dotychczas – tylko płaskodenne promy na Rzece Czerwonej – wiedział jednak, co to takiego. Były to barki, niektóre miały nadbudówki z kominami i oszklonymi oknami i były wyposażone w długie wiosła, które służyły do sterowania i poruszania się po wodzie. Ludzie stojący na

pokładach i dachach barek zataczających małe kręgi w nurcie rzeki patrzyli na płonące miasto, i być może czekali na moment, kiedy będzie można przystąpić do płądrowania. Kilku farmerów próbowało podpłynąć albo podejść do łodzi, ale odpędzano ich ciosami wiosł.

Rozległo się kilka strzałów. Ludzie z barek byli okryci takimi samymi łachmanami jak farmerzy, tyle że – uznał Czarnoząb – mieszkali na drugim brzegu.

Ogień zbliżał się coraz bardziej. Z wody musiał to być widok prawie piękny: oto ogień, najmilszy z czterech żywiołów, a przy tym żywioł piekielny. Czarnoząb znalazł sobie miejsce na końcu przystani i stanął tam, owinąwszy się więziennym pledem, dzięki czemu odgrodził się od żaru powietrza. Poniżej ściany dymu i płomieni widział tłum uciekinierów przesuwający się brzegiem rzeki na południe.

– Iluż ich jest! – szepnął sam do siebie.

Mężczyzna stojący obok wydał z siebie chrząknięcie, które można była uznać za potwierdzenie. Trzymał w rękach długą strzelbę bez mechanizmu powtórnego ładowania. Takie strzelby wyrzucały z długiej żelaznej lufy kamienne pociski. Czarnoząb czuł się z jakiegoś powodu bezpiecznie w jego towarzystwie. Nie miał zamiaru dołączać do zdążających

na południe.

– Mogli bronić miasta – szepnął Czarnoząb i mężczyzna znowu chrząknął.

„Mogli – pomyślał – lecz nie chcieli”. Nowy Rzym nie był ich miastem. Zostali tu przygnani przez taksarkańskich żołnierzy, a teraz wypędzeni przez płomienie. Niewielu było uzbrojonych, a i ci mieli bardzo starą broń, strzelby w rodzaju tej, z której zabito szamana szarfa.

Może ten strzał oddał stojący obok niego mężczyzna.

Wyjący wiatr smagał wodę, tworząc spienione fale. Wiał od wschodu, ogień wsysał go do miasta. Zapadły ciemności i rzeka uciekinierów zmieniła się w strumyk, potem w wątlejącą strużkę, ale nadal ciekącą na południe w stronę Teksarkany, jakby pchaną odwiecznym, instynktownym nakazem. Późną nocą widać było ich ogniska rozpalone na niskiej kresce zalesionego cypla. Ale wtedy

Czarnoząb już spał. Spał wiele godzin, samotny na skraju przystani. Kiedy nastał świt, ogień już dogasał.

Święte miasto Nowy Rzym spłonęło.

Obudziła go woń jadła. Leżał owinięty w więzienny pled i oparty plecami o drewniany słup na końcu przystani. Gdyby ogień nie przestał się posuwać w stronę rzeki, przemknąłby przystanią aż do niego i spalił go wraz z resztą świata. Został jednak oszczędzony. Przed zaśnięciem zdjął buty i ukrył je pod pledem; odnalazł je tam, podobnie jak zucchetto z trzema ostatnimi pigułkami. Kiedy tylko usiadł, poczuł, że wraca mu gorączka Hilberta. A może to tylko głód? Od paru dni nie miał nic w ustach.

Poczuł woń pieczonej ryby. Na końcu przystani stała przy błotnistym brzegu barka. Grupka mężczyzn zebrała się wokół niewielkiego ogniska. Czarnoząb wstał i owinał się szczelnie pledem, żeby ukryć mnisi habit. W tych ludziach jest pewnie jeszcze mniej chrześcijańskiego ducha niż w pasikońskich farmerach, których z trudem można było uznać za członków Kościoła. Przypomniał sobie zresztą uwagę swego więziennego strażnika o antypapieżu, który podpalił miasto.

W wyglądzie i postawie tych ludzi, w tonie ich głosów było coś, co powiedziało Czarnozębowi, że może bezpiecznie do nich dołączyć. Zachowywał się jednak ostrożnie: zbliżał się, idąc powoli drewnianym pomostem.

Zobaczył przepływające zwłoki, wypchnięte na powierzchnię przez wytwarzające się w nich gazy. Kobięca twarz uśmiechała się do zasłony dymu i nieba. Czarnoząb odwrócił wzrok i zszedł w błoto. Ktoś podał mu kawałek ryby owinięty w duże, miękkie liście. Zapach był tak przemożny, tak smakowity, że musiał po prostu usiąść i jeść. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nie zadawał pytań. Wydawało się, że ludzi przy ognisku łączy jakiś rodzaj szorstkiej miłości bliźniego. Byli rybakami i rozmawiali odmianą OPzarku, którą Czarnoząb z wielkim trudem rozumiał. Ludzie spoza ich grona, dwóch czy trzech podobnych jak on maruderów, milczeli. Miał uczucie, że to milczenie jest czymś istotnym dla trudnego rozejmu, jaki tu obowiązywał.

Zjadł rybę i rozejrzał się dokoła. Dym rozwiął się na tyłe, że widział wielkie wieże starego mostu. Wypatrzył małe cyple na przeciwległym brzegu. Rzeka była niewiarygodnie szeroka.

Rzeka Wielka, Misspi, płynęła do morza. Jak wielkie musi być zatem morze? I tak miał już przed oczyma więcej wody, niż potrafiłby sobie wyobrazić.

– Zbliżają się nomadzi – powiedział jeden z rybaków.

W ich dialekcie nomadów określano jako „konnych”. Z jego słów płynął oczywisty wniosek: musimy uciekać!

Wśród nich nie było ani jednej niewiasty, a jednak w tym samym czasie, kiedy Czarnoząb to zauważył, kilka kobiet wlokło się brzegiem od głązu do skalnego stopnia, odciskając ślady stóp w popiele i wnosząc do nadbudówki-szopy na barce naręcza czegoś, co wyglądało jak łachmany. Za nimi szły inne kobiety; te dźwigały worki, w których coś brzęczało. Może naczynia?

Ktoś podał mu drugi kawałek ryby, a potem garnek ciepłej wody, która smakowała jak bardzo słaba herbata.

– Nadciągają nomadzi! – krzyknęła, przybiegając, jakaś kobieta.

Konni!

Rozległ się wrzask i Czarnoząb cofnął się, podobnie jak inni „goście”, gdyż jeden z rybaków zaczął rozgrzebywać kijem ogień. Zanim zorientował się, o co chodzi, barka wykonywała już zwrot w nurcie rzeki. Inni „goście” stojący przed chwilą wokół ugaszonego ogniska szybko się rozproszyli i Czarnoząb znowu był sam – z garnuszkiem wody od rybaków. Dobre i to. Po raz pierwszy od kilku dni poczuł parcie w brzuchu, z przyjemnością więc poszukał sobie nad wodą zasłoniętego miejsca pod pomostem i wypróżnił trzewia, a potem obmył się i poszedł w stronę miasta.

Pomyślał, że pasikońscy wojownicy pojawią się, gdy tylko ogień wygaśnie, by przystąpić do plądrowania i gwałtów, a wraz z nimi przybędzie Kucisawy i Kuria. Chociaż jednak było już południe, ulice pozostały opuszczone. Zwinął więzienny pled i poczuł się bezbronny i zagrożony, maszerując w swoim habicie i czerwonym kapeluszu przecinającymi się pod kątem prostym ulicami i wypatmjąc nomadów, którzy znaleźliby go wreszcie i zabrali do Kucisawego.

Nie pojawił się nikt. Czyżby wszystkich wymiotło ze świętego miasta? Nawet leżące na ulicach ciała, szerniały niby żużel, robiły

wrażenie oczyszczonych, jakby ogień strawił wszystko, co podlega rozkładowi, zostawiając tylko nie zbrukaną niczym powłokę.

Niewiele tu było do plądrowania. Ogień pochłonął wszystko, co nie było cegłą i kamieniem, obracając z powrotem miasto w gruzowisko, którym musiało być, zanim odbudował je Harq-Hannegan. „Ile razy te cegły waliły się na ziemię? – zastanawiał się Czamożab. – Ilu zdobywców przechodziło pod tym nadprożem, pod tamtym kamieniem? Święte miasto ze swoją siecią ulic ciągnących się między szerniałymi stosami gruzu i szkieletami wypalonych domów było jak palimpsest cywilizacji i nędzy, a wszystko przemieszane i splątane, gdyż jedna epoka nakładała się na inną niby opadające z drzew liście, niby resztki roślinne zaścielające gaj bawełny: szczątki stuleci nadające się tylko na strawę dla dwudziestominutowego lub dwudziestogodzinnego ognia”.

Nie pokazał się ani jeden nomada, ani jeden barbarzyńca wyjący i przedzierający się przez zburzone i dymiące centrum chrześcijaństwa. Ni wrzasków, ni strzałów, ni rżących koni, ni obłąkańczych śmiechów czy okrzyków wyrażających uciechę lub przerażenie. Wielki pożar wnosi rozejm w naturalny porządek rzeczy, tworzy ośrodek spokoju, nic więc dziwnego, że na ulicach nie było nawet padlinożerców. Ciała, które napotykał i omijał szerokim łukiem – mniej więcej jedno między przecznicami – miały w sobie jakąś spokojną godność. Tylko gdzieś wysoko w górze gromadziły się drobiny popiołu – sępy.

Bez większego trudu odnalazł Świętego Piotra. Dach spłonął i zapadł się, lecz nad ruiną nadal sterczała czarna od dymu kopuła. Wnętrze w większości strawił ogień. Czamożab usiadł z tyłu na jednej z ławek, które wyciągnęły szczęśliwy los w tej loterii zniszczenia. „Ciekawe, co mi zostało, a co strawił czas lub ogień”. Zachował parę wspomnień z dzieciństwa, a potem trudne miesiące życia wśród nomadów, początki w opactwie... Ale całe lata gdzieś przepadły, pozostał po nich proch i pył – jak te rzędy szarego popiołu w miejscach, gdzie stały wypalone teraz do cna dębowe ławy. Nie było ławek, ale pozostały tu i ówdzie podnóżki. Przypominało to pogrzebane ponad tysiąc lat temu szczątki Magna Civitas. Niektóre fragmenty trwały prawie nienaruszone, jak choćby Kościół; inne okrył mrok zapomnienia.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Czamożab przymknął oczy i zatopił się w modlitwie –nie z przymusu, ale z własnej chęci. Nie wstał z klęczek, kiedy skończył. Czuł, że wraca – niby stary przyjaciel – gorączka Hilberta. Powitał ją życzliwie, gdyż oznaczała pojawienie się znowu didrei w bezwodnym wodospadzie. I pojawienie się Amena Specklebirda.

Amen I ze swoim uśmiechem kuguara...

I Amen ujął go za ramię i potrząsnął. Był to jednak Amen II.

– Nimmy, to naprawdę ty? Myśleliśmy, że nie żyjesz!

– Masz więc przed oczami mój Kościół – powiedział Kucisawy.

Włosy wypadły mu już do końca, oczy miał zapadnięte. Nawet ryża broda czerwonego diakona była teraz prawie cała siwa. Rozmieszczone wokół bazyliki okna patrzyły na miny. Na opustoszałych ulicach panowała cisza i słychać było tylko odległe wycie psów.

– Boże mój, Pasikoniki! – Kucisawy uklęknął i zbrukał sobie dłonie popiołem. Podniósł je do brudnej od dymu kopuły. – Jakimż szaleńcem byłem, Nimmy! Dlaczego zaufałem Pasikonikowi?

– Święty Szał też im zaufał, Ojciec Święty – odparł Czamożab. – Nawet Topór!

– Wierzyłem, że Bram będzie dobrze walczył – odezwał się Wooshin. – I tak było... póki nas nie opuścił.

– Być może – rzekł papież – nie potrafił zapanować nad swoimi wojownikami, kiedy ogarnął ich wojenny szal, który spływa, jak powiadają, z Pustego Nieba. – Wytarł ręce w brudną białą sutannę, na którą założył naramienne olstro z nowym pistoletem. – A pasikońscy wojownicy nie czują miłości do tutejszego Kościoła.

Wooshin stał nieruchomo, nadal ubrany w kraciatą suknię z naszywkami generała sierżanta, które wymyślił dla niego Kucisawy. Robił wrażenie przybitego. Czarnożęba wcale to

nie dziwiło. Wszyscy przyjaciele Wooshina z Żółtej Gwardii polegli albo wyruszyli na południe z rajcą Dionem i Qcesach dri Vordar. Jego pan, Kucisawy, był coraz słabszy i przegrał swoją sprawę.

– Nimmy – podjął Kucisawy. – Spójrz, co uczyniłem mojemu Kościołowi. Nie dla siebie pragnąłem tronu. A teraz spójrz.

– To nie ty... – zaczął Czamożab.

Nie był w stanie dokończyć zdania. Któż inny? Przecież to Kucisawy zjednoczył Trzy Hordy, to on uzbroił je w nową, jakże straszliwą broń, on pchnął ich przez morze traw w stronę Nowego Rzymu... i on zakazał im podkładać ogień.

„Rozpalam ogień” – głosił napis na drzwiczkach powozu Eltiira Brama. Nie krył się z tym. „Zrobisz to, do diabła” – brzmiała odpowiedź papieża.

Do diabła! Wystarczy spojrzeć dokoła.

Kucisawy położył dłoń na czole Czarnozęba, zostawiając plamę sadzy.

– Zdaje się, że pozbyłeś się gorączki, Nimmy.

– Wyleczyłem się. Uwięzili mnie i dali jakieś pigułki, takie jak te, które łykają Teksarkowie na południe od Nady Ann. Ale zużyłem je prawie wszystkie.

– Nie masz gorączki.

– Czuję ją. Wiem, że nadchodzi. Kiedy mnie ogarnia, staje mi przed oczyma Edrea. I papież Amen Specklebird. Byli ze mną teraz, przed waszym przyjściem. – Nie widział powodu, żeby kłamać. Już nie. – Cieszyłem się, że przyszli.

– Czy widzisz ich teraz? – spytał Kucisawy.

– Nie, oczywiście nie. Gorączka nie jest aż tak wysoka.

– Gorączka nie jest aż tak wysoka – powtórzył Kucisawy. Robił wrażenie bardziej roztargnionego niż zwykle. I nagle wyszarpnął z olstra broń. – Czy słyszysz to, Nimmy?

– Co takiego, Wasza...

– Sza!

Wooshin wyjął zza pasa krótki miecz. Długi pozostawił w stalowej pochwie. Chwilę później Czarnoząb usłyszał to, co przed chwilą stary wojownik i Kucisawy. Stukot kopyt na ulicznym bmku, potem na schodach, a wreszcie na drewnie – tętent w wypalonych murach katedry.

Był to Czarne Oczy, nomadzki podwójny agent, uwięziony niegdyś naprzeciwko Kucisawego i Czarnozęba w zoo w Mieście Hannegana. Siedział na gniadym koniu i miał na sobie wszystkie odznaki dzikopsiego wojownika.

– Wasza Świątobliwość – powiedział szyderczym tonem.

Skinął głową w stronę Nimmy'ego, unikał natomiast wzroku Wooshina i widoku jego miecza.

– Odłóż – rozkazał łagodnym głosem Kucisawy.

Sam jednak nadal trzymał w ręku pistolet. Wooshin odłożył krótki miecz, ale położył dłoń na rękojeści długiego.

– Co tu robisz? Myślałem, że jesteś z cesarzem w Mieście Hannegana.

Kucisawy wyprostował się, chcąc dodać swojej postawie dostojności. Na Czarnych Oczach nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

– Jako szpieg –dodał nomada. – Kiedy władarz Trzech Hord ruszył na południe z tankami i armią genoków, przebyłem Rzekę Czerwoną, by do nich dołączyć. Ale bitwa została przegrana. Strzelby Hannegana przemówiły za głośno i za szybko. Genocy uciekli do swojej doliny, mamidła wracają do swoich Gór Ssamieto, a wojenny szarf Trzech Hord jest w drodze do domu.

– Hpngan Osie? – Kucisawy był wyraźnie wstrząśnięty. – Qci'sach dri Vordar wraca do siebie?

– Wzywają go Weejus – odparł nomada. Jego koń tańczył po rządkach popiołu, który został z ławek, niweczając ich równe linie. – Teksark Drewniany Nos pali nasze namioty, zabija nasze kobiety, kradnie nasze konie. Jedziemy ku niskiej trawie. Jestem tu tylko po to, żeby upewnić się, że ani jedno z dzieci Wielkoniebej nie zostanie w mieście, kiedy przybędą trawożercy. Ty też powinieneś opuścić to miejsce. Wybacz, Wasza Świątobliwość, ale ty też jesteś jej dzieckiem, a ona twoją matką. Teksarkańska jazda już nadciąga.

– Z południa? – Papież wskazał pistoletem kierunek. – Z Miasta Hannegana?

– Także z północy. Z morza traw. Zostawimy im ich miasto. Życzę szczęścia, Wasza Świątobliwość.

Odjechał przy wtórze stukotu kopyt, a Kucisawy padł na kolana, przeklinając swój los.

– Vexilla regis infertii produent!

– Co on mówi? – spytał szeptem Wooshin.

– Nadciągają chorągwie króla piekieł – przetłumaczył Czarnoząb.

– To nie ich miasto – wymamrotał Kucisawy. – Nigdy go nie chcieli.

Podniósł wzrok do nieba i ujrzał tylko poczerniałą, zniszczoną kopułę. Rzucił pistolet w popioły.

Pośrodku zburzonej świątyni ocalał w cudowny sposób tron świętego Piotra. Za nim stała malowana drewniana figura Najświętszej Panny, także nieuszkodzona. Czamoząb i Wooshin w milczeniu szli za Kucisawym w stronę tronu, torując sobie drogę przez gruzowisko. Kucisawy przystanął przed tronem i przyjrzał się mu uważnie, a potem wygładził sutannę i zasiadł na nim. Usiana cętkami skóra na twarzy była ściągnięta, a spod brudnej białej piuski wymykały się rzadkie, siwe kosmyki. Nie zdjął pustego olstra.

Wooshin chciał podać mu tiarę papieską, ale Kucisawy potrząsnął głową i żółty wojownik złożył ją w popiołach u stóp tronu. Zmierchało. Czamoząb znalazł bez trudu żarzący się węgielek, od którego zapalił kilka świec. Ponieważ stały za tronem, oświetlały prawie wyłącznie, i to słabo, oblicze Dziewicy.

Kucisawy zamknął oczy, jakby się modlił, i Czamoząb był z tego zadowolony. Spojrzeć w te oczy to jak zajrzeć w okna płonącego domu.

Wooshin przysiadł na piętach obok tronu świętego Piotra, utrzymując równowagę dzięki

pochwie długiego miecza, który nadal miał przy boku. Czamoząb dostrzegł teraz, że mimo swej gibkości Topór jest też już starcem. W jego ruchach nie było ni radości, ni swobody.

Rozejm, który zaponował wskutek pożaru, teraz dobiegł końca. Czamoząb zobaczył, że na ulicy pies przepędza sępa i ciągnie w zębach poczerniałe ciało. Potem psa odpędziła Świnia. Jego więzienna znajoma? Jakiś inny pies stanął na progu ogromnych, otwartych na oścież drzwi kościoła i zajrzał w gęstniejącym mroku do środka. Wciągnął nosem nasycone dymem powietrze, obsikał spizowe drzwi i zniknął w ciemności.

Przed drzwiami przeszedł koń bez jeźdźca. Ze strzemienia zwisała odcięta ludzka noga.

– Chwała Bogu na wysokościach. – Był to słaby, zmęczony głos Elii Amena II, papieża Kucisawego, który wypowiedział te słowa tak, jakby żona Hioba nakłaniała go, by przeklął Boga i umarł, a on,

znużony, spełniał jej życzenie. – Chyba słyszę, że zbliża się teksarkańska jazda. Czarnożębie, bądź rozsądny, uciekaj, ratuj życie.

– To tylko koń bez jeźdźca – oparł Czamożąb.

Nastawił jednak uszu i usłyszał jakieś dochodzące z daleka odgłosy. Słyszał je i czuł: cichy, niewyraźny warkot jakby gdzieś daleko przetaczał się grzmot.

– Nic nie powstrzyma ich teraz przed wkroczeniem do miasta – powiedział Wooshin.

– Lecz ty, panie móg... – Czamożąb czuł zamęt w głowie. – Dokąd ty się udasz?

Jeśli Kucisawy słyszał go, nie można było tego po nim poznać. Czamożąb spojrział na stojącą za tronem Piotrowym figurę Najświętszej Panny. Pokazała mu język. Był czarny i rozdwojony.

„Wraca mi gorączka” – pomyślał Czamożąb. Rozejrzał się za Specklebirdem i Edreą, wiernymi towarzyszami w chwilach obłędu, lecz nigdzie ich nie zobaczył.

Kucisawy obrócił się i spojrział na Dziewicę. Jego oczy pojaśniały.

– Więc to jednak ty.

– Co takiego? – chrząknęli jednocześnie Czamożąb i Wooshin.

– Matka, Matka Nocy i nocnych klaczy, koszmarów.

– Panie mój? – Czamożąb ujął papieża za przedramię.

– Spójrz! Spójrz na Nią! – Kucisawy wyszarpnął rękę i wskazał na Dziewicę.

Sponad Jej dolnej wargi wypełzła ciemna plamka.

– To... to robak! – zająknął się Czamożąb.

– Nocna Wiedźma! Moja prawdziwa Matka! – wykrzyknął Kucisawy. – Czarnożębie, uciekaj, póki czas. W tym miejscu kończy się obowiązek wierności. Rozkazuję: Idź!

Czamożąb zrobił krok do tyłu.

– Dlaczego miałbym zacząć poszanowanie ślubów od okazania ci w tej chwili posłuszeństwa?

Kucisawy zaśmiał się cicho, ale powtórzył:

– Idź. Bądź pustelnikiem i mów o Bogu tym, którzy do ciebie przyjdą. Bądź sobą. Do tego cię powołał.

Czamożąb słyszał cichy, ale narastający tętent.

– Idź!

Wooshin nadal siedział na piętach obok tronu. Wąskie oczy zamknął jakby w modlitwie. Twarz Dziewicy połyskiwała w migotliwym świetle świec. Czamoząb powoli zaczął obchodzić ją luką, kierując się ku nadal stojącej tylnej ścianie katedry. „Tak, z pewnością ma na wardze robaka. A może to poruszający się język. Rozwidlony, czarny. Albo cień świecy. Ora pro nobis nunc et in hora mortis nostrae!”

Zobaczył w tylnej ścianie drzwi. Kiedy znalazł się w połowie drogi do nich, usłyszał świst, jakby ktoś gwałtownie nabierał powietrza w płuca. Rozpoznał dźwięk miecza wyciąganego z pochwy. Potem jakiś szept po łacinie. Ku zaskoczeniu Czarnozęba najmniej prawomyślny z papieży odmawiał modlitwę. Mimowolnie przystanął i nasłuchiwał. Zaczynała się jak Nicejskie „Wyznanie wiary”: „Wierzę w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, i wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych, i w jednego Pana, Jezusa Chrystusa...”, ale nim Kucisawy dokończył, wkradł się i wziął górę Atanazjański symbol wiary: „... i jeden święty, rzymski, powszechny i apostołski Kościół, poza którym nie ma zbawienia ani odpuszczenia grzechów”. .. Unam sanctam Ecclesiam Romanum etiam Apostolicam, extra quam neque salus est neque remissio peccatorum...

– Już? – odezwał się Topór.

Czarnoząb przystanął. Bał się obejrzeć. Usłyszał szelest jedwabiu. Potem nastąpiło potwierdzające chrząknięcie i Elia Kucisawy, Amen II, padł na kolana u stóp tronu. Szept miecza tnącego powietrze zakończył się głuchym odgłosem upadającego ciała, stuknięciem spadającej głowy i pluskiem krwi rozpryskującej się na zaśmieconej posadzce.

Czarnoząb pobiegł co sił w nogach w stronę wyjścia. Był już prawie przy drzwiach, kiedy usłyszał nawołujący go rozedrgany głos Wooshina:

– Pomóż mi, nim odejdziesz. Proszę.

Przystanął i tym razem obrócił się. Zobaczył Topora siedzącego na ziemi przy zwłokach. Wooshin wydobył swój drugi miecz, ten krótki, i przycisnął jego ostrze do brzucha. Wbijał go powoli jedną ręką, a drugą podniósł z ziemi zakrwawiony długi miecz i cisnął go

w stronę mnicha. Upadł niedaleko, dźwięcząc na kamiennej posadzce jak dzwonek.

Czarnoząb przekroczył go, potrząsając głową. Podszedł długimi krokami do wojownika.

– Nie! – powiedział jakimś zaciekłym głosem. – Opuściłbyś teraz swego pana?

Wooshin spojrział na leżącą obok kupkę zakrwawionego jedwabiu, potem podniósł gniewny wzrok na Czarnozęba i wcisnął mocniej ostrze w brzuch, aż pokazała się krew. Jęknął, przestał napierać na ostrze i raz jeszcze spojrział na Czarnozęba. Błagalnie.

Nimmy wziął do ręki długi miecz. Zamiast jednak unieść go do zadania ciosu, oparł się na nim jak na lasce.

– Wrogowie twojego pana nadal żyją – rzekł. – Otwórz sobie brzuch, jeśli tego pragniesz, Wooshinie, ale chcę, byś powiedział: „Niech żyje Filipeo Harq!” Potem pomogę ci umrzeć.

Wooshin odsunął miecz od brzucha i powiedział coś w niezrozumiałym języku, najwyraźniej przekleństwo. Czarnoząb przyklęknął i spojrział na ranę. Krwawiła obficie, ale ostrze nie weszło chyba zbyt głęboko. Może nawet jest to tylko powierzchowne zadrażnienie. Pomógł staremu wojownikowi dźwignąć się na nogi, a potem przyklęknął i oddał kawałek jedwabiu z białej papieskiej sutanny. Podał Toporowi, by przewiązał sobie ramię.

Wooshin podniósł głowę Kucisawego i położył ją obok ciała. Przykrył szczątki papieża więziennym pledem, pewnie zapominając, że jest to własność Czarnozęba.

– Czy pochowamy go?

Wooshin potrząsnął głową.

– Nie, chciał, by go tak zostawić. „Zostaw mnie dla Grobnichy, Bitewnego Sępa”.

Jego oblubienica – powiedział Czarnoząb. Poszukał spojrzeniem Nocnej Wiedźmy, ale zniknęła. Wróciła Dziewica ze swoim promiennym Dzieciątkiem i łagodnym uśmiechem. Patrząc w dół na Kucisawego, na spoczywające pod pledem zwłoki, na ten nieruchomy kształt, Czarnoząb czuł dziwną obojętność. Od chwili opuszczenia opactwa tak znaczną część swego życia poświęcił służbie temu światowemu człowiekowi! Lecz komu lub czemu służył Kucisawy? „Czy ktokolwiek z nas wie, czemu w ostatecznym

rozrachunku służy?” – zastanawiał się Czarnoząb. I zaraz poczuł wstyd. Czyż nie należy do braci Albertyńskiego Zakonu Świętego Leibowitza? Czemu przez tak długi czas pragnął, by uwolniono go od ślubów, jeśli te śluby są bez znaczenia?

Odgłos kopyt końskich zbliżał się coraz bardziej; ich stukot dochodził już z placu przed katedrą, potem z niskich, szerokich schodów. Czarnozębowi przemknęło przez głowę, żeby wyjść na ulicę i samemu oddać się w niewolę. Dostałby pigułki, których potrzebował, a może także śmierć.

Nie. Wooshin doszedł do siebie i schował do pochwy długi miecz. Czarnoząb poszedł za nim w stronę wyjścia w tylnej ścianie katedry. Nic tu już po nim. Psy znowu włączyły się po mieście, węsząc za świeżą krwią i śmiercią. Gdzie to napisano? „Izebelę zaś pożrą psy na polu Jizreel...”

Idąc za Wooshinem uliczką prowadzącą ku rzece, Czarnoząb słyszał stukot końskich kopyt w Katedrze Świętego Piotra. Po chwili rozległy się podniesione głosy nad martwym ciałem Amena II.

Rozdział 32

„Są w stanie, wsparci tylko łaską Bożą, zмагаć się w pojedynkę ze złem czającym się w ciele i w myślach”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział I

Nazajutrz i jeszcze następnego dnia padało bez przerwy. Ciężkie niebo zwieszało się nisko, zupełnie niepodobne do jasnego Pustego Nieba nad krainą traw, i Czarnoząb czuł się nim przytłoczony, bardziej nawet niż deszczem, który był czymś niewiele więcej niż uporczywą

mżawką. Szedł za Toporem, ten zaś za małą karawaną wozów i była zdążającą w stronę Państwa Watchitah. Przyłączyli się w sposób niezbyt może formalny, ale uznali, że lepsze to niż samotna wędrówka. Farmerzy posługiwali się zniekształconą odmianą pasikońskiego przemieszanego z OFzarkiem przyprawionym staroangielskim kościelnym, dialektem, którego zasięg ograniczał się według mniemania Czarnozęba do rejonu Nowego Rzymu. Z początku miał trudności ze zrozumieniem, ale pomógł mu wrodzony talent do języków i w końcu był zdumiony bogactwem źródłosłów i wpływów oraz ubóstwem odcieni i niuansów, choć może ubogie było jego rozumienie języka.

Niewiele było wśród nich kobiet. Przywódcą karawany był mamidło (tak podejrzewał Czarnoząb) o imieniu Pfarfen. Miał córkę – piękną dziewczynę, jeśli pominąć wielkie uszy genoka i dłonie, które skrywała tajemniczo pod gałganami. Pfarfen trzymał ją w wozie, w którym szyła i śpiewała przez cały dzień, a w nocy, kiedy jechał wraz z innymi błotnistą drogą, obcowała płciowo (Czarnoząb odkrył to z przerażeniem) ze swym ojcem.

Święte miasto było teraz daleko za nimi. Nadal płonęło i kiedy niskie chmury rozstępowały się, widzieli na północno-wschodnim horyzoncie gęsty dym. Armia, która wyruszyła na południe z Hpnganem Osie, została rozgromiona, i coraz mniejszy strumień uchodźców zdążających w tę stronę mieszał się z coraz większym strumieniem uchodźców zmierzających na północ, tak że na wąskich odcinkach drogi szybkiego ruchu miało się wrażenie, iż to jakieś kręcące się w kółko i zmierzające donikąd wielkie stado. W takich miejscach ludzie schodzili z drogi na zielone jeszcze pola, które rychło zmieniały się pod kołami, kopytami i nogami w grzęzawisko. Chociaż wszyscy posługiwali się odmianą pasikońskiego, nietrudno było odróżnić nomadzkiego wojownika od półcywilizowanych farmerów Hannegana: wielu ze zdążających na północ miało rany, a większość zachowała broń. Niektórzy dosiadali nawet koni i wielokroć spoglądali z niepokojącym gniewem na duchowne szaty Czarnozęba.

„Idziemy, Nimmy!” – mówił Topór za każdym razem, kiedy widział, że Czarnoząb chętnie by zaczął wypytywać o kampanię pod wodzą Qcesach.

Chciał jak najszybciej dotrzeć do Miasta Hannegana. Odkąd Czamożab odmówił objęcia roli jego keisaku i wyprucia z niego flaków, zasuszony stary wojownik znalazł sobie cel w życiu. Czamożab domyślał się, o co chodzi, ale wolał nie zadawać pytań. Topór miał osobliwy talent do maszerowania całymi dniami o pustym żołądku; nigdy przy tym nie wyglądał na wygłodzonego. Inaczej było z Czarnożębem, który miał godne mnicha upodobanie do wieczerzy; ponieważ jednak pomagał przy wozach, kiedy grzęzły, zapraszano go do chudych wieczornych i porannych posiłków przy ognisku.

Po rzece pozostało już tylko wspomnienie. Teraz musieli codziennie pokonywać co najmniej dwa strumienie o niskich brzegach, lecz o bardzo głębokich brodach. Na każdym skrzyżowaniu dróg leżały stosy porzuconych, nie pogrzebanych ciał, ułożonych w groteskowych pozycjach, jakby wyłaniających się z ziemi, nie zaś na odwrót. Uchodźcy udawali, że nie zwracają uwagi na te widoki i nakazywali dzieciom patrzeć w drugą stronę. Ale dzieci zawsze rozumieją wojnę lepiej niż dorośli. Śmierć interesowała je umiarkowanie; nie

przerażała ich ani nie fascynowała jak dorosłych, którzy prawie słyszeli szum jej skrzydeł.

Niebo nad nimi było czarne od krążących punkcików.

Niezawodna Grobnicha.

Farmerzy-mamidła, z którymi podróżowali Czarnożab i Topór, odnosili się tolerancyjnie do tonsury i habitu mnicha, nawet do kapelusza wiszącego mu na plecach. A jednak martwił się.

o ile wiedział, nadal ciążył na nim wydany przez Hannegana wyrok śmierci. Właśnie ten wyrok zapewnił mu pigułki Hilberta, które prawie się już skończyły. Opuścił Nowy Rzym z trzema i teraz zmniejszył dawkę do jednej dziennie. Połykał lekarstwo z kukurydzianą papką. Zostały mu dwie w dniu, kiedy zobaczył trzech swych braci mnichów ukrzyżowanych przy drodze, nie sposób było jednak powiedzieć, czy przez żołnierzy teksarkańskich, czy przez rozwścieczonych nomadów, którzy zostali rozgromieni i nie mogli, choć im to obiecano, splądrować Miasta Hannegana. Grobnicha już uctowała i ciała były w stanie daleko posuniętego rozkładu.

– Chodź – powiedział Topór i po odmówieniu krótkiej modlitwy Czarnoząb dogonił towarzyszy podróży.

Pragnął pogrzebać zmarłych, ale wcale nie chciał na razie do nich dołączyć. A nade wszystko nie chciał być sam.

Następnego dnia połknął przedostatnią pigułkę. Tego popołudnia natknął się na dwóch duchownych wiszących na słupach przy błotnistej drodze. Wyglądało na to, że zostali zawieszani, a następnie rzucono w nich kamieniami i strzelano z łuków. To w gruncie rzeczy dobry sposób umierania. Ich twarze były prawie pogodne, jakby dopiero co przekroczyli bramy śmierci. Czarnoząb długo się im przyglądał. Miał wrażenie, że skądś ich zna, nie chodziło jednak o twarze, aczkolwiek zaprawdę w tych dniach, o których coraz częściej myślał jako o zmierzchu swego życia (choć ten zmierzch trwał już długo), wszyscy ludzie są podobni i stawali się coraz podobniejsi do przewielebnego kardynała Czarnozęba od Świętego Jerzego, diakona u Świętej Malgi. Wyglądali więc w jego oczach jak wszyscy mnisi, którzy są wszak rozpięci na krzyżu życia. To nie ich świat. Było w tym coś niosącego prawie natchnienie.

– Chodź! – powiedział Topór.

– Idź – odparł Czarnoząb. – Dogonię cię.

„Głodnych nakarmić, nagich przyodziać, zmarłych pogrzebać”. Pożyczył od Wooshina krótki miecz i dzięki temu mógł pogrzebać tych dwóch przy drodze. Na grobie ułożył kamienie i gałęzie. Kiedy skończył, było już ciemno. Nie chciał wędrować samotnie nocą, przespał się więc w płytkiej, brudnej jamie obok drogi. Poplamiony błotem kardynalski kapelusz służył mu za poduszkę.

Następnego ranka połknął ostatnią pigułkę, a potem, idąc pod jasnym niebem, z trudem panował nad przerażeniem. Szedł najszybciej jak potrafił przez cały dzień, z nadzieją, że dogoni farmerów-mamidła i Topora. Nieliczni uciekinierzy, jakich widział po drodze, przyglądali się mu z zaciekawieniem, ale go nie zaczepiali. Nie zapomniął jednak o ukrzyżowanych duchownych i ani na chwilę nie opuszczał go strach. Ukrył czerwony kapelusz

pod krzakami, a później zdarzyła się okazja pozbycia habitu. Zamienił go na wysokie buty i suknię farmera, którego świeże jeszcze zwłoki ktoś złożył prawie z czułością na skraju drogi. Mnich

pogrzebał go i wziął jego ubranie. „Grzebać umarłych, odziać nagich”.

Łatwo było rzucić w krzaki zucchetto, lecz pozostawienie grubo tkanego, brunatnego habitu leibowitzańskiego to zupełnie inna sprawa. Po chwili wahania Czarnoząb zwinął go jak pled i zabrał ze sobą. Czuł się znowu jak pielgrzym albo tropiciel ksiąg.

I maszerował pod jasnym, pocętkowanym sępami niebem na południe i zachód.

Wraz z nim wędrowała gorączka Hilberta. Nie czuł głodu, nie cierpiał od kilku dni na biegunkę, ale nie miał też sił. Na drodze było coraz mniej wędrowców, a ci, których spotykał, odzywali się do niego w języku OFzark albo wcale nie otwierali ust. Rzeka uciekinierów zmieniła się w skąpo ciekącą strużkę. Niektórzy pokonali Rzekę Wielką, licząc, że wodna przeszkoda uchroni ich przed grabieżą ze strony żołnierzy Filipeo i ich nomadzkich przeciwników, o których nadal wszyscy myśleli jako o armii antypapieża. Inni zniknęli po prostu w lasach, by tam znaleźć schronienie, śmierć, albo czekać na przyjaciół czy krewnych.

Czarnoząb nie dogonił wozów. Stracił już Kucisawego, a teraz Topora. Kiedy droga rozwidliła się, poszedł na zachód, tak że wschodzące słońce świeciło mu w plecy – choć wiedział, iż Wooshin musiał skrócić na południe, w stronę Miasta Hannegana. Łaknął Pustego Nieba. Gorączka była jak towarzysz podróży, jak druga świadomość. Często przybierała ludzki kształt, jak wtedy, gdy pokonywał mały strumyk (im bardziej na zachód, tym wątlejsze były strumyki) i zobaczył czekającego na brzegu Specklebirda. Czarnoząb pospieszył na drugą stronę, gdy jednak dotarł do brzegu, czarnoskóry starzec o twarzy kuguara zniknął. Kiedy indziej ujrzał Edreę stojącą na progu opuszczonej chaty. Złudzenie, jeśli to z nim miał do czynienia, było tak doskonałe, że pnąc się ku niej na szczyt wzgórza, słyszał, jak śpiewa. Ale w chacie znalazł tylko martwego starca, który trzymał w ramionach płaczące niemowlę.

Począł, aż dziecko umrze, a potem pochował oboje w jednym grobie. „Grzebać umarłych”.

Miał przed sobą dni suche i gorące, ale potem nadciągnął deszcz, który zapowiedziała błyskawica i piorun. Ulewa obróciła drogę w pasmo błota. Gorączka Hilberta towarzyszyła mu przez cały czas i

dzięki niej Czamożab mógł wędrować milami, nie biorąc niczego do ust. Długie, naznaczone gorączką dni przypomniały mu o Wielkim Poście z czasów nowicjatu, kiedy szukał powołania i myślał, że znalazł je wśród albertyńskich tropicieli ksiąg u Świętego Leibowitza. Ale nie znalazł. Teraz, kiedy uzyskał wolność, za którą się tak uganiał, zatęsknił za opactwem i braćmi. Został zwolniony ze ślubów przez samego papieża czy też nałożył sobie nowe pęta?

„Idź i bądź pustelnikiem”.

W dniu, kiedy ujrzał świętego Leibowitza i Dzikokonną, maszerował cały ranek przez otwartą krainę traw, między wstęgami lasów. Lękał się wykrotników, widział bowiem przy drodze kilka dymiących jeszcze ognisk, nikogo jednak nie napotkał. Zastanawiał się, czy nie założyć z powrotem habitu, ale uznał, że lepiej z tego zrezygnować. Nawet ci, którzy nie czuli

do Kościoła nienawiści za to, co rzekomu zrobił z ich światem, często myśleli, że nawet ubogi mnich to godny pożądanego łup dla kogoś uprawiającego rozbój na drogach.

W południe pojawiło się wyraźne uczucie, że ktoś za nim idzie. Oglądał się do tyłu za każdym razem, kiedy mijał jakąś wyniosłość, ale droga była pusta i widział tylko sępy, lotne cętki po południowej i wschodniej stronie. Był zadowolony, że minął niewyraźną granicę między lasami i krainą traw, lecz uczucie, iż ktoś za nim podąża, nie ustąpiło. Nabrało nawet takiej realności, że kiedy pokonał kolejny strumyk, ukrył się na brzegu za cielesnej barwy pnem sykomory i czekał.

I nie pomylił się, gdyż spośród drzew wyszedł na błotnisty brzeg biały muł o czerwonych uszach. W pierwszej chwili myślał, że kobietą siedzącą na grzbiecie zwierzęcia jest Edrea z bliźniakami, które poczęła z nim pod wodospadem. Lecz to była sama Fujce Go, Dziewica Dnia, bez porównania piękniejsza od Edrei. Na każdym ręku miała dziecko, jedno białe, drugie czarne, które ssły jej pełne piersi. Nie przerwały nawet wtedy, kiedy zjechała na mule z błotnistego brzegu do wody.

Potem rzuciła wodze. Muł zatrzymał się pośrodku niemrawo płynącej wody. Jego czarne oczy patrzyły prosto na Czarnożęba. Nie, patrzyły przez niego.

Wstał, nie próbował się już kryć. Uświadomił sobie, że to, co widzi, nie jest z jego świata i że nie może tego dotknąć. Wiedział, że gdyby się odezwał, nie usłyszałyby go, a jeśliby na niego spojrzała, nie widziałyby go. Zrozumiał, że zamieniał się miejscami z jednym ze swych gorączkowych snów na jawie i że to oni, nie zaś on, są realni.

Ze on jest snem.

I wtedy to z krzaków wyszedł święty Leibowitz i ujął sznur uzdy. Czamoząb rozpoznał go, gdyż był podobny do wyrzeźbionej przez brata Fingo w XXVI wieku figury, która stała w korytarzu przy drzwiach pracowni opata. Rozpoznał ten osobliwy uśmiech i niepewne spojrzenie. Tego, że święty nie był wizją, Czamoząb domyślił się, kiedy poczuł słaby i słodki zapach nafty, który zawisł w powietrzu po przejściu Leibowitza. Tak, to Czarnoząb jest snem.

Mijając go, Fujce Go podniosła wzrok do nieba. Czamoząb nie dostrzegł przedtem, jak majestatyczny może być dębczak, ten filigran gałęzi na tle bladego nieba. Jedno z dzieci było ślepe i białe jak albinos, drugie czarne jak Specklebird. I jedno, i drugie zaciskało powieki, jakby broniąc się drobnymi piąstkami przed światem. Muł patrzył przez Czarnozęba, tak samo jak Dziewica Dnia. Tylko Leibowitz, okryty swymi jutowymi sukniami, ze sznurem przerzuconym przez ramię, spojrział prosto na mnicha, jakby chciał powiedzieć to, co powtarzał mu Topór: „Chodź!”

Zamrugnął wówczas i zaczął iść.

Sancte Issac Eduarde, ora pro me!

Szedł za nim. Zawsze szedł tam, dokąd prowadził Leibowitz. Teraz jednak był słaby i dwa razy upadł, wspinając się na brzeg. Kiedy dotarł wreszcie na szczyt wzniesienia, oboje (troje? pięcioro?) oddalili się już wąską ścieżyną i prawie zniknęli wśród cętkowanych cieni. Pospieszył za nimi, lecz trawiła go gorączka i chociaż posuwali się powoli, zostawał coraz bardziej w tyle. Znowu musiał się zatrzymać i pewnie zasnął, kiedy się bowiem obudził, ściemniło się już i oni odeszli bardzo daleko. Stali się jak plamka na oku.

Coś się jednak nie zgadzało.

Słońce zachodziło za jego prawym barkiem. Święty Leibowitz i Dzikokonna nie podążali na zachód, ku morzu traw, lecz na południe, ku Miastu Hannegana. Hongin Fujce Vurn zawsze

wybierała na swego pana zwycięzcę, a przecież Hannegan wygrał wojnę. Wybierając małżonka, wybierała też króla, i należy oto teraz do Filipeo. A Leibowitz prowadzi ją do niego.

Czamożab wędrował w nadziei, że natknie się na teksarkańskich żołnierzy, którzy dadzą mu pigułki. Nadeszła zima, zima roku 3246. Granice Cesarstwa zostały ustalone na nowo i nieliczni podróżni, których spotykał, byli bardzo ostrożni. Idąc na zachód, codziennie grzebał jakieś zwłoki. Nie był już kardynałem, nie był nawet mnichem. „Idź i bądź pustelnikiem”.

Nie padało. Drzewa przerzedziły się i stały cieniami w zagłębieniach terenu, a droga pięła się bezustannie coraz wyżej w świat trawy po kopułą nieba. Gorączka stała się maleńkim płomykiem, który osłabiał i jednocześnie wzmacniał Czarnozęba. Rankiem zostawił za sobą ostatnie drzewa i zobaczył wielkiego ptaka, który zataczał wysoko nad nim kręgi. Był to Czerwony Sęp, ptak papieża. Przed nim ktoś padł na drodze. A może coś? Dwa mniejsze sępy rwały mięso. Nimmy zatrzymał się, żeby popatrzeć, jak Grobnicha, papieska oblubienica (tak o niej myślał), runęła w dół. Mniejsze sępy, przejęte grozą na widok jej ogromu, cofnęły się, kiwając łbami, ale ona nie zwróciła na nie uwagi, rychło więc dołączyły do jej uczyty. Czerwony Sęp był silniejszy i miał trochę więcej szczęścia, ale mięso i tak było za świeże, by można je było łatwo pożreć.

Z miejsca, gdzie siedział na trawiastym kopczyku, Czamożab nie potrafił powiedzieć, czy to ludzkie ciało. „Głodnych nakarmić, chorych opatrzeć, więźniów nawiedzać” – wymienił na głos doczesne dzieła miłosierdzia.

„Grzebać umarłych”.

Rzucił kamieniem. Ptaki znieruchomiały i patrzyły na niego uroczyście i pogrzebowo, ale po chwili przeszły dumnie kilkakrokw, musnęły pióra dziobami i zabrały się ponownie dojedzenia. Rzucił drugi kamień, lecz nie zwróciły na to uwagi. Miał nadal przy sobie krótki miecz Wooshina, nie mógł jednak zdecydować się na zwadę z królową sępów.

Potem ujrział nadlatującego łysego orła, który odpędził wszystkie ptaki, nawet Grobnicę, Sępa Wojny. Łysy orzeł był państwowym herbem Filipeo. Dziobnął ciało, ale natychmiast

przestał się nim interesować i wzbił się, wykorzystując ciepły prąd powietrza, prosto w porcelanowo-niebieskie niebo.

Czarnoząb od Świętego Jerzego dźwignął się i poszedł zobaczyć, co zostawiono mu, by pogrzebał. Miał nadzieję, że nie będzie to jeszcze jedno dziecko.

Rozdział 33

„We wszystkim jednak należy zachować umiar ze względu na tych, którym brak siły ducha”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział XLVIII

Był to dobry rok dla sępów. Nie odstępowały Czarnozęba przez całą drogę powrotną do Opactwa Świętego Leibowitza – małe cętki na rozległościach Pustego Nieba, jakby plamki na gałce ocznej. Czarnoząb zaprzestał szukania pigułek Hilberta, a i choroba powoli dawała mu pokój, wypalając się do cna. Jeśli miał teraz gorączkę, była to ta sama gorączka, która trawiła go przez całe życie, był to ten żar, który zauważyli w nim Amen i Kucisawy, każdy z nich patrząc z właściwej sobie perspektywy.

Nie było już bezpiecznych dróg przez krainę traw. Podróżując na północ od Nady Ann, nie omijało się już Cesarstwa podobnie, jak na drodze południowej nie unikało się hord. Oba te organizmy przenikały się wzajemnie i sporne terytoria po obu stronach Nady Ann można było przebyć, ale nie były bezpieczne. Na południe od Rzeki Śmiałej Królestwo Laredo runęło jakby pod własnym ciężarem.

Wydawało się, że nawet trawa wrasta z powrotem w ziemię. Pojawiły się połacie piasku i pyłu, toteż trzeba było czasem pół dnia, by je pokonać. Puste Niebo robiło wrażenie jeszcze bardziej pustego niż dawniej. Czarnoząb założył z powrotem habit i odmawiał w

marszu różaniec. Czy coś jadł? Gdzie znajdował wodę? Nieliczni ludzie, których widział, przesuwali się daleko, na horyzoncie, i podróżowali konno.

Pewnego dnia spadł deszcz. Był to jednak krótkotrwały, drobny deszczyk, jaki pojawia się w wysokich partiach równin i ledwie, ledwie dosięga ziemi, przyciemniając pył i wzbijając go wielkimi bryzgami, lecz zaraz potem paruje w promieniach słońca, które pojawiają się niby niespieszne błyskawice, gdy tylko odpłyną chmury.

Puste Niebo.

Nie było drogi, potem nie było szlaku. Czamożab szedł w stronę zachodzącego słońca. Ślady wozów przeplatały się w wyschłych łożyskach strumieni, biegnąc we wszystkich kierunkach. Nieliczni napotkani ludzie byli nastawieni pokojowo i dzielili się z nim swym jadłem. Znalezione ciała grzebał, pomagając sobie krótkim mieczem Topora.

Zwykle maszerował sam i towarzyszył mu tylko własny cień, który kroczył przed nim rankami, a przesuwiał się za jego plecy, kiedy słońce zniżało się nad horyzont. Opuszczał go tylko w skwarze pory południowej. Świat, sprowadzony do tego co najważniejsze, do nieba i ziemi, wydawał się bardziej pogmatwany i zawiły niż kiedykolwiek.

Czarnożab tęsknił za małym niebieskouchym kuguarem. Rozmyślał, co też mogło się stać z Aberlottem, który tak się rozmiłował w małych mosiężnych pociskach, w wojnie. Przyłączył się do bezmacich? Czy też znalazł wreszcie dom pod ziemią prerii?

Napływały też inne myśli, jedna przy każdym kroku... przychodziły i odchodziły bez słowa,

jak ptaki. Innymi razy szedł z pustym umysłem, darem – jak Puste Niebo. I w tym stanie każdy krok był modlitwą.

Był to dobry rok dla sępów. Czamożab poznał to po tym, jak łatwo było je odpędzić. Zawsze czeka przecież inna ucztą, tuż za najbliższym wzgórzem.

Dom Abiquiu Olshuen zmarł po następnym ataku i przeor Devendy zajął jego miejsce do czasu wybrania zgodnie z szacowną regułą benedyktyńską nowego opata. Kiedy Czamożab znalazł się już w opactwie, nie miał wielkiej ochoty w nim pozostać, mimo że

większość dobrych wspomnień (a także sporo złych) wiązała się z tymi starymi murami z niewypalanej cegły. Opowieści o pobycie fidrei jako siostry Klary przeszły już prawie do legendy i Czarnoząb poznał rozmaite ich wersje. Wszystkie miały jednak jeden punkt wspólny: niektórzy spośród braci twierdzili, że na wschodniej części nieba ukazała się im Najświętsza Panna.

– To Nocna Wiedźma – zapewniał Czarnoząb. – Oznacza wojnę i śmierć, nie zaś pokój i nadzieję.

Ze sposobu, w jaki brat Strzyżyk i inni robią znak krzyża, poznał, że nie chcą czegoś takiego słuchać – nawet jeśli przygotowywali się po swojemu do wojny. Zamknęli święte relikwie w pomieszczeniu, które pierwotnie zajmowały, i odkurzyli działo dzikokróliczego przemytnika. Brat stolarz udał się do podziemia, żeby przygotować deski na mocniejsze drzwi. Klęska Kucisawego i planu zaprowadzenia nowego ładu zapowiadała nadejście nowej epoki mroków. Czarnoząb jakoś się jej nie bał, a nawet o niej nie myślał. Krew i okrzyki trwogi to woda, w której pławi się ludzkość.

Z osady przyprawiono czwórkę dzieci Dwoje już zmarło. Wyglądało na to, że na pustyni szerzą się nowe choroby.

Po odwiedzeniu grobu Jarada Czarnoząb stał i patrzył w głąb innego, pustego, który zawsze czekał na zmarłego mnicha. Słoma na brzegach była właściwie niepotrzebna, gdyż – jak wyjaśnił przeor Devendy – w tym roku padało niezwykle rzadko. Grób był tak głęboki, że Czarnozębemu wydało się, iż nie może zajrzeć na dno, na samo dno...

Zachwiał się i niemal upadł. Bracia nazywali to schorzeniem Gerarda, na pamiątkę mdlejącego mnicha sprzed prawie tysiąca lat.

– Wyglądasz na słabego -- powiedział przeor Devendy. – Chodź.

Poprowadził Czarnozęba przez pełną mnichów klasztorną świetlicę, pod starymi, dobrze znanymi vigas, do pracowni Olshuena. Kluczem, który miał zawieszony na szyi, Devendy otworzył szufladę i wziął z niej inny klucz. Tym otworzył komodę z zakurzonymi flaszками. Nalał szklaneczkę brandy. Czarnoząb już miał zrobić odmowny ruch ręką, kiedy zobaczył, że Devendy nalewa też sobie.

- Z Oregonu - oznajmił. - Trafiła tu jako dar dla Kucisawego, kiedy został papieżem. Ale Amen II przeniósł swoją stolicę do Nowej Jerozolimy i nie miał sposobności, żeby jej skosztować.

- A teraz nie żyje - powiedział Czarnoząb.

Nikomu nie opowiadał o tym, co się stało w Bazylice Świętego Piotra - poza tym, że

wyjawiał im sam fakt śmierci papieża.

- Mianował cię kardynałem - rzekł Devendy. - Gdzie twój kapelusz?

- Moje zucchetto. Zostawiłem wszystko. Podejrzewam, że ktokolwiek zostanie papieżem, i tak odwoła wszystkie kardynalskie nominacje Kucisawego.

- Nie musisz być tutaj kardynałem. - Devendy uśmiechnął się niepewnie. - Wystarczy, że zostaniesz księdzem.

- Wystarczy? - Czarnoząb obrzucił starego kapłana ostrożnym spojrzeniem.

- Bracia chcą wybrać cię na opata. Musisz przyjąć święcenia.

- Nie ma mowy. Non accepto.

- Tak właśnie myślałem. - Devendy miał minę, jakby słowa Czarnozęba sprawiły mu ulgę. - Obiecałem jednak, że cię o to zapytam.

- Nie mam powołania. Pozostanę tu kilka dni, a potem odejdę.

- Na Mesę Ostatniego Ratunku?

- Pomyślałem, że mógłbym pójść w tamtą stronę.

- Tam poszła. Była, hmmm, skaleczona, i po odejściu stąd przebywała ze starym Żydem. Jestem jednak pewny, że już odeszła.

Czarnoząb spojrział przez okno w stronę Mesy. Skrzyła się w oddali niby skalisty miraż.

- Czy stary Żyd nadal tam jest?

Stary Żyd nadal tam był. Czarnoząb wyszedł następnego ranka z opactwa, niosąc dary: pled i brewiarz, menażkę i bochen chleba.

Kiedy znalazł się w połowie drogi pod górę, powitała go kanonada kamieni. Nie zwrócił na nie uwagi, gdyż były to tylko małe kamyki. Przelazł przez ostatnią szczelinę i znalazł się na równi, gdzie zobaczył Beniamina Eleazara ben Joszue, który nie wyglądał na choćby odrobinę starszego niż dziesięć albo sto lat temu - wedle wiedzy, jaką miał Czarnoząb.

- To ty – rzekł starzec. – Tak i podejrzewałem.
- Kucisawy nie żyje – oznajmił Czarnoząb.
- Nie był nim.

I to było wszystko, co stary Beniamin miał do powiedzenia na ten temat. Wyjawił Czarnozębowi, że Edrea przebywała tu kilka miesięcy, póki nie zagoiły się jej rany, a potem odeszła nie mówiąc nic o swoich planach.

Czy się zmieniła?

- Zmieniła? – Stary Żyd uśmiechnął się i potrząsnął tylko głową, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co chodzi Czarnozębowi. – Nigdy nie było lepiej, nigdy nie będzie lepiej. Będzie tylko biedniej lub bogaciej, smutniej, lecz nie mądrzej, i tak aż do ostatniego dnia.

Zirytowany, znużony wieszczaniem i przypowieściami Czarnoząb owinał się w pled i ułożył do snu. Został z Beniaminem dwa dni i spał w namiocie, w którym nocowała Edrea. Sam wytwórca namiotów unikał swych wyrobów. Czarnozęba co noc budził deszcz bębniący w płótno: kilka dużych, rozpryskujących się kropli. A może był to sen na chwałę sztuki szyjącego namioty i sprowadzającego deszcz? Co noc na wschodzie błyskało, ale burza nie przychodziła.

To Dzikokonna napominała swoje dzieci z Równin.

Opuścił Mesę trzeciego dnia. Stary Żyd napełnił mu menażkę z kałuży ukrytej pod skałą. Woda była zimna i przezroczysta i Czarnoząb zdumiał się, gdyż wystarczyła mu na całą drogę do Nowej Jerozolimy.

- Nawet gdyby się pojawiła – powiedział Czarnozębowi przeor Śpiwna Krowa w klasztorze Świętego Leibowitza w Bawełnianym Gaju – odprawiłbym ją. Słyszałeś, co się jej przydarzyło.

- Słyszałem.

Czarnoząb szedł papieską drogą na północ, a potem skręcił w Łukowej Kotlinie w stronę Ssamięto. Osadnictwo w Nowej Jerozolimie znacznie się zmniejszyło. Rajca Dion nie doprowadził do stanu sprzed antypapieskiej wojny (nawet mamidła tak ją nazywały) i nikt nic nie wiedział o Shardowej Edrei poza tym, że ciążył na niej interdykt i udała się do Laredo. Nikt mu nie uwierzył, kiedy powiedział, że papież, który nie był papieżem, zdjął z niej interdykt w Nowym Rzymie, który nie był już Nowym Rzymem.

Nie napotkał też na żaden jej ślad w Valanie.

Natomiast Aberlott był tu i pracował jako świecki pisarz przy placu Świętego Jana pod murami Wielkiego Ratusza Świętego Stona i obok starego Pałacu Papieskiego, gdzie Amen wygłosił już swą legendarną siedemnastogodzinną mowę akceptacyjną. Powietrze valańskie obfitowało w swojskie miejskie zapachy końskiego łąjna, jadła i dymu. Na ulicach panował ruch, gdyż po klęsce krucjaty wielu nomadów osiedliło się na wąskich skrawkach ziemi uprawnej, wystarczająco wilgotnej dzięki wodzie spływającej z gór. Handlowali końmi i bydłem, ich świat zmieniał się i musieli się do tego dostosować.

– Znużyłem się rzemiosłem żołnierskim – oświadczył Aberlott. – A czy ciebie, Eminencjo, znużyła kardynalska godność?

– Nie jestem już kardynałem – odparł Czarnoząb.

Szyderstwa starego towarzysza wydały mu się tak samo męczące jak niegdyś. Aberlott miał pod okiem długą bliznę, którą „zarobił”, jak powiadał, pod bramami Miasta Hannegana, kiedy wojska teksarkañskie zaszły od flanki i wciągnęły w pułapkę wojowników Hpngana Osie. Ta blizna pasowała do uciętego ucha.

– Wykrwawiłem się prawie na śmierć – powiedział Aberlott. – Znalazłem się w Mieście Hannegana. Kiedy zakończyły się walki, Cesarstwo po prostu rozsiało nas wśród swoich niby rodzynki w cieście. Wielu z nomadów Qcesach dri Vordar służy teraz w cesarskiej gwardii. Włączyłem się parę tygodni to tu, to tam, a potem dostałem miejsce jako sekretarz pewnego duchownego z N’Orku, który przybył na konklawe i nie mówił OFzarkiem.

– Konklawe?

– A jakże. Sorely Nauwhat zwołał konklawe i pozwolił wybrać się na papieża, a może raczej Filipeo zrobił z niego papieża. Urion Benefez był tym rozgoryczony. Sądzę, że jest nadal. Ponieważ zabrakło Kucisawego, który stawiałby opór, zwodził i kręcił, biskupi i arcybiskupi byli potulni i Sorely mógł unieważnić wszystkie te unieważnienia, jakie ogłosił

Amen II. Potem Wooshin unieważnił Filipeo.

– Topór!

– O tak. Zatrzymał powóz na ulicy, a kiedy Filipeo wystawił głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje, uciął ją. Gwardziści Hannegana

nafaszerowali żółtego kulami, a on przyjął to radośnie, wystawiając gardło, pierś i brzuch. Widziałem wszystko.

Czarnoząb przymknął oczy i zobaczył karcące go wąskie oczy Wooshina.

– Już bym nie żył, gdyby nie on.

– Żaden z nas dwóch by nie żył. Tak czy inaczej, nie jesteś już kardynałem. Stolica papieska została przeniesiona do Miasta Hannegana, którym rządzi Benefez jako regent w oczekiwaniu na moment, kiedy liczni synowie Filipeo dojdą do pełnoletności i ustalą, jak zwykle w krwawy sposób, kto obejmie tron. Na razie panuje cisza przed burzą.

Aberlott poślubił Analę, siostrę Jaesisa, i sprowadził ją i dwoje małych dzieci z Nowej Jerozolimy do Valany. Zaproponował Czarnozębowi gościnę, ale dom był mały, a poza tym Nimmy odkrył, że nie ma upodobania do życia rodzinnego.

– Zbyt długo byłem mnichem – wyznał Aberlottowi, żegnając się z nim przed wyruszeniem na południe.

Było to bardzo dobry rok dla sępów. Młoda ich generacja nabierała sił, wzbijała się wysoko i wędrowała daleko na czarnych skrzydłach, czekając, aż żyzna ziemia wyda ofity plon ścierwa.

Pewnej nocy Czarnoząb obudził się złany zimnym potem i pomyślał, że wróciła gorączka. Potem spojrział jednak na północ i ujrzał, że niebo zasłania Nunshan, Nocna Wiedźma, bezmierna i paskudna. Przez jej wzniesione ramiona przeświecały gwiazdy. „Kto umiera?” – spytał na głos. Dowiedział się później, że Chiir Osie Hpngan. Plan Kucisawego przyniósł nomadom klęskę. Po przegranej wojnie Trzy Hordy odwróciły się do siebie plecami. Traktatu Świętej Klaczy nikt już nie respektował i Równiny były pokryte ciałami, które rozsiały na nich susza, głód i wypady bezmacich.

Czarnoząb wędrował na południe, pokonując Nady Ann, Bajdos i w końcu Rzekę Śmiałą. Ponieważ nie był już kardynałem, spodziewał się, że zostanie odprawiony z klasztoru matki Iridii w San Pancho Villa w Górach Karaluszych, ale ona powitała go prawie jak starego przyjaciela. Nie miała jednak żadnych wiadomości o siostrze od Świętej Klary z Asyżu. Podejrzewała tylko, że Tidrea żyje gdzieś wśród swego ludu.

– Swego ludu? – zaprotestował Czamożab. – Byłem w Nowej Jerozolimie, ale tam nic o niej nie wiedzą.

– Wśród genoków – powiedziała matka Iridia. – Mamideł. W Dolinie Wybryków Natury.

Kraina Dzikich Królików zawsze była niegościnna, ale po dwóch latach suszy panowały tu jeszcze surowsze warunki. Skończyły się lata deszczowe. Piasek pożerał trawę. Natomiast Miasto Hannegana rozwijało się pomyślnie. Cesarstwo zwróciło się ku wschodowi, zerkało ku krainie lasów i rozwijało handel od Rzeki Wielkiej w górę Rzeki Czerwonej.

Czamożab pracował kilka dni na targowisku jako pisarz, zanim został wezwany przed oblicze papieża. Bardziej niż samo wezwanie zdumiał go wzywający, był to bowiem Torrildo

odziany w wytworną suknię wikariusza.

– Powiedziałem Jego Ekscelencji, że jesteś tu – oznajmił Czarnożębowi nadal przystojny, młody jeszcze mężczyzna. –

Powinieneś okazać więcej ostrożności. Nadal ciąży na tobie inieidykt.

– Nie wiem czemu. Skoro zdjął ze mnie godność kardynała skąd, dlaczego nie zdjął interdyktu?

– Chodzi o Benefeza. Myśli, że maczałeś palce w zabójstwie Filipeo.

„I ma rację” – pomyślał Czamożab.

– Zapewne jest ci za to wdzięczny – ciągnął Torrildo. – Ale nie zależy mu wcale, żebyś się tu pokazywał.

Sorely Nauwhat z szacunkiem, a nawet zaciekawieniem wysłuchał opowieści o przygodach Czarnożęba. Szczególnie interesował się sytuacją na Równinach, ale wiedział na ten temat więcej od swego gościa. Wszędzie na Wysokich Równiach widziano Nocną Wiedźmę. Kobiety Weejus nie były zadowolone. Kiedy Qcesach dri Vordar wrócił z południa, wezwały go i skazały na śmierć. Po pogrzebie jego kości spalono i pogrzebano w trzech odległych miejscach, które wybrała każda z Trzech Hord.

„Po co mi to mówi?” – dziwił się Czamożab, kiedy pulchny papież trajkotał z nadętą miną, wyraźnie nie dbając o mijający czas. „Grzebie marzenia Kucisawego”. Potem zostały pogrzebane nadzieje Filipeo. Papież, który był z cesarzem w powozie, opisał ze

szczegółami, jak Wooshin dokonał swego dzieła. Gwardia Filipeo była uzbrojona w nowe egzemplarze broni, lecz wielu strzelało niecelnie. Topór jednym ciosem odciął głowę siódmego Hannegana, a potem odłożył miecz i klęknął, by przyjąć kule lecące ku jego piersi niby pszczoły do ula.

Dominus ex deo.

Audycja trwała całe popołudnie i była wyczerpująca. Po rozwlekłym opisanu krwawego zabójstwa papież Sorely szczegółowo omówił sytuację w Cesarstwie. Nowa broń ma decydujące znaczenie. Dzięki niej Teksarkana panuje wreszcie nad Równinami. Stare obyczaje zamierają, a ci, którzy nie widzą nadchodzącego końca, mogą usłyszeć jego lament w wietrze. Znika nawet trawa. Piaszczyste wzgórza w kształcie półksiężyca przemieszczają się powoli ze wschodu na zachód. Cesarstwo po umocnieniu zachodnich granic skupia się w coraz większym stopniu na kierunku wschodnim. Nowy Rzym tlił się przez lata, ale nie został odbudowany...

– Synu mój!

Czarnoząb zasnął, lecz papież nie poczuł się urażony. Kiedy opuszczał zbudowany z bali pałac papieski, przy drzwiach wręczono mu niewielką sakiewkę pełną złotych monet. „Zapłata za słuchanie” – przemknęło mu przez głowę. Ale po zastanowieniu doszedł do wniosku, że są to pieniądze na drogę. Miał się stąd wynosić.

Taki miał też zamiar. W Mieście Hannegana, jak i w Valanie, wrzało. Na ulicach pełno było ludzi i koni. Zwalniano żołnierzy z wojska, nowi legaci obejmowali placówki na zachodzie, a na północy ziemie pasikońskie były wydane na pastwę bezmacich, a także tych spośród dawnych wrogów Hannegana, którzy pragnęli uczcić nowy pokój, hodując bydło i trawy.

Czarnoząb bez żalu opuścił Miasto Hannegana. Miał już dość miast, starych znajomych i wrogów. Znużył go rodzaj ludzki, kupił więc za papieskie pieniądze osiołka, a ściśle mówiąc muła, i ruszył na północ wzdłuż poszarpanej granicy oddzielającej lasy od równin.

Trawa. Ciągnęła się nieprzerwanie po jednej stronie horyzontu i wiała między niskimi ciemnymi drzewami po dmגיע. Niewielkie góry zwane Podniesionym Spojrzeniem rozbłyskiwały ogniskami, świątecznymi czy żałobnymi – Czarnoząb nie potrafiłby powiedzieć.

Minął bez przeszkód pierwszy zbudowany z belek posterunek genoków. Miał nadzieję, że Dolina Wybryków Natury przyjmie go, i tak się stało. Dolina, czyli Państwo Watchitah, jak ją teraz nazywano, rozrosła się w całą sieć dolin pnących się w głąb niskich gór Old Zarks. Czarnoząb błąkał się, póki nie napotkał Osady Cedrowej, małej wspólnoty tropicieli ksiąg i memorystów.

Wymienił muła za g'tarę podobną do tej, którą dostał niegdyś od ojca, i zamieszkał na zboczu nad opactwem, sprzedając za miskę strawy swoje usługi jako pisarz i wychowawca.

Schronienie znalazł w skalnej grocie bardzo podobnej do tej, w której mieszkał Amen, tyle że te jaskinie na wschodzie były szerokie i otwarte jak rozdziawiona gęba. Zapewniają schronienie przed deszczem, niektóre przed chłodem, ale nie przed biegiem lat. Żadna.

I tak Czarnoząb od Świętego Jerzego starzał się, odmawiając brewiarz i medytując nad regułą świętego Leibowitza, co sprzyjało postawie pełnej pokory, która – odkrył ze zdziwieniem – była zawsze jego powołaniem. Była siostrą głębokiej samotności, którą cenił teraz i której nie chciał już wypełnić. Była to pustka konkretna jak miłość. Bywały jednak noce, kiedy modlił się do kogokolwiek, kto zechciałby takiej modlitwy wysłuchać, żeby przyszła do niego Edrea. Słyszał, że jasnowłosa niewiasta-mamidło, nosząca zakonny habit, zajmowała się w sąsiedniej dolinie uzdrawianiem ludzi. Tamtejszy kapłan nazywał ją czarownicą; czasem uzdrawiała umysły, które ksiądz przeklął, i dlatego się jej bał.

Czarnoząb pragnął, by jego umysł został uzdrowiony, nie tego się jednak w niej bał. Lękał się dziurki pod łechtaczką, rozdartej przez czarnego i białego boga, których widział z Dziewicą Dnia na jej czerwonych mule. A może zrobił to jej stary Żyd? Oto po drugiej stronie wzgórza czekała na niego wiodąca do świata brama Pana Jezusa i wszystkich świętych, a on był tchórzem. Czasem, myśląc o tym, pieścił się i przeżywał chwilę ekstazy. Nie ukrywał swego zawstydenia przed Świętą Matką Dziewicą Dnia Fujce Go, która przyglądała mu się z kąta szafasu jego umysłu. Nie wspominał o tym podczas dorocznej spowiedzi leibowitzańskiemu księdzu, który odwiedzał go w każdy Wielki Czwartek. Przy tej sposobności ksiądz zawsze chciał w imieniu opata obmyć stopy Nimmy'ego, ale pustelnik się na to nie godził.

– Nie chcesz przyjąć to wiadomości swego ubóstwa? Czy nie jest to pycha? Czarnoząb skinął i pozwolił, żeby ksiądz umył mu stopy i udzielił komunii.

Wiele razy wyrzekał się –jak radził Amen – Jezusa, kiedy Zbawca stawał się dla niego okazją do grzechu, zawsze jednak wracał, i tak samo, miał wrażenie, czynił Zbawca. „No i jak Ci się ostatnio wiodło, Panie?”

W dni powszednie uczył przez trzy godziny trzynaścioro dzieci czytać i pisać w ich

dialekcie. Uczył je też trochę muzyki, a także – czasem ku niedowierzaniu ich rodziców – tego i owego z geografii kontynentu i wszystkiego, co sam wiedział o historii świata i upadku Magna Civitas. Jedne dzieci wierzyły mu, inne nie, lecz roześmiani rodzice przynosili mu strawę w zamian za wykształcenie swych urwisów. Naprawiali też odzież, dawali pledy, a czasem przynosili trochę wina, kiedy słabował.

W samotności otwierał swą duszę. Bywało, że przenikał do niej Bóg, częściej jednak nie. Doszedł do wniosku, że nie będzie już otwierał Bogu drogi do siebie. Taka była właśnie rada mistrza Eckharta: być tak ubogim, żeby nie było już miejsca, w które mógłby wejść Bóg. Kiedy Bóg nie ma dokąd wejść, jest wszędzie. Poza tym nie ma nic.

Czarnoząb nie uważał się jednak za człowieka religijnego. Nie wiedział, czy Bóg jest Ojcem, czy Stworzycielem nieba i ziemi, i wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych. Nie rozumiał, dlaczego miałyby to mieć znaczenie, bo przecież sam Bóg, gdy objawił się jako wirujący krzew, nie zechciał mu tego wyjawić. Nigdy nie powiedział: „Czarnozębie, Jam jest twój Ojciec wszechmogący i Ja stworzyłem ziemię, na której klęczysz, i niebo, pod którym klęczysz”.

Rozdział 34

„Kto otrzymuje nowe ubranie, niechaj od razu odda stare, które zostanie złożone w westiami i przeznaczone dla biednych”.

Reguła świętego Benedykta, rozdział LV

Tuż po drugiej stronie góry i Osady Cedrowej znajdował się klasztor, w którym przebywała zakonnica znana jako siostra Klara. Pewnego ranka obudziła się z przecuciem, że pustelnik, który żył w

sąsiedniej dolinie, zmarł. Słyszała o nim od wielu lat, ale postanowiła zostawić go w spokoju, wiedząc, jak trudną zaczął podróż. Nikt nie zawiadomił jej o jego śmierci i nikt poza nią o niej nie wiedział, ona zaś wiedziała tylko dzięki nie opuszczającym jej przeczuciu nieodległym zarówno od radości, jak i smutku. Powitała to przeczucie z radosnym sercem. Pustelnikowi niewiele pozostało na tym świecie, którzy by odczuli jego brak.

Uzyskawszy pozwolenie ksieni, siostra Klara spakowała bochenek chleba, trochę sera, a potem, jakby sobie o czymś przypominając, martwą mysz znalezioną dopiero co w pułapce, którą zastawiono w kuchni. Poszła stromym i rzadko używanym szlakiem do Osady Cedrowej. Po drugiej stronie doliny, w której był jej klasztor, zobaczyła wąską ścieżkę do suchej jaskini, dokładnie w tym miejscu, gdzie jaskinia – wiedziała o tym – miała się znajdować.

Starzec zmarł niedawno. Nie z powodu tej śmierci, lecz starości oczy siostry Klary napełniły się łzami. Nie wiedzieć czemu, spodziewała się ujrzeć przystojnego młodzieńca, choć sama była przecież starą kobietą, uginającą się pod brzemieniem lat, naznaczoną tym brzemieniem.

Czarnoząb siedział oparty o głaz i miał na kolanach łeppek małego kuguara. Kiedy się zbliżyła, zwierzątko uniosło niebieską głowę. Była to Librada Edrea czekała, ale kuguar nie ruszył się z miejsca i wreszcie musiała wywabić go, podsuwając mu mysz, aby móc pogrzebać Czarnozęba i ustawić w głowie grobu krzyżyk, który nosiła przy sobie przez wszystkie te lata.

Różaniec, który zaciskał w dłoni, i prymitywną g'tare, którą zostawił opartą o ścianę w głębi jaskini, zabrała ze sobą.

KONIEC